

HILARY
MANTEL

**ZMIANA
KLIMATU**



Prószynki i S-ka



Mantel Hilary

Zmiana klimatu

Anna i Ralph wyjeżdżają do Afryki - on ucieka przed dominacją ojca, ona pomaga mu prowadzić misję dla tubylczej ludności. Jednak na tym kontynencie trudno uciec przed polityką. Działalność charytatywna zaczyna kolidować z interesami białych. W końcu dochodzi do tragedii, która położy się cieniem na ich życiu - pewnej dramatycznej nocy porwane zostają ich dzieci - bliźnięta. Z odnalezioną córką wracają do Anglii, ale już nigdy nie odzyskują spokoju.

Wszystkie postaci w tej książce są fikcyjne, z wyjątkiem arcybiskupa Kapsztadu, który ma wiele cech swego rzeczywistego odpowiednika, Geoffreya Claytona. Wykorzystałam niektóre jego sformułowania, zaczerpnięte z pism i kazań.

Osada Mosadinyana jest fikcyjna. Osiedle Elim również, jakkolwiek opisując je korzystałam z pamiętników Hannah Stanton, która prowadziła pracę misyjną w osiedlu Lady Selborne; autorce jestem głęboko wdzięczna.

Przypadki zbliżone do sprawy Eldredów można znaleźć w raportach sądowych z Botswany.

Nie zajmujemy się tutaj nadziejami i obawami,
ale jedynie prawdą, na ile rozum pozwala nam ją poznać.

Dałem dowód najdoskonalszej z moich zdolności...

Karol Darwin, „O pochodzeniu człowieka”, 1871

„Wspomnij, proszę cię, kto kiedy niewinny zginął?
albo kiedy prości zgładzeni są?”

Job 4:7 (przekład ks. Jakuba Wujka)

1970

SMUTNE PRZYPADKI, DOBRE DUSZE

Kiedy Kit miała dziesięć lat, któregoś dnia pewna obca kobieta przecięła sobie w kuchni żyły. Właśnie miała pogрузić się w umieraniu tym chłodnym i trudnym sposobem, kiedy Kit weszła, żeby wziąć sobie szklankę mleka.

Ta kobieta, Joan, miała sześćdziesiąt lat i nosiła bistoro-wą sukienkę z zasobów dobroczynności. Typ gospodyni domowej: postanowiła wykrwawić się prosto do zlewu, by oszczędzić gospodarzom sprzątania. Kiedy Kit chwyciła ją za łokieć, wypuściła z nie skaleczonej ręki nóż do zlewu i usiłowała zasłonić dziecku oczy.

W owym okresie swego życia Kit nie dziwiła się zbytnio niczemu. Teraz też pomyślała tylko, że przecież ten nóż służy w domu do krojenia chleba. Głośno natomiast powiedziała:

- Nie powinna była pani tego robić, Joan, ale jak już się stało, to trudno; proszę odejść od tego zlewu i usiąść na krześle, a ja sięgnę po apteczkę.

Kobieta pozwoliła posadzić się na krześle przy kuchennym stole. Kit wyjęła z szuflady niedużą czyściutką serwetę i okręciła nią jej nadgarstek. Serweta była w biało-czerwoną kratkę; spływająca niespiesznie krew nasączała płótno czernią. Cięcia okazały się w gruncie rzeczy niegroźne, słabe, lekkie, można powiedzieć - wprawnie nieskuteczne.

- Proszę poruszyć palcami - rzekła Kit. - Musimy się upewnić, czy nie zrobiła pani sobie jakiej krzywdy.

Kobieta przyglądała się swojej ręce oczyma przerażonymi, lecz całkowicie suchymi, bez łez; tymczasem Kit wdrapała się na stół, żeby ściągnąć z kredensu domowy zestaw pierwszej pomocy.

- Na szczęście akurat są ferie - odezwała się wydobywając z opakowania bandażę i nożyczki o zaokrąglonych czubkach. - Inaczej nie byłoby mnie tutaj. Siedziałam sobie na górze. Czytałam książkę. Nazywa się „Dzieci z New Forest”. Zna ją pani? O rodzinie takiej akurat jak nasza, dwu chłopców i dwie dziewczynki, tylko że oni żyli dawno temu, w zamierzchłych czasach. Myśląc w tym momencie o samej sobie jako o skończonej niezdarze, kobieta niezbyt uważnie rejestrowała słowa małej. Ze uczyła się zasad udzielania pierwszej pomocy w szkole. Ze mówiono jej: „Przede wszystkim trzeba uspokoić poszkodowanego”. I że tamta rodzina mieszkała w lesie, całkiem samotnie.

- Byli rojalistami, mieli niebezpiecznych wrogów, musieli się ukrywać. Rozumie pani? Kobieta skinęła głową w niemym oszołomieniu. Kit przestraszyła się, że zasłabnie i zwali się na kamienną posadzkę.

- Podam pani teraz szklankę wody. Albo nie; gorąca, słodka herbata będzie chyba lepsza - powiedziała. I pomyślała: „Biedna Joan, może naprawdę chciała po prostu umrzeć? I nie udało się jej. Jak to tatuś zawsze powtarza? «Nigdy nie znajdziesz ostrego noża, gdy ci najbardziej potrzebny»”.

Napełniając wodą czajnik, Kit usłyszała samochód matki. Toczył się w stronę domu podjazdem, jak zwykle rzeził, charczał i skrzypiał. Co za ulga! Kit umieściła czajnik na kuchni i zaczęła czyścić zlew środkiem dezynfekcyjnym.

Anna weszła i postawiła torby z zakupami na tym samym stole, przy którym oparta bezwładnie o blat siedziała Joan. Anna spojrzała na nią raczej ze smutkiem niż z zaskoczeniem. I powiedziała :

- Dla mnie też zrób herbaty, Kit.

Wieczorem Kit usłyszała następujący urywek prowadzonej szeptem rozmowy:

- Ralph, nie powiedziałeś, że to osoba o skłonnościach samobójczych.

- Nie powiedziałem, bo nie wiedziałem...

Kit przymknęła drzwi swego pokoju. Nie chciała słuchać tego, co rodzice mieli do powiedzenia jedynie sobie.

W trzy dni później, gdy weszła do kuchni, zobaczyła, że matka na klęczkach szoruje ryżową szczotką kamienne płyty posadzki w sąsiedztwie zlewu.

- Przecież tu już wcale nie ma krwi, mamó - stwierdziła zdumiona. - Wszystko zmyłam od razu.

Anna nie odezwała się na to ani słowem. Przerwała jednak szorowanie, wstała z podłogi i wylała mydliny z wiadra do zlewu.

W tym czasie Joan już nie było, spakowała cały dobytek w te same dwie reklamówki, z którymi się zjawiała, i odeszła. Takie nagłe zniknięcia nie były wśród gości tego domu niczym szczególnym, szczególnie byli raczej sami goście, całkiem inni niż ci, jakich przyjmowały inne rodziny. Ralph próbował dowiedzieć się czegoś o Joan na policji, w Armii Zbawienia, w Wydziale Zdrowia i Opieki Społecznej, ale bez rezultatu. Anna zauważyła tylko - uzupełniając zawartość apteczki, co należało do jej stałych obowiązków - że Joan zabrała ze sobą dodatkowy bandaż. Uznali to za obiecujący objaw. W tamtych latach, gdy dzieci dopiero dorastały, dom był stale pełen ludzi w typie Joan. Jednych Ralph przywoził z domu opieki w Londynie, utrzymywanego przez charytatywną fundację, dla której pracował. Innych sprowadzał, kiedy opieka społeczna nie wiedziała, co z nimi począć, albo jeśli w miejscowym szpitalu psychiatrycznym brakowało wolnych łóżek. Czasem ktoś zjawiał się z własnej inicjatywy: znajdowano go skulonego przed wiatrem w którejś podwórkowej szopie i zapraszano do domu, żeby nie przemarzł. „To taki smutny przypadek” - mawiał Ralph. W końcu cała ro-

dzma tak właśnie zaczęła ich wszystkich nazywać - „smutne przypadki”. O innej grupie ludzi mówiło się natomiast: „Dobre dusze”. „Ciocia Emma bardzo pomaga wielu nieszczęśnikom w tej swojej klinice odwykowej dla narkomanów w Norwich, to dobra dusza...”

Tak właśnie dzielono świat, kiedy Kit dorastała: na „dobre dusze” i „smutne przypadki”. Bez odrobiny ironii.

Rozdział 1

W dniu pogrzebu Feliksa Palmera jego żona Ginny spotkała jego kochankę Emmę. Oczywiście, spotykały się obie już wcześniej. Hrabstwo Norfolk nie jest wystarczająco ludne, by mogły tego uniknąć. Sposób, w jaki się do siebie odnosiły przy takich okazjach, ukształtowały trzy elementy: to, że Ginny rozmyślnie i wyniośle nie chciała wiedzieć o niczym, że Emma nieodmiennie zachowywała zimną krew, wreszcie że Feliks z natury rzeczy pragnął utrzymać najbardziej odpowiadający mu układ.

Ginny i Emma spotykały się więc przez całe lata, a to na zgromadzeniach parafialnych, a to na posiedzeniach komitetów charytatywnych, a to znowu na zebraniach lokalnych grup zainteresowanych ochroną tego, co właśnie z początkiem zaczynającej się akurat dekady zaczęto nazywać „środowiskiem naturalnym”. Od czasu do czasu wpadały na siebie w Norwich, robiąc zakupy w domu towarowym Jarrolda; zamieniały po parę słów na wystawach rzemiosła artystycznego; siadywały na sąsiednich fotelach w teatrze.

Kiedyś, podróżując do Londynu, znalazły się jako jedyne pasażerki w tym samym przedziale pierwszej klasy. Zdobyły się wówczas na pełne pół godziny towarzyskiej konwersacji. W końcu Ginny z uśmiechem przeprosiła, sięgnęła do torebki i wyjęła grubą książkę w kieszonkowym wydaniu. Wycofała się w lekturę. Emma zlustrowała okładkę. Wysmukła młoda dama, w wianku i welonie, stała przed stylowym, staroświeckim dworzyszczem. Tytuł - „Ob-

lubienica garbusa" - wydrukowano złocistą, ozdobną kursywą. Emma wyjrzała przez okno: w pejzażu dominowała smętna zieleń wschodnioangielskich łąk, ponad łąkami krążyły wrony. Emma również sięgnęła po książkę. I tak jakoś dotarły razem, ona i Ginny Palmer, z samego krańca Anglii do jej serca.

Rozstały się - z ukłonami i uśmiechami - na zakopconej Liverpool Street. W Londynie nie musiały przestrzegać swej niepisanej umowy. Ale w Norfolk - tak. Obie bywały przecież zapraszane do tych samych domów farmerskich i inteligenckich. Na kolejnych ślubach i chrzcinach rozmawiały ze sobą grzecznie, a nawet z pewną dozą serdeczności. Co najmniej tuzin razy przy okazji przyjęć na powitanie Nowego Roku życzyły sobie wzajemnie szczęścia i pomyślności; czasami niemal szczerze. Teraz, w lutowy poranek, Ginny stała w otoczeniu grupy żałobników. Przyjaciele i partnerzy w interesach zebrali się licznie; Feliks był bardzo lubiany w okolicy. Kościół i przykościelny cmentarz znajdowały się na wzniesieniu, ostry wiatr wydymał płaszcze, szarpał wełniane szale okrywające głowy pań, szczypał twarze aż do bólu i rumieńców. Wszystkim zgromadzonym na ceremonii dane było odczuć bliską obecność morza, zasłoniętego przed ich oczyma tylko szpalerem sosen. Niektórzy żałobnicy ociągali się z wyjściem z kościoła, studiując w kruchcie ogłoszenia w sprawie kolejności zajmowania się kwiatami, odkurzaniem i polerowaniem mosiądzu przez poszczególnych parafian. Inni stali na zewnątrz, pośród nagrobków. Nikt nie oddalał się przed czasem, bo samochody były zaparkowane na placu przed kościelną bramą tak ciasno, że blokowały się nawzajem, więc odjechać dało się tylko w ściśle określonym porządku. Ginny, wsparta na ramieniu syna, przechodziła od grupki do grupki, by w kilku taktownych słowach ukoić powszechnie przygnębienie i rozładować tym samym atmosferę; zdawała sobie sprawę, że śmierć to coś kłopotliwego i krępującego.

Jej najbliżsi - syn Daniel, architekt, i córka Claire, specjalistka od zaopatrzenia u Harrodsa - mogli służyć za wzór delikatności i troski wobec uczuć matki. Jednak Ginny, jakkolwiek odwlekała ten moment, pragnęła odbyć rozmowę nie z kimkolwiek z rodziny, ale właśnie z Emmą. Odprawiła więc syna, uśmiechając się do niego i klepiąc go delikatnie po przedramieniu. Ruszyła w stronę Emmy sama, krótkim, idealnie wyrównanym krokiem. Wysokie obcasy jej pantofli pozostawiały w miękkim, trawiastym podłożu niewielkie wgłębienia.

Ginny Palmer była niebrzydką, fertyczną kobietką w stylu Wallis Simpson, czerń nadawała jej postaci dodatkową wyrazistość, by nie powiedzieć - urok. Zbliżając się do Emmy, wyjęła z kieszeni idealnie zaprasowaną chusteczkę z koronkowym obszyciem, złożyła ją jeszcze kilkakrotnie i musnęła czubeczek nosa. Gest był całkowicie niepotrzebny, lecz w jakiś sposób pasował do Ginny w tej akurat sytuacji. Mówił: „Spójrz na mnie, wdowę. Szaleję z bólu, ale we właściwej formie”.

Emma Eldred trzymała ręce w kieszeniach - zapomniała rękawiczek. Miała na sobie płaszcz, w którym chodziła już od lat na wizyty domowe do pacjentów, na zakupy, na spacer, na spotkania z Feliksem. Nie widziała potrzeby sprawiania sobie innego ani na co dzień, ani na szczególne okazje. Płaszcz był ciemny, jeszcze w przyzwoitym stanie. Poza tym - o czym właściwie nawet nie myślała, ale co odczuwała w pewien nieokreślony sposób - ten płaszcz był strojem, w którym Feliks na pewno by ją zawsze rozpoznał.

Emma Eldred nie była kobietą otyłą, robiła jednak takie wrażenie. Miała czterdzieści osiem lat, twarz, na której nie widać było śladów używania jakichkolwiek kosmetyków, duże stopy w podniszczonych butach z trochę niewy-darzonymi ozdobnymi chwaścikami ze skóry. Znała męża Ginny od dzieciństwa, mogła za niego wyjść w swoim czasie, Feliks nie był jednak tym mężczyzną, którego chciałaby uznać za poważnego partnera. Uważała, że wszystko, co

miało szansę wyniknąć z ich znajomości, wyniknęło i nie należało spodziewać się niczego więcej. Na widok zbliżającej się Ginny Emma spięła się w sobie, najeżyła, ale tylko wewnętrznie, tak aby żaden obserwator z zewnątrz niczego nie zauważył. Chociaż jeśliby nawet spostrzegł cokolwiek, nie znając dokładnie sytuacji wziąłby raczej Ginny za szykowną przyjaciółeczkę, a Emmę za podstarzałą połowicę zmarłego.

Przez chwilę stały naprzeciwko siebie bez słowa. Wiatr ciął do szpiku kości. Ginny osłoniła kołnierzem z norek szyję aż po podbródek i zrobiła pół kroku do przodu.

- No cóż, Ginny - stwierdziła Emma. - Nie przyszedł tu, żeby ci służyć za wiatrochron.

Wyjęła z kieszeni prawą rękę i poklepała Ginny po ramieniu. Był to nieco szorstki gest, nie tyle pocieszenia, ile pobudzenia i otuchy, jak klepięcie znużonego konia przed ostatnią przeszkodą. Ginny odwróciła twarz. Łzy napłynęły jej do oczu. Znowu sięgnęła po tę swoją wymuskaną chusteczkę.

- Emmo, dlaczego? - odezwała się tonem goryczy, która w każdej chwili mogła przerodzić się we wściekłość. - Powiedz mi, dlaczego? Jesteś przecież lekarzem!

- Ale nie jego lekarzem.

- Nieważne. Przecież on nie był chory. Nigdy w życiu nie chorował, nawet przez jeden dzień.

Emma wbiła wzrok w chwaściki przy butach. Zaczęła sobie wyobrażać, że prześwietla oczyma swego zmarłego kochanka. Przenika spojrzeniem przez tweedową marynarkę, którą zazwyczaj nosił, przez pulowerek z jagnięcej wełny, przez koszulę w paski, przez skórę i mięśnie aż do arterii, którymi przepływała krew Feliksa. Przepływała powoli, jak podziemny strumień zamulonym kanałem.

- Nikt nie umie wszystkiego wyjaśnić, Ginny. I nikt nie jest w stanie oszczędzić ci szoku. Dasz sobie jakoś radę, moja droga?

- Mam wysoką polisę ubezpieczeniową - odparła Ginny.

Zmiana klimatu

- No i został mi dom. Oczywiście przeprowadzę się do czegoś mniejszego, ale jeszcze nie teraz, nie tak od razu.

- Nie rób niczego w pośpiechu - rzekła sentencjonalnie Emma, trochę skonfundowana słowami Ginny, bo pytała ją o stan ducha, a nie o stan finansów.

Podniosła wzrok i stwierdziła, że są obserwowane. Wszyscy pozostali uczestnicy pogrzebu bacznie się im przyglądali, jakkolwiek każdy najusilniej starał się robić wrażenie, że patrzy gdzie indziej. „Czego też oni się spodziewają?” - pomyślała Emma. „Że rozegra się tu jakaś kłopotliwa scena? Mało prawdopodobne. Nie w tym momencie. Nie w tym miejscu. I nie wśród osób tego co my pokroju, bez reszty oddanych kultowi Samokontroli”.

- Ginny - odezwała się - nie powinnaś już dłużej tu tkwić. Niech Daniel odwiezie cię do domu.

- Przecież nie wracam do domu sama! - Ginny spojrzała na Emmę prawie ze zgorszeniem, jak gdyby uważała, że ta powinna znać dalszy plan jej dnia. - Będzie więcej osób; ty też mogłabyś przyjechać. Napijemy się whisky, taki dziś zimny dzień. Chociaż ziąb zawsze lepszy niż deszcz. Claire zostaje ze mną na cały weekend...

Ginny przerwała na chwilę i trochę nerwowym gestem poprawiła norkowy kołnierz.

- Emmo - zaczęła znowu - chciałabym, żebyś przyjechała. Do mnie, do domu. Pani Gleave przygotowuje paszteciki...

Ginny mówiła coraz ciszej, w końcu jej głos zamarł zupełnie. Do dwu stojących kobiet podszedł Ralph Eldred, brat Emmy, postawny mężczyzna z rękoma w kieszeniach ciemnego wełnianego płaszcza. Ginny spojrzała na niego, widok Ralpa zdawał się przywracać jej siły.

- Ralph, dziękuję ci za przybycie - powiedziała. - Pojedź teraz z nami, napij się whisky.

- Powiniennem już zniknąć, muszę jechać do Norwich, dziś po południu mam jeszcze posiedzenie - zaczął się wymawiać. - No, ale oczywiście, jeśli chcesz... Gdybym mógł być

ci w czymś pomocny, Ginny... - Ralph wahał się; musiał to robić często, bo zwykle był potrzebny w kilku miejscach równocześnie i wciąż miewał do rozstrzygnięcia problem, gdzie potrzebują go najbardziej.

- Nie, dziękuję, Ralph. - Ginny ułatwiła mu wyjście z sytuacji. - Byłoby mi miło, ale nie potrzebuję pomocy. Nie rób sobie kłopotu.

Zdołała się nawet uśmiechnąć. Jej mąż często tłumaczył się popołudniową pracą, chcąc wyrwać się z domu w ciągu tych długich lat małżeńskiej niewierności. Ale Ralph El-dred był naprawdę człowiekiem bardzo zajęтым, wiedzieli o tym wszyscy. „Tak - pomyślała - są niewątpliwie pożytki z poślubienia mężczyzny, który pamięta tylko o pracy, Bogu i rodzinie. Nawet jeśli dzieci są potem tak dziwnie wychowane i wyglądają tak ubogo, jak progenitura Eldredów. Nawet jeśli, jak żona Ralpa, trzeba potem biegać na ostatnich nogach wokół tych wszystkich spraw męża”.

Zona Ralpa, Anna, również uczestniczyła w ceremonii. Wyglądała nawet elegancko w czarnym kapeluszu, niebrzydkiem, chociaż niemodnym. Z oddalenia przesłała Ginny trochę nieśmiały ukłon, najszczerzy gest współczucia i sympatii. Typowy ukłon Anny Eldred, mówiący aż nadto wyraźnie w jej imieniu: „Pozostaję z całą życzliwością, ale w żadnym wypadku nie chciałabym się narzucać”.

Ginny odwzajemniła go. Ralph podszedł do żony, podał jej ramię i pozwalając solidnie się wesprzeć, poprowadził w kierunku samochodu.

Ginny spojrzała za nimi.

- Co myślisz o małżeństwie? - spytała nieoczekiwanie. - Każde jest inne, czy wszystkie są do siebie podobne?

Emma wzruszyła zeszywniałymi z chłodu ramionami.

- Jaki sens akurat mnie o to pytać, Ginny?

Już w samochodzie Ralph powiedział:

- Wiesz, to jednak nie jest w porządku. Nie jest, prawda? Że Emma dowiedziała się w taki sposób. Właściwie przez przypadek. I to kiedy już było po wszystkim.

- Było po wszystkim bardzo szybko, o ile wiem - odrzekła Anna.

- No tak, ale żeby zupełnie nie dać jej znać...

- Czyżbyś uważał, że Ginny powinna była zadzwonić do Emmy ze szpitala? Bezpośrednio z intensywnej terapii?

- ... jakby wcale nie miała prawa wiedzieć... To mnie jednak razi. Wydaje mi się nieludzkie. Ginny zbiera teraz wszelkie dowody sympatii i współczucia. Nie mówię, że ich nie potrzebuje i że się jej nie należą. Ale Emmie nie przypada w udziale nic, nawet słóweczko. Tylko publiczne zakłopotanie.

- O, widzę, że twoim zdaniem Emma, jako oficjalna metresa, powinna mieć możliwość urządzenia osobnej ceremonii, oddzielnego spektaklu - westchnęła Anna. - W takim razie Feliks musiałby jeszcze zabezpieczyć ją odpowiednim garniturem brylantów i jakimś gustownym pałacykiem.

Ciężarówka przedsiębiorstwa budowlanego odnawiającego kościół stanęła akurat przed samochodem Eldredów. Robotnicy wysiedli i zaczęli wyładowywać elementy rusztowań. Ralph miał tak napięty plan dnia, że właściwie powinien się naprawdę zdenerwować z powodu dodatkowego opóźnienia. Ktoś inny na jego miejscu na pewno by się wściekał, on jednak pozwolił sobie na okazanie zniecierpliwienia wyłącznie poprzez postukiwanie palcem wskazującym w kierownicę. Lekkie, delikatne, niemal niesłyszalne, zwłaszcza że nieopodal była szkoła i z boiska niosły się z wiatrem ostre, piskliwe niczym okrzyki mew głosy dzieci.

Któryś z sąsiednich samochodów osobowych odjechał, ciężarówka przesunęła się na zwolnione miejsce. Ralph mógł ruszyć i wyjechać z przykościelnego placu na ulicę. Anna wyjrzała przez boczną szybę. Za szkolnym ogrodzeniem dzieciaki dokazywały co się zowie; pocieszne figurki zakutane w grube zimowe kurty z opadającymi na oczy kapturami.

Droga do domu biegła pośród farm poprzez płaskie, smagane wiatrem pola. Była wąska i mało uczęszczana, co nie

znaczy, że całkowicie pusta. Ralph musiał ostro przyhamować, żeby przepuścić człapiącą w poprzek kaczkę.

- Coś ci powiem - odezwał się do żony. - Wiesz, co jest w tym wszystkim najgorsze? Otóż to, moim zdaniem, że Emmie nie pozostało nic. Nic, zupełnie. Oddała Feliksowi całe dwadzieścia lat swego życia i teraz została z niczym.

- Coś tam mu poświęciła, nie przeczę - odparła Anna. - Ale mówić, że wszystko, że całe dwadzieścia lat? To zbyt melodramatyczne.

- Czemu kobiety potrafią być w podobnych sytuacjach takie zimne? Jak to robią, że umieją się tak trzymać? Dlaczego sądzą, że powinny? Na miłość boską, przecież słyszałem nawet, jak Ginny mówiła coś o polisie ubezpieczeniowej!

- Spokojnie, Ralph. Chciałam tylko powiedzieć, że Emmie takie życie najzupełniej odpowiadało. Miała to, czego chciała: mężczyznę na przychodne. Feliks jej nie wykorzystywał. Wręcz przeciwnie, jak sędzę. Mogła wyjść za męża. Gdyby się zdecydowała. Nie musiała trzymać się Feliksa.

- Wyjść za męża? Emma? - Ralph ze zdziwienia aż odwrócił głowę.

- Uważaj! - ostrzegła go Anna.

Ralph wcisnął hamulec. Z bocznej, błotnistej drogi ociężała gramoliła się na główny trakt jakaś farmerska ciężarówka z wysoką stertą słomy na platformie.

- Przepraszam - mruknął. - Więc powiadasz, że mogła wyjść za męża? A za kogo mianowicie?

- Och, Ralph, nie chodzi mi o nikogo konkretnego, o tego czy tamtego mężczyznę. Po prostu myślę, że gdyby Emma chciała wyjść za męża, gdyby wolała wejść w taki właśnie, a nie inny układ, mogłaby i tyle. Ale małżeństwo wymaga rozmaitych rzeczy, wiele się trzeba nauczyć, chociażby gotowania jajek. Emma zawsze była ponad to.

- Jakoś nie przypominam sobie, żeby ktokolwiek uderzał do niej w konkury. - Ralph zjechał dość daleko na skraj drogi i z trudem wyminął rozłożystą ciężarówkę. - Do Emmy? Z jej urodą? i,

- No, przecież Feliksowi się podobała...
- Feliks we wszystkim w życiu kierował się przyzwyczajeniem.
- Jak większość mężczyzn.

Ralph zrezygnował z dalszej dyskusji. Bardzo lubił swą siostrę, nikt nie mógłby zaprzeczyć. Uważał, że jest życzliwa, dobra, mądra i... samotna. Że w pewnym momencie pozostała w pojedynkę na peronie, z którego odjechał właśnie pociąg z napisem „przyjemności życia”. Widzieć Emmę jako wytrawnego wędkarza, a Feliksa jako bezradną i bezwolną rybkę na haczyku? To wprost nieprawdopodobne. „Czy jednak mogę być pewien?” - pomyślał.

Całej jazdy mieli pół godziny, wciąż bocznymi drogami, wśród rozciągających się aż po skraj szarego nieba pól, których monotonię przerywały tylko porozrzucane tu i ówdzie skromne wiejskie zabudowania z kamienia albo czerwonej cegły. Gdy dojechali przed bramę, Ralph zahamował gwałtownie, aż Annę wyrzuciło z fotela. Jedną ręką musiała się oprzeć o deskę rozdzielczą, drugą przytrzymać kapelusz.

- Mogę cię tutaj zostawić? Jestem spóźniony - mruknął Ralph.

Gdy odpinała pas bezpieczeństwa odwrócił się i spojrzał jej prosto w oczy.

- Jak myślisz, ci ludzie na pogrzebie, ci wszyscy przyjaciele i znajomi Feliksa, jak wielu z nich wiedziało o nim i o Emmie? - zapytał.

Anna wyjęła z torebki klucze od furtki i domu.

- Myślę, że wszyscy wiedzieli, co do jednego.

- Jak Ginny znosiła taką sytuację?

- Bez problemów. Przynajmniej wszyscy tak mówią.

Otworzyła drzwi samochodu i wysunęła nogi na zewnątrz, starając się przy wysiadaniu nie wetknąć wysokich obcasów zbyt głęboko w błoto.

- O której będziesz z powrotem?

- O siódmej. Może o ósmej...

„W takim razie o dziewiątej” - pomyślała, a na głos stwierdziła:

- Wszyscy wiedzieli oprócz ciebie. Czujesz się wystrychnięty na dudka, prawda?

- Chyba tak. - Ralph przechylił się, żeby zatrzaskać za Anną drzwi. - Chociaż właściwie dlaczego miałbym wiedzieć? Przecież nie afiszowali się, ta sprawa między nimi to nigdy nie było nic na pokaz, Nic... - Zawahał się szukając odpowiedniego określenia. - Nic spektakularnego.

„Nic spektakularnego” - powtórzyła w myślach jego słowa Anna patrząc, jak odjeżdża. Nie pamiętała, by kiedykolwiek użył tego wyrazu. „Ciekawe - pomyślała. - Nasz mózg przechowuje w swoich zakamarkach tyle rozmaitych terminów, których nigdy nie wykorzystujemy, a które mimo wszystko czekają na odpowiednią chwilę. Czekają, żeby ktoś po nie sięgnął, żeby je wygrzebał, jak zakopany skarb. Dla sporej części z nich taka chwila nie nadchodzi nigdy. Nasza śmierć bywa szybsza”.

Rozdział 2

Gdy Ralph zniknął jej z oczu, Anna wyjęła popołudniową pocztę z nowej drewnianej skrzynki umieszczonej przy furtce, a potem skierowała się przez podwórze w stronę frontowych drzwi. Cały teren wokół domu, nie wyłączając podjazdu dla samochodów, wyglądał mniej więcej tak, jakby go stratowało stado bydła: koleiny, bruzdy... „Dobrze chociaż, że Julian zrobił tę skrzynkę na listy” - pomyślała Anna. „Rodzinie to bez różnicy, ale przynajmniej listonosz już nie nadweręza sobie nóg”. Domostwo Eldredów, zwane Czerwonym Domem, należało do posiadłości rolniczej, która utraciła swój status. Pozostało tylko pólakrowe obejście, z różnymi szopami, z psią budą i wybiegiem „po drucie”, w tej chwili zerwanym, ze sporą ilością chylących się ku ostatecznemu upadkowi drewnianych komórek, wypełnianych przez kolejne lata rodzinnego życia coraz obfitszym osadem rozmaitych nieprzydatnych szpargałów, z niezliczonymi drewnianymi żłobami i poidłami dla koni, wiekowymi i grubo porośniętymi mchem. Ostatnio, odkąd Julian, starszy syn, wrócił do domu, żywopłot doczekał się strzyżenia, a podwórze częściowego uporządkowania; zarysowały się też zaczątki warzywnego ogrodu. Jednakże dom i obejście w dotychczasowym, godnym pożalowania stanie tworzyły pewną harmonijną, organiczną całość; ogrodnicze zapędy Juliana wydawały się niepotrzebną ingerencją w naturalny porządek rzeczy - wyglądało to tak, jakby szopy dla rowerów były dziełem przyrody, zaś ziemniaki wytworem człowieka.

Dora zbudowano z czerwonej cegły. Miał wysoki, mocno zapadnięty dach; szkodziły mu, podobnie jak kominom i antenom telewizyjnym, wibracje powietrza, jakie w porze oprysków wywoływały przelatujące na minimalnej wysokości samoloty rolnicze. Rząd niewielkich okienek przebitych tuż pod okapem nadawał Czerwonemu Domowi trochę niesforny i niespokojny wygląd: miało się wrażenie, że lada chwila dźwignie się z miejsca i ruszy drogą, by znaleźć sobie miejsce gdzie indziej. Przed dwoma laty, kiedy nieodległe odejście z domu starszych dzieci wydawało się rzeczą niemal pewną, Annie przyszło do głowy, że powinni rozejrzeć się za czymś mniejszym. „Utrzymanie mniejszego domu byłoby tańsze” -stwierdziła, doskonale wiedząc, jaki typ argumentów może najskuteczniej wpłynąć na stanowisko Ralpha. I już niebawem za przyzwoleniem męża zadzwoniła do Feliksa Palmera, by porozmawiać na temat wystawienia Czerwonego Domu na sprzedaż.

- Ty chyba nie mówisz poważnie, Anno - powiedział. -Wyprowadzić się? Po tylu latach? Zachowuję wiarę i nadzieję, że przynajmniej nie planujecie przenosić zbyt daleko.

- A ty chyba zapominasz, że jesteś agentem nieruchomości - zareplikowała. - Czy aby nie powinienes utwierdzać klientów w ich zamiarach sprzedaży domów?

- Klientów może tak, ale przyjaciół? Byłbym paskudnym typem, gdybym się brał za wysiedlanie przyjaciół!

- W takim razie zgłoszę się do kogoś innego, jeśli pozwolisz.

- No, nie... Skoro już jesteś całkiem zdecydowana...

- Nie całkiem, Feliksie, całkiem nie całkiem - odpowiedziała Anna. - Jednak gdybyś mógł kogoś przysłać... Niech się rozejrzy, wyceni...

Przyjechał, ma się rozumieć, osobiście. Zaczął wymierzać taśmą pomieszczenia, zapisywać wyniki pomiarów w niedużym, oprawnym w skórę notesie. Na pięterku poczuł się najwyraźniej znużony.

- Moja miła Anno, dajmy temu spokój. Powiedzmy po prostu: duża powierzchnia użytkowa, poddasze mieszkalne, możliwość zagospodarowania dodatkowych pomieszczeń. Dobrze? Klienci nawet wolą takie ogólnikowe sformułowania, nie lubią bawić się w dokładne wyliczenia, nie chcą się wysilać. Jak dziś pamiętam dzień - westchnął przystając u szczytu schodów - w którym cię tutaj po raz pierwszy przywiozłem, ciebie i Ralpa, żeby porozmawiać na temat kupna tego domu.

Obrzucił Annę uważnym spojrzeniem, jakby próbował oszacować skutki działania czasu.

- Byliście wtedy świeżo po Afryce - dodał.

„Byliśmy, owszem - przyświadczyła w myślach - a ja byłam tego dnia zmęczona i przemarznięta, trzęsłam się z zimna w szarpanej przeciągami ruinie saloniku. I byłam w ciąży. Dom cuchnął myszami i pleśnią, drzwi na górze nieustannie trzaskały. Wszędzie na podłodze poniewierały się okruchy szkła z porozbijanych szyb, a we wszystkich kątach panoszyły się pająki”.

Chcąc uprzedzić to, co mógł teraz powiedzieć Feliks, Anna oparła w przyjacielskim geście dłoń na jego ramieniu i rzekła:

- Tak. To było bardzo, bardzo dawno temu. Feliks pokiwał głową.

- Pamiętam jak dziś, co ci wtedy powiedziałem: „Miła pani, z tego domu można zrobić prawdziwe cacko!”

- Nie zrobiliśmy... - uśmiechnęła się

- Ale wypełniliście go dziećmi. To najważniejsze.

- Dla domu to było mniej więcej to samo, co zasiedlenie go tabunem koni... Jak brzmi twój werdykt?

- No, cóż, zainteresowanie powinno być - zadeklarował Feliks ostrożnie. - Może ktoś z Londynu?

- O, to można by liczyć na fantastyczną cenę!

- Jednak zastanów się jeszcze, Anno, czy naprawdę chcesz wykonać ten... ryzykowny ruch?

Feliks zamknął notes i wsunął do kieszeni. Zeszli na dół, wypili po szklaneczce sherry. Feliks w ponurym zamyśleniu

popatrywał przez okno na ogród. W końcu nawyki pośrednika handlu nieruchomościami zaczęły jednak brać w nim górę nad osobistym nastrojem. Mruknął pod nosem - - Do wykorzystania obszerne zabudowania gospodarcze" -i skwapliwie zapisał to w notesie.

Tego samego dnia wieczorem zadzwonił do Ralpha. – Naprawdę przy tym obstajecie? - zapytał. - Wszędzie we Wschodniej Anglii ceny ruszyły teraz w górę, jak poczekacie cnoć z rok, możecie sporo zyskać. Powiedz Annie że ja radzę się wstrzymać.

- Powiem - zgodził się Ralph z nie ukrywaną ulgą - Rozumiem, o co jej chodzi. Kit i Julian już są poza domem, Robin mniej więcej za rok też wyfrunie, dla nas dwojga i Becky faktycznie byłoby trochę za wiele miejsca. Ale swoją drogą, przecież my tak rzadko jesteśmy sami. Miewamy mnóstwo gości...

- Zgadza się, raczej tak - przyświadczył Feliks.

....więc musimy mieć rezerwę, żeby ich jakoś pomieścić.

W dwa dni później, gdy Ralph i Anna ciągle jeszcze zastanawiali się nad ostateczną decyzją, w domu pojawił się ich starszy syn, Julian. Oznajmił, że nie wróci już na uniwersytet ze nieodwołalnie skończył z uczelnią. Wtasczył walizkę do swojego dawnego pokoju na pięterku, po sąsiedzku z Robinem; chłopcy zostali w swoim czasie wyekspediowani na górę, żeby mogli tam do woli hałasować, nie przeszkadzając innym. Julian nie tłumaczył się ze swej decyzji wcale, jeśli nie liczyć stwierdzenia, że nie odpowiadał mu pobyt z dala od rodziny, że stale się o nich martwił i wciąż rozmyślał, jak sobie radzą. Starał się być miły dla najbliższych, użyteczny. I nie przejawiał najlżejszych inklinacji do przenoszenia się z Czerwonego Domu dokądkolwiek.

Później Kit przysłała list z Londynu. Miała wprawdzie zwyczaj telefonować do rodziców co tydzień, ale w niektórych sprawach łatwiej jest wypisać się niż wysłować. Pisała:

Ciągle nie wiem, co będę robiła po dyplomie. To jeszcze więcej niż semestr i miewam różne pomysły, jednak nie mogę się na nic zdecydować. Chciałabym przyjechać do domu na parę tygodni i wszystko porządnie przemyśleć; to chyba nie byłaby strata czasu. Tatusiu, wspominałeś kiedyś, że za rok mogłabym podjąć pracę w Fundacji, ale szczerze mówiąc, mam dość Londynu już teraz, w tej chwili. Więc gdyby znalazło się dla mnie coś w Norwich...

- No, cóż - odezwał się Ralph, przeczytawszy list córki dwukrotnie. - Czegoś takiego nie przewidywaliśmy. Ale oczywiście, skoro chce wrócić do domu, niech wraca.

- Niech wraca, oczywiście - zgodziła się Anna. Perspektywa uległa całkowitej zmianie. Anna poczuła, że musi pogodzić się z takim obrotem sprawy i dać sobie spokój z zastrzeżeniami wobec Czerwonego Domu, jeśli już nie na zawsze, to przynajmniej do późnej starości.

Kiedy po powrocie z pogrzebu Feliksa Anna weszła do domu i znalazła się w obszernym kwadratowym holu, zsunęła powoli z dłoni rękawiczki i odłożyła je na jedną z półek okazałego i wyjątkowo nieprzydatnego mebla, który Ralph sprowadził niegdyś ze sklepu antykwarycznego w Great Yarmouth. „Chyba nikt inny w całym hrabstwie nie odczułby potrzeby posiadania czegoś takiego” - skomentowała wówczas ten zakup. Teraz spojrzała z wciąż świeżą niechęcią i zdumieniem na owo cudo na cienkich, skręconych spiralnie nóżkach, z mnóstwem maleńkich szufladek, obramowanych od frontu listwami, na których ciągle osiadał kurz, i z mnogością mosiężnych haczyków na męskie kapelusze, których nikt nigdy na nich nie wieszał. Zerknęła w owalne, zmętniałe i gęsto pokryte ciemnymi plamkami lustro, odgarnęła włosy z czoła. Potem zdjęła i powiesiła płaszcz. Klimat hrabstwa Norfolk nadawał twarzy Anny anemiczną bladość i zabarwiał fioletem jej szczupłe dłonie. Każdej zimy nieodmiennie myślała o Afryce; tam, gdy gorącym wczesnym świtem wstawiała z nagrzanego posłania, czuła za-

wsze przyjemną elastyczność ciepłych kończyn, miękkość spoconej lekko skóry i zachłanną chęć zaczerpnięcia pełną piersią głębokiego, swobodnego oddechu, bez obawy zachłyśnięcia się chłodem. W Anglii podobne wrażenie było jej całkowicie obce, nawet w upalne dni lipca. Sceptyczne, zbyt często przemarznięte ciało nigdy nie miało odwagi zaufać termometrowi, choćby wskazywał wysoką temperaturę. Angielskie upały bywają takie kapryśne: chmury mogą przesłonić słońce w każdej chwili. Anna weszła do kuchni. Julian, który już wcześniej usłyszał, że wróciła do domu, nakrywał właśnie do herbaty.

- Jak poszło?

- Zdaje mi się, że dobrze - odpowiedziała Anna. - O ile można tak powiedzieć o pogrzebie.

Pochowaliśmy go. Główny cel został osiągnięty.

- A jak pani Palmer?

- Trzymała się bardzo dzielnie. Zaprosiła część gości na paszteciki roboty pani Gleave. I na whisky. Koniecznie na whisky. - Anna zrobiła z lekka ironiczną minę. - A gdyby ktoś wołał gin, cóż, wcale nie jestem pewna, czy mógłby go dostać.

Julian sięgnął po imbryk.

- Nikt nigdy nie powinien domagać się ginu na pogrzebie, prawda?

- Nie, tego trunku jakoś nie uważa się za stosowny - rzekła Anna. - Może zanadto rozwesela? Albo odwrotnie, za bardzo roztkliwia?

- Co z Emmą?

- Nadal przestrzega reguł. Niczym nie dała po sobie poznać, co przeżywa. Nawet strojem: znów zjawiała się w tym swoim starym płaszczu.

- Spodziewałaś się, że sprawi sobie nowy na tę okazję?

- Czy ja wiem? Gdyby była cyniczna, mogłaby specjalnie kupić sobie futro. Niech ludzie myślą, że dostała je od Feliksa! - Anna roześmiała się, grzejąc dłonie trzymaną w nich filiżanką.

Demonstracyjne ujawnienie tajemnicy.

Twój stary ojciec i ja rozmawialiśmy przez całą drogę do domu o tym, jak to żył sobie w nieświadomości przez długie lata, nie mając pojęcia o Feliksie i Emmie. Julian roześmiał się również. Jakieś trzy lata wcześniej, na rok przed wstąpieniem Kit na uniwersytet, Ralph Eldred znalazł się pewnego popołudnia w Holt. Było to w środę, bardzo późną jesienią; chłopcy grający w hokeja na trawie na boisku szkoły Gresham's mieli zsiniałe z zimna kolana. Po ulicach miasteczka nie kręcili się już turyści. Niebo miało ponurą, srebrzystoszarą barwę.

Ralph w chwili słabości - doprawdy niezwyklej, jak na jego zwyczaje - postanowił wstąpić gdzieś na herbatę. Dziewczyna zza kontuaru w cukierni skierowała go na pięterko. Wdychając słodkie aromaty wszedł stromymi, kręconymi schodkami z rozchwianą poręczą na górę i znalazł się w pomieszczeniu, którego sufit dzieliło od podłogi niespełna siedem stóp. Przy swoim sześciostopowym wzroście Ralph odruchowo się schylił u szczytu schodów, a gdy się wyprostował i rozejrzał dookoła, przy jednym z sześciu stolików z różowymi obrusami i białą porcelaną spostrzegł Feliksa Palmera, który właśnie nalewał jego siostrze drugą filiżankę darjeelingu.

Nastąpiło osobliwe dwadzieścia minut. Nie, żeby cokolwiek, co zrobiła Emma, było niezwykle czy dziwaczne. Po prostu przywitała brata i zaproponowała, żeby się przysiadł; spytała, czy ma ochotę na drożdżowe ciasto czy na bułeczkę z rodzynkami, czy może na jedno i drugie. A Feliks opuścił w dół rękę okrytą tweedem marynarki od Harrisa, odstawił imbryk z herbatą na podstawkę i rzekł:

- Ralph, stary draniu, co porabiasz w Holt?

Ralph usiadł. Pobladł, a gdy kelnerka przyniosła mu filiżankę, odbierał ją drżącą ręką. Niewinny obraz, jaki zaprezentował się jego oczom, gdy wszedł schodami na górę, w sposób nagły i; szokujący ujawnił swoje prawdziwe zna-

czenie. Tym, co kompletnie wytrąciło Ralpa z równowagi, było nie tyle nawet stwierdzenie samego faktu, że jego siostra ma romans, ile niespodziewana konstatacja, że fakty tego rodzaju są częścią porządku świata, jedną z rzeczy oczywistych i powszechnie wiadomych. To znaczy, wiadomych wszystkim, tylko nie jemu, ślepemu i głuchemu w swej naiwności, i jego żonie Annie, do której musi natychmiast wrócić i o wszystkim jej opowiedzieć.

Gdyby go spytać, jak zdołał pojąć, co się rozgrywa pomiędzy Emmą a Feliksem w momencie, gdy ich zobaczył po wspięciu się na pięterko cukierni, gdyby go o to spytać, nie potrafiłby odpowiedzieć.

Wiedza, pewność po prostu przeniknęła go głęboko, do szpiku kości. Kiedy został poczęstowany ciastem, wziął kawałek i umieścił na swoim talerzyku, i odgryzł kęs. Natychmiast jednak poczuł, że ciasto przemieniło mu się w ustach w kamień, w żaden sposób nie nadający się do przełknięcia. Feliks wyjął z kieszeni jakiś papierowy pakiecik i powiedział:

- Spójrz, Emmo, jest wreszcie wełna, której Ginny koniecznie się domagała na te przekłete obicia; miała nadejść na zamówienie w ciągu trzech miesięcy, na wszelki wypadek zajrzałem dzisiaj do sklepu, a tam mi mówią, że właśnie ją rano dostali.

Wyciągnął z opakowania próbkę materiału w brunatno-zielonym kolorze i położywszy ją na obrusie dodał:

- W niebiosach pokładam nadzieję, że zesłały właściwy odcień i Ginny nie będzie się pieklić!

Emma coś tam bąknęła w odpowiedzi. Zaczęli rozmawiać o różnych obojętnych rzeczach: najpierw o pensji organisty w parafialnym kościele Palmerów, potem o cenach benzyny. Ralph zupełnie nie był w stanie włączyć się do konwersacji. Na zwitek ciemnej wełny, który leżał na pastelowym obrusie, patrzył jak na węża.

Ku zdziwieniu Anny wrócił tego wieczora do domu sam, bez żadnych przyjaciół lub interesantów, nawet bez pliku papierów pod pachą. Nie popędził jak zwykle do telefonu,

rzucając tylko przez ramię słowa powitania, nie zaczął od progu wypytywać, kto, kiedy i skąd do niego dzwonił i jaką wiadomość przekazał. Po prostu wszedł do kuchni. Kiedy Anna po chwili wsunęła się tam za nim, żeby wysondować, dlaczego jest taki dziwny, stwierdziła, że siedzi na krześle, kołysze się na jego tylnych nogach i wpatruje się w ścianę.

- Wiesz co, Anno - odezwał się - chyba wypiłbym drinka. Przeżyłem szok.

Alkohol był dla Ralpha wyłącznie rodzajem medykamentu. Uważał, że można zaaplikować sobie brandy w przypadku kolki, kiedy już inne środki zawiodą. A gorącą whisky z cytryną w przypadku przeziębienia, na rozgrzewkę. Picie w ramach ceremoniału towarzyskiego było dla Ralpha czymś całkowicie obcym. Jego rodzice nie pili, a on nigdy się od nich do końca nie uwolnił. Oczywiście, nie miał nigdy nic przeciwko temu, że ktoś inny chciał się napić, nawet w jego domu; przeciwnie, dbał, żeby w barku znajdowało się wszystko co trzeba i gościnnie częstował wszystkich chętnych. A ponieważ miał szczodłą naturę i niewprawne oko, drinki, jakie nalewał, po wielekroć przekraczały zwyczajową miarę. Raz, gdy któremuś z gości Czerwonego Domu policja z East Dereham kazała dmuchać w balonik, okazało się, że zawartość alkoholu w jego organizmie przekracza trzykrotnie dopuszczalną dawkę. Kiedy indziej pewna dama z Norwich, pracownik socjalny, pochorowała się już na schodach. Ralph skomentował obydwie te wydarzenia w sposób następujący: „Mój świętej pamięci wuj James miał słuszną rację. Najlepsza jest całkowita abstynencja. Inaczej tak łatwo stracić nad sobą kontrolę, nieprawdaż?”

Teraz jednak, gdy Anna nalała mu normalną porcję whisky, oszacował ją jako zbyt skąpą. Nie powiedział jednak nic, tylko popatrzył na szklanekę z rodzajem wyrzutu. Po chwili, wciąż kołysząc się na krześle, wykrztusił:

- Emma ma romans z Feliksem Palmerem. Nakryłem ich dzisiaj.

- Na gorącym uczynku? - spytała Anna.

- No... nie. Na gorącej... herbacie, w Holt.

Anna przez chwilę milczała, a potem postawiła retoryczne pytanie:

- Ralph, czy mogłabym ci coś wytłumaczyć?

Usiadła, oparła na wyszorowanym do czysta drewnianym blacie stołu ręce splecione zupełnie jak do modlitwy. Jakby chciała pomodlić się na głos, tylko nie była pewna, w jakiej intencji.

- Musisz chyba pamiętać - zaczęła - że Emma i Feliks Ignęli do siebie, kiedy byli młodzi. Pamiętasz, prawda?

- Tak - odparł Ralph.

Przestał się kołysać, pozwolił swemu krzesłu spokojnie oprzeć się wszystkimi nogami na podłodze.

- Ale to było przecież dawno temu - stwierdził - jeszcze w pięćdziesiątych latach, zanim Emma skończyła studia. Od czasu do czasu przyjeżdżała w rodzinne strony z Londynu na weekend. To było, zanim my wyjechaliśmy za granicę. I zanim Feliks ożenił się z Ginny. Na miłość boską, Anno, czy ty chcesz mi powiedzieć, że to się ciągnie przez wszystkie te lata?

- Właśnie. Rok po roku.

-Więc oni... na przykład... kiedy my wróciliśmy z Afryki?

Anna skinęła głową.

- Właśnie. Widzisz, wszystko trwa już tak wiele lat, że ludzie przestali o tym mówić.

- I ty wiedziałaś? A dlaczego ja nie?

- Trudno pojąć. Pewnie dlatego, że nie zwracasz uwagi na innych ludzi.

- Ale przecież inni ludzie są całym moim życiem! -stwierdził dobitnie Ralph. - Na Boga, wszystko, co robię, dotyczy innych ludzi. Jak mógłbym jeszcze bardziej zwracać na nich uwagę?

- Może nie poświęcasz im tej uwagi w całkiem właściwy sposób? Może jest między tobą a nimi jakaś... hm... przepaść?

- Czegoś nie widzę, powiadasz? Na to wygląda, inaczej nie może być. Będę musiał się nad tym zastanowić, pomyśleć, jakoś to rozgryźć, czymkolwiek by było, prawda? To... Ten brak... Inaczej, rzecz oczywista, musiałbym się przyznać, że... - Pokręcił głową. - Wiesz, co mnie intryguje? Emma mieszka w Foulsham, Feliks w Blakeney, tyle osób zna ją, jego i nas...

- Owszem, znają ich i nas. Ale przecież ci powiedziałam, że ludzie już przestali o tym mówić.

- Tylko dlaczego mnie nikt nic nie powiedział?

- A dlaczego ktoś miałby ci mówić? I w jaki w ogóle sposób zacząć rozmowę na ten temat?

- To czemu ty mi nie powiedziałaś?

- A na co by ci się przydała taka wiedza?

Ralph wciąż kręcił głową. Nie mógł jakoś pogodzić się z faktem, że odkrycie dla niego tak wstrząsające dla wszystkich innych jest czymś oczywistym i banalnym.

- Nie mogę jednak pojąć - nie dawał za wygraną - w jaki sposób w miejscu takim jak to, gdzie mieszkamy, potrafią ciągnąć coś, co tak bardzo rzuca się w oczy, całą tę bieganinę... Rozumiesz mnie, ona przecież nie mogła jeździć do Blakeney, więc raczej on do Foulsham, musiał parkować samochód przed jej domem, nieraz przez całą noc...

Anna uśmiechnęła się.

- No, może nie. - Ralph najwyraźniej uznał, że się zagalopował. - Nie przypuszczam, żeby coś takiego miało miejsce, zgadzasz się ze mną? Myślę, że głównie spotykają się w cukierenkach, że to taki związek... Powinowactwo dusz, jak to się mówi, prawda?

- Przypuszczam, że w znacznej mierze tak. Ale wiesz, ludzie w rodzaju Feliksa i Emmy potrafią wiele ukryć. Tak znakomicie panują nad sobą...

- Żeby nie narazić na szwank własnej reputacji? Faktycznie, to im się świetnie udaje. Czy dzieci wiedzą?

- Kit wie. Chłopcy też, jak przypuszczam, ale nigdy o tym nie wspominali. Prawdopodobnie cała ta sprawa ich ani trochę nie interesuje.

- Co Kit o tym myśli?
 - Wiesz najlepiej, jak bardzo we wszystkim podziwia swą ciotkę.
 - Mam nadzieję, że nie zechce się na niej wzorować. Mój Boże, mam nadzieję, że nie! Takiej sobie urody kobieta, która miota się w nieśmiertelnym tweedowym płaszczu po całej okolicy, żeby wypić herbatę z jakimś starym nudziarzem. Mam nadzieję, że Kit spotka całkiem inny los, że znajdzie się ktoś błyskotliwy i bogaty, kto ofiaruje jej prawdziwe brylanty. Chcę, żeby tak było, żeby spotkało ją w życiu szczęście.
 - Ależ ty jesteś staroświecki! - roześmiała się Anna. - Mówisz o niej tak, jakby była girlaską z rewii. Kit sama sprawi sobie brylanty, jeśli przyjdzie jej na to ochota.
- Anna zerknęła na niewielki pojedynczy kamyczek, jaki połyskiwał od dwudziestu pięciu lat na jej zaręczynowym pierścieniu.
- I jeszcze coś, Ralph - dodała. - Nie powinieneś ubliżać Feliksowi. Przecież go lubisz, zawsze lubiłeś, wszyscy go lubimy.
 - Tak, wiem. Ale teraz wszystko wygląda jakoś inaczej. Odstawił pustą szklanekę na stół. Pomyślał, że oto padł ofiarą nie tylko braku wiedzy, lecz czegoś gorszego - braku samowiedzy. Anna ponownie nalała mu whisky. Nie sięgnął już po szklanekę, więc opróżniła ją sama.
- Julian przysiadł przy kuchennym stole i powiedział:
- Myślałem, że Kit przyjedzie na pogrzeb.
 - Zjawilo się głównie nasze pokolenie - odparła Anna. - Ale wystarczająco licznie. Eldredów była trójka. To moim zdaniem dość.
 - Obfitość budzi przesyt? - stwierdził Julian tonem retorycznego pytania.
- Anna roześmiała się.
- Synu, skądś wytrzasnął taką zgrabną sentencję?
 - Usłyszałem od Kit. Bez żartów: nie sądzisz, że ona po-

winna tu być? Skoro jest ostatnio tak bardzo zaprzyjaźniona z Danielem Palmerem?

Syn Feliksa, architekt, miał mieszkanie w Holt, bezpośrednio nad pracownią i biurem. Okazywał Kit duże zainteresowanie, zapraszał ją to do teatru, to na kolację, to znów na przejażdżkę łodzią, którą trzymał na przystani w Blakeney.

- Wydaje mi się - powiedziała Anna - że Kit traktuje Daniela jak dostarczyciela rozrywek. Pogrzeb nie jest rozrywką.

- Więc skoro nie teraz, to kiedy zjawi się w domu?

- Nie przed Wielkanocą. Za parę tygodni ma egzaminy, przecież wiesz.

- No przecież wiem, wiem! Nie musisz aż tak znacząco podkreślać. Uczelnia. Egzaminy.

- Właśnie. Musimy o tym porozmawiać, Julianie. Tylko może nie dziś.

Anna zerknęła na syna znad parującej filiżanki.

- Co porabiałeś od rana?

- Wziąłem się za paliki do ogrodzenia. Powtykałem od tyłu.

- Z dziewczyną?

Słowa Anny zabrzmiały jakoś dziwnie, ni to rubasznie, ni błazeńsko. Julian odczuł je niczym prowokujący wybryk matki, dziecinadę w rodzaju rozpryskania herbaty na stole albo nabrania ręką cukru z cukiernicy. Odpowiedział jednak spokojnie.

- Sam. Zależało mi, żeby zacząć, póki trzyma się jaka taka pogoda. A co do Sandry: chciałbym, żeby Kit przyjechała możliwie szybko i poznała jej matkę. Niech powie, co o niej sądzi.

„Więc latem Sandra pewnie będzie z nami” - pomyślała Anna. „Julian nie uznaje odkładania niczego na potem”.

W kilka dni po pogrzebie Emma wybrała się do sanktuarium w Walsingham. Właściwie nawet nie wiedziała, dla-

czego - przecież wiary, o ile w ogóle ją jeszcze miała, nie traktowała jako czegoś na pokaz. Lecz kiedy człowiek nie radzi sobie z bólem, rozumowała, może robić rzeczy znacznie gorsze od przyglądania się temu, co w podobnych sytuacjach pomaga czasem innym. Na pogrzebie Feliksa pastor powiedział, że nawet w najgłębszym cierpieniu znana od dzieciństwa modlitwa pomaga wnieść serca w górę i radować się, jak przystało na chrześcijan. Emma, bynajmniej nie przekonana do końca, pomyślała: „Cóż, spróbujmy, czegoś przecież spróbować trzeba. Ginny miała dla odwrócenia uwagi od własnego bólu mnóstwo zajęć związanych z pogrzebem, testamentem i stypą. Miała na głowie panią Gle-aye i jej paszteciki. A ja nie miałam nic. Tylko pustkę wokół siebie. Całkowity brak możliwości działania. Zupełnie, jakby ktoś mi bliski zmarł gdzieś w dalekim kraju. I jakby nikt z moich tutejszych przyjaciół nigdy nawet o nim nie słyszał. Stąd brak jakiegokolwiek współczucia z ich strony. I kompletny brak prawa do niego. Brak ciała. Brak zwłok. A u mnie mimo wszystko straszliwe poczucie braku...”

Okrążyła Fakenham i skierowała się boczną trasą w stronę sanktuarium i morza. Jej samochód był jedynym pojazdem na tej drodze. Jechała przez płaskie pola, wśród których dość gęsto wznosiły się ku niebu wieże, kłując niskie, brzemienne śniegiem i chłodem chmury. Norfolk to kraina kościołów, po części zrujnowanych, o prezbiteriach zarośniętych pokrzywą i nawach opanowanych przez zachłanne krzaki jeżyn i tarniny, po części nadal czynnych, choć również podupadłych.

W Walsingham parking był pusty. Na ulicach nie widziało się turystów ani pielgrzymów, przez co miasteczko robiło wrażenie jeszcze mniejszego niż zwykle. Zupełnie jakby jego zabytkowe kamieniczki z czerwonej cegły lub pruskiego muru na zimę ścieśniły się, przytuliły do siebie mocniej dla lepszej ochrony przed chłodem. Z wystaw sklepików usytuowanych wzdłuż ulicy prowadzącej do anglikańskiego sanktuarium spoglądali gipsowi święci. Na kartonowych repro-

dukacjach złotem połyskiwały aureole. Były pocztówki, modlitwy drukowane fałszywym gotykiem na podrabianych zwojach czerpanego papieru, świece, do wykorzystania także w celach całkowicie świeckich. Były nagrania śpiewu kościelnego. A poza tym miód w kamionkowych słojach, nor-folskie lawendowe mydło w pudełkach, serwetki z napisem „Pamiętka z Walsingham”, ozdobne puszki z herbatnikami, ekspresowa herbata earl grey w niby to wiktoriańskich opakowaniach, masa różnych „staroangielskich” mikstur ziołowych i korzennych, maskotki, plakietki, bibeloty, słowem -wszelkie rekwizyty, jakich obfitości należy się spodziewać w miejscu będącym celem pielgrzymek. Handel szedł jednak marnie. Jediną potencjalną klientką sklepów, jaką Emma zauważyła na ulicy, była kobieta z mopsem na smyczy i koszykiem na zakupy w rękę.

Emma przeszła wzdłuż murów opactwa i skierowała się ku drzwiom kościoła. Wzniesiono go w latach trzydziestych. Budowla, z zewnątrz surowa i po protestancku prosta, kryła w swym wnętrzu wystrój, który ozdobnością zakrawał na katolicyzm. Migotliwe świece, święte dziewice o smutnych oczach i uduchowionych minach, spoglądające ze złoconych ram... „Co by mój ojciec powiedział, ciekawe, co też by powiedział mój ojciec na te wszystkie błyskotki?” - spytała siebie Emma w myślach. I nie odpowiedziawszy na pytanie skonstatowała, że świętej pamięci Matthew Eldred jest dla niej kimś z zamierzchłej przeszłości, kimś bardzo dalekim i niemalże zapomnianym. Całkiem inaczej niż Feliks. Sama jak palec w swoim domu w Foulsham, Emma ciągle nasłuchiwała zgrzytu jego klucza w zamku. Pokręciwszy się chwilę w mrocznej części kościoła najbliżej wejścia, a najdalej od ołtarza, Emma przysiadła w końcu w jednej z ławek ostatniego rzędu. Udzieliła sobie pozwolenia na łzy, ale nie potrafiła się rozpłakać. Podobnie jak jej bratowa Anna, oduczyła się płaczu. Myśl o Feliksie gniotła jej serce wielkim ciężarem. Na zewnątrz kościoła prowadzono jakieś prace budowlane, Emma przez cały czas

słyszała monotony stukot młotków i uporczywy warkot świrdrów. „W naszej rodzinie - pomyślała - wszyscy jesteście wyćwiczeni w panowaniu nad sobą i powściągliwości i nigdy nie ujawniamy tajemnic, choćby były, jak moja historia z Feliksem, tajemnicami poliszynela. Z uporem respektujemy zasadę, że najcenniejsze myśli należy zachować w sekrecie. Ale te nasze sekrety nie podtrzymują nas na duchu. One nas dręczą. Wyniszczają. Całkowicie, do szczytu”.

Na ścianie kościoła od strony wejścia wisiało mnóstwo drewnianych tabliczek z imionami, datami i prośbami bądź podziękowaniami. „Dzięki za zachowanie przy życiu w wypadku samochodowym, 1932”. „Dzięki za pogodzenie się męża i żony po modlitwie w tym kościele, 1934”. „Za zdanie egzaminów, dzięki, 1935”. „Jakimiż to drobnymi sprawami mamy śmiałość absorbować Boga” - pomyślała Emma. „Dzięki za lekką śmierć, wymodloną w tej właśnie świątyni”. Któż odważył się coś takiego napisać? Skąd wziął pewność, że śmierć była lekka? Na niektórych tabliczkach nie było żadnych objaśnień, tylko lakoniczne stwierdzenia: „Dzięki za wysłuchanie modlitwy”. Tu czytający mógł popuścić wodze własnej wyobraźni. Na posadzce przy ścianie z tabliczkami stały wiadra z wodą ze Świętej Studni. Pielgrzymi mogli ją pić do woli, wykorzystując własne naczynia albo sfatygowane plastikowe kubeczki, celowo poustawiane obok wiader, na skraju stołu z modlitewnikami. Wszystkie kubki, wśród których były też jednorazówki z automatów z napojami, a nawet zostawiona przez kogoś zakrętka termosu, miały spękane, wystrzępione brzegi, zupełnie jakby były poobgryzane. „Cóż za niehigieniczne warunki!” - pomyślała Emma i wyszła, trzymając w dłoni zdjęte wcześniej rękawiczki. W kościelnej kruchcie znajdowała się ogromna księga, o podzielonych na kolumny kartach, mocno po brzegach wytłuszczonych. Nagłówek obiecywał: W intencji wszystkich, których imiona zostaną zapisane, będą się odprawiały modły w tej świątyni.

Emma wyjęła z kieszeni pióro, poszukała czystej strony i wpisała datę. Nie umieściła jednak w księdze imienia Feliksa, gdyż była przekonana, że świeżą duchową energię trzeba kierować ku żywym, nie ku zmarłym. Nie umieściła też swojego imienia, bo uważała, że da sobie radę sama, bez modlitewnego wsparcia. Wpisała za to brata i bratową:

Ralph Eldred

Anna Eldred

Niżej umieściła imię i nazwisko bratanicy: Katherine Eldred

Po czym dopisała jeszcze niżej, pozostawiając jedną linię pustą: Julian Eldred Robert Eldred

Rebecca Eldred

Było już prawie ciemno, gdy opuściła kruchnę. Przy uliczce, która biegła pod górę wzdłuż kościelnego muru, nie było chodnika, więc tylko opieka niebios chroniła ją przed przejeżdżającymi samochodami. Wiał wiatr i ciał gęsty deszcz ze śniegiem, ograniczając widoczność kierowcom i tworząc pod nogami przechodniów śliską maź. Kiedy Emma dotarła w końcu do opustoszałej kawiarni i z kubkiem gorącej czekolady w dłoniach usiadła przy stoliku, pomyślała o innym zimnym popołudniu, kiedy to na pięterko cukierenki w Holt nieoczekiwanie wdrapał się po skrzypiących schodach jej brat Ralph...

Gdyby nie zjawiał się tam właśnie wtedy, przymuszony przez chłód, trwałby może do dziś w tej swojej osobliwej, trudnej do zrozumienia ignorancji; w jego mniemaniu staliby po śmierci Feliksa nad jego grobem wyłącznie jako dwójka starych przyjaciół rodziny i Ralph nie zaofiarowałby jej ani trochę więcej współczucia ponad miarę, jaka przysługuje wszystkim równolatkom tych, którzy schodzą ze sceny. „I właściwie - pomyślała - to by mi nawet odpowiadało”.

Przebiegły jej przez głowę słowa pewnego wiersza. Au-den, zidentyfikowała nazwisko autora z satysfakcją, że po-

trafi, mimo że nie jest znawczynią literatury. Wiersz powracał uparcie, nasycony surowym ostrzeżeniem.

W drzwi stuka czyjaś lodowata ręka,
W łóżku ktoś wzdycha, choć nie ma nikogo,
Osierocona filiżanka pęka:

W krainę śmierci otwiera się droga.

W kawiarni, poza Emmą, był tylko jakiś pastor zaczytany w „Daily Telegraph”. Olejowy piec, który miała za plecami, syczał i potrzaskiwał. Emma znów pomyślała o tym, by pozwolić sobie na łzy, obawiała się jednak, że duchowny mógłby odłożyć gazetę i zaofiarować się z jakimś bezsensownym pocieszeniem. Dlatego zamiast płakać zapięła płaszcz i wyszła w mrok i chłód, żeby wsiąść do samochodu i wracać do Foulsham, do domu. Pomyślała: „Już nawet nie wiem, kim jestem bardziej - »dobrą duszą« czy »smutnym przypadkiem«?”

O spójrz, spójrz w lustro, w swe żywe odbicie! Dostrzeżesz rozpacz, lecz jednak zrozumiesz:
Błogosławieństwem pozostaje życie, Choć błogosławić go dzisiaj nie umiesz.

Rozdział 3

Kit śpi, nakryta prześcieradłem i kocem. Gorąco jej. Odwraca się na plecy. Porusza wargami. Co mówi? „Mama, mama, mleko, mleko, mleko”. Przez sen odgarnia dłonią włosy z czoła. Odwraca się jeszcze raz. Prześcieradło, na którym leży, jest zmięte i przepocone. Koc zsuwa się na podłogę.

Kit na przemian zaciska i rozluźnia pięść - pulchną niemowlęcą piąstkę. Wkrótce przyjdzie Felicia w swoim niebieskim szalu i wyciągnie ją spod moskitiery, jak z mgły.

Kit otwiera oczy, dostrzega białą ścianę. Odwraca wzrok, widzi wyfroterowaną podłogę i koc, który spadł, i swoje własne nagie ramię, zwisające z posłania zupełnie tak, jakby to było ramię jakiejś innej osoby. Jest siódma trzydzieści, słotny londyński poranek. Wzmaga się ruch uliczny. W powietrzu wyczuwa się już powiew wiosny.

We śnie Kit była w Afryce.

Powoli siada. Jest sama, ale podciąga wierzchnie prześcieradło, okrywając biust. Jest w swoim przydzielonym na ten semestr pokoju w żeńskim akademiku. Jej mały złoty zegarek tyka sobie na stercie podręczników. Dżinsy i flanelowa koszula w kratę wiszą na krześle. Na zewnątrz, po korytarzu, kręcą się jej współmieszkanki. Biegną do łazienek, powiewając połamami frotowych szlafroków, z włosami rozmaicie poupinanymi albo pozawijanymi w turbany z ręczników. Przystają, żeby zamienić parę słów, głównie na temat centralnego ogrzewania, które praży tak, że człowiek czuje się jak w tropikach i trudno, żeby sobie nie ponarzekał.

Bulgocą spłuczki w ubikacjach. Z sutereny unosi się aromat potraw przyrządzanych na śniadanie: bekon, grzybki. Tosty rumienia się w opiekaczach.

W Norfolk, w Czerwonym Domu, matka Eat, Anna, ma sen o więzieniu. Czuje gołymi nogami szorstkość więziennego koca, dotyka dłonią metalowej ramy więziennego łóżka. Słyszy kobiecy głos, który mówi: „Pułkownik odpowiedział odmownie na pani prośbę o lustro”. Budzi się.

W pokoju jest zimno. Ralph naciągnął koc aż na głowę. Anna siada, opuszkami palców masuje sobie skronie. Delikatnymi, kolistymi ruchami, jakby usuwała nadmiar kremu, usuwa swój sen. Zapomina o nim. Zapominanie jest sztuką, taką samą jak inne. Wymaga poświęcenia i wprawy.

A tymczasem Kit myje się, ubiera i po szerokich schodach zbiega na dół, na śniadanie. Wracając pachnącym pastą do podłogi korytarzem, wyciąga list z przegródki oznaczonej literą E.

Od ojca. Ralph lubi pisać listy, inaczej niż wielu ojców, którzy, jak Kit wie od koleżanek, nigdy nie biorą pióra do ręki. Kit wsuwa list do kieszeni džinsów; przeczyta w przerwie obiadowej, przy jogurcie i bułce z sałatką. Wychodzi na zewnątrz i przez spryskaną mżawką płaszczyznę Russel Square biegnie w stronę Tamizy, do metra, którym pojedzie na wykłady.

Sen o Afryce snuje się w ślad za nią, by nie dać jej spokoju przez cały dzień.

Julian nie musi wstawać rano, śpi więc do wpół do dziewiątej. Widzi jaskrawe, błyszczące litery, które spływają z letniego nieba i układają się w pozbawione sensu wyrazy. Julian miewa ten sen często i od dawna; nie przeraża go teraz już tak bardzo jak kiedyś, ciągle jednak ma w sobie coś frustrującego.

Emma nie śni, ba, nawet nie śpi. Bezsenność męczy ją już od najwcześniejszego świtu. W głębokiej ciszy, jaką

ogarnięta jest wieś o tej porze, Emma bez celu kręci się po swym niedużym domu. Przez odsłonięte okno uliczne latarnie oświetlają medyczne książki, poustawiane w idealnym porządku na półkach, i nie pozmywane naczynia, które zostały na noc w zlewie.

Ralph śni o swoim ojcu.

Sen często przenosi go w tamten czas, w tamto miejsce, do tamtego miasta. Ralph idzie po kocich łbach. Dłoń ma wciśniętą w dłoń dziadka, którego strzelistą postać usiłuje ogarnąć wzrokiem, spoglądając w górę. Wiatr poświstuje wśród ulic, owiewa wysokie kamienne domy i ich jeszcze wyższe kominy. Ralph ma trzy lata. Dziadek bierze go na ręce i osłania od chłodu własnym płaszczem.

- Wiesz, Ralph - mówi - jak byłem młody, urządzaliśmy wyścigi osłów dookoła rynku. A jak mój dziadek był młody, urządziło się pogoń za świnią, a potem fajerwerki i palenie kukły Boneya.

- Biedny Ralph! Nawet nie wie, co to za Boney - odzywa się wujek James.

Ralph odwraca głowę, kręci się, wyciąga szyję. Próbuje spojrzeć ponad ramieniem dziadka na swego ojca, Matthew Eldreda, który idzie o krok z tyłu. Ale okryte wełnianą tkaniną płaszcz ramię zasłania widok. A może nawet nie, może tylko wuj James ustawił się pomiędzy dziadkiem a ojcem? Ojciec jest z nimi, Ralph o tym wie, jednak nie widzi jego twarzy. To najdawniejsze wspomnienie Ralpa: kocie łby, jękliwy poszum wiatru, grube sukno dziadkowego płaszcza drapiące w policzek.

Ród Eldredów przynależał do krainy zwanej Brecklands -piaszczystej, choć otoczonej przez torfowiska i tereny o podłożu kredowym. Jest to kraina rozległych przestrzeni, oznaczonych głazami i porośniętych paprocią, a na obrzeżach poskręcana w fantastyczne kształty jedliną. Kraina kamieniarzy i łowców dzikich królików, a ostatnimi czasy ar-

cheologów i wojskowych. Kraina kopców i kurhanów, antycznych mogił i antycznych traktów, ocienionych przez dęby i wiązy. Rzymianie pozostawili tu swoje monety, szkielety i okruchy terakoty. Armia zbudowała baraki i rozciągnęła zasieki z kolczastego drutu wśród ruin kościołów i zamków. Brecklands to kraina kaplic i zborów, w większości zrujnowanych albo odbudowanych byle jak, przez co wrażenie przemijania wydaje się tu bardziej wyraziste, dręczące i uporczywe niż gdzie indziej. Dachy strawione przez pożary, zwiertzałe mury; wzniesione niegdyś przez człowieka budowle, które ponownie wtapiają się w krajobraz, przeistaczają w przyzmy kamieni porozrzucane wśród pól. Coś, co stało jeszcze wieczorem, do rana może rozsypać się w gruz. Za to z ziemi co i raz można wyorać jakiś skarb. Wpływy człowieka wydają się przelotne, a jego wysiłki błahe. Lato przynosi żar. Zima - błądą i chłodną wilgoć. Niebo jest jasnoszare. Jeżeli przez tę szarość przebija się promienie słońca, są wyraziste, szerokie, lśniące - całkiem jak te, które na ilustracjach w katolickich książkach poświadczają obecność Ducha Świętego. Wszędzie wyczuwa się opary stojących wód, zarośniętych olszą i wierzbina, gdzie brodźce mają swoją ostoję i skąd wzbijają się ku niebu łabędzie. Matthew Eldred, ojciec Ralpha, przyszedł na świat w roku 1890 nieopodal znanego z jarmarków miasta Swaffham, w rodzinie drukarzy i kaznodziejów. Jego dziadek drukował pamflety i traktaty. Jego ojciec - reklamowe ulotki, katalogi licytacji i ceduły giełdowe. Domy Eldredów i domy ich przyjaciół były świątyniami prawomyślności, szkolarskiej erudycji i niedzielnej nudy; wiara miała tutaj charakter czynny, misjonarski i była tyleż zawzięta, co prostoduszna. Nikt nie widział potrzeby wnikania w naturę Boga; drogę ku Niemu miały wyznaczać: wczesne wstawanie, czytanie Biblii i żarliwa, choć w gruncie rzeczy raczej powierzchowna pokora. W praktykowaniu dobroczynności i miłosierdzia Eldredowie byli równie zręczni jak w interesach. Spełniając skwapliwie dobre uczynki wobec bliźnich, zacierali ręce

w oczekiwaniu na Bożą dywidendę, która w dwójnasób zapełni ich i przyjaciół spizarnie. Brat Matthew Eldreda, James, o cztery lata młodszy, został wyświęcony na kapłana kościoła anglikańskiego tuż po zakończeniu pierwszej wielkiej wojny. Prawie zaraz wyjechał jako misjonarz do Afryki i dlatego nie było go w kraju, gdy Matthew brał za żonę szarooką Dorcas Carey, córkę miejscowego kupca branży drzewnej, pannę wyróżniającą się tym, że miała starszą siostrę wydaną za mąż poza granice hrabstwa, do Yorkshire. Trzeba było wielu debat w rodzinie Eldredów, by jej to w końcu wybaczyć.

James pojawił się dopiero w dziesięć lat później - szczupły, radosny, z lekka ogorzały - na chrzcie Ralpa, najstarszego potomka swego brata. Dorcas czuła się trochę zażenowana faktem, że urodziła pierwsze dziecko w dziesięć lat po ślubie, w dwa lata później przyszło jednak jeszcze na świat drugie, tym razem córka. James przebywał cały czas, jak sam mówił, na urlopie, ale nie znaczyło to, że oddawał się beczynności. Na East Endzie w Londynie pracował w schronisku dla alkoholików i wszelkiego autoramentu wyrzutków. Gdy Ralph miał cztery lata, Afryka wciągnęła go znowu. Przesyłał tylko listy, pisane na cienkim bibułkowym papierze, oraz zdjęcia: wizerunki nagich tubylczych dzieci, okrągłych chat krytych strzechą, duchownych i wolontariuszy w przeciwsłonecznych kapeluszach z szerokimi rondami, czarnych katechumenów i katechumenek w białych szatach i białych rękawiczkach.

Ralph do dziś ma te wszystkie fotografie. Przechowuje je w brązowych kopertach. Na odwrocie każdego zdjęcia swym zamaszystym, wyraźnym pismem zanotował, kogo lub co przedstawia (o ile wujek James potrafił sobie przypomnieć). Gdzieś tam są również daty. Wuj długo musiał przyglądać się to jakiejś starej pannie-misjonarce, wysuszonej przez afrykańskie słońce, to znów jakiemuś czarnemu berbeciowi, przyodzianemu tylko w sznur paciorków. „Czy ja wiem, który to rok?” - zastanawiał się głośno. „Może

1930?" Ralph zapisywał datę miękkim ołówkiem, by można było łatwo ją zetrzeć i wpisać nową, gdyby James zmienił zdanie. Ralph po dziś dzień czuje respekt wobec dat. Sprawy minione w żadnym wypadku nie są mu obojętne, odnosi się do nich z szacunkiem. Nieraz myśli, że mógłby kiedyś spisać historię swojej rodziny. Lecz nieodmiennie porzuca tę myśl, bo wie, że musiałby napisać również o tym, co - jego zdaniem - należy przemilczeć.

Ojciec i matka zdają się obserwować go z fotografii w mosiężnych ramkach ustawionej na biurku, gdy pracuje. Matthew Eldred z wiekiem mocno przytył, łańcuszek od zegarka napina się na jego brzuchu. Onieśmielony pozowaniem, ściska palcami klapę marynarki. Dorcas, osiągnąwszy wiek średni, ma twarz tak wątłą i bladą, że prawie przezroczystą; twarz kogoś, kto z pokorą czeka, aż Bóg dokona tego, co najgorsze.

Gdy Ralph miał osiem lat, a jego siostra Emma sześć, Matthew Eldred przeniósł się z rodziną i interesami ze Swaffham do Norwich. Zaczął od drukowania bloczków z kartkami żywnościowymi. I zdołał się wzbogacić, nim doszedł do kresu życia.

Nadeszła wojna.

- Chciałbyś być już taki duży, żeby walczyć? - spytała kiedyś Ralpa Emma.

Zacisnęła dłoń w pięstkę i zaczęła walić nią w sofę w salonie tak mocno, że pięść aż odskakiwała, a z sofy wzbijał się kurz, i matka przyszła z kuchni, i dała Emmie klapsa.

W mniej więcej rok później Ralph i Emma usłyszeli urywki prowadzonej za zamkniętymi drzwiami rozmowy: „Gimnazjum z Yarmouth przeniesiono do Midlands... Wczoraj ewakuowano Lowestoft...” Eldredowie wybrali się na wybrzeże - zdaniem dzieci wycieczka nie miała sensu, skoro nie można było wejść na zaminowaną plażę - i ujrzeli pierwszą falę małych wysiedleńców z Londynu, których na pokładach wycieczkowych statków

i stateczków dowożono do prowincjonalnych nadmorskich miejscowości, by następnie przewozić dalej, w głąb kraju. Dzieciaki nawet w grupie wydawały się zagubione i samotne; każde miało ze sobą maskę przeciwgazową. Emma spojrzała pytająco na Ralpa.

- Czy my też tak... ewaku...acja? - szepnęła. Potrząsnął głową.

- My nie, myślę, że nie. To tylko ci, z wybrzeża...

- Skąd wiesz?

Przyłożył palec do ust, by ją uciszyć. Prawdę mówiąc, nie wiedział. Polegał na przekonaniu, którego, nawiasem mówiąc, nie pozbył się nigdy, także w późniejszych latach, że ich rodzice nie są przecież okrutni; są tylko tacy podstarzali, stateczni, bez fantazji. Ale nie pozwolą na coś takiego.

Kiedy wojna się skończyła, prowadzonych szeptem debat było u Eldredów więcej. Rodzice zastanawiali się, czy nie wziąć na wychowanie jakiegoś osieroconego maleństwa albo starszego dziecka. Za pośrednictwem kościoła dowiedzieli się o wyjątkowo skrzywdzonym przez los chłopcu z Lowestoft, rówieśniku Ralpa: jego ojciec, pracownik gazowni, zginął, gdy bomba spadła na Lorne Park Road, a jego matka straciła życie w wyniku eksplozji pocisku lotniczego w restauracji Wallera.

- Tylko co też ona właściwie robiła w tej restauracji, chciałabym wiedzieć? - zafrasowała się pani Eldred, nie kryjąc sugestii, że chłopak, nim został osierocony, mógł prowadzić tryb życia nie całkiem taki, jak powinien.

Projekt ostatecznie upadł. Niedoszły współtowarzysz zabaw Ralpa zniknął z horyzontu. Ojciec powiedział:

- Jeśli się przyjrzeć dokładnie niedostatkowi na tym świecie i jeśli zastanowić się dobrze, jak bezdenne bywa ludzka lekkomyślność i rozrzutność, dochodzi się tylko do jednego wniosku: dobroczynność, owszem, ale rozsądna i systematyczna.

Z czasem w kraju zakończyło się racjonowanie żywności. Jednak nie u Eldredów. „To nic złego trochę pooszczędzać” - mawiała matka. I jeśli chciało się zjeść coś lepszego, można to było zrobić wyłącznie poza domem.

Kiedy Ralph miał piętnaście lat, pojechał na trochę do ciotki, do Yorkshire. Pobyt miał być rozrywką, w rzeczywistości przypominał jednak raczej coś w rodzaju pokuty. Nie bez powodów wujek James z duchowych wyżyn High Church podśmiewał się z ciasnej religijności i ograniczonych horyzontów wspólnoty anglikańskiej w tamtym hrabstwie.

W domu wujostwa, ciemnym z zewnątrz i ponurym w środku, było przede wszystkim mnóstwo składanych krzesel z siedzeniami wyściełanymi gładką brązową skórą, zupełnie jakby przez cały czas trwano w gotowości do zorganizowania parafialnego zebrania czy zbiorowych modłów. Krzesła w pokoju jadalnym miały wysokie oparcia i były twarde niczym siedziska w poczekalni jakiejś kancelarii czy urzędu. Skąpe posiłki uzupełniano rozwlekłą modlitwą. Oszklone szafki z książkami zamykano na klucz. Poustawiane na kredensie wazony z ciemnego szkła wyglądały jak kielichy pełne krwi.

Kuzynki w miękkich pantoflach przemykały po domu chyłkiem, prawie bezszelestnie. Tykały zegary. Wuj zasiadał za swym biurkiem do podliczania rachunków. Ciotka robiła na drutach. Ta anemiczna kobieta - wypisz, wymaluj odbicie matki Ralpa - która przeważnie milczała zacisnąwszy bezkrwiste wargi, pewnego dnia rzekła nieoczekiwanie:

- Powinieneś wyjść na powietrze, Ralph. Wsiądź w autobus i pojedź nad morze. Świeże powietrze jest potrzebne chłopcu w twoim wieku.

Ralph wyszedł z domu. Wsiadł w pierwszy autobus, jaki mu się nadarzył. Był zwykły, powszedni dzień, nikt inny z pasażerów nie wyglądał na wycieczkowicza. Droga od czasu do czasu zbliżała się do brzegu, nieraz dzieliło ją od nie-

go zaledwie kilka pojedynczych domków. W takich miejscach wyczuwało się obecność morza, nawet jeśli nie było go widać; wyczuwało się skalisty brzeg, zimny wiatr i masę słonej wody, na powierzchni której unosiły się transportowce z węglem i rybackie kutry.

Ralph wysiadł z autobusu. Gdzie, nie miał pojęcia. Zrobiło się pochmurno, na poszarzałym niebie tylko gdzieniegdzie rysowały się szczeliny błękitu. Ralph pozapinał dokładnie płaszcz - gdyby ciotka to widziała, z pewnością by go pochwaliła - a szyję szczelnie okręcił szalikiem, choć na co dzień z uporem tego unikał. Ruszył w dół z nadbrzeżnego wzniesienia. Gdy pokonał mniej więcej jedną czwartą drogi, ujrzał przed sobą zimny przestwór zatoki.

Była pora odpływu. Ralph zauważył w pobliżu pojedynczego" piechura, który szedł ostrożnie po skałach. Trochę dalej, przy samym brzegu, rysowały się jeszcze jakieś postaci. Plecaki, turystyczne buty, głowy opuszczone w dół, wzrok skupiony na piaszczystym podłożu... Ralph również zaczął spoglądać pod nogi, wybierać sobie drogę wśród naniesionych przez przyływ wodorostów i wypełniających liczne zagłębienia kałuż słonej wody.

Przeszedł jakieś dwadzieścia jardów. Odgłos coraz bliższego oceanu był tego dnia stłumiony, stonowany, dawał się określić raczej jako szelest niż łoskot. Ralph schylił się i wygrzebał z piasku coś, co uznał w pierwszej chwili za kamień. Już za moment zorientował się jednak, że to nie kamień, ale skamielina. Opanowało go uczucie uniesienia, radości tak niezwyklej, że aż trudnej do odróżnienia od strachu. Skamielina! Miał ją w dłoni: karbowaną, szarzieloną, szklistą, wilgotną... Dość sporą, dwa na półtora cala.

Stał bez ruchu, oglądając swe znalezisko ze wszystkich stron. Spostrzegł, że skamielina kształtem przypomina muszlę, ma pośrodku delikatne zagłębienie, a pod warstwą oblepiającego ją mułu i piasku jest idealnie gładka. Rozejrzał się po plaży. Melancholijne, szarpane wiatrem postaci innych spacerowiczów zbliżały się w jego stronę. Wkrótce

ludzie ci osiągnęli już dystans głosu, a za moment otoczyli go bezpośrednio.

Była wśród nich kobieta o spiczastym, zaczerwienionym od chłodu nosie, sterczącym ponad szalem, zamotanym wysoko wokół szyi i twarzy. Wbiła wzrok w skamielinę, którą Ralph trzymał w otwartej dłoni; po chwili, pomagając sobie zębami, zaczęła ściągać rękawiczki. Ralph podał jej swój skarb. Obracała go w palcach, gładziła w skupieniu powierzchnię i brzegi. Uniosła znalezisko do ust, musnęła językiem.

- Gryphaea - stwierdziła. - Nie rozpoznałeś?

Ralph potrząsnął głową. Stojąc przed tą kobietą poczuł się nagle ciemny jak tabaka w rogu.

- To taki mięczak, wiesz? Małż, jak ostryga.

-Aha... - Ralph był trochę rozczarowany, ostryga, to w końcu nic niezwykłego.

- Ma sto pięćdziesiąt milionów lat - rzekła kobieta. Spojrzał na nią półprzymtomnym ze zdziwienia wzrokiem.

- No, tak - wyjaśniła - bo to nie jest współczesna ostryga, tylko praprzodek dzisiejszych ostryg. Rozumiesz?

Kiwnął głową.

- Ten małż żył sobie tutaj, kiedy to morze było jeszcze ciepłe. Ciepłe morze, potrafisz sobie wyobrazić? Miał okryte muszlą delikatne ciało z sercem, naczyniami krwionośnymi, skrzelami i tak dalej. Gdy zakończył żywot, miękkie części ciała uległy rozkładowi, a muszlę wypełnił piasek. Potem ziarenka piasku zestaliły się i przekształciły w kamień.

Wokół Ralpa i jego rozmówcy utworzył się krąg z ludzi, para przyspieszonych oddechów kłębiła się w powietrzu, wszystkie oczy wpatrywały się w skamielinę z taką pożądlivością, jakby to był jakiś klejnot.

-Morze cofnęło się - rzekł mężczyzna w kapeluszu, o twarzy, która osiągnęła na zimnie czerwień plastra świeżej szynki. - To znaczy, chciałem powiedzieć, miejsce, gdzie kiedyś była woda, stało się lądem. A teraz morze znów pożera ląd, na całym tutejszym wybrzeżu - wykonał zamaszty

ruch ręką, wskazując na zatokę. - Będziesz miał okazję to obserwować, chłopcze, przez całe życie.

Mężczyzna w zielonej czapce-kominiarce z demobilu dodał:

- Służyłem w wojsku z jednym gościem z Suffolk. Jego dziadek miał kiedyś skrawek ziemi, nieduże gospodarstwo. A teraz tam jest morze. Brzeg się zarwał, do wody runął kościół. I cmentarz, wypłukało wszystkie kości.

- Jak widzisz, mój drogi - odezwała się znowu kobieta - zatrzymałeś to skamieniałe stworzonko w jego powrotnej drodze do morza, skąd niegdyś wyszło.

- A kiedy było żywe...

- Tak?

- ... to co jadło?

- Przyczepiało się do morskiego dna i zasysało wodę. Czerpało z niej pożywienie, wiesz, odcedzało sobie różne drobne żyjątka. Miało żołądek, nerki, jelita, wszystko, co masz i ty.

- Umiało myśleć?

- No cóż, a czy dzisiejsze ostrygi to stworzenia myślące, jak ci się zdaje? I o czymże miałyby myśleć taka ostryga?

Ralph zaczerwienił się ze wstydu. Głupio wyskoczył z tym pytaniem. Właściwie chciał powiedzieć coś innego: „Jest pani pewna, że to kiedyś było żywe? Mogłaby pani przysiąc?”

- Czy to rzadkość? - zapytał.

- Fragmenty znaleźć nie tak trudno. Wiesz, z uszkodzonych, popekanych okazów. Ale coś takiego, jak to...

Kobieta, która wciąż jeszcze trzymała znalezisko, zacisnęła dłoń, kryjąc je na chwilę. Potem położyła skamielinę na wyciągniętej ręce Ralpa, a sama zaczęła nerwowymi ruchami zakładać rękawiczki.

Widać było po niej wyraźnie, jak bardzo chciałyby mieć kompletny okaz skamieniałego małża; gdyby Ralph również, pod wpływem tego, co usłyszał, nie zapragnął go zachować, może nawet oddałby jej swój skarb.

- Przychodzę tu od dzieciństwa, a nigdy czegoś tak wspaniałego nie znalazłem - powiedział facet w kapeluszu. -Drobne ramienionogi wielkości dwupensówki to wszystko, co mi się trafiało. Czasami myślę, że jak się szuka zbyt uważnie, to w końcu nic się nie widzi.

- Żółtodziób miał szczęście - mruknął ten w kominiarce. -A wiesz ty chociaż, chłopcze, jak tutejsi ludzie mówią na to coś? - Wskazał okrytym wełną rękawiczki palcem na przedmiot, którego sam również w nie dający się ukryć sposób pożądał. - Diabelski pazur. Dlaczego, przekonasz się w swoim czasie - zachichotał.

Ralph spojrział na skamielinę. Prawie że miał ochotę ją wyrzucić. To coś było masywne, prążkowane, wygięte, miało złowieszczy, trochę zielonkawy połysk. Rzeczywiście, można by tak sobie wyobrazić pazur diabła, z dużego palca u diabelskiej nogi...

Przez całą drogę powrotną autobusem do domu wujostwa Ralph po prostu zmuszał się, żeby znaleziony przedmiot nadal trzymać w ręku. Zmuszał się przez całą drogę? Raczej raz tak, a raz nie, na przemian ogarniały go fascynacja i wstręt, to go coś przyciągało do znaleziska, to znowu odpychało. Natomiast bez wątpienia przez całą drogę dziwił się niepomierne, jak mógł natrafić na tak cenną skamielinę w ogóle jej nie szukając.

Wrócił przemarznięty, z uczuciem lekkich mdłości. Mimo to uśmiechnął się do kuzynki, która otworzyła mu drzwi i udzieliła dobrej rady, żeby poszedł prosto do łazienki i umył porządnie ręce.

- Udała się wycieczka? - zapytała ciotka.

Ralph w odpowiedzi po prostu mruknął - tyle że grzecznym tonem - coś, co mogło znaczyć wszystko i nic. Tykanie zegara w salonie jadalnym było takie uporczywe, męczące. Ralph miał wrażenie, że ów utrapiony czasomierz, zagrzebany w ziemi, mógłby tak tykać i przez sto pięćdziesiąt milionów lat. Usiadł na jednym z obitych skórą krzeseł. Zaczął się zastanawiać, jakie było zwierzę, które nosiło kiedyś tę

skórę na grzbiecie. Jaką miało sierść? Jaką krew w żyłach przebiegających pod skórą? Ciotka mruknęła coś o niestarannym nakryciu stołu i zaczęła poprawiać ułożenie sztućców przy każdym talerzu. Podano wędzoną rybę, cieniutko pokrojony chleb i masło. Z ryby sączył się na talerz bezbarwny sok. Ralph zjadł jedno dzwonko i odłożył widelec. Ciotka spytała:

- Nie masz apetytu?

Nie odpowiedział, tylko pomyślał o kościach wyplukanych z cmentarza przez słoną falę przypływu i rozrzuconych w morskim przestworze, o Gryphaei zasysającej z morza swój pokarm, o przemijających setkach, tysiącach i milionach lat i o diable, który kręci się wszędzie przez całą wieczność.

Szatana wyobrażał sobie jako kogoś w rodzaju groźnego belfra; to był wpływ matki, która często mawiała: „Bezczynnym ręką sam diabeł zadaje robotę”.

Diabelski pazur spoczywał na górze, zamknięty w walizce.

Kiedy Ralph wrócił z Yorkshire, zagrali któregoś dnia z Emmą w swoją biblijną grę. Grali w nią zawsze, gdy chcieli podjąć jakąś decyzję. Tym razem Emma powiedziała:

- Chcę się zdecydować, czy jak dorosnę, zostanę prawnikiem lub lekarzem czy tylko zwykłą kura domową jak mama?

Trzeba było wybrać na ślepo jakiś werset i z niego wysnuć przepowiednię. Ma się rozumieć nie przez dosłowne odczytanie - tekst wymagał odpowiedniej interpretacji, uruchomienia wyobraźni.

- Weźmy na przykład... to! - rzekła Emma, wskazując jeden z wersów księgi. - „Umywalnią z podstawkiem jej, wszystko olejkami pomazania poświęcisz, aby były święte świętych”.* Bardzo pomocna wskazówka, jestem tego pewna...

. * Exodus 40:11, przekład księdza Jakuba Wujka.

Zacząła wyśpiewywać hymn na kościelną melodię, ale własnymi słowami: „Jak po wariacku Twoje imię, Jezu, brzmi...”

Ralph wyjął skamielinę z kieszeni marynarki.

- Popatrz - powiedział - oto jest pazur diabła. Emma aż się zachłysnęła z przerażenia.
- Nie mów tak, Ralph! Co to naprawdę jest? Wyjaśnił. Jej twarz z miejsca się rozjaśniła.
- Pokaż!

Położył skamieniałą muszlę na wyciągniętej dłoni siostry.

- Mogę to wziąć do szkoły i postraszyć dziewczyny?
- Nie, w żadnym wypadku. To jest cenne. I to jest moje.
- A ja jestem ateistką! - oznajmiła Emma.
- Ciekawe, jeszcze przed chwilą nią nie byłeś, prawda? Na półkach mieli trochę książek- Starą, rozsypującą się:

„Chrześcijański sekret szczęśliwego żywota”. Przeżartą przez kurz, poszarzałą: „Chrystus jest wszystkim”, H. C. G. Moule, Londyn 1892. Zbutwiałą, stęchłą: F. R. Havergal, 1880: „Czegóż trzeba przestrzegać, a czego się strzec”. Spłó-wiałą, pociętą przez robactwo: „Hymny wiary i nadziei”. I jeszcze „Skarbczyk fragmentów”, R. M. McCheyne, wydany w Aberdeen, bez daty, z nie rozciętymi kartkami.

W⁷ rok później Ralph znowu wybrał się do Yorkshire. Zaskoczył tym swoją rodzinę i sprawił pewną satysfakcję wujostwu; uznali go za spokojnego chłopca i radowali się, że wśród krewniaków jest ktoś, kto polubił ich dom. Prawdę mówiąc, Ralph spędzał w tym domu raczej niewiele czasu. Całymi dniami wędrował po plażach albo przesiadywał w miejskim muzeum. Dokonywał na swój użytek odkryć, o których nie rozmawiał nigdy z nikim z bliskich, a tylko z jednym ze swoich nauczycieli. To on właśnie zachęcał Ralpha do pracy i poszukiwań, dodawał otuchy. W przyszłości zaś mógłby zapewne stanąć po jego stronie w sporze o... przyszłość właśnie, gdyby tylko Ralph się do niego zwrócił.

Ralph oddawał się swoim studiom samotnie, po lekcjach; zamawiał specjalistyczne książki, za które płacił z kieszonkowego, ślęczał nad geologicznymi mapami, wędrował po polach, wzgórzach i nadbrzeżnych ścieżkach, penetrował rowy i wykopy. Kiedy czuł się zmęczony i zniechęcony albo natrafiał na coś, czego nie mógł zrozumieć, nieodmiennie myślał o kobiecie z plaży w Yorkshire, która czubeczką języka starała się wyczuć smak skamieliny, smak okrywającego ją piasku i mułu, jej chłód i wiek...

Musiał opanować do perfekcji sztukę, która polegała na tym, by patrząc na dowolny krajobraz widzieć go bez tego wszystkiego, co wprowadził w wyniku swojej działalności człowiek. Anglia zmieniała się wtedy radykalnie w oczach młodego geologa. Umykały w odległą przyszłość stada owiec, pastwiska i torfiaste moczary porastał las. Gdzie inni dostrzegali wyłącznie malowniczy pejzaż, Ralph widział szlak wędrowki lodowca; odnajdywał pustynię tam, gdzie dla innych zieleniły się zagajniki i srebrzyły strumienie. Siłą swej wyobraźni umiał sprawić, że wszystkie wspaniałości Europy kryły się w wodach ciepłego, czystego i płytkiego morza.

Dzisiaj kolekcja skamielin, zapakowana w kartonowe pudełka, spoczywa na strychu. Rebecca, najmłodsza córka, miała za jej przyczyną nocne koszmary w wieku pięciu czy sześciu lat. Ralph wyrzucał sobie wtedy, że nie objaśnił dziecku zawczasu całej sprawy we właściwy sposób. Kit powiedziała małej, że są to skamieniałe zwierzęta, żyjątka, prymitywne stwory, które kiedyś pływały lub pełzały. I we śnie dziecka zaczynały pływać i pełzać ponownie; zasysały wodę, oddychały, sapały tuż za drzwiami sypialni...

W latach chłopięcych Ralph przechowywał znaleziska w swoim pokoju. Były porozkładane na biblioteczce i na kamiennej półce nad kominkiem. Z Norfolk pochodziło niewiele okazów. Ralph przeczesywał wprawdzie skrupulatnie plaże w Weymouth i w Cromer w poszukiwaniu amonitów i jeżowców, nie miał jednak szczęścia; chcąc wydatnie po-

większy zbiorów musiał czekać do lata i wędrować w dalsze strony, do składanych krzesel. Znosił wszystko: kazania wuja, fortepianowe wprawki kuzynek...

W domu matka odkurzała kolekcję dwa razy w tygodniu, ale nie bardzo orientowała się w jej zawartości. „Ralph się czymś takim interesuje” - wyjaśniała, jeśli ktoś obcy ją pytał. „Kamienie, stare skorupy, takie tam rupiecie, potłuczone, pokruszone, zwozi to wszystko z wakacji”. Geologia i archeologia były dla niej zupełnie pustymi pojęciami. „Ralph to taki kolekcjoner” - mawiała. „Lubi wszystko, co stare. Emma odwrotnie, woli to, co nowe, taka z niej nowoczesna panienska”.

Kiedyś Emma odezwała się do brata:

- Ralph, jak możesz mówić tak bez zakłopotania o pięciuset milionach lat? Większość ludzi ma problemy już ze zwykłym... no... jednorocznym kalendarzem. Na przykład Boże Narodzenie. Zawsze w grudniu wpędza ludzi w panikę, jakby nadchodziło bez uprzedzenia. Chyba tylko ktoś wyjątkowy mógłby sobie wyobrazić Boże Narodzenie w lipcu...

Na to Ralph:

- Jedyne, co musisz zrobić, to wyobrazić sobie, że wędrujesz przez czas. Żeby dojść, żeby się cofnąć do źródeł czasu, powinnaś iść bardzo daleko, na przykład obejść świat dookoła czterdzieści sześć razy. Załóżmy, że chcesz się cofnąć bliżej, do ostatniej epoki lodowcowej. To byłoby niedaleko, jak wycieczka przez kanał. Z Londynu do Paryża.

- Nie chodzi mi o żaden Paryż! - obruszyła się Emma. - Myślisz, że moje pytanie było bez sensu?

- Jeśli wolisz epokę dinozaurów, obejdź świat dookoła jeden raz.

- Nie umiem - stwierdziła Emma. - Czuję się zamknięta w tym, co dzieje się tutaj i teraz.

Zaczęła skręcać w dłoniach i skubać jeden ze swych warkoczy, w końcu usiadła i rozplotła go, i przeczesała palcami gęste, brązowe włosy. W owym czasie często przeglądała się

ukradkiem w lustrze. „Gąski przemieniają się w łabędzie” - mawiała matka; miała dobre intencje, ale głosiła teorię pozbawioną uzasadnienia.

Przed oczyma Ralpa, w wyobraźni, rozwijał się fryz ilustrujący tok ewolucji. Każda forma życia miała tutaj swój czas i swoje miejsce: ślimaki i liliowce, pływające skorpiony i ryby dwudyszne, korale i drzewiaste paprocie. Rekiny i drapieżne gady, jeżowce i brontozaury, pterodaktyle i magnolie, małże i ostrygi. Gigantyczny nietotny ptak, opos na drzewie, słoń w bagnie; wszystko było poukładane w głowie Ralpa tak przejrzyście i precyzyjnie, jak w dziecięcej książce z obrazkami albo na szkolnym wykresie. Szablasto-zębny tygrys, praprzodek konia wysoki na trzy stopy, irlandzki łoś, włochaty mamut. A potem człowiek: pochylony, owłosiony, o niskim czole. Dzieje sukcesu.

W wieku lat siedemnastu Ralph przybrał męską posturę, chociaż nie taką z uproszczonych, podręcznikowych schematów. Był wysoki, silny, miał jasną cerę i świetliste oczy jak bohaterowie ckliwych romansów. Czasami na ulicy kobiety zerknęły na niego z zainteresowaniem i z rodzajem współczucia, jakby się obawiały, że inne kobiety mogą go wykorzystać.

W tamtych, powojennych latach Ralph sporo wędrował po Brecklands. Przeprowadzał rower wąskimi przejściami pośród betonowych stanowisk dla dział i koleinami wrytymi przez ciężkie wojskowe pojazdy. Oznaki zwycięstwa, jakie widywał, bywały rozmaite: powalone ogrodzenia, pościanane sady, zniszczone szpalery drzew. Bramy smętnie poskrzypywały na zawiasach, ponadrywane plakaty trzepotały na wietrze. Żelazne budki wartownicze, pozbawione z reguły drzwi, rdzewiały. Robotnicy z farm rozbijali się tu i tam sfatygowanymi jeepami z demobilu. Wśród sosen gniły sterty odpadków. Tylko wiatr wydawał taki sam jak niegdyś cichy poświst wśród suchych konarów. Dwubarwne pnie brzoź były takie same i ich wiotkie gałęzie. I kępy traw. I czaple wlatujące ponad uroczyska.

Ministerstwo Obrony nie zamierzało rezygnować ze swej władzy nad tym obszarem. Dzielili go na części poustawiane w myśl odpowiednich dyspozycji ogrodzenia, strzegły tablice zakazujące wstępu i zmotoryzowane patrole, przed którymi Ralph musiał się kryć ze swym rowerem w wysokiej trawie. Pewnego razu przy takiej okazji dostrzegł na ziemi coś, co z miejsca przyciągnęło jego uwagę: kamienny grot strzały. Podniósł go, obejrzał ze wszystkich stron obracając w dłoni, schował do kieszeni. Doskonale pamiętał moment, gdy znalazł swoją pierwszą skamielinę. Teraz miał nowy sekret, wygrzebany z głębi ziemi niczym z grobowca, znak ludzkiego życia. Nie musiał oddawać swego znaleziska do muzeum, takie okazy były wystarczająco pospolite. Wziął grot do domu i umieścił na parapecie kominka, z zamiarem zaprezentowania wujkowi Jamesowi, gdy znów pojawi się w Anglii. „O, strzała z kamienia!” - powiedziała matka przy odkurzaniu i uśmiechnęła się. „Widzę, że lubisz tę starą krainę, Ralph” - rzekł kiedyś ojciec. Myśl o tym bynajmniej mu nie wadziła, również czuł się z tym miejscem na ziemi związany, miał przyjaciół w całej okolicy, ludzi interesu o filantropijnych i społecznikowskich inklinacjach, związanych z kościołem. Był akurat czas zbiorowej sekciarskiej hysterii, czas nagłych nawróceń i zbiorowych kąpiei w rzekach, które nazywano chrztem. Amerykańscy kaznodzieje zaczęli głosić w Anglii prawdy prostej, by nie rzecz prostackiej, wiary swoich współziomków i w zubożałych, przemarzniętych miastach znajdowali chętnych słuchaczy. „Zwyczajna chrzcielnicza wystarczy, więcej nie trzeba” - mawiał Matthew. Nie znosił jakiegokolwiek ostentacji: katolickiej, ewangelickiej - żadnej. Także ostentacji w sferze uczuć. Zwyczajna dusza wystarczy, więcej nie trzeba. Emma oznajmiła, że chce zostać lekarzem. Ojciec rzekł na to: - Zostań, jeśli chcesz.

Ralph miał wrażenie, że siostrze pozwala się w domu na wszystko. Była dziewczyną stanowczą, władczą, miała zdecydowane poglądy, które głosiła w zdecydowany sposób. Kiedy zderzały się z poglądami rodziców, widzieli w tym objaw przekory, niedoskonałości charakteru córki. I starali się korygować charakter, nie wydawało się im natomiast rzeczą wartą zachodu korygowanie poglądów. Przecież Emma to dziewczyna, w przyszłości kobieta, a jaki kobiece poglądy mogą mieć wpływ na sprawy tego świata? Żaden, ma się rozumieć. Poglądy Emmy mogą być szkodliwe dla niej samej, wówczas musiałaby je zmienić, ale z całą pewnością nie są w stanie przynieść uszczerbku porządkowi społecznemu.

Tak chyba rodzice rozumowali, w każdym razie Ralph był przeświadczony, że tak właśnie rozumują. Bo kiedy przyszło do rozważenia jego poglądów, jego pragnień, sprawy przybrały zupełnie inny obrót.

- A więc nie chcesz wejść do interesu, Ralphie...

W taki oto sposób, z flanki, nie wprost, ojciec rozpoczął batalię. Jakby chodziło o drobną tylko sprawę: niespełnienie rodzinnych oczekiwań. Można powiedzieć, rozpoczął bitwę bez frontalnego ataku i tylko wydzielonymi siłami. Jednak bardzo szybko rzucił do boju odwody i ciężką artylerię. Sprawa przestała być sprawą rodzinną. Nabrała uniwersalnego charakteru. W grę weszły kwestie szersze, niż Ralph mógł się w ogóle spodziewać.

Na początku ojciec stwierdził:

-Ralph, nigdy mi nie sprawiałeś jakichkolwiek kłopotów. Myślałem, że wyznajesz wiarę, w jakiej zostałeś wychowany.

- Wyznaję - przyświadczył Ralph.

- Ale teraz obracasz się przeciwko tej wierze. -Nie.

- Ależ tak, Ralph. My wierzymy, że świat został stworzony przez Boga, tak, jak jest zapisane w Biblii. Ja w to wierzę. Twoja matka w to wierzy.

- A wujek James nie.
 - Wujka Jamesa tu nie ma - ojciec przypomniał stanowczym tonem niezaprzeczalny fakt; James był właśnie w Zan-zibarze.
 - Wierzę w Biblię, ale to, co podaje, odczytuję w przenośni - rzekł Ralph. - Poza tym wierzę też w ewolucję.
 - W takim razie masz w głowie mętlik, młody człowieku
 - stwierdził ojciec. - Jak można dzielić dwa sprzeczne ze sobą poglądy?
 - Ależ one wcale nie są sprzeczne! Tato, większość ludzi zrozumiała to już na przełomie wieków. Nikt dziś nie myśli tak jak ty. Nikt nie uważa, że Bóg stoi po jednej stronie, a Darwin po drugiej.
 - W młodości - odezwał się Matthew - wysłuchałem pewnego wykładu. Wygłaszał go profesor, wybitny uczyony, nie jakiś niedowarzony mędrak. I ten profesor powiedział: „Czym jest darwinizm? Otóż zapewniam - darwinizm jest ateizmem!" Na zawsze zapamiętałem sobie te słowa. I nigdy w życiu nie zetknąłem się z czymś, co by zachwiało moim przeświadczeniem, że są słuszne.
 - Bo wcale nie zastanawiałeś się nad tym, tato. Gdybyś rzecz przemyślał, rozważył, choćby teraz, na pewno uzmysłowiłbyś sobie pomyłkę tego profesora - mówił Ralph czując, że coś nim wstrząsa. - I swoją pomyłkę! Jaki jest sens ciągle tylko powtarzać to, co ci wmówiono, gdy byłeś młodym chłopcem? Można być ewolucjonistą, darwinowskim czy jakimkolwiek innym, i nadal wierzyć, że wszystko istnieje zgodnie z intencją Boga. Nie warto nad tą kwestią debatować, została przedyskutowana dawno temu, wnioski są uzgodnione i powszechnie przyjęte. Nikt się już dzisiaj nad nimi nie zastanawia.
 - Moje najgłębsze przekonania, synu - rzekł na to ojciec
 - nigdy nie poddawały się kaprysom mody.
- Nastąpiły dni wojny. Ciche dni. Ralph nie mógł jeść, jedzenie więzło mu w suchym gardle, miał wrażenie że prze-

łknąć bodaj kęs to dokładnie to samo, co przełknąć kamień. Nie cierpiał kłótni. Nie znosił też milczenia. Takiego milczenia, ciszy, w której powietrze robi się na tyle gęste, że prawie zaczyna iskrzyć.

Matthew nie ustępował, matka również napierała na syna. Można powiedzieć, że wzięli go w krzyżowy ogień.

-Więc zamierzasz wykorzystać dowód wyprowadzony z kilku kości i muszli - o ile to w ogóle można nazwać dowodem - żeby się przeciwstawić słowu bożemu?

- Tato, już mówiłem, że tu się niczemu przeciwstawiać nie trzeba.

- A moim zdaniem trzeba. I trzeba wybrać: albo - albo.

- Tato, z tobą nie można dyskutować...

-No jasne! - drwił Matthew. - Bo nie jestem naukowcem, prawda? Bo mam takie wsteczne poglądy, że może w ogóle nie warto się zniżać do rozmowy ze mną? Zniżać się do przebywania pod moim dachem? Na miłość boską, spójrz wokół siebie, chłopcze. Spójrz na ten majstersztyk, który zwiemy światem. Czy mógłby nim rządzić jakiś bezrozumny mechanizm? Ślepy przypadek? Czy uważasz, że me mamy żadnych szans?

- Tato, uspokój się, proszę! - Ralph usiłował zaczerpnąć głębszy oddech, jednak haust powietrza uwiązał mu już w połowie drogi do płuc. - To nie ma sensu, wymachiwać przede mną rękami i krzyżeć: „Spójrz na boskie arcydzieło!” Nie musisz na siłę wciskać mi tego do gardła: cudów w naturze, cudów w zamyśle wszechświata. Wiem o nich, wiem nawet więcej, pozwól sobie powiedzieć, niż ty. („Więcej niż ty - dodał już w myślach - który przeżyłeś życie ze wzrokiem wlepionym w czubki własnych nienagannie wypastowanych butów”). Jeśli ja wierzę w Boga, to wierzę z wyboru. Wiara nie potrzebuje dowodów. Ale nie można też do niej zmusić.

- Powiadasz, z wyboru? - Matthew był zbulwersowany. - „Wierzę z wyboru”. Gdzieś ty to wyczytał?

- Nigdzie. Sam wymyśliłem.

- Z wyboru można uwierzyć we wszystko, w każde głupstwo, nawet w to, że księżyc jest zrobiony z zielonego sera Czy me ma żadnej prawdy, którą byś po prostu uznawał za oczywistą, daną ci z góry?

- Nie wiem - odparł cicho Ralph. - W kościele mówi się nam, że prawdą jest to, co objawia Bóg, i że nie da się znaleźć prawdy przez jej poszukiwanie. To znaczy, przynajmniej mam wrażenie, że tak się nam mówi. Nie wdając się w zbędne szczegóły: ja po prostu nie potrafię przez całe życie trwać w pogotowiu, czekać na objawienie. Skoro dano mi zdolność rozumowania, to chyba wolno mi ją wykorzystać do poszukiwania prawdy tam, gdzie chcę, jeśli w ogóle chcę.

- Ty mnie zabijasz, Ralph - uciał dyskusję ojciec. - Zabijasz mnie swą pychą i egoizmem! Któregoś dnia matka wzięła syna na stronę.

- Robisz ogromną przykrość ojcu - powiedziała. - Nie Pamiętam, żeby był kiedyś bardziej przygnębiony. Wszystko, co dotąd robił, robił dla ciebie. A teraz może nie dać ci nic, jeśli to zrobisz, jeśli się będziesz upierał, że to właśnie ma być twoją przyszłością. Nie mogłabym wtedy spojrzeć w oczy naszym przyjacielom. Przecież oni by powiedzieli że nie wychowaliśmy cię tak, jak należy.

- Mamo - odezwał się Ralph - przecież wszystko, co chcę zrobić, to tylko pójść na uniwersytet. Studiować geologię Tylko tyle, nic więcej. Nie miałem zamiaru robić nikomu przykrości. To ostatnia rzecz, jaka mogła przyjść mi na myśli.

- Wiem, że masz swoje ambicje - rzekła Dorcas, wzdychając w tak deprymujący sposób, jak tylko matki potrafią. - Ale me dla zabawy zostałeś obdarzony zdolnościami, Ralph. Te zdolności ci dano, żebyś je mógł wykorzystać z pożytkiem dla naszej chrześcijańskiej wspólnoty.

- Wiem. Zgoda. Wykorzystam je.

- Ogłuchłeś na głos serca - powiedziała matka. Zdziwienie okazało się tak wielkie, że stłumiło wszelkie inne odczucia. Ralph był całkowicie zbity z tropu

- Ja? Ogłuchłem na głos serca?

- Rozmawiałeś z ojcem wyłącznie z pozycji rozumu - wyjaśniła. - Kiedyś pojmiesz, że są sprawy, w których rozum zawodzi.

- Mamo, przestań już - rzekł Ralph. - Zostaw mnie w spokoju.

Przestała. Zesznurowała usta tak, jakby jadła cierpkie śliwki. „Gdyby James był tutaj, wszystko wyglądałoby inaczej” - pomyślał Ralph. Miał chęć płakać za nieobecnym wujem jak małe dziecko.

Wierzył, że James porozmawiałby z nimi. Że wykpiłby te ich obawy, skrupuły i zabobony. Że uzmysłowiłby im, które mamy stulecie. Powtarzał sobie: „James nie jest do nich podobny, widać to z jego listów; James jest tolerancyjny, wykształcony, potrafi wiele zrozumieć”. Czuł się całkowicie przegrany, powalony na ziemię. Sponiewierali wszystko, w co wierzył, w co pragnął wierzyć. Ojciec - szyderczym spojrzeniem. Matka - zesznurowanymi ustami.

Dlaczego nie odwołał się do opinii nauczyciela, który zachęcał go do studiów? Dlaczego nie poprosił o wstawiennictwo dyrektora szkoły, który znał go jako inteligentnego, poważnego i rozmiłowanego w nauce chłopca? Dlaczego nie zwrócił się do kogoś innego z dorosłych, aby przemówił za nim albo przynajmniej wystąpił w sporze jako arbiter i sprawdził, czy ojciec gra fair?

Bo wstydził się ojcowskiej głupoty. Bo wstydził się przedmiotu kłótni. Bo nigdy nie prosi się o interwencję w rodzinnych sporach nikogo z zewnątrz: są zbyt złożone i zbyt specyficzne, by nie powiedzieć - intymne. Bo, wreszcie, rozsądne rozwiązania zwykle przychodzą na myśl dopiero wtedy, gdy jest o wiele za późno, żeby z nich skorzystać.

- Ralph - mówił ojciec - dajże sobą pokierować! Jesteś przecież tylko chłopcem. Nie chcesz tego słuchać, wiem, uważasz się za wielce dorosłego i mądrego. Ale zgódź się dziś ze mną, Ralphie, a kiedyś mi za to podziękujesz. Przekonasz się, że tak będzie.

Ralph doznawał wrażenia, że cały ten spór to jakby rodzaj pułapki, w którą został schwytyany. Są rzeczy, które synowie od wieków powtarzają ojcom. Są rzeczy, które ojcowie od wieków powtarzają synom. Uświadomienie sobie tego wcale mu jednak nie pomogło. Ani przeświadczenie ze ojciec zachowuje się jak wiktoriański patriarcha w karykaturze. Eldredowie zawsze byli ludźmi starej daty, zacofanymi; rodzaj kalectwa, z którego rozmiarów Ralph nie zdawał sobie dotąd sprawy, ba, którego w ogóle nie dostrzegał! Jak mógł dostrzec, skoro wszyscy przyjaciele rodziny byli podobni, a on obracał się wyłącznie w ich kręgu? Byli to praktykujący anglikanie, słabo, czytani, niechętni do jakichkolwiek podróży. Z zasady siedzieli w domu i pielęgnowali swe ciasne idee. Teraz wydali się Ralphowi, po raz Pierwszy w życiu, tym, czym byli dla całego zewnętrznego świata: skamielinami ze Wschodniej Anglii.

- Nie dam ci żadnych pieniędzy, Ralphie - oznajmił ojciec. - A własnym przemysłem raczej się nie utrzymasz na tym swoim uniwersytecie. Oczywiście, możesz spróbować.

- James mi pomoże - rzekł Ralph, nie wierząc w to ani trochę.

- Twój-wujek James nie ma złamanego szeląga. Poza tym jesteś w błędzie, jeśli myślisz, że zechce się obrócić przeciw własnemu bratu.

- No, oczywiście, można to było przewidzieć - stwierdziła Emma. - Po wszystkich subtelnych teoriach i pobożnych westchnieniach wychodzi na wierzch co? Kabza, którą oni mają w rękach! Ich ostateczny argument...

Ralph mówił:

- To nie Bóg został pomniejszony przez teorię Darwina tato, ale człowiek. Przestał być panem wszechświata. Stał się tylko elementem szerszej hierarchii. Hierarchii, powiadam na której szczytce możesz przecież umieścić Boga jeśli chcesz.

- Ale ty nie chcesz! - uciął ojciec.

Jeszcze jedno kategoriyczne stwierdzenie. Nie ewolucja była problemem, tylko posłuszeństwo. Ralph doszedł do wniosku, że nawet gdyby ojciec pojął jego punkt widzenia, i tak by go nie przyjął. Jeżeli człowiek został pomniejszony, to i Matthew Eldred został pomniejszony: pan wszechświata, najzupełniej zadowolony z dotychczasowej roli.

- Skoro chcesz, tato, bo ja chcę - powiedział Ralph - możesz dalej wierzyć, że człowiek zajmuje wśród innych stworzeń wyjątkową pozycję. Możesz dalej wierzyć, że jest stworzeniem szczególnej rangi. Bo tylko człowiek jest stworzeniem myślącym. Człowiek to jedyne zwierzę obdarzone rozumem.

- Puste frazesy - rzekł ojciec i zamilkł, najwyraźniej usatysfakcjonowany tym swoim stwierdzeniem, jak lekarz, gdy już postawi diagnozę.

„Lecz ciebie, człowieku, trzeba z tego wyłączyć” - pomyślał o ojcu Ralph. „Trzeba cię wyłączyć z grupy stworzeń myślących, raz na zawsze”.

Konflikt znajdował się akurat w szczytowej fazie - prawie ze sobą u Eldredów nie rozmawiano, w domu panowała cisza, jak u wujostwa w Yorkshire - gdy ojciec wyjechał na jeden dzień. Udał się do King's Lynn, żeby omówić z kilkoma ze swoich partnerów w interesach sprawę związane z fundacją, jaką zdecydowali się powołać do istnienia. Miało to być ambitne przedsięwzięcie, skierowane ku chwalebnym, chrześcijańskim celom: pieniądze dla misji, pieniądze dla domu noclegowego na East Endzie, z którym związany był James, nade wszystko zaś pieniądze dla całej potrzebującej biedoty z Norfolk, dla uboższych robotników z farm, których mechanizacja upraw pozbawiła pracy, dla chrześcijańskiego wiejskiego ludu, dotkniętego niedostatkiem czy jakimkolwiek innym nieszczęściem.

Fundację zamierzano nazwać imieniem świętego Wal-stana. Walstan to patron rolników i robotników rolnych, liczne jego wizerunki znajdują się w kościołach całego

hrabstwa. Pomysł powołania fundacji pochodził od Williama Martina, sklepikarza z Dereham; zdaniem Matthewa Eldreda był może trochę za bardzo w stylu High Church, ale skoro rzucił go człowiek tak bardzo szanowany w całym hrabstwie, jak Martin... Matthew był w owym czasie typowym lokalnym patriotą, członkiem zarządów rozmaitych miejscowych zgromadzeń charytatywnych, nie tylko szeregowym członkiem, bo również tu skarbnikiem, ówdzie znów przewodniczącym. Bardzo się udzielał, aż Ralph rzekł kiedyś do Emmy: „Ta cała ojcowska dobroczynność powinna zaczynać się w domu!”

Wieczorem tego dnia, kiedy ojca nie było, miało miejsce zdarzenie, które złamało opór Ralpha. Matka cichym, jak zwykle, krokiem weszła na górę i zastukała do jego pokoju. Zastukała i zaczekała, aż powie: „Proszę”; taka przesadna, wymuszona grzeczność panowała w domu Eldredów, odkąd wybuchł konflikt.

Ralph spojrzął znad książek i ustawił lampę na biurku tak, by trochę światła padało także w głąb pokoju. Matka przysiadła na brzegu łóżka. Na nogach miała bambosze, na ramionach rozpinany sweter narzucony tak, że mogła zacisnąć dłonie na mankietach pustych rękawów i skręcać te rękawy, kiedy mówiła. W blasku lampy połyskiwała obrączka na jej palcu, gruba i szeroka jak mosiężna mutra. Matka musiała schudnąć od dnia ślubu; obrączka przesuwiała się luźno z miejsca na miejsce, a wszystkie kostki palców sterczały.

Ralph wysłuchiwał tego, co miała do powiedzenia. Że jeśli nie skapituluje - użyła innego słowa, lecz o to właśnie chodziło - jeśli nie podporządkuje się ojcu i jego planom, kto wie, co ojciec zdecyduje w sprawie Emmy. Może pomyśli, że skoro Ralph zszedł tak daleko z właściwej drogi, to Emmie trzeba zapewnić szczególną opiekę? Że trzeba nad nią czuwać i odpowiednio nią kierować? Mieć ją stale na oku, w domu? W takim układzie nic by nie wyszło z wymarzonej medycznej szkoły...

Wykładając to wszystko, matka raz po raz ciężko wzdychała. Nie patrzyła na Ralpa; jej wzrok nie zatrzymując się nigdzie dłużej, wędrował od kilimka i biblioteczki poprzez biurko i ścianę za nim aż ku ciemnemu oknu z me zaciągniętą jeszcze zasłoną. Mówiła trochę może niepewnie, ale nie była nad miarę zdenerwowana. Ralph doszedł do przekonania, że sama, z własnej woli zgodziła się odwalić tę brudną robotę. Wraz z mężem, jego ojcem wszystko to sobie zaplanowali: nie będzie więcej krzyków, nie będzie scen, tylko właśnie..

- Emma chciałyby może zostać pielęgniarką - mówiła matka - I ojciec może by jej pozwolił. Może, powiadam, bo jego podejście do tej sprawy, jego decyzja, w dużym stopniu zależy od ciebie.

- To podłość! - krzyknął Ralph.

Nie wiedział, że matka była już wtedy chora i za kilka miesięcy miała odbyć pierwszy z wielu kolejnych pobytów w szpitalu. Chorowała, ale żyła długo. Ralph nie był nigdy pewien, czy jej do końca wybaczył. Chociaż próbował.

* * *

Zaraz po kapitulacji syna ojciec zaczął łagodzić swoje stanowisko. – Jako hobby, Ralphie – mówił – zostaw to sobie jako hobby. Byleby tylko to nie było twoim głównym życiowym zajęciem, z którym kojarzyłyby się ludziom.

- Nie chcę wchodzić do interesu - oznajmił Ralph. -Chcę żyć własnym życiem i nie chcę mieć z tym wszystkim nic wspólnego.

- Proszę bardzo - odparł Matthew z całkowitym spokojem - Sprzedam drukarnię, kiedy przyjdzie pora. Zmarszczył brwi, spojrzął z ukosa, jakby się przeląkł, że mógłby zostać źle zrozumiany.

- Pieniądze będą dla ciebie, Ralph - dodał skwapliwie. -Dla ciebie i dla twoich dzieci. Ulokuję je jak trzeba, wszystko załatwię. Nie będziesz musiał biedować.

- I po co robić zawczasu takie dalekie plany... - mruknął Ralph.

- Wcale nie takie dalekie, synu; lata lecą, tylko patrzeć, jak się ożenisz, założysz rodzinę, będziesz ojcem... Mógłbyś zostać nauczycielem, Ralphie. I mógłbyś pojechać do Afryki, jak twój wujek. Tam przecież ciągle bardzo potrzebują ludzi. Nie mam zamiaru cię więzić. Nie zamierzam skazywać cię na nieciekawe życie.

W tym miejscu ojciec zamilkł, by po chwili dodać jeszcze jedno zdanie:

-Mam nadzieję, że pewnego dnia jednak wrócisz do Norfolk.

Przez wiele następnych miesięcy Ralph w ogóle się nie uśmiechał, takie przynajmniej wrażenie miała Emma. Chodził wciąż przygarbiony, poczucie zawodu i klęski przygniatało mu ramiona jak stary, przyciężki płaszcz.

- Dlaczego im uległeś? - pytała Emma. - Dlaczego nie wytrwałeś przy swoich zasadach, zrezygnowałeś z własnych życiowych planów?

Nie powiedział jej. Bąknął tylko przy jakiejś okazji, że sprawy nie zawsze wyglądają tak, jak się z pozoru wydaje i że nieraz po pewnym czasie dostrzega się drugie dno.

Nie dowiedziała się, w jaki sposób został pokonany. Przyrzekł sobie, że jej tego nie powie.

Odbył służbę wojskową. Nie poszerzyła ani trochę jego horyzontów. Przesiedział wojsko za biurkiem, przy nudnej papierkowej robocie. Częściowo w pociągach i na ciężarówkach, w czasie przemarszów. Skorzystał tyle, że zaczął rozeznawać się trochę we własnym charakterze, dostrzegać własne odbicie w oczach i opiniach innych ludzi. I kto mu się przedstawił? Solidny, porządny, rozsądny młody człowiek, który zawsze chętnie i cierpliwie pomagał bardziej nieporadnym i nieśmiałym, nigdy przy tym nie wywyższając się ponad nich ani z nich nie szydząc. Młody człowiek, który w żadnej sytuacji nie próbował przypocholebić się przełożo-

nym i który nie miał ambicji ułatwienia sobie życia. Czy naprawdę taki był? Nie wiedział. Nie krzywdował siebie w wojsku ponad miarę. Uważał, że nudę, niewygodę i poniżenia wynikające z armijnych rygorów, bezużyteczność tego, co robił, można jakoś przetrzymać. O wiele trudniej było mu poradzić sobie z czymś zupełnie innym: z własnymi myślami, skrytymi w głębi duszy, i z często powracającym snem, w którym mordował ojca. A raczej nie tyle mordował, ile planował morderstwo i był potem za nie aresztowany i sądzony. Sam krwawy akt zbrodni nigdy mu się nie uwidaczniał, rozgrywał się zawsze gdzieś „poza kadrem”.

Ów sen nawiedzał go uporczywie, budząc zakłopotanie i niepokój w życiu na jawie. Ralph, akurat dwudziestolatek, uważał przecież, że świadomie odczuwa wobec ojca pewną urazę, ale nic więcej. Przegrany spór, jak sądził, mógł tylko zakłócić realizację jego planów, nie miał natomiast żadnego niszczącego wpływu na ich podstawę, czyli na przekonania. „Któregoś dnia - myślał Ralph - ojciec umrze, albo popadnie w starcze otepienie, albo po prostu ustąpi i wtedy zacznę wszystko od nowa, a raczej wrócę do tego, co porzuciłem. Mam czas i ostatecznie na pewno zwyciężę”.

Tak więc ów sen, podświadomy wyraz wewnętrznego buntu dwudziestolatka, naprawdę wprawiał go w zakłopotanie. Zmuszał do przyznania się przed samym sobą do braku kontroli nad ogromnymi obszarami własnej jaźni.

Na którąś z przepustek zamiast do domu do Norwich Ralph wybrał się z kumplem do Londynu. Nocowali u siostry tamtego chłopaka; Ralph spał w saloniku na sofie. W ciągu dnia zwiedzał miasto; był w Londynie po raz pierwszy w życiu. Którejś nocy za gotówkę stracił dziewictwo w jakimś mieszkaniu w pobliżu któregoś z dworców kolejowych. Nigdy potem nie mógł sobie przypomnieć, który to był dworzec ani jak nazywała się ulica, nigdy zatem nie był pewien, chodząc po Londynie, czy przypadkiem nie ta, gdzie się akurat znajdował. Tamta dziewczyna powiedziała mu wtedy, że

nazywa się Norah, zapamiętał, nie widział jednak powodów żeby w to wierzyć. Nie czuł się winny ani zakłopotany, gdy rzecz się już dokonała, traktował całą sprawę jako coś, przez co po prostu trzeba było przejść. Tyle tylko miał na ten temat samemu sobie do powiedzenia, nic więcej.

Podczas następnej przepustki został przedstawiony Annie Martin, jedynej córce ogromnie szanowanego sklepikarza z Dereham.

W trzy lata później Ralph był już nauczycielem w Londynie, na East Endzie. James wrócił do kraju i został kierownikiem przytułku, który nosił wówczas dumną nazwę Domu Świętego Walstana. Ralph spędzał tam większość weekendów. Sypiał na rozkładanym łóżku w gabinecie wuja A raczej drzemał, bo zwykle w ciągu nocy budzono go kilka razy, a to by przyjął nowego pensjonariusza, a to żeby zerknął na kogoś, kto się nagle rozchorował, a to wreszcie by zmity-gował stałych rezydentów, którzy niespodziewanie najpierw zaopatrzyli się w alkohol, a potem porwali się do bitki na potłuczone butelki, noże, pogrzebaczki czy żelazne pręty. Rozsądzał spory o prawo własności do jakichś brudnych ko-cy i zbutwiałych materacy. Przy okazji zapoznawał się ze zwyczajami, nawykami i uprzedzeniami ludzi z policji i opieki społecznej.

W każdy niedzielny wieczór zbierał po tygodniowym użytkowaniu bieliznę pościelową. Przed wyeksponowaniem jej do pralni liczył i spisywał sztukę po sztuce, z plamami wymiocin i spermy, ekskrementów i krwi. W środę wieczorem wpadał na godzinę, żeby przeliczyć pościel znowu. Wszystko było doskonale jałowe, choć nadal poplamione i poszarpane. Wszystko pachniało pralnią i magłem. Było sztywne i wybielone. „Jak oni to robią?” - zastanawiał się Ralph. „Jak im się udaje tak to wybielić?”

Zareczył się z Anną. Planowali pobrać się, gdy tylko ona skończy nauczycielski college, a potem natychmiast wyjechać do Dar-es-Salaam, gdzie bliski przyjaciel Jamesa był

dyrektorem i gdzie miał na nich czekać przyjemny domek i praca nauczycieli angielskiego w szkole przygotowującej miejscowych młodzieńców do stanu duchownego. Czasami, chodząc po londyńskich ulicach, Ralph próbował sobie wyobrazić siebie samego w tym obcym, dalekim miejscu, gdzie życie ma inną temperaturę i barwy. Listy tymczasem szły tam i z powrotem. Wszystko było już prawie załatwione.

Anna zachowywała spokój i powściągliwość. Planowała szczegóły ślubu, cichego ślubu. W ogóle była cichą, spokojną dziewczyną, nosiła rzeczy o prostych, spokojnych fasonach i wyciszonych barwach: szarej, ciemnoniebieskiej, grafitowej. Wystrzegała się wszelkiej krzykliwości i starała się roztaczać wokół siebie niemalże zakonną aurę. Nie rozmawiali na temat własnych przekonań religijnych; traktowali chyba pewien rodzaj religijności jako oczywisty i zrozumieli sam przez się. Projekt wyjazdu do Afryki Anna przyjęła bez sprzeciwu.

- Właściwie nie powiedziała prawie nic na ten temat -referował Ralph Jamesowi.

- To dobrze - rzekł James. - Bałbym się przesadnego entuzjazmu.

Jak mówił, ktoś, kto bez zastanowienia gotów jest otwierać ramiona na romantyczne niewygody życia w tamtym rejonie świata, wcale nie jest właściwym kandydatem do wyjazdu. Nacechowana rezerwą zgoda Anny rokowała jego zdaniem o wiele lepiej niż ciągła paplanina o tym, co też frapującego może przynieść przyszłość.

Po latach Ralph nieraz myślał, że żeniąc się wykonał skok na ślepo: prawie się z Anną nie znali, niemal nic o sobie nie wiedzieli. Ale kiedy się jest tak młodym, nie wie się nawet, co trzeba by wiedzieć.

A co do owych strojów Anny w zakonnym stylu... Kiedy Ralph trochę bardziej rozejrzał się po świecie i nauczył się też lepiej przyglądać kobietom, doszedł do wniosku, że ten styl był przemyślaną i pomysłową manifestacją ukrytych talentów artystycznych. Anna w owym czasie szyła sobie

wszystko sama; tego, co jej odpowiadało, nie znalazłaby w Norfolk, a do londyńskich sklepów z gotową odzieżą, przy swoich skromnych środkach, nie miała nawet po co zaglądać. Kupowała więc tylko materiały, guziki i dodatki; kroила, szyła i prasowała z obsesyjną starannością. I uzyskiwała wcale nie świątobliwość, ale coś, czego u żadnej innej spośród znajomych kobiet Ralph nie dostrzegął - szyk.

- Freud twierdzi - odezwała się Emma - że religia to powszechna nerwica natręctw. A ty mi powiedz, Ralph - dodała zerkając spoza szkieł okularów - jak to właściwie było z dinozaurami?

- Ich środowisko uległo przekształceniu - wyjaśnił. -Zmiana klimatu.

Uśmiechnęła się krzywo. Może nie spodziewała się, że udzieli odpowiedzi?

- Problem z naszymi rodzicami polega na tym - oświadczyła - że ich środowisko nie ulega przekształceniom. Prawie wcale się nie zmienia, przynajmniej w granicach tego hrabstwa. Tu zawsze i wszędzie jest tak samo. I oni wszędzie mogą się czuć jak w domu, byleby mieli zarezerwowaną ławkę w kościele.

Emma dopięła swego, była w szkole medycznej. Do domu przyjechała na wesele Ralpa. Z podkulonymi nogami i książką na kolanach siedziała na tej samej sofie, z którą tak zawzięcie walczyła w trzydziestym dziewiątym. Przytyła. Szpitalne jedzenie, tłumaczyła, to na okrągło pyzy, pulpety i tłuszcz, więc człowiek robi się od niego pyzaty, pulpe-towaty i tłusty. Mimo wszystko miała adoratora: w konkury uderzał do niej jeden z miejscowych chłopaków, Feliks. Traktowała go z góry, lekceważyła; nie zawsze nawet odpisywała mu na listy.

Wcześniej, przed rozmową o Freudzie, Emma ponarzekła sobie siarczyście na konieczność zakupu nowej sukienki na ślub brata. Mimo że to ojciec miał za nią zapłacić. Jak

mówiła, chętnie wyłożyłaby własne pieniądze, byleby tylko Matthew poszedł zamiast niej do sklepu, dogadał się ze sprzedawczyniami i dobrał, co trzeba, razem z odpowiednim kapeluszem. Nie cierpiała zakupów. Nie cierpiała również zakładów fryzjerskich; gdy Anna zaofiarowała się, że ją zaprowadzi na trwałą ondulację, zaklęła tak szpetnie, że aż sama poczuła się tym zaskoczona.

- A więc, Ralph - podjęła wyjściowy wątek - gdyby wyciągnąć wniosek z Freuda, nie jest z wami, to znaczy z tobą i z Anną, tak źle. Posłuchaj, co on tu pisze: „Ludzie wierzący są w wysokim stopniu zabezpieczeni przed ryzykiem chorób neurotycznych - akceptacja neurozy powszechnej oszczędza im trudu budowania własnej”. Innymi słowy: jeden rodzaj obłądu wystarczy.

- Uważasz, że to obłąd? - spytał Ralph. - Obłąd i mc poza tym?

- Uważam, że wiara sama w sobie nie jest niczym realnym i że nie ma realnego sensu, Ralph. Jest złudą, za którą ludzie gonią tylko po to, żeby nadać sens własnemu życiu

Wypowiedziała te słowa nadzwyczaj łagodnie, dobrotliwie co jednak Ralph uzmysłowił sobie dopiero znacznie później. Wtedy, w trakcie rozmowy, spytał buńczuczny tonem:

- A czy życie samo w sobie tego sensu nie ma? Emma nie udzieliła odpowiedzi.

Wieczorem ojciec odwołał Ralpha na stronę.

- Chcę z tobą pogadać o przygotowaniach - powiedział. - Przecież wszystko już przygotowane, załatwione, nie

musisz się o nic martwić - zdziwił się Ralph.

- Nie chodzi mi o przygotowania do wesela. To kobieca robota, po co miałbym się do niej wtrącać! Ojciec wysunął szufladę swego biurka i wyjął z niej jakieś papiery. Przeglądał je w czasie, gdy mówił; w rodzime Eldredów nie było zwyczaju patrzenia sobie w oczy.

- Myślę o przygotowaniach na dalszą przyszłość, Ralph.

Dużo myślałem, radziłem się kogo trzeba. Zamierzam sprzedać drukarnię. Mam korzystną ofertę od wydawcy książek szkolnych.

Nie znalazłszy w papierach niczego ciekawego, Matthew Eldred odwrócił cały plik i zaczął przyglądać się nie zapisanym tylnym stronom.

- Szkolne książki, edukacja, wiesz, przyszłościowa sprawa - kontynuował.

- Chciałbym mieć nadzieję - mruknął Ralph. Zupełnie nie miał pojęcia, jak się zachować. Zdawał sobie sprawę, że powinien wyrazić jakąś opinię, zaczął więc:

- Cóż, jeśli twój księgowy... Matthew przerwał mu z miejsca.

- Tak, tak, tak! Krótko mówiąc: pewną część zamierzam zainwestować poprzez Fundację Walstana.

(„Nie może być, nie powiedział »świętego Walstana«!" - pomyślał Ralph.) Inną część, mniejszą, przeznaczam na konto rodzinne, dla ciebie, Anny i waszych dzieci. Jak wrócisz z misji, możesz wejść do zarządu Fundacji Walstana, za pięć lat będzie tam potrzebny pełnoetatowy administrator. Jeśli uznasz, że się nadajesz, będziesz mógł uzyskać tę posadę.

- Mogą być jakieś zastrzeżenia... - bąknął Ralph.

Nie potrafił się zdobyć na nic innego poza wynajdywaniem drobnych przeszkód. Prawdę mówiąc, zupełnie nie był w stanie wyobrazić sobie siebie za pięć lat. Nie umiał sobie przedstawić, jak wtedy będzie wyglądał, jakie będą te jego przyszłe dzieci... Pomyślał, że przecież może tego nawet nie dożyć, może umrzeć w Afryce. Są tropikalne choroby, rozmaite wypadki...

- Jakies tam zastrzeżenia mogą być, załóżmy - rzekł ojciec. - Chociaż nie bardzo widzę z czyjej strony.

Wujkowi Jamesowi będzie się już wtedy należało trochę odpoczynku, synowie wszystkich moich kolegów z zarządu robią już w życiu coś konkretnego...

- Czy aby nie spoglądamy zbyt daleko w przyszłość? - wtrącił się Ralph.

- I ty to mówisz, Ralphie, ty, dla którego tysiąclecie to drobiazg' - Matthew odparował pytanie pytaniem. - No, już na poważnie - dodał, gubiąc ton lekkiej ironii. - Planować na pięć czy na dziesięć lat naprzód to przecież nic takiego. Wszyscy ludzie interesu to robią, robimy to zawsze, kiedy inwestujemy nasze pieniądze. Może nie miałeś o tym pojęcia, ale tak jest.

- Chyba nie miałem...

- Nieważne. Chodzi mi o to, taki mam plan - i mogę powiedzieć, że pozostali inwestorzy go popierają - żeby środkami fundacji zarządzano zawsze stąd, z Norfolk, niezależnie od tego, jak szerokie interesy będzie prowadziła. Przecież stworzono ją ostatecznie z tutejszych pieniędzy. Musimy trzymać się gruntu, w którym tkwią nasze korzenie. Uważam, że powinieneś osiedlić się tutaj, w Norwich, albo gdzie indziej na terenie hrabstwa. Jak wrócisz z Afryki, kupię ci dom. Tam pieniędzy nie zrobisz, wiadomo, me ma potrzeby wspominać.

No to po co wspominasz, jak nie ma potrzeby? – pomyślał Ralph. A na głos spytał, nie bez odrobiny zjadliwości:

- Czy masz już może na oku jakiś konkretny dom, tato?

- Chciałbym, żeby nasza fundacja - mówił Matthew, kontynuując swój wywód i całkowicie ignorując postawione przez Ralpa pytanie - niosła pomoc naszym współziomkom a nie tylko tym pijanicom i nicponiom z kolekcji Jamesa. Zrozum mnie właściwie - zastrzegł się - doceniam jego prace...

-Ależ wiem! - zdecydowanie przerwał ojcu Ralph. - Nie musisz wygłaszać przede mną przemowy jak przed Radą Hrabstwa.

Obiecał sobie: „Od tej chwili przejmuję kontrolę, zacznę rozporządzać własnym życiem tak, jak mi się podoba! Jadę do Afryki, bo tego chcę i Anna tego chce. A kiedy wrócę, będę sam sobie panem”.

Nie czuł się zakłopotany czy poniżony, gdy ojciec wypisał czek i wręczył mu go jako ślubny prezent.

Uznał, że pienią-

dze słuszenie mu się należą, że przeszłość zobowiązana jest łożyć na rzecz przyszłości.

Na cztery dni przed terminem ślubu zadzwonił z Londynu James. Spiętrzyły mu się kłopoty, więc pytał, czy Ralph nie mógłby wsiąść w pociąg i natychmiast przyjechać, żeby pomóc. Mówił, że musi stawić się w sądzie jako świadek, bo jeden z pensjonariuszy znieważył posterunkowego; jego asystent przeżywa akurat załamanie nerwowe, więc poza Ralphem nie ma już nikogo zaufanego, komu mógłby powierzyć na jeden dzień pieczę nad przytułkiem.

Ralph spytał:

- A jak sobie będziesz radził, kiedy wyjadę do Dar?

-To całkiem inna sprawa - odparł wuj. - Też zresztą chciałbym o niej z tobą porozmawiać - dodał. - Nie trać czasu, przyjeżdżaj. W Londynie weź taksówkę z Liverpool Street. Święty Walstan zapłaci. Ralph włożył płaszcz i kapelusz i zamaszystym krokiem ruszył ku stacji. Miał jak najgorsze przecucia. Pewnie wuj ma zamiar mu powiedzieć, myślał, że jest potrzebny tu, w kraju, na East Endzie. Że tropiki mogą poczekać. Że na razie on i Anna powinni wynająć sobie jakiś kąt z dobrym dojazdem do placówki św. Walstana. Zastanawiał się, co w razie czego na to odpowie, czy się zgodzi. Chwilami miał wrażenie, że tak. Anna będzie musiała wypakować swoje bawełniane sukienki, przesytać je naftaliną i rozpocząć życie małżeńskie jako odwiedzająca z koszykiem w ręku miejskie targowiska gospodyni z East Endu. Chwilami próbował się buntować. „Niech James sam się poświęca!” - wykrzykiwał w myślach. „James jest duchownym, ale ja nie, więc mam prawo żyć sam dla siebie!” W kawiarence nie opodal Liverpool Street zafundował sobie herbatę. Zastanawiał się, czy nie wrócić na dworzec i najbliższym pociągiem nie pojechać do Norwich. Albo dokądkolwiek... James przyjechał z sądu o wpół do szóstej. Dom św. Walstana był tego dnia niemal pełen, więc nim mógł podjąć jakąkolwiek rozmowę z bratankiem, musiał zdjąć marynarkę,

zakasać rękawy koszuli i pomóc przy wydawaniu kolacji. Był gulasz - wieczorem przeważnie podawano jakiś gulasz -ale do tego trzeba było nakroić chleba i posmarować go margaryną. Pensjonariusze zawsze domagali się chleba, po trzy kromki na głowę, bez względu na to, co jeszcze mieli otrzymać do jedzenia. Kiedy chleba nie było, sarkali, jakby ich prawom próbowano zadać gwałt. Kiedy posiłek został już zjedzony, naczynia pozmywane, a noclegowicze spisani i pozapędzani do wyrek, James skinął na Ralphi i ruszył do gabinetu. Weszli, zamknęli za sobą drzwi i bez wcześniejszych uzgodnień, rozumiejąc się nawzajem bez słów, zastawili je szafką z kartotekami. Wiedzieli obaj z doświadczenia, że to jedyny sposób, by bodaj przez kilka minut im nie przeszkadzano.

- Czy chodzi o mój wyjazd? - spytał Ralphi. - Są jakieś problemy?

- Nie, nie ma problemów. - James usiadł za biurkiem i oparł łokcie na blacie, z trudem znajdując miejsce wśród nie zapłaconych rachunków, proszalnych listów i rozspanych gumek-recepturek. - Dlaczego mam tu tyle tych gumek, chciałbym wiedzieć? - zdziwił się na głos. - Po co mi one? Nie, Ralphi - wrócił do przerwanej wątku - nie ma problemów z wyjazdem do Dar-es-Salaam, ale zarysowała się nagle jeszcze inna szansa i pomyślałem, że powinieneś też ją rozważyć.

„Tu cię mam, wujaszku, szansa na przyszłość przy Mile End Road!” - pomyślał Ralphi.

- Czy chciałbyś pojechać do Południowej Afryki? - spytał James.

Na obrzeżach Swaffham znajdują się dziś całe kolonie ślicznych parterowych domków z nowiutkiej czerwonej cegły, z lśniącymi oknami, zasłanianymi nowoczesnymi żaluzjami, z ozdobnymi bramami i kratami dla pnączy z kutego żelaza, z barwnymi kobierczykami kwiatów na starannie wypielonych rabatach i klombach, z karmnikami dla pta-

ków i kosztami do trenowania rzutów i z godnym dwudziestego stulecia halogenowym oświetleniem podwórek. Zmieniło się miasto i okolica, zmienili się ludzie. Właściciele sielankowych rezydencji ponownie zaludnili wioski, niemal opustoszałe w czasach, gdy Ralph wybierał się do Afryki. Prawie zniknęła prowincjonalna wymowa ze śpiewnym, przeciąganym akcentem, jaką Ralph zapamiętał u swego dziadka, zarzucona pod uniformizującym wpływem środko-woangielskich standardów.

Owszem, pomiędzy osiedlami nadal rozciągają się spore połacie ziemi porośniętej wrzosem, janowcem i sośniną - ponure, jałowe, monotonne pustkowia, które wydają się pasować nie tyle do wschodu Anglii, ile do wschodu Europy. Jednak gdzie indziej kabłą-kowate, artretyczne sosny są tylko mało znaczącym dodatkiem do nowoczesnych supermarketów i salonów meblowych, do dobrych szos i schludnych stacji benzynowych. Tutaj nie mają już swobody. Próbują pełzać wzdłuż dróg, wdzierać się między zabudowania, lecz mogą najwyżej gromadzić się wokół każdego nowego osiedla, niczym stare wiedzmy wokół kołyski królowej z bajki.

Pejzaż taki jak dawniej zachował się jedynie na terenach, które odgrodziło dla siebie wojsko. Określa się je na mapach jako „obszary niebezpieczne”, co znaczy, że armia wzniosła tam naturalnej wielkości makiety ulic Belfastu i wpuściła w zakamarki tej sztucznej zabudowy prawdziwych żołnierzy, by się ćwiczyli w rzemiośle snajperów. Przejeżdżając ogólnodostępną drogą niczego oczywiście się nie widzi; są tylko ustawione w równiutkie szeregi koszarowe baraki z prefabrykatów i tablice „Wstęp wzbroniony - tereny wojskowe”. Co najwyżej roślinność jest w stanie wedrzeć się bez zezwolenia w głąb tych zakazanych obszarów. Roślinność i wiatr.

We wschodniej części hrabstwa, gdzie Ralph z rodziną w tej chwili mieszka, rozciągają się aż po horyzont ogromne pola pszenicy; to przemysłowa uprawa, wymuszająca z ziemi nienaturalnie wielkie plony, z wykorzystaniem wielkich

ilości maszyn i niewielu ludzkich rąk. Farma, która zatrudniała kiedyś osiemdziesięciu pięciu ludzi, teraz zatrudnia sześciu. Potomkowie tych pozostałych siedemdziesięciu dziewięciu uwolnili się od wiejskiej mizerności, porzucili błotniste podwórza i butwiejące strzechy. Zamieszkali we własnych lub komunalnych jednorodzinnych domkach z ogródkami i żywopłotami. Jeśli jeszcze coś sadzą i uprawiają, to jedynie pierwiosnki i róże.

Ralph nadal śni; w tej chwili znowu ma trzy lata. Kuli się pod dziadkowym płaszczem. Gdzieś za plecami dziadka, niewidoczny, idzie ojciec. Obok niego wujek James.

Idą do kościoła. Tam dziadek pokaże Ralphowi namalowane na sklepieniu anioły i pokryte płaskorzeźbami stalle. Jest na nich wizerunek pewnego kramarza-domokrażcy ze Swaffham i jego psa z klapiastymi uszami i grubym łańcuchem.

Ów kramarz to niejaki John Chapman. Kiedyś przyśniło mu się, że był w Londynie i stał na moście London Bridge, i spotkał tam człowieka, który mu powiedział, jak zdobyć fortunę.

Skoro tylko nastał dzień, Chapman zarzucił tobolek na plecy, wziął psa i wyprawił się do stolicy. Na moście London Bridge warował tak długo, aż podszedł do niego pewien kupiec i zapytał, co właściwie robi.

- Stoję, tak jak mi nakazał mój sen - odparł kramarz.

- Sen? - zdziwił się kupiec. - Człowieku, gdybym ja zwracał uwagę na sny, byłbym teraz w jakiejś sakramenckiej mieścinie o nazwie Swaffham, w ogrodzie zatraconego typka, którego wołają Chapman, i kopałbym pod jego pio-ruńską gruszką!

Tyle powiedział i z szyderczym uśmiechem wycofał się do swego sklepu.

John Chapman wrócił z psem do Swaffham i zaczął kopać w ogrodzie pod gruszą. Wykopał garnek ze złotem. Na garnku wyryty był napis: „Głębiej jest drugi, dwa razy ta-

ki". Kramarz kopai więc dalej, aż się dokopał. W ten sposób zdobył fortunę.

John Chapman zakupił nowe lichtarze do miejscowego kościoła, odbudował własnym sumptem północną nawę, gdy ta się zawaliła, i ofiarował całe sto dwadzieścia funtów na budowę wieży. I dlatego został uwieczniony w płaskorzeźbie. Razem ze swoim psem i żoną Cateryne. Pies ma łańcuch, żona różaniec, a John Chapman, dobroczyńca kościoła, togę z gronostajami.

Czy Ralph śni? Przecież naprawdę popakował swoje okazy, mapy i monografie i wyniósł to wszystko na strych w domu ojca w Norwich. Naprawdę zgodził się iść w życiu drogą inną niż ta, jaką sobie zaplanował. Coś takiego często się zdarza wśród ludzi w jego wieku, wieku dwudziestu pięciu lat; przychodzi pora zdać sobie sprawę z faktu, że nie jest się już tym kimś, kim się było, a nigdy się nie będzie tym kimś, kim zamierzało się być. Ralph myśli, a może jednak śni: „Tak czy inaczej życie trzeba przeżyć, taką czy inną drogę trzeba przejść. I trzeba przysłużyć się w życiu trochę Bogu, a trochę jednak - Mamonie; nie jestem przecież duchownym, nie odebrałem święceń, jak James, nie muszę się więc poświęcać bez reszty. Będę mógł uszczknąć coś również dla siebie, zwłaszcza że teraz mam na koncie w banku tak niewiele”.

Pociesza się - w myśli, a może jednak we śnie - że coś niecoś rozumie z natury życia i świata. Że opanował przynajmniej klasyfikacje, kategorie i terminy, dzięki którym jest w stanie uporządkować wszystko to, co znajduje się pod powierzchnią. Linia rozwoju biegnie od galaretowatych drobinek żywej materii aż do człowieka, czyli zbliża się przez cały bieg dziejów coraz bardziej ku wzorcowi, jaki zaprogramował Bóg. W toku ewolucji ludzki gatunek rozwija się, doskonali, jak dziecko w łonie matki, gubi skrzela i sierść i staje się ludzki naprawdę. Także społeczeństwo kroczy drogą postępu, od stadium barbarzyństwa i dzikości

aż po stadium cywilizacji i dobroci. Od stadium chłodu, głodu i mordy aż po stadium czterech ścian i domowego ogniska, i rzemiosł, i sztuk, i parlamentów, i lekarstw na rozliczne choroby. Tak myśli Ralph, tak wierzy, mając dwadzieścia pięć lat. Wierzy również w nieskazitelną doskonałość ludzkiej duszy.

Rozdział 4

Lucy Moyo wyjęła pęk kluczy z kieszeni fartucha. Lucy Moyo była wysoka na sześć stóp, masywna, imponująca: czarny posąg w sukience z wzorzystego perkalu. Pokażny pęk kluczy wyglądał w jej ręce jak zabawka.

- Ten jest od paninego biura - wyjaśniła pokazując jeden z kluczy. - Te małe od biurek i szafek. Ten od szafy, gdzie się trzyma apteczkę. A ten od samej apteczki. Będzie jej pani potrzebowała przeważnie w piątek wieczorem i w sobotę. Te klucze są od wewnętrznych drzwi domu. Ten od spiżarni, a te od szaf z zapasami, co to stoją tam w środku.

- Czy naprawdę są potrzebne? Wszystkie? - zapytała Anna.

Lucy leciutko się uśmiechnęła.

- Mrs Eldred, sama się pani przekona, że tak - odparła. - Ten klucz jest od drewnutni - ciągnęła dalej - tam się trzyma wszystkie narzędzia. Pan szef Eldred musi się za każdym razem upewnić, że wszystko, co ma ostre kanty, rozumie pani, co się nadaje do rżnięcia albo dźgania, pod koniec dnia, jak było w użyciu, ludzie tam z powrotem poskładali, na jego oczach albo na oczach pani, albo kogoś odpowiedniego. Jak już poskładają, to trzeba zamknąć i niech spokojnie leży, póki niepotrzebne.

Lucy położyła klucze na dłoni Anny i własnymi zacisnęła jej palce wokół pęku.

- Musi pani zawsze wszystko trzymać zamknięte. Tutejsi ludzie to sami złodzieje.

Anna zdziwiła się, że można tak mówić o swoich, i to najwyraźniej bez żadnych oporów.

- Nie uważasz, że Lucy jest cyniczna? - spytała później męża.

- Uważam, że nie powinniśmy się do niej uprzedzać - odparł. - To przecież za jej sprawą wszystko tu jakoś działa do tej pory.

Ralph wykonywał leżącymi na blacie biurka rękoma machinalne, trochę nerwowe ruchy. Tłumaczył dalej:

- Ta kobieta pewnie wie, co mówi. Tyle, że sposób mówienia ma taki... Trochę za bardzo prosto z mostu, bez ogródek.

Lucy oznajmiła kiedyś:

- Ci państwo Standish, co to byli tu przedtem, po kolacji prawie codziennie sobie siadali i popłakiwali. Aż mi było dziwnie patrzeć, że tacy dorośli ludzie, a płaczą.

Podróż do Kapsztadu trwała trzy tygodnie. Anna miała czas porozmyślać. Czowała ogromną ulgę. Przez wszystkie poprzednie lata w jej życiu nic się nie działo. Gdy miała trzynaście czy czternaście lat, solennie obiecała sobie, że wyjedzie do obcego kraju, najlepiej do jakiegoś bardzo dalekiego. Powie rodzicom do widzenia i wyjedzie, a potem będzie do nich pisać mniej więcej dwa razy na rok.

Ralph nie dziwił się niczemu, jeśli chodzi o jej rodziców, co było o tyle wygodne, że życia pewnie by nie starczyło na wytłumaczenie tu czegokolwiek komuś wychowanemu w innych warunkach. „W rodzinach takich jak twoja i moja, mówił, dziewczęta nieraz miewają jeszcze gorzej”. Mówił, że przecież wie, przez co musiała przejść chociażby jego siostra. Anna ocenę zachowywała dla siebie. Nie miała wrażeń, by u Emmy było widać jakieś szczególne oznaki przebytych cierpień.

Prawdę mówiąc, Emma przerażała ją; nawet banalne towarzyskie rozmowy prowadziła inkwizytorskim, apodyktycznym, a równocześnie pełnym sarkazmu tonem. Bez słowa,

jednym zniecierpliwionym, pogardliwym potrząśnięciem głowy potrafiła dać Annie do zrozumienia, że uważa ją za osobę wprawdzie urodziwą, ale bezużyteczną. Przynajmniej Anna tak to rozumiała. Tak się poczuła oceniona. Całkowicie fałszywie, bo nigdy nie pozwalała sobie w życiu na bezużyteczne próżnowanie.

„Dobrze, że nastąpił ten wyjazd - myślała - że dziela nas tysiące mil. W Norfolk wszyscy by oczekiwali, że się ze szwagierką zaprzyjaźnimy, ciągle łączyliby nasze imiona: Anna i Emma, Emma i Anna". To połączenie wcale nie brzmiało w uszach Anny harmonijnie. Jako mała dziewczynka, owszem, czasami chciała mieć siostrę. Skoro przyjaciółek praktycznie mieć nie mogła, bo zanim by rodzice którąś zaakceptowali, dokonawszy przeglądu postępów i koligacji całej jej rodziny, dawno zdążyłoby przygasnąć wzajemne zainteresowanie i chęć do wspólnej zabawy.

Matka i ojciec Anny prowadzili sklep spożywczy. Mieli typowo sklepikarski zwyczaj odważania i odmierzania wszystkiego, a już zwłaszcza rzeczy przyjemnych. Nie ma nic za darmo, podkreślali. Bóg kładzie na jedną szalę swej wagi twoje zamierzenia, a na drugą twoje uczynki, na jedną twoje potrzeby, a na drugą twoje pragnienia. Za przyjemność płaci się bólem. Jak wypłacisz się wiarą, to Bóg odpłaci ci łaską. Jak się nie wypłacisz, to odpłaty nie będzie.

Będąc dzieckiem Anna bardzo lubiła czytać. Rodzice dawali jej broszury z opowieściami o tym, jak to miłe Murzy-niątko albo maleńcy Eskimosi odnajdywali drogę do Jezusa. Jednak tym, co naprawdę jej się podobało, były historie o dziewczętach, które mieszkały daleko od domu w szkole z internatem, najlepiej nad brzegiem morza, grywały w grę zwaną „lacrosse" i uczyły się francuskiego pod okiem Mam'selle. Rodzice mawiali, że czytanie to dobra rzecz, lecz kiedy brali w ręce konkretną książkę, żeby sprawdzić, czy się nadaje dla dziecka czy nie, zawsze malował się na ich twarzach wyraz

Wobec kina i teatru ta niechęć była już całkowicie jawna. Podobnie wobec alkoholu. I makijażu u kobiet, poza, co najwyżej, odrobiną pudru w cielistym kolorze. Mr Martin w domu ciągle patrzył w gazetę. Małżonka miała z tego dwie korzyści: po pierwsze, nie musiała się martwić o wygląd, a po drugie, codziennie otrzymywała od męża gotową opinię na temat wszystkich bieżących wydarzeń, dokładnie tak samo, jak codziennie otrzymywała od niego do uprania koszulę, przesiąkniętą zapachem wędzonego bekonu i ostrego sera.

Kiedy Anna dorosła, zdała sobie sprawę, że postępowaniem jej rodziców nie rządzi wyłącznie pobożność, ale również snobizm. A dokładnie: pobożność naznaczona snobizmem, jako że tych dwu rzeczy nie byli w stanie rozdzielić. Z szacunkiem i podziwem spoglądali na tych klientów, którzy mieli duże domy i którym co tydzień dostarczało się wprost do tych domów wyścielone słomą paki z lśniąco owocami najwyższej jakości i słoiczkami kurczaka w galarecie. Z wyższością natomiast patrzyli na tych, którzy sami przychodzili do sklepu i ustawiali się w kolejce po torebkę cukru czy ćwierć funta herbaty. Ci pierwsi płacili z konta; od tych drugich żądano oczywiście gotówki. Państwo Martinowie jako jedni z pierwszych w okolicy umieścili w swoim sklepie tablicę ze zmyślną, uprzedzającą z góry i pozwalającą w związku z tym nie marnować czasu na jałowe dysputy sentencją, w której, jak w pigułce, zawierała się cała ich życiowa filozofia:

Kto nie prosi o kredyt,
tego nie urazi odmowa.

Ta sentencja dręczyła Annę przez wszystkie młodzińcze lata na równi z myślą, co będzie, jeśli zakocha się w kimś nieodpowiednim? Zdawała sobie sprawę, w jak wysokim stopniu jest to prawdopodobne, skoro wedle opinii państwa Martinów ludzi odpowiednich spotyka się w ogóle tak niewiele. Na szczęście, gdy oświadczyła w domu, że to Ralph Eldred chciałby się z nią zaręczyć, rodzice nie potrafili zna-

leżć powodu do sprzeciwu. Prawda, chłopak nie miał może porządnie zaplanowanej przyszłości, miał jednak za to ojca w Radzie Hrabstwa.

Anna była posłuszną córką. Starła się zadowalać swoich rodziców we wszystkim, chociaż wiedziała, że nigdy jej się to nie uda. „Kto nie prosi o kredyt...”

Niektóre nieszczęśliwe dzieci wyobrażają sobie, że zostały adoptowane. Anna nigdy nie miała takich złudzeń dotyczących rodziców: wiedziała, że jest ich dzieckiem. Chętnie za to oddawała się marzeniom, co drażniło i złościło ludzi wokół niej, zwłaszcza matkę. Marzyła o tym, by stać się tak niepodobną do rodziców, jak to tylko byłoby możliwe. Jednak zupełnie nie miała pojęcia, w jaki sposób marzenia urzeczywistnić. Gardzić to jedna sprawa. Odciać się, uwolnić - zupełnie inna.

Także teraz, płynąc statkiem daleko na południe, zastanawiała się, czy ucieka od rodziców, czy też się do nich przybliża? Bo czyż nie byli, na swój sposób, misjonarzami, tyle że we własnym kraju? Z zacięciem praktykowali dobroczynność. Nie pozwalali sobie na żadne luksusy, woleli łożyć "na zbożne cele. Uznawali, że nie wolno otaczać się zbytkiem, gdy innym brakuje rzeczy najniezbędniejszych. No, chyba że się należy do tej pierwszej grupy klientów.

Czy ma jakiegokolwiek znaczenie, że dobroczynność nie płynie z serca, lecz z poczucia obowiązku, jeżeli rezultaty są takie same?

Anna sądziła, że raczej nie. Człowiek głodny je niezależnie od pobudek, jakimi kierował się ten, kto dostarczył mu chleba; dla niego liczy się tylko chleb, a nie motywy darczyńcy.

Ralph widział całą kwestię trochę inaczej. Mówił, że Eldredowie i Martinowie kierują się pragnieniem uczynienia świata wygodnym i bezpiecznym. Sklepiarz Martin chciałby, żeby wszyscy włóczędzy osiągnęli kondycję klientów z kontem w banku. Jego żona Betty miałaby życzenie, żeby wszystkie kopące papierosa za papierosem matki nieślub-

nych dzieci pozmywały makijaż i zaczęły przystępować co miesiąc do komunii. Chłód, ubóstwo, głód trzeba zlikwidować, ponieważ są to skrajności, z których wynika tylko zamęt, niepokój i demonstracje bezrobotnych. Co może prowadzić już tylko do socjalizmu. I do tego, że niebezpiecznie będzie wyjść na ulicę.

Ralph znał pewien wierszyk, który cytował ze śmiechem mówiąc, że to o jego i o jej ojcu:

Kramarza szpetnym stworzył Bóg

Na znak i na przestrozę,

By go ominąć'każdy mógł,

Jeśli mu wejdzie w drogę.

Ano właśnie, Ralph niczego nie darzył większą nienawiścią niż tej kramarskiej duchowej szpetoty. Sam duszę miał piękną, był dobry, życzliwy bez jakiegokolwiek ukrytej kalkulacji. Anna dokładnie tego właśnie szukała. I znalazła. Więc nawet przespala się z Ralphem jeszcze przed otrzymaniem od niego - to znaczy, tuż przed otrzymaniem - zaręczynowego pierścionka.

Propozycja wyszła od niej. Lecz kiedy przyszło co do czego - byli akurat sami w domu w Dereham, wyjątkowa okazja, kto wie, czy nie jedyna w roku - owładnął ją strach. Dotyk gorących dłoni Ralpa wzbudzał lodowate dreszcze. Ponieważ jednak Ralph był młodzieńcem o znikomym doświadczeniu - Anna sądziła nawet, że bez doświadczenia -w niczym się nie zorientował i wziął przerażenie za namiętność.

Gdy już się stało, co się miało stać, Anna zaczęła się zamartwiać, czy nie zajdzie w ciążę. Chciała nawet modlić się, żeby nie, ale pomyślała, że Bóg nie wysłucha takiej prośby. Poza tym doszła do innego jeszcze wniosku: zhańbiona byłaby równocześnie wyzwolona. Przecież Ralph jej powiedział, że jeśli coś się zdarzy, to po prostu przyspieszą ślub. Więc gdy dostała w końcu miesięczkę - z czterodniowym opóźnieniem, wystarczającym, żeby wpaść w euforię paniki i nadziei - oparła się o zimną ścianę łazienki w domu rodziców,

o zimną ścianę pomalowaną na ponury kolor ciemnej zieleni, i rozpląkała się nad utraconą szansą. Po tym wydarzeniu całkiem straciła równowagę. Nigdy nie uważała się za osobę o skomplikowanym wnętrzu, tymczasem nagle zaczęły nią miotać wszelkie możliwe rodzaje pragnień i lęków. Ralph zaproponował, by tak czy inaczej przyspieszyli ślub i pobrali się od razu, gdy tylko Anna ukończy swój nauczycielski college, a nie dopiero pod koniec lata, jak to było zaplanowane. Natomiast James odwiedził jej rodziców i opowiedział im o owej bardzo interesującej posiadłości, która kroiliła się dla obojga młodych w Dar-es-Salaam.

Matka obawiała się trochę afrykańskiego klimatu, przyznała jednak, że Anna nigdy w zasadzie nie chorowała; nie była też rozpieszczona ani wydelikaccona. Betty Martin obawiała się również tubylców, ale... Anna była koniec końców aż zaskoczona, jak łatwo rodzice zgodzili się z sugestią Jamesa, żeby nie zważać na krótki okres oficjalnego narzeczeństwa i wyprawić młodym wesele już w czerwcu. Uzmysłowiła sobie, że przecież oni pozbędą się jej z domu z rodzajem ulgi. Koniec odpowiedzialności, skoro córka wyszła za mąż i w dodatku wyjechała na koniec świata! Całą zaoszczędzoną energię można będzie poświęcić sprawom innych ludzi.

Oczywiście, pomysł podjęcia działalności misjonarskiej w Afryce wydawał się Annie trochę niezwykły, a nawet zabawny. Spytała kiedyś Ralpa:

- Nie będę musiała chodzić w tropikalnym kasku, prawda? I nie ugotują mnie w kotle nad ogniskiem?
Odrzekł na to:

- Nie sądzę. Wujka Jamesa nie ugotowali. Przynajmniej dotychczas.

W jakiś czas później Ralph zaproponował zmianę planu. Gdyby Anna się zgodziła, mieli pojechać nie do Afryki Wschodniej, ale całkiem gdzie indziej, do osiedla o nazwie Elim, usytuowanego pod Johannesburgiem, na północ od miasta. Ralph dodał, że owo Elim znajduje się równocze-

śnie nie tak daleko od Pretorii, gdyby to miało jej ułatwić umiejscowienie go na mapie, i że czeka tam na nich praca. Przyniósł też Annie książkę zatytułowaną „Nic na pocieszenie”. Stwierdził, że gdy ją przeczyta, będzie wiedziała, dlaczego na południu Afryki potrzeba ludzi do pracy misjonarskiej i w jakich warunkach trzeba tam pracować. I będzie mogła wówczas rozważyć wszystkie za i przeciw i zdecydować, co byłoby lepsze dla nich dwojga: Elim czy Dar-es-Salaam. Odpowiedziała, że rozważy również, co byłoby lepsze dla innych, dla ludzi, którym mają nieść pomoc. W tamtym momencie - była wiosna pięćdziesiątego szóstego roku -mogła jeszcze powiedzieć coś takiego bez odrobiny ironii. Książkę przeczytała od razu. Zarysował się jej obraz głodnego, krwiożerczego, trudnego do ogarnięcia rozumem świata. Była gotowa wejść w ten świat. Nie wiedziała wprawdzie dokładnie, jaki tam będzie z niej pożytek, ale skoro Ralph uważał, że praca tam jest dla nich wprost stworzona... I skoro nigdy w życiu nie bała się wysiłku ani też nie oczekiwała wygód...

Wszystko, co wyczytała w książce, śniło się jej w ostatnie noce przed opuszczeniem Anglii. Sny były zgodne z duchem tekstu, choć może trochę przerastały jego literę. Policjanci z karabinami maszynowymi, przechadzający się władcym krokiem po ulicach. Rozplakatowane wszędzie nowe ustawy parlamentu. Zastraszony tłum.

Po obudzeniu dość łatwo zapominała o nocnych koszmarach. Po pierwsze dlatego, że złowrogie ulice Elim, te ze snu, wcale nie wydawały jej się straszniejsze od ulic East Dereham, tych na jawie. Po drugie zaś, nocne mary ustępowały w dzień miejsca wyobrażeniom z przeczytanych niegdyś misjonarskich opowiastek i książek podróżniczych dla dzieci, wizerunkom z zamieszczonych tam małych, niewyraźnych fotografii. Kobiety ze spiłowanymi w szpic przednimi zębami. Mężczyźni z rytualnymi nacięciami na policzkach. Jakaś inna Afryka. I jakieś inne czasy. Sawanna, długa linia horyzontu, chaty ze słomianymi dachami, ich ła-

godni, ulegli mieszkańcy, noszący w sercach naiwną wiarę i chętnie śpiewający hymny. Takie to były wyobrażenia. W rzeczywistości Anna nigdy nawet nie widziała Murzyna. Ralph odezwał się kiedyś do wuja Jamesa:

- Nie sędzę, żeby praca w przytułku świętego Walstana mogła mnie przygotować do Afryki.

A wujek na to z błyskiem lekkiego rozbawienia w oku:

- Nie przejmuj się. Nic cię nie może przygotować do Afryki.

Matka podarowała Annie książkę pod tytułem „Zalany słońcem veld”.

- Będiesz mogła sobie poczytać na statku - powiedziała. - To książka z serii „Okna na świat”, kosztowała dziewięć szylingów i sześć pensów.

Anna sięgnęła po nią po raz pierwszy w dniu, kiedy opuścili Las Palmas, i czytała, kiedy płynęli przez wody pełne latających ryb.

Książka przypominała trochę teksty ojca Huddlestonea, choć w ramach swojego specyficznego stylu była bez wątpienia prawdziwa, rzetelna. „W opisach afrykańskiej fauny zebra wspomina się tylko mimochodem. A przecież to takie cudowne stworzenie: silny, krępy konik z kształtną grzywą i falującym ogonem. Ten sam wzór umaszczenia nie powtarza się nigdy u dwu osobników. Mając naszkicowaną sylwetkę, można zamalowywać paski, jak się komu żywnie podoba”.

Kiedy morze usypiało ją, odbierało możliwość skupienia się na tekście, Anna zamykała książkę i zaczynała przyglądać się jej okładce. Była doprawdy dziwnie skomponowana. W obramowaniu o barwie najbledszej, najchłodniejszej z możliwych zieleni przyciągał uwagę patrzącego pejzaż utrzymany w kolorach z krańcowo innej palety: na pierwszym planie złoto i róż równiny, na planie drugim żywa zieleń pagórków, a w tle liliowe zarysy wysokich gór. Anna zastanawiała się, czy ilustrator nie pomylił gór z niebem albo czy w ogóle nie pomylił zamówień wydawcy? Przypomniała sobie jednak inną książkę, którą widziała na półce u Ra-

pha, książkę z okresu, gdy pasjonował się zbieraniem skamielin. Ilustracja na jej obwolucie była bardzo podobna te same dziwne, nierzeczywiste kolory. Anna musiała przeczytać podpis na skrzydełku, żeby się zorientować, co przedstawia: „Wybrzeża jurajskiej laguny”. Pośród gryzącej w oczy jaskrawej zieleni palm buszował archeopteryks o połyskujących tonami głębokich jesiennych barw piórach. Mały dinozaur, srebrzysty niczym stal, pędził na długich i cienkich nogach. Niebo miało kolor skorupki jajka. W głębi nasyconym szafirem wody lśnił przestwór pierwotnego oceanu. Tak było na tamtej okładce. Lecz teraz, w rzeczywistości, ocean wcale nie wydawał się ogromny. Był tylko metalicznym kręgiem, mozołnie, cal po calu pokonywanym przez statek. Po zmroku pasażerowie, którzy płynęli nie na obczyznę, tylko do domu, stawali przy nadburciach i wypatrywali Krzyża Południa. Którejś nocy wreszcie się pokazał, dokładnie w tym miejscu ponad horyzontem, gdzie można się go było spodziewać. Cztery trudne do wychwycenia wśród innych rozsypanych na niebie gwiazd światełka, na które Anna na pewno w ogóle nie zwróciłaby uwagi, gdyby ich jej nie wskazano.

Na Zatokę Stołową wpłynęli w deszczu, który przechodził okresowo w mżawkę. Chmury to się unosiły, to znów opadały bardzo nisko nad wodę. Poprzez zasłonę wilgotnej pomroki przebił się w którymś momencie zwałisty, ciemny masyw.

- To Góra Stołowa - poinformował ktoś Annę.

Ponad masywem wisiała szara, zaokrąglona i spłaszczona jak naleśnik chmura. Słońce próbowało się przez nią przebić, raz pobłyskiwało, raz niknęło, a potem znów wysyłało wiązkę przenikliwych promieni. W ich świetle Anna mogła lepiej zobaczyć nie tylko zarysy góry, ale i skomplikowaną rzeźbę jej powierzchni ze skalnymi grzebieniami, z pęknięciami i szczelinami wypełnionymi fioletowym cieniem.

Czy tego się spodziewała? Nie, raczej czegoś w rodzaju miejskiej góry.

- Proszę spojrzeć tam - ktoś wskazał jej ręką w innym kierunku.

Chmury kłębiły się w tym momencie, rwały na strzępy, słońce zachłannie rozświetlało każdy wolny już skrawek nieba. To, co pokazano Annie, było wąskim, spiczastym pasmem mglistej masy, bijącym w górę aż pod niebo.

- Diabelski Szczyt - usłyszała wyjaśnienie.

Arcybiskup Kapsztadu rzekł:

- Nie jest pan podobny do swego wuja Jamesa. Bardziej muskularny z pana chrześcijanin.

-Cóż, wuj istotnie nie ma silnej postury... - zaczął Ralph.

- Lecz za to silny charakter - dokończył arcybiskup.

Umilkł. Zdawał się rozkoszować tym ostatnim stwierdzeniem. Nadawało życiu Jamesa pewien heroiczny wymiar. Jaki faktycznie, zdaniem Ralph, posiadało.

Ralph chętnie by uniknął tej audiencji. Uważał, że oboje z Anną nie są godni względów tak wysokiego dostojnika kościelnego. Znaleźli się w jego gabinecie wyłącznie za sprawą Jamesa - gdyby nie jego list polecający, mogliby pojechać koleją prosto do Johannesburga i dalej do Elim. Tam przyjąłby ich jakiś niższy rangą duchowny z diecezji w Pretorii, a może nawet nie.

- Chciałem, żeby James był tu ze mną - rzekł arcybiskup. - Siedem lat temu, gdy zostałem wyniesiony do tej... mhm... godności. Wtedy jeszcze mieliśmy wszystko, czego nam było potrzeba. Kościoły, szkoły, szpitale, kluby. Pieniądze, ludzi. I błogosławioną szansę przewodnictwa. Cóż, James pewnie przewidział, w jakim kierunku wszystko tu zmierza. O sobie tego powiedzieć nie mogę.

Arcybiskup ruszył kulejąc przez gabinet, wzbudzając lekkie drgania mebli i brzęk filiżanek. Był korpulentnym mężczyzną w wieku lat siedemdziesięciu, a może nawet więcej. Skierował się ku sofie, z widocznym wysiłkiem i bólem schylił się, żeby przysiąść, wsparł sztywną nogę na podusz-

kach, pomagając sobie rękoma, zupełnie jakby manewrował protezą, a nie własną kończyną. Musiał chwilę odpocząć, zanim znów zaczął mówić.

- Mieliliśmy piękne ideały. Nie urzeczywistniły się. Coz, nikt tego nie obiecywał.

Arcybiskup robił wrażenie człowieka nieśmiałego. Czy arcybiskup w ogóle może być nieśmiały? Mówił trochę burkliwie, krótkimi, urywanymi zdaniami. Niemniej w jego wypowiedzi nie było chaosu.

- Na rok przed moją intronizacją - kontynuował - elektorat pozbył się Smutsa i postawił na nacjonalistów. Ustanowiono pewne prawa, o których panu, jak zakładam, wszystko wiadomo, a jeśli nie, będzie wiadomo wkrótce. Przystudiuj pan teorię. Skonfrontuj z praktyką. Zobacz pan, że się staliśmy, koniec końców, państwem policyjnym.

Arcybiskup przerwał, spodziewając się reakcji Ralpha.

- Proszę pamiętać - zaczął znowu po chwili - że nie zawsze mówię tak otwarcie. Staram się oddawać cesarzowi co cesarskie, w dyskusjach z ludźmi z rządu próbuję być dyplomatą. Nawet rozumiem mechanizm ich praw, nie wiem tylko jak można było puścić coś takiego w ruch.

'- Apartheid jest zjawiskiem, w które trudno uwierzyć - odezwał się Ralph. - Jak sądzę, trzeba to zobaczyć, żeby uwierzyć, bo inaczej się nie da. Arcybiskup chrząknął.

-Tutaj się mówi: rozdzielenie ras. To coś więcej niż zmiana terminologii. To znacząca zmiana języka. Kiedy Daniel Malan objął władzę, powiedziałem sobie, że to nacjonalista, ale przecież nie półgłówek. Wykształcony człowiek. Doktoryzował się na uniwersytecie w Utrechcie rozprawą o biskupie Berkeleyu. Z pewnością będzie miał jakiś wzgląd na głos opinii publicznej. Tak sobie mówiłem. - Arcybiskup pokiwał głową i roześmiał się. - No i cóż? Malan odszedł, przyszedł Strydom, który, jak pan wie, był hodowcą strusi. Wyedukowanym gdzie? W Stellenbosch i w Pretorii. Facet z Transwalu, zorientuje się pan, co to znaczy. Kie-

dy przyszedł J.G. Strydom, miałem moment rozpaczy. To było trzy lata temu.

Anna wykonała dość nieokreślony ruch ręką w kierunku tacy z herbatą. Arcybiskup skinął głową w jej stronę, po czym znów zwrócił się do Ralpa:

- Słyszał pan o ustawie na temat edukacji Bantu? Mam nadzieję, że wprowadzono pana w tę sprawę w Londynie. I wie pan, jak było kiedyś: kościół robił wszystko, rząd nic. To my kształciliśmy Afrykanów. Ale nie mieliśmy wtedy pojęcia, że nasza praca może przysporzyć rządowi kłopotów. Ze może stwarzać groźbę dla rządu, jak się tu teraz uważa. Ustawa o edukacji Bantu ma tej właśnie groźbie zapobiegać.

- Doprawdy, trudno mi jest doszukać się w tym jakiegokolwiek logiki - odezwał się Ralph. - Przecież edukacja to kultura, cywilizacja, postęp, czyż nie tak? Jeszcze żaden rząd, od początku świata, nie starał się cofnąć biegu czasu!

- No, nie wiem, czy można aż tak generalizować. Kilka chyba jednak próbowało - rzekł arcybiskup. - Wracając na tutejsze podwórko: wie pan, dlaczego oni to robią, prawda? Edukację nie-Europe języków oddano teraz w ręce doktora Verwoerda i jego Departamentu d.s. Tubyłców. Dr Verwoerd rozumuje tak: po co uczyć afrykańskie dziecko matematyki? Przecież robotnikowi matematyka niepotrzebna. Jak liźnie matematyki, to zaraz zaczniesz myśleć, że mógłby być kimś więcej niż tylko robotnikiem. Cóż, dr Verwoerd nie chce, żeby afrykański robotnik oddawał się takim błędnym mniemaniom.

Anna przyniosła herbatę. Arcybiskup skosztował.

- Doskonała, moje dziecko - stwierdził. - Jakaż to smaczna rzecz, herbatka, prawda?

Anna wycofała się w kierunku tapicerowanego taboretu, na którym siedziała przez cały czas. Bez słowa, jedynie z niesforną myślą, że sądząc po wyglądzie biskupa, mógłby on wymienić jeszcze parę innych „smacznych rzeczy”.

- Celem jest tu stworzenie nowego typu edukacji - kon-

tynuował arcybiskup, spoglądając w filiżankę. - Edukacji dla przyszłych kulisów, posługaczy i wyrobników do katorżniczej pracy w kopalniach. Dwie i pół godzinki nauki dziennie pod okiem dziewczynki z sześcioklasowym wykształceniem Oto recepta. Nie tylko dla dzieci analfabetów. Dla wszystkich. Również dla dzieci najzdolniejszych chłopców i dziewcząt z naszych misyjnych szkół. Dla dzieci absolwentów uniwersytetu w Fort Hare. Ci rodzice też muszą bezradnie patrzeć, jak ich potomstwo jest zmuszane do nieuctwa.

- Przecież to zdaje się niszczyć wszelkie nadzieje, także na przyszłość - wtrącił się Ralph. - Inne ustawy można uchylić z dnia na dzień, tę również, ale jak anulować jej niszczące efekty?

- Dokładnie nad tym samym się zastanawiam - rzeki arcybiskup. - Jak się też uda, za dwadzieścia czy może za czterdzieści lat, kiedy cały ten idiotyzm przeminie, wtłoczyć wiedzę do tych wszystkich głów, które zostały jej pozbawione?

Dłoń arcybiskupa zaczęła lekko drzeć. Utrzymanie filiżanki wydawało się czymś dla niego za trudnym, zupełnie jak utrzymanie tego delikatnego porcelanowego cacka byłoby zbyt trudne dla niedźwiedzia. Anna zerwała się z miejsca przejęła filiżankę we własne ręce, odstawiła ją na tacę. Arcybiskup mówił dalej, jakby w ogóle nie zauważył całej tej machinacji. Zwracał się bezpośrednio do Ralpha.

- A jaka jest sytuacja kościoła? Otóż rząd patrzy na nas tak zacytuję pamiętne zdanie ojca Huddlestona, „jak kobra patrzy na królika”. Ojciec Huddleston miał dar tworzenia barwnych i dosadnych sformułowań, nieprawdaż? - Arcybiskup zawiesił na chwilę głos, by zaczerpnąć oddechu. - Niektórzy twierdzą, że raczej powinniśmy pozamykać wszystkie nasze szkoły, niż dać się wtłoczyć w ten ich cudaczny system oświatowy. Inni mówią, że jakakolwiek oświata jest lepsza niż żadna. Ojciec Huddleston, ze pozwolę sobie znów go zacytować, określiłby takie stanowisko jako „głos Vichy”.

- Mrs Eldred - tym razem arcybiskup skierował swoje słowa do Anny, z wysiłkiem i bólem odwracając się również korpusem w jej stronę - mimo że jest pani nauczycielką o pełnych kwalifikacjach, będzie pani tutaj musiała zajmować się raczej zabawianiem dzieci niż ich nauczaniem. Niech się bawią u nas, a nie na ulicach, gdzie mogą popaść w kłopoty, tak rozumiemy... Co do tej miejscowości, moi mili, co do tego Elim. Leży już poza obszarem moich obowiązków duszpasterskich, ale co nieco mogę wam powiedzieć. To takie duże osiedle, właściwie miasto, gdzie Afrykanie osiedlali się już od przełomu stuleci. Otrzymywali prawo własności ziemi, na tej własnej ziemi budowali domy. Kilka pokoleń już się w Elim wychowało, mieszka tam sporo ludzi, nie jestem pewien, pięćdziesiąt tysięcy?

- W przybliżeniu - potwierdził Ralph.

- I teraz ci ludzie nie mają żadnych gwarancji, nie wiedzą co się może z nimi stać w najbliższych latach. Osiedle Sophiatown już zostało zlikwidowane. Osiedle Elim może być następne.

- A gdzie się wtedy podzieją jego mieszkańcy? – spytała Ann.

- No właśnie, tutaj dochodzimy do sedna polityki apartheidu, moja droga pani. Rząd chce ich przesiedlić na dawne terytoria plemienne.

Zwracając się znów do Ralphi, arcybiskup mówił dalej tonem pewnej dwuznacznej kurtuazji, jakby kierował swoje słowa do samego prezydenta i wiedząc doskonale, że ten również jest jednym z filarów obłędnego systemu, starał się oddać mu cały szacunek należny z urzędu.

- Powinien pan zrozumieć, że dla tych ludzi wszystko staje się w związku z tym niepewne, nietrwałe. Niemal każdy życiowy krok robi się ryzykowny, skoro może być wykroczeniem przeciw któremuś z nowych praw. Oni czują się tak jakby im odebrano przyszłość!

- Nie wiem doprawdy, czy zdołam sprostać temu wszystkiemu, takiej sytuacji - stwierdził Ralph.

- Więc dlaczego pan tu przyjechał?

Ralph nie wiedział, co rzec. Nie mógł przecież powiedzieć arcybiskupowi: „Przyjechałem tu, żeby uciec od własnej rodziny”.

- Wydawało mi się - zaczął w końcu niepewnie - że jest moim obowiązkiem podjąć próbę działania tu czegokolwiek. Obojgu nam się tak wydawało. Jednak mamy tak mało doświadczenia...

- No cóż, ale macie za to młodość - stwierdził arcybiskup. - A zatem w waszych działaniach nie będziecie skostniali, lecz elastyczni. Tak przynajmniej - dodał - brzmi moje pobożne życzenie. Czy mogę udzielić państwu pewnej rady? W waszej pracy spróbujcie odnosić wszystko do Boga.

Próbujcie działać w skali wieczności. Rozumiecie, o co mi chodzi? Inaczej każda błahostka będzie wam kulą u nogi. Codzienne frustracje całkowicie was sparaliżują.

- Myślę, że to wspaniała rada - odezwał się Ralph. - Tak należy działać w każdych okolicznościach, o ile człowiek zdoła...

A Anna rzekła:

- Nie jestem pewna, czy gdybym była osobą o czarnej skórze w tym kraju, w ogóle wierzyłabym w Boga.

Arcybiskup zmarszczył brwi.

- Ludzie tak uciemienieni - podjął wątek Ralph - ludzie, którym się mówi, że są z natury rzeczy gorsi, ludzie, którzy muszą cierpieć tak wiele nieszczęść, mogą dojść koniec końców do wniosku, że wcale się dla Boga nie liczą. I byłby to wniosek całkowicie logiczny.

Usłyszawszy te słowa arcybiskup zareagował krótkim popisem retoryki. Poczynił aluzję do „skarłatego laickiego humanizmu”, który, jak zakładał, zwiódł Ralpha. Określił wiarę chrześcijańską mianem „świadcstwa wielkości człowieka”. Nietrudno było się domyślić, że owe kwieciste zwroty zaczerpnął z jakiegoś układanego akurat, a może wygłoszonego już kiedyś kazania. Anna z ukosa, spod spuszczonej powiek, zerknęła na Ralpha. Nie mogła wyjść z po-

dziwu, że jedno i drugie z nich ośmieliło się wypowiedzieć to, co wypowiedziało. Pomyślała, że było to możliwe chyba tylko dzięki oddaleniu się, oderwaniu od domu. I pomyślała, że skoro tak, to teraz tu, w Afryce, oboje będą w stanie zrobić wszystko, co zechcą.

Arcybiskup mówił z irytacją, krótkimi zdaniami, które najtrafniej byłoby porównać do poszczekiwania. Gdy skończył poszczekiwać, Anna odezwała się pojednawczo:

- Mamy tak mało doświadczenia. Ogarnia nas lęk, tu, w nieznanym kraju, w pierwszej w życiu prawdziwej pracy...

- Pani również się boi, że nie podoła?

- Myślę, że każdy powinien się bać. To była dobra odpowiedź.

- Cóż, myślimy tak samo - stwierdził arcybiskup. - Są dwie, nie, trzy rzeczy, o które szczególnie was poproszę. Starajcie się nie pogardzać waszymi oponentami, nie odnosić się do nich z nienawiścią. To może być dla was bardzo trudne, lecz jako chrześcijanie musicie się zdobyć na ten wysiłek. I starajcie się nie łamać prawa. Nie przysłano was tutaj, byście znaleźli się w gazetach albo w sądzie. Mam nadzieję, że będziecie o tym pamiętać.

- A trzecia rzecz? - spytał Ralph.

- No właśnie. Kiedy będziecie pisać listy do kraju, do Anglii, proście waszych bliskich i przyjaciół, żeby nie,ferowali pochopnych sądów. To bardzo skomplikowany kraj, ten tutaj. Ja zawsze pocieszam się myślą, że prawdziwego zła nie ma w tutejszych problemach aż tak wiele. Przeważa strach, po obydwu stronach. Strach, który paraliżuje ludzkie uczucia i zdolność logicznego rozumowania. I koniec końców przeradza się w nikczemność.

Arcybiskup spojrział na Ralpha i Annę, skinął głową. Audiencja była skończona. Wstali. Arcybiskup nieoczekiwanie uśmiechnął się i poklepał dłonią swą bezwładną nogę.

- Wiecie, co takiego zrobiłem w zeszłym roku? Popłynąłem na wyspy Tristan da Cunha. Pewnie nie myśleliście, że aż tam sięga moja diecezja, prawda? Popłynąłem, trzeba było przywiązać mnie do fotela i wciągnąć na pokład fregaty na linach. A potem ułożyli mnie w małej wiosłowej łódce i

dowieźli do brzegu. Pański wuj James nie uwierzyłby własnym oczom, gdyby to widział. Sam nie bardzo mogę uwierzyć, że odbyłem tę wyprawę.

Arcybiskup zamilkł. Teraz audiencja była już skończona naprawdę. Sekretarz wyprowadził Ralpa i Annę z gabinetu. Arcybiskup zagłębił się w swoich papierach.

Na zewnątrz Anna stwierdziła:

- Imitacja Winstona Churchilla, prawda? Nie sądzisz, że to u niego rozmyślnie, specjalnie wystudiowane?

- Jestem pewien.

- Niewiele brakowało, żeby oskarżył nas otwarcie o odejście od chrześcijańskiej wiary.

- Ale jesteśmy chrześcijanami - odparł Ralph. - Mimo wszystko.

- Ten arcybiskup to jednak człowiek z sercem - rzekła Anna.

- Szkoda, że jego serce nie ma tu nic do rzeczy.

Na dworcu kolejowym w Kapsztadzie napisy głosiły: Slegs vir Blankes. Wagony dla nie-Europejczyków były doczepione na końcu pociągu.

Na stacjach po drodze dzieci gromadziły się wokół wagonów, wyciągając dłonie po datki.

Na dworcu w Johannesburgu pełno było czarnych mężczyzn w schludnych ubraniach, z tekturowymi teczkami oraz białych farmerów o zaczerwienionych twarzach. Mieli wielkie głowy, na których okrycie nie starczało im włosów, wielkie brzuchy, które przy każdym oddechu groziły powyrywaniem guzików koszul, i wielkie, ryżawe od piegów kolana, które sterczały spod szortów khaki.

- Tu pod ziemią wszędzie są diamenty i złoto - powiedział Ralph.

Było chłodniej, niż Anna mogła się spodziewać. Hałas uliczny przytłaczał ją w tym samym stopniu, co wielobarw-

na mozaikę twarzy przechodniów. W środku nocy, którą spędzali w hotelu, zbudził Annę jakiś dziwny łoskot. To bębniły w szybę ogromne grudy gradu. Bombardowanie trwało pięć minut i skończyło się tak samo nagle, jak się zaczęło. Miasto zrobiło się ciche, jak gdyby na czas godzin nocnych wstrzymało oddech.

Dom misyjny znajdował się przy Flower Street. Cofnięty od ulicy, stał w głębi warzywnego ogrodu, w którym rosła kukurydza, ziemniaki, kapusta, marchewka i dynie. Na werandę, całkowicie osłoniętą siatką ze względu na muchy, prowadziły trzy stopnie. Kiedyś dom ocieniały wielkie drzewa, zostały jednak ścięte i teraz w dość ciasnych wnętrzach przeważnie było gorąco.

Wszystkiutko zostało wyczyszczone do połysku, specjalnie na przyjazd państwa, jak powiedziała Lucy Moyo. Faktycznie, linoleum - o tak fantazyjnym zygzakowatym wzorze, że patrząc można było dostać zawrotu głowy - aż lśniło. Nie pożałowano żadnych wydatków - tak przynajmniej z dumą twierdziła Lucy - żeby upiększyć mieszkanie: do salonu sprowadzono nawet poduszki ze sztucznego futra i stół do kawy. Stół w kuchni miał cierpkóżółty blat z chromowanym obramowaniem i białe nogi. Tworzył komplet z krzesłami.

Miasto znajdowało się na wzniesieniu, dlatego zawsze wiał tu lekki wiatr. W pogodne dni z Elim rozpościerał się widok na bogate przedmieścia Pretorii: białe wille otoczone zielonymi trawnikami, wysadzone drzewami jacarandy aleje. Tam, w dole, znajdował się świat białych, duma Burów. Tu, w górze, świat czarnych, swart gevaar, czarne niebezpieczeństwo. Jakkolwiek cóż innego przedstawiało się oczom przybysza w centrum Elim, jeśli nie wizja ładu i porządku? Szerokie, przecinające się pod kątem prostym ulice, starannie ogrodzone place do zabaw i gier, porządne, murowane domy...

Prawda, jedne w lepszym, inne w gorszym stanie. Te najlepsze były świeżo odmalowane; wokół nich równiutkimi szeregami krzewiły się w starych puszkach po farbie

rośliny doniczkowe. Ściśle biorąc, były to rośliny, które mogły z równym powodzeniem i w o wiele bardziej naturalny sposób rozwijać się w glebie. Zostały jednak potraktowane w szczególny sposób. Udomowiono je, ucywilizowano. Stały się certyfikatami własności. Miały uzewnętrzniać miejskie ambicje swoich posiadaczy, ich obywatelską dumę. Wszyscy w Elim wydawali się dumni. Lucy wyjaśniała: „Mieszkamy tu jako sąsiedzi, a nie jako współplemieńcy. I wszyscy żyjemy w zgodzie”. Ostatnie stwierdzenie nie było oczywiście tak całkowicie prawdziwe, ale wyrażało godną ideę, jedną z tych, do których od czasu do czasu warto się odwołać.

W pierwszych dniach po przyjeździe Annę i Ralpa prowadzano od domu do domu i z radością goszczono u kolejnych pracowników parafii i zwykłych parafian. Podawano im herbatę w mieszkaniach przyozdobionych fotografiami w ramkach i koronkowymi firankami. Każdy drobiazg, każdy bibelot stał na szydełkowej serwetce.

Ceną owej wymuszkanej schludności otoczenia była oczywiście praca. Trzeba było nosić wiadrami wodę, codziennie szorować na kłęczkach cementowe posadzki. Robili to zazwyczaj służący;" nawet człowiek ubogi może sobie pozwolić na zatrudnienie do posług nędzarza. Każdego ranka na podwórkach z tyłu domów, w blaszanych baliach starannie prano odzież.

Na obrzeżach Elim wszystko wyglądało jednak trochę inaczej. Domostwa były przepelnione. Niektóre rodziny mieszkały w szopach, na powierzchni mniejszej niż ta, jaką przeciętny farmer daje pojedynczemu zwierzęciu. Lucy tłumaczyła to tak: w sąsiednich miejscowościach rosły czynsze, więc te rodziny, które nie były w stanie płacić i zostały wyrzucone z dotychczasowych kwater, ściągały do Elim. Poza tym z prowincji wciąż przybywali rozmaici krewni, a jakże odprawić krewniaka? Przybysze klecili więc na podwórkach prawdziwych domów rozmaite budy, z nadzieją, że przetrzymają wiatr i deszcz. Gdy nie przetrzymywały, klecili je od nowa. Lucy pokazywała Eldredom przybudówki z arkuszy

blachy, przylegające do ścian normalnych domów. W nich również mieszkali ludzie. Ich dzieci, nagusieńkie, jeśli nie liczyć nanizanych na sznur paciorków wokół bioder, bawiły się w pyle. Lucy, z torebką w rękę, dopasowaną kolorem do pantofli, w świątecznym kapeluszu na wełnistej głowie, zatrzymywała się przy nich, zagadywała... Urządzenia sanitarne? Lepiej o tym nie wspominać. Nawet zresztą dom misyjny miał tylko drewniane wygodki z wiadrami, które codziennie opróżniał Jakob Malajane, zatrudniony poza tym jako ogrodnik.

Lucy podkreślała, że sklepy prowadzone przez Hindusów i Chińczyków są dobrze zaopatrzone i schludne. Właściciele kilku z nich znała osobiście. Porządni ludzie, jak poprosić, odłożą nawet coś pod ladę do czasu, kiedy będzie się miało pieniądze, żeby za to zapłacić. „Szkoda tylko, że tak często zdarzają się napady” - ubolewała Lucy. „Przychodzą źli ludzie z nożami i pałkami, dźgają i biją sklepikarzy, i zabierają, co chcą. Nie tylko młode łobuziaki, których można by jeszcze wychować. Dorośli mężczyźni też”. Szerzej już Lucy na ten temat się nie rozwodziła, chciała tylko ostrzec Ralpa i Annę, których uważała za parę godnych politowania dzieciaków. Nie rozwodziła się również na temat burdela i pijackich melin. W końcu państwo Standish też przecież obyli się bez tych wiadomości.

Prowadzała za to Annę i Ralpa na spotkania a to ze śpiewaczkami z kościelnego chóru, a to z saksofonistą miejscowego jazzbandu, a to z kolorową kobietą o zgrabnej talii, która prowadziła w Elim dziewczęcą drużynę skautowską. „To wszystko porządni ludzie, z zasiedziały rodzin” - podkreślała. Kiedyś podczas wędrówek po mieście natknęli się na majestatycznego mężczyznę o bardzo czarnej skórze, ubranego w sutannę i dzierżącego pastorał. Prowadził pod rękę żonę: długą, purpurową suknią zamiatała kurz z trotu-aru, nosiła naszyjnik z kości. Lucy wyjaśniła: -To nasz biskup Kwakwa z małżonką. Z takiej afrykańskiej sekty, ma się rozumieć. Nie z prawdziwego kościoła.

Dzień przy Flower Street rozpoczynał się o szóstej rano, lecz Anna i Ralph budzili się wcześniej. Zasłony w ich sypialni, brązowe, rozjaśnione purpurowym wzorem, były dość cienkie, poza tym nie stykały się szczelnie pośrodku okna. Każdego więc ranka, zaraz po wschodzie słońca, snop ostrego światła padał na poduszki i nawet przez zamknięte powieki raził w oczy.

W kuchni panował już ruch, a na ogniu bulgotał garnek z kukurydzianką. Jakob rąbał drwa, potem człapał do swych ogrodowych zajęć. Pochodził z prowincji, twarz miał poobijaną jak bokser. Jak wyjaśniała Lucy, cierpiał na padaczkę, a ludzie z jego wsi mieli zwyczaj podczas każdego ataku obrzucać go kamieniami, żeby wypędzić diabła. „Straszna ciemnota, ot co” - konstatowała z wyższością. Anna i Ralph chadzali na jutrznię; do kościoła było pięć minut drogi. Ojciec Alfred nieodmiennie ścisnął im ręce, jakkolwiek widywał się z nimi codziennie przynajmniej dwa razy przed południem i dwa razy po południu, i kiedy tylko jeszcze miał ochotę. Ojciec Alfred był niedużym, niespokojnym, jakby wciąż zastraszonego człowieczkiem. Na brunatnej twarzy stale miał lekki uśmiezek, a w oczach wyraz tłumionego zdziwienia.

Po jutrzni Anna musiała omówić z kucharką Rosinah sprawę posiłków na bieżący dzień. Porcje musiały być przygotowane z rezerwą, by dało się nakarmić każdego niespodziewanego przybysza. Nikt wszak nie potrafił przewidzieć, co też dzień przyniesie.

Misja zatrudniała wielu pracowników, z których nikt się nie przepracowywał. Ludzi angażowano zwykle ze względu na jaskrawo pechowe życiorysy, a nie z powodu uzdolnień czy biegłości w tym, co mieli robić. Jakob, który większą część dnia przesypiał pod drzewem, miał za pomocnika chłopaka nie tylko bez rodziców, lecz w ogóle bez żadnej rodziny, jeśli nie liczyć jakichś nie do odnalezienia krewniaków w Durbanie. Chłopak ów trawił czas na apatycz-

nym przegarnianiu ziemi w ogrodzie lub na mozolnym wyplataniu mioteł. Przynosząc wstyd misji, wciąż paradował w łachmanach, każde bowiem porządne ubranie, jakie dostawał od Ralpa, przeznaczał na sprzedaż. Wyglądało na to, że uparł się na zawsze pozostać żywym symbolem niedoli. Kucharka Rosinah siadywała najczęściej na krześle wciśniętym w kąt obok kuchennego pieca. Przez zawsze otwarte tylne drzwi kuchni, które prowadziły wprost na podwórze, mogli swobodnie wchodzić i wychodzić jej liczni znajomkowie. To była nieustanna procesja. Anna witała zawsze wszystkich z uśmiechem, nie mogła jednak nie zauważyć, że każdy, kto zachodził do Rosinah na ploteczki, dostawał coś do zjedzenia z misyjnych zapasów. W ten sposób zaprzyjaźniona z kucharką połowa Elim była lepiej odżywiona niż ta druga.

Przyjaźń z Rosinah bywała jednak ryzykowna. Kucharkę znano z tego, że miała zwyczaj ścigać od czasu do czasu co poniektóre osoby przez podwórze z jakąś podręczną bronią w garści; pół biedy, jeśli z drewnianą łyżką, gorzej, jeśli z tasakiem do mięsa. Te wybuchy złości nie wynikały z żadnych konkretnych przyczyn, dla ich wzbudzenia nie trzeba było niczym zawinić. I nie dało się im w żaden sposób zapobiec. Należało uciekać, to wszystko. Po kilku dniach ofiara gniewu kucharki mogła znowu się zjawić, i zazwyczaj, mimo zdenerwowania, zjawiała się, skruszona perspektywą otrzymania na zgodę miski zupy czy skibki chleba.

Rosinah nigdy nie opowiadała o swej przeszłości. Z całą pewnością jednak musiało zaistnieć w jej życiorysie coś szczególnego, wykraczającego poza ramy odpędzanych codzienną modlitwą zagrożeń ogniem, chorobą i nagłą śmiercią, co tak fatalnie zaważyło na jej usposobieniu. Główną, codzienną ofiarą rozchwianego temperamentu kucharki była jej pomocnica Dearie, dziewczyna słabowita i w dodatku kulawa, zawsze w ciąży i zawsze z chorym dzieckiem w chuście na plecach.

Annie powiedziano, że wszystkie dzieci Dearie umierały. Każde kolejne rodziło się węższe od poprzedniego, to obecne było już trzecie, a może czwarte. Anna postanowiła je uratować. Doradzała dziewczynie pójście z dzieckiem do lekarza; Dearie nieodmiennie mamrotała z opuszczoną głową, że już była.

Annie nie wypadało sprawdzać. Postarała się więc tylko

0 mleko w proszku i sucharki, i wpatrywała się codziennie w małą zasuszoną twarzyczkę. Dzieci Dearie odchodziły zawsze nocą, wydawały ostatnie tchnienie, gdy wszyscy inni spali. Tak się rzecz przedstawiała przynajmniej z pozoru, bo Rosinah, wpadłszy w furję, twierdziła, że Dearie sama je morduje. Dearie męża nie miała - ani teraz, ani chyba nigdy przedtem. „Jeden raz to jeszcze można wybaczyć dziewczynie, ale to, co ona robi, to przecież jawna obraza moralności!” - stwierdziła kiedyś Lucy Moyo. A Anna na to, że zdawało jej się, że trzeba wybaczyć po siedmiokroć siedemdziesiąt razy. Lucy spojrzała na nią ze zdziwieniem. „Może coś jest nie w porządku z moją znajomością Biblii?” - pomyślała Anna. „Może to Bóg tyle razy wybacza, a nie człowiek?”

Sprzątaniem i praniem w domu misyjnym zajmowała się kobieta imieniem Clara. Była wychowanką misji, miała małą maturę. Ralph i Anna doskonale wiedzieli, że wstydzi się wykonywanej pracy, że czuje się poniżona tym, co robi. Ilekroć więc prosiła, dostawała znakomite referencje, rekomendujące ją do pracy a to w sklepie, a to na poczcie czy na stanowisku sanitariuszki w szpitalu. Zawsze jednak odprawiano ją z kwitkiem. Wracała więc do domu misyjnego

1 bez słowa, ze wzrokiem wbitym gdzieś w przestrzeń, brała szczotkę i zaczynała zmiatać.

Clara miała kiedyś męża, ale ten zniknął, zostawiając ją samą z czwórką małych dzieci. Były grzeczne, matka jednak stawiała im tak straszliwie wysokie wymagania, jeśli chodzi o dyscyplinę i pilne zajmowanie się wyłącznie pożytecznymi rzeczami, że mało kiedy była z nich zadowolona. Co wieczór kazała malcom recytować z pamięci wersety z Biblii. Przy

każdej pomyłce sięgała po różgę. Po domu niosły się cieniutkie, przypominające pomiaukiwanie kotów okrzyki bólu. Czy można było zabronić Clarze takiego postępowania? Chciała przecież tylko, żeby dzieci były inne niż ich ojciec, a wierzyła, że tylko pręgi na udach mogą je uchronić przed życiem w pijaństwie i upodleniu i ostatecznie przed ogniem piekielnym.

Dość łatwo było zrozumieć, dlaczego pracodawcy nieodmiennie odprawiali Clarę, choć trudno wyrazić to w słowach. Miała w sobie coś, co wzbudzało niepokój. Nie taką, jak Rosinah, jawną agresję. Raczej pustkę, która mogła się w każdej chwili wypełnić czymś groźnym.

Każdego ranka po śniadaniu Ralph znikał w klitce, którą nazywał gabinetem, żeby zająć się korespondencją i rachunkami: szczegółowym i skrupulatnym notowaniem najdrobniejszych wydatkowanych sum. Anna natomiast udawała się do przedszkola. Prowadzenie tego przedszkola było niemałym przedsięwzięciem: sto pięćdziesięcioro dzieci pod opieką dwudziestu czy nawet trzydziestu wolontariuszek. Opiekunki zmieniały się według niesamowicie skomplikowanego rozkładu dyżurów, w którym same jakoś, tam się orientowały, Anna natomiast ani trochę. Każdego ranka należało poubierać dzieci w niebieskie fartuszki zapinane z tyłu; to było pierwsze zadanie dnia - powpychać rozbrykane ramionka w rękawy. Przedszkole zatrudniało dwie kobiety do prania fartuszków pod koniec tygodnia i jedną kobietę do codziennego gotowania zupy kukurydzianej na południowy posiłek. Dzieci trzeba było karmić, kłaść na poobiednie leżakowanie, pilnować podczas zabaw na huśtawkach, zjeżdżalniach i drabinkach, ważyć i mierzyć, opowiadać im historyjki. Chętnych do przedszkola nie brakowało; lista dzieci oczekujących na miejsce była zawsze znacznie dłuższa od aktualnej listy wychowanków.

Dzieci, które skończyły siedem lat, nie można było już dłużej zatrzymywać w przedszkolu. Musiały iść w niebez-

pieczny świat, na owe dwie i pół godziny nauki w szkole, na jakie zezwalały nowe prawa, a po lekcjach na łaskę losu. Ich matki, o ile udawało im się znaleźć jakąś pracę, oczywiście podejmowały ją. Niechętny i niedbały nadzór nad dziećmi sprawowali wówczas krewni albo starsze rodzeństwo. Jeśli i takiej opieki brakowało, dzieciom pozostawała ulica.

Garstce małych szlifibruków misja była w stanie zapewnić opiekę w ramach czegoś, co nazywano „grupami wspólnej zabawy”. Dawano tym dzieciom zupę i chleb, i owoce, jeśli udało się je zdobyć. Próbowano je jakoś zająć w miły i pożyteczny sposób: grami, robótkami ręcznymi... Starano się dopilnować, by żadne z nich nie zeszło na złą drogę.

Gdyby misja dała swoim małym podopiecznym książki do czytania, złamałaby prawo. Tylko czy takich absurdalnych praw faktycznie trzeba było przestrzegać? Niestety. „W mieście pełno jest takich, co donoszą policji dla marnych paru pensów!” - poinformowała Annę ściszym głosem Lucy Moyo. „Musi pani o tym pamiętać, Mrs Eldred”.

Anna dla siebie nie miałaby odwagi poprosić nikogo o nic, ale mając pod opieką dzieci robiła się znacznie śmielsza. Nachodziła właścicieli sklepów w białych dzielnicach, błagając, aby pomogli jej uzupełnić dzienne racje stawy dla podopiecznych. Napraszała się w magazynach z warzywami o obite jabłka, a w piekarniach o wczorajszy chleb. Poszukiwała ludzi gotowych ofiarować bodaj drobne sumy na rzecz tych dzieci, których rodzice nie byli w stanie wnieść niewielkiej comiesięcznej opłaty za przedszkole. Każdego dnia stawiała sobie jakieś zadanie: tyle a tyle bezczelnych próśb, tyle a tyle uporczywych żądań...

Trudno jej było pracować w domu, ponieważ ciągle ktoś tam się kręcił, zachodził - a to, żeby o coś zapytać, a to, żeby skorzystać z telefonu. Nie chcąc marnować czasu na niechciane pogaduszki, Anna urządziła sobie coś w rodzaju azylu. Jedno z pomieszczeń przedszkola miało magazynowe zaplecze, a ściśle mówiąc, taki trochę większy schowek.

Tam, wciśnięta pomiędzy ścianę i zbity z surowych desek stół, który zastępował jej biurko, Anna wystukiwała dwoma palcami na zardzewiałej maszynie do pisania kolejne pro-szalne listy. Ralph mawiał, że to już taka praca, to, co robią, która robi z ludzi żebraków. Prawie nigdy niczego nie można po prostu kupić, bez względu na to, jak bardzo byłoby potrzebne. Trzeba załatwiać, organizować, apelować, pożyczać, wyłudzać, przymilać się...

Drzwi gabinetu Ralpha w domu misyjnym były zatarasowane przez sterty papierów. Inne papiery, w wysokich, chwiejnych stosach, które w każdej chwili groziły rozsypaniem się, leżały wszędzie, gdzie się tylko dało.

- Jak myślisz, czy diecezja mogłaby mi kupić jakąś szafę na akta? - zapytał kiedyś Annę, lecz nie czekając na jej odpowiedź od razu odrzucił tę myśl. - Nie! - stwierdził. - Są przecież znacznie pilniejsze potrzeby.

Często pod koniec dnia w przedszkolu pozostawały nie odebrane dzieci. Bywało, że ktoś z opiekunów po prostu o nich zapomniał. Częściej jednak zdarzało się to z powodu poważniejszych i bardziej kłopotliwych spraw, rujnujących porządek życia rodzinnego w domach malców. Anna zabierała splakane, albo przeciwnie, oniemiałe, osłupiałe ze strachu dzieci ze sobą. Częstoowała je herbatnikami, starała się pocieszyć. I wysyłała kogoś, by wybadał, co się stało. Jakaś nagła choroba w domu?

Aresztowanie?

O tej porze dnia Ralph zazwyczaj bywał na posterunku policji. Każdego ranka bowiem policjanci wychodzili na ulice i robili obławę na ludzi bez dokumentów. Spędzali wyznaczony na dany dzień kontyngent w jedno miejsce, zakuwali pojmanych dwójkami w kajdanki i wywozili ciężarówką do aresztu. Czarni policjanci, ci od czarnej roboty... „Jak mogą coś takiego robić?” - dziwił się początkowo Ralph. Wkrótce jednak doszedł do wniosku, że dla nich to być albo nie być. Pewien biały sierżant utwierdził go w tym przekonaniu.

Po południu krewni aresztowanych ściągali do misji i opowiadali, co się wydarzyło: „Nasz syn wyszedł tylko na chwilę do sąsiada”, mówili. Albo: „Moja siostra wyskoczyła do sklepu i zostawiła paszport w domu”. Ralph szedł na posterunek i uwalniał ludzi, płacąc za nich grzywny. „W przyszłym tygodniu - uprzedzał przedtem krewnych - będziecie musieli oddać mi te pieniądze, zrozumieliście?” Musiał odzyskać pieniądze, inaczej misja pozostałaby bez funduszy i trzeba by obciąć wydatki we wszystkich innych dziedzinach. Wciąż też przypominał ludziom, by zawsze mieli przy sobie papiery, ilekroć wychodzą poza próg własnego domu.

W ten sposób współpracował w pewnej mierze z rządem we wdrażaniu nowych praw. Nie cierpiał tego robić, jednak nie wysłano go do Afryki, żeby zachęcał ludzi do łamania miejscowych przepisów. To wiedział sam, a wuj James wciąż dodatkowo przypominał mu o tym w listach. Nie był w Afryce potrzebny jako bohater albo męczennik; miał robić wszystko, na co tylko było go stać, ale dostosowując się do warunków, w jakich się znalazł.

Pisał do Jamesa, że ludzie nie głodują. Ze nawet najuboższych stać na odzienie i strawę. Zaznaczał jednak, że żyją na skraju przepaści. I że spycha ich w nią już nawet kilkudniowa choroba, utrata paru pensów z tygodniowych dochodów. Pisał, że matki starają się wychowywać swe dzieci tak, by były czyste, by potrafiły się odpowiednio zachować i by umiały czytać i pisać. Wierzą, że przed ich synami i córkami rysuje się jakaś przyszłość. Z oczu samych dzieci można jednak wyczytać, że z większą niż rodzice przenikliwością widzą przyszły bieg rzeczy.

Anna dochodziła do wniosku, że w kraju, gdzie się znaleźli, nie ma właściwie niczego, co mogłoby człowieka podbudować, podtrzymać na duchu. Chyba, że jakiś powszedni drobiazg, choćby kolejny rządęk wydziergany na drutach. Zbliżała się zima, więc kobiety dziergały z wytrwałością i zapalem. W środy zbierało się kółko krawieckie; w jego

spotkaniach Anna również czuła się zobowiązana brać udział. Lucy Moyo albo któraś inna niewiasta o mocnym głosie czytała urywki z Nowego Testamentu. Słowo boże uskrzydlało palce szwaczek i wzmacniało ich przygięte plecy. Annie przychodziło czasem do głowy, że w zestawieniu z tymi pełnymi żarliwej wiary czarnoskórymi kobietami Martinowie z East Dereham to bezbożni hedoniści, a Eldredowie z Norwich - rozpustni poganie.

Czwartek był dniem kobiecych spotkań w kościele. Członkinie Unii Matek nosiły nakrochmalone białe bluzki i czarne spódnice. Do bluzek przypinały specjalne broszki. Głowy nakrywały czarnymi bawełnianymi chustkami. Matki niezamężne - o ile wykazywały skrucę - mogły również nosić taki ubiór, zawsze jednak, dla odróżnienia, bez broszki.

Kobiety należące do kościoła metodystów ubierały się w czerwone bluzki i czarne spódnice. Te z holenderskiego kościoła reformowanego nosiły czarne spódnice i białe bluzki z dużymi czarnymi kołnierzami. Metodystki wyglądały przy nich dość kokieteryjnie,

W każdą niedzielę Dearie zniknęła na kilka godzin. Anna nie wiedziała, co o tym myśleć, niepokoiła się, dopóki Lucy Moyo nie udzieliła jej następujących wyjaśnień:

- Nie ma się co martwić, Mrs Eldred. Ona chodzi do kościoła biskupa Kwakwy, przez cały dzień śpiewa i tańczy. Podoba się jej tamtejszy strój ze wstążkami, wykrzykiwanie, całe to paskudne widowisko. I ten błazen pastor z wiadrem święconej wody.

Popołudniami przy Flower Street odbywały się zebrania rozmaitych komitetów charytatywnych. Gdy się kończyły, Anna i Ralph, tłukąc się misyjnym samochodem po zrytych koleinami drogach, jeździli zazwyczaj w odwiedziny do chorych. Około czwartej na ulicach pojawiały się podejrzane postaci: do Elim ściągali młodzieńcy, którzy przez cały dzień wałęsali się bez zajęcia po bezdrożach podmiejskiego veldu.

Z wybiciem piątej owi młodzieńcy tkwili już na swych stałych posterunkach przed kawiarniami, gdzie wystawali w nonszalanckich pozach, od czasu do czasu przekazując sobie z ręki do ręki papierosa. Czekali na zmrok... O zachodzie słońca Ralph i Anna wracali do domu. Gdy dojeżdżali do rogu ulicy, spoza którego widać było już misję, Ralph nieodmiennie mógł zaobserwować, jak Anna blednie. Siedziała na swym miejscu obok kierowcy w napięciu, latem spocona i zapiaszczona, zimą przemarznięta do szpiku kości. Marzyła tylko o tym, by umyć się i zjeść kolację, o niczym więcej. Jednak póki nie minęli tego ostatniego, decydującego narożnika ulic, nigdy nie mogła być pewna, czy coś nie przeszkodzi jej niewygórowanym marzeniom się spełnić.

Zawsze bała się, że przed wejściem do domu ujrzy grupkę mężczyzn oczekujących na nią i Ralpha z jakimś problemem, którego sami nie byli w stanie rozwiązać. Co mogło być jeszcze gorsze, to tylko widok całej rodziny, oczekującej z niemożliwym do rozwiązania problemem. Jeśli czekała grupka mężczyzn, Ralph i Anna zmuszeni byli zazwyczaj wsiąść z powrotem do samochodu i pojechać na posterunek policji, celem udobruchania funkcjonariuszy i zapłacenia za kogoś grzywny. Natomiast jeśli czekała rodzina, z reguły trzeba się było zatroszczyć o zapewnienie jej posiłku i jakiegoś schronienia na noc - co najmniej o to, w najlepszym przypadku. Dlatego Anna czuła przyspieszone bicie serca i gorzkawy smak żółci w ustach, kiedy zbliżając się do domu widziała, że ktoś jest na ganku.

Wieczory przy Flower Street...

Anna i Ralph niemal nigdy nie mieli ich dla siebie. Przy kolacji zwykle ktoś im towarzyszył: ojciec Alfred, któraś z nauczycielek przedszkola, ktoś z komitetu charytatywnego z nie załatwioną wcześniej sprawą. Gdy przychodziła pora pójścia do łóżka, młodzi małżonkowie często byli już zbyt zmęczeni, żeby się kochać, a zawsze, żeby rozmawiać. Noce rzadko kiedy zdarzało się im przespiać spokojnie.

Budzono

ich, bo a to jakaś kobieta zachorowała, a to miał miejsce jakiś wypadek, a to jakiś młodzik został zraniony w pijackiej burdzie.

Noc była w Elim porą pobić, napadów, rabunków i gwałtów. Każdy z takich pożałowania godnych incydentów sprawiał, że urzędnicy w Departamencie d.s. Tubyłców kiwali głowami i zaczęli rozprawiać o „problemach wynikających z nadmiernego skupienia czarnej ludności” oraz o „łamaniu prawa i porządku”. Nie dostrzegali w Elim kobiet z Unii Matek, w wykrochmalonych bluzkach; widzieli tu tylko gniazdo szubieniczników. Popularnym wśród chuliganów narzędziem występku była zaostrzona szprycha od roweru. Zachodzili upatrzoną ofiarę od tyłu i wbijali jej szprychę w udo. Oślupiałemu z bólu nieszczęśnikowi z łatwością opróżniali kieszenie i ulatniali się.

Zamykanie na noc wszystkich drzwi domu misyjnego na klucze, zasuw i sztaby było stałą, uciążliwą procedurą. Niby konieczną, choć właściwie mijającą się z celem. Gdy ktoś dobijał się w ciemnościach i tak przecież trzeba było go wpuścić. Nawet jeśli wykrzyczał zza zamkniętych drzwi imię i nazwisko, które nikomu z domowników nic nie mówiło.

W sobotnie popołudnia na ganku od strony podwórza Anna i Ralph rozdawali potrzebującym to, co udało się zgromadzić przez cały tydzień dzięki darom białych organizacji charytatywnych: warzywa, mąkę kukurydzianą w workach, cukier przesypywany z worków do papierowych torebek, konserwy, odzież. To znaczy wierzyli, że rozdają potrzebującym, bo naiwnie ufali, że nikt bez faktycznej potrzeby po dary nie przychodzi. Lucy Moyo miała w tej kwestii całkowicie odmienne zdanie; nie wypowiadała go wprawdzie na głos, ale aż nadto wyraźnie sugerowała niecierpliwym cmokaniem i wznoszeniem oczu ku niebu.

W sobotnie popołudnia w Elim odbywały się pogrzeby ze śpiewaniem hymnów i głośnym zbiorowym lamentowaniem. Misja starała się napełnić wygłodniałe żołądki żałobników. Ralph mawiał: Cud by się musiał stać, ni chybi, By kramarz, szpetny sknera, Dał komuś bodaj ogon rybi Albo okruszek sera.

O zachodzie słońca rozpoczynały się stypy i przyjęcia. Z rąk do rąk krążyły emaliowane kubki z piwem z sorgo, przypominającym z wyglądu niemowlęce wymiociny. Na podwórzach grały gramofony. Tańczono przy wtórze bębnow długo w noc. Gdy któryś z gości miał dosyć, po prostu owijał się w koc i kładł się na ziemi spać.

Niedzielne przedpołudnia były porą kościelnych procesji. Matki szły w swoich organizacyjnych uniformach, ich synowie w starannie odczyszczonych garniturach. Trochę później dziewczynki dreptały na zajęcia w niedzielnej szkółce. Włosy miały starannie pozwiązywane wstążkami i gumkami; były poubierane w świąteczne sukienki z hinduskich sklepów, dołem wykrochmalone tak sztywno, że drapały się nimi nawzajem po nogach; nosiły białe rękawiczki i białe torebki, przewieszane przez szczupłe nadgarstki. Za rok lub dwa te same dziewczynki miały zacząć oszczędzać na krem do rozjaśniania cery. Miały błagać rodziców, aby z okazji urodzin dali im pieniądze na fryzjera, który znał sztukę prostowania włosów. I każda miała usłyszeć: „Poczekaj, aż będziesz starsza, jak skończysz piętnaście lat. Wtedy zobaczymy...”

W niedzielne przedpołudnia, po mszy, mężczyźni z Elim odwiedzali fryzjera, który rozkładał swoje przybory na wolnym powietrzu, pod drzewami. Popołudniami odbywały się mecze piłkarskie. O tej porze Anna i Ralph zapraszali na podwieczorek ojca Alfreda i katechetów ze szkółki niedzielnej. Anna przygotowywała na tę okazję ciasto; z twarzy Lucy Moyo nieodmiennie mogła wyczytać, że jej zbyt płaskie placki nigdy nie dorównują wypiekom pani Standish. Po niedzielnej popołudniowej herbatce Anna i Ralph mogli krótko być sami. Ralph tulił żonę, która padała ze zmęczenia i wyplakiwała mu się w ramię.

- Nie powinienem był cię tu przywozić, kochanie - szeptał. - Ale teraz nie możemy wracać do domu. Tak mijały tygodnie i miesiące. Anna i Ralph tak bardzo z czasem zatracili się w swoich trudnych obowiązkach, że nie potrafili już nawet wyobrazić sobie jakiegoś innego życia.

Anna całkiem zapominała, co znajduje się pod powierzchnią. Widziała tylko spieczoną słońcem ziemię i wycemento-wane posadzki, ścieżki mrówek i szlaki karaluchów. Dopiero Ralph przypominał jej prawdę, że w Południowej Afryce chodzi się po diamentach i złocie.

Każdego wieczoru, o zmierzchu, kobiety rozpałały kok-sowniki. Dym wzbijał się pod ciemniejące niebo i rozpościerał się ponad miastem mgiełką błękitną i ulotną jak oddech aniołów. Każdego wieczoru, gdy kobiety rozpałały kok-sowniki, jakiemuś berbeciowi z Elim zdarzało się poparzyć.

W Elim były wprawdzie szpitale, ale ofiary nieszczęśliwych wypadków i tak ściągaly do misji - na własnych nogach, w ramionach matek, kuśtykając pomiędzy dwójką przyjaciół i pozostawiając za sobą krwawy ślad. Pani Stan-dish była z zawodu pielęgniarką, więc ludzie jakoś nie mogli zrozumieć, że Anna nią nie jest.

- Trzeba pamiętać, co się umie, a co nie - odezwała się kiedyś do Ralpa. - Byłoby mi o wiele lżej na sercu, gdybyśmy mieli lekarza na wezwanie.

- Prawdę mówiąc mamy Koosa na wezwanie. Chociaż bez umowy - odparł Ralph.

Koos przyjmował w parterowym budynku z przykurzonymi ścianami i blaszanym dachem przy Victoria Street. Była tam poczekalnia, gabinet i dodatkowe pomieszczenie w głębi, gdzie Koos sypiał na polowym łóżku. W podwórzu znajdowały się dwa baraczki: jeden służył za kuchnię, a w drugim miał laboratorium i równocześnie rodzaj garsoniery aptekarz Koosa, Luke Mbatha.

Koos mógł mieć lat trzydzieści, ale równie dobrze i czterdzieści. Miał płową czuprynę i zmęczoną twarz; uśmiechał

się bardzo rzadko, choć wydawało się, że usposobienie ma dobrotliwe. Chodził w jasnoszarych krótkich spodniach, nogi miał żylaste i upstrzone piegami, kolana wydatne i sterczące. Jego twarz i przedramiona były stale zaczerwienione z powodu szorowania ostrym antyseptycznym mydłem. Ralphowi zdarzyło się umyć raz ręce w gabinecie Koosa; miał potem wrażenie, że mu zejdzie skóra. Koos miewał bardzo wielu pacjentów. Płacili mu za wizytę po parę miedziaków.

- Ale płacić muszą - tłumaczył kiedyś Ralphowi. - Jak by nie płacili, nie mieliby do mnie zaufania, możesz to pojąć? Dałbym im za darmo lekarstwo, zaraz by pomyśleli: „Pewnie nic nie warte, kiedy nic nie kosztuje”. I wyrzuciliby je zaraz po wyjściu z gabinetu.

Ralph pokręcił głową i powiedział:

- Anna próbuje namówić dziewczynę, która pracuje u nas w kuchni, Dearie, żeby przyniosła do ciebie swego niemowlaka. Anna się martwi o to dziecko, mówi, że nie przybiera na wadze. Dearie nie daje sobie przetłumaczyć, że coś może być nie w porządku, ale po cichu pewnie też się martwi, tak sobie myślę. Wiesz, my jakoś nie możemy rozgryźć tej dziewczyny. Pozawiazywała dzieciakowi na rączkach i nóżkach kolorowe tasiemki. Wczoraj Annie się zdawało, że maluch pewnie wypadł Dearie, bo miał na główce jakby wielkiego siniaka, tymczasem to była tylko plama z jakiegoś popiołu, którym go nacierała.

- Wygląda na to, że odwiedziła któregoś z moich konkurentów - rzekł Koos.

- Chyba nie zaszkodziła dziecku? - zaniepokoił się Ralph.

- Najwyżej tym, że opóźniła prawdziwe leczenie - wzruszył ramionami Koos. - Widzisz, ona prawdopodobnie podejrzewa u malucha jakąś afrykańską chorobę.

- A są takie?

- Tutejszym ludziom zdaje się, że tak. W ich mniemaniu biały człowiek nie potrafi pojąć mechanizmu tych chorób.

I to nawet jest racja, do pewnego stopnia. Bo kiedy na przykład przychodzi do mnie pacjentka i skarży się na kołatanie serca, omdlenia, duszności, mogę ją osłuchać i wysłać próbkę krwi do analizy, to wszystko. Ale prędzej czy później i tak będę musiał ją spytać : „Słuchaj no, kobieto, a do którego ty kościoła chodzisz? Tańczyłaś może w kościele? Nawiedził cię duch?”

- Też coś, przecież oni nie są barbarzyńcami! - zachnął się Ralph.

- Nie są, powiadasz? - Koos uniósł wysoko swoje płowe brwi. - Człowieku, za krótko ich znasz, żebyś mógł coś sensownego powiedzieć. Wiesz, co ja o tym myślę? Myślę, że wszyscy jesteśmy!

Ralph zawsze miał chęć zapytać Koosa: „Czemu właściwie tkwisz w tym mieście?” To coś takiego, jak przy spotkaniu z jednonogim: koniecznie chciałoby się wiedzieć, co mu się przydarzyło.

Wypadek? Choroba? Człowieka korci, żeby spytać, chociaż z góry wie, że tamten mu prawdopodobnie nie odpowie.

Minęło sześć miesięcy pobytu w Elim. Ralph pisał do wuja Jamesa:

Radzilibyśmy sobie lepiej, gdyby doba miała trzydzieści godzin, a tydzień dziewięć dni. Z drugiej strony, w zasadzie nie jestem pewien, czy z tej naszej pracy wynika w ogóle jakiś pożytek. Nie mamy prawie czasu, żeby się zatrzymać i pomyśleć. Może to i lepiej? Tak czy inaczej, przynajmniej raz w tygodniu wypada nam decydować o czymś, co wydaje się raczej kwestią zasad niż kwestią procedury, i nie ma do kogo z tym pójść i porozmawiać. Owszem, jest w pobliżu afrykanerski lekarz, jak myślę, nawet niezły człowiek i z dużym doświadczeniem, ale on widzi świat na tyle inaczej niż my, że nie mógłbym poprosić go o radę, bo pewnie i tak bym jej nie zrozumiał.

Kiedy musimy podejmować taką decyzję w kwestii zasad, zwykle mówimy, że mamy „problem koca”. Taki sobie wymy-

śliliśmy skrót, kryptonim na wszystko, co nas wytrąca z równowagi w sensie etycznym. Skąd się wziął? Teraz jest zimno, więc niektórzy ubodzy ludzie przychodzą do nas i proszą o koce. Mamy te koce, możemy zdobyć jeszcze więcej, więc rozdajemy. Zdaje się jednak, że nasi poprzednicy, państwo Standish, mieli zwyczaj odwiedzać obdarowanych w ich domach i sprawdzać, czy koce były rzeczywiście potrzebne, czy czasem nie poszły na sprzedaż. Anna i ja uważamy, że to byłoby okropne, tak szpiclując, po prostu poniżające i dla nas, i dla nich. Ale według Lucy Moyo, jeśli zrezygnujemy z tej procedury, zostaniemy uznani za głupców!

I co mam zrobić? Myślę, że gdybym przed wyjazdem przeszedł w Anglii jakieś szkolenie, byłbym świadom, że mogę tu stanąć przed tego typu problemami sumienia. Chociaż może przesadzam, może to są tylko zwykłe problemy techniczne? Tak czy inaczej obstaję przy jednym: nie byłem odpowiednio przygotowany do wyjazdu do Afryki. Anna powiada: "Jaki jest sens tych wszystkich naszych wysiłków?" I może ma rację, bo cóż jest w stanie zdziałać jednostka przeciwko systemowi politycznemu, który, jak się zdaje, z każdym dniem robi się coraz bardziej wsteczny i okrutny? Próbuję nakłaniać ludzi, żeby myśleli perspektywicznie, żeby wykazywali inicjatywę, pomagali sobie nawzajem. Ale jaki w tym sens, skoro wiemy, że za pięć lat tego naszego miasta w ogóle nie będzie?

Lucy Moyo, w swój jak zawsze bezceremonialny sposób, zreferowała Annie historię Koosa:

- Doktor prowadził się z jedną taką kolorową dziewczyną. Kiepskiego sortu, rozumie pani - roześmiała się. - Ta dziewczyna myślała, że on ją chce za forszę. A doktor myślał, że ona go chce z miłości.

Anna powtórzyła opowiadanie Ralphowi.

- I ta kolorowa dziewczyna urodziła dziecko, wiesz? Był skandal że hej, jak na takie nieduże miasto! - mówiła wpadając z emocji w zaśpiew, jakiego jej angielszczyzna nabra-

la pod wpływem języka afrikaans, z którym nieźle się osłuchiwała i którego trochę nawet zdołała się nauczyć.

- Domyślam się - pokiwał głową Ralph. - Dobrze, że to się wydarzyło wtedy, kiedy jeszcze mogło być tylko skandalem, a nie przestępstwem. Co się stało z tą kobietą i tym dzieckiem? Czy Lucy wie?

Anna wróciła do czysto wyspiarskiego akcentu, mówiąc:

- Och, Lucy nigdy nie poniżyłaby się aż tak, żeby wiedzieć coś takiego!

Ralph często myślał o doktorze, o tym jego ciągłym myciu rąk zracym mydłem, o tym, czy ma jakiś dom poza tą kłitką z łóżkiem polowym. Wyglądało na to, że nie...

Wujek James odpisał:

Mój drogi Ralphie, oczywiście, że nie byłeś przygotowany do wyjazdu do Afryki. Wyjechałeś ze względu na własne potrzeby, a nie na potrzeby ludzi, którym masz służyć. Nie obwiniaj się z tego powodu. Zwykle z Europejczykami tak bywa. Gdy dochodzimy do wniosku, że na starym kontynencie utraciliśmy poczucie celu, wysyłamy nasze wątpliwości i rozterki na eksport. Znam ludzi, którzy, moim zdaniem zupełnie nierozważnie, decydowali się na wyjazd do Chin, żeby ratować rozsypujące się małżeństwo.

Problemy naszego własnego kraju wydają się nam tak skomplikowane, że nie widzimy sensu, by się z nimi borykać. Pozostawiamy to zawodowym politykom; płacimy im i niech się trują, skoro są tacy naiwni. Lecz jeśli chodzi o obce kraje, wydaje się nam, że rozwiązanie ich problemów jest dziecinnie łatwe, że to nic prostszego, zwłaszcza skoro jesteśmy tak bardzo pewni naszej linii moralnej. Dziwimy się: dlaczego tamci ludzie robią wokół wszystkiego tyle zamętu? Przecież wyraźnie widać, co należy zrobić!

Ależ jesteśmy mądrzy! I jacy życzliwi! Oczywiście dopóki nie przyjedziemy i nie poznamy realiów. Zakłada się, że ludzie podejmujący pracę misyjną powinni zawczasu stłumić w sobie wszelkie wątpliwości i nie podrzucać

ich innym. Ale ja wiem z doświadczenia, że po przyjeździe na placówkę każdego ogarnia, o ile jest cokolwiek wart jako człowiek, istne morze zwątpienia.

Konieczniesz spróbuj więc, Ralph, nie obciążać się dążeniem, żeby być lepszym, silniejszym od innych. Po prostu rób, co możesz, i to wszystko. Zdaję sobie sprawę, że ta moja rada wygląda na wziętą z pogadanki dla przedszkolaków, ale naprawdę innej ci nie potrafię udzielić. Jak piszesz, wątpisz (czy też Anna wątpi), by jednostka mogła cokolwiek tam osiągnąć. A co się stanie, jeśli wszystkie jednostki, każda z osobna, skapitulują? To, co dajecie ludziom, to może i odrobina, ale bardzo cenna. Niebiosas im tego nie zeszlą, przeciesz wiesz. Bóg nie działas w tak bezpośredni sposób.

Każdy dzień przynosi nam wszystkim jakiś nowy problem do rozwiązania. Prawdas, ktoś mógłby dowodzić, że mając silną wiarę, bywas się z góry uwolnionym od wszelkich wątpiwości. Jednak co do mnie, nigdy w taką silną wiarę nie wierzyłem; zawsze może zaistnieć sytuacja wystarczająco kłopotliwas, by zburzyć wszelkie pewniki, jakieśmy na swój użytek przyjęli.

Nie powinienes przejmowas bezkrytycznie przekonań swego ojcas. Musisz poszukać własnej drogi. Żadnas twoja wątpiwość, żaden wewnętrzny konflikt nie jest sam w sobie oznaką braku wiary.

Przeciwniesz, ośmielę się powiedzieć, może być znakiem wewnętrznego rozwoju i duchowej wrażliwościs. I może dowodzić, ba, dowodzi z całą pewnością, że nie uznajesz tego świata za miejsce, gdzie wszystko jest proste i łatwe i gdzie wystarczają same dobre intencjes.

A co do twojego problemu z kocami: oczywiście, trzeba odwiedzas tych ludzi w ich domach. Czy nie przychodzi ci na myśl, że koc może być tylko pretekstem? Ze ludzie, którzy się do ciebie zwracają, mogą potrzebowas czegoś więcej, ale trudno jest im w inny sposób zwrócić na ten fakt twoją uwagę? I że być może nie wszystkie ich niezaspokojone potrzebjes mają materialny charakter?

„No tak, ale kimże ja jestem, bym potrafił te potrzeby rozpoznać?” - pomyślał Ralph odkładając list. Weszła Anna.

- Przerwałam ci pracę?

- Nie. Czytałem list od Jamesa.

- Też przeczytam, jak będę miała wolną chwilę.

Anna chciała przekazać Ralphowi ostatnie nowiny. Że dzieci z „grupy wspólnej zabawy” zamierzają urządzić występ. Że organizacja dobroczynna pań z Johannesburga przekazała misji używaną maszynę do szycia i że ona będzie szyla na tej maszynie kostiumy. Właśnie była u pana Ahme-da z Nile Street prosić o resztki materiałów.

Przez cały następny tydzień maszyna terkotała co wieczór. A w dach bębnił deszcz i ulicami płynęła rdzawobru-natna woda.

W tydzień później Ralph natknął się na Annę, gdy pożądlawie gładziła dłonią belę materiału. Była to miękka tkanina o delikatnym wzorze i zgaszonej, szarozielonkawej barwie.

- Pan Ahmed nam to przysłał - powiedziała. - Ma skazę, ale to nic, mogłabym z tego zrobić cudowne zasłony, gdybym tylko miała grubszy materiał do podszycia. Może u pana Ahmeda jeszcze by się coś takiego znalazło...

- No to bierz się za te zasłony, choćby dzisiaj po kolacji, jeśli nie jesteś zbyt zmęczona. Kostiumy przecież już prawie skończyłaś.

Anna pokręciła głową.

- Zasłony przecież już mamy, zapomniałeś? Z purpurowym wzorem. Lucy Moyo sama nam je uszyła, nauczyciele ze szkółki niedzielnej złożyli się na materiał. Ralph, powiedz mi - Anna spojrzała mężowi w oczy - czy to grzech troszczyć się o to, jak wyglądają rzeczy?

- Oczywiście, że nie.

- Bardziej jednak należy się troszczyć o to, co czują ludzie, jak myślę.

W ten sposób sprawa nowych zasłon została zamknięta. Anna odcięła trzy jardy materiału w miejscu, gdzie skaza była najmniej widoczna i uszyła sobie z niego powiewną spódnicę do pół łydki, lekko przymarszczoną w talii.

- Och, Mrs Eldred, jaka świetna z pani krawcowa! -stwierdziła Lucy. - Ta spódnica nie leżałaby lepiej, gdyby była uszyta w Paryżu. Tylko materiał, a niech to, taki budy! Wiem, wiem, trzeba korzystać z tego, co nam Bóg ześle...

Anna uśmiechnęła się. Pogoda się poprawiła. Każdego ranka słońce budziło młodych małżonków, wykorzystując calową lukę pośrodku okna, gdzie nie dochodziły zasłony.

Ralph napisał do Jamesa:

Jak żyć? Jaki sposób na życie byłby właściwy? Coraz mocniej przemawia do mnie idea, że należy żyć tak samo jak ludzie, wśród których się pracuje. Że dla chrześcijanina to jedyna droga. Dlaczego miałbym mieć więcej pieniędzy i wygod niż oni? Czy będę dla nich cokolwiek znaczył, zachowując dystans? (W tym momencie Ralph pomyślał o Koosie i o papce kukurydzianej z sosem, którą ten codziennie jadał na obiad.) Tak się zastanawiam, chociaż wiem, że ta idea może mieć niebezpieczne konsekwencje. I nie jestem wcale pewien, czy byłbym dość odważny, żeby wprowadzić ją w czyn.

James odpisał:

Czy posiadasz aż tak wiele, Ralph, żeby ludzie mieli ci zazdrościć? Czy muszę ci przypominać, że znajdujesz się siedem tysięcy mil od domu? (Wiem, możesz powiedzieć, że wyjazd z takiego domu to żadne poświęcenie, ale pozwól mi jednak zaznaczyć: nawet jeśli nie tęsknisz za nami, to my tęsknimy za tobą, twoją siostrą i ja, i bardzo często o tobie rozmawiamy.) W jednej chwili skarżysz mi się na swój los i byt, na trudy i braki, a zaraz za moment narzekasz na luksusowe warunki, w jakich przychodzi ci żyć!

Załóżmy, że zrównasz się z ludźmi, wśród których pracujesz, i zamieszkas w przybudówce na czyimś podujórku. Jaką też ewentualną korzyść przyniesie to komukolwiek? Cóż, ty może faktycznie poczułbyś się lepiej na tydzień czy dwa,' ale czy twoje samopoczucie jest problemem, o który w tym wszystkim chodzi? Kiedy takie życie stałoby się dla ciebie nie do zniesienia - a stałoby się bardzo szybko - po prostu byś uciekł. Zrejterował. I twoją próbę można by wtedy nazwać w najlepszym wypadku eksperymentem opartym na dobrych intencjach. A ludzie, którzy cię tam, w Afryce, otaczają, nie mogą uciec: ich wyrok to dożywocie. Zatem, jak widzisz, wszelkie gesty, jakie mógłbyś poczynić pragnąc się z tymi ludźmi zrównać, byłyby dla nich tylko obelgą. Ty masz swobodę ruchów, a oni nie. Masz wykształcenie. Masz białą skórę, w kraju, gdzie to znaczy bezgranicznie wiele. Nawet rezerwy twego dobrze odżywionego organizmu czynią cię innym. I ośmielasz się przypuszczać, że mógłbyś stać się jednym z nich? Przywilejów, raz nadanych, nie da się anulować.

Ralph włożył list wuja do szuflady. Jeszcze raz pomyślał o Koosie i o jego usiłowaniach, by zedrzeć sobie skórę.

- Przeprowadziłem jeszcze jedną rozmowę z Dearie - poinformował Ralph lekarza. - Anna też z nią rozmawiała. Bez efektu. Zastanawialiśmy się nawet, czy nie wziąć po prostu tego dziecka i nie przynieść go do ciebie? Ale to nie byłoby w porządku wobec Dearie, jest w końcu dorosłą kobietą. Możę ty wpadłbyś do misji? Chociaż i tak nie wiem, w jaki sposób moglibyśmy dać ci dziecko do zbadania. Dearie stale nosi je w chustce na plecach. Zdaje mi się, że będzie je tak nosiła, póki nie umrze.

- Obiecuj jej zastrzyk - odezwał się Koos. - To moja ostatnia oferta.

- Dla niej czy dla dziecka"?

- Dla obojga - odparł Koos. - Zagrajmy... Jak to się mówi?... Zagrajmy va banque. Tutejsi ludzie uwielbiają zastrzyki. Zastrzyk to dla nich najcudowniejsze z lekarstw.

Dlatego tak często kłuję moich pacjentów, bo gdyby któryś nie dostał zastrzyku ode mnie, dałby się ukłuć Bóg wie komu i wstrzyknąć sobie Bóg wie co, i jeszcze by za to słono zapłacił.

- Więc nie chodzi o to, żeby zastosować odpowiedni lek, tylko żeby dać pacjentowi to, czego chce? - Ralph wydawał się wyprowadzony z równowagi.

- Chodzi o to, Ralphie, żeby wygrać bitwę, która rozgrywa się tutaj - Koos postukał się dłonią w czoło.

- Widzisz, ci ludzie mi nie ufają, bo jeśli któraś dziewczyna chce się dowiedzieć, czy jest w ciąży, i pójdzie do czarownika w dzień po tym, jak jej się spóźni miesiączka, czarownik z miejsca powie jej to, co by chciała słyszeć, że jest albo że nie jest, jak jej pasuje. Jeśli czarownik się pomyli, dziewczyna jakoś tam mu wybaczy, zapomni. Ale skoro przyjdzie do mnie, a ja jej powiem, że jeszcze nie potrafię niczego stwierdzić, że powinna się zgłosić za dwa miesiące, to ona pomyśli sobie po prostu: „Jaki ten Bur jest głupi!”

Ralph spojrział na Koosa. Doktor najwyraźniej miał chęć rozmawiać; tak wiele dusił w sobie każdego dnia, chciał więc mówić o czymkolwiek, byle tylko nie było dla niego zbyt bolesne.

- Co do tej waszej Dearie, to powinniście koniecznie się dowiedzieć - rzekł Koos - jak myślisz, dlaczego te jej dzieciaki są zawsze chore? Bo widzisz, w tej części świata nie uznaje się nieszczęść za przypadłości losowe. Jeśli coś układa się źle, ktoś musi być temu winien. Trzeba zapytać: kto mi to zrobił? Kto zesłał na mnie chorobę? Trzeba odszukać winnego. Może wśród zmarłych przodków? Może wśród żyjących wrogów? Tak czy inaczej, nigdy nie obwinia się po prostu losu. Nigdy nie upatruje się w nieszczęściu ręki Boga.

- W pewnym sensie to nawet pokrzepiające - odezwał się Ralph.

- Czy ja wiem...

Obaj zaczęli się zastanawiać, jak to właściwie jest, zamilkli na pewien czas, w ciszy słychać było wyłącznie

ogromne końskie muchy, które bzykały i tłukły się o gęstą drucianą siatkę w oknie. W końcu Koos stwierdził:

- Coś mi się zdaje, że ta wasza Dearie potrzebuje porady mojego pigularza, Luke'a Mbathy. Znasz go? Widziałeś go kiedyś, w sobotę wieczorem, jak paraduje w wystrzałowym garmturku de pachę z jakąś ekstra cizią z Johannesburga? Czy myślisz, że z tego, co ja mu płacę, miałby dość floty na coś takiego?

- Na garnitur czy na dziewczynę?

Koos aż się skulił ze śmiechu i złapał rękami za głowę.

- Jedno i drugie kosztuje, Ralphie. I ubranko, i cipka. U mnie by na to nie zarobił. Ale on kręci kokosowy interes na kocich wątróbkach, na skórkach jaszczurek i na tłuszczu z pytonów. Powinieneś pójść i zobaczyć, co robi - tam, w podwórku. Większości jego mikstur, dzięki Bogu, nie trzeba pic, wystarczy zwilżyć nimi jakąś tasiemkę i zawiązać ją sobie na szyi. Może Luke pomógłby waszej Dearie. Prowadzi też sprzedaż wysyłkową, a jakże! Elixiry miłosne. Może i inne, nawet mordercze, ale ja go o to nie pytam. W zeszłym tygodniu przyszedł do mnie facet i powiedział, że chrabąszcze zagnieździły mu się w kiszka. Odesłałem go z miejsca na podwórko. Skoro wierzy w takie rzeczy, potrzebny mu jest Luke, nie ja.

Ralph nie ośmielił się już tym razem mówić niczego o barbarzyństwie lub jego braku. Zdołał zrozumieć podejście Koosa, który przecież nie ferował sądów, a tylko godził się, że może istnieć odmienne spojrzenie na świat i że nikt nie ma prawa nim gardzić. Ralph rzekł więc tylko:

- Tak czy inaczej, powinieneś mieć tego swojego Luke'a na oku. Powinieneś uważać, żeby nikomu nie zaszkodził.

- Jeśli nawet szkodzi, to i tak mniej niż inni. Widziałeś co czarni zażywają? - Koos wyciągnął z szuflady biurka pudełeczko i podsunął je Ralphowi.

Ralph odczytał wypisaną ręcznie etykietkę:

- „Ekstra mocne afrykańskie pigułki”.

- „Ekstra-mocne” to ostrożnie powiedziane - rzekł Koos.

- Człowieku, te pigułki likwidują wszystko: chrabąszcze w kiszkach, glisty, wszelkie robaki, a przy okazji wątrobę. Widzisz, oni się tu ciągle odrobaczają, a przy okazji wykańczają. Widziałem coś takiego niejedną raz - gość zdołał jeszcze przywlec się tu do mnie, a potem na moich oczach umierał. Odrobaczony, a jakże, z gwarancją. Ale z rozwaloną wątrobą. Wiesz, Ralphie, umiera się wtedy nawet szybko, w trzy dni, za to w bólach, że... Powiadam ci, chyba jedyne skuteczne lekarstwo na taki ból to kula w łeb! Koos przerwał, poprawił się na krześle.

- Dlatego, Ralphie - zaczął znów po chwili - pozwalam Luke'owi robić to, co robi. To tak samo, jak z tymi kościołami, mam rację? Chciałbyś, żeby twoi pracownicy chodzili do twojego kościoła. Ale wiesz, że co poniektórzy lubią wypuszczać się na bardziej ekscytujące nabożeństwa. Co ja robię, to mniej więcej raz w miesiącu idę do Luke'a i rozglądam się pośród tych jego zapasów. Żeby się upewnić, czy nie ma tam niczego ludzkiego, i to wszystko. Ostrzegłem go: znajdę cokolwiek ludzkiego, to od razu idę na policję!

- Ludzkiego? Co ty właściwie masz na myśli?

- No, wiesz, ludzie znikają... Mówi się, że się przenieśli do Johannesburga, ale oni czasem przenoszą się znacznie dalej. Jest taki handel, nie da się zaprzeczyć... Żywym towarem, żywymi ciałami. Bierze się oczy, język, co tam akurat potrzeba do sporządzenia lekarstwa. Dla policji to duży problem, kto tu jest winien; zresztą, oni wolą się w to nie wdawać, to są sprawy tubylców. Trudno wykryć sprawców, bo to robią gangi, szajki, proceder jest odpowiednio zorganizowany. A poza tym, kogo uznać za zabójcę, jak człowiek był cięty po kawałku przez różnych facetów. I wcale od razu nie umierał, tylko na sam koniec, jak już za dużo było tego ucinania.

Koos zerknął na Ralpha, dostrzegł niewiarę w wyrazie jego twarzy.

- Noi, dobrze, nie musisz mi wierzyć - rzekł. - Sam wolał-

bym nie wierzyć, że takie rzeczy się zdarzają. Lepiej o tym nie myśleć, a zwłaszcza nie rozpowiadać. Nie rozpowiadać, rozumiesz, bo to woda na młyn tamtych - wskazał kciukiem w kierunku Pretorii. Gdy przyszedł nowy rok, podskoczyły ceny biletów i rozpoczął się bojkot autobusów. Ralph wstawał codziennie o czwartej nad ranem, pakował w misyjny samochód więcej ludzi, niż na oko mogło się do niego zmieścić, i toczył się z nimi tym przeładowanym wehikułem w dół, do Pretorii. Ci, którzy mieli pozwolenia na pracę w stolicy, chcieli utrzymać swoje posady, a wszystkie taksówki zostały w Elim zarekwirowane. Ludzie próbowali więc chodzić pieszo, wyruszając z domów o pierwszym brzasku. Niektórych podwoził Ralph, innych - liberalnie nastawieni mieszkańcy białych przedmieść Johannesburga, gotowi tłuc się po nocy prywatnymi samochodami, żeby pomóc mieszkańcom czarnych osiedli. Policja urządziła na drogach blokady; Ralph został spisany. Przesłuchiowano go później po grubiańsku w języku afrikaans, którego nie rozumiał, co doprowadziło policjantów do furii.

- Człowieku, mamy tutaj twój numer! Pewnie jesteś komunistą, co?

Ralph pomyślał w owym momencie, że chciałby żyć po chrześcijańsku w inny sposób niż jego ojciec. Bez osądzania ludzi. Bez osądzania Lucy Moyo albo Koosa, albo, jeśli nie ma obciążających dowodów, pigularza Luke'a, który prowadzi takie ciemne interesy; bez osądzania prezydenta albo sierżanta policji, który obrzucił go przekleństwami. Podzielił się potem tymi myślami z Anną.

- Tylko, że jeśli nie będziesz ludzi osądzał - rzekła - z góry zrezygnujesz z rozważania ludzkich motywów. Chyba tak, bo nie jestem pewna, czy można oddzielić odczytywanie motywów od ferowania sądów.

Znała teraz Ralpha znacznie lepiej niż kiedyś. Zdołała się zorientować, że ta jego dobroć, którą w swoim czasie od-

bierała tak bardzo osobiście, była w swej istocie raczej bezosobowa.

Tamtego ranka, w czasie przesłuchania, policjant nazwał Ralpha kaffirboetie - „kumotrem” albo „braciszkiem czarnuchów”.

- Chciałbym nim być - stwierdził Ralph - ale nie zasługuję na takie miano.

Policjant splunął na jezdnię. Tylko zasady dobrego wychowania, jakie mu widać wpojono, powstrzymały go przed napluciem Ralphowi w twarz.

W dniu mityngu i policyjnej szarży Koos otworzył szpital w holu przedszkola. Owijał zaszokowanych i zakrwawionych pacjentów w koce, zabraniał w pięciu językach podawania im słodkiej, gorącej herbaty i prosił o wodę, tylko o wodę, i o bandażę, jakiegokolwiek, nawet zwykłe szmaty, i jeszcze o pomoc w tamponowaniu i przemywaniu ran, każdego, kto miał wystarczająco pewną rękę.

Ralph pomyślał sobie wtedy o zakurzonej biurze w Londynie, na wysokim piętrze budynku w Clerkenwell, kwaterze głównej organizacji, która go tu przysłała; pomyślał też o parafianach z Norfolk, rzucających swoje datki na kościelne tace, niemal ich zobaczył przed sobą i usłyszał, jak mówią: „Pan nie ma prawa trwonić w ten sposób funduszy, nie ma pan prawa marnować w ten sposób misyjnej własności. Jak można zezwalać, by niebieskim fartuszkiem przedszkolnego aniołka obwiązywano krwawiącą gębę jakiejś ulicznicy, której zdarzyło się oberwać od policjanta pałką po twarzy!” Kucharka Rosinah, jako jedyna spośród pracowników misji, była świadkiem policyjnej szarży; Rosinah, z pozoru niezdolna przejąć się niczym spoza zakresu swojej kuchennej dyktatury. Była świadkiem i teraz kiwała się w odrętwieniu z żalu, i opowiadała urywanymi zdaniami, jak to było. Że ludzie stali spokojnie, śpiewali pieśni, że najpierw było przemówienie, a potem ruszyła policja i zaczęła wyłapywać młode kobiety, i bić je po piersiach. Bili po pier-

siach, bo dobrze wiedzieli, gdzie będzie te młode kobiety najbardziej bolało...

Ralph zdawał sobie sprawę, że w szerszej skali niehumanitarnych czynów był to tylko drobny epizod, że nie była to, dla przykładu, Treblinka. Ale Koos pokazał mu, jak może wyglądać cięcie bykowcem zadane wprawna i stanowczą ręką. Ralph zobaczył, dowiedział się; dowiedział się też czegoś nowego o sobie samym: że w zetknięciu ze złem zaczyna się trząść jak inwalida albo zgrzybiały staruszek.

Dopiero następnego dnia był w stanie poukładać sobie zasłyszane informacje w pewną całość. To istotnie była pokojowa demonstracja, tak jak mówiła Rosinah. Odbywała się na pustej parceli, na takim skrawku nie zabudowanego gruntu, Ralph orientował się, gdzie - mniej więcej o milę od Flower Street. Jak to w Elim, gdzie wiadomości wymieniano głównie pocztą pantoflową, wiele osób nic o niej nie wiedziało; ludzie nie mieli pojęcia, co się odbywa na tym wolnym placu, tak samo jak on i Anna. Mityng zwołano dla ustalenia strategii bojkotu autobusów. Policja zażądała w ostatniej chwili, żeby go odwołać. Jakieś dzieciaki zaczęły ciskać kamieniami i zanim tłum zdążył się rozejść, policja zaatakowała. Wielu spośród tych, którzy ucierpieli w wyniku szarży, to nawet nie byli uczestnicy demonstracji, tylko zwykli przechodnie. O niczym nie wiedzieli, nie mieli pojęcia, że w ogóle odbywa się jakiś mityng; tak opowiadali, wstrząśnięci i zapłakani; z wygolonych głów, na które Koos poza-
kładał im szwy, wciąż coś się im sączyło - krew, płyn...

Ralph wybrał się na miejsce zajścia. Na placu walały się pojedyncze buty, pogubione w beładnej ucieczce przed pałkami i biczami. Ralph spostrzegł torbę na zakupy, taką słomkową, wyplataną torbę, ozdobioną wypukłą aplikacją w kształcie róży. Leżała na ziemi, pusta; jej zawartość zdążyła już pewnie trafić do czyjejś spiżarni. Ralph zorientował się, że cały teren został starannie przeczesany, że szybko rozszabrowano wszystko, co tylko się nadawało do użytku. Już w końcu nie wiedział, kto tu był gorszy: poli-

cjanci, którzy dokonali tego, co wedle swego mniemania mieli obowiązek zrobić, czy te sepy, które wyciągnęły potem z torby jakiejś służącej połówkę chleba, ogryzek mydła albo stary sweter podarowany przez Madam, idiotkę o najlepszych intencjach, z białego domu przy wysadzanej drzewami jacarandy alei?

- Czy może pan cokolwiek zrobić, Mr Eldred? - spytała Lucy Moyo. - Cokolwiek, żeby nam pomóc?

- Mogę spróbować - odparł Ralph.

Zamknął się w swoim gabinecie i zaczął przerzucać papiery, szukając kiedyś sporządzonej listy z nazwiskami, adresami i telefonami wszystkich starszych rangą policjantów w promieniu stu mil.

Znalazł ją, usiadł przy telefonie, zaczął wydzwaniać po kolei. Szło mu szybko, bo w większości przypadków rozmówca, gdy tylko rozpoznawał jego angielski akcent i dowiadywał się, że dzwoni z Elim, odkładał słuchawkę.

Potem Ralph tkwił za biurkiem prawie przez całą noc, pisząc listy do gazet.

- Widziałeś ofiary - mówił nazajutrz do Koosa - wiesz, co się tu zdarzyło, lepiej niż ktokolwiek inny.

Podpisz się pod tymi listami razem ze mną.

Koos pokręcił głową. Powiedział:

- Lepiej nie, Ralph. Muszę myśleć o moich pacjentach. Co by zrobili beze mnie? Nie, naprawdę lepiej nie - pokręcił głową jeszcze raz.

Po policyjnej szarży sytuacja Anny i Ralpa zmieniła się pod wieloma względami. Zapraszano ich w Elim do domów, w których dotąd nigdy nie bywali. Do misji zaczęli przychodzić także ludzie, którzy nie chodzili do anglikańskiego kościoła. Annę i Ralpa odwiedził miejscowy przedstawiciel Afrykańskiego Kongresu Narodowego; tego samego dnia przyjechał też z Sophiatown czarny dziennikarz z magazynu „Drum”. Siedział na jednym z kuchennych krzeseł, odchyłony tak mocno do tyłu, że aż dwie przednie nogi siedziska

uniosły się w powietrze; podczas rozmowy znalazł nawet powód do wybuchnięcia śmiechem.

Pomocnica Rosinah podała mu herbatę w emaliowanym kubku.

- Dearie, proszę o filiżankę i spodeczek - odezwała się dość ostrym tonem Anna.

Dearie przyniosła filiżankę i niemalże cisnęła ją na stół. Spojrzała na Annę z ukosa. Pomyślała:

„Filiżanki zawsze były dla białych, a dla Afrykanów emaliowane garnuszki; ta Madam powprowadzała takie porządki, że człowiek nic już w końcu nie wie!" Pomyślała też, że ten czarny mężczyzna w lekkim błękitnym garniturze, ze spodniami nienagannie zaprasowanymi w kant, pozwala sobie na zbyt wiele, rozwalając się tak swobodnie na krześle w kuchni domu misyjnego i strojąc miny. Z czegoś takiego, jej zdaniem, mogły wynikać tylko kłopoty.

-Pretoria ma zamiar rosnać, rosnać i rosnać - mówił dziennikarz - więc nacjonaści chcieliby oczyścić sobie to miejsce. Tutejszych ludzi chętnie widzieliby gdzie indziej, na jakimś skrawku veldu, bez wody i dróg. Niech sobie tam siedzą w zapomnieniu i niech z powrotem dziczeją.

W tym właśnie miejscu młody przystojniak roześmiał się sardonicznym śmiechem. Z jego spojrzenia, pełnego dystansu, jak gdyby nieobecnego, dawało się wyczytać, że sam wybiera się całkiem gdzie indziej, na zagraniczne stypendium, zapewne do Moskwy... Czy ktoś mógłby mieć mu to za złe?

- Coś mogę pani powiedzieć, Mrs Eldred - stwierdził, spoglądając Annie głęboko i znacząco w oczy, między innymi pewnie dlatego, że najwyraźniej podobała mu się jako kobieta. - Dla Afrykanina jest rzeczą prawie niemożliwą żyć tutaj i oddychać i równocześnie nie łamać prawa.

Było już po północy, kiedy przystojny dziennikarz opuścił dom misyjny. Następnego dnia po południu na tym samym kuchennym krześle z metalowymi nogami siedział kto inny: biały sierżant policji.

Siedział wyprostowany; wszystkie cztery nogi siedziska były mocno oparte o podłogę.

- Widzi pan, jaka zmiana, Mr Eldred - mówił. - Odwiedziłem pana, chociaż zawsze dotąd to pan nas odwiedzał.

Sierżant miał jasne włosy, był szczupły i niewysoki. Siedział jednak w budzącej respekt, majestatycznej pozie prawdziwego Afrykanera - ciężko, z szeroko rozstawionymi nogami. Ralph nie potrafił nawet wzbudzić w sobie niechęci do niego, bo z wyglądu, karnacji, piegów wreszcie za bardzo przypominał mu Koosa. Był też podobnie jak Koos niespokojny, śmiał się nerwowo, paznokcie miał poobgryzane do żywego ciała.

Nie odmówił herbaty. Dearie podała mu filiżankę, ma się rozumieć, i spodek również. Sierżant, sięgając po cukier, zaczął tłumaczyć, że chce tylko, żeby Ralph wiedział, że policja wie, jacy goście są w misji przyjmowani.

- Pan jest tu obcy - mówił. - Pan jest dopiero od niedawna w Południowej Afryce. Powinien pan zawierać odpowiednie przyjaźnie.

Na krótką chwilę Ralphowi zrobiło się go źal. Był taki nerwowy, palił papierosa za papierosem, za każdym razem próbując poczęstować Annę. Co jakiś czas przebiegał mu przez twarz krótkotrwały skurcz; wyglądało to tak, jakby sierżant krzywił się z bólu.

-Przepraszam, nie zapamiętałem pańskiego nazwiska... - odezwał się Ralph, kiedy policjant wytarł usta serwetką i wstał z krzesła, zamierzając już iść.

- A dlaczego nie miałby pan mówić do mnie po imieniu, po prostu Quintus? - rzekł tamten. - Spodziewam się, że poznamy się bliżej.

Kiedy policjant sobie poszedł, Ralph stwierdził:

- A ja się spodziewam, że on może mieć chrabąszcze w kiszkiach. Lukę Mbatha powinien mu zaaplikować trochę tłuszczu pytona.

Ralph opowiedział o wszystkim Koosowi, a na koniec dodał, że zwykle im głupszy byli biali policjanci, tym gorzej go traktowali, natomiast ten Quintus wydawał się być na swój sposób facetem o dobrych intencjach.

Koos przegarnął zaczerwienionymi dłońmi swoje jasne, szczeciniaste włosy.

- Ralphie - powiedział - ty uważaj, człowieku, bo on cię jeszcze weźmie na lep...

- Nie sądzę, żeby to było możliwe.

- No, no... Lepiej uważaj, bo w końcu polubisz tych skurczybyków. Mnie lubisz, prawda? A ja przecież jestem jednym z nich. Mamy wszyscy w sobie coś takiego, jakąś świeżość i prostotę, prawda? Trochę patosu? I zawsze się staramy, żeby nas lubiano. Tak, coś takiego w sobie mamy, rodzaj... ja wiem... gościnności... Chcemy, żeby każdemu, kto się trafi, było z nami przyjemnie; to chyba taka afrykańska cecha, czarni to mają i my też... Ralphie, czy ty myślisz, że przez ten czas, odkąd jesteś w Elim, zdażyłeś w ogóle cokolwiek zrozumieć ze spraw, jakie się dzieją w tym kraju? Skoro tak myślisz o nas, człowieku, to jesteś większym idiotą, niż myślałem.

Później, znacznie już poważniejszym, pozbawionym ironii tonem Koos stwierdził:

- Musisz spróbować ich zrozumieć, to znaczy Afrykanerów. Brytyjczycy zamykali im kobiety i dzieci w obozach. Zulusi rozbijali ich niemowlętom główki o koła wozów. Ci ludzie, Afrykanerzy, mają dobrą pamięć. To ich specjalność.

Ralph uderzył sposób, w jaki Koos wypowiadał słowa „ci ludzie”. Zupełnie jak Lucy Moyo, kiedy mówiła o swoich przyjaciółach i sąsiadach.

- Cała moja nadzieja, dość słaba, nie ukrywam, w tym - odezwał się Ralph - że ten system zawali się kiedyś pod swoim własnym ciężarem, pod ciężarem swojej własnej bezsensownej biurokracji. Bo teraz trudno znaleźć bodaj furtkę, żeby się prześliznąć.

- Nie ma żadnych furtek - stwierdził Koos. - Każdy każdego szpieguje. Tak wygląda ten kraj, na Boga, mój własny kraj, moi ludzie, możesz ty to sobie, człowieku, przedstawić?

- Myślę, że tak - rzekł Ralph.

- Mój ojciec wierzy, że świat został stworzony w siedem dni. „Tak jest w Biblii”, powiada - Koos wybuchnął śmiechem.

W nowym roku zaczęły się policyjne naloty o świcie. Powtarzały się przez trzy dni. Pierwszego dnia policja wtargnęła do miasta o piątej, sporymi siłami, w opancerzonych samochodach. Wybrany sektor został otoczony kordonem. Policjanci szli od domu do domu, wyłamując drzwi. Nazajutrz, kiedy ludzie zaczęli ściągać do misji, żeby opowiedzieć o wszystkim, co zaszło, ten fakt wydawał się bardziej niż cokolwiek innego wzbudzać oburzenie: że policjanci wykrzykiwali: „Otwierać, policja!”, i wywalali drzwi kopniakami, nie dając nawet nikomu czasu, żeby sam otworzył. „Zupełnie jakbyśmy byli zwierzętami, co to nie rozumieją, jak się do nich po ludzku mówi” - stwierdziła pewna kobieta. Policjanci, wedle tego, co sami twierdzili, szukali pędzonego nielegalnie alkoholu i pokątnych gorzelni. Szukali też broni. Rozeszła się bowiem pogłoska, że do Elim ściągnięto nocą sprzęt i gdzieś zamelinowano na lepsze czasy.

Odkąd rozpoczęły się ekscesy - tak zwane ekscesy - atmosfera w mieście zrobiła się niespokojna i napięta. Młodzieńcy z narożników ulic spoglądali ponuro i znacząco. Ralph już nie pozwalał Annie wychodzić samej z domu. Owszem, tam, gdzie ludzie ją znali, byłaby bezpieczna. Ale tam, gdzie nikt by jej nie kojarzył z misją, mogłaby zbyt łatwo prowokować swą białą twarzą.

Nocami Ralph nie mógł spać. Bał się, że mogą zaistnieć jakieś większe problemy, że uprzedzeni o którejś z policyjnych akcji ludzie mogą zgromadzić się z kijami, butelkami i, jeśli jest, a Bóg tylko raczy to wiedzieć, z ową tajemniczą bronią; że może się powtórzyć policyjna szarża z pałkami albo może dojść do czegoś znacznie gorszego, do strzelaniny. Czuł się głupio; był przecież bezradny, nic kompletnie nie znaczył, kiedy tak leżał na plecach patrząc w sufit, w ciem-

nej sypialni, rozjaśnionej blaskiem pomarańczowego światła, które wpadało przez szczelinę między zasłonami.

To była konieczność, zainstalowanie tych pomarańczowych latarni wokół terenu misji. Tydzień wcześniej ktoś włamał się do przedszkola. Złodzieje niczego tam dla siebie nie znaleźli - ani pieniędzy, ani żywności - porozbijali więc tylko parę małych stoliczków, podarli trochę książek, splądrowali gabinet Anny w składziku i podłożyli tam ogień. Budynek przedszkola mógłby doszczętnie spłonąć, gdyby ojciec Alfred nie zauważył płomieni z okna swojej sypialni.

Później, w niedzielę, kiedy każdy z pracowników misji był zajęty swoimi obowiązkami, jakiś złodziejaszek wśliznął się do jednoizbowej chatki Rosinah i skradł jej całą odzież, łącznie z pilśniowym kapeluszem Dearie, który szefowa kuchni wyłudziła od niej drogą przymusowej pożyczki. Spazmatyczny szloch poszkodowanej przerastał swoją gwałtownością wielokrotnie rozmiary całej straty. Wszyscy - Ralph, Anna, Dearie i obydwaj ogrodnicy - musieli strawić dobrą godzinę, żeby Rosinah jakoś uspokoić. Tylko Clara, praczka z wykształceniem, stała w drzwiach nie mówiąc ani słowa. Robiła wrażenie kogoś, komu już wielokrotnie zdarzyło się utracić dorobek całego życia.

Zainstalowano więc światła. Dla bezpieczeństwa. Przeszkadzały spać. Ralph czuwał, Anna przewracała się niespokojnie z boku na bok, poskrzypywały sfatygowane sprężyny łóżka. Ralph zdrzemnął się dopiero nad ranem. We śnie rozbrzmiewały wokół niego te same zdania, jakie wciąż słyszał ostatnio na jawie: „Trzydzieści szylingów albo dziesięć dni”. „Mojego męża, proszę pana, zabrali nie wiadomo dokąd”.

Nad ranem trzeciego dnia policja zjawiała się w misji. To była niemal ulga, usłyszeć wreszcie walenie w drzwi. Ralph i Anna wyskoczyli z łóżka dosłownie w jednej sekundzie; dopiero w szarym świetle poranka było dokładnie widać, jak wymizerowane mają twarze. Ralph wciągnął spodnie i koszulę, specjalnie pozostawione tuż przy łóżku, Anna na-

rzuciła szlafrok na długą nocną koszulę i przewiązała go paskiem. Spieszyli się, ale czy warto było? Przecież policjanci tak czy tak mogli wyłamać drzwi.

Nie wyłamali. Zachowali dyscyplinę, jakby uznali, że na terenie misji obowiązują ich jednak pewne normy.

- Ach, to pan! - rzekł Ralph, kiedy otworzył.

W drzwiach stał Quintus. Obok niego jacyś obcy, nietutejsi funkcjonariusze, prawdopodobnie z oddziałów specjalnych. Razem sześciu. Weszli do środka, Quintus przedstawił swego kolegę tej samej rangi, sierżanta van Zyla. Nim jeszcze dokończył prezentacji, szeregowi funkcjonariusze rozbiegli się po domu i zaczęli zaglądać do szaf i pod łóżko.

- Oczywiście, sierżancie - odezwał się Ralph - już na pierwszy rzut oka wyglądam na faceta, który prowadzi po-kątną gorzelnię. I nielegalny wyszynk, ma się rozumieć, razem z żoną...

- Szukamy pewnej osoby i mamy podstawy przypuszczać, że znajduje się na terenie państwa posesji - wyjaśnił sierżant van Zyl.

- Pewnej osoby? Może doktora Verwoerda? Albo myszki Miki?

Van Zyl skrzywił się. Zatknał obydwie kciuki za opinający mu potężne brzuszysko pas.

- Napisał pan list do „Pretoria News”, Mr Eldred. Proszę tego więcej nie robić.

„Tylko spokojnie” - nakazał sobie Ralph w myślach, natomiast na głos stwierdził:

- Napisałem ten list tylko po to, żeby poinformować, co naprawdę zdarzyło się w dniu waszej szarży na tłum. Napisałem, żeby ludzie przyjechali i zobaczyli, jak naprawdę wygląda Elim. Żeby zobaczyli nasze kościoły i nasze szkoły. I żeby sami sobie odpowiedzieli na pytanie, czy to miasto naprawdę jest siedliskiem rozpusty i występku, jak się im to stale wmawia. Żeby zobaczyli, co się tu naprawdę dzieje, i sami sobie odpowiedzieli na pytanie, czy to miasto naprawdę zasługuje na zburzenie.

- Wiemy, co pan napisał w liście - rzekł van Zyl. - Czytaliśmy w gazecie. Brygadierowi nie podobał się pański ton, Mr Eldred.

- Ach, więc chodziło tylko o ton? - powiedział Ralph z udawaną beztrąską. - Co do treści nie było żadnych uwag?

- Mr Eldred, miałby pan dokładniejsze i świeższe wyobrażenia na temat miejscowej działalności przestępczej, gdyby spędził pan trochę czasu z nami na posterunku - stwierdził van Zyl, ignorując postawione przez Ralpa pytanie.

- Ależ ja spędzam na posterunku policji mnóstwo czasu. Więcej już chyba bym nie mógł. Musiałbym się wprowadzić do was na stałe.

- Myślę, że dałoby się coś takiego zorganizować - mruknął van Zyl.

Przeszukujący dom policjanci dali spokój tajemniczej osobie, kimkolwiek była. Przeszli do gabinetu Ralpa i zaczęli przetrząsać papiery. Sierżant van Zyl przysiadł na blacie biurka, znów zatknął kciuki za pas, poprawił rękoma ułożenie brzucha na kolanach, zupełnie tak, jakby nie był on częścią jego ciała, tylko czymś osobnym, jakimś niezależnym brzemieniem.

- Gdybym wiedział, czego szukacie, może mógłbym wam pomóc - odezwał się Ralph.

- Pomóż ty lepiej sobie, człowieku - burknął van Zyl. - Nie włącz nam w paradę.

Quintus, który wyglądał jak struty, usiłował przekazać Ralphowi oczyma jakieś znaki. Ralph jednak świadomie unikał jego wzroku. Domyślał się, co Quintus chce mu powiedzieć: „Uważaj, van Zyl to nie jest grzeczny angielski policjant”. Jednak to akurat dawało się zauważyć z daleka, nie było potrzeby wchodzić w znowę z innym policjantem, żeby poznać tę prawdę. Ralph pomyślał, że jeśli Quintus czuje się źle w swojej roli, to niech zmieni posadę, bo on nie zrobi niczego, co mogłoby przynieść ulgę policyjnemu sumieniu.

Rewizję przeprowadzono najwyraźniej nie po to, żeby cokolwiek znaleźć, lecz żeby zrobić bałagan. Dokuczyć. Ralph zdawał sobie z tego sprawę, Anna pewnie również, lecz mimo wszystko, stojąc oparta o ścianę, cała drżała. Ralph miał ogromną chęć podejść do niej, objąć. Nie chciał jednak odwracać wzroku od oczu van Zyla. Pragnął wytrzymać jego spojrzenie do końca, zmusić go, żeby skapitulował pierwszy.

W końcu Quintus wyprowadził Annę i Ralpha z gabinetu, mrużąc:

- Nie mam pojęcia, jak wy tam cokolwiek możecie znaleźć...

- Dotąd zawsze wszystko znajdowaliśmy - stwierdziła Anna. - Ale nie przypuszczam, żeby teraz nam się to mogło udać.

Mówiła chłodnym tonem. Quintus pokiwał głową, powiedział coś do swych kolegów w afrikaans, coś jakby: „No, chłopcy, dosyć tego dobrego...” Wszyscy wyszli. Anna i Ralph pozostali sami, wśród papierów porozrzucanych tak, jakby przez dom misyjny przeszła burza albo jakiś apokaliptyczny wichur.

Tego samego dnia, późnym popołudniem, Quintus podjechał pod dom misyjny ciężarówką.

- Przywiozłem coś dla was - rzekł z takim uśmiechem, jakby zupełnie nie pamiętał o wydarzeniach wczesnego poranka.

Z platformy ciężarówki zeskoczyli dwaj czarni młodzieńcy, wyładowali i przytachali pod same drzwi dużą ciemnozieloną metalową szafę na dokumenty, porysowaną i poob-tłukiwaną.

- Och, cóż to za dar! - odezwała się Anna z udawaną afektacją.

Quintus wziął jej słowa za dobrą monetę.

- Nie trzeba dziękować - mruknął. - To tylko złom. Brygadier kazał się nam tego pozbyć, bo kiedyś szuflada wy-

padła i złamała mu duży palec u nogi, ot co. Więc uważajcie i nie wyciągajcie za mocno.

- Może filiżankę kawy?- zaproponowała Quintusowi Anna, która, podobnie jak Ralph, odczuwała pewien rodzaj współczucia dla tego człowieka.

Nie odmówił. Usiadł przy kuchennym stole.

- Nie jesteście zadowoleni, że się tu kręcę, wiem - powiedział. - Ale kazano nam mieć was na oku.

Wypadło na mnie. Wiecie, są gorsi faceci w policji...

- Wiemy. Już spotkaliśmy takiego - rzekł Ralph. Sierżant zadumał się nad filiżanką.

- Do licha, człowieku - odezwał się po chwili - czy ty myślisz, że ja lubię tę robotę? Po prostu muszę jakoś zarabiać na życie.

- Są przecież inne sposoby, czyż nie? - wtrąciła się Anna.

Quintus nic na to nie powiedział, tylko sięgnął do kieszeni munduru i wyciągnął portfel. Z portfela z kolei wyjął, ku głębokiemu zakłopotaniu Ralpha, rodzinną fotografię.

- Moje dziewczyny - poinformował.

Ralph zerknął. Trzy córki. Z wyglądu dwanaście, dziesięć i osiem lat. Ustawione do zdjęcia według wzrostu, obejmowały się nawzajem ramionami, a wszystkie razem znajdowały się w objęciach stojącej z tyłu drobnej, szczupłej kobiety, troszeczkę tylko wyższej od najstarszej z dziewcząt. Blond główki. Uśmiechnięte buzie. Niesforne kosmyki włosów, te, które nie dały się wpleść w warkocze, tworzyły na wietrze wokół tych buziaków i główek jasne aureolki. „Obrazek jak z erotycznych snów Hitlera” - pomyślał Ralph. Podał fotografię Annie.

- Śliczne dziewczyny - pochwaliła. - Wszystkie cztery.

- Jak człowiek ma rodzinę, dzieci, rozumie o wiele więcej niż kiedyś - rzekł Quintus. - Dzieci, sami się przekonacie, człowiek myśli o nich przez cały czas, zamartwia się. W jakim świecie będą żyły, jak dorosną? Czy czasem nie powychodzą za mąż za czarnuchów, za kafrów?

- Takich słów proszę u nas nie używać...

- Ech, słowa! To właśnie przychodzi mi na myśl, jak się zastanawiam nad wami, ludzie. Słowa. Sierżant nie wyjaśnił bliżej, o co mu w tym ostatnim zdaniu chodziło. Wstał i stwierdził, że musi już iść.

- Jak się pokażemy następnym razem, będziecie mieli wszystko dla nas w jednym miejscu, no nie? - zażartował wskazując na szafę na dokumenty.

Zaraz potem chwycił się lekko za brzuch i skrzywił.

- Mrs Eldred, nie sprawiłbym kłopotu, gdybym panią poprosił o jakieś krople na żołądek? - zapytał. Kiedy w końcu wyszedł, Anna stwierdziła:

- Quintus chciałby być człowiekiem.

- No to musi sobie znaleźć inną pracę! - rzekł Ralph.

Po południu tylnymi drzwiami wpadł do domu misyjnego Koos. Nie chciał zasiać z Anną i Ralphem do podwieczorku, nie mógłby nic zjeść, po prostu by nie mógł, powiedział. Miał opuchniętą szczękę. Stracił dwa zęby. Policja jego też odwiedziła wczesnym rankiem. Wtargnęli przez gabinet, tłukąc przy okazji okna, choć z pewnością wiedzieli, że Koos śpi w pomieszczeniu na zapleczu, od podwórka. Właściwie chcieli rozmawiać z aptekarzem Luke'em Mba-thą. Przetrzęsnęli jego chatę i zabrali Luke'a ze sobą.

Koos prosił, żeby Ralph udał się na posterunek, biorąc ze sobą tyle pieniędzy, ile tylko ma, i spróbował wydostać Luke'a z aresztu za kaucją.

- Pewnie, że on nie jest niewiniątkiem - mówił - ale wiecie, co się dzieje z czarnymi w tych policyjnych kazamatach...

Sam, jak tłumaczył, nie miał żadnych pieniędzy. Czuł się skrepowany z tego powodu, ale uważał, że sprawa jest pilna. Inaczej nie zawracałby Ralphowi głowy. Gdyby policja zdążyła przewieźć Luke'a do Pretorii, pewnie nikt by go już potem nie odnalazł.

- Czemu nie przyszedłeś wcześniej? - spytał Ralph.

- Bo nie mogę chodzić, kiedy jestem nieprzytomny - wyjaśnił Koos.

Oczy miał przekrwione, drżały mu ręce. Okazało się, że jeden z policjantów uderzył go kolbą pistoletu w twarz, a potem najprawdopodobniej jeszcze w głowę, bo Koos ocknął się dopiero w domu jednego ze swych pacjentów. Leżał na sienniku, nakryty dzierganym kocem Anny.

- To był świetny koc, Anno, bardzo ciepły, dziękuję...

Nie pamiętał dokładnie, co zaszło wcześniej, zanim stracił przytomność. Ten policjant, który go uderzył, nazwał go białym kafrem. Ten sierżant... Nie, nie van Zyl... Ten drugi, Quintus Brink.

Nim minęło kilka następnych dni, Anna i Ralph zorientowali się, że lepiej nie prowadzić już rozmów telefonicznych. Nigdy wprawdzie nie padały z ich ust przez telefon żadne wywrotowe sformułowania, zawsze jednak mogło się zdarzyć, że ten dodatkowy, nieproszony słuchacz coś przeinaczy...

Van Zyl zjawił się znowu; tylko z wizytą, jak powiedział. Wpatrywał się w szafę z dokumentami, jakby poznawał, skąd pochodzi.

~ Jacyś goście ostatniej nocy? - zapytał.

-Nie.

- Ot, niespodzianka! Na pewno nie było żadnych gości po zmroku?

- Jestem całkowicie pewien - odparł Ralph.

- A w kwaterach pracowników?

- Jestem pewien, że w obrębie misji nie było nikogo, kto mógłby was interesować.

- Luke Mbatha im zwał - wtrąciła się Anna od drzwi. Jej głos pobrzmiwał drwiną. Nie spodobało się to van

Zylowi.

- Gdzie też pani usłyszała te brednie? - obruszył się.

- To nie są brednie. A usłyszałam na ulicy. Wszyscy już wiedzą. I jak on wam uciekł, sierżancie?

Rzucił na pana czary? A może na brygadiera?

Van Zyl zerwał się z krzesła, wypiął groźnie swój ogromny brzuch.

- Powiedz pan swojej kobiecie, żeby lepiej przymknęła buzię - warknął - bo jak nie, to sam jej przymknę pięścią!

- Precz stąd! - krzyknął Ralph. - Voetsak, sierzancie! Precz z tego domu.

Słowa voetsak Afrykanerzy używają odganiając psy, i to tylko te wredne. Sam van Zyl nie wahałby się też zapewne użyć go wobec człowieka niższej rasy. Ralph również nabrał przekonania, że niższe rasy ludzkie faktycznie istnieją, jakkolwiek nie wyodrębniają ich geny czy kultura, tylko brak zdolności współodczuwania z drugim człowiekiem.

- Voetsak, sierzancie! - powtórzył i ruszył w stronę van Zyla, jakby chciał go wypchnąć przez frontowe drzwi i ganek wprost na podwórze.

Sierżant van Zyl zdawał sobie sprawę, że nie wolno mu wdawać się w szarpaninę. Był już upominany przez zwierzchników z powodu nadgorliwości podczas pełnienia służby. Spróbował więc tylko biernego oporu, uników, by nie dać się zepchnąć ku wyjściu.

- Człowieku - wykrzyczał w twarz Ralphowi - z ciebie to musi być parszywy Żyd i tyle! Hitler miał rację...

Pięści Ralpa zadudniły o brzuch sierżanta. Van Zyl odskoczył. Bezwładnie młóćąc prawą ręką zgarnął na podłogę papiery z tymczasowego biurka Anny, cofając się wpadł na kosz na śmieci, przewrócił go i próbując odzyskać równowagę nadepnął. Ralph nigdy nie zapomniał wrażenia, jakie odczuwał, gdy jego pięści dosłownie tonęły w tłustym cielsku. Był zaskoczony również tym, jak łatwo mógłby wtedy zwalić na ziemię brzuchatego kolosa.

O trzeciej nad ranem przyszedł oddział specjalny i zabrał Ralpa i Annę.

Rozdział 5

Anna usłyszała, jak Ralph mówił przez telefon:

- Rozumiem, że te 132 funty zostały przeniesione z funduszu na kolację dożynkową do funduszu na rzecz marynarzy, ale boję się, że rewident będzie w kłopotcie, jak to zobaczy w księgach. Odłożmy tymczasem kwestię wydatków dyrektora...

Anna półgłosem rzuciła przekleństwo, któreś z tych mniej soczystych, gdy musiała ominąć jedną z wielu stert starych gazet, leżących w holu. Kiedy Ralph wyszedł ze swego gabinetu, powiedziała:

- Znow jest więcej papierzysk, niż było, kiedy wychodziłam. Ludzie znoszą je tutaj o każdej porze dnia i nocy.

- No, nie całkiem - obruszył się Ralph.

- Nie mógłbyś ich poprosić, żeby się trzymali ustalonych godzin?

- Nie chcę ich zniechęcać przesadnymi wymaganiami Przecież zależę od ich dobrej woli. Czemu nie każesz chłopakom zanieść tego na strych?

- Po co? Żeby potem musieli znosić? Zresztą, te przeklęte paczki, jakby je ruszyć, zaraz się rozleczą i cały dom będzie zasypany papierzyskami.

- Prawda - zgodził się Ralph. - Wygląda na to, że ludzie już zapomnieli, jak się pakuje makulaturę.

- Utracona umiejętność - rzekła Anna - coś jak siew zboża ręką z płachty. Nie można by tego składać w szopie na rowery?

- Nie, ani w żadnej innej. Zawilgnie.

Anna westchnęła. Makulatura miała zasilić fundusz na remont kościoła parafialnego; w tym zbożnym celu musiała bezwzględnie być sucha, a nie wilgotna.

- Muszę wyjść - powiedział Ralph.

- Przecież Kit zaraz tu będzie. Myślałam...

- Zawiązał się nowy komitet. Na rzecz bezdomnych w Norwich.

- Nawet nie przypuszczałam, że w Norwich są jeszcze bezdomni - stwierdziła Anna. - Komunalnych lokali nabu-dowano przecież chyba dosyć...

Ralph znów zniknął w gabinecie. Anna została sama ze swym kiepskim nastrojem.

- A może - mruknęła - jakiś bezdomny mógłby zamieszkać w naszym uroczym antyku z Great Yarmouth?

Ralph prawie już skończył korespondencję, jaką planował zająć się tego dnia. Kilkakrotnie przerywano mu telefonami - wydzwaniali starsi ludzie, zamieszkali w promieniu dziesięciu mil, narzekając na dowożone im przez służby społeczne posiłki. Ralphowi bardzo trudno było przekonać rozmówców, że naprawdę nie ma tu żadnych możliwości interwencji. Podobnie w kwestii objazdowych bibliotek. Pewna organizacja zwróciła się o wsparcie przedsięwzięcia, polegającego na dostarczaniu broszur religijnych ludziom w podeszłym wieku, którzy nie byli już w stanie opuszczać własnych domów. „Zetknęliśmy się z osobami - pisano -które nie czytały niczego od lat, a których życie uległo gruntownej przemianie pod wpływem porywających opowieści o tym, co czyni Bóg na całym świecie...” Ralph nadał listowi kolejny numer z rejestru korespondencji przychodzącej i zanotował na marginesie: „Proponuję odrzucić”, po czym włożył go do teczki z materiałami na najbliższe posiedzenie zarządu fundacji.

Fundacja nie była zbyt bogata, musiała więc działać wybiórczo, zwłaszcza że potrzeby stale rosły.

Ralph trzymał się pewnych zasad: starał się unikać subsydiowania przedsię-

wzięć doktrynalnych oraz takich, w których mieli brać udział młodzi ludzie grający na gitarach. Inicjatywy działalności wśród młodzieży, owszem, ale żadnych szarpidrutów!

Dom noclegowy na East Endzie miał teraz inny charakter niż niegdyś. W którymś momencie w latach sześćdziesiątych przestał być Domem Św. Walstana i stał się Domem Tymczasowego Pobytu. W odległych czasach, kiedy Ralph zjawiał się tam w każdy weekend, żeby przeliczyć bieliznę pościelową przed wysyłką do pralni, i wpadał jeszcze w środku tygodnia, żeby po odebraniu przeliczyć ją znowu, głównym zadaniem było zbieranie z ulic zapijaczonych włóczęgów, którzy po wytrzeźwieniu, podkarmieniu i zaopatrzeniu w nowe ubranie po tygodniu czy dwóch ruszali w swoją drogę. Czasem dawało się nocleg komuś, kto właśnie wyszedł z więzienia i nie miał się gdzie podziać. Albo przygarniało się dziadunia, któremu zdarzyło się wpaść w białą gorączkę i potłuc całą zastawę w stołówce Armii Zbawienia. Tak czy inaczej, pensjonariuszami domu bywali głównie ludzie starzy, sterani życiem. Teraz klientela odmłodziła. Stanowili ją w pierwszym rzędzie nieletni uciekinierzy, którzy prysnęli z domu z paroma funtami w kieszeni, zgrali się do ostatniego pensa gdzieś na automatach, a potem koczowali na ulicy czy na dworcu.

Ci młodzi ludzie mieli wszyscy coś wspólnego, coś takiego w wyglądzie, trudnego do zdefiniowania, lecz przy niewielkim nawet doświadczeniu łatwego do stwierdzenia. Zwykle byli niezdrowo otłuszczeni, jakby rozdęci od tanich węglowodanów i soli ze spożywanych w nadmiarze frytek. Na pytania odpowiadali niechętnie, ociągając się, albo nie odpowiadali wcale; oczy mieli zawsze wbite w jakiś jeden punkt gdzieś poza ramieniem indagującego. W ich pożałowania godnych bagażach, najczęściej w jakichś wyświechtanych reklamówkach, pobrzękiwały fiołki z różnymi „uspokajającymi” lekarstwami.

Wolontariusze pracujący w fundacyjnym schronisku również się pozmieniali. Aktualny kierownik, Richard, był

wrażliwym młodym mężczyzną z wyższym wykształceniem. Zanim nastał, przyjmowano do pracy wyłącznie energicznych, schludnie prezentujących się chłopaków i dziewczyny; wszyscy oni mieli zwyczaj zwracać się do klientów domu w taki sposób, jakby byli ich krnąbrnymi wyżłami czy pointerami: z dobrocią, lecz naznaczoną zdecydowaniem wyższością. Teraz trudno było odróżnić personel od pensjonariuszy. Wolontariusze - młode, zagubione dzieciaki ledwie po maturze - najczęściej dawali się skusić perspektywą kieszonkowego, wikt i darmowego lokum w Londynie. Decydowali się popracować trochę przed rozpoczęciem studiów. Chodzili w ciuchach ze sklepików dobroczynności. Nie czytali książek. Rzadko kiedy odzywali się do kogokolwiek spoza własnej paczki.

Ralph zapraszał ich czasem do Norfolk, by mogli pooddychać przez tydzień wiejskim powietrzem. Przywoził też pensjonariuszy, ładując ich do samochodu razem z tymi ich reklamówkami i wioząc przez Essex i Suffolk. Żeby mogli zaznać trochę ciepła, „ciepła” oczywiście w przenośni, jeśli brać pod uwagę stan instalacji centralnego ogrzewania w Czerwonym Domu. Anna lubiła, jak sądził Ralph, oglądać nowe twarze. Dzieci również przywykły do częstej obecności obcych ludzi i nazywały ich gośćmi. I wypytywały po cichu: „To »dobra dusza« czy »smutny przypadek«?”

Bywały noce, kiedy Ralph tkwił przy telefonie aż do świtu, konferując z jakimś małoletnim kandydatem na samobójcę w Londynie; bywały inne, gdy zrywał się z łóżka, wskakiwał do samochodu i z rykiem silnika - z rykiem w sensie dosłownym, jeśli wziąć pod uwagę stan citroena - pędził, aby uporać się z jakąś katastrofą, która przekraczała magisterskie możliwości Richarda. Ralph miał znacznie prostszą receptę na postępowanie w trudnych sytuacjach, niż Richard mógł to sobie wyobrazić. Był spokojny i cierpliwy, spodziewał się zawsze od innych tego, co najlepsze, i nigdy nikogo nie uważał za straconego z góry. Ludzie to wyczuwali; niezachwiany optymizm Ralpha często ich po

prostu rozbierał, decydowali się żyć i zmienić dotychczasowe postępowanie.

Czasem ktoś pytał obcesowo, czemu fundacja nie ogranicza się do działań w Londynie, skoro są tam takie krzyczące potrzeby. Ralph mówił wtedy o wyciszonych, słabo rzucających się w oczy, ale też przecież istotnych problemach prowincji: o nastolatkach nudzących się bez końca na przystankach, na które nie przyjeżdżają już żadne autobusy, o emerytach odciętych od świata w swych domkach rozsypanych wzdłuż nieczynnych, zarosłych trawą linii kolejowych, w domkach bez telefonu, centralnego ogrzewania i kanalizacji. O społecznych skutkach zamykania bocznych linii kolejowych Ralph potrafił mówić tak długo i szczegółowo, że rozmówca najczęściej żałował decyzji o postawieniu pytania.

Było faktem - Ralph przyznawał to jako pierwszy - że kurczących się środków fundacji potrzebowano w zbyt wielu miejscach naraz. Ralph czuł się rozbity, rozdarty. Często dręczyły go niepokoje i wyrzuty sumienia. Pytał siebie: czy uczyniłem wystarczająco wiele dla świata? Ale także: czy uczyniłem wystarczająco wiele dla własnej rodziny? Niekiedy odczuwał coś dziwnego: miał wrażenie, jakby jakieś niewidzialne ręce chwytały go za ubranie i ciągnęły równocześnie w przeciwne strony.

Tak to było. Dziś Ralph miał do napisania jeszcze jeden list, do Stowarzyszenia Dzieci Kościoła Anglikańskiego. Potem posiedzenie komitetu w Norwich i powrót pędem do domu, bo Kit miała przyjechać z Londynu, a Julian miał przywieźć swoją dziewczynę z farmy nad brzegiem morza; Anna gotowała na tę podwójną okazję coś specjalnego.

Nakleił znaczki na koperty. Ziewnął. „Nie, nie wolno -upomniął w myślach siebie samego - lekceważyć takich drobnych codziennych czynności. Sumują się. Drobne działania, drobne, lecz dobrze spełnione obowiązki koniec końców sprawiają, że ten świat staje się lepszy”.

W każdym razie można mieć taką teorię.

Wczesnym popołudniem Emma wyjechała po bratanicę na stację kolejową w Norwich. Czekwała w samochodzie. Kit, z torbą w ręku, biegiem pokonała plac przed dworcem; wiosenny wiatr zwichrzył jej włosy, porozwiewał je wokół głowy. Wskakując do auta, Kit wstrząsnęła nimi niczym lew swoją grzywą. Ucałowała i uściskała ciotkę. Miała nie tylko lwią grzywę, ale również lwie oczy: duże, złociste i czujne. „Ależ się z niej zrobiła efektowna dziewczyna, prawdziwa łowczyni serc!” - pomyślała Emma. Przypomniła sobie Ralpa z czasów, gdy miał mniej więcej tyle lat co teraz jego córka, służył w wojsku i przyjeżdżał do domu na przepustki. Również był efektownym chłopakiem, ale dalekim od sercowych podbojów.

- Możesz wypić ze mną herbatę - odezwała się Emma. - Potem zawiozę cię do domu. Nie bój się, ciasto kupiłam gotowe! Nie porwałam się tym razem na nic ambitniejszego.

Emma mieszkała w niedużym, schludnym domku z czerwonej cegły w Foulsham, przy High Street. Wedle norm, jakie obowiązują w Anglii chyba wszędzie poza hrabstwem Norfolk, Foulsham nie jest prawdziwym miastem. Ma tylko kilka niedużych sklepów, pocztę, kościół i kaplicę baptystów. I jeszcze pomnik na cześć bohaterów wojny, parafialną gazetę, budynek władz lokalnych oraz ruchomy punkt sprzedaży świeżych ryb. W odległości stu jardów od domu Emmy znajduje się szkoła, do której Kit zaczęła chodzić, gdy miała pięć lat; o pięćdziesiąt jardów bliżej jest sklep, gdzie Kit, idąc ze szkoły do domu ciotki, zazwyczaj kupowała słodczyce.

W tamtych czasach Emma bardzo rzadko przyjmowała pacjentów po południu. Brała dyżury kiedy indziej, wieczorami albo w weekendy, gdy inni lekarze chcieli gdzieś wyjechać. O czwartej czekała w domu, żeby wpuścić dzieci do środka, wysłuchać nowin szkolnego dnia, poczęstować malców lemoniadą i słodkimi bułeczkami, a potem odwiedzić ich

do domu. Kiedy Kit przychodziła, często akurat wychodził pan Palmer, agent nieruchomości. Był bardzo dobrym znajomym cioci Emmy; Kit podejrzewała go, że specjalnie zjawia się wcześniej, żeby zjeść najpiękniej polukrowane bułeczki, a może i inne łakocie, których już potem brakowało dla dzieci. Niekiedy pan Palmer bywał wyjątkowo rozradowany. Porywał wtedy Kit na ręce, podrzucał ją - rozchichotaną, z potarganymi włosami - aż do sufitu i obdarowywał dwuszylingową monetą. Niezłe się nawet wzbogaciła jego kosztem. Młodszy brat Kit, Robin, gdy również zaczął chodzić do szkoły, krzywdował sobie, że nie dostaje takich sum, jak niegdyś siostra. Pan Palmer, wysłuchawszy narzekań, zmierzył mu włosy i podarował sześć pensów. A Kit wytłumaczyła bratu, że przyjaciel cioci Emmy widocznie popadł w finansowe tarapaty, co się ludziom zdarza i o czym nawet można przeczytać w książkach.

Minęło piętnaście lat. Kit zdarzało się jadać ostrygi w towarzystwie dorosłego syna pana Palmera. Emma, mimo że nie dobiła jeszcze do pięćdziesiątki, określała siebie jako „półemerytkę”. Tłumaczyła Ralphowi, że też miałby chęć pofolgować sobie w pracy, gdyby spędził całe życie zajmując się na przemian anemicznymi kobietami w ciąży, zapłakany drobiazgiem z wykwitami odry i charczącymi dziadkami z zadyszką. Pracowała więc znacznie mniej niż kiedyś: brała dyżury głównie w weekendy i wakacje. Poza tym czytywała literaturę medyczną i uczestniczyła od czasu do czasu w konferencjach poświęconych planowaniu rodziny. Ta kwestia zawsze ją interesowała. Poruszała ją otwarcie w rozmowach ze wszystkimi pacjentami. Wzywana z powodu lumbago czy półpaśca, przyjeżdżała zaopatrzona również w odpowiednie instrumentarium z gumy. Robin przedstawił ją pewnego razu swemu szkolnemu koledze słowami: „Oto moja ciocia Emma, która uczyniła tak wiele na rzecz wyludnienia Wschodniej Anglii”. Miała ogromne wzięcie jako prelegentka w szkołach i college'ach całego hrabstwa. Dyrektorzy zapraszali ją chętnie, ponie-

waż mówiła o wszystkim bez ogródek, a równocześnie nie krępowała słuchaczy własną osobą. Dla młodych ludzi była stara; nie narzucała się ich wyobraźni jako ktoś, kto również robi takie rzeczy. W domku przy High Street było ciepło i czysto.

- Rozgość się - rzekła Emma do bratanicy.

Kit opadła na krzesło. Miała w sobie zawsze mnóstwo energii, lecz teraz sprawiała wrażenie, jakby nagle straciła cały zapas sił witalnych.

- Byłam w Walsingham - odezwała się Emma. - Chciałam się pomodlić za Feliksa. Dziwna rzecz, jak na mnie, prawda?

- Byłaś przy studniach?

- Nie, tylko w kościele.

- Tam jest taka jedna studnia, wiesz, taka okrągła... Znałam dziewczynę, która wierzyła, że jak człowiek napije się z niej wody, to mu się spełni za rok i jeden dzień jakieś ukryte życzenie.

- Ukryte życzenie... - powtórzyła Emma. - Ciekawe, ukryte przed innymi czy przed samym sobą?

Kit uśmiechnęła się.

- Oto problem, prawda? Coś jak: czy zdarzają się nie wysłuchane modlitwy? Niektórzy twierdzą, że wszystkie modlitwy zostają wysłuchane, tylko nie zawsze jesteśmy w stanie odczytać boską odpowiedź.

Emma podała herbatę i ciasto, które niestety pokruszyło się jej dość mocno podczas rozpakowywania. Sama siebie określała jako wolnomyślicielkę w dziedzinie żywienia. Zawsze karmiła swoich gości o nietypowych porach i nietypowymi kombinacjami produktów.

„Ciekawe - zamyśliła się Kit - na ile miało to związek z osobą Feliksa? Ciotka nigdy przecież nie była pewna, kiedy on przyjdzie; czasami pewnie przygotowywała coś dla niego, a on nie jadł, bo spieszył się na posiłek do domu, i danie zostawało, i ona odgrzewała je po jakimś czasie dla siebie...”

- Ciasto niedobre? - zapytała Emma.
- Niedobre? Przeciwnie, doskonale! - Kit zgarnęła na skraj talerzyka kupkę żółtych okruchów. - Emmo, czy mogę cię o coś zapytać? Możesz mi odpowiedzieć, żebym pilnowała swojego nosa, jeśli zechcesz, ale wiesz, ja ostatnio próbuję jakoś... uporządkować przeszłość, poukładać sobie w głowie niektóre sprawy. Myślałam o tobie i Feliksie. Zastanawiałam się, czy w ogóle kiedyś była mowa o tym, że odejdzie od Ginny i wprowadzi się do ciebie?
- Była, była. Jeszcze ile się mówiło na ten temat. Zawsze się mówi w podobnych sytuacjach. Widzisz
- Emma odgarnęła dłonią włosy z czoła - znałam Feliksa, jeszcze zanim on spiknął się z Ginny. Wałęsaliśmy się razem, kiedyśmy mieli po szesnaście, siedemnaście lat. Później, jak zaczęłam studia w Londynie, przyjeżdżał do mnie w odwiedziny. Mogłam za niego wyjść, jak mi się zdaje. Ale mu powiedziałam, żeby się ode mnie odczepił. Działał mi na nerwy. Głównie swoimi kamizelkami. Żółtymi. Kazałam mu się odczepić i popełniłam błąd, prawda?
- Później nie działał ci już na nerwy...
- Nie. I nie odczepił się. Nauczyłam się go znosić. Ale widzisz, oni mieli dzieci...
- Może nie powinni byli mieć?
- Mhm. Ginny nigdy nie korzystała z moich środków... Ale te dzieci przyszły na świat, zanim jeszcze myśmy z Feliksem z powrotem się zeszli albo przynajmniej zanim zeszliśmy się na stałe. Tak, oczywiście, mogliśmy się pobrać, teraz doskonale zdaję sobie ? tego sprawę, ale przepadło... przepadło... Feliks nie zechciałby opuścić Daniela i małej.
- Mogłabyś mieć jego dzieci! Byłoby fajnie, gdybyś miała dzieci, Emmo. Byłoby nas więcej.
- Ale nie byłoby wtedy na świecie Daniela.
- No tak, ale... Ech, chyba bym się zgodziła przehandlo-wać Daniela za kuzynów! To przecież właściwie nie byłiby kuzyni, to byłiby bracia i siostry.

- Nie wolno być takim zachłannym, Kit - rzekła Emma. -Prawdę mówiąc, Feliks nie odszedłby od Ginny, nawet gdyby nie mieli dzieci. Ginny nie należy do kobiet, od których mężczyźni odchodzą. To, co było, wystarczało nam, Feliksowi i mnie. I to, co jest, powinno tobie wystarczyć.

- No, myślę - mruknęła Kit.

Twarz Emmy rozjaśnił przelotnie jakby promień łaski. Powtórzyła raz jeszcze, łagodniej:

- Nie wolno być zachłannym, Kit.

Emma starała się wyperswadować dzieciom Ralpa nazywanie jej ciotką. „Kim cię zwa, tym się stajesz”, mawiała, a nie chciała stać się typem matrony z powieści P.G. Wodehouse'a. Starała się też choć trochę ułatwić dzieciom Ralpa życie, bo zdawała sobie sprawę, że nie jest rzeczą łatwą być dziećmi właśnie Ralpa.

Miał wymagania tyleż wysokie, co odmienne od wymagań innych ludzi. Kiedy dzieciaki były małe, często bawiły się z przyjaciółmi z domów komunalnych, jakie pobudowano wzdłuż bocznej drogi za kościołem, o mniej więcej ćwierć mili od Czerwonego Domu. Dzieci Ralpa miały lepsze maniery, owszem, jednak dzieci z mieszkań komunalnych były lepiej ubrane.

Na szczęście dla młodych Eldredów w ich szkole było więcej dzieci wychowywanych w nietypowy sposób; gdyby nie to, pewnie trudno by im było pogodzić się z własną innością. Na przykład Kit miała przyjaciółkę, której ojciec nie godził się na telewizor w domu. Robin z kolei znał chłopca, któremu matka dziergała według własnego projektu spodnie na drutach. Norfolk hołubi takich ludzi; odizolowani w swych domach od wszelkich obcych wiatrów, mogą się tu spokojnie oddawać najrozmaitszym dziwactwom.

Dom Emmy był dla dzieci jej brata czymś w rodzaju azylu; lubiły w nim przebywać, mimo że ciotka nie potrafiła nawet kanapki przyrządzić tak, żeby się nie rozpadała. Cóż, rozumiała za to doskonale, czego mogą dotyczyć najgorę-

sze dziecięce pragnienia: modnych ciuszków, łakoci, rzeczy, którymi Ralph pogardzał. „Biedny Ralph - myślała Emma o bracie - fundował za to dzieciakom lekcje muzyki, chociaż nie były muzykalne; jak więc mógł się spodziewać ich wdzięczności?” Robin powiedział kiedyś: „Tato podobno ma dobre podejście do młodzieży, ale to widocznie musi być inna młodzież, nie my”.

Emma i Kit skończyły herbatę. Pokonały trzy mile drogi do Czerwonego Domu. Gdy Emma już zatrzymała samochód, Kit zapytała ją:

- Czy tato dalej wierci Julianowi dziurę w brzuchu, żeby się zgłosił na rok jako wolontariusz?

- Chyba już dał sobie z tym spokój. Przecież Julian by nie wytrzymał w Londynie, nie sądzisz? Byłby z powrotem po paru dniach.

Emma przechyliła się w stronę Kit, żeby ją ucałować.

- Nie wchodzę. Wybieram się dziś wieczorem ze współpracownikami do King's Arms, chcemy trochę poszaleć.

- W takim razie miłych szaleństw - rzekła Kit. Wysiadła, ale po chwili wsunęła jeszcze głowę do samochodu.

-Może ja się zgłoszę zamiast Juliana - powiedziała. -Rok chyba da się jakoś wytrzymać. A może nie? Emma była wyraźnie zaskoczona.

- Myślałam, że zaczniesz robić doktorat! Że już wszystko ustalone!

Kit pokręciła głową.

- Nic nie jest ustalone. Owszem, miałam kiedyś taki pomysł, ale napisałam potem do taty, że nie chcę być dłużej w Londynie... Teraz znowu myślę, że jakoś bym tam wytrzymała, gdybym miała pracować dla fundacji, gdyby miał być ze mnie jakiś pożytek. A tak w ogóle - Kit spojrzała gdzieś w bok - to właściwie nie wiem, co myśleć. Straciłam... Właściwie to nawet nie wiem, co straciłam.

„Czyżby dziewictwo?” - pomyślała Emma. Kit, zupełnie jakby odczytała tę myśl z wyrazu jej twarzy, rzekła:

- Nie chodzi o Daniela. Z powodu Daniela nie zostałam tutaj. Chociaż, jakbym potrzebowała wymówki, pewnie mógłby mi za nią posłużyć.

Emma odjechała. Drzwi domu otworzyły się na oścież, stanął w nich Julian i udając, że wypatruje po krzakach kota, zawołał:

- Kici, kici, kiciuniu, chodź na kolację!

„Wygląda świetnie” - pomyślała o bracie Kit. „Wygląda na szczęśliwego człowieka”. Julian wyprostował się, prezentując swą imponującą posturę, otworzył ramiona i uściskał siostrę. Tuż za plecami miał swą rudowłosą dziewczynę, Sandrę Glasse.

W kuchni, pośród pozostałych członków rodziny, Kit zastała Daniela Palmera. Wszyscy przyglądali się pilnie, jak bardzo będzie ucieszona faktem, że go widzi.

- Witaj - powiedziała. - Nie spodziewałam się, że będziesz. Gdzie twój samochód?

- Wstawiłem go pod dach.

Daniel nie potrafił określić, jaki właściwie jest jego status u boku Kit, ani w mniemaniu jej samej, ani w mniemaniu rodziny. Rzekł więc trochę niepewnie:

- Witaj w domu.

A potem ujął w palce kosmyk włosów Kit i dotknął wargami jego koniuszka.

- On ma nowy wóz - odezwał się Julian. - Boi się, żeby deszcz nie napadał na to cudo.

- To morgan - powiedział Daniel.

Na jego twarzy odmalował się wyraz najwyższego zachwytu i najgłębszej rozkoszy. Kit uwolniła z jego dłoni swój kosmyk i wplątała z powrotem we włosy, te, które nie zostały wyróżnione romantycznym gestem.

- Cacko, ręczna robota - dodał Daniel. - Czekałem na niego cztery lata.

- O Boże! - westchnęła Kit, nie będąc w stanie zrozumieć, w jaki sposób pragnienie może przetrwać tyle czasu.

- Chyba nie miałbym odwagi poprowadzić czegoś takiego - odezwał się Ralph.

-- Wygląda jak stary, chociaż nie jest - dorzuciła Becky.

- A gdzie Robin?

- Bawi się w samochodzie Daniela - wyjaśnił Ralph.

Daniel zaprezentował kluczyki swego nowego auta; trzymał je na dłoni w taki sposób, jakby dzierżył co najmniej garść diamentów.

- Nie martw się. Daleko nie odjedzie.

Sandra Glasse nie odzywała się w ogóle. Najwyraźniej nie miała pojęcia, o czym właściwie mowa; Kit domyśliła się, że rudowłosa przyjaciółka jej brata dopiero co przyszła. W ręku trzymała papierową torebkę; przyciskała ją ostrożnie do swego starego swetra.

- Och, Mrs Eldred - powiedziała w końcu - przyniosłam pani trochę jajek.

Daniel, który widział Sandrę po raz pierwszy, przyjrzał się jej z kpiarskim uśmieszkiem. Dla niego była jak ktoś, kto spadł z księżycy, a co najmniej przybył z zupełnie innego świata.

Posiłek postanowiono zjeść w kuchni, ponieważ wieczór był zimny, a centralne ogrzewanie w Czerwonym Domu znów robiło kawały. Wcześniej tego dnia Ralph natknął się na Annę dźwigającą do kotłowni wiadro węgla.

- Anno - rzekł ze zdziwieniem - to mając dwu synów w domu ty dźwigasz...

Przerwała mu.

- Z wolnej i nie przymuszonej woli! Żeby się rozgrzać. Wojowali z niesprawnym piecem tak długo, że aż oboje się rozgrzali.

- Nieszczęsny gruchot - westchnął Ralph. - Trzeba by już się chyba nad nim zlitować i wysłać tam, gdzie mógłby dokonać żywota: na złomowisko. No, ale nie możemy przejść w tej chwili na ropę. Nie widzę tego, przynajmniej w tym roku. Poza tym ropa zależy od polityki, jeśli ceny podskakują, to znaczy, że polityka zdiera z ludzi haracz.

- Daniel wytłumaczył mi kiedyś - rzekła Anna - że kiedy cena któregoś z paliw idzie w górę, ceny innych też się wkrótce podnoszą.

-No, ale instalacja... - ponownie westchnął Ralph. -Nie, z ręką na sercu... Mamy do zapłacenia tyle rachunków, chociażby telefon... . ,

- No właśnie - powiedziała Anna. - Ale jak ktos przychodzi i pyta: „Czy mogę skorzystać z państwa telefonu? , ty zawsze odpowiadasz: „Oczywiście, proszę bardzo! A kiedy on chce ci potem zapłacić za rozmowę, mówisz: „Alez me, nawet nie chcę o tym słyszeć!" Pamiętasz tę wolontanusz-kę Zdaje się, Abigail... Tę, co to powiedziała, że zadzwoni tylko do swego chłopaka? Okazało się, że ten jej chłopak był akurat w Australii.

-Ekstremalny przypadek. Zresztą, dziewczyna bardzo się uspokoiła po tym telefonie.

_ Ludzie mogliby mieć mniej kosztowne niepokoje - rzekła Anna. - Albo przynajmniej mogliby je mieć w porze ulgowej taryfy.

A potem powiedziała jeszcze:

- Ralph, przy okazji, skoro już mamy chwilę dla siebie... Powiedz mi, co myślisz na temat Daniela? Według opinii Ralpa Daniel był naprawdę w porządku. Ralph czuł się zawsze dobrze w towarzystwie młodego Palmera; Daniel nosił rzeczy takie same jak on: sztruksowe spodnie, stare tweedowe marynarki... Dopiero ostatnio Ralph dowiedział się, że Daniel jeździ specjalnie do Londynu i za duże pieniądze sprawia sobie rzeczy, które choć: nowe wyglądają jak stare, bo tak są zrobione. Ralph nosił ubrania takie, jakie nosił, dlatego, że innych w szafie nie miał Daniel kierował się innymi pobudkami: nosił takie rzeczy, bo chciał stać się kimś, prowincjonalnym gentlemanem, jak mówił Robin. To była poza.

Robin świetnie się na tym poznał, niemniej do dwuosobowego morgana odnosił się z takim entuzjazmem, że z tru-

dem udało zm się odciągnąć go na kolacje. Po posiłku Ralph rowmez udał się do szopy, gdzie tymczasowo garażowało lśniące чудо, żeby je zobaczyć i wymruczeć pochwały. Daniel zachowywał się jak dziecko w gwiazdkowy wieczór po prostu nie posiadał się z radości; byłoby grubiaństwem me podziwiać jego nowej zabawki. Jednak Ralphowi robiło się jakoś nieswojo, gdy myślał o tym samochodzie, o tym co może oznaczać taki wóz, w którym pod stylową maską drzemią nowoczesne mechanizmy. Wóz, który, jak powiedziała Kebecca, ma udawać coś, czym nie jest.

Ralph myślał jednak również, że skoro Kit wybrała sobie uaniela, to on me powinien mnożyć obiekcji. I że Daniel będzie się dobrze opiekował jego córka. Ma przecież solidne komo w banku, jako architekt jest facetem z przyszłością. Dałby radę utrzymać i ten samochód, i Kit. Zaprojektowałby dla niej i dla siebie dom, na pewno by zaprojektował, i wybudował, z pierwszorzędną lokalizacją, i Kit miałyby kobietę do sprzątania, i gorącą wodę, kiedykolwiek by jej zapagnęła, i...

Ralph poczuł, że ogarnia go nagle jakiś okropny żal. Stał w szopie z Danielem i Robinem, w starym przeciwdeszczowym płaszczu zarzuconym na ramiona; niosące deszcz porywy wiatru wdzierały się do środka przez otwarte drzwi a porywy zalu wdzierały się Ralphowi do gardła i dławiły go, wstrząsały nim niczym dreszcze. Odwrócił się, nie chciał, żeby ktokolwiek widział jego twarz. Coś takiego zdarzało mu się czasem. Ostatnio częściej mz kiedyś. Próbując oddzielić się, oderwać od własnych emocji, spojrzeć chłodno, racjonalnie, Ralph stawiał sobie pytanie: co to właściwie jest? Wyszedł z zaimprovizowanego garażu, wrócił do domu. W kuchni Sandra zmywała naczynia, Becky je wycierała' Wzbierała ze stołu i chowała do lodówki to, co pozostało na polmiskach. Typowa sytuacja. Rodzina, jakich wiele. Rok 1980. Wszystko w najlepszym porządku.

Minął już rok, odkąd Julian poznał Sandrę Glasse.

To było w kwietniową niedzielę, Julian nie mógłby pomylić daty, ponieważ skauci z North Walsham mieli akurat paradę w Dzień Świętego Jerzego. Co Julian robił w North Walsham? Chciał tego dnia wyrwać się z domu, w którym przebywali akurat jacyś szczególnie męczący goście, „smutne przypadki”. Robin wymówił się imprezą sportową czy czymś w tym rodzaju, on zawsze znajdował jakiś sposób ucieczki. Julianowi musiała pomóc matka. Spytała go:

- Czy mógłbyś załatwić mi sprawę w North Walsham? Mam paczkę z odzieżą na kościelny kiermasz dobroczynny, jest tam między innymi parę rzeczy ojca, które koniecznie chciałabym już wypchnąć z domu. Gdybyś to wszystko tam podrzucił, mógłbyś zatrzymać samochód na całe popołudnie. Podam ci adres, a jak nikogo nie będzie, zostaw paczkę w garażu. No, zgoda?

Co można robić w North Walsham? Co można robić w małym targowym miasteczku w niedzielne popołudnie? Skauci z orkiestrą maszerowali ulicą, jacyś młodzieńcy na motocyklach wyśmiewali się z nich. Julian zaparkował samochód, dostarczył paczkę do domu w pobliżu kościoła i ruszył spacerkiem pustą już ulicą. Słońce kapryśnie to pobły-skiwało, to kryło się za chmury. Julian zatrzymał się przed wystawą apteki Bootsa i zaczął się jej przyglądać, mimo że nie miał ku temu żadnego powodu. Za szybą znajdował się istny miszmasz mieszanek witaminowych i pastylek glukozy, obok piętrzyła się piramida filmów „Kodak” w tak wielkiej różnorodności, że tylko brać i wybierać. Był też imponujący zestaw termoforów dla pesymistów gotowych sprawić sobie któryś z nich na nadchodzące lato.

Młodzi motocykliści zgromadzili się nie opodal Market Cross. Odstawili maszyny, zaczęli się wygłupiać i szarpać, i ganiać wokół zabytkowej budowli. Julian zawsze bardzo lubił oglądać Market Cross w North Walsham z bliska, tym razem jednak postanowił się oddalić. Nie żeby miał jakieś obawy wobec tamtych chłopaków, nie bał się ich, a przynaj-

mniej nie przyznawał się do tego. Wolał jednak nie wchodzić im w drogę, uważał, że podobnie jak skauci mógłby ich sprowokować do drwin. Dlaczego? Bo ubrany był schludnie, jak grzeczny uczeń w weekend, w kremową bawełnianą koszulę i starannie odprasowane jasne spodnie (nikt w domu nie potrafił sprawić, by matka przestała szaleć z żelazkiem). Bo jego włosy były zbyt jasne, zbyt lśniące i zbyt czyste. Bo miał twarz o chłopięco łagodnych rysach i duże niebieskie oczy o świetlistym spojrzeniu. Doskonale wiedział, jaki obraz wszystko to tworzyło - obraz prowokującej niewinności. Fakt, że był fizycznie silny, w ogóle się tu nie liczył. Siła bez przyzwolenia na jej użycie ma bowiem niewielkie znaczenie.

Tamci młodzieńcy nosili skórzane kurtki nabijane metalowymi ćwiekami. Głowy mieli ostrzyżone prawie do gołej skóry. Towarzyszące im dziewczyny prezentowały długie metalowe kolczyki i dość ponure miny. Stały w nonszalanckich pozach, opierając się o motocykle albo czepiając się swoich chłopaków. Prowadziły między sobą coś, co miało uchodzić za rozmowę, lecz sprowadzało się głównie do chichotania i powrzaskiwania. W pewnym momencie któraś podkasała cienką spódnicę, przerzuciła nogę przez motocykl, usiadła na nim okrakiem i zaczęła wykonywać ruchy całym ciałem, naśladując kopulację w pozycji „na jeźdźca”.

Jedna dziewczyna stała w oddaleniu od grupy. Owszem, była z tamtymi, ale zdawała się nie przynależać do ich paczki. Miała gęste, ciemnorude włosy; kudłata czupryna niemal całkowicie zasłaniała jej twarz. Figury również prawie nie było widać spod czarno-białego tweedowego żakietu, który wydawał się co najmniej o parę numerów za duży. W wyglądzie tej dziewczyny było coś niezwykłego, właśnie to „coś” kazało Julianowi spojrzeć na nią jeszcze raz. Mocno znoszony żakiet, mniej więcej taki, o jakim typowa pięćdziesięcioletnia matrona z Norfolk powiedziałyby: „Mój stary żakiet do pracy w ogródku”. Brak jakichkolwiek pretensji do podążania za modą. Do odzieżowej kontestacji

również. Sznurowane szkolne trzewiki... Ktoś z grupy zagadnął dziewczynę. Gwałtownie pokręciła rudą głową i ruszyła w poprzek ulicy biegiem, jak spłoszone zwierzątko, w kierunku kościoła. Julian wsunął kluczyki od samochodu do kieszeni. Również przeszedł na drugą stronę ulicy. Idąc w ślad za dziewczyną, znalazł się na kościelnym podwórku. Stała obok wieży - zrujnowanej, częściowo zawalanej, lecz mimo to dominującej wyszczerbionym wierzchołkiem nad okolicznymi ulicami, budynkiem Market Cross i grupką młodych motocyklistów. Ujrzawszy Juliana, dziewczyna najwyraźniej zadrżała wewnątrz tego swojego ogromnego zakietu i przyspieszonym krokiem odeszła dalej, w najodleglejszy kraniec kościelnego dziedzińca. Tam usiadła na ławce (ławki ustawił lokalny komitet opieki nad ludźmi w podeszłym wieku), jakby zdecydowała się spokojnie czekać, aż ją dopadnie.

Julian jednak nie miał jakoś odwagi przysiąść obok; obawiał się, że dziewczyna znowu się złąknie i ucieknie. Naprawdę przypominała dzikie, nieufne zwierzątko; Julian zaczął żałować, że nie ma dla niej czegoś na oswojenie, kostki cukru czy choćby skibki chleba, czegoś, co mogłoby poświadczyć całkowity brak złych zamiarów z jego strony. Dziewczyna, zupełnie jakby czytała mu z twarzy, sięgnęła ręką do kieszeni zakietu i wyjęła z niej jabłko. Potem sięgnęła jeszcze raz i wyjęła następne. Jedno zaoferowała Julianowi, podając mu je na wyciągniętej dłoni. Zrobiła to z poważną miną, bez cienia uśmiechu.

- Zawsze nosisz ze sobą własny prowiant? - zapytał.

- Tak - odpowiedziała. - Zawsze.

Ruchem głowy Julian wskazał na plac targowy. Zapytał:

- Znasz tamtych ludzi?

- Prawdę mówiąc, nie.

- Myślałem, że jesteś z nimi.

- Natknęłam się na nich dziś rano. Z braku lepszego zajęcia pojechałam z nimi do Cromer. Nikt nie miał forsy. Przyjechaliśmy tutaj. Po prostu podrzucili mnie.

Julian wziął jabłko i usiadł obok dziewczyny. Przetarła drugi owoc rękawem zakietu. Odgryzła kęs. Zaczęła żuć w zadumie, z posepną miną i wzrokiem wbitym w stare mury kościoła i nagrobne płyty.

- Wracasz z nimi?

- Nie. Są bez sensu - mruknęła.

- A gdzie mieszkasz?

- W Burnhams. Wiesz, gdzie to jest?

- Wiem. I wiem, że jesteś spory kawał od domu.

- Jak się jedzie motorem, łatwo odbić spory kawał od domu, no nie? Ale ja się nie przejmuję. Zawsze jakoś wrócę. Rzuciła ogryzek jabłka na ziemię. Nie wstała z ławki, tylko szczerzej opatulila się zakietem. Zaczęło mżyć.

- Schowam się w kościele - powiedziała.

Później Julian nabrał przekonania, że Sandra zna wszystkie kościoły w hrabstwie, duże i małe.

Traktowała je tak, jak inni ludzie traktują wiaty na przystankach autobusowych i rozmaite poczekalnie. Tymczasem zerwała się z ławki i pomknęła do kruchty tak prędko, że Julian, chcąc ją dogonić, musiał maksymalnie wyteńczyć krok.

- Nie zjadłeś swojego jabłka - powiedziała, gdy już znaleźli się pod dachem. - Wezmę je z powrotem, może mi się później przydać. Julian rzekł:

- Mógłbym cię odwieźć do domu.

- Masz samochód? -Tak.

- Nie bujasz? Przecież jesteś za młody, żeby mieć wóz.

- Nie bujam. To wóz matki. Zabierz się ze mną. Inaczej nie będziesz miała czym wrócić, a ten deszcz rozpadał się chyba na dobre...

- W porządku, czemu nie - zgodziła się dziewczyna. Stali w kościelnej kruchcie i patrzyli przez otwarte drzwi, jak pada deszcz.

-To taki azyl... - odezwała się niespodziewanie dziewczyna.

- Znasz historię tego kościoła? - spytał Julian, zerkając z ukosa na jej twarz o bardzo jasnych oczach. - Był akurat w budowie, kiedy wybuchł bunt chłopski. Tu niedaleko rozegrała się bitwa. Chyba ostatnia, przegrana, jak mi się zdaje. Niektórzy z pokonanych buntowników schronili się tutaj, błagając o azyl, zgodnie ze zwyczajem. Ale kościół nie był jeszcze skończony, więc prawo o azylu się do niego nie odnosiło. Tak przynajmniej uznał biskup z Norwiche i skazał wszystkich na śmierć.

Dziewczyna spojrzała na Juliana przymrużonymi oczyma.

- Nigdy o tym nie słyszałam - powiedziała.

Nie odezwał się, tylko w myślach zaczął robić sobie wyrzuty, że zmyślił tę historyjkę zupełnie nie wiadomo po co. Po chwili roześmiał się trochę nienaturalnie i zapytał:

- Nie uczyłaś się o tym w szkole?

Czuł, że zaczyna gardzić sobą. Na litość boską, skąd przyszło mu do głowy pleść o chłopskim buncie? Dziewczyna peszyła go, oto był powód; chciał się przed nią popisać. Nie powiedziała dotąd, jak ma na imię. Przymknęła oczy.

-Jakoś nie przypominam sobie - odpowiedziała dość oschle, po czym dodała całkiem innym, już łagodniejszym tonem: - Ale bardzo lubię takie historie o starych budowlach, więc jak znasz jeszcze jakieś inne, to nie bój się, że nie będę chciała ich słuchać.

Wyglądało na to, że dziewczyna spodziewa się dłuższej znajomości. Deszcz trochę zdrobniał. Julian chwycił ją za zbyt długi rękaw zakietu i pociągnął do samochodu. Motocykliści zdążyli już odjechać. Cała odpowiedzialność za dziewczynę spadła na Juliana.

* * *

Drobny deszcz ciął w przednią szybę samochodu. Morze, znajdujące się po prawej, kryło się w coraz gęstszej mgle. Camping dla przyczep samochodowych w Sheringham był prawie niewidoczny w jej oparach. Wiatr szarpał rozkwitły

mi już drzewami wiśni w przydomowych ogródkach. Wyglądały jak pozostawione na dworze przez pomyłkę. Albo przywiezione z jakiejś krainy o łagodniejszym klimacie.

Pomiędzy Cley a Weybourne wrzosowiska przechodziły niepostrzeżenie w mokradła. Amatorzy obserwacji ptaków, objuczeni sprzętem niczym domokrażni handlarze, ciągnęli z różnych kierunków w stronę niewidocznego morza. Na łąkach pasły się owce. Gdzieś widać było odpoczywające łabędzie, zadziwiająco białe w mglistym powietrzu i nieruchome, jakby wykute z białego marmuru. Po rozmieszczane dość gęsto na poboczach drogi anonse, niektóre wypisane były jak kredą na czarnym tle, inne odmalowane starannie, w kolorach, zachęcały do kupowania krewetek, świeżych krabów, patroszonych krabów, wędzonych śledzi i innych owoców morza. Rozpoczął się sezon turystyczny.

Julian i jego pasażerka jechali przez dłuższy czas w milczeniu. Dopiero w Blakeney, w miejscu, gdzie w obszarze słonych moczarów ziemia, morze i powietrze wydają się łączyć w jakąś niesamowitą mieszankę, Sandra odwróciła się w stronę Juliana i rzekła:

- Przepraszam, że siedzę naburmuszona. Nie zawsze taka jestem.

Julian miał w tym momencie okazję zobaczyć z bliska, choć kątem oka, jej twarz, bladą, niemal półprzezroczystą, o łagodnych rysach, i jej niezwykle jasne oczy. Sandra zrobiła na nim wrażenie dziewczyny opanowanej, o mocnym charakterze; białe dłonie trzymała na kolanach, spoczywały spokojnie jedna na drugiej.

- Tamci ludzie z North Walsham... Co oni ci powiedzieli, że od nich uciekłaś?

Sandra myślała przez chwilę, a potem odrzekła:

- Nabijali się z moich ciuchów.

Nastąpiło krótkie milczenie, po czym oboje, jak na komendę, wybuchnęli śmiechem tak głośnym, że zdawał się wypełniać bez reszty ciasne wnętrze samochodu Anny.

Gwałtowny podmuch wiatru od morza uderzył w szybę i gęsto spryskał ją kropelkami deszczu.

- No tak, z ciuchów... - powiedział Julian. - A dlaczego właściwie nosisz coś takiego?

- Mam to z darów - odpowiedziała Sandra. - Nie stać mnie na takie rzeczy, jakie nosili tamci. Wiesz, nieraz sobie myślę, że to zabawna sprawa: jak człowiek ma trochę forsy, może sobie kupować tanie ciuchy i je wyrzucać, kiedy się zniszczą, a jak nie ma, musi nosić ubranie, które wystarczyłoby na wieczność. Rozumiesz, z darów są takie rzeczy, porządne, że królowa by się nie powstydziała ich nosić.

- Skąd są te dary?

- Z jakiegoś kościoła. Moja mama ma swoje kontakty. Sprząta u żony jednego faceta z komitetu parafialnego. Ona zawsze o nas pamięta... Tylko czasami nie pamięta naszych rozmiarów.

Znów zaczęli się śmiać. Zaskrzypiały wycieraczki. W przodzie, gdzieś bliżej Wells, horyzont nabierał perłowego blasku, co mogło świadczyć o lepszej pogodzie.

- Podejrzewam - odezwała się Sandra - że ten stary żakiet jeszcze mnie przeżyje. Kiedyś przepychałam się w nim przez żywopłot. I wyszedł z tego bez szwanku.

Zanim dojechali do Holkham, mgła rozrzedziła się i opadła. W maleńkich oknach starych domostw z kamienia, ciągnących się rzędem od drogi w głąb, w stronę morza, rozbłysły promienie słońca; mury kościoła z okrągłą wieżą załśniły niczym szlachetne kamienie.

- Skręć tutaj - rzekła Sandra, wskazując w kierunku morza.

Wjechali pomiędzy wysokie żywopłoty, pozostawiając z tyłu otwarty pejzaż z wiatrakami i czerwonymi dachami stodół. Trakt zwęził się.

- Właśnie przy tej drodze mieszkam - poinformowała Sandra. - Zostałbyś na herbacie?

Samochód stoczył się z dość stromej pochyłości.

- Moja mama nazywa to, z czego właśnie zjechaliśmy,

„jednym z najwyższych wzniesień w Norfolk" - powiedziała Sandra. - OK, stań tutaj. Zatrzymali się przed obejściem z kilkoma ustawionymi dość bezładnie niskimi budynkami, gruszą, sadzawką dla gęsi i warzywnym ogrodem osłoniętym przez sklecony byle jak wiatrochron. Były tam też jakieś zrujnowane szopy czy kurniki, stare koło od wozu, oparte o ogrodzenie, a obok frontowego wejścia wyładowana czymś i nakryta płachtą folii taczka. Wyszli z samochodu. W drzwiach domu ukazała się kobieta.

- To moja matka - wyjaśniła Sandra.

Pani Glasse wydawała się trochę wyższa od córki. Była jeszcze dość młoda. Miała na sobie połatane dżinsy i dwa workowate swetry, ten spod spodu dłuższy od tego na wierzchu. Tak samo jak Sandra była ruda, tyle że włosy miała dłuższe, podpięte wsuwkami. Niektóre kosmyki niesfornie wymykały się z upięcia i swobodnie opadały na kark, co Julian spostrzegł, kiedy się odwróciła tyłem, żeby wprowadzić jego i Sandrę do środka. Chyba po raz pierwszy w życiu pomyślał wówczas, jakiej to szczególnej sztuki musi dokonywać jego matka, by mieć zawsze tak nienagannie uporządkowaną fryzurę.

Pani Glasse pracowała wcześniej na dworze, obok drzwi stały jej zabłocone gumki. Weszli do domu. Hol okazał się bardzo przestronny: były w nim ciemne meble, kilimy na ścianach i przeciągi ze wszystkich stron.

- Nie jesteś żadnym z tych chłopaków na motorach - odezwała się pani Glasse. - Wejdz dalej, nastawię wodę na herbatę.

Julian skierował się za nią do kuchni. Była również obszernym pomieszczeniem, kwadratowym, jasnym, z ceramiczną posadzką. Dwa twarde krzesła stały przy staroświeckim kuchennym piecu, na którym, na specjalnym drążku, rozwieszona była jakaś odzież. W powietrzu unosił się zapach płonącego drewna i wilgotnej wełny. Pani Glasse zgarnęła suszące się rzeczy i przysunęła do pieca trzecie krze-

sło, zręcznie pomagając sobie nogą w grubej rybackiej skarpecie.

- Gdzie go znalazłaś, Sandro? - spytała.

Nie czekając na odpowiedź, podała Julianowi kubek z herbatą, słodzoną od razu w imbryku. Julian nie wiedział, jak nawiązać rozmowę; pani Glasse również nie była zbyt gadatliwa, nawet nie spytała córki, gdzie się podziewała przez taki kawał dnia. Julian siedział tak, że przez sklepienie łukiem tylne drzwi kuchni widział podwórze z niewielkim kamiennym budyneczkiem, który musiał kiedyś służyć do przechowywania i przerobu mleka; miał okna wpuszczone głęboko w gruby mur i potężne kamienne gzymsy. Na dworze już się ściemniało. Pani Glasse, poczuwszy przeciąg, zerwała się z krzesła i zamknęła drzwi. Julian odwrócił wzrok. Chętnie by wyszedł na to podwórze, zbliżył się do kamiennej budowli, przemknął dłońmi po nierównych płaszczyznach jej ścian, grubych i zimnych jak mury starego kościoła.

Po wypiciu herbaty Julian odjechał. Zdołał jeszcze dostrzec szklarnię z potłuczonymi szybami i brame na oberwanych zawiasach. Przez chwilę korciło go, by zatrzymać samochód, wrócić, zaofiarować swoje usługi. Ale zaraz pomyślał, że nie można zwodzić nikogo obietnicami pomocy, jeśli zamierza się wyjechać pod koniec lata. Pomyślał: „Do października niewiele bym tam zdziałał. A tylko zamieszałbym sobie w głowie”.

Przez kilka następnych tygodni Julian nie widział Sandry. Dopiero w czerwcu, kiedy wracał w pewien pogodny, ale wietrzny dzień od kolegi z Hunstanton, zobaczył na poboczu drogi dwie kobiety, które sprzedawały warzywa z ustawionego na krzyżakach stołu. Rozpoznał je od razu. Podjechał i wysiadł z samochodu.

- Witaj, Julianie - odezwała się pani Glasse.

Miała torebkę na pieniądze zamocowaną przy pasku, jak handlarze z bazarów. Sandra nasunęła pilśniowy kapelusz mocniej na oczy i uśmiechnęła się nieśmiało.

- Dobra pogoda, niedługo będziemy miały truskawki -powiedziała pani Glasse.
- Jak idzie handel? - spytał Julian.
- Od okazji do okazji - odpowiedziała pani Glasse. - To znaczy gracze w golfa kupują coś niecoś, wracając do domu. Tu wszędzie jest mnóstwo pól golfowych - wyjaśniła; wiatr zdawał się wyrywać jej słowa z ust i nieść je w kierunku Juliana. - W sezonie najmujemy nawet ludzi do sprzedaży -mówiła. - Przygotowuję warzywa, obrane i pokrojone w ćwiartki, marchewka w plasterki i tak dalej, pakuję w foliowe torebki. Czego nie sprzedadzą, musimy same zjeść. Pieczemy chleb, kiedy piec nam nie wysiada i jak mamy nastrój. Uczę się z jednej takiej książki wypiekać chleb w rozmaitych kształtach. Bochenki z plecionką na wierzchu, ze snopem pszenicy, w kształcie prehistorycznych potworów, żab, pancerników. Tymi pancernikami ludzie strasznie się zachwycają, chociaż wszystko, co trzeba przy nich zrobić, to uformować, przygnieść i poprzypiekać na wierzchu w kropki.
- To jednak sztuka - zauważył Julian.
- Sztuka stosowana, no nie? - odezwała się Sandra.
- Przyjmujemy ludzi, którzy przyjeżdżają obserwować ptaki - opowiadała dalej pani Glasse. - I tych, co robią sobie wycieczki do Brancaster i Burnham Thorpe, śladami lorda Nelsona.
- Śladami jego dzieciństwa - wtrąciła się Sandra. - Jadą tam, gdzie się urodził.
- Mamy kozie mleko, kacze jajka. Sprzedajemy. Sandra wiezie to wszystko na taczkach. Tylko ten pioruński stół... Musimy go targać w rękach we dwie.
- Pod „jedno z najwyższych wzniesień w Norfolk” - dodała Sandra. - Próbowaliśmy wpakować go na taczki, ale się zsuwał.
- A nie możecie go tu zostawić? - spytał Julian. - O, tam, za tym nasypem - dodał rozejrzawszy się dookoła.
- Ukradliby go - stwierdziła pani Glasse.

Zaklaskała w dłonie, żeby je rozgrzać, podskoczyła parę razy na jednej i parę razy na drugiej nodze.

- Idzie lato - zauważyła z przekąsem.

- Zdaje mi się, że mógłbym coś wymyślić z tym stołem - powiedział Julian. - Tam, za nasypem, wbiłbym palik, taki z łańcuchem, stół można by zaczepiać za nogi i zamykać na kłódkę. Nikt by go nie widział od drogi.

- Nigdy nie myślałyśmy o czymś takim, prawda? - zwróciła się Sandra do matki. - To znaczy nawet myślałyśmy, ale nie miałyśmy czasu się tym zająć, stół trzeba by jakoś zakonserwować, może lakierem, żeby potem nie zgnił na deszczu...

- Zdaje mi się jednak, że to byłoby dość okrutne, tak zostawiać własny stół pod gołym niebem, przykuwać biedaka łańcuchem, jak jakiegoś niebezpiecznego potwora. Chyba że Julian zbudowałby mu tutaj domek... - rzekła pani Glasse.

Obie z córką wymieniły spojrzenia i roześmiały się radośnie.

Julianowi również zrobiło się niemal wesoło.

Następnego dnia Julian wybrał się po raz drugi na farmę pani Glasse. Obie kobiety były bardzo zajęte: matka, siedząc przy kuchennym piecu, zawzięcie dziergała na drutach, a Sandra, wprowadziwszy gościa do środka, wzięła się za pakowanie sizalowych wycieraczek w czarne plastikowe pojemniki.

- To na targ w Hunstanton - wyjaśniła pani Glasse. - Wybieramy się jutro, mamy tam stragan.

Wycieraczki idą świetnie, tyle wszędzie błota. I koszyki, wszelkiego typu.

- Skąd macie tyle wycieraczek? - zapytał Julian.

- Kupiłam je za bezcen od jednego takiego durnia.

- Koszyki robimy same - powiedziała Sandra. - Mama nauczyła mnie wyplatać. Robimy je zimą, jak pogoda trzyma nas w domu.

- A jak dojeżdżacie na targ?

- Ho, ho, tyle pytań! - odezwała się pani Glasse z udawanym oburzeniem.
 - Ja tylko myślałem... że z całym tym bagażem... - Julian był najwyraźniej speszony.
 - Mamy pojazd - wyjaśniła pani Glasse. - Jeśli tak można to nazwać. Staramy się nie korzystać z niego częściej niż raz w tygodniu, z powodu wezwań...
 - ...do zapłacenia podatku drogowego i tych wszystkich innych rzeczy - dokończyła Sandra.
 - Musimy to draństwo ukrywać - rzekła pani Glasse. -Policja wpada od czasu do czasu... Węszą, zaglądają po kątach. Nie przejmowali się nawet psem, jak jeszcze był u nas; miał na imię Billy, ale zdechł.
 - Powinnyście się postarać o nowego, jeśli z psem czujecie się bezpieczniej - powiedział Julian. - Mógłbym wam jakiegoś zorganizować.
 - Nie - ucięła krótko pani Glasse.
- Julian, który siedział naprzeciwko, spostrzegł łzy w jej dużych, jasnych oczach. Pomyślał, że jest ładna, mogła być ładna, na pewno była ładna. A ona, zła sama na siebie, zepchnęła z kolan robótkę i patrzyła obojętnie, jak spada na podłogę.
- Billy potrzebował mięsa - odezwała się. - Zawsze było mi go szkoda, a trudno się spodziewać, że pies będzie żył marchwią i rzepą.
- Wstała.
- Wystarczy tych wycieraczek - stwierdziła. - Koszyki zapakujemy później, teraz napijmy się herbaty.
- Julian rzekł:
- Pojadę z wami na ten targ. Musicie zabrać stół? Pomogę załadować i rozładować...
 - Nie musisz - powiedziała Sandra. - Zawsze same dajemy sobie radę.
 - Mogę zrobić wszystko, co chcecie - mówił dalej Julian. - Mogę załatać dach, jeśli macie drabinę; widziałem, że parę dachówek odpadło. Mogę zrobić coś ze stolarki. Mogę położyć nowe tapety. Wykopać kartofle.

Pani Glasse odezwała się na to:

- Siedź spokojnie, chłopcze. Niczego nie trzeba robić.

Julian siedział więc i pił herbatę. Nie mógł sobie przypomnieć, by kiedykolwiek wcześniej polecono mu niczego nie robić. By mu to wręcz nakazano.

Tego lata Sandra zagościła niemal na stałe w Czerwonym Domu. Można ją było zwykle spotkać w kuchni: siadywała na bujanym fotelu, z założonymi rękoma, z podkulonymi i skrzyżowanymi nogami. Ralph lubił z nią rozmawiać. Mówił potem Annie, że to dziewczyna z olejem w głowie, chociaż wysławia się trochę osobliwie, że ma wrodzoną jasność umysłu, której nie udało się zmać procesowi szkolnej edukacji. Szkoła była dla Sandry dosłownie przerwą w życiorysie, rzuciła ją najwcześniej, jak tylko mogła.

- Nie widziałam w tym żadnego sensu - tłumaczyła Ralphowi - to było tak daleko, traciłam całe godziny, żeby się tam dostać, przeważnie było już ciemno, kiedy wracałam do domu...

Sandra nigdy nie zjawiała się z pustymi rękoma. Zawsze miała ze sobą jakiś prezent, bodaj najskromniejszy: sałatę, świeży chleb. Raz, kiedy chleb akurat nie został upieczony, wzięła ze spiżarni matki puszkę konserwowanych brzoskwiń.

Annę z początku to rozczulało, jednak z czasem zaczęło irytować.

- Sandro - tłumaczyła - naprawdę nie musisz przynosić nam prezentów! Przyjmujemy cię z radością, wpadaj choćby codziennie, jedz, co chcesz, siedź, jak długo chcesz, my tutaj ciągle mamy jakichś gości, nikt nam nigdy nie płaci za utrzymanie.

„Nikt inny nigdy nawet nie zaproponował rewanżu w jakiegokolwiek formie” - dodała już w myślach. Niekiedy Sandra zjawiała się z ciastem. Ciasta piekły z matką w ostateczności, kiedy nie miały kompletnie niczego innego do zabrania na targ. Nie cierpiały babrać się w

rozciągliwej jajeczno-owocowej masie, kleły więc i pomstowały i były niemal gotowe - jak opowiadała Sandra - tłuc się nawzajem ze złości drewnianymi łyżkami. Ciasta pani Glasse były zwykle smętnie spłaszczone, zdawały się wyrażać melancholię podmokłych nadmorskich równin zwanych Fenlands. Ciasta Sandry rosły wysoko, ale w jakiś gwałtowny, wulkaniczny sposób: zawsze pękały na wierzchu. Jak z tego samego piekarnika mogły wychodzić równocześnie dwa wypieki z całkiem przeciwstawnymi defektami, było, wedle słów Sandry, jedną z tajemnic Wschodniej Anglii. Pomimo swego wyglądu ciasta szły nieźle. Ludzie lubią kupować owoce czyjejs pracy, lubią wciskać drobniaki w tę dokładnie dłoń, która się mozoliła przy wytwarzaniu produktu. Choć zdaniem Juliana w tym akurat przypadku to nie produkty przyciągały klientów, ale ogromne, szare, hip-notyzerskie oczy sprzedawczyń.

Tego lata Julian spędzał wszystkie dni targowe w Hunstanton, za kontuarem straganu pani Glasse. Trzepoczące na wietrze płachty brezentu oddzielały ten stragan od sąsiednich - z odzieżą z połyskliwego tworzywa, z roboczymi koszulami w kratę, z pokrowcami na fotele samochodowe z imitacji lamparciej skóry, z gumowymi samochodowymi dywanikami, z obrusami z taniej koronki, z kuchennymi gadżetami z jaskrawego plastyku, z nadmuchiwanymi plażowymi zabawkami. Julian miał wrażenie, że podróśł co najmniej o cal, wystając tak przez całe lato na targowisku, z rozwianymi włosami, opaloną twarzą, z brezentową torbą z drobnymi do wydawania reszty, przewieszoną przez ramię ukośnie niczym patrontasz. Kiedy lato zbliżało się już ku końcowi i morze nabrało ciemnego, błotnistej koloru, pojawiły się wiatry, tak ostre, że przewiewały ludzi do szpiku kości. Bazar opustoszał, klienci stracili chęć do zakupów na wolnym powietrzu.

Ralph rzekł kiedyś do syna:

- Słuchaj, wiem, że jesteś wystarczająco dorosły, żeby samemu o sobie decydować, ale czy ty czasem nie angażujesz

się za bardzo? Pamiętaj, że w październiku masz wyjechać na uniwersytet. Ciężko sobie na to zapracowałeś, nie chciałbym, żeby cię teraz cokolwiek wytrącało z toru, żeby jakies, no wiesz, żale i tak dalej, miały się ciągnąć za tobą jak kula u nogi.

Julian jeździł na farmę pani Glasse prawie codziennie. Doglądał warzywnych zagonów, piłował drewno, naprawiał płoty. Myślał nawet o ponownym oszkleniu zrujnowanej cieplarni, jednak nim zdążył się tym zająć, nadeszła jesień i musiał wyjechać.

Ralph niepokoił się. Anna być może też, ale nie pytał jej

O to. Przypominał mu się Julian z czasów, gdy jako mały chłopiec poszedł do swej pierwszej szkoły. Nie umiał wiązać sznurowadeł. Nie umiał się połapać w planie lekcji. I nie umiał zawiązać sobie krawata. Wciąż płynęły łzy z tego powodu. Rano, owszem, mama albo tata mogli pomóc pierwszoklasiście, ale w szkole były przecież lekcje wuefu, krawat trzeba było ściągać, a potem znowu zakładać. Julian nawet próbował, jednak udawało mu się najwyżej zapętlić jakiś koślawy supeł własnego pomysłu, a nie taki węzeł, jaki powinien być. Szarpał, naciągał, plątał, jakby krawat był kawałkiem zwykłego sznurka. A potem płakał tak spazmatycznie, że wszyscy w szkole uznali go za histeryka.

- Nie jesteś żadnym histerykiem - tłumaczył mu Ralph. - Tak ci ktoś powiedział? To bardzo brzydko z jego strony, że tak mówi...

Zakładając chłopcu co rano krawat na szyję, Ralph czuł się tak, jakby zakładał mu stryczek.

Wreszcie w któreś środowe popołudnie, zapłakane jak zwykle, sprawę przejęła w swoje ręce Kit.

Rozsupłała plątaninę, jaką właśnie w ramach treningu stworzył Julian, i zawiązała porządny węzeł. A potem zaczęła go delikatnie rozluźniać. Wysunęła w ten sposób Julianowi krawat spod kołnierzyka, zdjęła mu go przez głowę nie rozwiązując

1 przewiesiła przez wezgłowie łóżka.

- No i po kłopotcie! - stwierdziła. - Rano po prostu wciągniesz go sobie przez głowę.
- Jasne! - Buzia Juliana rozpogodziła się z miejsca. - Wciągnę i będę musiał tylko...
- Docisnąć węzeł! - weszła mu w słowo Kit. - Spróbuj od razu, sam. - Przytrzymała na początek palcami krótszy koniec krawata. - Przez głowę, tak, a teraz docisnąć, ostrożnie, nie za mocno. O to chodzi. Świetnie! Zobaczysz, wszyscy chłopcy w klasie będą cię naśladować.
Jeszcze po latach Julian z wdzięcznością wspominał to, co zrobiła wówczas dla niego starsza siostra. Jak mówił, nikt nigdy potem nie nauczył go już czegoś równie użytecznego. Ralph żałował, że sam nie wpadł na taki pomysł, jak Kit.
Nie bardzo wiedział, jak pomóc Julianowi w szkole. Zwykła cierpliwość nie wystarczała. Malec z wielkim trudem uczył się czytać czy rozpoznawać godzinę na zegarze. Kiedy próbował brać się za pisanie, efekt był taki, jakby posługiwał się cudzoziemskim alfabetem. Nawet gdy już opanował pojedyncze litery, dalszy postęp w pisaniu następował bardzo powoli. Ledwie cokolwiek nagryzmolił, już ścierał i zaczynał od nowa. Miał całą kolekcję gumek, był z niej dumny. Robin skarżył matce, że Julian nadaje każdej gumce jakieś imię: Mysz, Kot, Mama Niedźwiedzica... A Julian zasypiał nad czytankami, wyczerpany wysiłkiem, jaki wkładał w próby ich zrozumienia. Ralph i Anna zaprowadzili go kiedyś do okulisty, jednak ze wzrokiem chłopca wszystko było w najlepszym porządku.
Przy wszystkim, czego mu brakowało, Julian miał bardzo dobrą pamięć. Kiedyś, gdy miał sześć lat, spytał ciotkę:
- Gdzie poszedł sobie twój kot, Emmo?
- Przecież ja nie mam kota - odpowiedziała.
- Ale miałaś. Miałaś Freddie'ego.
Dokładnie opisał wiekowego kocura, rozłożystego jak sofa, powolnego, z oklapniętym uchem i bez koniuszka ogona. Emma nie mogła uwierzyć własnym uszom. Freddie zdechł dawno temu, zanim Julian nauczył się chodzić i mówić. Cóż

za cudowna, fantastyczna pamięć! Opowiedziała o wszystkim Annie i Ralphowi.

-Musiał kiedyś usłyszeć, jak rozmawialiśmy o Fred-die'em - rzekła Anna.

Rozmowie przysłuchiwała się Kit.

- Nie, mamie - wtrąciła się. - Julian mógł go naprawdę zapamiętać, on pamięta bardzo dużo. I ja też.

Pamiętamy, nawet rzeczy, które się wydarzyły przed naszym urodzeniem!

- Nie bądź niemądra - powiedziała Anna. - Przecież wiesz, że takich rzeczy nie można pamiętać.

Wypisali Juliana z wiejskiej szkoły pod pretekstem, że mają dla niego miejsce w szkole przygotowawczej, z której będzie mógł przejść do dobrej prywatnej szkoły średniej. Nauczycielka nie kryła sceptycyzmu, ale jakoś to znieśli. Przez cały semestr, pełni poczucia winy, trzymali chłopca w doimi i próbowali uczyć go sami. Tak to się nazywało, bo w rzeczywistości Julian głównie bawił się klockami. Jeśli zaglądał do książek, to tylko ze względu na obrazki. Ale mimochodem jego lęk przed słowem pisanym zaczął słabnąć. Niepostrzeżenie, powoli i bardzo ostrożnie Julian zaczął czytać.

Nie oznaczało to bynajmniej, że skończyły się szkolne problemy; w każdym razie nowi nauczyciele absolutnie nie byli skłonni tego przyznać. Julian wciąż zbierał połajanki w domu i w szkole. Był niepunktualny, ospały. Anielsko grzeczny, ale piekielnie niedbały. Wysławiał się inteligentnie, lecz z nadmiarem niedomówień. Rzadko kiedy zdążał na czas, zdawał się nie dostrzegać w przestrzeganiu punktualności żadnego sensu. Nawet już jako nastolatek nigdy nie nosił zegarka. „On żyje jak zwierzę, według słońca” - mawiała Kit.

Wystrzegał się zewnętrznych pozorów, jak można było mniemać. Kiedy rysował dom, rozpoczynał od jego zawartości. Najpierw pojawiały się rondle, garnki i naczynia w kredensie, potem łóżka i krzesła, a dopiero na końcu

ściany, okna i drzwi. Kiedy rysował drzewo, nie ograniczał się do pnia, gałęzi i liści. Zaczynał od korzeni, które biegły u niego głęboko pod ziemię, poza zasięg zewnętrznej obserwacji. Nim osiągnął wiek młodzieńczy, przystosował się jakoś do świata, nauczył się do niego dopasowywać. Od czasu do czasu miewał nawet zrywy pilności, dzięki czemu zdał akurat tyle egzaminów w szkole średniej, ile musiał, na takie dokładnie oceny, jakie były niezbędne; zdawał te egzaminy wytrwale, żeby osiągnąć limit, który umożliwia studia uniwersyteckie, jakby studia były właśnie tym, czego dla siebie pragnął. Ralph próbował zainteresować go geologią sądząc, że mogłaby mu odpowiadać praca w terenie. Jednak Julian kojarzył tę dyscyplinę wyłącznie z popakowanymi i popodpisywanymi okazami, jakie ojciec wciąż przechowywał na strychu. Wydawało się, że odczuwa jakiś szczególny lęk czy wstręt wobec tych pokruszonych, martwych pozostałości dawno minionego życia. Mniej więcej w tym samym czasie Rebecce zaczęły dręczyć z powodu skamielin nocne koszmary.

- Mógłbyś się ich pozbyć, oddać do muzeum - sugerowała mężowi Anna. - Przecież nigdy nawet do nich nie zagładasz.

Ralph pomyślał, że faktycznie, nie zagląda nigdy. Któregoś weekendu poszedł więc na górę i poświęcił swoim okazom trochę czasu. Porozwijał je, zaczął sobie powtarzać łacińskie nazwy. Diabelski pazur, gdy go wziął do ręki, zrobił na nim równie wielkie wrażenie, jak niegdyś: był jak dawniej straszny, zimny i tak samo pachniał morzem. Gromada: mięczaki, Molusca. Klasa: Pelecypoda. Rząd: Pteńoda. Rodzina: Grypheidae. Rodzaj: Gryphaea. Gatunek: Arcuata. Szczątek diabła... Ralph znał ludzi, a dokładnie ojciec Ralpa znał ludzi, którzy utrzymywali, że wszystkie skamieliny poumieszczał w skałach szatan, żeby kusić uczonych do tworzenia hipotez, które odwodziłyby ich od wiedzy objawionej przez Boga.

Ralph włożył Gryphaeę do kieszeni. Zaniósł ją na dół, do szuflady swego biurka. Dlaczego nie miałby mieć tego okazji pod ręką, stanowił przecież jego trofeum w batalii na rzecz rozumu!

Natychmiast po zainstalowaniu się na uniwersytecie Julian napisał długi list do Sandry Glasse. W dwa tygodnie później otrzymał od niej pocztówkę z wiejskim pejzażem Z chmurami i wieżami kościołów. Napisał znowu, prosząc, aby go odwiedziła. Nie odpisała. Pomyślał, że pewnie nie ma pieniędzy na bilet kolejowy; mógłby jej wysłać, lecz czy na pewno by wówczas odpowiedziała? Może listy nie dochodziły? Może listonoszowi nie chciało się wstępować do domu przy bocznej drodze?

Napisał do ojca. Napomknął, czy nie mógłby podskoczyć przy okazji na farmę i sprawdzić, czy wszystko tam w porządku? Ralph odpisał mu niespodziewanie szybko: wszystko w porządku, Sandra była parę razy, wpadała niespodziewanie, jadąc okazjami nadmorską szosą do Fakenham, a dalej z Fakenham do Bawdeswell; stamtąd dochodziła już do Czerwonego Domu piechotą. Pisał też, że nie był zachwycony taką jazdą przygodnymi samochodami; prawdę mówiąc, bardzo się tym denerwował, ale Sandra nie dała sobie niczego wytłumaczyć, więc może by Julian napisał jej parę słów na ten temat? Chociaż niech się nie spodziewa nawału korespondencji w odpowiedzi, bo Sandra twierdzi, że nie bardzo jej leży pisanie listów, nie jest do tego przyzwyczajona.

Tuż przed świętami Bożego Narodzenia Julian napisał jeszcze jeden list, tym razem do dziekana swego wydziału. A potem spakował rzeczy i wsiadł w pociąg do Norwich. Dalej podjechał okazją, a ostatnie kilka mil przeszedł na własnych nogach, przekładając z ręki do ręki walizkę. Tak dotarł do domu. I już został. Jeśli tylko nie był na targu albo nie pracował na farmie pani Glasse, leżał pod swoim nowym samochodem. To znaczy, pod swoim starym samochodem, na kupno którego dostał pieniądze od Emmy. Bardzo dbał o ten wóz, wręcz mu się przypochlebiał, byleby tylko

zechciał go wozić do Sandry i z powrotem. Zresztą w domu samochód również okazał się przydatny: pojazd Anny to były same już prawie tylko klekoty i zgrzyty, a na widok citroena Ralpa mechanicy w warsztatach chichotali i przewracali oczyma albo pozwalali sobie na wybuchy irytacji.

Julian postanowił przywrócić do stanu pełnej używalności i legalności morrisa traveller'a pani Glasse. Wspomniał Ralphowi o problemie podatku i ubezpieczenia, a Ralph od ręki dał mu na ten cel pieniądze przeznaczone na nowy odkurzacz i jakieś tam ciuchy do szkoły dla Rebekki. Julian zobowiązał się w rewanżu naprawić stary odkurzacz, wiekowego hoovera, który, zdaniem Ralpa, już miał wartość jako techniczna ciekawostka, a za rok czy dwa mógł trafić z powodzeniem do muzeum techniki. Rebecca, zdaniem ojca, tak naprawdę wcale nie potrzebowała nowych rzeczy, bo jeszcze przecież nie powyrastała z tych starych. Że inne dziewczęta... A dlaczego nie miałyby się czymś od nich odróżniać?

Julian przekazał pieniądze pani Glasse.

- Proszę nawet nie myśleć o zwrocie - zaznaczył. - Po prostu nie chcę, żeby ktoś wam z powodu auta urągał i żeby kręciła się wokół was policja. "

- Ci i tak zawsze zjadą, jak będą chcieli - powiedziała pani Glasse. - Zdziwiłbyś się, jak łatwo człowiek może im podpaść, choćby nawet nie miał pojęcia, że popełnił jakieś wykroczenie. Wiesz, ja właściwie nie chciałabym brać tych twoich pieniędzy. Ale skoro widzę, że ty chcesz mi je dać...

Pani Glasse wyjaśniła, że nawet po legalizacji będzie mogła korzystać z samochodu co najwyżej w dni targowe. Był przecież jeszcze problem pieniędzy na paliwo.

- Paliwa nie da się wydzierać na drutach - zauważyła. - Ani dostać na stacji benzynowej za warzywa czy chleb.

Julian nie powiedział Sandrze o szkolnym ubraniu swojej siostry ani o kłótni między rodzicami, kiedy cała historia wyszła na jaw. Osobiście zresztą zgadzał się z ojcem: wszystkimu zawiniła Anna przez swój dziwny, „babciny”

zwyczaj chomikowania drobnych pieniędzy w wazonach i słojach po całym domu. To zbyt kuszące dla innych, jeśli mają pilniejsze potrzeby.

Julian nie mówił o tym wszystkim Sandrze, bo wiedział, że sprawa wyda jej się śmieszna. W mniemaniu Sandry El-dredowie byli bogaci, sama mu to kiedyś powiedziała.

- Bez przesady - obruszył się wówczas. - Jest nas czworo rodzeństwa i żadne jeszcze nie zarabia.

Mama ma kwalifikacje nauczycielskie, ale poważnie chorowała i już od lat nie może pracować. A tato pracuje w dobroczynności i nie dostaje wielkiej pensji, tylko tyle, żebyśmy byli wypłacalni.

- Ano właśnie! - rzekła na to Sandra. - Pensja, wypłacalni... My też jesteśmy raczej wypłacalne, bo nigdy nie kupujemy tego, na co nas nie stać. To znaczy, że prawie nic nie kupujemy, obywamy się bez pieniędzy. Prowadzimy - uczyłam się tego na geografii, to chyba jedno, co z tego przedmiotu pamiętam - prowadzimy gospodarkę naturalną.

- Coś mi się zdaje, że wy przede wszystkim w jakiś sposób pysznicie się swoją biedą - powiedział Julian.

- Nie, nie pysznimy się! Po prostu staramy się o niej nie myśleć. Przechodzimy nad nią do porządku dziennego.

- Mogłybyście postarać się o zasiłek - stwierdził Julian. - Inni dostają...

- O, tak, wiemy coś o tym, wiemy. Moja mama chodziła po tych urzędach, co przydzielają zasiłki. To jest tak: trzeba tam przesiadywać w poczekalniach godzinami, marnować czas, w którym można by coś zarobić. Siedzi się, łapie się kaszel i katar od innych interesantów. I albo się coś załatwi, albo nie. Kiedy mama była w takim urzędzie ostatni raz, to ją pytali, czy ma jakiegoś przyjaciela, no wiesz, czy ma faceta. Wściekła się i powiedziała, że lepiej jeść rzepę przez całą zimę niż zwierzać się z romansów biurokratom.

Po hałasie i zamieszaniu we własnym domu, zawsze pełnym rozmaitych kłopotliwych gości, cisza i spokój farmy pani Glasse działały na Juliana kojąco. Podczas jego nieobec-

ności zmieniło się tam tylko jedno: ktoś podarował matce Sandry czarno-biały telewizor. Oglądały teraz wszystkie seriale i mydlane opery i omawiały je z takim życzliwym zaangażowaniem, jakby ekranowe postaci były osobami znanymi im z rzeczywistości. Wyjaśniały Julianowi, kto jest kim, a on zasiadał razem z nimi przed odbiornikiem i też oglądał, tak samo jak one próbował uprzedzać na głos rozwój akcji. To było coś nowego dla Juliana. Eldredowie, owszem, mieli telewizor, ale trzymali go w nie dogrzanym saloniku na tyłach domu, jak jakiegoś zubożałego krewniaka, którego lepiej zaniechano ośmielać.

Poza zamiłowaniem do seriali Sandra i jej matka odkryły jeszcze w sobie ogromny entuzjazm do romansów, ma się rozumieć tych książkowych. Raz, gdy Sandra była w Czerwonym Domu, Anna wzięła ją ze sobą do Dereham, do pomocy w cotygodniowych zakupach. Tam na antykwarycznym stoisku Sandra kupiła sobie za dwadzieścia pensów książkę z oberwanym grzbietem, zatytułowaną „Pogranicze”. Mówiły o niej potem z matką: „Książka, którąśmy czytały”, i opowiadały bez końca o jej bohaterce imieniem Dorothea z takim samym życzliwym zainteresowaniem i umiarkowaną skłonnością do krytyki jak w przypadku bohaterów seriali.

- Tak to jest - kiwała głową pani Glasse, komentując jakieś powieściowe perypetie. - Za młodu człowiek nigdy nie wie, czego by w życiu chciał. Nieraz zdąży wszystko spartaczyć i pogmatwać bez wyjścia, zanim pojmie, o co mu chodzi.

- I już jest za późno, karty wyłożone na stół - dorzucała Sandra.

Julian nie miał pojęcia, co na to mówić. Był tylko geografem, to znaczy miał być, byłby, gdyby nie rzucił studiów. Ludzie z innych kierunków twierdzili, że geografię studiuje tylko mało lotni i mało ciekawi osobnicy, takie sobie zdrowe głuptasy. Może faktycznie tak było? Spośród kilku osób z roku, z którymi zdarzyło się Julianowi odbyć jakieś przy-

padkowe rozmowy, troje czy czworo twierdziło, że chcą zostać nauczycielami, uczyć geografii i wuefu. Julian nie mógł sobie wyobrazić siebie w roli nauczyciela, a już zupełnie nie w roli nauczyciela kopania piłki czy podciągania się na linie. Doszedł do wniosku, że jeśli już ma być zdrowy i głupi, to lepiej od razu, bez studiowania.

Tak rozumował, decydując się wrócić do domu. Tak argumentował, choć jego teza zdawała się zupełnie nie przekonywać matki. Co do ojca, ten w ogóle o nic Juliana nie pytał.

- Nie interesuje się mną - mówił Julian do Robina. - Nie jestem dla niego ani dość dobrą duszą, ani wystarczająco smutnym przypadkiem. Przejmuje się tylko tym krostowatym bractwem z reklamówkami.

- Tak, jeszcze nie jesteś wystarczająco smutnym przypadkiem - stwierdził Robin.

Pewnego dnia w lutym Julian poszedł z Sandrą do łóżka.

To było wielkie żelazne łóżko, na górze. Na dole pani Glasse dalej robiła na drutach. Sandra zakrwawiła całą pościel.

- On dryfuje i to wszystko - powiedziała Anna. - Kiedy go pytam, co chciałby zrobić z własnym życiem, zmienia temat.

Ralph rzekł na to:

- Przecież on zawsze taki był. A swoją drogą - czy jest sens dowiadywać się, co ktoś chce zrobić ze swym życiem? Kiedy zawsze tyle rzeczy może się każdemu nie udać?

Głos Anny był pełen napięcia:

- Więc wystarczy dryfować z wiatrem i falą?

- Przypomnij sobie, co było, jak on był mały - odparł Ralph. - Myśleliśmy, że nigdy nie nauczy się czytać, że nie nauczy się niczego. Ale nauczył się, i to wyłącznie dzięki temu, że pozwoliliśmy mu być takim, jaki był. Pomogło kilka tygodni spokoju. Gdybyśmy go wtedy zostawili w szkole, po-

zwalając belfrom wrzeszczeć na chłopaka, niczego by pewnie nie osiągnął. A tak, dostał się na uniwersytet...

- Ale zmarnował swoją szansę - weszła mężowi w słowo Anna. - Co z nim będzie, jak się zwiąże z tą Sandrą?

- Cóż, mogłoby mu się przytrafić coś gorszego...

- Zdaję sobie sprawę, że Sandra to jeden z tych twoich ulubionych przypadków! Godnych miłosierdzia.

Ralph rzekł łagodnie:

- Chyba powinniśmy być miłosierni. Teraz, gdy istnieje taka potrzeba.

- Czyżby nie istniała zawsze?

- Mam na myśli, że istnieje w naszej rodzinie.

- Więc ja chyba miłosierna nie jestem!

Ralph nie powiedział nic na te słowa Anny. Pomyślał jednak, że nigdy nie przyłączy się do nagonki na któreś z własnych dzieci, że nigdy nie uczyni żadnemu z nich tego, co jemu uczynił ojciec.

Julian wyjaśnił Sandrze i pani Glasse to, czego nie był w stanie wytłumaczyć w domu. Że nie potrafił żyć w miejscu, gdzie spłachetki nieba widzi się tylko pomiędzy stłoczonymi wieżowcami.

- Nostalgia - powiedziała Sandra. - Nie myślałeś, że z czasem by ci przeszła?

Nie kpiła z niego. Najwyraźniej zupełnie nie mieściło jej się w głowie, by Julian mógł wrócić, po części przynajmniej, z jej powodu.

- Nic o czymś takim nie wiesz, Sandro - powiedziała pani Glasse. - Nigdy nie byłaś daleko od domu.

To jest jak choroba. Nie każdy rozumie... Mają do ciebie pretensje? Mama, tato...

- Nawet im nie wspominałem takiego powodu jak nostalgia. To dla nich żaden powód. Sami nie mieli jeszcze moich lat, jak wyjechali do Południowej Afryki.

- Byli w Afryce? - zdziwiła się Sandra. - Nie wiedziałam.

- Niektórzy ludzie po prostu nie są stworzeni do podróżowania - podsumowała rozmowę pani Glasse.

Ralph powiedział do Anny:

- Oczywiście miałaś rację. Co do Juliana. Przepraszam cię.

Odebrała w milczeniu ten nagły przypływ pokory ze strony męża. Ralph dodał:

- Powinienem chyba lepiej się nad tą całą sprawą zastanowić. A zaraz po Wielkanocy powinienem pojechać i porozmawiać z panią Glasse.

Rozdział 6

Po Wielkanocy zaczęły wiać gwałtowne wiatry, tak silne, że, jak się wydawało, mogłyby wyrwać mniejsze drzewa z korzeniami. Przez cały tydzień nie było bodaj chwili, ani w dzień, ani w nocy, w której by się choć trochę uciszyło na świecie.

Pani Glasse nie miała telefonu, więc Ralph nie mógł skontaktować się z nią i uzgodnić terminu spotkania.

- Mam z tobą pojechać? - zapytała Anna.

- Nie. W dwójkę wyglądalibyśmy już jak jakaś delegacja. Jakbyśmy jechali wnieść skargę.

- Zdziwisz się, co to za kobieta - rzekła Anna. - I jakie osobliwe życie prowadzi razem z córką.

W Wells Ralph wjechał na nadmorską szosę. Niebo było zachmurzone, obłoki gnały po nim z wiatrem, co i raz rwąc się na części i odsłaniając płachcie czystego błękitu. Ralph objechał skrajem Holkham Hall, z zabudowaniami z czerwonej cegły. Morza nie było jeszcze widać. Jednak gdy tylko droga skręciła, dostrzegł je na linii horyzontu jako niewyraźne trochę pasmo mętnej, mrocznej szarości.

Była dokładnie dziesiąta, kiedy samochód Ralpha sturlał się zgrzytliwie z „jednego z najwyższych w Norfolk” wzniesień dokładnie przed dom pani Glasse. Drzwi otwarły się, nim Ralph zdążył zgasić silnik. Pani Glasse czekała na gościa.

Pierwszą myślą Ralpha było: „Ależ ona jest młoda, nie ma więcej jak trzydzieści pięć, góra trzydzieści sześć lat!”

Młoda, smukła, blada, ruda... Rude włosy pani Glasse były ciemniejsze niż włosy jej córki, długie i piękne. Gdy Ralph wysiadł z samochodu, wiatr z miejsca zaczął szarpać mu ubranie, wydymać marynarkę.

- Co za pogoda! - odezwała się pani Glasse, a potem uśmiechnęła się i dodała: - Witam tatę Juliana. Ściany niskiego, starego domu skrzypieniem protestowały przeciw zaciekłym atakom wiatru, różnymi tonami i głosami skarżyły się na paskudną pogodę. Ralph pomyślał, że ten dom jest jak okręt na morzu, jak okręt, który walczy ze sztormem.

- Proszę na lewo, do salonu - powiedziała pani Glasse. - W kominku napalone, woda się gotuje...

- Zupełnie, jakby się pani mnie spodziewała! - zauważył ze zdziwieniem Ralph.

Usiadł przy kominku, na wygodnym windsorskim krześle. Czekał, aż gospodyni zjawi się z herbatą. Wiatr osłabł; wrażenie było takie, jakby nagle opuścił dom jakiś hałaśliwy gbur. W niespodziewanej ciszy dało się słyszeć tykanie kominkowego zegara. Wróciła pani Glasse, podała Ralphowi kubek.

- Nie wrzuciłam cukru - powiedziała. - Może podać? Chociaż pan chyba nie z tych, co potrzebują cukru do herbaty.

- Na Boga, skąd pani wie?

Pani Glasse odrzuciła włosy do tyłu.

- Cukier jest na osłodę - stwierdziła.

- Uważa pani, że ja jej nie potrzebuję?

Pani Glasse nie odpowiedziała. Przysunęła sobie w pobliże kominka taboret. Ralph uniósł się lekko ze swego rozłożystego siedziska, chcąc jej ustąpić miejsca.

- Nie, proszę siedzieć, tak będzie mi wygodnie.

Ralph usiadł. Spojrzał na gzyms nad kominkiem, pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Ten zegar... - odezwał się. - Mieliśmy dokładnie taki gam w domu, kiedy byłem chłopcem. To był zegar mojego

ojca. Jego radość i duma. Nie pozwalał nikomu go dotknąć.

- Chyba mi pan nie powie, że zegar stanął w dniu śmierci pańskiego ojca? - rzekła pani Glasse.
- No... nie. Było trochę inaczej. Matka go wyrzuciła.
- Desperacki czyn.
- Dla mojej matki na pewno. Ale nie cierpiała jego kuranta.
- Nie przyznawała się do tego nigdy wcześniej? Znaczy, za życia ojca...
- Nie sądzę. Matka nie miała zwyczaju wysuwać się na pierwszy plan, przynajmniej wobec ojca. Woląca żyć w jego cieniu.

Pani Glasse miała piękne dłonie. Owszem, zniszczone trochę pracą na powietrzu, ale wciąż jeszcze białe, delikatne. Były to dłonie o długich palcach, które swobodnie mogłoby zdobić kilka pierścieni. Ale pani Glasse nosiła tylko prostą ślubną obrączkę z czerwonego złota, starą, jedną z tych, jakie czasami pozostają w rodzinie od pokoleń. Ralph spoglądał na dłonie swej rozmówczynie w świetle porannego słońca, które wpadając do pokoju nadawało jego kremowym ścianom znacznie bardziej nasyconą, złocistą barwę. Spoglądał również na jej twarz z lekką siateczką zmarszczek wokół oczu. Cóż, ileś tam lat spoglądania pod wiatr...

- Mamy problem z Julianem - powiedział. - To znaczy, właściwie nie mamy problemu...
- Jest problem, ale nie ma problemu! - wtrąciła pani Glasse.
- ... tylko przypuszczamy - ciągnął dalej Ralph - Anna i ja, Anna to moja żona, że może on z panią rozmawiał. Bo z nami nie chce.
- A wie pan, z jakiego powodu?
- Mam nadzieję, że tu nie wchodzi w grę żaden powód. Julian... To po prostu już taka natura.
- Mhm, jeśli natura, to nic nie można poradzić - stwierdziła filozoficznym tonem pani Glasse.

Ralph pochylił się na krześle, jakby chciał ułatwić w ten sposób swoim słowom dotarcie do rozmówczyń.

-Widzi pani - zaczął wyjaśniać - Julian zawsze był raczej zamknięty w sobie, we własnym świecie, w świecie własnych spraw. Przekonaliśmy się z żoną niejedną raz, że najlepiej pozwolić mu, żeby sam się uporał ze wszystkim, co jest dla niego problemem, własnym sposobem, we własnym tempie...

Taka taktyka zawsze się nam wobec niego sprawdzała.

- Sandra jest taka sama - powiedziała pani Glasse. -Oporna na zdalne sterowanie.

- No tak.. - pokiwał głową Ralph. - Więc byliśmy ciekawi, Anna i ja, czy on może pani coś mówić, czy ma jakieś plany..

- Plany! - Pani Glasse wypowiedziała to słowo takim tonem, jakby zetknęła się z nim po raz pierwszy w życiu. -Nie, Julian nic na ten temat nie wspominał. On bardzo mi tu pomaga, na farmie, pomaga, chociaż go o to nie proszę. To pracowity chłopak. Stale czymś zajęty.

- Ale dokąd te jego zajęcia prowadzą? - postawił zasadnicze pytanie Ralph. - Niepokoję się o Juliana, nic na to nie poradzę!

Zapadła cisza. Ralph i pani Glasse milcząc popatrywali na ogień w kominku. Płomienie były prawie niewidoczne, zrobiły się przezroczyste jak powietrze, słoneczne światło całkowicie pozbawiło je koloru. Zegar zgrzytliwie, metalicznie wybił kwadrans. Ralph spojrzął na archaiczny czasomierz ze zdziwieniem i niedowierzaniem, zapamiętany z dzieciństwa dźwięk kuranta zdawał się wibrować w powietrzu. Pani Glasse roześmiała się.

- Jeśli ten zegar tak wiele dla pana znaczy - powiedziała - to proszę go sobie wziąć.

Ralph pokręcił głową.

- To bardzo miłe z pani strony, ale nie, dziękuję. W kwestii tego zegara podzielam opinię raczej matki niż ojca.

- Czy pański ojciec pochodził z Norfolk?

- O, tak! Ze Swaffham. Ale kiedy jeszcze byłem mały, przeprowadziliśmy się do Norwich.
- O, to z pana chłopak z miasta! - zażartowała pani Glas-se. - A proszę sobie wyobrazić, że ja prawie całe życie spędziłam w jednym miejscu.

- Ten dom należał do pani rodziny?

- No... nie... - Pani Glasse robiła wrażenie zakłopotanej. - Nic z tych rzeczy.

- To bardzo przyjemny dom. Bardzo spokojny. Nie dziwię się, że Julian lubi spędzać tu czas.

Opowiadał mi o tej starej mleczarni w podwórzu...

- Chciałby się pan rozejrzeć?

Ralph zaczął się ceremonialnie wzbraniać, jednak pani Glasse zdecydowanie wstała i odstawiła kubek na gzyms nad kominkiem. Zaprowadziła Ralpha do kuchni, gdzie obie z Sandrą spędzały większość wolnego czasu i gdzie miały swoje stałe krzesła w pobliżu pieca, a potem do wychłodzonego kamiennego budynekczku mleczarni. Całe ściany były tam od wewnątrz wyłożone kafelkami. Niektóre zdążyły poodpadać i popękać. Na innych nadal jednak był wyraźnie widoczny misterny rysunek w niebieskiej tonacji, przedstawiający krowy na ukwieconej łące. Trawa była niebieska i kwiaty były niebieskie, i krowy, które miały się tak paść przez całą wieczność na obrazie, w którym zatrzymał się czas.

Pani Glasse spojrzała na Ralpha i uśmiechnęła się.

- Jedyna rzecz, jakiej same nie robimy, to masło - powiedziała. - Ale miałam kiedyś krowę, Daisy; oryginalne imię, prawda? Sprzedawałam mleko przy szosie. Prosto od krowy. To było wbrew wszelkim przepisom, więc musiałam przestać.

- Jest pani bardzo przedsiębiorcza - stwierdził Ralph.

- Teraz mam parę koni, kuców. Trzymamy je dla weekendowych turystów. Nie miałyśmy pojęcia o koniach, jakeśmy je brały. Ale pomyślałyśmy sobie, że w każdym razie muszą być mniej skomplikowane niż ludzie.

- Sprawdziło się?

- Tak. Sandra świetnie sobie z nimi radzi.

Pani Glasse poprowadziła Ralpa z powrotem do domu i przez hol niskimi schodami na górę. Na pięterku były cztery sypialnie, wszystkie kwadratowe, przyjemne, pomalowane na ten sam kremowy kolor i zastawione podobnego typu meblami z ciemnego drewna, masywnymi, o rzeźbionych nogach w kształcie lwich łap.

- Te wszystkie meble należały do mojej babki - powiedziała pani Glasse.

Otworzyła kolejne drzwi.

- To pokój Sandry.

- Ojej, jak z obrazka! Ta śliczna kołdra na łóżku...

- To robota Sandry, nauczyłam ją. Jest bardzo staranna przy pracy, chociaż może trochę powolna. Potem próbowała jeszcze robić takie kołdry na sprzedaż, ale nikt nie chciał kupować, to znaczy, nawet chcieli, ale nie za taką cenę, jaka się należy za wiele tygodni żmudnej dłubaniny. Tak, tak, tyle się trzeba namęczyć przy kołdrze, a ludzie szukają czegoś taniego, więc wolą maszynową tandetę od porządnej ręcznej roboty. A różnica w wyglądzie jest, wystarczy spojrzeć.

Zeszli na dół. Pani Glasse znów wstawiła wodę na herbatę. Przysiedli w kuchni, czekając, aż się zagotuje. - Tak, pijam sporo herbaty - powiedziała pani Glasse takim tonem, jakby próbowała się z tego tłumaczyć. - Mam wrażenie - odezwał się Ralph - że to musi być niemało warte, to miejsce.

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

- Ceny stale idą mocno w górę. Aż trudno uwierzyć. Byłaby pani może zainteresowana. Znam dobrą agencję nieruchomości, to firma mojego starego przyjaciela, niedawno zmarł. Gdyby pani chciała skorzystać... - Poda mi cenę z za grobu? - spytała pani Glasse, spoglądając na Ralpa swymi niezwykle jasnymi oczyma.

- No... nie... teraz firmę prowadzi jego syn, Daniel. Jest architektem, miły chłopak, podkochuje się trochę w Kit,

mojej córce. Myślę, że orientacyjną wycenę zrobiłby gratis, wie pani, przyjechałby, obejrzał. Zna rynek jak mało kto, a takie piękne miejsce pewnie by kogoś zainteresowało!

- Tylko gdzie my miałybyśmy zamieszkać?

-Cóż... Nie chciałbym się oczywiście wtrącać w pani sprawy, ale wiem, że pieniądze to duży problem. Mogłaby pani kupić jakiś domek, a resztę sumy ze sprzedaży farmy zainwestować. Miałaby pani z tego stały dochód.

- I żyłabym sobie niczym księżna? - wtrąciła pani Glasse.

- No, może nie aż tak..

- Jakbym miała tylko domek, musiałabym się pozbyć moich kaczek i kur. Nie byłoby jajek na sprzedaż. Że już nie wspomnę o warzywach.

- Mogłybyście podjąć jakąś pracę. Pani i córka. Stała praca daje lepsze zabezpieczenie niż...

- Och, od czasu do czasu idziemy gdzieś do pracy! - przerwała Ralphowi pani Glasse. - W sezonie. W Hunstanton albo w Burnham Market. Kelnerujemy przez tydzień lub dwa. Nie żebyśmy były dobrymi kelnerkami, nie mamy wprawy. Ralph był pod wrażeniem sposobu, w jaki pani Glasse prowadziła rozmowę, powoli i z namysłem, jakby starała się ważyć każde słowo. Był też pod wrażeniem sposobu, w jaki mówiła o córce, zupełnie tak, jakby były rówieśnicami, jakby miały na każdy temat wspólną opinię i jakby zawsze podzielały te same odczucia.

- Nie boimy się z Sandrą ciężkiej pracy - kontynuowała. - Nikt nie mógłby o nas czegoś takiego powiedzieć. Ale lubimy być razem w domu.

- Jesteście ze sobą bardzo blisko...

- A pan nie jest blisko ze swoimi dziećmi?

- Nie wiem. Lubię sobie myśleć, że jestem. Ale tyloma sprawami muszę się zajmować...

- Moim zdaniem, rodzice powinni się zajmować swoimi dziećmi, a dzieci rodzicami. To najważniejsza sprawa w życiu, najważniejsza rzecz!

- Przepraszam - odezwał się Ralph. - Za daleko się zapę-

dziłem w tym doradzaniu pani, nie powinienem się narzucać...

-Nie szkodzi, wszystko w porządku. Prostowanie ludziom życia, udzielanie im dobrych rad weszło już panu w krew, prawda? I nic pan nie może na to poradzić? - rzekła pani Glasse, patrząc Ralphowi prosto w oczy. - Mnie nikt nigdy dotąd niczego nie doradzał, Bóg świadkiem, chociaż może gdyby ktoś... może byłoby lepiej? Tak czy inaczej, przecież my z Sandrą sobie radzimy! Gospodarka naturalna, wiem, z ręki do ust, z dnia na dzień... Ale zawsze można gdzieś zarobić dodatkowo. Czasem sprzątamy. Wiem, gdzie rosną najlepsze jeżyny, w Brancaster, dla was też nazbieramy w tym roku. Są tego całe kosze, pieczemy placki, z jeżynami i jabłkami, jabłka mamy własne, sprzedajemy potem przy drodze.

Pani Glasse wzruszyła ramionami.

- Przecież zawsze można zarobić - powtórzyła.

- Podziwiam panią, Mrs Glasse - stwierdził Ralph. - Wierzy pani w ten swój sposób na życie.

Spuściła oczy, oblała się rumieńcem.

- Jak to, Ralph, a pan nie? - zapytała.

Skończyły się wielkanocne ferie. Kit wróciła na ostatnich parę tygodni do Londynu. Robin rozpoczął nowy trymestr w swojej szkole w Norwich; musiał wstawać codziennie o bladym świcie, we wciąż jeszcze chłodne ranki maszerować pieszo milę do skrzyżowania i czekać na pierwszy autobus. Te jego wysiłki miały być już niebawem wynagrodzone - Robin chciał dostać się do szkoły medycznej i przyznano mu miejsce. Chociaż nie wydawało się, by myśląc o medycynie działał z jakichkolwiek humanitarnych pobudek. Rytm jego życia wyznaczał sport; pory roku różniły się dla niego przede wszystkim rodzajem wykorzystywanego sprzętu sportowego. Teraz, gdy nadeszła wiosna, Ralph upchnął gdzieś na strychu kij hokejowy i przygotował sobie ekwipunek do krykieta. We wszystkie weekendy

rozjeżdżał się razem z drużyną po całym hrabstwie, rozgrywając mecze. Do domu wracał dopiero w niedzielę wieczorem, czasem rozpromieniony, czasem posepny jak chmura gradowa, zależnie od wyników rozgrywek. Przy kolacji albo snuł tragiczną opowieść o klęsce, albo rozwijał heroiczną epopeję zwycięstwa, jednakowo rumieniąc się z przejęcia. W takich momentach robił się podobny do ojca w jego młodzieńczych latach. Tak przynajmniej uważała Anna, która wprawdzie nie rozumiała ani słowa z krykietowego żargonu syna, ale cieszyła się, że jest zdrowy i prostolinijski, jak tamten chłopak, którego poznała przed laty.

- Dobry Boże, w czymże ja mogłem przypominać Robina? - dziwił się Ralph. - Dla mojego ojca krykiet był o wiele za bardzo High Church. Czy ty myślisz, że Robin będzie mógł robić cokolwiek w życiu na serio? Przypuśćmy, że zostałby kardiochirurgiem i miałby dokonać transplantacji. W sezonie krykietowym? W dniu, kiedy trzeba rozegrać mecz?

Emma twierdziła jednak, kierując się swym niemałym doświadczeniem, że Robin ma szansę zostać dobrym lekarzem.

- Tylko połową duszy odda się pracy - mówiła. - To zmniejszy o połowę zakres szkód, jakich mógłby narobić.

Mała Rebecca pierwszego dnia po feriach pojechała do oddalonej od Czerwonego Domu o jakieś dwie-trzy mile szkoły na rowerze. Mała... Drażliwe i skore do dąsów, ale śliczne dziewczę osiągnęło właśnie wiek, w którym zaczyna się mieć problemy z własną rodziną. I te problemy miały się wkrótce skomplikować.

W poniedziałek rano, drugiego tygodnia po feriach, Julian zszedł do kuchni z kluczykami od swego samochodu w dłoni.

- Podwiozę cię - oświadczył młodszej siostrze. - Zaprowadź rower do komórki.

Rebecca aż upuściła łyżkę do talerza z płatkami kukurydzianymi, rozpryskując mleko po stole.

- Skąd ta nagła uprzejmość, sir? - zapytała. - I jak ja potem wrócę do domu?
- Przywiozę cię.
- Swoim tak zwanym samochodem? - Tak.
- Ale ja nie chcę.
- Beks, życie nie sprowadza się wyłącznie do twoich zachceń.

Rebecca wstała od stołu i rzuciła bratu impertynenckie spojrzenie.

- Ani do twoich! - odcięła się. Julian nie dał się wciągnąć w kłótnię.
- Pospiesz się, skończ śniadanie - powiedział. - Nie ma czasu się sprzeczać.
- Przecież moje kumpelki wywalą taaakie gały - Rebecca wytrzeszczyła oczy gwoli prezentacji - jak zobaczą, że wsiadam do czegoś takiego. Masz ty pojęcie? Będą ze mnie lały przez cały tydzień, zostanę w klasie towarzyskim, no wiesz, nie bandytą, tylko...
- Banitą - podpowiedział jej Julian. - Nie przejmuj się.

Jedziemy!

Rebecca zorientowała się, że brat nie zamierza ustąpić. Nie miała tylko pojęcia, dlaczego. Szukając poparcia u matki, jęknęła boleśnie:

- Mamo, przecież nie muszę z nim jechać, prawda. Anna przekładała właśnie ręczniki z kosza na brudną bieliznę do wiekowej i kapryśnej wirnikowej pralki.
- Niech cię Julian podwiezie, skoro jest taki miły - powiedziała. - Brzydko dziś na dworze, bardzo zimno... Nadąsana Rebecca włożyła kurtkę, wzięła drugie śniadanie i rada nierada pomaszzerowała za bratem. Anna mogła jeszcze usłyszeć, jak perorowała za drzwiami:
- Musisz stanąć za rogiem, jak dojedziemy, żeby mnie nikt nie zobaczył...

Gdy Julian wrócił, Ralph rozmawiał przez telefon z Londynem, starając się rozładować kolejną krytyczną sytuację

w schronisku. Drzwi gabinetu były uchylone, Julian chwycił urywki konwersacji:

- Najgorzej, że ona nie kupi wiele przy dzisiejszych cenach za to nasze nieszczęsne pogotowie kasowe, i będzie próbowała zdobyć więcej forsy! - mówił Ralph.

Ze słuchawki dobiegało w odpowiedzi niespokojne gulgotanie. W kuchni niesforna pralka tańczyła po podłodze zgrzytliwego i grzmotliwego gawota.

Anna, która siedziała przy stole, zerknęła na Juliana znad „Eastern Daily Press”.

- O co w tym wszystkim chodzi? - zapytała.

Julian nie odpowiedział, tylko zaczął kroić chleb na grzanki. Odezwał się dopiero po chwili. Mówił urywanymi zdaniem:

- Ciągłe nie może mi wyjść z głowy... Ta dziewczynka z Devon, Genette Tate... Pisali o niej w gazetach, pamiętasz?

- Chodzi ci o to dziecko, które zaginęło?

- Znaleźli jej rower przy drodze... Ktoś ją uprowadził... Są przypuszczenia, że nie żyje... Miała trzynaście lat! Wszedł Ralph.

- Zapowiada się jeden z tych ciężkich dni - powiedział. - To dziecko, Melanie, wspominałem ci o niej, prawda? Łyka wszystkie prochy, jakie jej wpadną w ręce, była w rodzinie zastępczej i uciekła, potem prysnęła z domu dziecka...

- Cóż u niej nowego? - spytała Anna tonem lekkiego zniechęcenia.

- W zeszłym tygodniu próbowała kraść w jakimś supermarkecie. A teraz związała z naszym pogotowiem kasowym. No, daleko za to nie dojedzie. Myślę... Moglibyśmy wziąć ją do nas na część lata?

- W zasadzie to mnie nie pytasz, prawda? Tylko wydajesz dyspozycję? - odezwała się Anna.

- Widzisz, jej by się to naprawdę przydało, poczuć się członkiem normalnej rodziny, chociaż przez jakiś czas.

- A czy ta rodzina jest normalna? - Anna podparła dłoń

nią głowę i uśmiechnęła się z rezygnacją. - Oczywiście, Ralph, możemy ją wziąć, musimy ją wziąć. Biedactwo...

- Słyszałem, co mówiłeś - zwrócił się Ralph do Juliana. Podszedł do niego, oparł mu lekko rękę na ramieniu.

- Synu, skąd ci się to wzięło? - zapytał.

- Przecież ci mówiłem... to znaczy mówiłem mamie. Chodzi o tę dziewczynkę z Devon... Ciągłe o niej myślę.

- Ale przecież Devon jest o całe mile stąd!

- Co z tego! Trzeba mieć wyobraźnię! Z jednych zbrodni biorą się inne. Podobne. Ludzie je kopiuja!

- Nasza Rebecca pedałuje do szkoły w grupie. I wraca w grupie. Mógłbyś pojechać za nią samochodem, to byś się przekonał.

- W grupie jest tylko na głównej drodze, jak skręca w boczną, jedzie sama przez pół mili. Mam rację? To nie jest w porządku, to nie jest bezpieczne! - Julian z irytacją wstrząsnął ramieniem, uwalniając się od dłoni ojca. - Dlatego postanowiłem... Jak któreś z was ją czasem podrzuci, to świetnie, a jak nie, to ja będę ją woził. Jest moją siostrą. Nie chcę, żeby się narażała!

Anna zerknęła na syna.

- Czy zamierzasz być jej eskortą na całe życie, Julianie? - zapytała. - Trzynastolatki się narażają, ale osiemnastolatki też. I czterdziestolatki. A nie słyszałeś o napadach na sta-rxiszki?

- Anno - powiedział Ralph - nie trzeba ironizować. Problem polega na tym, Julianie, że gdyby wszyscy rozumowali tak jak ty, w ogóle nie wypuszczano by dzieci z domu.

- No, dobrze - odezwał się Julian. - Uważasz, że to niedorzeczne, tak? No to posłuchaj, co ci powiem. Dziesięć lat temu chłopiec zaginął w pobliżu Fakenham. Miał jedenaście lat, wyszedł do kolegi i więcej nie wrócił. W tym samym roku dziewczynka jechała na rowerze drogą w pobliżu Cromer Czy to już wystarczająco blisko, jak dla ciebie? Jechała na rowerze, miała na imię April, była dokładnie w wieku Rebekki. Jechała do siostry, do Roughton. Jakiś

człowiek na traktorze widział ją o czterysta jardów od domu, dokładnie sześć minut po drugiej, po południu. Kwadrans po drugiej trzej faceci, którzy robili mapę dla Urzędu Kartograficznego, znaleźli jej rower w polu. Po dziecku nie było siadu. Nikt jej więcej nie widział. Przepadła sześćset jardów od domu.

Na twarzy Juliana odmalowała się zawziętość, jakby w przygotowaniu do dalszego sporu. Ojciec jednak nie wysunął już żadnych argumentów; patrząc gdzieś w bok, w przestrzeń, spytał tylko bardzo cicho, niemal niesłyszalnie:

- Julianie, czemu tak dokładnie studiowałeś te wszystkie przypadki?

- Nie wiem. Już powiedziałem, co miałem do powiedzenia.

- Nie mógłbym utrzymywać, że nie masz racji, synu. Ten świat jest naprawdę pełen niebezpieczeństw.

-Ale z tego będą kłótnie co rano - włączyła się do rozmowy Anna. - Nie mam pojęcia, co powiedzieć.

Nie mam pojęcia, co ci powiedzieć, Julianie!

- Jadę do Sandry - rzucił Julian, zrywając się z krzesła Zerknął jeszcze na matkę od drzwi. Sprzątała ze stołu.

- Ralph, pomóż mi!

Głos Anny był z lekka zdławiony, lecz równocześnie podniesiony na tyle, by przebić się przez brzęk talerzy. Pobrzmiewał tonem urazy. Ralph zaszurgotał krzesłem, wstał. Powoli, jakby z głębokim namysłem, zaczął również sprzątać. Kierował wzrok to na jakiś talerz, to na filiżankę, gdziekolwiek, byleby nie na twarz Anny.

W dwa dni później Ralph ponownie wybrał się w odwiedzin do pani Glasse. Czuł się wyczerpany, pozbawiony sił; trudno mu było przebywać w jednym pomieszczeniu z Anną.

Rebecca na przemian jęczała i awanturowała się. Jak twierdziła, całkowicie zostało przekreślone jej życie towarzyskie. Julian tłumaczył siostrze, że będzie ją woził dokądkolwiek zechce, że będzie zabierał również jej przyjaciół

i bezpiecznie odstawiał całe towarzystwo do domu. Odburkiwała, że nie chce go mieć stale na karku. Anna spoglądała na nią w milczeniu, z nieruchomą, napiętą twarzą. Deszcz ciał w okna; w rozrzedzonym, rozedrganym, naznaczonym tonem zieleni powietrza wyczuwało się powiew nadchodzącego lata. „Muszę dać rodzinie chwilę wytchnienia!” - tak brzmiała wymówka, jaką przedstawił sam sobie Ralph, decydując się jechać.

Zresztą przez cały czas myślał o Amy Glasse. Myśl o niej utkwiała mu w głowie, opanowała go, czuł to i chciał odwiedzić ją znowu, żeby się od tej myśli uwolnić, żeby sprowadzić postać Amy Glasse do zwykłych wymiarów, ujrzeć w niej zwykłą kobietę, naiwną, ograniczoną, ubogą. Przypominał ją sobie stojącą w drzwiach domu, gdy unosiła te swoje białe dłonie o długich palcach, by odrzucić do tyłu włosy. Myślał o zmatowiałym połysku jej ślubnej obrączki z czerwonego złota i o wygięciu jej ust. Dzień był ładniejszy niż podczas poprzedniej wizyty, zielonkawa wilgoć w powietrzu i rześki wiatr obiecywały pogodne popołudnie. Na drogach zaczęły już się pokazywać campingowe samochody; za skromnie zaciągniętymi firaneczkami ich okien można było ujrzeć w przelocie twarze pasażerów i fragmentaryczne scenki z ich zminiaturyzowanego życia. Wkrótce nadmorska trasa miała być na całej swej długości zapchana samochodami turystów, zapchanymi z kolei rozbrykanymi dzieciakami, pokrzykującymi, szturchającymi się nawzajem, marudzącymi, że są głodne, że im się nudzi i że jest im gorąco.

Pani Glasse znów czekała w drzwiach domu.

- Usłyszałam samochód - wyjaśniła.

- Faktycznie, trudno go nie usłyszeć - uśmiechnął się Ralph.

Spojrzał w niebo.

- Ładny dzień - stwierdził. - Aż chce się żyć.

- Zwłaszcza, gdy wziąć pod uwagę alternatywę.

- Akurat tędy przejeżdżałem - powiedział Ralph. - Po-

myślałem sobie: jest właśnie pora lunchu, mógłbym zaprosić gdzieś panią i Sandrę...

- Sandry nie ma. Sprząta wakacyjne kwatery w Wells na przyjazd pierwszych wczasowiczów.

- No to... tylko panią... Cofnęła się w głąb domu.

- Proszę wejść - powiedziała. - Powinnam chyba najpierw szepnąć słówko dobrej wróżce, jak pan myśli? - dodała, zerkając na swoje dzinsy.

- Myślę, że nie musi się pani stroić, bo to będzie tylko zwykły lunch w pubie czy coś w tym rodzaju.

- Proszę wejść i dać mi pięć minut.

Poszła na górę. Kiedy wróciła, miała na sobie inne dzinsy, spłowiałe, ale czyste i odprasowane, i białą, kosztowną bluzkę rozpiętą pod szyją. Rozpuszczone i rozczesane włosy opadały jej na ramiona i niżej, niemal do talii. W słońcu robiły się prawie przezroczyste. Nabierały delikatnej barwy sherry, jaką ojciec Ralph'a i jego przyjaciele sączyli z nie ukrywanym poczuciem winy w każde święta Bożego Narodzenia. „Dla mnie tylko pół szklaneczki, Mr Eldred” Ralph ujął kosmyk, przebiegł po nim palcami; Amy stała w spokojnym bezruchu, jak obłaskawione zwierzę.

- Ten kolor coś mi przypomina - powiedział Ralph.

- Coś miłego?

- Coś smutnego.

Jechali wzdłuż wybrzeża. Za Brancaster pokazało się im morze, zaczęło się rysować coraz to grubszą szarą linią. Zatrzymali się przed hotelikiem, którego okna wychodziły na szuwary i mokradła. Ralph znał tutejszą kuchnię. Byli pierwszymi gośćmi w porze lunchu. Kelnerka przyniosła im ic3.r CG,

- Jakiś drink? - zapytała.

- Niech będzie whisky - zdecydowała pani Glasse.

Zjawily się dwie szklaneczki, trzymane jedna przy drugiej w ostrożnej dłoni. W kamiennym kominku palił się niewielki ogień: drewno w centrum paleniska płonęło dość sła-

bo, ale na obrzeżach polana były zwęglone na popiół, aż do białości, i zaczynały już rozsypywać się w pył. Ogień trzaskał i syczał, zdając się wzdychać. Na kredensie stały tulipany; łądygi miały już zwiotczałe, więc ich świeże ciągle główki wychylały się daleko poza wazon, jakby chciały ulecieć w powietrze.

- Jest dziś homar - stwierdził Ralph. - Miałaby pani ochotę?

- Nie, dziękuję, nie tknęłabym go - powiedziała pani Glasse. - Mam trwały wstręt do wszystkiego, co nosi na grzbiecie skorupę. Mój mąż łowił kraby. Obrzydły mi. Przez niego. Mhm... Widziałam go ostatnio szesnaście lat temu.

- Sandra mogła mieć wtedy... Ile, dwa latka? Pani Glasse kiwnęła głową.

- Ale on nie był jej ojcem - powiedziała i spoglądając wprost na Ralpha zadała mu pytanie: - Jest pan zaszokowany?

- Ależ Amy, trzeba dużo więcej, żeby mnie zaszokować! Przecież nie żyję pod kloszem, chyba pani wie.

- Z początku, kiedy mi Sandra o panu opowiadała, myślałam, że właśnie tak, właśnie pod kloszem. Zapytałam ją: czym się ten ojciec Juliana zajmuje? Odpowiedziała, że czynieniem dobra. Więc wyobraziłam sobie, że jest pan duchownym.

- Może i byłbym, tak myślę, gdyby sprawy przybrały w swoim czasie trochę inny obrót. Moi rodzice na pewno by się z tego cieszyli. Jednak jako młody chłopak nie byłem zainteresowany sprawianiem im radości.

- Ale był pan misjonarzem, prawda? Widzi pan, straszna ze mnie ignorantka w tej dziedzinie; póki mi Julian tego nie wyjaśnił, byłam pewna, że wszyscy misjonarze to duchowni.

- Och, nie, trafiają się lekarze, nauczyciele, po prostu ludzie, którzy mogą być przydatni. My tam nie zajmowaliśmy się nawracaniem tubylców...

- Pewnie byli już nawróceni?

- W większości. Nie byliśmy takimi misjonarzami z karykatur, co to podróżują z przenośnymi organami i wyśpiewują: „Chwalcie Pana!”
- Całe szczęście. - Pani Glasse uśmiechnęła się, jednak szybko przybrała poważną minę. - Wie pan - zaczęła z wahaniem - Julian opowiedział mi, że tam w Afryce... że pan trafił do więzienia. Ralph kiwnął głową.
- Ale to nie było aż takie straszne - stwierdził i opowiedział pani Glasse w krótkich słowach całą historię.
- Nie tę najstraszniejszą, jaka mu się w życiu przydarzyła. Drugą z kolei.
- Julian jest bardzo z pana dumny.
- Naprawdę? Nigdy na ten temat nie rozmawiamy.
- Wiem. On twierdzi, że pan nie lubi o tym rozmawiać.
- Cały ten rozdział w naszym życiu... Cóż, wolelibyśmy zapomnieć, Anna i ja. To jest tak: zatrzasnęliśmy za sobą pewne drzwi.
- Bardzo źle tam pana traktowali, w tym więzieniu?
- Nie. Mówiłem pani, to nie było aż takie straszne. Gdyby było, wrócilibyśmy po zwolnieniu do kraju, a myśmy zostali, pojechaliśmy na północ, do Beczuany.
- W tym wszystkim jest coś tajemniczego. Dla Juliana. On często się zastanawia, dlaczego pan nie chce o tym mówić. Próbuje się domyślać powodów, tworzy sobie jakieś kombinacje...
- Kit też przechodziła przez coś takiego. Wie pani, jak to bywa z dziećmi: chciałyby widzieć w rodzicach bohaterów. Nie mogła zrozumieć, dlaczego nie uczestniczę w marszach protestacyjnych, dlaczego nie działam w ruchu przeciw apartheidowi, dlaczego nie wysiaduję z innymi na trotuarze przed południowoafrykańską ambasadą...
- A dlaczego?
- Ponieważ to wszystko jest znacznie bardziej skomplikowane, niż mogłoby się wydawać ludziom zawsze gotowym do bezmyślnego paradowania z transparentami. Niedobrze

mi się robi, jak to widzę. Wykorzystują Południową Afrykę dla poprawy własnego samopoczucia. Chcieliby być tak pio-ruńsko dobrzy w swoich własnych oczach. Więc biorą się za moralizowanie na temat kraju, którego nigdy nie widzieli, na temat ludzi, o których nic nie wiedzą. Tym chętniej, im mniej jest moralności w ich własnym życiu!

- Przepraszam, nie chciałam pana zdenerwować... Ralph pokręcił głową.

-Nie, to ja przepraszam. Zdenerwowałam się... Niepotrzebnie. Faktycznie, jest w tym wszystkim coś tajemniczego. Dla dzieci.

- Nie jest pan zbyt otwarty wobec nich, prawda?

- Nie jestem - odparł Ralph.

Chwycił szklaneczkę i wypił całą whisky, po czym poprosił o drugą.

Jedli szynkę, kurczaka i pieczone ziemniaki. Ralph przeszedł w rozmowie od lat minionych do terażniejszości, od spraw rodziców do spraw dzieci. Ciekaw był wprawdzie historii życia Amy Glasse, lecz nie mógł się spodziewać, że będzie mu się zwierzać, jeśli sam z takim uporem bronił się przed ujawnieniem faktów z własnej przeszłości. Na deser zamówili sobie mus czekoladowy, kawę i jeszcze po jednej whisky. W końcu Ralph stwierdził:

- Cóż, komu w drogę, temu czas...

Ruszyli w kierunku domu pani Glasse. Gdy Ralph przygotowywał się właśnie do zjazdu z wzniesienia, dogonił ich policyjny samochód. Obaj jadący nim funkcjonariusze odwrócili głowy, żeby spojrzeć na Amy. Jeden z nich coś nawet powiedział do drugiego, jednak twarze mieli świadomie obojętne. Ralph zwolnił, pozwalając się wyprzedzić. Policjanci odjechali.

- Całe szczęście, że nie mam broni - powiedziała Amy. -Inaczej już bym pewnie miała na sumieniu ich obu. Ciągłe się tu kręca, gapią się, niuchają.

- Czy to z powodu tych pani kłopotów z podatkiem i ubezpieczeniem wozu? - spytał Ralph.

Zerknęła na niego z ukosa. Powiedziała:

- Ralph, to pan dał mi te pieniądze. Dziękuję.

-Nie... to znaczy... ja nie chciałem, proszę wybaczyć, nie chciałem pani niczego wypominać, nic z tych rzeczy...

- Oni tu węszą, bo my z Sandrą trochę handlujemy. Podejrzewają, że się trudnimy paserstwem. Wie pan, kradzione rzeczy...

- Mają rację?

- A miałabym się panu przyznać?

- Chciałbym wiedzieć...

- Przez wzgląd na syna? - dokończyła myśl Ralpha pani Glasse. - No cóż, potrafię to zrozumieć.

Proszę się nie bać. Myśli pan, że byłabym taka głupia? Przecież wiem, że mnie mają na oku. Myśli pan, że chciałabym, żeby mi Sandrę ciągali po sądach?

- Nie. Przepraszam.

- Ja nie poszłabym do więzienia, jak wy. Anna musi być bardzo dzielną kobietą. Ja bym czegoś takiego nie wytrzymała. Waliłabym głową w kraty, póki by mnie nie wypuścili albo nie zabili.

- Jakby ci dwaj panią niepokoiłi, proszę mi powiedzieć. Mogę złożyć zażalenie.

- A gdzie pan będzie, jak to zażalenie przyjdzie się zemścić? - mruknęła Amy i uśmiechnęła się, chcąc złagodzić agresywny ton swoich słów. - Wejdźmy do domu - zaprosiła. - Zrobię dla nas jeszcze po filiżance kawy. - Lepiej już nie. Muszę jechać.

Gdyby powiedziała: „A może jednak, bardzo proszę, to nie zajmie panu więcej niż pięć minut...”, Ralph by się zgodził. Chciał być namawiany. Jednak ona stwierdziła tylko:

- OK, wiem, że pan jest zajęty. Otworzyła drzwi samochodu.

- Było świetnie - powiedziała. - Miałam prawdziwą frajdę, urozmaicenie. Nikt mnie nigdy nigdzie nie zabiera. Przechyliła się, cmoknęła Ralpha w policzek.

- Dzięki, Ralph - rzuciła wysiadając.

Nie powiedział nic. Odjechał.

W ciągu trzech następnych tygodni wracał od czasu do czasu. Zawsze wtedy, kiedy był pewien, że jego syn jest gdzie indziej.

W brzydkie, mokre i wietrzne przedpołudnie, o dziesiątej, w tylnych drzwiach kuchni Czerwonego Domu stanął Daniel Palmer. Raczej nie lubił zjawiać się bez zaproszenia, tym razem jednak przygotował sobie wymówkę.

- Witaj, Kit - powiedział. - A więc jesteś na dobre w domu!

- Jestem w domu na lato - odparła Kit.

- Jak poszły egzaminy?

Wzruszyła ramionami. Daniel wszedł do środka.

- Właśnie wstawiliśmy z Julem wodę - stwierdziła Kit, mimo w miarę miłego tonu podkreślając w ten sposób, że kawy nie będzie się zaparzało specjalnie w związku z wizytą Daniela.

- Jak się masz, Julianie? - rzucił Daniel.

Julian w odpowiedzi skinął tylko głową. Daniel zaczął zdejmować swój nowy nabytek: płaszcz nieprzemakalny do konnej jazdy, w starym stylu, bardzo skomplikowany, z mnóstwem kłapek, sprzączek i poumieszczanych w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach kieszeni.

- Byłem właśnie w Wood Dalling przyjrzeć się tej stodole - powiedział. - Wiesz, o którą mi chodzi? - zwrócił się do Juliana. - Idzie do przebudowy. Wykroję tam cztery sypialnie jak nic!

- Skoro musisz - burknął Julian. Kit spojrzała na brata, unosząc brwi.

- Nawtykają okien tam, gdzie nie powinno ich być, i tak samo drzwi - wyjaśnił powód swego rozdrażnienia.

- A ty myślisz, że co? - powiedziała. - Że ludzie będą wchodzić i wychodzić przez wrota, jak pociągowe konie? Albo że będą mieszkać po ciemku?

- Oczywiście - pokiwał głową Julian - stajesz po stronie swojego absztyfikanta...

- On nie jest moim absztyfikantem!
- Spokojnie, Julian - odezwał się Daniel pojednawczym tonem. - Rozumiem twój punkt widzenia, ale alternatywa dla przebudowy to rozbiórka. Albo czekanie, aż ta stodoła sama się zawali.
- To byłoby uczciwsze...
- Tego to już nie rozumiem - stwierdził Daniel. - Aż takiej rewerencji wobec oryginału. Zresztą muszę ci coś powiedzieć: to wcale nie jest oryginał. Przystudiowałem historię budowli; w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku już była przebudowywana, całkowicie zmieniono nachylenie dachu, pewnie zaczął się walić. Potem, przez prawie sto lat, był tylko od czasu do czasu łątany... Julian dobrze pamiętał tę walącą się stodołę i jej omszały, zapadnięty pośrodku dach, który z upływem czasu przybrał niezwykłą doprawdy barwę, sumę wielu przechodzących stopniowo jeden w drugi odcieni.
- Jednak ten dach pasuje do całości! - stwierdził z przekonaniem.
- Myślę, że to przesada z tym uwielbieniem dla staroci -wtrąciła się Kit. - Weźmy, dla przykładu, płaszcz Daniela...
- Więc jesteś pewien, że zrobisz tę przebudowę właściwie? - Julian nie dawał za wygraną.
- Czyżbyś planował zająć się ochroną zabytków? - zdziwił się Daniel.
- A czemu by nie? - mruknął Julian. - Jadę teraz do Sandry - oznajmił zwracając się do Kit.
- O, to coś nowego! - odezwała się kpiarskim tonem. Gdy Julian wyszedł, Daniel powiedział:
- Ten twój brat raczej mnie nie lubi.
- Lubi, lubi, nie przejmuj się. Uważa, że już z daleka wyglądasz na pozera, którego interesuje wyłącznie robienie forsy, ale cię lubi. Jeszcze kawy? Orzeszka? A może ciasteczko? - Kit w dziwnie napastliwy sposób zagrzechotała przed Danielem puszką z herbatnikami. - No, proszę, jedz! I nie przejmuj się niczym, co usłyszysz albo zobaczysz

w tym domu. Tu nagle wszyscy wszystkich zniechcieli! I Julian się uparł codziennie odwozić Becky do szkoły i przywozić ją z powrotem. Doszedł do wniosku, że w okolicy mogą grasować kidnaperzy.

- Kidnaperzy? Niby jacy, mafia czy co? A może rabusie? Mogliby zrabować Becky piórniki - uśmiechnął się Daniel.

- Nikt nie jest w stanie przemówić mu do rozumu. Becky codziennie wpada w szał, nazywa wóz Juliana „tak zwanym samochodem”, mówi, że lepiej niech ją już Julian prowadzi do szkoły piechotą w dzieciennych szaleczkach. Męczy mamę i tatę, żeby kazali Julianowi się od niej odczepić, ale bez skutku. Im bardziej ona się wścieka, tym bardziej oni cichną. Tak sobie myślimy z Robinem, że musieli się o coś między sobą zdrowo pokłócić, tylko że nie możemy tego do końca rozgryźć, bo przecież oni się nigdy nie kłócą. Nigdy.

- Wszystkie małżeństwa się kłócą...

- Tak piszą w magazynach, wiem. Ale moi rodzice są wyjątkiem od reguły - stwierdziła Kit. - Mój ojciec jest taki cholernie święty, że aż niedobrze się robi, naprawdę taki jest, w tym cały problem. A moja matka miewa czasem złe humory, ale nigdy dłużej niż przez minutę. Dosłownie. Widzisz, że coś zaczyna ją brać, a tu nagle ciach! Pomyśli sobie o czymś innym i zaraz robi się święta.

-Mhm... Jak ty w ogóle możesz z nimi wytrzymać? -zdziwił się Daniel.

- Otóż to! Ciągłe sobie stawiam dokładnie takie samo pytanie.

- I przez to jesteś taka rozdrażniona?

- A jestem? No, chyba tak...

- Nie robiłaś jeszcze żadnych planów? Co do wyjazdu?

- Nie - odpowiedziała Kit i odstawiła kubek. - Robię się taka sama jak Julian. Manana*. Pożyjemy, zobaczymy...

- Mnie by najlepiej pasowało, żebyś została tutaj, Kit, wiesz o tym - powiedział Daniel.

* hiszp., jutro (przyp. red.)

Zamilkł. Czekał na jakąś kąśliwą ripostę w rodzaju: „Ale mnie nie pasuje się do ciebie dopasowywać!", lecz zamiast niej usłyszał następujące słowa:

- A gdybym... założmy... gdybym złożyła papiery na wyjazd do Afryki?

- Tak jak twoi rodzice? - Owszem, ale nie przez kościół.

- Za dużo ograniczeń?

- Tak. Poza tym jestem niewierząca.

- Aha! Znaczy, udajesz niewierzącą, prawda?

Kit, niespokojna i zafrasowana, odrzuciła włosy do tyłu.

- Nie, nie udaję - odpowiedziała.

- Nie boisz się, że będą cię przez to wytykać palcami?

- Przez ateizm? Nie, to żaden powód!

-No, może... Więc pojechałabyś jako wolontariuszka, prawda?

- Mogłabym złożyć ofertę. Chociaż nie wiem, czy by mnie przyjęli. Oni pewnie poszukują tylko ludzi z praktycznymi kwalifikacjami - inżynierów, hydrologów i tak dalej. Ale może uczyłabym angielskiego? - Nigdy dotąd o czymś takim nie mówiłaś...

- Nigdy - zgodziła się Kit, rzucając Danielowi pełne zadumy spojrzenie. - Nie mówię o wszystkim, o czym myślę. - Rozmawiałaś z rodzicami?

- Nie rozmawiałam z nikim poza tobą. No i poza Robinem. Wspomniałam o tym Robinowi, ale on akurat ćwiczył przed lustrem przednią obronę, więc nie przypuszczam, żeby cokolwiek do niego dotarło. Daniel roześmiał się i pokiwał głową.

- Robin jest zawsze gdzieś indziej - powiedział.

- Tak. I dlatego można na nim eksperymentować z własnymi myślami. Można sprawdzać, jak wyglądają w wersji dźwiękowej, czy nie brzmią zbyt nedorzecznie. Można sobie z nimi robić takie próby na Robinie. Zanim się je przedstawi reszcie rodzaju ludzkiego.

- Dla mnie ten twój pomysł nie jest nedorzeczny, cho-

ciaż naturalnie wolałbym... z czysto egoistycznego punktu widzenia... A właściwie, to dlaczego chcesz tam jechać?

- Bo stale śnię o Afryce - odpowiedziała Kit. - Ostatnio prawie co noc. Przepraszam, jeśli to brzmi głupio, ale naprawdę nie ma żadnego innego powodu, jaki mogłabym podać.

Daniel zmarszczył brwi.

- To dobre czy złe sny? - zapytał.

- Ani takie, ani takie. Nie ma w nich wydarzeń. Tylko atmosfera. Zdarza ci się śnić w ten sposób?

- Raczej nie - skłamał Daniel. - Zresztą, przeważnie nie pamiętam, co mi się śniło.

- Ech, wy, mężczyźni! - westchnęła Kit. - Moim zdaniem jesteście niższą formą człowieczeństwa. Wegetujecie w wiecznym praesens*, jak koty i psy!

- Wiesz co, Kit, ja chyba powinienem już jechać - bąknął Daniel, po czym przesunął się na brzeg krzesła i zaczął manipulować sprzączką przy jednej ze swoich patek.

-Ma się rozumieć! - stwierdziła zjadliwie Kit. - Spójrz jeszcze na dokładkę na swojego cartiera! Masz ci los, ta dziewczyna zabiera się do mówienia o tym, co ją gnębi, lepiej dać nogę, póki nie jest za późno!

Daniel uśmiechnął się nieśmiało i potulnie. Stojąc już w drzwiach, lekko się skłonił. Zapytał:

- Czy będę mógł znowu wpaść, panno Katarzyno?

Kit burknęła coś niewyraźnie w odpowiedzi, unosząc się z krzesła. Gdy Daniel zamknął za sobą drzwi, usiadła z powrotem, podkuliła nogi, objęła kolana ramionami. Stwierdziła, że ma w oczach łzy. Jednak nie potrafiła zrozumieć, dlaczego.

Kit była w domu już od ładnych paru dni. W dniu przyjazdu Emma jak zwykle czekała na nią na dworcu i wzięła do siebie na herbatę. To był niezły sposób na miękkie lądo-

* łac, czas teraźniejszy, tu: teraz (przy. red.)

wanie na rodzinnym gruncie, te herbatki z Emmą, tym razem jednak ciotka robiła wrażenie zamkniętej w sobie i przygnębionej. „O co chodzi?” - pytała Kit sama siebie i sama sobie udzieliła odpowiedzi, że zapewne Emmie brakuje Feliksa, że musi czuć się samotna.

Ledwie przekroczyła próg Czerwonego Domu, uderzyła ją panująca tam dziwna atmosfera. Choć „uderzyła” to może niewłaściwe słowo, raczej chyba „ogarnęła”. Jak zimna mgła ogarnęło ją przerażenie, że pewnie stało się, rozegrało coś złego, głupiego, ale w zwolnionym tempie, więc nikt z domowników niczego nie zauważył.

Cokolwiek to było, pozbawiło Kit sił: czuła się beznadziejnie zmęczona. A przecież Londyn opuściła w dobrej formie, jeśli nie liczyć zwykłego rozczarowania, jakie niesie ze sobą finał dyplomowych egzaminów. Bo wcześniej myślała: „Niech no tylko już przez to przebrnę, niech no tylko wetknę dyplom do kieszeni, to dopiero...” A to dopiero jest początek problemów. Człowiek czeka, że wreszcie poczuje się inny, wolny. A tymczasem nie może przecież zrzucić z dnia na dzień starej skorupy. Więc czuje się więźniem własnej postaci, własnych, tych samych, co dotąd, stereotypowych przyzwyczajęń. Spodziewa się wybuchu radości, a tymczasem popada w rodzaj trudnej do przełamania apatii. Czuje się zawiedziony i zaczyna perwersyjnie tęsknić za owym czasem, kiedy to tylko czytał i robił notatki, i ślęczał przez całą noc...

Kit, owszem, też przeszła przez taki stan, jednak to, co zaczęło ją dręczyć w Czerwonym Domu, było czymś całkiem innym. To „coś” wyczerpywało ją, sprawiało, że drżała na samą myśl o jakimkolwiek wysiłku, duchowym albo fizycznym. Odkryła osobliwą, przez wszystkich, którzy jej kiedykolwiek doświadczyli, wstydliwie chyba przemilczaną, re-gresywną w sensie psychologicznym przyjemność leżenia w łóżku w pełni dnia. Przesunęła sobie łóżko pod samo okno. Brała dwie dodatkowe poduszki, opierała się o nie. Leżała nie zamykając oczu. Patrzyła, jak po niebie przesuwały się chmury, jak krążyły i pikują ptaki.

Anna przynosiła jej na tacy coś do zjedzenia: gotowane jajko, starannie obraną i podzieloną na części pomarańczę, cieniutkie cynamonowe ciasteczka własnego wypieku, jeszcze ciepłe, prosto z piekarnika. Kit mówiła: „Mamo, nie. Nie rób sobie ze mną kłopotu. Naprawdę!” Jakoś jej to dziwnie dogadzało: móc świadomie przejść przez próg głodu. Nigdy nie była nad miarę szczupła, wiedziała więc, że nie grozi jej wycieńczenie.

Pociągała ją jednak możliwość doprowadzania całej sytuacji, w wyobraźni, do pewnego ekstremum. Roiała sobie, że umiera. Że jest stara i bardzo słaba, bez sił, że życie z niej już ucieka, choć wciąż się jeszcze kołacze. Że nie żałuje niczego. Spisała testament, zamknęła wszelkie ziemskie sprawy i umiera spokojnie in odore sanctitatis*. Pod wpływem takich wyobrażeń faktycznie robiła się coraz to bardziej i bardziej zmęczona, jakby przygniatało ją zmęczenie całego życia. Myślała: „A może jestem śmiertelnie chora, może mam tę... gorączkę gruczołową... na to podobno najczęściej zapadają właśnie ludzie w moim wieku...”

I zasypiała. Budziły ją dopiero dochodzące z dołu odgłosy wieczornej domowej krzątaniny: brzęczenie telefonu, chrzęst żwiru na podjeździe pod kołami parkujących kolejno samochodów, trzask drzwi, brzęk garnków podczas przygotowywania późnego obiadu, twardy, przypominający kanonadę siekącego gęsto gradu grzechot węgla wsypywanego do pieca centralnego ogrzewania, pospieszny tupot nóg Robina na schodach, potem tupot nóg Juliana, czasem dobiegający z kuchni wysoki, czysty głos Sandry Glasse: „Anno, oskrobać marchewkę?”

Domowa krzątanina, domowe życie. Życie rodzinne. Sandra była pierwszą osobą, na jaką Kit natknęła się po przyjeździe, wysiadłszy z samochodu ciotki. Rozwieszała pranie na sznurze na podwórku. Kiedy Kit wysiadała, Sandra aku-

* łac, w glorii osoby świętej (przyp. red.)

rat wspinała się na palce, żeby przerzucić przez sznur białą nocną koszulę, skromniutką, z falbaneczkami. Kit dostała ją od Daniela w prezencie na poprzednie Boże Narodzenie... Sandra miała rumieńce wywołane wysiłkiem i wiatrem, wyglądała bardzo ładnie.

- Twoja mama pożyczyła mi tę koszulę, jak zostałam kiedyś na noc - powiedziała. - Mam nadzieję, że się nie gniewasz? Po odprasowaniu będzie dokładnie taka śliczna, jaką ją zostawiłaś. Mnie prasowanie bardzo dobrze wychodzi...

Kit zmarszczyła brwi.

- Możesz sobie wziąć tę koszulę, jak chcesz - mruknęła. - Jeszcze jedna podróbka klasyki w guście Daniela!

Kit wciągnęła swoje walizki do domu, osunęła się w kuchni na krzesło i przesiedziała tak dobrą godzinę, uparcie torpedując usiłowania Sandry, która chciała się nią w jakiś sposób zająć: usmażyć jajecznicę, zanieść bagaż na górę. Kit siedziała całkowicie beczynnym, nawet nie zaparzyła sobie herbaty ani nie poszła do ubikacji, ani nie splukała z twarzy stołecznego brudu. Wydawała się niezdolna do zrobienia czegokolwiek, co mogłoby ułatwić jej przejście od dotychczasowego życia do tego, jakie miało nadejść.

Mijał dzień za dniem. Kit wciąż czuła się chora, znękana jakąś nieokreśloną, nie posiadającą nazwy dolegliwością. Miała wrażenie, że coraz szerzej rozciąga się wokół niej pusta przestrzeń, próżnia. Równocześnie uświadamiała sobie, że to właśnie ona powinna postawić diagnozę i pokonać inną, groźniejszą przypadłość, tę, która ogarnęła cały dom: ów nagły niedobór rodzinnego szczęścia, gwałtowną utratę jego rezerw.

W którymś momencie, wiedziała o tym, ojciec skorzysta z jakiejś nadarzającej się okazji, żeby podjąć rozmowę. On chciał porozmawiać, ona nie miała mu nic do powiedzenia. A przecież wiedziała, że możliwie jak najszybciej musi podjąć decyzję, czy wróci do Londynu, by popracować dla fundacji i pomieszkać w schronisku, w demokratycznej komitywie z przedstawicielami wszelkich możliwych warstw

społecznych, rezygnując z używania zwrotów w rodzaju „podróbka klasyki” i z wydawania sądów o ludziach.

- Nie chciałbym naciskać - mówił ojciec, gdy nadarzyła się okazja. - Zostawiliśmy Julianowi wolną rękę, więc nie myśl, że ty jesteś dyskryminowana, ale widzisz, mam całą listę zgłoszeń ludzi, którym zależy na tej pracy, którzy mają chęć zdobyć trochę doświadczeń, zanim podejmą kursy dla pracowników socjalnych...

- Rozumiem, tato - przerwała mu Kit. - Jestem samolubna.

Przeczesała palcami swoje długie włosy. Dokładnie takim samym gestem, jaki sprzed lat, jeszcze z Norwich, Ralph zapamiętał u Emmy.

- Widzisz, tato - próbowała tłumaczyć - do pewnego momentu wszystko jest proste. Chodzi się do szkoły. Idzie się na studia. Człowiek żyje z dnia na dzień, wie, czego od niego oczekują. Aż nagle ktoś mu mówi, że musi dokonać wyboru. Czujesz się wtedy mniej więcej tak... jakby ta sprężyna, która cię napędza... właśnie się rozkręciła do końca. Tak właśnie ja się teraz czuję. - Kit zaczęła nerwowo splatać włosy, zwiјаć je, plątać. - Czuję się jak zegarek z rozkręconą do końca sprężyną.

- Kryzys przełomu życiowego - rzekł Ralph.

- Ach tak! Powinna być wiedzieć, że jest na to jakieś mądre określenie.

- Przepraszam. Ale to naprawdę jest coś takiego.

- Przechodziłeś przez to kiedyś?

- Myślę, że kilka razy. Pierwszy raz, kiedy miałem tak koło siedemnastu lat...

- Jak się pokłóciłeś z babcią i dziadkiem?

- Ano właśnie, przecież dokładnie znasz całą tę historię. Przez całe miesiące czułem się potem tak, jakbym się błąkał we mgle. Rodzaj... mhm... depresji? W każdym razie to mnie po prostu dusiło.

Obezwładniało. Przestałem podejmować we własnym imieniu jakiegokolwiek decyzje, wszystko scedowałem na innych. W ten sposób wylądowałem w zawo-

dzie nauczycielskim, który, Pan Bóg to wie najlepiej, zupełnie mi nie leżał.

- Naprawdę? Zawsze myślałam, że byłeś dobrym nauczycielem.

- Nie... Nauczycielowi niezbędna jest pewność siebie, totalna, pod każdym względem.

Kit spojrzała na ojca z pełnym przekory niedowierzaniem.

- A ty jej nie masz? - zapytała.

- Dobry Boże, czyżbyś myślała o mnie jako o kimś, kto ją ma?

- Takie robisz wrażenie. Zdaje się, że wierzysz w to, co robisz, w swoją pracę, na przykład. I jeszcze, no... w życie rodzinne i w Boga, i w Partię Pracy, i w ogóle... w cały pakiet prawd. Naprawdę!

- W cały pakiet! - westchnął Ralph. - Czyli tak, jak mój ojciec. Ten to dopiero wierzył w cały pakiet prawd. Śmiem chociaż mieć nadzieję, że mój pakiet jest cokolwiek sen-sowniejszy!

Kit uśmiechnęła się.

- No tak - powiedziała. - Być kreacjonistą i prowadzić w rodzinie wojnę przeciw darwinizmowi. To rzeczywiście wydaje się bezsensowne. Wiktoriańskie.

- Dokładnie tak i mnie się zdawało. Nawet wtedy. Ale my tu w Norfolk zawsze byliśmy staroświeccy. Zacołfani, spóźnieni wobec biegu historii.

- Powinieneś był się uprzeć przy swoim - mruknęła Kit.

- Hola, hola, łatwo ci mówić. Moi rodzice mieli do dyspozycji twarde sankcje. Widzisz, w tamtych czasach do wielu rzeczy zmuszało się młodych ludzi siłą...

W ten aluzyjny sposób Ralph starał się powiedzieć córce, że ona teraz, w tych czasach, nie powinna się niczego obawiać, przynajmniej z jego strony.

- Musisz odpocząć - stwierdził kończąc rozmowę. - Jak odpoczniesz, pomyślisz. A jak pomyślisz, będziesz wiedziała, co chcesz dalej zrobić ze swym własnym życiem.

Kit nie wspomniała ojcu o swoim pomysle z Afryką. Uznała, że lepiej tego nie robić, bała się, że mogłaby podrażnić u niego jakiś czuły punkt. Którejś bezsennej nocy, bardzo późno, kręcąc się po domu natknęła się w nie do-grzanym salonie na tyłach, dokąd wypchnięto telewizor, na Robina.

- Nadają skrót ważnego meczu tej kolejki - wyjaśnił. -To znaczy, właśnie skończyli. Miałem się kłaść. Chcesz kawy?

Kit kiwnęła głową. Przysiadła na tapicerowanym krześle, skubnęła jego obicie. Odezwała się:

- Robin, czy ty wiesz, że w każdym innym domu to krzesło byłoby już dawno wystawione, żeby zabrali je śmiecia-rze?

- Naprawdę?

- Jesteś kropka w kropkę taki, jak ojciec. Rzeczywiście nigdy do ciebie nie dociera, jak nędznie żyjemy? Jacy jesteśmy biedni?

- Przecież my nie jesteśmy biedni - obruszył się Robin. -Pani Glasse i Sandra są biedne, to tak. Nasza Beks śmiała się z Sandry, że pyta: „Podoba ci się moja nowa spódnica z darów?” - Beks to jeszcze dzieciak. Nie ma o niczym pojęcia. Jak człowiek ma jej lata, zdaje mu się, że jest już taki mądry! I taki wrażliwy! Wiem to po sobie, pamiętam. A naprawdę ma się w sobie mniej więcej tyle wrażliwości, co wykidajło z nocnego lokalu.

- A co ty możesz wiedzieć o nocnych lokalach?

- Dokładnie to, co może wiedzieć córka dwojga świętych - odparła Kit, zerkając z ukosa na Robina. - No, co z tą kawą?

Robin wyszedł i za moment wrócił. Kawa była nowomodna: szara, przestudzona i bez cukru. Kit powiedziała do brata:

- Czy ty w ogóle rozumiesz, o co mi chodzi? Mama tak ciężko pracuje, żeby wszystko w tym domu jakoś szło, męczy się ze starym piecem na węgiel, z rozklekotaną pralką

i zabytkowym odkurzaczem. A tato? Odkąd kiedyś tam przywiózł tego grata z Yarmouth, myśli, że już wypełnił wszelkie domowe obowiązki i może paradować w glorii, niby jakiś bożek. Nigdy się nie zastanawiałeś, dlaczego nasza rodzina musi być taka, jaka jest? Taka dobra, taka współczująca?

Dlaczego każdego lata musimy spraszać do domu tych wszystkich, pożałuj Boże, gości?

- Właśnie niedługo będą nowi - mruknął Robin. - Doborowe towarzyszycho, jak zwykle...

- No widzisz! Dlaczego nie możemy być jak wszyscy? Dlaczego nie zajmujemy się sami sobą? Nie zaczniemy zgarniać, czego się da, w swoją stronę?

Robin wbił wzrok w ekran wyłączonego telewizora i odpowiedział z cicha:

- Nie wiem, Kit. Po czym zapytał:

- Jak chcesz zgarniać, to czemu nie wychodzisz za Daniela?

- Po pierwsze, nie poprosił mnie o rękę, a po drugie, wcale nie chcę wychodzić za męża. Też mi kariera! Co ty sobie myślisz, że ciągle jeszcze żyjemy w epoce W.G. Grace?

- Wiesz, ja nawet chciałbym wtedy żyć - westchnął Robin. - No, ale... Co w takim razie zamierzasz robić? Snuć się po domu i działać wszystkim na nerwy?

- Naprawdę tak jest?

- Może ciut przesadziłem, ale, kurza noga, zobacz, co się tu dzieje. Julian wpadł jak śliwka w gówno w jakieś wieśniackie fantazje, Becky cofnęła się w rozwoju umysłowym do poziomu pierwszoklasistki. Tylko mnie zostało jeszcze trochę zdrowego rozsądku...

- Ależ oczywiście! - rzekła z ironią Kit. - Dzielny i mądry Robin, prawdziwy Robin Hood w hokejowych albo krykietowych ochraniaczach. Zapisz się jeszcze do szkółki bokserskiej. Dostaniesz kask na głowę i będziesz już doskonale impregnowany na życie. Nieprzemakalny, wodoszczelny!

Zapadła cisza. Robin siedział rozparty na sofie, Kit, w taniej nocnej koszuli, za ciasnej pod pachami i ani długiej, ani krótkiej, skuliła się na krześle.

- Życie... - odezwała się w końcu, kiwając głową. - Nigdy dotąd nie miałam okazji sensownie o tym z tobą pogadać, Robin.

- Teraz też nie gadasz sensownie.

- Ale ty myślisz sobie o tym i o owym, prawda? - I owszem.

- A na przykład?

- Na przykład, dlaczegośmy ostatnio wszyscy tak zmarnieli? I dlaczego wszyscy tak chodzą na paluszkach dookoła Juliana i tych jego obsesji?

- Spodziewałaś się, że ojciec mu to wyperswaduje? Że to wyśmieje?

- Ojcu wcale teraz nie do śmiechu - mruknął Robin i spojrzał posepnie na siostrę. - Tylko deszcz może nas uratować. Kit, co ty mi któregoś dnia mówiłaś? - zapytał. - Że chcesz pojechać do Afryki?

- Tak. Wspomniałam ci kiedyś o czymś takim.

- Chcesz odwalić to samo, co staruszkowie? O to ci chodzi? -Może...

- Czemu? Podziwiasz ich?

- A na jakiej podstawie? Przecież nic nie wiem o tym ich pobycie w Afryce. Nie mogę ani podziwiać, ani nie podziwiać. Byli w więzieniu... Ale nawet Emma prawie o tym nie mówi i człowiek nie ma zielonego pojęcia, co się tam naprawdę wydarzyło; czy może oni byli...

- Torturowani? - wszedł siostrze w słowo Robin. Spojrzała na niego przenikliwie.

- Nigdy nie byłam w stanie wypowiedzieć tego słowa -szepnęła.

- Bo trudno to wymówić - odparł Robin. - Trzeba najpierw przećwiczyć.

- Są też inne pytania, jakie sobie zadaję - kontynuowała Kit. - Czemu w ogóle tam pojechali?

Misjonarstwo... To

przecież tylko inna twarz kolonializmu. Kiedyś powiedziałam coś mniej więcej takiego tacie, a on mi odpalił, że zrobili z mamą to, co im się wtedy wydawało najwłaściwsze. Mhm... Wiem, że on jest dobry, że myśli praktycznie, że przecież pomaga ludziom teraz, więc pewnie też pomagał im wtedy. A jaki mógłby być ze mnie pożytek?

- Jakbyś już nawet pojechała do tej Afryki - rzekł Robin - to pewnie nie po to, żeby coś zrobić dla czarnego ładu, ale żeby coś zrobić dla siebie...

- Wiesz, co mnie wnerwia najbardziej? - spytała Kit. - Otóż to - sama zaczęła udzielać odpowiedzi - że się tam urodziłam, w Beczuanie, teraz Botswana, a nie mam stamtąd żadnych wspomnień.

Dawniej, kiedy Kit myślała o Afryce, wyobrażała sobie jakąś pustą przestrzeń, pełną światła i powietrza, i słońce, które praży tak mocno, że pod działaniem jego gorących promieni wszystko robi się jałowe, sterylnie czyste. Później zobaczyła na plakatach i w gazetach zdjęcia cierpiących głód afrykańskich dzieci i wówczas to jej wyobrażenie straciło rację bytu. Już nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Fotograficzne migawki z Południowej Afryki: posepni mężczyźni w garniturach i kapeluszach wloką się gdzieś wzdłuż torów kolejowych, szary dym wzbija się pod granitowe niebo...

- Chociaż właściwie pamiętam jedną rzecz - powiedziała. - A nawet dwie rzeczy. Po pierwsze: ciepło.

- Wielce oryginalne wspomnienie z Afryki...

- No tak, to brzmi banalnie, wiem, ale jak myślisz: czy nasze ciało może przechowywać wspomnienia, do których umysł nie ma dostępu? Mam wrażenie, że to ciepło jakby wniknęło we mnie, że jakaś cząstka afrykańskiego słońca wtopiła się w moje tkanki. Do tej pory jestem zdziwiona, kiedy mi zimno. Jak gdyby było w tym coś nienaturalnego.

Kit zrobiła chwilę przerwy, zerknęła na Robina, chcąc się upewnić, czy podąża za tokiem jej myśli. Zaczęła mówić dalej:

- Jest jeszcze jedna rzecz, może to drobiazg, ale zawsze. Mieliśmy nianię, piastunkę, pytałam o to mamę, powiedziała, że tak, i że ona miała na imię Felicia. Nosiła mnie na plecach. Pamiętam to! Pamiętam, że przytulałam policzek do tych jej pleców, między łopatkami, czułam przez sukienkę ciepło jej skóry. Niesamowita rzecz, prawda? Musiałam przecież być bardzo malutka, a pamiętam. I pamiętam Juliana. Byłam już starsza, leżałam w łóżeczku czy gdzieś tam, a ona jego nosiła na plecach, w taki sam sposób jak mnie, główka odwrócona w bok, swobodnie dyndające tłusciutkie nóżki. Patrzyłam na niego i wiedziałam dokładnie, co on czuje, kiedy tak sobie opiera główkę o jej plecy, o kręgosłup... To znaczy - pospiesznie zaczęła wyjaśniać - oczywiście nie znałam wtedy takiego słowa, jak „kręgosłup”, ale znałam samo to uczucie dotykania policzkiem, skronią kolejnych twardych kręgów, przez rozgrzaną skórę, przez cienką warstwę bawełny...

- Dziwne - rzekł Robin.

- O, tak!

- Chodzi mi o to, że przecież Julian nie urodził się w Afryce.

- Urodził się. Przecież go tam widziałam.

- Nie mogłaś. Policz sobie na palcach. Julian urodził się po waszym powrocie do kraju.

- No to kogo widziałam? Kogo zapamiętałam?

Robin nie powiedział nic. Oboje zaczęli zastanawiać się nad całą sprawą. „Przecież pamiętam - myślała sobie Kit - Felicię, jej skóra miała zapach ogórków i taniego mydła!”

- Pewnie źle zapamiętałaś - odezwał się w końcu Robin. - Byłaś przecież malutka. Byłaś niemowlakiem. Zdaje ci się, że pamiętasz, a pewnie to sobie wymyśliłaś.

Kit pokręciła głową.

- Wszystko zapamiętałam dobrze, niczego nie wymyśliłam - stwierdziła z przekonaniem. - A może to było dziecko jakichś sąsiadów? Ale jakich? Wiesz, ile razy pytałam rodzi-

ców, jak tam żyliśmy, zawsze mówili, że całkiem samotnie, w odosobnieniu.

- Więc może to było dziecko tej Felicii? Jej własne? Nie przyszło ci do głowy... - Robin ziewnął i przeciągnął się, wyrzucając szeroko ramiona, ale jego uwaga wciąż była bacznie skupiona na tym, o czym mówiła Kit; być może nawet chciał oderwać myśli od całej sprawy, ale nie był w stanie.

- Nie! - ucięła Kit krótko i zdecydowanie. - To nie było dziecko Felicii. To było białe dziecko. To był Julian. Jasne?

Robin znowu nic nie powiedział. Wstał, wyszedł do kuchni, zrobił jeszcze trochę kawy, przyniósł ją w kubeczkach, tak samo zimną i niesmaczną, jak poprzednio.

- Pamiętasz Joan? - zapytała go Kit. - Tę kobietę, co przecięła sobie w naszej kuchni żyły?

- Nie. Kiedy to było?

- Jak miałeś sześć lat, może siedem.

- Mhm... W takim razie powinienem pamiętać. - Robin najwyraźniej popadł w rozterkę. - Dziwaczna jest ta nasza pamięć, nie działa tak, jak powinna. Nie można na niej polegać.

- Pewnie się gdzieś bawiłeś poza domem i dlatego nic nie widziałeś, a rodzice zataili przed tobą tę historię...

- Co się stało z tą Joan?

- Zabandażowałam jej ręce. I potem ona gdzieś zniknęła. Zabrała swoje rzeczy i dokądś sobie poszła. Często się zastanawiam, dokąd zaszła, jak się ta jej historia skończyła.

- Tato pewnie wie...

- O, tak - westchnęła Kit. - Tato, ciągle tato, wszyscy żyjemy w jego cieniu. Tak sobie myślę, a przynajmniej tak powiedziałam Danielowi. Czy coś w tym rodzaju...

Siedzieli w saloniku, póki zegar nie wybił trzeciej nad ranem i póki całkiem nie zeszywnieli z zimna

- Kit zatopiona w swoich myślach, a Robin w swoich. Potem bez słowa, w tym samym czasie, oboje drgnęli, przeciągnęli się, wstali. U szczytu schodów Kit powiedziała:

- Robin, w tym wszystkim jest jeszcze jedna tajemnica.

Choroba serca. Choroba serca u mamy. Często się dziwiłam, jak to było możliwe, że miała kłopoty z sercem, a nigdy nie wyglądała na chorą. Nie wydaje ci się, że to mogły być inne kłopoty niż zwyczajna choroba? Takie, jakie są wtedy, kiedy się o kimś mówi, że mu „serce pękło”? Robin zadrżał, bynajmniej nie z zimna.

- Tak myślisz? - spytał zduszonym głosem

- Owszem - pokiwała głową Kit, przybierając posępną minę. - Mniej więcej tak.

Robin cmoknął siostrę w policzek. Rozeszli się bez słowa, każde wsunęło się w swoje wyiębione posłanie i natychmiast usnęło.

* * *

Popołudnie. Na plaży w Brancaster Ralph podał rękę Amy Glasse, jakby się bał, że bez jego pomocy nie ustoi na wietrze.

- Często bywałam tu z Billym! - krzyknęła. - Z Billym, moim psem.

Morze wypłukiwało spod ich stóp większe i mniejsze kamienie. Była już pełnia lata. Niebo wyglądało jak odwrócona do góry dnem czara w kolorze lapis lazuli*. W pewnym oddaleniu od wody, tuż przed porośniętymi trawą-piaskowni-cą wydmami, kilka rodzin kuliło się za plażowymi parawanami. Obok ludzi, powstrzymywane nawykiem posłuszeństwa, kuliły się ich psy, aż trzęsąc się z chętki do wyrwania się na otwartą przestrzeń, do zabawy kamieniami i igraszek z falą.

- Wyobraź sobie, że kiedyś to morze było ciepłe - rzekł Ralph, obejmując Amy ramieniem i przyciągając ją do siebie. - Tropikalne rafy... Ale nie było w tamtych czasach ludzi, którzy mogliby cieszyć się słońcem.

Na plaży w Cromer znaleźli kości żubra, rogi jelenia, szczątki szkieletów dzikich koni. Były słonie w East Runton, niedźwiedzie w Overstrand, dziki w West Runton.

* łac, lazuryt, niebieski kamień półszlachetny (przyp. red.)

- Pomyśl o tym - mówił Ralph do Amy - kiedy widzisz toczące się po wzgórzach samochody campingowe, kiedy z budek z hot-dogami przy plaży dolatuje cię swąd smażonej cebuli.

Teraz powiedział:

- Coś znalazłem, kiedy jeszcze byłem chłopcem. To skamielina. Gryphaea.

Przyłgnęła blisko do niego, żeby lepiej słyszeć.

- A co to takiego? - spytała.

Wyrysował jej palcem na dłoni kształt znaleziska. Nie wspomniał, jak nazwał je facet w kominiarce.

Nie chciał, by diabeł wpychał się między nich.

- Muszla? Bardzo stara? - Amy spojrzała pytająco na Ralpha swymi niezwykle jasnymi oczyma. -

Znajdziemy też taką dzisiaj?

- To nie było tutaj. To było w pobliżu Whitby. Nigdy już potem nie znalazłem czegoś równie cennego.

- Los szczęścia - westchnęła.

Podawała mu rękę. Ralph wyczuwał dłonią jej zbyt luźną ślubną obrączkę. Jego syn skonstruował latawiec, puszczał go ostatniego weekendu na wrzosowiskach w pobliżu Holt; latawiec otrzymał imię „Sandra Glasse”. Ale Sandra była dzieckiem, więc bawiły ją takie głupstewka; trudno byłoby jednak ofiarować dorosłej kobiecie parę listewek, kawałek płótna i niepewną obietnicę, że cała ta konstrukcja wzniesie się w górę. Amy przynależała do tego wybrzeża, jej kamieniami były: jaspis, agat, chalcedon. Gdyby dostała czarny dżet z nadmorskiego klifu, mogłaby sobie z niego zrobić pierścień na znak żałoby po życiu, jakie minęło. Można by również dać jej bursztyn; wiosną, w marcu, sztormowe fale wyrzucają bursztyny na brzeg, wplątane w wodorosty, żeby czekały na szczęściarzy.

- Dosyć - powiedziała Amy.

Skuliła się, opierając dłonie na kolanach, w parodii pozy sportowca wyczerpanego po biegu.

- Dosiłam się - powtórzyła.

Ralph zmusił Amy do wyprostowania się, chwytając i żartobliwie ciągnąc ją za włosy, które potem próbował splątać w węzeł na czubku głowy. Wzięła go pod ramię. Zawrócili. Teraz musieli iść pod wiatr; wiatr był ciepły, miotał w nich piaskiem, przez zaciśnięte w wąskie szparki powieki widzieli ziarenka piasku unoszące się w powietrzu niczym dym. Od czasu do czasu musieli się zatrzymywać, osłaniać twarze. Piasek wciskał się do ust, między zęby. Zgrzytał. To było coś, jak gryzienie diamentów.

Odwiózł ją do domu. Po drodze zatrzymali się przed sklepem i kupili brzoskwinie. W domu usiedli razem w kuchni. Amy sięgnęła do kredensu po ostry nóż, podała go Ralphowi. Wziął jedną z brzoskwiń i rozkroił. Miała szorstką jak koci język skórę i żółty miąższ, który wokół pestki, na znak dojrzałości owocu, krwisił się czerwienią.

Później weszli na górę i poszli do łóżka, do podwójnego, małżeńskiego łóżka, nakrytego kołdrą, którą, podobnie jak tę w swoim pokoju, uszyła ręcznie Sandra Glasse. Amy oplótła Ralpha swymi długimi białymi ramionami, zamknęła jego ciało w swoim ciele. Było tak, jakby udało się jej znaleźć klucz, złamać szyfr. Po wszystkim płakała przez chwilę, prawie bezgłośnie, odwróciwszy się twarzą do poduszki. Ralph nie potrafił określić, co odczuwał, winę na pewno nie, jeszcze nie. Miłość? Oczywiście, tak, odczuwał miłość. Włosy Amy rozsypały się na jej ramionach na kształt wachlarza, widoczna przez skórę linia kręgosłupa rysowała się pośrodku pleców niczym płytki rowek wydrapa-ny w wosku.

Tego samego popołudnia Kit była w domu ciotki w Foul-sham. Siedziały razem w kuchni, tylne drzwi, prowadzące prosto na podwórko, były na pół uchylone, żeby wpuścić trochę słońca. Kit i Emma siedziały naprzeciwko siebie przy stole, pomiędzy nimi stał dzbanek ze stygnącą herbatą. - To o kim chcesz ze mną pogadać? O Danielu? - upewniała się Emma.

- Chciałam cię prosić o radę.
- Też coś, Kit! Przecież wiesz, że ja nigdy nie udzielam rad.
- Raz zrób wyjątek - rzekła Kit.

Oczy miała utkwione w blat stołu, machinalnie drapała go lekko paznokciami.

- Emmo, co to za paskudztwo? - zapytała nagle. - Wygląda jak przyschnięte ziarenko grochu.
- Zgadłś - odpowiedziała Emma. - Widzisz, mówi się, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło; dla mnie jedyna dobra rzecz po stracie Feliksa to fakt, że nie muszę już pitrasić żadnych tam kolacyjek dla dwojga na każdą okoliczność pójścia z nim do łóżka. A groch jest bardzo pożywny, pozwól sobie wyjaśnić.

Twarz Emmy, przez chwilę rozjaśniona uśmiechem, niemal natychmiast posmutniała, straciła blask. Kit mogła zaobserwować, jak jej oczy z intensywnie niebieskich robią się znowu szare.

- Co do tych kolacyjek - mówiła dalej Emma - to Feliks doskonale sobie z nimi radził przy pomocy alkoholu. Wystarczyły dwa duże giny z kapeczką wermutu i mógł wracać do Blakeney, żeby zasiąść do stołu z Ginny. Mocny drink błyskawicznie przywracał mu apetyt. Widzisz, Kit, wypisuje się tyle bzdur na temat ludzi, którzy mają romanse, że przeżywają duchowe udręki i tak dalej. Ale jak to jest, kiedy facet musi zjeść dwie kolacje? To ten problem należałoby przeanalizować!

Kit oparła na blacie dłoń: dużą, białą, zręczną. Miała chęć położyć tę dłoń na dłoni ciotki, jednak coś ją powstrzymywało przed takim czułościowym gestem. Emma przesłoniła kłykciami palców oczy, zaczęła trzeć je zawzięcie.

- Przepraszam, kochanie - odezwała się po chwili. - A na temat Daniela mogę ci powiedzieć tylko tyle: pomyśl, jak się poczujesz, kiedy on weźmie i ożeni się z kimś w rodzaju Ginny?

Kit milczała przez moment. W końcu stwierdziła:

- OK, pomyślę.

- Ale to nie jest twój prawdziwy problem, prawda?

Kit pokręciła głową.

- Nie, nie jest. Tu chodzi o nasz dom, wiesz. I o mnie, o mnie samą. Chciałabym uzyskać od ciebie pewne informacje, Emmo.

Emma spojrzała jej w oczy.

- Informacje czy wiedzę?

- A jaka w tym różnica? Odpowiedzi nie było.

Rozdział 7

O północy pociąg się zatrzymał. Anna najpierw uniosła się na łokciu, a potem zaczęła się zsuwać z górnej leżanki szukając po omacku oparcia dla bosych stóp. W końcu stanęła na podłodze, obciągnęła nocną koszulę i wychyliła się przez okno. Jakiś mężczyzna szedł wzdłuż toru, nie było go widać, rozlegało się tylko poskrzypywanie jego butów; w ciemnościach pobłyskiwał też, podskakując i opadając przy każdym kroku, koniuszek zapalonego papierosa.

- Która godzina? - zapytał Ralph.

Wstał z dolnej leżanki, również wysunął głowę przez okno. Bezksiężycowa noc. I bezwietrzna, pozbawiona najłżejszego bodaj powiewu. Nie warto się dopytywać- czemu stoimy, kaedy pojedziemy dalej? Najlepiej po prostu czekać. Przekroczyli już granicę, byli teraz w Beczuanie, jechali nocą na północ. To znaczy tymczasem właściwie nie jechali stali. Pociąg miał opóźnienie, już w Mafeking, potem w Lobatsi.

- Wpuszczę was do kuszetki - powiedział wcześniej konduktor. - Spróbujcie się przespać dwie, trzy godzinki. Przed świtem będziecie na miejscu.

Przyniósł im dwie płaskie poduszki, dwa kolejowe koce i cztery prześcieradła, białe i sztywne jak papier.

- Tam musi być jakaś wieś - rzekł Ralph.

Dostrzegł ogień, światelko, daleko z lewej strony. Gdyby wiał wiatr, może niósłby w stronę pociągu jakieś głosy.

A tak, panowała cisza, tylko gdzieś w pobliżu, prawdopodobnie w oddalonej od reszty osady chacie, płakało dziecko. Anna słyszała uporczywe kwilenie, na które najwyraźniej nikt nie zwracał uwagi. Wspięła się z powrotem na swoje łóżko. Wybrała leżankę na górze, bo wydawało jej się, że nie mając nikogo nad sobą, będzie miała więcej powietrza. Był grudzień, po południowej stronie równika pełnia lata; wprawdzie po zachodzie słońca gorąco nieco osłabło, jednak naprawdę trochę chłodniej robiło się tylko podczas biegu pociągu. Ralph podał Annie butelkę z wodą; była stęchła i ciepława. Anna zamknęła oczy i spróbowała ułożyć się tak, aby żadna z części jej ciała nie dotykała innej. Leżanka była jednak zbyt wąska. Leżąc na wznak Anna czuła, że gorąco i ciężar skrzyżowanych na piersi rąk stają się z każdą chwilą coraz trudniejsze do zniesienia.

Noc była ciemna, przesłaniała wszystko czarną zasłoną. W Elim Lucy Moyo spakowała dla Anny torbę i podała ją jej przy bramie więzienia. Bawełniana nocna koszula była świeżutko nakrochmalona i odprasowana. Teraz jednak robiła wrażenie wilgotnej szmaty. Kolejowe prześcieradło, na którym Anna leżała, również było wilgotne, prze pocone i mocno zmięte. Włosy przyklejały się Annie do szyi i karku. Ułożyła ręce luźno, po bokach. Zerknęła na sufit przedziału. Przypominał metalowe wieko trumny. Sama Anna, gdyby tylko złożyła odpowiednio ręce, wyglądałaby jak prawdziwy nieboszczyk.

Wyobraziła sobie, że mówi: „Wiesz, Ralph, myślę, że jestem w ciąży...” No i co? Co by było, gdyby to powiedziała? Co mieliby zrobić? Zwlec się z leżanek, wysiąść z pociągu na tej pustynnej stacyjce i wyruszyć w podróż powrotną do cywilizacji? Jak mieliby to zrobić? Przecież pewnie by ich nie wpuszczono przez granicę do Południowej Afryki, skoro wcześniej pozwolono im wybierać pomiędzy dwiema tylko możliwościami: albo powrót samolotem do kraju, albo wyjazd pociągiem na północ.

Wyobraziła sobie, że wraca w środku zimy do East Dere-ham, że jej walizy obijają się o schody w domu rodziców, kiedy je wciąga na przechowanie na strych. Wyobraziła sobie, że trąc dla rozgrzewki zsiniałe z zimna ręce próbuje wyjaśnić rodzicom całą sytuację. „To ty byłaś w więzieniu, Anno? W więzieniu, nasza córka?” Nie mieliby tam z Ralphem gdzie się podziać, nie mieliby co ze sobą zrobić, niczym ryby wyciągnięte z wody dławiliby się tamtejszym powietrzem. Wijąc się na haczykach niespełnionych oczekiwań.

„Nie! - pomyślała Anna. - W żadnym wypadku nie wolno mi się wygadać”. Zdrzemnęła się. Pociąg ruszył. Powiózł ich dalej, w świat pustynnego pyłu.

* * *

Oddział specjalny przyszedł po nich przed świtem. Policjanci zaparkowali samochody przed posesją, grzecznie, ale uporczywie stukali we frontowe drzwi domu misyjnego, póki Ralph ich nie wpuścił.

- Czy mogłaby się pani ubrać, Mrs Eldred? I spakować rzeczy?

Rozpoczęli ponowną rewizję. Papiery z koszy na śmieci poprzesyrywali do toreb, żeby je zabrać ze sobą. Wynotowali tytuły książek poustawianych na półkach. Przejrzeli korespondencję przygotowaną do wysłania i sprawdzali wszystkie adresy na kopertach.

- Proszę powiedzieć, kto to jest dr Eldred?

- To moja siostra - odparł Ralph.

List do Emmy miał powędrować aż do Norwich wytłuszczony palcami południowoafrykańskiego policjanta.

Kiedy któryś z rewidujących zbliżył się do szafy z dokumentami, Ralph i Anna wymienili znaczące spojrzenia. Wystarczyłoby jedno niecierpliwe szarpnięcie... Spodziewali się, że górna szuflada za moment runie z prowadnic i zgruchocze policjantowi palce u nóg. Jednak ci policjanci nie byli niecierpliwi; do wszystkiego, co robili, podchodzili z rozwagą, prawie że z rodzajem rewerencji. Któryś zazna-

czył: „Na to, co zabierzemy, otrzymacie państwo pokwitowanie”. "Tak więc szuflada nie wypadła i nie uczyniła nikomu żadnej krzywdy. Policjanci wykonywali swoją robotę cicho i spokojnie, jakby nie chcieli gospodarzy urazić albo pragnęli uniknąć jakichkolwiek skarg z ich strony. Personel misji - Rosinah, Dearie, praczkę Clare, Jakoba i jego pomocnika - obudzono i ustawiono szeregiem na podwórku, przy tylnych drzwiach domu. W ich kwaterach również przeprowadzono rewizję. Czy tak samo ostrożnie i delikatnie, w białych rękawiczkach? Ralph mocno w to wątpił.

- Niech mi pan pozwoli powiedzieć im parę słów, po prostu ich uspokoić - zwrócił się z prośbą do dowodzącego całą akcją oficera.

- Nie ma potrzeby, panie Eldred - odparł tamten. - Moi ludzie uspokoją ich w wystarczającym stopniu. W oddziale była również policjantka, kobieta.

- Mrs Eldred, muszę z panią być przy pakowaniu rzeczy - odezwała się do Anny, ujmując ją za ramię.

- Rzeczy? - Anna powtórzyła ze zdziwieniem jej ostatnie słowo. . _

- Tak, rzeczy, na czas pobytu poza domem - wyjaśniła młoda kobieta w mundurze.

- A gdzie to mnie pani zabiera?

- Musi pani... - Policjantka odwróciła wzrok i zaczerwieniła się; miała delikatną północnoeuropejską karnację, podatną na rumieniec i najwyraźniej nie zdążyła się jeszcze zahartować w swoim fachu. - Musi pani pójść do więzienia, Mrs Eldred.

- Do więzienia... - powtórzyła Anna i zrobiła po tych słowach dłuższą pauzę, jakby specjalnie po to, żeby je lepiej przetrwać. - Na jak długo? I dlaczego? Pod jakim zarzutem?

Policjantka spojrzała na swego zwierzchnika, sama nie miała odpowiedzi. Na twarzy tamtego pojawił się wyraz zniecierpliwienia. Mruknął:

- Zabrać ją i już!

W sypialni Anna powysuwała wszystkie szuflady, zdezorientowana i oszołomiona. Nie była w stanie opanować drżenia rąk. Policjantka przysiadła na łóżku.

- Proszę się pośpieszyć - powiedziała nagłym, jednak raczej grzecznym tonem. - Proszę wziąć nocną koszulę. Proszę wziąć mydło i szczoteczkę do zębów. I podpaski higieniczne, gdyby miała ich pani niedługo potrzebować.

Kiedy torba była już spakowana, policjantka wstała i wzięła ją. Przeszła z Anną z powrotem do salonu. Dwuskrzydłowe drzwi na frontową werandę były szeroko otwarte. Dwaj funkcjonariusze wychodzili właśnie przez nie, prowadząc pomiędzy sobą Ralpa.

Dopiero wtedy dotarło do Anny, że zostaną rozdzieleni. Rzuciła się do przodu, lecz policjantka skoczyła za nią i chwyciła za ramię. Funkcjonariusz, który stał na zewnątrz, na schodkach, zatrzasnął Annie tuż przed nosem siatkowe drzwi werandy. Usłyszała odjeżdżający samochód. Wbiła palce w oka drucianej siatki, jakby chciała się przez nią przedrzeć.

W celi było żelazne łóżko z materacem wyplamionym wymiocinami i menstruacyjną krwią. Anna zmusiła się, żeby na nim przysiąść, uznała jednak fakt, że nie dostała kocy i prześcieradeł, za dobry znak, pomyślała, że pewnie mają zamiar tylko zadać jej parę pytań i zwolnić przed końcem dnia.

Nadszedł świt, pierwszy świt Anny w więzieniu. Wsłuchiwała się w poranne odgłosy, znieruchomiła i uważna: ręce złożone na podołku, lekko zgarbione plecy. Zabrali jej zegarek, ale szacowała, że było około siódmej, kiedy otworzyły się drzwi. Strażniczka wniosła metalową tacę i postawiła ją na żelaznej szafce przy łóżku. Bez słowa wyszła. Anna słyszała oddalające się skrzypienie ciężkich butów.

Pozostawiona znów w samotności, przyjrzała się tacy. Stała na niej miska z kukurydzianką. Obok leżała łyżka, która robiła wrażenie oblepionej resztkami wielu innych, wcześniejszych śniadań.

Tłumiąc obrzydzenie Anna nabrała

trochę zupy i uniosła łyżkę do ust, lecz nim zdążyła skosztować, poczuła skurcz w gardle i napływającą falę mdłości. Za moment mdłości ustąpiły, pozostawiając po sobie dreszcz i zawrót głowy. Anna opuściła łyżkę i odstawiła miskę z powrotem na tacę.

Dostała też garnuszek przestudzonej kawy; przytrzymała go przez dłuższą chwilę w dłoniach, tak, dla poprawy samopoczucia. W końcu wypiała łyk: kawa była bez smaku. Samopoczucie z powrotem się pogorszyło.

Trzecią rzeczą na tacy był mały bochenek ciemnego chleba. Anna oderwała kawałek i wepchnęła do ust. Chleb utkwiał jej tam, nie mogła go pogryźć ani tym bardziej przełknąć, jakby był z kamienia. Ostatniego wieczoru przy Flower Street narzekała, że jest za gorąco, żeby jeść. Zamierzała wstać przed świtem i ugotować sobie jajko.

W jakiś czas później, może po godzinie, milcząca strażniczka wróciła. Przyniosła dzbanek z pokrywką, pełen wody. Stała trzymając go w ręku i czekając, aż Anna poda jej tacę. W drugiej ręce miała wiadro. Postawiła je obok łóżka.

- Muszę z tego korzystać? - odezwała się Anna podnosząc wzrok.

W tonie jej głosu nie było nawet odrobiny wojowniczości czy agresji: chciała tylko poznać zasady. Strażniczka wskazała na tacę.

- Nie chce pani tego? - zapytała i wzięła tacę, nie czekając na odpowiedź.

- Czy mogłabym dostać moją torbę? Czy mogłabym dostać mój zegarek?

Drzwi się zamknęły. Klucz zazgrzytał w zamku. Anna znów była sama. Znów oparła dłonie na podołku. Zaczęła śledzić przebieg rysy na ścianie celi, biegnącej meandrami od posadzki mniej więcej na wysokość czterech stóp, a tam rozpadającej się w całą siatkę innych rys, drobniejszych, które rozbiegały się szeroko na wszystkie strony. Wyglądało to niczym delta jakiejś wielkiej rzeki. Anna wyjęła z kiesze-

ni chusteczkę do nosa i zwilżyła ją wodą z dzbanka. Przyłożyła wilgotny kompres najpierw do jednego oka, potem do drugiego. „Tylko nie płakać, tylko nie płakać!” - powtarzała sobie w myślach. „Niech lepiej oczy będą mokre od wody”.

W pewnych odstępach czasu otwierał się umieszczony w drzwiach judasz. Anna za każdym razem spoglądała w jego kierunku. „Niech wiedzą - myślała sobie - że nie mam nic do ukrycia, nawet wyrazu twarzy”. Zaciekawiała się, jak często będą do niej zaglądać; co godzinę? Zaczęła liczyć sekundy pomiędzy jednym a drugim otwarciem się judasza. Kiedy, sądząc z gorąca, jakie zapanowało w celi, i z barwy światła słonecznego, jakiego odrobina tu wpadała, Anna doszła do wniosku, że musi już być południe, drzwi otworzyły się znowu. Stała w nich inna strażniczka.

- Kom.

- Dokąd?

- Odciski palców.

Strażniczki we dwie poprowadziły Annę korytarzem do pomieszczenia, w którym był tylko stół i diva krzesła. Któraś chwyciła ją za rękę, rozprostowała siłą palce i przycisnęła je do poduszki nasyconej jakąś czarną mazią. Obok leżał papier; po chwili Anna mogła zobaczyć odbite na nim pętle, zakrętasy i kleksy, ślady, które robiły wrażenie raczej małpich niż ludzkich. Annie aż trudno było uwierzyć, że należą właśnie do niej.

Strażniczki pozwoliły jej umyć ręce, nie była jednak w stanie usunąć brudu z paznokci.

Kiedy wyszła znów na korytarz, ujrzała kobietę, Murzynkę w więziennym ubraniu, która na klęczkach szorowała szczotką podłogę, rozcierając coraz szerzej dookoła siebie kałużę wody z mydłem. Kobieta śpiewała mocnym, dźwięcznym głosem religijną pieśń. Na widok Anny przestała, przysiadła w kucki, żeby się lepiej przyjrzeć białej więźniarce. Anna z kolei skierowała spojrzenie w stronę tamtej, prosto na jej twarz; kiedy ją minęła, zerknęła jeszcze raz, przez ra-

mię. Kobieta znów pochylała się na klęczkach nad podłogą. Podeszwy jej stóp były szarobiaławe, stwardniałe jak kopyta. Jeszcze w otwartych drzwiach celi Anna słyszała słowa śpiewanego przez nią hymnu:

Jak mocno, Boże, ukochałeś
Nas na tym lichym świecie,
Że błękit nieba dać nam chciałeś
I ozdobiłeś ziemię kwieciem.

Kiedy zaczęło się ściemniać, dostarczono Annie do celi dwa więzienne koce i jej własną torbę. Miała w niej szczotkę do włosów i grzebień, nie wzięła jednak lusterka. Właściwie nie wiedziała, dlaczego zerknięcie w odbicie własnej twarzy wydało jej się nagle czymś tak bardzo ważnym, ale zapytała strażniczkę:

- Nie ma pani lusterka w kieszeni? Może by mi je pani pożyczyła na minutkę?
- A czy ja jestem królową piękności? - odezwała się tamta i wybuchnęła śmiechem z własnego żartu.
- To wbrew przepisom - dodała. - Szkłem można się skaleczyć, rozumie pani? No, teraz lepiej pospać.
Trochę wcześniej, po południu, przyniesiono Annie tacę, na której tym razem stała miska z zupą. Anna zaczęła mieszać w niej łyżką, wyławiając kapustę, kawałki warzyw i coś, co mogło być okrawkami mięsa. Na powierzchni zupy pływały duże oka tłuszczu. Kiedy Anna uniosła łyżkę do ust, zareagowała podobnie, jak rano. Pomyślała, że chyba zwymiotuje. Ostatni posiłek dnia stanowił znów garnuszek słabej kawy, uzupełniony pajdą chleba. Anna tego chleba nawet nie skosztowała i teraz zaczęła żałować, bo była tak głodna, że żołądek jej się skurczył, tworząc wklęsłość powyżej pępka.
- Mogłaby mi pani pomóc? - spytała Anna strażniczkę. -Przedtem nie mogłam jeść, było mi niedobrze. Mogłabym dostać kawałek chleba?

Kobieta zawahała się,

- Zobaczę - mruknęła w końcu.

Wyszła, zatraskując drzwiami i pobrzękując kluczami. Ku zaskoczeniu Anny, wewnątrz celi rozświetliła żarówka. W jej blasku Anna czekała, nie wykonując bodaj najdrobniejszego ruchu.

Przypuszczała, że strażniczka już się nie zjawi, jednak przyszła po jakimś czasie, z talerzem, na którym znajdował się chleb i odrobina margaryny.

- Nie mogę dać pani noża do posmarowania - powiedziała. - Trzeba sobie jakoś inaczej poradzić. Anna wzięła talerz.

- Jestem bardzo wdzięczna. Kobieta wyjęła z kieszeni jabłko.

- Tylko nie mówić nikomu.

Położyła owoc na metalowej szafce. Anna spytała:

- Nie wie pani, co ze mną będzie? Gdzie jest mój mąż?

- Nie wykorzystywać okazji! - mruknęła strażniczka.

- Chciałabym napisać list. - Anna nie dawała za wygraną. - Mam różne sprawy do załatwienia. Widzi pani, ja pracuję w misji, w Elim, przy Flower Street, jest sporo rzeczy, których muszę pilnować. Jak nie przekażę instrukcji, nic nie będzie zrobione.

- Jakoś tam sobie poradzą, zanim pani wróci - powiedziała tamta kobieta.

- Powinnam mieć możliwość skontaktowania się z adwokatem.

- Ho, ho! Pewnie! Ale z tym to już nie do mnie, tylko do pułkownika!

- A kiedy się z nim spotkam?

- Jak będzie pora.

To było ostatnie zdanie, jakie wypowiedziała strażniczka, nim wyszła. Anna przełamała chleb, wyrwała z kromki miękki środek, wybrała nim margarynę i wcisnęła go sobie do ust. Jabłko, zanim zaczęła je jeść, bardzo długo trzymała w dłoniach, przebiegając raz po raz palcami po jego powierzchni, podziwiając nieskalaną, dziewiczą czystość owocu. Później bez końca odgryzała kawałtka po kawałtku,

drobnymi, „mysimi” kęskami. Ogryzek starannie zawinęła w chusteczkę, żeby rano przynajmniej poczuć na języku smak jabłecznego soku. Jak długo mogła, powstrzymywała się przed skorzystaniem z wiadra, w końcu musiała jednak nad nim kucnąć. Metalowe obrzeże było zimne w zetknięciu z udami. Anna czuła się upodlona tym, że wiadro z moczem będzie stało obok niej przez całą noc, że kiedy zbudzi się rano, ono nadal będzie tuż obok.

Następnego dnia Anny nie zaprowadzono do pułkownika. Strażniczka, która dała jej jabłko, przyniosła poduszkę, poszewkę i dwa prześcieradła. „A więc przynajmniej jeszcze jedna noc tutaj” - pomyślała Anna.

- Zjadła pani dzisiaj śniadanie? - spytała tamta kobieta.

- Nie, nie mogłam.

- Trzeba było próbować.

- Przyniesie mi pani jeszcze jedno jabłko? Byłabym taka wdzięczna...

- Ja myślę!

- A jak pani myśli, dostanę coś do czytania?

- Z tym to już do pułkownika, nie do mnie.

- A czy ktoś mógłby podskoczyć do mnie do domu i przynieść mi rzeczy na zmianę?

Anna z góry знаła odpowiedź: „Z tym to do pułkownika...” Doszła jednak do wniosku, że więzienne życie musi się do czegoś takiego sprowadzać, do nie kończącej się serii prośb, i w sprawach ważnych, i w sprawach drobnych, prośb, z których każdą trzeba powtarzać bez końca, póki kiedyś, nawet wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, nie zostanie spełniona. Czy mogłabym przekazać wiadomość mężowi? Czy mogłabym dostać trochę gorącej wody, bo ten tusz od odcisków palców nie chce mi wyjść z paznokci? Czy mogłabym dostać gazetę? Czy mogłabym dostać lusterko? Czy ktoś mógłby mnie zapewnić, że Bóg nadal mnie kocha i że wciąż jestem Jego dzieckiem?

Następnego dnia, po porannej kukurydziance, ale przed południową zupą, weszła inna strażniczka.

- Chce się pani przeczesać, Mrs Eldred? Pułkownik czeka na panią w swojej kancelarii.

Anna zerwała się z łóżka.

- Mniejsza o włosy...

Kobieta przepuściła ją przodem przez otwarte drzwi celi. Ku zdziwieniu Anny, w korytarzu stały jeszcze dwie strażniczki. Szły potem o krok za nią przez całą drogę. „Traktuj mnie tak, jakbym była niebezpiecznym przestępcą” - pomyślała Anna. „A może jestem?”

Pułkownik był mężczyzną około pięćdziesiątki. Miał szpakowate włosy, przystrzyżone krótko nad uszami. Brzuch zabawnie napinał pas munduru, poza tym jednak pułkownik wyglądał surowo i godnie. Na widok Anny wstał zza biurka, wskazał jej ręką krzesło. W kancelarii skrzypiał u sufitu wentylator, kręcił się mieszając bez końca to samo ciężkie powietrze. Pułkownik odezwał się:

- Muszę przeprosić, że nie spotkałem się z panią wcześniej, Mrs Eldred. W męskim więzieniu miały miejsce pewne incydenty, więc po prostu nie zdołałem znaleźć czasu...

- Jakie incydenty?

- Nie powinna się pani o to martwić.

- Czy jest tam mój mąż, w tym męskim więzieniu?

- Wszelkie informacje na temat pana Eldreda otrzyma pani już wkrótce, prawdę mówiąc, wkrótce się pani z nim zobaczy, bo wszystko, czego żądamy od pani, to wyłącznie parę chwil rozmowy.

Pułkownik usiadł naprzeciwko Anny. - Bywała pani na politycznych mityngach, Mrs Eldred?

- Nie. Nigdy.

- A na protestacyjnych mityngach? Na przykład w sprawie bojkotu autobusów?

-Tak.

- A czy to nie to samo?

- Wtedy nie sądziłam, że tak.

- Mamy panią na fotografiach z tych mityngów. Wiemy, że urządziła pani polityczne mityngi u siebie w domu.

- Nigdy.
- Przecież przyjmowała pani ludzi z Afrykańskiego Kongresu Narodowego! Agitatorów...
- Przyjmowanie gości nie jest nielegalne.
- Cóż więc pani robiła, Mrs Eldred, jeśli nie urządziła pani politycznych mityngów? Podawała pani tylko kawę i ciasteczka, prawda? A może czytaliście razem Biblię?

Anna nie odpowiedziała.

- Mam nazwiska wszystkich, którzy panią odwiedzali.
- Wiem. Wiem, że macie wszędzie szpiegów.
- To konieczne, niestety - stwierdził pułkownik. - Proszę mi wierzyć, Mrs Eldred. Musimy zachowywać kontrolę nad sytuacją.

Anna, odgarniając dłonią włosy do tyłu wyczuła, że tworzą tłuste, proste pasma; w celi w parę godzin po nastaniu świtu robiło się gorąco jak w piecu, a nie dawano jej wystarczającej ilości wody do mycia.

- Czy mogłabym o coś zapytać, panie pułkowniku? Tylko jedno pytanie. Chciałabym wiedzieć, czy ktoś z personelu misji jest na waszych usługach. Tylko to: czy ktoś na nas donosił?
- Gdyby była pani niewinna, Mrs Eldred, nie stawiałaby pani takich pytań..
- Jednak ja jestem niewinna, panie pułkowniku! - Anna poczuła, że rumieniec uderza jej na twarz; nie bała się, odkąd znalazła się w więzieniu, przeżywała rozmaite emocje, ale w żadnym razie strach. - Jestem całkowicie niewinna, podobnie jak mój mąż, i jestem całkowicie pewna, że organizacja religijna, która nas tutaj wysłała, została już poinformowana o tym, co zaszło, i przedłoży waszym władzom zażalenie w naszej sprawie!
- A ja jestem całkowicie pewien - powiedział pułkownik - że to zażalenie zostanie rozpatrzone z najwyższą wnikliwością. Ale musi pani zrozumieć jedną rzecz, Mrs Eldred: nasze władze nie mogą tolerować ludzi, którzy przyjeżdżają tu, żeby nas pouczać, jak mamy się rządzić we własnym kra-

ju, ludzi, którzy zjawiają się pod pretekstem pracy misyjnej, a biorą się za politykę i wtrącają się w zupełnie niezrozumiałe dla siebie sprawy.

- Ależ ja doskonale rozumiem tutejsze sprawy! - stwierdziła Anna. - Proszę się nie spodziewać, że uda się panu zbić mnie z tropu w ten sposób. Ja tu wszystko widziałam, na własne oczy!

- Z całym szacunkiem, Mrs Eldred, nic pani nie widziała i nic pani nie wie! Gdyby przeżyła pani tutaj dwadzieścia, trzydzieści lat, wtedy moglibyśmy podyskutować - rzekł pułkownik i zaczął wpatrywać się w sufit, jakby tam znajdowały się jakieś przeznaczone dla niego rezerwy zimnej krwi; gdy się odezwał, ton jego głosu był znów beznamiętny jak wcześniej, naznaczony wyłącznie sztuczną, bezsensowną kurtuazją. - Czy mogę zaproponować pani papierosa, Mrs Eldred?

- Nie, dziękuję.

- A nie pogniewa się pani, jeśli sam zapalę?

- Proszę się mną nie krępować.

- Czy ma pani jakieś zastrzeżenia, Mrs Eldred? - spytał pułkownik.

Anna spojrzała na niego zdziwionym wzrokiem.

- Gdybym zaczęła wyliczać wszystkie moje zastrzeżenia...

- Chodzi mi o warunki pobytu tu u nas.

- Czy mogłabym wychodzić trochę na świeże powietrze?

- Przykro mi, ale nie mamy odpowiedniego miejsca na spacer dla pani.

- Przecież słyszę z zewnątrz głosy innych kobiet. Głosy, śmiechy, śpiew.

- To z dziedzińca. Czarne więźniarki wychodzą tam prac.

- Przypuszczam, że i ja będę musiała zrobić sobie pranie.

- Będzie dla pani zrobione, Mrs Eldred.

- Chciałabym prosić o zmianę odzieży, z domu, i o parę książek. Czy to możliwe?

- Wyślę kogoś po te pani rzeczy.

Anna poczuła ulgę. Nie myślała o tym wcześniej, ale przed chwilą po raz pierwszy uzmysłowiła sobie, że mogą ją przebrać w więzienne ubranie.

- A książki?

- Na razie dostanie pani Biblię. Czy to wystarczy?

- Dziękuję.

Pułkownik skłonił głowę.

- Jest pani niewiastą o doskonałych manierach, Mrs Eldred. Bardzo bym chciał, żeby pozostała nią pani nadal.

- Mam nadzieję, że zdołam, panie pułkowniku - odparła Anna, powtarzając sobie w myślach: „Bez względu na to, co on powie, powinnam zawsze mieć ostatnie słowo”.

Zapytała: - Czy mogłabym mieć dłużej zapalone światło? Do czytania. Ostatniej nocy nie zmrużyłam oka, właściwie nigdy nie zasypiam przed północą. Pułkownik zawahał się:

- Nnno... może o godzinę dłużej. Do dziewiątej?

A więc zdobyła jakąś informację! Odniosła drobny sukces.

- A czy mogłabym dostać z powrotem mój zegarek?

- Tak, oczywiście, to jest możliwe. Nie wiedziałem, że go pani odebrano.

- I jeszcze to wiadro, panie pułkowniku. Tak zwane wiadro sanitarne. Jest obrzydliwe. Kiedy prowadzono mnie tutaj korytarzem, widziałam ustawione w kącie inne wiadra, z pokrywami. Czy mogłabym otrzymać jedno z nich?

Pułkownik zrobił wrażenie głęboko skonsternowanego. Zerwał się z krzesła, ostrym tonem i podniesionym głosem udzielił reprymendy strażniczce, prawdę mówiąc po prostu zmieszał ją z błotem. Zaczęła się tłumaczyć, potem przeproszać.

- Mrs Eldred - pułkownik zwrócił się do Anny - jesteśmy pani winni przeprosiny. Zupełnie nie wiem, jak to się mogło stać! Przydzielono pani wiadro typu tubylczego. Każdemu białemu więźniowi przysługuje wiadro z pokrywą, takie

obowiązują przepisy. Pani wiadro zostanie niezwłocznie wymienione.

Anna spojrzała na pułkownika. Mimo wszystko, ostatnie słowo należało do niego.

Nocą zaczęły boleć Annę nogi. Spała niespokojnie, nad ranem popadła już tylko w bezsenne ośpienie. Ocknęła się z dreszczami i kolosalnym bólem głowy. Aż trudno jej było oddychać, nie wspominając o przełykaniu. Owinęła się szczelnie w koc, jednak to ani trochę jej nie pomogło.

Strażniczki przyszły po nią o dziewiątej.

- Znowu do pułkownika?

- Tak jest, Mrs Eldred, chyba się w pani zakochał. Pułkownik, który przechadzał się tam i z powrotem po swoim gabinecie, na widok Anny stanął w miejscu.

- Dzień dobry, Mrs Eldred, proszę usiąść. Przyjrzał się jej uważnie.

- Czyżbyśmy podjęli głodowy strajk? - zapytał.

- Nie, to nie jest strajk. Po prostu wolę nie jeść.

- Nie odpowiada pani nasz wikt?

- A czy mógłby odpowiadać komukolwiek? To, co dostaję, nie nadaje się nawet dla świń!

- A gdybyśmy uzupełnili pani dietę, zaczęłaby pani jeść?

Anna nie odpowiedziała. Nie chciała dawać pułkownikowi satysfakcji, nie chciała dać się skusić. Poza tym pierwszym razem nie dostała już więcej jabłka. Skóra po zewnętrznej stronie dłoni poszarzała jej, zupełnie jakby przepływająca pod nią krew zmieniła barwę.

- No, proszę śmiało, Mrs Eldred! Na co miałaby pani chęć? Na jakieś owoce?

Anna nie odzywała się. Najgorszy ból głowy już wprawdzie jej przeszedł, ale pozostawił po sobie przykre wspomnienie i niemiłą drętwość w karku.

- Miałabym chęć wrócić do domu - rzekła w końcu stłumionym głosem. - Miałabym chęć zobaczyć się z mężem. Miałabym chęć się dowiedzieć, dlaczego mnie tutaj trzymacie.

-Wszystko we właściwym czasie. Proszę tylko zrozumieć, że wszelkie produkty, jakich sobie pani zażyczy, muszą być i tak uzupełnione standardowymi więziennymi racjami żywnościowymi. Takie są przepisy.

Anna pokiwała głową; czuła ból u podstawy szyi przy każdym lekkim skłonie. Pułkownik najwyraźniej przyjął, że jednak prowadzi strajk głodowy, mimo że temu zaprzeczyła. Pomyślała, że skoro już chce, niech tak sobie myśli, mniejsza o to. Ta czarna kobieta, szorująca korytarze... Kto się zatroszczy o uzupełnienie jej diety? Anna zaczęła sobie wyobrażać siebie podczas prawdziwego strajku głodowego: coraz węższą, coraz słabszą. Po raz pierwszy ogarnął ją lęk. Pomyślała: „Ja przecież nie nadaję się do czegoś takiego! Emma owszem, Emma z pewnością mogłaby to przecierpieć. Przecierpieć? Dla Emmy byłaby to błahostka!” Nagły lęk przyniósł Annie coś w rodzaju ulgi. „A więc jednak jestem zdolna do normalnych ludzkich odczuć!” - pomyślała. „Jakże by to było, trafić do więzienia i nie bać się, jak mogłabym z czymś takim żyć przez resztę życia? Jak mogłabym sobie potem pozwolić na luksus zwykłych, codziennych lęków, gdybym nie bała się teraz?”

- Panie pułkowniku, na litość boską, proszę mi powiedzieć, coście zrobili z moim mężem? Niczego innego nie chcę wiedzieć, tylko to: czy on jest zdrow i cały?

- Będziemy mogli urządzić państwu spotkanie...

- Kiedy? Dzisiaj? Pułkownik głęboko westchnął.

- Cierpliwości, Mrs Eldred.

Anna widziała, że stara się stłumić irytację.

- Widzi pani - zaczął tłumaczyć - bardzo mi przykro, jeśli pani uważa, że jest źle traktowana, ale, prawdę mówiąc, nie jesteśmy przyzwyczajeni do pensjonariuszy tego typu co pani. To sytuacja bez precedensu, dla mnie, dla całego personelu. Dlatego doszło do pomyłki w kwestii wiadra, dlatego być może popełniliśmy jeszcze inne błędy. Ale nikt nie chce przetrzymywać pani tutaj dłużej, niż to konieczne.

- Tylko czemu w ogóle mnie trzymacie? Przecież nie jestem nawet przesłuchiwana.
 - Nie chcemy pani zamęczać, Mrs Eldred. I tak wiemy, co pani zrobiła; co się stało, już się nie odstanie.
 - A czy przesłuchujecie mojego męża? Pułkownik pokręcił głową.
 - Nie w ten sposób, jaki ma pani na myśli. Skąd pani w ogóle przychodzą do głowy takie rzeczy? Przecież nikt pani tutaj nie tknął, prawda?
 - Prawda.
 - No więc. Tak samo nikt nie tknął pani męża.
 - Nie wierzę panu.
 - Cóż mogę na to poradzić? Mogę tylko zapewnić, że poza wszystkim innym pobyt tutaj ma panią chronić. - Chronić? Przed kim?
 - Przed samą sobą - rzekł pułkownik zmęczonym głosem.
 - Nie postawił mi pan żadnych zarzutów. Nie sądzę, by zdołał mi pan postawić jakiegokolwiek zarzuty. Dlaczego więc mnie pan nie wypuści?
 - Przykro mi, ale to niemożliwe.
 - Dlaczego? - spytała Anna, pomyślawszy: „Trzeba pytać, ciągle pytać i pytać, to w końcu może odpowie!” - Czekam na decyzję wyższej instancji, Mrs Eldred.
 - Czyżby tej najwyższej, Boskiej?
 - No, nie - na twarzy pułkownika odmalował się rodzaj półuśmiechu. - Wystarczy mi telefon z Pretorii.
 - A kiedy się pan go spodziewa?
- Pułkownik pochylił się na krześle, zdusił w popielniczce niedopałek papierosa.
- Ja się niczego nie spodziewam, Mrs Eldred - stwierdził. - Nauczyłem się w życiu cierpliwości. Również pani bym ją zalecał.
- Anna spojrzała mu prosto w twarz.
- Jak będziemy zanadto cierpliwi, panie pułkowniku, to możemy się tu razem zestarzeć - powiedziała.

Wieczorem nieoczekiwanie przyniesiono jej miskę z gorącą wodą i suchy, czysty ręcznik. Dotąd pozwalano jej się umyć tylko raz dziennie. Dostała też trochę owoców i tabliczkę czekolady.

- Tylko nie zjadać naraz, bo się pani pochoruje - przestrzegła strażniczka; po jej minie wyraźnie było widać, że nie pochwała takiego specjalnego traktowania więźniów.

Anna odpakowała czekoladę. Zaczęła wdychać jej aromat, jej tanią słodycz, wyczarowaną z cukru i oleju. Wdychała, choć gardziła sobą. Pomyślała, że pułkownik ją przejrzał, zorientował się, jak jest słaba. Czekoladowa emulsja spłynęła jej po języku, przenikając, zdawałoby się, bezpośrednio do krwi. Serce zaczęło bić szybciej. Anna usiadła na łóżku, z podkulonymi nogami. „Po tym, co teraz zrobiłam, już zawsze będę nienawidziła samej siebie, nigdy sobie tego nie wybaczę, do końca życia będę przez to cierpieć!” - pomyślała. I żeby zebrać ostatki czekoladowego smaku, oblizała się jak kot, który myje pyszczek. Opierając kciuk o delikatną skórę nadgarstka zmierzyła sobie puls. Jego tempo ją zatrwożyło. „Ale przecież żyję!” - pomyślała.

A potem przyszło jej do głowy, że to pewnie tylko taka sztuczka. Że następnego dnia znów przyniosą jej kukury-dziankę i oblepioną łyżkę, i wiadro tubylczego typu. I że ona już tego nie przetrzyma.

Następnego dnia powiedziano Annie, że ma gościa. - Jakaś czarna matrona - mruknęła strażniczka. - Pułkownik wydał pozwolenie.

W pokoju, gdzie brano od Anny odciski palców, siedziała Lucy Moyo. Torebkę położyła na potężnych kolanach; była ubrana w jeden ze swoich wyjściowych zestawów: sukienka w śliwkowym kolorze i zharmonizowany z nią różowy kapelusz. Pod pasek od zegarka wsunęła sobie złożoną kilkakrotnie chusteczkę do nosa. Pachniała konwaliami.

Anna rzuciła się w jej stronę, otworzywszy ramiona. Jednak Lucy Moyo nie pozwoliła się objąć: chwyciła Annę moc-

no, aż boleśnie za ręce, przytrzymała w nieznacznym dystansie.

-Trzeba się trzymać, trzeba się dzielnie trzymać, Mrs Eldred - odezwała się zdecydowanym, niemal surowym tonem. - Nie pozwolić, żeby ci tutaj widzieli, jak pani płacze!

Łzy zaczęły ciurkiem płynąć Annie po twarzy. Lucy wyciągnęła chusteczkę zza paska od zegarka, objęła Annę jednym ramieniem i zaczęła wycierać jej policzki, jak zabeczanemu przedszkolakowi, który właśnie „złapał zająca”. Anna płakała, a Lucy osuszała jej łzy i przez cały czas przemawiała do niej tym samym tonem, dziarskim i twardym, jakby zdawała sobie sprawę, że czułość i współczucie mogą tylko podkopać jej ducha.

- Mrs Eldred, proszę mnie posłuchać - mówiła. - Trzymamy rękę na pulsie, zawiadomiliśmy kogo trzeba. Wysłaliśmy depezę do Londynu, to znaczy ojciec Alfred wysłał, ten człowiek wcale nie jest takim safandulą, na jakiego czasem wygląda. Wysoki komisarz ma przysłać tu kogoś z Kapsztadu. Wszyscy się za was modlimy. Słyszysz mnie pani, Mrs Eldred?

- Tak, tak, słyszę, Lucy, rozumiem... Widziałaś się z moim mężem? Masz o nim jakieś wiadomości?

- Ojciec Alfred się widział. Pan Eldred miewa się nieźle, jest w dobrym nastroju i prosi, żeby się pani nie martwiła. My wszyscy w misji też miewamy się nieźle i jesteśmy w dobrym nastroju; miesięczne rachunki zrobione, pensje wypłacone, proszę się niczym nie przejmować, wszystko jest w najlepszym porządku.

- Pięć minut - burknęła strażniczka; twarz miała skrzywioną grymasem niesmaku, wyciągnęła rękę i pokazała zegarek, jakby zakładała, że Lucy może nie zrozumieć jej słów.

Lucy spojrzała w jej stronę.

- Bądźże pani chrześcijanką! - mruknęła.

Gdy przestała podtrzymywać Annę ramieniem, ta natychmiast oparła się o stół. Mówiąc ściśle, zwała się na je-

go blat bezwładnie jak szmaciana lalka. Lucy otworzyła torebkę.

-Powiedzieli: „Jedna książka, nie więcej!” No to przyniosłam pani tę. Wiem, że ta książka wiele dla pani znaczy, przywiozła ją pani z domu, z Anglii, wiem, że to podarunek od pani matki.

Lucy wsunęła Annie w dłonie egzemplarz, „Zalanego słońcem veldu”, ucałowała ją w oba policzki, wyrwała się strażnicze, gdy ta próbowała chwycić ją za ramię, i z godnością, przewiesiwszy sobie torebkę przez nadgarstek, wyszła z pokoju.

Znalazszy się z powrotem w celi, Anny przysiadła z książką na kolanach. Usłyszała głos matki:

„Anno, to książka z serii «Okna na świat»...” Zaczęła bezładnie przewracać kartki. „Żaden owoc nie krzepi lepiej niż papaja o złocistym mięszu... Tubylcy często czczą zmarłych przodków... Dzisiaj hodowcy strusi tęsknie patrzą wstecz, wspominając epokę, w której moda tworzyła popyt na ich towar...” Anna zamknęła książkę, zapatrzyła się na purpu-rowo-niebieskie góry na okładce.

„Niebieskie wzgórza - pomyślała - niebiańskie...” W kątach celi czaiła się kolejna czarna noc.

Odwiedziny Lucy zdawały się wskazywać, że już wkrótce może nastąpić uwolnienie. „Nie, nie wolno robić sobie nadmiernych nadziei!” - powtarzała w myślach Anna, ale i tak prawie nie usnęła przez całą noc.

Rano nawet nie próbowała jeść. Odkryła w sobie również wstręt do ciepławej wody w blaszanym garnuszku; musiała zdobyć się na spory wysiłek woli, by odchylając głowę do tyłu i otwierając szeroko usta wlać ją sobie do gardła. Czuła się przecież spragniona. Do tego znów trzęsły nią dreszcze, było jej zimno. Nerwy miała napięte do ostatnich granic.

Potrzebowała spokoju. Chciała się uwolnić od kotłujących się w jej głowie myśli. Uświadomiła sobie, że ani razu,

odkąd trafiła do więzienia, nie modliła się. Ani razu nie nasunęło się jej, żeby to zrobić. Zajrzała w głąb własnego serca w tym szóstym dniu zniewolenia i znalazła pustkę tam, gdzie powinna być wiara. O dziesiątej otworzyły się drzwi celi i wszedł pułkownik.

- Jak się pani dziś miewa, Mrs Eldred?

- Chcę się wykapać! - odpaliła Anna z miejsca. - Chcę się dowiedzieć czegoś o mężu! Chcę stąd wyjść!

Pułkownik uniósł dłoń w geście, który mówił: spokojnie, spokojnie...

- Mrs Eldred, pani mąż jest już tutaj - oznajmił. - Przyszedłem właśnie po to, żeby panią zaprowadzić do mojej kancelarii, gdzie zastaniemy i pana Eldreda, i przedstawiciela wysokiego komisarza. Czy to na razie wystarczy?

Ralph zerwał się z krzesła na jej widok.

- Anna! Dobry Boże, co się stało? - wykrzyknął z przerażoną miną.

Anna przez chwilę miała wrażenie, że zemdleje. Spostrzegła, że twarz Ralpha jest opuchnięta i posiniaczona, że ma przeciętą wargę. Żołądek się jej skurczył i podskoczył do gardła; wstrząsnął nią dreszcz lęku i oburzenia, poczuła się nagle cała obolała, jakby odarta ze skóry. „Ja tego nie przetrzymam!” - pomyślała. Kochała Ralpha z macierzyńską niemal czułością, nie mogła znieść myśli, że cierpiał ból, że te bydlaki... Zakreśliło się jej w głowie, podłoga gabinetu zakołysała się pod jej stopami, a sufit i ściany zaczęły wirować. Pułkownik podtrzymał Annę za łokieć; przedstawiciel wysokiego komisarza zerwał się z krzesła w kącie pomieszczenia i powiedział:

- Jestem Cooper, z Kapsztadu.

Anna półprzytomnie uściśnięła wyciągniętą ku niej wilgotną dłoń, potem, nadal nie bardzo zdając sobie sprawę, co się z nią dzieje, usiadła.

- Nie chciała być grzeczną dziewczynką. Odmawiała jedzenia - wyjaśnił pułkownik.

- I pan jej na to pozwolił? - obruszył się Ralph.

- A wolałby pan, żebym karmił ją siłą, Mr Eldred?

- Panie Eldred - odezwał się Cooper z Kapsztadu - byłoby lepiej, gdyby pan usiadł. Omówmy nasze sprawy w stosowny, kulturalny sposób.
- Nie jesteśmy we właściwym kraju na coś takiego -mruknął Ralph.
- Usiadł jednak. Ujął Annę za rękę. Dotknął ustami jej spierzchniętych warg.
- Czy już mogę? - spytał Cooper.
- Jak na przedstawiciela wysokiego komisarza wydawał się zbyt młody i zbyt skrepowany; mocno się pocił w swym garniturze biznesmena. Odchrząknął i zaczął:
- Mówiąc otwarcie, nieporozumienie, które miało miejsce...
- Ralph znów zerwał się z krzesła.
- Nieporozumienie?! - wykrzyknął. - Zabrali nas w środku nocy i bezpodstawnie uwięzili, stosowali przemoc wobec mnie i głodzili moją żonę, sterroryzowali personel misji, a pan to nazywa nieporozumieniem?
- Panie Eldred, nie ułatwia mi pan zadania! - upomniał go Cooper. - Wiem, że czuje się pan pokrzywdzony może nawet nie bez podstaw, ale ja, jako przedstawiciel Jej Królewskiej Mości, zostałem zobowiązany do wyciągnięcia pana z tej pożałowania godnej sytuacji, w jaką sam się pan wmanewrował. Mam pana wyciągnąć z tarapatów bez narażania na szwank stosunków między naszymi rządami - dodał z naciskiem.
- Co pan ma na myśli? - Anna nie posiadała się z oburzenia. - Co pan ma na myśli, kiedy pan mówi, że sami się wpakowaliśmy w tę sytuację?
- Mrs Eldred, bardzo proszę! - zaczął ją mitygować pułkownik. - Proszę spokojnie wysłuchać człowieka, który odbył daleką drogę, żeby z państwem pomówić.
- Dziękuję, panie pułkowniku - rzekł Cooper. - Wracając do meritum sprawy: sytuacja przedstawia się tak, że

możecie państwo zostać zwolnieni niemal natychmiast, o ile tylko spełnicie określone warunki.

Cooper wyjął chusteczkę i przetarł sobie czoło. Spojrzenie jego oczu o nieokreślonym kolorze zaczęło błędzić niespokojnie po pokoju.

- Mr Cooper, myślę, że będzie zrzeczniej, jeśli zostawię pana sam na sam z rodakami - odezwał się pułkownik.

- Cóż, prawdę mówiąc...

- A nie boi się pan pana Eldreda? - spytał pułkownik z leciutkim uśmiechem.

Cooper nie odpowiedział.

- Proszę się nie bać, Mr Cooper - kontynuował pułkownik - jak tylko usłyszę stukot pańskiej czaszki o podłogę, natychmiast przyjdę panu z odsieczą. Proszę na mnie polegać.

Pułkownik wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Przez chwilę panowała cisza.

- Byłoby najwygodniej, gdybyście państwo sami opuścili Południową Afrykę - odezwał się w końcu Cooper.

- Nigdy! - rzekł Ralph. - Niech nas wyrzucą, jeśli o to im chodzi, ale nie będziemy robić niczego dla ułatwienia im życia!

- Jesteśmy w stałym kontakcie z państwa pracodawcami z Clerkenwell. Z waszą organizacją misyjną...

- Więc oni dokładnie wiedzą, co się stało?

- Wiedzą, owszem, i raczej nie są tym zachwyceni. To znaczy nie są zachwyceni państwa postawą, Mr Eidred. Zostałem poinformowany, że organizacja nie toleruje u osób pełniących misję z jej ramienia żadnych form zaangażowania politycznego, powtarzam, żadnych form...

- To się tak łatwo mówi - przerwała mu Anna. - Z perspektywy Clerkenwell.

- Jest pewna sugestia - zaczął Cooper z wahaniem. - To znaczy, zostałem upoważniony do przedstawienia państwu sugestii...

- Tak?

- ... że najłatwiej byłoby wybrnąć z tego z twarzą...
- Konkretnie komu?
- Wszystkim zainteresowanym stronom. Tak więc, najłatwiej byłoby wybrnąć, gdybyście państwo opuścili ten kraj dobrowolnie, a nie w drodze deportacji...
- To już pan mówi! - po raz kolejny wtrącił się Ralph. ...nie rezygnując jednak z kontynuowania działalności misyjnej - dokończył wreszcie Cooper.
- Czy zechciałby pan wyrażać się trochę jaśniej, Mr Cooper? - odezwała się Anna. Przedstawiciel wysokiego komisarza znów odchrząknął.
- Jak rozumiem, nie zgłaszacie państwo chęci natychmiastowego powrotu do Zjednoczonego Królestwa, czy tak? - upewnił się.
- Najmniejszej chęci, najmniejszego zamiaru - rzekł z przekonaniem Ralph.
- Mrs Eldred?
- Chcę wrócić do domu przy Flower Street - odparła Anna. - To wszystko, czego chcę.
- Powinna pani zdawać sobie sprawę, że to właśnie jest niemożliwe! - W głosie Coopera zaczął pobrzmiwać ton zniecierpliwienia. - Rząd Południowej Afryki nie będzie dłużej tolerował państwa obecności na terytorium tego kraju. Upoważniono mnie jednak, to znaczy wasza misyjna organizacja mnie upoważniła, do złożenia państwu propozycji objęcia... tymczasowego objęcia... placówki w Beczuanie, w protektoracie Beczuany. - Clerkenwell nam coś takiego proponuje?
- Owszem, ja jestem tylko pośrednikiem.
- A co oni rozumieją przez „tymczasowe objęcie placówki”? - dopytywał się Ralph.
- Najpewniej to - wtrąciła się Anna - żebyśmy posiedzieli tam przez jakieś trzy miesiące, póki hałas nie ucichnie i gazety o nas nie zapomną. Wtedy nas stamtąd bez rozgłosu odwołają do Anglii i spokojnie wyleją z posady.
- Och, nie myślę... - zaczął Cooper.

- Zamilcz pan! - przerwał mu ostro Ralph. - Nikogo nie obchodzi, co tam pan sobie myślisz!

Zapadła cisza. Wyglądało na to, że pertraktacje utknęły w martwym punkcie.

- Mój mąż chciał powiedzieć - odezwała się po chwili Anna - że byłoby lepiej, gdyby pan po prostu przedstawił nam fakty. Gdzie jest placówka, którą nam proponują?

- To miejsce nazywa się Mosadinyana. O ile dobrze zrozumiałem, jest to miejsce raczej odosobnione.

- Wszystko się zgadza! - Ralph nie tracił wojowniczego tonu. - Chcą nas usunąć ze sceny!

Anna położyła mu dłoń na ramienia.

- Wysłuchajmy tego człowieka do końca - powiedziała.

- Tak więc, o ile dobrze zrozumiałem - podjął przerwany wątek Cooper - małżeństwo, które dotychczas prowadziło tę placówkę, musiało powrócić do kraju z przyczyn zdrowotnych. Ta miejscowość to, o ile dobrze zrozumiałem, nieduża wieś... osada... Powiedziano mi, że jest tam misyjna szkołka, również nieduża, wystarczy jeden nauczyciel - wskazał wzrokiem Annę.

- A cóż ja miałbym tam robić? - spytał Ralph.

- Zarządzać, Mr Eldred. Pan zarządzałby placówką. -Mosadinyana... Nigdy nie słyszałam takiej nazwy -

stwierdziła Anna.

- Wasza organizacja opisała mi to miejsce jako maleńki punkt na pustyni - rzekł Cooper. - Ot, żeby postawić duży palec u nogi. - Zaśmiał się z własnego dowcipu. - Ale może z czasem ten maleńki punkt rozwinie się w coś większego -dodał.

- Żeby postawić całą stopę? - wtrącił zgryźliwie Ralph.

- Czy dochodzi tam kolej? - zapytała Anna.

- Nie całkiem.

- A co tam jeszcze jest oprócz szkoły?

- Może jakiś sklepik. - Cooper ze zniecierpliwieniem wzruszył ramionami. - Nie jestem pewien, musiałbym sprawdzić.

- A gdybyśmy tam pojechali, to jak pan myśli - zaczął sondować Ralph - czy pozwolono by nam po jakimś czasie wrócić do Elim?

Cooper uraczył Annę i Ralpha bladym uśmiechem.

- Nie wcześniej, niż w Południowej Afryce nastaną inne rządy, panie Eldred - odpowiedział.

- Stawia nas pan w bardzo trudnej sytuacji - odezwała się Anna. - Zachęca nas pan do wyjazdu na północ, do miejsca, o którym nic nie wiemy...

~ Zostałem upoważniony do zapewnienia państwa, że tylko na jakiś czas. I że jeśli państwo nie zechcecie tam zostać, natychmiast zmieni was ktoś inny. Naprawdę nie ma się czego obawiać, Mrs Eldred. Rząd Południowej Afryki nie sprzeciwia się, to znaczy powiadomiono mnie, że rząd Południowej Afryki się nie sprzeciwia - poprawił się Cooper - waszemu przejazdowi przez terytorium tego kraju w celu objęcia placówki w Beczuanie. Ale gdybyście państwo nie zdecydowali się przyjąć tej propozycji, to macie zarezerwowane dwa miejsca na lot do Londynu w dniu jutrzejszym!

Ralph i Anna spojrzeli jedno na drugie.

- Jutro? - odezwała się Anna. - Przecież to absurd! Nie możemy wyjechać w takim nagłym terminie. Trzeba by uporządkować wszystko przy Flower Street, musiałby minąć przynajmniej miesiąc, nim moglibyśmy przekazać tę placówkę komuś innemu.

- Obawiam się - rzekł Cooper - że wciąż nie do końca rozumie pani sytuację, Mrs Eldred. Nie możecie wrócić do Elim nawet na chwilę, nigdy nie będziecie mogli, wydawało mi się, że zdołałem to państwu powiedzieć wystarczająco wyraźnie. Pomijając wszystko inne: po tym, co zaszło, nie znajdzie się nikt, kto by poręczył za wasze właściwe zachowanie się w przyszłości!

- Pan nas traktuje jak parę nieposłusznym dzieciaków, Mr Cooper - obruszył się Ralph.

- Nie bardzo mogę inaczej, Mr Eldred - westchnął urzędnik, przymykając oczy. - Nie bardzo mogę...

Ralph wziął Annę za rękę.

- Musimy się zdecydować. -Tak.

- Anno, nie wyglądasz mi zdrowo. Może najlepiej byłoby wrócić do domu?

- Ja nie jestem chora.

- Nie chcę ryzykować. Kocham cię, Anno! - mówił do żony Ralph.

Cooper w zakłopotaniu spoglądał w inną stronę.

- Jak wrócimy teraz do domu, będzie znaczyło, żeśmy się poddali.

- Dobry Boże! - westchnął Ralph. - Czemuśmy w ogóle przyjeżdżali do tego przekłętą kraju?

Czemuśmy się nie wybrali do Dar?

- Ja nie żałuję, że byliśmy tu, w Elim - stwierdziła Anna.

Pomyślała, że dla niej Elim na zawsze pozostanie miejscem, w którym oboje dojrzeli. I że dlatego nigdy tego miejsca nie zapomni, nigdy nie zapomni Flower Street. Spojrzała Cooperowi prosto w twarz. Powiedziała:

- W porządku, pojedziemy do Beczuany.

- Gratuluję odważnej decyzji. - Cooper uściskał Annie dłoń, a potem wyciągnął rękę do Ralpa.

Ralph zignorował jednak ten gest.

W środku nocy pociąg zatrzymał się na pustej stacyjce. Ralph i Anna, z dwiema tylko podręcznymi torbami, bo resztę bagażu miano im przysłać z Elim dopiero później, byli sami na peronie. Pociąg szarpnął i ruszył w dalszą drogę.

Wokół panowała kompletna ciemność. Usłyszeli zbliżające się kroki, w ciszy niewiarygodnie głośne.

Pracownik kolei powitał ich raczej mało wylewnie w afrikaans. Anna odpowiedziała mu:

- Nasz pociąg się spóźnił. Nikt po nas nie wyjechał, chcielibyśmy gdzieś zaczekać.

Kolejarz, który okazał się wyjątkowo małomówny, bąknął na to zaledwie parę słów.

- On mówi - zaczęła wyjaśniać Ralphowi Anna - że możemy poczekać w poczekalni, którą mamy właśnie za plecami. I że wszyscy wiedzą o spóźnieniu pociągu. Wszyscy zainteresowani.

-No to na pewno ktoś się po nas zjawi - stwierdził Ralph.

Kolejarz odszedł. W poczekalni była cementowa posadzka i dwie drewniane ławki. Nie wyglądało na to, że będzie tu wygodniej niż na peronie, Anna i Ralph wyszli więc z powrotem na zewnątrz i ulokowali się na ławce pod gołym niebem. Był środek lata, lecz nocny chłód wkrótce okazał się trochę dokuczliwy. Anna i Ralph mocno przytulili się do siebie.

- Dotarliśmy donikąd - wyszeptała Anna.

- Dotarliśmy do serca Afryki - rzekł na to Ralph.

- Tak. Czyli donikąd.

Anna ułożyła się na ławce, nakryta swetrem, z głową na kolanach męża. Oczy się jej zamknęły. Usnęła.

Ralph zbudził się czując, że ktoś lekko szarpie go za ramię. Snop światła z elektrycznej latarki padał mu wprost na twarz. Gdy tylko Ralph otworzył oczy, latarka zgasła. Jakiś mężczyzna, sądząc z wymowy Afrykanin, odezwał się:

- Mr Eldred, sir? Powitać, baas*, powitać, madam. Mężczyzna wziął bagaże. Anna podniosła się z ławki, jeszcze odrętwiała ze snu, dezorientowana, zziębnięta. Przeszli parę kroków po peronie. Tuż poza terenem stacji stała ciężarówka z włączonymi światłami.

- Czyj to samochód? - spytał Ralph.

- Mój, baas - odparł czarny mężczyzna.

„Mógłby mnie nie nazywać tym afrykanerskim słowem” - pomyślał Ralph. „Wolałbym go już nigdy nie słyszeć!”

- Samochód mój, baas - powtórzył mężczyzna. -1 mojego brata, i jeszcze jego brata. Mrs Pilane, nasza pielęgniarka, powiedziała, żeby zawieźć pana do misji, baas. I madam.

* afrik., pan, szef (przyp. red.)

- Dziękuj? - powiedział Ralph. - Pociąg był bardzo spóźniony, myśleliśmy, że nikt po nas nie wyjechał.

- Ja wyjechałem, baas - rzekł z cicha mężczyzna

Kiedy zbliżyli się do ciężarówki, ujrzeli w świetle latarki jakieś poł tuzina pozawijanych w koce postaci, które zaczęły podnosić się z ziemi. Nikt się nie odzywał ani słowem. Podając sobie nawzajem paczki i worki ludzie zaczęli się wspinać na platformę. ^P

- Co to za jedni? - spytał Ralph.

- To podróżni, baas - odparł mężczyzna.

Ralph wepchnął Annę do szoferki i sam wspiął się za nią

- Pracujecie z braćmi dla misji? - zapytał kierowcę

- Nie, baas. Tam jest tylko Salome. I Enock - odpowiedział tamten, nie rozwodząc się szerzej ani nie ujawniając własnego imienia, jakby uważał, że nie musi się z nikim dzielić swoją osobistą własnością. Jechali w milczeniu. Droga była byle jaka, spod kół samochodu raz po raz wypryskiwały ze stukotem kamienie. Na każdym z licznych wybojów pasażerowie i kierowca podskakiwali na swych siedziskach. Cienkie gałęzie drapały z metalicznym zgrzytem burty ciężarówki. Od czasu do czasu jakiś nad miarę wybuchały pęd trzaskał w przednią szybę: chociaż szkło osłaniało jadących, ci robili instynktowne uniki.

W którymś momencie niebo zaczęło się nagle rozjaśniać. Droga zrobiła się trochę gładsza.

- Dojeżdżamy - poinformował kierowca.

Ukazała się wieś Mosadinyana: zagrody dla bydła z posplatanych kolczastych gałęzi, zmierzwione strzechy okrągłych murzyńskich chat, wylepione z gliny parkany między obejściami. Szofer zatrzymał samochód, żeby wysadzić pasażerów z platformy. Rozchodzili się, owinięci szczelnie w swoje koce; kobiety niosły pakunki na głowach.

Anna rozejrzała się dookoła. Gliniane parkany były pokryte pasiastymi i zygzakowatymi wzorami w kolorze ochry. Wschód słońca miał nastąpić lada chwila, ale blade światło

jakie tymczasem wypełniało całą przestrzeń, z wyglądu mogło być równie dobrze światłem świtu, jak zmierzchu. W oddali, poza wsią, Anna dostrzegła niskie brunatne wzgórza, rozległy, nie kończący się obszar wzgórz, które stąd wydawały się podobne do księżycowych kraterów. We wsi, w pobliżu studni, stadko osłów skubało karłowate zarośla.

W parę minut później samochód dotarł do domu misyjnego. Ralph i Anna wysiedli, szofer również, by zanieść im bagaże.

- Może mi pan dać trzy szylingi, baas - powiedział na pożegnanie.

- Chętnie - rzekł Ralph, wsuwając mu w dłoń pieniądze. - Jestem bardzo wdzięczny.

Dom misyjny był niskim budynkiem, którego ściany w porannym półmroku jaśniały białością. Na frontowej werandzie, na stole, paliła się świeca. Ktoś ją zgasił, nim Anna i Ralph zdążyli podejść bliżej. Zza wzgórz w całej okazałości wyłoniło się słońce: ogromny dysk rozpalonego złota.

Umeblowanie domu misyjnego tworzyły sfatygowane graty, jakie pozostawili po sobie poprzednicy Ralpa i Anny, państwo Instow. Były to zakurzone fotele o pozapada-nych siedziskach i tapicerce tak zniszczonej w efekcie długotrwałego użytkowania, że jej pierwotny deseń całkowicie się pozacierał i przeszedł w nieokreśloną, wyświeconą szarość. Były pokierszowane stoły i dwie nieprzyzwoicie puste biblioteczki. Na jednej ze ścian wisiał obrazek z przepływającym przez bród na strumieniu stadkiem krów górskiej szkockiej rasy. W sypialni znajdowała się zwalista toaletka z plamiastym, cętkowanym lustrem i dwie szafy na ubrania, których drzwi, ilekroć ktoś wchodził, otwierały się same z głośnym skrzypieniem, ukazując czarne, przepaściste wnętrza i uwalniając zastarzały zaduch naftaliny.

Życie z miejsca potoczyło się nowym torem. Pojawiły się nowe problemy, nowe dylematy, tak natury praktycznej, jak i etycznej. Nie było czasu ani na namysł, ani na adaptację.

Dopiero po miesiącu nadszedł list z Clarkenwell. Anny i Ralpa nie oskarżano w nim o nic otwarcie, sądząc jednak po zdawkowych sformułowaniach łatwo się było domyślić ukrytych pretensji. W zakończeniu mocodawcy życzyli sukcesu na nowej placówce.

- Ten Cooper mówił - zauważył Ralph - że mamy tu być tylko tymczasowo. A oni nic nie wspominają na temat przeniesienia nas gdzieś indziej!

Spojrzał na żonę, której ciąża była już w tym czasie widoczna bardzo wyraźnie ze względu na szczupłą sylwetkę.

- Ech, lepszy wróbel w garści... - odezwała się Anna. - Jak pomyślę, że miałabym się znowu pakować! Podeszła do Ralpa, pogładziła go po kędzierzawej głowie.

- Tu jest całkiem w porządku - powiedziała. - Przyzwyczajmy się.

I pomyślała: „Przecież to nawet nie powinno być trudne. Nie licząc nadzwyczajnych wypadków, takich jak skorpion w kuchni czy cierń za paznokciem, wszystkie dni są tutaj takie same”.

Enock, mężczyzna bez rodziny, przekopywał i grabił ziemię w ogrodzie; lubił wałęsać się bez celu i niespodziewanie gdzieś znikać. Salome zarządzała w kuchni monotonną dietą domowników, składającą się ze skąpo porcjowanego mięsa, kukurydzianej papki i małych, gorzkawych pomarańczy z własnych, misyjnych drzewek. Każdego dnia po śniadaniu prała odzież i szorowała czerwone cementowe posadzki. Z urody była nijaka; chodziła stale w fartuchu lila, jaki podarowali jej państwo Instow, których wspominała niezmiernie rzadko. Na nogach miała zawsze dziurawe papucie, a na głowie wełniany kapelusz. W kuchni zjawiała się codziennie już przed szóstą: rozpałała pod blachą i wstawiała wodę na herbatę.

Mijał kolejny miesiąc, wspomnienia z wcześniejszego okresu bladły coraz bardziej. Pobyt przy Flower Street wydawał się epizodem z życia zupełnie innych ludzi. Anna za-

stanawiała się niekiedy, co stało się z Koosem, czy policja jego też zabrała? A co z Dearie i Rosinah? Czy wśród personelu misji był policyjny szpicel? A jeśli tak, to kto pełnił tę rolę? Anna wzdragająca się przed robieniem przypuszczeń w tej ostatniej kwestii, która rzucała cień na wszystkie milsze wspominki. Trudno jej było myśleć o Flower Street w oderwaniu od podejrzeń, że zostali tam zdradzeni.

Codziennie o ósmej rano Anna zjawiała się w niewielkiej salce lekcyjnej. Uczniowie tworzyli dość płynną, zmienną grupę, obejmującą równocześnie brzdąców, co to ledwie mogli utrzymać w garści ołówek, i wyrosnięte, zuchwałe pannice, które siadywały z robótkami na drutach w ostatnich ławkach i głównie oddawały się plotkom. Co do dziergania na lekcji, Anna nigdy nie próbowała im go zabraniać; zdawała sobie sprawę, że nie zajmują się nim dla zabawy, ale z rzeczywistej potrzeby. Starsi chłopcy znikali ze szkoły na całe tygodnie: wędrowali wypasając bydło. Spędzali na przemian po parę miesięcy w szkolnej ławie i po parę na pasterskim szlaku.

Anna nie stawiała sobie nad miarę ambitnych celów. Chciała przede wszystkim nauczyć dzieci liczyć, dodawać i odejmować, żeby nie dały się potem okpić przy okazji zakupów. Uważała, że powinny też być w stanie złożyć podpis. No i powinny radzić sobie z czytankami z angielskiego elementarza: historyjkami o pierwszoklasistach, którzy mogą się bawić na trawnikach wokół domów, najlepiej z ulubionymi pieskami, i dostają truskawkowe konfitury na podwieczorek. W Mosadinyanie nie było trawników, tu każde źdźbło trawy musiało wadzić się z Bogiem o swoje prawo do przetrwania. Na podwieczorek dawano dzieciakom papkę kukurydzianą, na śniadanie, obiad i kolację również. A zabawy uczniów Anny z psami ograniczały się do ciskania w nie kamieniami.

Dzieci z Mosadinyany były zobojętniałe na wszystko, apatyczne; Anna często nie potrafiła ocenić, czy coś, czego je uczy, w ogóle do nich trafia, czy nie. Przyczynę stanu du-

cha jej uczniów stanowił, jak mogła się domyślić, częsty głód; nie ten ostry, który wpędza umysł w rozgorączkowanie i powoduje, że trzęsą się ręce, ale ten łagodny, chroniczny, nie zaspokajany do końca prawie nigdy. W owym okresie ludność Beczuany nie przymierała głodem ani w Mosadiny-anie, ani gdzie indziej. Panowało natomiast generalne niedożywienie, wywołujące tę charakterystyczną zgnuśniałość, która czyni człowieka niezdolnym do jakichkolwiek wysiłków ponad absolutną konieczność. Afrykanerscy farmerzy przejęli całą najlepszą ziemię; umieli ją zmusić, by im właściwie odpłacała za pracę. Reszta była pustynią, na której rosły cierniste krzewy i karłowate zarośla; jedynie wiosną, po okresie gwałtownych deszczów, pojawiał się tu nagle i równie szybko znikał niewiarygodnie gęsty i barwny kobierzec najosobliwszych kwiatów.

Około jedenastej, gdy słońce stało już wysoko na niebie, uczniowie Anny zaczęli podrzemywać: głowy kiwały się im bezwładnie i opadały na ławki. Nauczycielce zasychało w gardle. Do pierwszej kończyła zajęcia. Dzieciaki gromadziły się ciasno wokół niej. Mówiła im: „Do widzenia, miłego popołudnia”, w miejscowym dialekcie, którego próbowała się uczyć.

Odpowiadały: „Miłego popołudnia, madam”. I otaczały ją jeszcze ciaśniej. Napierały na Annę swymi gorącymi ciałami. Wyciągały ku niej ręce, dotykały ją. Nie mogła tego uniknąć, ale wewnętrznie wzdragała się przed takim bezpośrednim kontaktem. Dlaczego? Nie rozumiała własnej reakcji i nawet była na siebie oburzona z jej powodu.

Mężczyźni z wioski byli chudzi, żyłaści i ospali. Kobiety wyglądały całkiem inaczej: mączna, węglowodanowa dieta robiła z nich baryłki tłuszczu. Na plecach przeważnie nosiły swe niemowlęta o apatycznych twarzyczkach. Bardzo wiele najmłodszych dzieci umierało; miejscowa pielęgniarka, pani Pilane, nie dawała sobie rady z odrą. Rozmawiając, afrykańskie kobiety zdawały się ciągle na siebie

powrzaskiwać i nawzajem sobie urągać: szorstko, monotennie, czasem z dziwnym odcieniem triumfu. „Boże, wybac mi - powtarzała często w myślach Anna - ale nie lubię tych ludzi, nie lubię ich, bo się ich boję!” Takie odczucia były gwałtem zadawanym wszystkiemu, czego mogła od siebie oczekiwać, zadawanym własnej naturze i wyznawanym zasadom.

Wieści z zewnątrz docierały do Mosadinyany od przypadku do przypadku. Dwa razy w tygodniu przychodziła poczta. Jakaś gazeta - kiedy się zdarzyło. Beczua, skromny i zapomniany protektorat, zrobiła się akurat głośna w świecie: młody przywódca plemienny Seretse Khama wracał do kraju z małżonką. Pobrali się dziesięć lat wcześniej, on - czarny, osamotniony w Londynie student prawa i ona - biała, elegancka blondyna. Ów nieprawdopodobny mariaż doprowadził krewniaków Seretse do wściekłości, a południowoafrykański rząd do konsternacji. „Ślub, który wstrząsnął Afryką!” krzychał nagłówek w „Daily Mail”. Przez kilka tygodni oczy całego świata były zwrócone na protektorat. Wódz, wówczas zmuszony przez Brytyjczyków do pozostania poza własnym krajem, teraz wracał w blasku reporterskich fleszy i przy akompaniamencie zawodzeń swych beczuańskich rodaczek. Ralph mówił:

- Pomyśl, Anno, znowu jesteśmy na tapecie. James i Emma, i nasi rodzice mogą czytać o Beczuanie tam w Norwich. To dowód, że miejsce, w którym przebywamy, jest jednak realne, że nie dotarliśmy donikąd!

Nie tak dawno „na tapecie” byli również oni osobiście. Emma przysłała im wycinki z gazet. Ich historia przewijała się po szpaltach przez dzień czy dwa, zapomniano o niej, gdy tylko wyszli z więzienia. Dzienniki publikowały ich ślubną fotografię, zupełnie jakby żadnej innej nie udało się znaleźć. Wystrojeni do ceremonii, spoglądali na niej w obiektyw onieśmieleni i zaleknieni; wyglądali jak dzieci, które w deszczowy dzień bawią się w ślub.

Nadeszła również wiadomość z Kapsztadu: zmarł arcybiskup. Wedle przekonania Ralpa, to południowoafrykański rząd go zabił, proponując przyjęcie nowych apartheidowych przepisów, które miały zamykać Afrykanom dostęp do kościołów na terytoriach białych.

Oburzony arcybiskup naszkicował list protestacyjny. Stwierdził: jeżeli takie ma być prawo, to kościół, jego kapłani i jego wierni nie będą mogli go przestrzegać! Wojna została koniec końców wypowiedziana. Ale tego samego dnia późnym wieczorem, kiedy sekretarz arcybiskupa wszedł do jego gabinetu z ostateczną wersją listu do podpisu, zastał starca leżącego bez życia na dywanie.

Arcybiskup osunął się zza biurka w momencie, gdy przestało bić jego serce

Po otrzymaniu tej wiadomości Ralph poczuł się znacznie bardziej osamotniony.

Już w parę tygodni po przybyciu Anna i Ralph zorientowali się, że w misji nie ma zajęcia dla nich obojga. I że placówka w Mosadinyanie, wbrew temu, co sugerował Cooper nigdy się nie rozwinie. Była skamieliną, reliktem minionego czasu; główny nurt misyjnej aktywności został już dawno skierowany gdzie indziej. Ralph wyobrażał sobie Mosadiny-ane upchniętą wraz z wszelkimi świadectwami jego i Anny życia i pracy w najgłębszą, najbardziej zakurzoną szufladę archiwum w Clerkenwell. Złościł się:

- Jakież to wstrętne i głupie! Traktują nas tak, jakbyśmy popełnili jakąś straszną zbrodnię, jakbyśmy zasłużyli na potępienie. A przecież są w Anglii ludzie, którzy nie tylko się z nami solidaryzują, ale wręcz nas podziwiają!

- Bez przesady - mówiła Anna. - Tak naprawdę, to niczego szczególnego nie zrobiliśmy, ani złego, ani dobrego. Byliśmy tylko zawadą dla niektórych. Już sama nasza obecność była niewygodna.

- No, to też coś znaczy...

Z Clerkenwell przysyłano Ralphowi i Annie co miesiąc skromne pobory. Nie mieli na co wydać tych pieniędzy.

- Z jednego powinniśmy się cieszyć - mówił Ralph. - Kiedy dziecko przyjdzie na świat, przejmę od ciebie szkołę, a ty nie będziesz musiała nic robić. Weźmiemy piastunkę z wioski, Salome jakąś nam znajdzie. Gdyby zdarzyły się nie przespane noce, będziesz mogła odpocząć w ciągu dnia.

Myśl o dziecku sprawiała, że Ralph odczuwał dumę, a równocześnie niepokój i jakiś nieokreślony smutek. Że ono urodzi się tutaj, w Mosadinyanie, w sercu Afiyki. Anna wprawdzie zgrubiała w korpusie, twarz jednak nadal miała wymizerowaną, a nogi i ręce cieniutkie jak patyczki. W więzieniu znaczna część materii jej ciała jakby się ulotniła, w związku z czym wszystkie kości zrobiły się bardziej wydatne; taka sylwetka oraz szeroko otwarte oczy nadawały Annie wyjątkowo kruchy i smutny wygląd.

Ilekcóż Anna i Ralph wychodzili rano lub wieczorem przed dom, ponad ich głowami zaczynały gromadnie krążyć jakieś nieznane im ptaki. Krążyły, pikowały i wyrzaskiwały uparcie, jakby na przestrożę, swoje monotonne przesłanie, jedyne, jakie im dała natura, rodzaj lamentu, który brzmiał: ojej! ojej! Te lamentujące ptaki były ich stałymi współtowarzyszami w Mosadinyanie, każdego dnia wielokrotnie rozlegało się wokół domu misyjnego ich natarczywe i złowróżbne: ojej! ojej! Ralph drogą, na której można sobie było poobtłukiwać wszystkie kości i pootrzęsać trzewia, zawiózł Annę do lu-terańskiego szpitala misyjnego. Lekarz, starszawy Holender o spłowiałych na słońcu włosach i ogorzałej, poranej zmarszczkami twarzy, przyjął ją z życzliwym zainteresowaniem. Przesuwając dłoń po kopule jej brzucha zapewniał, że wszystko będzie dobrze. Twierdził, że nie ma potrzeby myśleć o jeździe pociągiem gdziekolwiek dalej, kiedy przybliży się czas porodu, mówił, że odbierał już setki dzieci, więc ma ogromne doświadczenie i na pewno sobie poradzi, nawet gdyby, przed czym niech Bóg broni, zdarzyły się jakieś komplikacje. Uznał Annę za silniejszą, niż mogłoby się

to z pozoru wydawać; zakładał, że wszystko, co będzie jej potrzebne w położu, to utrzymane w rozsądnych granicach środki ostrożności w zakresie higieny, niezbędne każdej młodej mamie.

- Proszę tylko pomyśleć - mówił - jakie dary otrzyma to pani maleństwo. Błogosławione przez Boga słońce przez niemal wszystkie dni w roku! Ciche noce w świetle księżyca i gwiazd!

Anna, zaskoczona tym wybuchem liryzmu, aż uniosła się na leżance. Czyżby ten człowiek coś wypił? Lekarz delikatnym gestem dłoni powstrzymał ją jeszcze na chwilę przed zmianą pozycji i przed opuszczeniem gabinetu.

- Mrs Eldred - powiedział - słyszałem o państwa kłopotach w Republice. Pani i pani mąż jesteście młodymi ludźmi, którzy zasłużyli na szczęście, jakie ma zagościć w ich domu. Będzie dla mnie zaszczytem i przyjemnością powitać na tym świecie pani pierwsze dziecko i złożyć je bezpiecznie w pani objęciach.

Co wieczór, przy świetle lamp i świec, Anna i Ralph ślęczeli nad gramatyką miejscowego języka setswana. Na zewnątrz, w ciemności, rozbrzmiewały jakieś rechoty i szelesty. W domu misyjnym panowała cisza, jedynym dźwiękiem, jaki dawało się usłyszeć, było trzepotanie skrzydeł nocnych motyli. A przecież Anna i Ralph nie znajdowali się w okolicy sami; nie opodal nich, pozbawiona światła, niewidoczna, pogrążona we śnie rozciągała się wioska. W pierwszym tygodniu miejscowi mężczyźni i kobiety zameldowali się w domu misyjnym całą procesją, dopytując się o pracę. Anna była poważnie zakłopotana: nie miała pojęcia, w jaki sposób tych ludzi odprawić, jak im cokolwiek wytłumaczyć. Ani ona, ani Ralph nie potrafili sprawnie posługiwać się tutejszym dialektem; kiedy próbowali coś mówić, słuchacze parskali śmiechem. W końcu Anna poleciła Salome:

- Możesz przyjąć każdego, kto ci będzie potrzebny do pomocy, nie angażuj tylko ludzi, którzy potem nie będą mieli

nic do roboty. To nie byłoby w porządku, kogoś w ten sposób wybrać, a kogoś innego odrzucić, komuś płacić, a komuś nie. Ale Salome, pamiętaj, jak trafi się ktoś głodny, nie wolno ci go wygonić pod żadnym pozorem!

Wyganiała? Anna miała obawy, że niestety tak, czasem kierując się własnym widzimisię, a czasem rzetelnym krytycznym osądem. Anna i Ralph musieli uznać, że ten jej osąd częstokroć bywa trafniejszy niż ich własny. Salome była ich pośredniczką w kontaktach z miejscowymi ludźmi, ich prawą ręką, nieraz jedynym oparciem. Mówiła kaleczoną angielszczyzną, zapędzając się od czasu do czasu w afrikaans. Pewnego razu, złożony ręce i skierowawszy spojrzenie w jakiś punkt za oknem, na zapiaszczonym podwórku, powiedziała coś, czego nie sposób było zapomnieć. Mówiła płynnie i rytmicznie, z pełnym przeświadczeniem, że jej słowa zostaną dokładnie zrozumiane:

- W czasach naszych babek, madam, wiele kobiet dzieliło między siebie trud noszenia wody, mielenia prosa i zmiatania chaty. Teraz jest jedna kobieta. Musi pracować w słonecznym żarze przez cały dzień, póki nie padnie ze zmęczenia...

- Trochę na pewno przesadziła - relacjonowała potem Anna Ralphowi - ale nie o to chodzi; zwróć uwagę, o czym mi ona mówiła: o korzyściach płynących z poligamii!

- No to co?

- Ano to, że, moim zdaniem, zadano gwałt naturze tych ludzi - rzekła Anna. - Wszystko, co było dawne, ich własne, potępiono. Podsunęto im jako lepsze rzeczy nowe i obce.

- Mydło i cywilizacja - mruknął Ralph. - Taka była idea. I jeszcze oczywiście Bóg! - dodał.

- I jeszcze oczywiście Bóg - powtórzyła Anna. - Tylko że ja zaczynam poważnie się zastanawiać, co chrześcijaństwo przyniosło tutejszym kobietom. Poza potępieniem ich wcześniejszego życia, ma się rozumieć.

Na terenie misji były kwatery dla trójki pracowników pomocniczych. Jedną z tych wybielonych wapnem chat zaj-

mowała już Salome, drugą ogrodnik Enock. Trzecią służbówkę zajęła wkrótce kobieta z liczną gromadką dzieci; cała ta familia zjawiała się nie wiadomo skąd, nikt w wiosce ich nie znał. Przybyszów, których Anna nie mogła zatrudnić, było więcej. Nie odchodzili. Koczowali na terenie misji, klekąc sobie chaty jeszcze nędzniejsze niż przybudówki z przedmieść Elim. Kręcili się tu i tam wyczekując, raczej z tępym uporem niż z nadzieją, bo nadzieja to przecież życie, a w wyrazie twarzy tych ludzi, o których Ralph mówił „nasi goście”, dominowała martwota. I jakaś przerażająca cierpliwość, i wzbudzająca grozę wiara. Wiara w to, że któregoś dnia błogosławieństwo się spełni: cisi i ubodzy duchem dostaną przyobiecane im królestwo. Albo przynajmniej dostaną pracę, bo przecież Anna może zbudzić się nagle rano z zupełnie nowymi ambicjami i zafundować sobie tyle służby, ile potrzeba w Blenheim albo w pałacu Buckingham w dniu garden-party.

Anna napisała do domu, ostrożnie dobierając słowa, o swoim odmiennym stanie. W dwa miesiące później dotarł do niej list matki. Pani Martin pisała:

W zeszłym tygodniu gościłaś w sercach całej naszej kongregacji, w myślach i modlitwach wszystkich parafian. Ufam, że tamci ludzie wokół ciebie, chociaż prymitywni, też są ci bardzo życzliwi...

Ochładzało się. Zmiana pogody niosła Annie ulgę, mogła teraz lżej, pełniej oddychać. Jedno tylko przyprawiało ją o mdłości, na szczęście przez krótki okres swego gwałtownego, rozpustnie obfitego kwitnienia: drzewo gwajakowe, rozsiewające w powietrzu charakterystyczną woń wody koloń-skiej pomieszanej z zapachem psującego się mięsa.

Anna odezwała się kiedyś:

- Ralph, w pokoleniu moich babek...

Urwała. Nie chciała nadawać swoim słowom tak uroczyste biblijnego tonu, musiała bezwiednie go przejąć od Salome. Zaczęła jeszcze raz:

- Widzisz, w mojej rodzinie, ładnych parę lat temu... już były bliźnięta.

Umilkła. Spojrzała na Ralpa, lecz dostrzegłszy na jego twarzy szok, natychmiast odwróciła oczy.

- Doktor oczywiście nie mógł być pewien - dodała - ale powiedział, żeby się z czymś takim liczyć.

Wiesz, on myśli, że wszystko będzie dobrze...

- Myśleć tu nie wystarczy! - wykrzyknął Ralph, łapiąc się za głowę. - Dobry Boże, gdybyśmy tak byli teraz w Elim! Mogłabyś łatwo znaleźć się w albo Johannesburgu w Pretorii, w razie potrzeby miałabyś tam wszystko. Anno, powinniśmy jechać na południe. Może by nam nie odmówili? To twój pierwszy poród, nie czujesz się najlepiej... Może by się zdobyli na taki gest, na zwykły humanitarny gest?

- Nie, nie zdobyliby się - rzekła z przekonaniem Anna. - Gdybyśmy się zjawili w Johannesburgu albo w Pretorii, wtrąciliby nas znów do więzienia.

- Może mnie, ale przecież chyba nie ciebie!

- A dlaczego? Przecież już mnie tam przetrzymywali. Ralph, zapomnij o Pretorii i Johannesburgu.

Moja noga nigdy więcej nie postanie w tamtym kraju! Nie potrzebuję ich łaski ani litości!

Na trzy tygodnie przed planowanym terminem porodu Anna udała się na południe, lecz tylko do Lobatsi, niewielkiego miasta położonego przy linii kolejowej. Zarejestrowała się w Athlone Hospital; gdyby coś było nie tak, miałaby tu większe szanse niż w wiosce. Ona i dzieci... Anna wierzyła, że powije bliźnięta, nie oddawała się już domniemaniom, była niemal pewna, że czuje bicie dwóch małych serc pod własnym sercem. Dni oczekiwania na ostateczne potwierdzenie tych odczuć spędzała przesiadując w oknie swego pokoju w hotelu „Lobatsi”. Obserwowała tłum napierający na hinduskie sklepiki, gdzie można było zaopatrzyć się w wiadra, cukier, bawełniane tkaniny i piwo. Obserwowała mężczyzn, którzy wychodzili z porozmieszczanych wzdłuż zakurzonej ulicy jatek, niosąc przemiękkłe paczki by-

dłęczących jelit. Obserwowała kobiety, które przesiadywały na stopniach hotelu, wystawiając na sprzedaż dziergane na drutach kapelusze. Wieczorami na tych samych stopniach przesiadywały córki tych kobiet, wystawiając na sprzedaż własne ciała. W oczekiwaniu na klientów tręcały się łokciami i hałaśliwie chichotały, podając sobie z rąk do rąk a to pojedynczego papierosa, a to znów plastikowy grzebień czy kieszonkowe lustro w inkrustowanej połyskliwymi szkiełkami oprawie.

Było bezwietrznie, ale chłodno, rankami zdarzały się przymrozki. Na ulicy Anna dostrzegała niewiele białych twarzy. Codziennie nasłuchiwała pociągu, którego tor przebiegał za szpalerem drzew eukaliptusowych. Codziennie oglądała procesję ludzi ściągających na stację: kobiety z torbami, paczkami i workami cebuli, chłopców z pomarańczami przeznaczonymi na sprzedaż dla podróżnych... Gdy pociąg wjeżdżał na stację, ludzie rzucali się tłumnie w jego stronę, napierając na wagony tak gwałtownie, jakby kazano im je rozkołysać i poprzewracać. Annie zdawało się niekiedy, że całe miasto, ba, cały kraj miota się po peronie. Tylko ona pozostawała bez ruchu, z każdym dniem coraz cięższa, z każdym dniem coraz pełniej zatopiona w oczekiwaniu na to niezwykle i bolesne wydarzenie, jakie miała przed sobą.

Anna powiła swoje maleństwo przed świtem, w samym środku afrykańskiej zimy. Holenderski doktor bardzo chciał przy niej być podczas porodu, jednak coś tam go zatrzymało gdzieś poza szpitalem: złamana oś czy nagła lokalna epidemia... Anna poczuła się całkowicie pozbawiona opieki kogokolwiek bliskiego. Słyszała dobiegające z korytarza obce głosy. Słyszała jęki innych rodzących. Raz zdawało jej się, że dochodzą z lewej strony, raz, że z prawej, to znowu, że zza okna, ze szpitalnego ogrodu, wreszcie, że może z jej własnego gardła. Kiedy przyszła na świat córka, Anna wyciągnęła ku niej ramiona, lecz kiedy urodził się syn, poczuła, że nie włada już własnymi, ciężkimi jak z ołowiu,

rękoma. Tak była wyczerpana, wymęczona. Usłyszawszy krzyk dziecka z trudem, bardzo powoli odwróciła głowę w jego stronę, żeby je zobaczyć na rękach pielęgniarki. Małe ciało było jakby przebite ostrym promieniem porannego słońca. Ralph stał obok łóżka Anny, trzymał w dłoniach jej ciężką, bezwładną rękę. Imię dla dziewczynki wybrali już wcześniej, Katherine.

- Chłopiec niech będzie po twoim ojcu - wyszeptała Anna. - Bo imię po dziadku., bo imię po dziadku... Bo imię po dziadku uśmierza wszystkie rany! Anna dosłownie w jednej sekundzie porzuciła wszystkie sprawy tego świata, pogrążając się w głębokim śnie. Zwaliała się w ten sen gwałtownie jak oderwany od liny alpinista, który wali się w przepaść.

Lekarz ujął Ralpha za łokieć i wyprowadził z sali. Ralph miał w tamtym momencie wrażenie, że serce ścisnęło mu się w piersi do rozmiarów małego, ale ogromnie ciężkiego kamyka, pod wpływem szoku i lęku na widok obmazanych krwią istot, jakie wydało z siebie ciało jego żony. Trochę później tego samego dnia, kiedy już przespał się parę godzin, poszedł znowu zobaczyć dzieci. Stwierdził, że jego wcześniejszy niepokój nie miał żadnych sensorycznych podstaw. Bliźniaki były drobnutkie, ale zdrowe. Miały kosmyki czarnych włosów i czarno-szare oczy o stanowczym, jednak co i raz łagodniejącym spojrzeniu, jak u szczeniąt.

Najbliższe po przyjściu na świat dzieci miesiące były okresem sennej, drętwej ciszy, od czasu do czasu jedynie przerywanej jakimiś niemowlęcymi niedomaganiem czy napadami złego humoru, bądź wybrykami aury w pustynnej krainie. Owe miesiące, gdy Anna i Ralph spoglądali na nie później z perspektywy czasu, robiły wrażenie długich niczym lata. Lata powietrza tak suchego i gorącego, że zdawało się parzyć płuca. Lata ciemnych krzewów i skarłałych zarośli. Lata drobnego piasku, który pokrywał każdą płaską powierzchnię. Skala barw występujących w Mosadinyanie

była bardzo uboga, od czerwieni, poprzez kolor ceglasty i płowy, do szarości zwiędłego kamienia. Latem, w ostrym, jaskrawym świetle, krajobraz zdawał się spłaszczać, robił się dwuwymiarowy; można było odnieść wrażenie, że słońce przez cały dzień, od świtu do zmierzchu, stoi w zenicie. Po zapadnięciu zmroku zaczynały jękliwie bzykać rno-skity. Wkłuwały się w ciemności wprost w nabrzmiałe ludzkie żyły, cięły i przywierały do skóry swych ofiar na tak długo, póki nie napęczniały krwią do rozmiarów pokaźnych ziaren grochu. Któregoś dnia, wczesnym rankiem, gdy Ralph chciał odetchnąć równie gorącym jak za dnia, lecz nieco wilgotniejszym powietrzem, ujrzał w ogrodzie stado pawianów. Obdzierały drzewo figowe, rwąc z głośnymi pomrukami zadowolenia zrobaczywiałe owoce. Ralph obserwował pawiany z werandy. Stał w kompletnym bezruchu, jak osłupiały; wydawało mu się, że to, co widzi, nie jest jawą, ale nawet nie jego własnym, tylko czyimś snem, do którego uzyskał dostęp. Albo jakimś mitem, który w jego przytomności zaczyna się na nowo ucieleśniać. Jakim konkretnie? Tego, ku własnemu zakłopotaniu, Ralph nie był w stanie sobie uzmysłwić.

Latem niebo było fioletowe, posępne. Po każdej burzy ulewa budziła z wywołanego upałem odrętwienia węże. Zielone mamby, kobry, boomslangi: po deszczu cały teren ogrodu wił się niczym żywy kobierzec. Stwory sześcionogie, ośmionogie, beznogie, wszystko, dokładnie wszystko było w ruchu.

Do pomocy przy dzieciach Salome znalazła kobietę imieniem Felicia. Trzeba było przygotować dla niej kwaterę, więc matka z gromadką potomstwa, która dotychczas zajmowała trzecią służbową chatę, musiała zostać wysiedlona. Wysiedleńcy sklecili sobie przybudówkę. Zdawali się nie mieć żadnych pretensji, zaakceptowali nową sytuację. Nadal czekali, tydzień za tygodniem, aż zostaną przyjęci do grona misyjnej służby. Oczywiście, można było wstawić piastunce łóżko do pokoju bliźniąt, Anna uważała jednak, że

Felicia powinna mieć jakieś odrębne miejsce dla siebie i swoich ruchomości, a ona z kolei powinna móc od czasu do czasu pozostać sama we własnym domu.

Felicia była wysoką kobietą o wyprostowanej sylwetce. Miała gładką twarz o delikatnych, niemal chemicznych rysach, dwadzieścia trzy lata i dwoje własnych dzieci, pozostających pod opieką babki w Kanyne, w innym rejonie kraju. Była, wedle własnych słów, wychowanką misji. Ponieważ chętniej nosiła na plecach małego Matthew niż jego siostrę, jakby tytułem rekompensaty ozdobiła nadgarstek Katherine bransoletką z drobniutkich błękitnych paciorków. Kiedy dzieci były jeszcze całkiem maleńkie, Felicia odganiała muchy i uspokajała jedno w czasie, gdy Anna karmiła drugie. Kiedy trochę podrosły, uczyła je siadać, klaskać rączkami i śpiewać piosenki. Była sumienna, czysta, pracowita i grzeczna, ale odzywała się tylko wówczas, gdy ktoś do niej zagadnął, a i to półsłówkami. Własne myśli zachowywała dla siebie.

Zimą na ścieżkach widywało się kolce pogubione przez jeżozwierze. Noce były chłodne jak stalowe ostrze noża. Brak deszczu sprawiał, że dzikie zwierzęta zaczynały ściągać na obrzeża ludzkich osiedli. Na teren misji któregoś świtu znów wdarły się pawiany. Przyglądały się z zaciekawieniem mieszkańcom przybudówek i tylko czekały na okazję, żeby zwędzić jakiś nie dopilnowany garnek z kukury-dzianką. Pewnego razu, również wczesnym rankiem, Anna dojrzała z pewnej odległości lamparta. Jego klatkę piersiową pokrywała nieregularna ciemna plama. Anna uznała, że to plama świeżej krwi jakiejś ofiary drapieżnika; wyobraziła sobie, że kiedy taka krew wysycha w słońcu, stopniowo tężeje w lamparcie cętki.

Anna posługiwała się w owym czasie dowolnie przez siebie komponowaną mieszanką trzech języków, jakie mogły służyć do porozumiewania się w rejonie Mosadinyany: angielskiego, setswana i afrikaans. Swoje dzieci darzyła miłością, która była z kolei mieszanką dwu uczuć: lęku i pra-

gnienia. Lęku przed insektami i wężami. Pragnienia, by bliźniacze dusze wyzwoliły się z wiążących je okowów podwójności. Anna układała brata obok siostry, patrzyła, jak niemowlaki pełzają razem, płacząc się rączkami i nóżkami, i pragnęła, żeby dzieci urosły i nauczyły się mówić, i żeby oddzieliły się od siebie jako dwie niezależne ludzkie osoby. Sama była jedynaczką, po trosze zazdrościła więc każdej z własnych latorośli bliźniaczego rodzeństwa, a równocześnie odbierała tę ich dwoistość jako coś osobliwego. O ile się modliła, a prawdę mówiąc nie modliła się w owym czasie prawie wcale - to wyłącznie w intencji Ralpa: oby Bóg pozwolił mu zachować niewinność, ale i obronił go przed jej konsekwencjami. Miała przeczucie, że zakłopotanie, jakie jej mąż nieodmiennie okazywał stykając się z ludzką nik-czemnością, może być dla niego niebezpieczne, może wystawić go na ciosy.

Wiedziała od dzieciństwa, że nie należy wchodzić w targi z Bogiem, nigdy nie mogła jednak zrozumieć, dlaczego? Dlaczego Bóg, skoro sam był niegdyś człowiekiem, nie miałby uwzględnić najgorętszych ludzkich pragnień? Targowała się więc: „Panie Boże, tam, gdzie wystarczy prosta siła, pozwól, by Ralph ją okazał, lecz tam, gdzie się pojawiają komplikacje, skieruj, proszę, mnie”. Samotna w szkole i w domu, samotna w odległej krainie za zwrotnikiem Koziorożca, widziała ścieżkę swego życia jako poplątaną, poprzerwaną, ciemną przecinkę, jedną z tych, jakie biegną przez busz tylko po to, by wreszcie zniknąć w pustyni.

Później, z perspektywy czasu, dziwiła się sobie: jak mogła gubić się w poplątanych ścieżkach nie widząc prostej drogi? Przecież już od samego początku, nim mądrość przyszła po straszliwej szkodzi, należało się domyślać, przeczuwać, że posępny, znikający od czasu do czasu nie wiadomo gdzie Enock, który formalnie pełnił w misji obowiązki ogrodnika, to człowiek, który może przysporzyć swemu otoczeniu zmartwień, wszelkich najgorszych zmartwień.

Enock, podobnie jak Anna i Ralph, był uchodźcą z południa. Tak przynajmniej to zrozumieli, kiedy spytany, skąd pochodzi, wskazał niedbałym ruchem głowy ku granicy i rzekł:

- Z tamtej strony.

Ralph usiłował z nim porozmawiać, tłumaczył:

- Człowieku, cokolwiek zrobiłeś, cokolwiek ci się przydarzyło, nieważne, bo to było tam, a tutaj jest inny kraj!

Ralph podejrzewał, że na południu Enock siedział w więzieniu, ale raczej za jakieś drobne przestępstwo kryminalne niż z powodu przeciwstawienia się prawom apartheidu.

- Chociaż w tamtejszych warunkach - mówił Annie - nietrudno stracić rozeznanie, co jest występkiem, a co aktem protestu. Bóg jeden wie, czy wolno osądzać człowieka takiego jak Enock, że może coś tam ukradł czy kogoś oszukał. Nie byłbym nawet pewien, jak sam bym postępował, znalazłszy się w jego skórze, w skórze czarnego człowieka, w dzisiejszej Południowej Afryce?

Ani ta pierwsza, ani następna rozmowa z Enockiem nie doprowadziła do żadnych efektów. Ralph musiał przyznać się do porażki. Stwierdził:

- Jestem dla niego tylko białym.

Anna pokiwała głową i zapytała przewrotnie:

- A on, czy nie jest dla ciebie tylko czarnym?

- Staram się nie myśleć takimi kategoriami - odpowiedział Ralph.

- A jesteś w stanie? Przecież próbujesz mu coś narzucić. Rolę ofiary. Albo bohatera. Albo... albo...

- No cóż, chyba masz rację.

- A przecież tak się nie da. On nie jest ani tym, ani tym. Jest po prostu człowiekiem. Indywidualnością.

Mam wrażenie - dodała po chwili namysłu - że próba rozszyfrowania tego człowieka to po prostu strata czasu.

Ralph pokręcił głową; nie mógł się zgodzić na takie postawienie sprawy.

- Zupełnie nie wiemy, jakie było dotąd jego życie - po-

wiedział. - Nie sposób czegokolwiek z niego wyciągnąć. Ja coś mówię, a ten sobie odchodzi!

- A przecież cię rozumie. Rozumie, co mówisz do niego.

- O, tak, nie ma z tym problemu. Ten Enock czasami przypomina mi Clare. Pamiętasz, jak ona umiała każdego zmrozić? Często się zastanawiałem, co przeżyła aż tak okropnego, że po prostu nie była w stanie się zmusić, żeby

o tym opowiedzieć? Robiła wrażenie odrętwiałej od środka. Enock jest taki sam. Ale cóż -

skonkludował Ralph - jeśli zakładam, że potrafię mu pomóc, muszę być cierpliwy i wytrwały.

Enock miał około trzydziestu lat, był mężczyzną przystojnym, opanowanym, miał takie same, jak Felicia, delikatne rysy i gładką, beznamietną twarz. Nosił obszarpane szorty khaki i marynarkę od garnituru w europejskim stylu. Ralph zastanawiał się nieraz, kto mógł być jej pierwotnym

właścicielem, kto sobie coś takiego sprawił? Marynarka była brązowa, na Enocka przyciasna pod pachami, wyświecona od długotrwałego noszenia. Czasem do pracy w ogrodzie Enock ją zdejmował i wieszał na gałęzi drzewa. Kiedyś szczeniak Eldredów ściągnął ją stamtąd i zaczął szarpać. Wprawdzie Anna odebrała mu Enockowy przydzwiek, zanim zdążył go mocniej sponiewierać, zdawała sobie jednak sprawę, że całe wydarzenie mogło być kolejną krzywdą ze strony białych, jaką ogrodnik zakonotował sobie w pamięci

i sercu.

Ich pies, „twój pies”, jak Anna mówiła do Ralpa, ilekroć zwierzak pogryzł jakąś książkę czy wywlókł któryś koc z domu na zapiaszczone podwórko... Ralph przywiózł szczeniaka z podróży do Palapye, osiedla położonego przy linii kolejowej. Wyskoczył z ciężarówki, oślepiiony przez słońce, spragniony, znużony, oblepiony pyłem i wcisnął Annie w ramiona cudaczny kosmaty tobołek, trudne do rozpoznania zwierzątko, przypominające małego niedźwiadka o gęstej, żółtobezowej sierści i guzikowatych oczkach.

- A cóż to takiego? - spytała zatrwożona.

- Nie bój się, to tylko pies - uspokoił ją Ralph. - Dostałem go od McPhersonów, powiedzieli, że tego nam właśnie w domu potrzeba, porządnego psa.

- Też mieli pomysł - obruszyła się Anna. - Nie przyszło im do głowy, że dwoje dzieci w domu wystarczy?

- Dzieci nie szczekają - rzekł sentencjonalnie Ralph. - On ma być psem do stróżowania - dodał - nie do zabawy.

- Może być do tego i do tego - zauważyła Anna.

- Kiedy byłem mały - powiedział Ralph - rodzice nie pozwolili mi mieć psa. , _

- Mnie też nie - stwierdziła Anna. - Miałam tylko kiedyś złotą rybkę, ale zdechła. Może to i dobrze? Bo zawsze się bałam, że tato wprowadzi kiedyś jakichś klientów ze sklepu do mego pokoju i powie im: „Proszę bardzo, zrobię państwu z tej rybki dwa filety!”

- A widzisz! - powiedział Ralph. - My nie mieliśmy psów, za to nasze bliźniaki będą miały.

- Ale cóż on za jeden, jaka to rasa?

- McPhersonowie twierdzą, że jego matka jest Alzatką czystej krwi, wiesz, z owczarków alzackich, pokazywali mi ją, faktycznie wygląda, jak trzeba. Podaj mi, proszę, Anno jeszcze jedną szklanek wody... A jego ojciec - Ralph wrócił do przerwane go wątku - to podobno żółty labrador, też z dobrym rodowodem. Ale ja w to nie wierzę. Myślę, że mama tego malucha musiała się wyrwać z obejścia i wdać się w jakieś przygodne karesy.

Kares, tak właśnie Anna i Ralph nazwali swego psiaka. Jak wszystkie młode zwierzęta, Kares zrobił się niebawem wyjątkowo urodziwy. Jego guzikowate oczy powiększyły się i nabrały blasku, żółtawa sierść lekko zbrązowiała. Szczeniak był z usposobienia bardzo łagodny, więc ilekroć bliźniaki okazywały krnąbrność i jawną niewdzięczność, Anna brała go na ręce i całowała w miękkie, aksamitny łepiek. Nawet Salome i Felicia, które solidarnie twierdziły, że trzymanie w domu psa nie ma sensu, próbowały czasami przemawiać do Karesa albo ostrożnie go głaskać.

W wieku ośmiu miesięcy Kares zbrzydł. Wyrósł na prawie dorosłego już psa, z dużym łbem, tępym pyskiem i uszami sterczącymi każde w odmienny sposób; kręcił się po terenie misji wydając z siebie chrapliwe, urywane szczeknięcia, ku prawdziwemu przerażeniu co poniektórych czarnych mieszkańców Mosadinyany.

- Paskudny angielski zwyczaj gardzić ludźmi, którzy boją się psów... - zauważył kiedyś Ralph.

- Enock się nie boi - powiedziała Anna. - Tylko udaje.

- Nie chciałbym się do niego uprzedzać - stwierdził Ralph - taką przyjąłem zasadę, żadnych niepotrzebnych uprzedzeń, ale jak słyszę, z tego Enocka zrobił się wredny typek.

To Salome jako pierwsza zaczęła się skarżyć.

- Okradł mnie! - oznajmiła z oburzeniem. - Ukradł mi słomkowy kapelusz!

- Jesteś pewna? - zdziwiła się Anna. - Co by mu przyszło z twojego słomkowego kapelusza?

- Ukradł go i sprzedał - stwierdziła z całkowitym przekonaniem Salome.

Anna już miała spytać ją drwiąco, ile to, jej zdaniem, miałyby Enock za taki kapelusz dostać, ale powstrzymała się. Tutejsi ludzie operowali w rozliczeniach raczej pensami niż szylingami, więc pomyślała, że może to prawda, może Enock rzeczywiście ukradł ten nieszczęsny kapelusz na sprzedaż?

Poinformowała o całej sprawie Ralpa.

- Salome często skarży się na Enocka, a teraz twierdzi, że podkrada jej rzeczy - powiedziała.

- W takim razie znów będę musiał z nim porozmawiać - rzekł Ralph. - Lepiej nie wyprowadzać Salome z równowagi. Tylko, czy ona nie zmyśla?

Anna rozłożyła bezradnie ręce.

- Trudno powiedzieć. Swoją drogą Salome dostała ostatnio lekkiego bzika na punkcie odzieży, uważa, że powinna dostawać ode mnie sukienki, moje sukienki, używane. Mo-

głabym jej przecież coś uszyć, bez problemu, ale to nie to. Ona chciałaby mieć moje rzeczy, moje własne.

- Przecież nic z ciebie by na nią nie pasowało! - zdziwił się Ralph.

- Dałam spódnicę Felicii, tę, którą uszyłam sobie w Elim z materiału od pana Ahmeda, tę szaro-zieloną, pamiętasz?

- Mhm... - skłamał Ralph.

- Bardzo lubiłam tę spódnicę, to był chyba najładniejszy ciuch, jaki mi się kiedykolwiek udało uszyć, ale teraz zrobiła się o cal przyciasna w talii, więc pomyślałam, żeby ją dać Felicii. To taka szczupła, zgrabna dziewczyna... Nie była zachwycona, muszę ci powiedzieć. Ale ja lubię, jak nosi tę spódnicę. Świetnie na niej leży.

- Salome jest zazdrosna?

- Więcej. Dotknięta do żywego!

- Może pani Instow dawała jej swoje kreacje? Te z najlepszych paryskich domów mody..

Oboje wybuchnęli śmiechem. Po przyjeździe do Mosadinyany znaleźli w jednej z szuflad zdjęcie państwa Instow, wyblakłą amatorską fotografię, na której dwie bezpłciowe istoty prezentowały w uśmiechach godnych widm swoje sztuczne szczęki. Gdzież tamto zacne stadło mogło się teraz podziewać? Ralph nieraz zastanawiał się, co oni z Anną będą robili, gdy już opuszczą Afrykę. Jego ojcu brakowało trzech lat do siedemdziesiątki, matka napomykała w listach, że trochę mu już za ciężko prowadzić sprawy fundacji, która się nieźle rozrosła w porównaniu do skromnych początków. Również wuj James, mozoląc się wśród londyńskich wyrzutków, dochodził powoli do wieku, który należałoby uznać za emerytalny. „Trzeba by ich obydwu zluzować” - myślał Ralph. „Wrócić do kraju, znaleźć jakiś dom i zacząć nowy etap życia. Teraz moglibyśmy już rozmawiać z naszymi rodzicami jak równi z równymi. Widzieliśmy i robiliśmy rzeczy, o jakich im się nawet nie śniło. No i z nas też zrobili się rodzice, odkąd mamy własne dzieci!”

Anna nie wydawała się usposobiona do rozważań o przyszłości. Miała zbyt wiele drobnych, codziennych trosk. W misji rozgorzał rodzaj podjazdowej wojny. Ktoś ukradł cały worek cukru, po prostu wyniósł go z magazynu. Anna podejrzewała, że Salome, ponieważ handel misyjnym cukrem stanowił jedno ze stałych źródeł jej ubocznych dochodów: nie było sposobu upilnować, by od czasu do czasu nie przeszwarcowała funta pod fartuchem.

- Ale żeby cały worek, Salome! - upominała kucharkę rozżalona. - Idę do spiżarni, a tam nie ma ani odrobiny. Ani krzty! Nawet, żeby osłodzić herbatę dla Felicji.

Salome nie rzekła nic na te słowa, zrobiła tylko złą minę. I jeszcze tego samego dnia podjęła swoje zwyczajowe utyskiwania na Enocka.

- Nie zajmuje się swoją robotą tak, jak trzeba - sarkała. - Ciągłe łże, że idzie na jakiś pogrzeb, a tymczasem wyskakuje na piwo.

„Wyskakuje na piwo” - powtórzyła za nią w myślach Anna. „Ma się rozumieć, że na piwo, pewnie na to, któreś ty, moja pani, uwarzyła z kradzionego cukru!”

Trochę później Salome przypuściła następny atak.

- Wszystkie warzywa, co je zasadziłam w ogrodzie, powiędły i wyschły!

Anna zastanowiła się: w tym stwierdzeniu Salome było niewątpliwie trochę prawdy. Czego sama wyjątkowo nie lubiła u Enocka, to jego stosunku do wątlých roślinek, jakie próbowały wyrastać z piaszczystego gruntu. Zdawało jej się czasem, że zajęcie ogrodnika wybrał sobie z rozmysłem tylko po to, żeby je niszczyć. Cokolwiek wychyliło się z ziemi -wyrwał lub ścinał. Robił to pod pozorem plewienia, z reguły nie czekał jednak, aż pęd zrobi się wystarczająco duży, żeby rozpoznać gatunek. Annie było żal karłowatych, pokiereszowanych kikutek. Ilekroć na nie patrzyła, nieodmiennie przypominała sobie, jak matka, w imię zasad higieny, obcinała jej niegdyś paznokcie do żywego ciała. Patrzyła na roślinki, a widziała paluszki pięcioletniego dziecka, obolałe

i zaczerwienione, przewracające kartki pierwszej szkolnej czytanki. Matka ciągle jej przycinała te paznokcie; podobnie postępował Enock z ogrodowymi uprawami i tak samo trudno byłoby mu z tego powodu czynić zarzuty, bo też pewnie uważał, że robi tylko to, do czego jest moralnie zobowiązany. Wszystko, co jakoś zdołało się rozrosnąć, pozostawiał bez podlewania. Czego nie zniszczył sztychami łopaty, uśmiercał przez zaniedbanie.

- W takim razie Ralph będzie się sam zajmował warzywami - odezwała się Anna. - I ja też, jak dzieci trochę podrosną.

- Jakże to tak, proszę pani? - Salome wyglądała na zaszokowaną. - Państwo Instow nigdy by czegoś takiego nie zrobili! - Po raz pierwszy odwołała się do autorytetu poprzedników Ralpha i Anny.

Ralph rzekł później:

- Wszyscy tu są przeciwko Enockowi, bo to obcy. Outsider.

- On wcale nie jest outsiderem - zaproponowała Anna. - Ma masę przyjaciół.

- Gdzie?

- Gdzieś tam, wzdłuż linii kolejowej. Dokładnie nie wiem. Ciągle się do nich wymyka, chyba się orientujesz. Salome mówi, że powinniśmy przyjąć na jego miejsce kogoś innego.

- Dajmy mu jeszcze jedną szansę, proszę, Anno. Musi być jakaś historia, której nam nie opowiedział. Musi być jakiś powód, że on jest taki, jaki jest.

Musi? Naprawdę? Anna miała wątpliwości, nie chciała jednak wszczynać małżeńskiej kłótni.

Następnym dziwnym wydarzeniem, jakie miało miejsce w domu misyjnym, było zaginięcie prawie całej garderoby Ralpha. Ralph wyjechał na cały dzień do Palapye; Anna była w sali lekcyjnej, sama, już po zajęciach, robiła kolorową planszę do powieszenia na ścianie, z mnożeniem przez dziewięć.

Felicia ułożyła maluchy do popołudniowej drzemki

i sama również oddała się sjeście. Po skończeniu pracy Anna odłożyła nożyczki i odstawiła spory garnuszek z klejem z mąki. Zamykając za sobą drzwi wyszła z niemożliwie nagrzanego klasy. Dowlokła się do domu, umyła ręce i twarz i skierowała się do sypialni, mając nadzieję na godzinkę odpoczynku. Drzwi szafy na ubrania otworzyły się same, jak zwykle, ale jej mroczne wnętrza okazało się wypełnione jedynie wonią kamfory, niczym więcej.

Odzież zniknęła. Równoczesne zniknięcie Enocka nie mogło być tylko zbiegiem okoliczności. Pojedyncze części garderoby Ralphi ginęły już wcześniej, nie miał aż tylu ubrań, by Anna mogła tego nie zauważyć. Nawet teraz machnęłyby ręką, gdyby chociaż było widać po Enocku, że kradzież i sprzedaż cudzej własności przynosi mu jakąś korzyść. Ale on nadal nosił tę samą przyciasną i przepełnioną brązową marynarkę, wystrzępione szorty i rozpadające się ze zniszczenia buty.

- Tym razem posunął się za daleko! - uznała Anna.

Nie mogła znieść myśli, że trzymają pod swoim dachem kogoś, kto bezczelnie wyciąga łapy po ich skromny dobytek. Przy tym z jaką arogancką miną, z jakim poczuciem wyższości! Niemalże to widziała, w wyobraźni, a równocześnie słyszała asekuranckie słowa Ralphi: „Może Enock ma prawo tak nas traktować? Może on faktycznie jest od nas lepszy? Może nas przerasta?” Nie wierzyła w to, nie godziła się z tym. Dla niej Enock był jednym z tych osobników, jakich spotyka się wszędzie na świecie, niezależnie od kraju i kultury, jednym z tych osobników, którzy rozsiewają wokół siebie niepokój i prowokują niechęć, którzy mają gdzieś największą nawet czyjaś serdeczność i którzy zabiegają tylko o to, by inni ludzie tracili z ich powodu wiarę w siebie, a zyskiwali niepewność i udrekę.

- Dajmy spokój - zaproponował Ralph. - Nie mamy dowodów, że to on. A gdzie był Kares, swoją drogą?

- Spał w cieniu pod krzakiem. Przecież on zna Enocka, prawda? Sama go uczyłam, że to swój.

- Mógł to zrobić ktoś inny...

- Ralph, nie bądź naiwny! - zniecierpliwiła się Anna. - To zrobił Enock, skradł twoje rzeczy i przehandlował, ma swoje handlowe szlaki, wszyscy mi o tym mówią. Ładuje zdobycz do pociągu, a jego kumple odbierają ją w Franci-stown.

Ralph był całkowicie pogiębiony. Mruknął z westchnieniem:

- Chyba będziemy musieli zacząć zamykać drzwi.

Anna przypomniała sobie Elim i ogromny pęk kluczy, jaki Lucy Moyo wręczyła jej pierwszego dnia pobytu przy Flower Street.

- Owszem, będziemy musieli - powiedziała. - I będziemy musieli trzymać pod kluczem spiżarnię, mieć pod kontrolą zapasy i wydawać ludziom tylko to, o co poproszą. Do licha, Ralph, przecież nie pozwolimy złodziejaszkom bogacić się naszym kosztem!

- Nie ma obawy. Na tych moich rzeczach na pewno majątku nie zrobią...

W dwa dni później Felicia podniosła krzyk, że przepadła jej spódnica, jej najlepsza spódnica, ta, którą dostała od madam! Anna wpadła w gniew. „Co za bezczelny typ!” - pomyślała. Ralphowi dała tym razem spokój, tak jak chciał. Postanowiła sama, bez konsultacji z mężem, wywalić Enocka z posady i kropka. Od razu, natychmiast. Jej cierpliwość ostatecznie się wyczerpała. Poza wszystkim, działałaby wbrew własnym interesom, pozwalając komukolwiek drażnić Felicię, która była naprawdę dobrą, bardzo troskliwą piastunką. Eskortowana przez Salome, Anna wyszła na tylną werandę i zawołała Enocka. Zbliżył się tym swoim nonszalanckim krokiem ulicznika. Anna spojrzała najpierw na niego, a potem na wysuszony, zaniedbany ogród.

- Enock, co się stało ze spódnicą Felicii? - odezwała się zasadniczym tonem.

- Trzeba zapytać tę kobietę - wskazał oczyma na Salome i odął pogardliwie wargi.

- Ty draniu! - odcięła się rozjuszona kucharka. - Pan Bóg cię za to skarże!
- Nie wygłupiaj się, Enock - rzekła Anna. - Salome nie kradnie.
- A cukier?
- No, może cukier - westchnęła Anna, nieco zbity z tropu. - Ale odzież kradniesz ty, Enock, kradniesz i sprzedajesz. To bardzo źle, że ukradłeś ubranie mojemu mężowi, to już wystarczająco źle, ale jeszcze gorzej, że ukradłeś spódnicę Felicji, bo ta dziewczyna jest biedniejsza od ciebie!
- Nawet nie widziałem tej spódnicy - burknął Enock.
- Idiotyzm! - obruszyła się Anna. - To idiotyzm, co mówisz, Enock, dobrze o tym wiesz - powtórzyła z pogardą.

Patrzył wprost na nią, patrzył jej prosto w twarz. Ich spojrzenia zetknęły się, zwały. Anna chciała zmusić Enoc-ka, by opuścił wzrok, była zdecydowana zmusić go do tego. Sekundy bieły jedna za drugą. Jakiś wewnętrzny głos podpowiadał: „Przecież to absurd, że wdajesz się w taki pojedynek, ty, która masz wszystko: wykształcenie, męża, dwoje dzieci i szczęście od Boga, że się wdajesz w pojedynek z tym ogrodnikiem, z tym biedakiem, z tym bezdomnym tułaczem. To w ogóle absurd - wewnętrzny głos mówił dalej -takie pojedynki na spojrzenia, może w Europie i jest coś takiego w zwyczaju, ale skąd on miałby o tym wiedzieć? A może jednak wszyscy ludzie o tym wiedzą, a może nawet zwierzęta?” - spierała się sama ze sobą Anna. „Zresztą, to przecież jedyny rodzaj pojedynku, jaki jestem w stanie z nim stoczyć!”

Stoczyła i wygrała. Po jakimś czasie Enock, mamrocząc bezgłośnie słowa, których znaczenia można się było tylko domyślić z ruchu jego warg, spuścił oczy, odwrócił się i zgarbiony, z opuszczoną głową powlókł się w stronę swojej kwatery.

Było cicho. Anna zaczęła się wpatrywać w swoje zakurzone sandały, jakby jej zmęczone podjętym wysiłkiem oczy nie były w stanie dłużej spoglądać prosto przed siebie.

W końcu Salome odezwała się faryzejskim tonem ni to zadowolenia, ni to zatroskania:

- Och, Mrs Eldred, och, madam! Wie pani, takiej rzeczy nie trzeba mówić, nie trzeba mówić człowiekowi, że z niego to idiota, nie wolno!

- Słucham? - wyrwana z zamyślenia Anna znowu uniosła wzrok. - Przecież nie powiedziałam, że on jest idiotą - zaczęła wyjaśniać. - Mówiłam tylko, że tłumaczy się idiotycznie.

- Na jedno wychodzi - stwierdziła Salome.

Anna, przed chwilą całkowicie pewna swoich racji, poczuła, że zaczynają ją dręczyć wątpliwości. Są takie słowa, wiedziała o tym, są w każdym języku, z pozoru niewinne, a w istocie śmiertelnie obraźliwe. Powinno się ich unikać.

- Czy powiedziałam coś złego? - zapytała niepewnie. Salome pokiwała głową.

- Teraz Enock odejdzie -- rzuciła.

- To dobrze - rzekła Anna. - Właśnie o to mi chodziło. Byłoby mi niezręcznie go zwalniać, rozumiesz? Ale nie będę się czuła odpowiedzialna, skoro sam odejdzie i to wyłącznie z tego powodu, że usłyszał ode mnie prawdę. Przyjmiemy innego ogrodnika. Jeden z tych ludzi, którzy mieszkają w przybudówkach, będzie mógł podjąć tę pracę! - stwierdziła nienaturalnym, trochę koturnowym tonem. Tamten dzień utkwiał jej w pamięci na zawsze. Od wielu miesięcy nie padał wówczas deszcz. Na otaczających Mosa-dinyanę wzgórzach płonął busz: ogień niekiedy się tylko tlił, a niekiedy buchał płomieniem, nocami było widać, jak powoli, ale uparcie przemieszcza się, rozprzestrzenia niczym zaraza we krwi.

Było dokładnie tak, jak przewidziała Salome: Enock odszedł przed zapadnięciem zmroku. Nic po nim nie zostało, tylko ślady stóp. Anna rozpoznała je następnego ranka na zapiaszczonych cementowych stopniach tylnej werandy, przez którą wchodziło się do kuchni. Może zamierzał się

jednak jakoś wytłumaczyć i naprawić szkodę? Jeśli nawet, to ostatecznie zmienił zdanie, zawrócił i zniknął w buszu. Jeszcze tego samego dnia zaangażowano innego ogrodnika, wolna kwatery została ponownie zajęta. Ponieważ Enock zabrał ze sobą zasłony, Anna usiadła do maszyny, żeby uszyć inne. Pomyślała sobie przy pracy: „Tyle przykrości z powodu takiego głupstwa!” Zawsze wprawdzie starała się unikać najdrobniejszych bodaj niesprawiedliwości w rozsądzaniu sporów, ale miała tutaj właściwe wszystkim nauczycielom podejście praktyczne. Wiedziała, że nikogo w klasie niczego nie nauczy, jeśli będzie co parę minut przerywała lekcję, by przeprowadzić śledztwo. A skargi dochodziły do niej niemal bez przerwy: „Proszę pani, Moses zabiera mi ołówek! Proszę pani, Tebogo zajął mi krzesło! Proszę pani, Effat mnie bije i przezywa!” Afera z Enockiem miała dla niej taki właśnie, trochę szkolny, sztubacki wymiar. Może Salome chciała zrobić ogrodnikowi na złość i ukradła Felicii spódnicę specjalnie po to, żeby rzucić na niego podejrzenie? Kto wie... Twierdziła przecież przez cały ostatni miesiąc albo i dłużej, że widzi codziennie, jak Enock wymyka się wczesnym rankiem z pokoju Felicii. Miałby okradać własną kochankę?

- Tego też nie sposób wykluczyć - orzekł Ralph, gdy Anna wszystko mu wyłuszczyła. - Miałas rację co do tego człowieka - przyznał zrezygnowany i najwyraźniej przytłoczony całą niemiłą sytuacją. - Powinniśmy byli pozbyć się go już dawno. No, dobrze chociaż - rozpogodził się - że w końcu mamy go z głowy!

Wziął na ręce małego Matthew, zaczął podrzucać go w górę i równocześnie żartobliwie do niego przemawiać:

- Z głowy, z głowy! Włos z głowy! Nie spadnie! Nie spadnie, chociaż leci hop, do sufitu! I hop, aż do nieba! Leci Matthew do nieba, jaki duży i silny chłopak. Nie spadnie mu włos z głowy, bo wcale nie ma włosów. No, kawalerze, kiedy to będziesz miał taką gęstą czuprynę, jak twoja siostra?

Kit spoglądała na ojca i brata z łóžeczka, z palcem w buzi i trochę niepewną miną.

- Hop, aż do nieba! - pokrzykiwał Ralph. - Hop, aż do nieba, maluchu! W górę i znowu w dół!

Następnego dnia Salome stwierdziła:

- Wieczorem będzie burza, madam. Zbiera się na burzę, jak nic.

Był sierpień, jeden z miesięcy suchej południowoafrykańskiej zimy. Spoza wzgórz nadciągały chmury.

- To dobrze - powiedziała Anna. - Deszcz jest nam bardzo potrzebny.

Pomyślała, że mogłaby to być naprawdę solidna burza, z porządną ulewą, która napełniłaby zbiorniki na wodę. Dla zapasu świeżej wody warto ścierpieć nawet późniejszy zimny, wilgotny i pełen rojących się wszędzie węży dzień.

Wczesnym popołudniem, ledwie Anna zdążyła wrócić z zajęć w szkole, z ogrodu przyszedł do domu Kares. Właściwie przywłókł się, biedak, tak ciężko, jakby miał łapy z ołowiu. Było to całkiem do niego niepodobne, bo zawsze cwałował i podskakiwał.

- Co się dzieje, Kares? - zdziwiła się Anna. - Co ci jest, piesku?

Kares słaniając się podszedł do niej i runął na podłogę. Uniósł tylko swój wielki żółty łeb, trącił Annę nosem w nogę. I nagle całe jego ciało wygięło się, jakby je chwycił jakiś gwałtowny skurcz. Pies zatrząsł się spazmatycznie, a potem, usilnie pracując przeponą i żebrami, zaczął wymiotować.

Zdezorientowana i wystraszona Anna cofnęła się, zawołała na Ralpha, żeby przyszedł i zobaczył, co się dzieje. Ralpha nie było jednak akurat w domu. Anna miała wrażenie, że Kares nagle zmałał, jakby pod wpływem wysiłku skurczyły mu się wszystkie kości. Pod wpływem wysiłku, który nie był już dłużej potrzebny. Raz pobudzony, strumień cuchnącej cieczy zdawał się wypływać dalej z wnętrzości psa samoczynnie, zupełnie jakby gdzieś tam, w głębi psich

trzewi, odkręcił się jakiś kurek. Żółtozielona, lepka kałuża rozlewała się wokół Karesa, po podłodze, po dywanie. Smród robił się coraz bardziej intensywny, Anna bała się, że za chwilę zwali ją z nóg niczym cios pięści. Zatkła sobie nos: nigdy dotąd nie zetknęła się z takim zapachem, z taką piekielną mieszanką odoru zgnilizny i prażonej gumy. Była to woń panicznego strachu, woń organizmu zbuntowanego przeciw samemu sobie. Cuchnący strumień płynął i płynął. Anna słyszała o chorobach, które toczą swe ofiary w tak paskudny sposób, że nawet najhojniej wyposażone w chrześcijańskie cnoty pielęgniarki muszą się do nich zbliżać w maskach, ze względu na fetor. Jakiej choroby ofiarą padł Kares? Anna miała chęć odwrócić się i uciec, wybiec z pokoju przez werandę na zewnątrz, na świeże powietrze. Jednak współczucie dla nieszczęsnego stworzenia nie pozwalało jej się oddalić, trzymało ją na miejscu. Oslaniając dłonią twarz patrzyła, jak pies pracuje żebrami, jak przewraca oczyma, jak się kuli, niczym pod ciosami bicia, jak na przemian napina i rozluźnia wszystkie mięśnie i ścięgna. W końcu, odrętwiały, bezwładnie przewrócił się na bok; cuchnący, obrzydliwy strumień wciąż jednak z niego płynął i płynął. Anna zastanawiała się gorączkowo: „Jak to wszystko mogło się w nim pomieścić?”

- Kares, pieseczku, co ci się stało? - odezwała się zdławionym głosem.

Przykucnęła obok psa i dotknęła jego boku. Całe ciało Karesa zdawało się pulsować, Anna wyczuwała dłonią gwałtowne, niezliczone drgnięcia.

Jednakże gdy dotknęła psa, strumień się zatrzymał. Smrodliwa kałuża przestała się powiększać. Kares jakimś ostatnim wysiłkiem, niczym martwe zwierzę galwanizowane w trakcie eksperymentu, uniósł się i stanął na czterech łapach. Prawie natychmiast z głuchym łomotem zwalił się znów na podłogę. Wziął głęboki oddech, zadygotał jakoś całkiem po ludzku. Leżąc wygiął się w łuk i wyszczerzył zęby. Zamknął oczy...

Jednak nie wyzionął ducha. Kiedy Anna położyła mu rękę na głowie, machnął nawet ogonem, jeden raz. Uderzył nim o podłogę, rozpryskując Annie na spódnicę smrodliwą ciecz. W tym samym momencie w drzwiach stanął Ralph. Spojrzał na Annę i na psa.

- Trucizna? - wyszeptał.

Anna nie potwierdziła, on sam również nie odpowiedział na własne pytanie. Oboje milczeli, jakby bali się mówić. W milczeniu wynieśli psa na werandę, oczyścili mu sierść z nieczystości, zawinęli go w koce i rozlali wodę wokół wysuszonego pyska, w nadziei, że będzie ją zlizywał. Potem Anna usiadła przy Karesie, a Ralph wyniósł na podwórze zabrudzony dywan i wodą ze środkiem dezynfekcyjnym zmył z podłogi spienione wymiociny.

Kiedy skończył i wrócił do Anny, Kares zlizywał właśnie wodę z jej wilgotnej dłoni. Powieki miał wciąż na pół przymknięte, gałki oczne poruszały mu się na wszystkie strony w gwałtownym oczopląsie.

- Myślę, że zdołał się uratować - rzekł Ralph. - Diabli wiedzą, co to takiego było, ale jedno jest pewne: jakby tego nie wydalil jeszcze przez godzinę, zabiłoby go jak nic.

Anna pomyślała: „Kares to duży pies, psia trutka może zabić dziecko, nawet dwójkę dzieci!” Ogarnęła ją fala straszliwego przerażenia, potem gwałtownych mdłości. Anna zerwała się, dopadła do parapetu, oparła się na nim bezwładnie.

- Co to mogło być? - zapytała roztrzęsionym głosem. - Co on mógł takiego zjeść?

- Coś, co ktoś mu specjalnie podrzucił - odparł Ralph. - Czym go skusił.

- Bardzo mi przykro, Anno - mówił dalej. - Myślę, że to był ostatni akt zemsty Enocka. On nigdy nie lubił Karesa, a dobrze wiedział, że my go uwielbiamy. Pamiętam, jak pogardliwie odymał usta, kiedy widział, jak przemawiam do psa. Miałś bezwzględną rację co do tego człowieka; powinienem był cię posłuchać, ty miałaś rację, a ja się myliłem.

Ralph ujął Annę za rękę. Powiedział:

- Na szczęście Enock nie dopiął swego.

Nachylił się, leciutko poklepał psa. Najwyraźniej poczuł się usatysfakcjonowany obrotem spraw. I we własnym postępowaniu usprawiedliwiony, skoro i tak dobro zwyciężyło. Skoro zapanowało nad złem, tak jak zawsze powinno.

Przez resztę dnia Anna systematycznie zaglądała do Karesa, najpierw co dziesięć minut, później co pół godziny wreszcie co godzinę; było to takie pełne lęku czuwanie, jak przy bliźniakach w pierwszych miesiącach ich życia. Mogłaby go przenieść w jakieś dogodniejsze dla siebie miejsce, ale Kares był przecież psem podwórzowym, nie przywykł do dywanów i mebli, leżenie pod dachem na werandzie było już szczytem tego, co w ogóle mógł ścierpieć. Przed wieczorem zdołał się już dźwignąć i zaczął warować, nadstawiając swoich cudacznie osadzonych uszu na odgłosy z domu i obejścia. Warował jednak bez przekonania, jak gdyby nie był do końca pewien własnej czujności. Kiedy spróbował dać głos, szczeknięcie wyszło tak stłumione, anemiczne, że zrobił wręcz zakłopotaną minę. Wydawał się otumaniony i całkowicie wyczerpany.

- Nic, nic, Kares, nie przejmuj się - pocieszała psa Anna, głaszcząc go po głowie. - Na dziś jesteś zwolniony ze stróżowania.

- Będzie z nim wszystko dobrze, prawda? - odezwał się Ralph. - Myślę, że chyba bym się rozplakał, gdybyśmy go mieli utracić. Kochany zwierzak, chociaż głuptas i łakomczuch.

- Z charakteru jest dokładnie taki sam, jak nasze bliźniaki. Dokładnie! - zauważyła z uśmiechem Anna.

Ralph wziął żonę w objęcia, przytulił jej głowę do swego ramienia. Poczuł, jak drży, wyczerpana napięciem całego dnia. Zaczął głaskać ją po plecach, szeptać do niej kojąco i pieszczotliwie. Starał się ją uspokoić, choć sam bynajmniej nie był spokojny. Gryzły go wątpliwości, mocno go

niepokoiła, martwiła cała ta sprawa z ogrodnikiem. Anna pewnie by powiedziała: „Cóż, oczywiście, zdarzają się niesprawiedliwe decyzje, można się pomylić, przeliczyć, ale w sumie bilans wychodzi na zero, lepsze i gorsze uczynki równoważą się w naszym życiu”. On jednak w coś takiego nie wierzył. Żonie nawet tego nie mówił, ale nie mógł do końca zaakceptować jej podejścia. Uważał, że jest fatali-styczne, że zwalnia człowieka od odpowiedzialności, jaką powinien na siebie wziąć, by postępować zawsze najlepiej, na ile go stać, w zgodzie z własnym sumieniem i stosownie do możliwości, i przeciwstawiać się, ilekroć to potrzebne, wszelkiej niesprawiedliwości.

Ralph myślał: „Enock to kombinator, drobny kryminalista; być może oskarżono go kiedyś o przestępstwo, jakiego nie popełnił, każdy akt niesprawiedliwości podlega wyolbrzymieniu w oczach jej ofiary, taki błąd bywa zwykle nie do odrobienia. Czy zrobiliśmy w jego sprawie to, cośmy powinni byli zrobić? Czy można było postąpić inaczej? Każde działanie zawiera w sobie załączki przeciwdziałania. Na każdy czyn pada cień wszystkich odrzuconych rozwiązań, cień nieskończonej liczby wszystkich nie podjętych możliwości. Każdy już dokonany wybór wyzwala rozmaite nie-przewidziane wypadki, sploty zdarzeń, stwarza swój własny wszechświat. Gdyby on, Ralph Eldred, bodaj jedną sprawę załatwił w życiu inaczej, niż załatwił, tylko jedną drobną sprawę, być może nie byłby tu, gdzie jest: z filigranową żoną w objęciach, z bliźniakami na kolanach czarnej niani, z psem, który leży u jego stóp i zdrowieje, i nie posiada się z uciechy, że po prostu przeżył. Wszystko we wszechświecie zmierza w kierunku chaosu i rozpadu, on, Ralph Eldred, nie jest aż tak niedouczony w dziedzinie nauk ścisłych, żeby o tym nie wiedzieć. Ale wierzy, że jego własne wybory są dobre, właściwe; po prostu w to wierzy, jak będąc dzieckiem wierzył w przypowieści Biblii. Wybory, które go doprowadziły do obecnego życiowego momentu, z pewnością były naznaczone wewnętrzną trafnością; on w to wierzy, wierzy

w swój świat, a w te inne, alternatywne, nie ma zamiaru wnikać. Wierzy, że jego wola jest wolna. Że nie jest tak, jak utrzymuje Anna. Wierzy, że nie ma w świecie takiej zasady, która gwarantowałaby końcowe zrównoważenie rachunku' Jeśli człowiek nie chce pozostać tylko zwierzęciem albo dzieckiem, ciągle musi wybierać. Wybierać dobro. Bo wybierając zło, poddaje się prawu rozpadu, staje się nosicielem chaosu, narzędziem tych sił i elementem tych mechanizmów we wszechświecie, które prowadzą do samozagłady, do śmierci. Sił i mechanizmów diabelskich. Wybierając dobro, udowadniamy wolność naszej woli, udowadniamy że jesteśmy stworzeniami, które ucieleśniają Boski projekt i stale przeciwstawiają się swoim istnieniem mocy szatana Dlatego zawsze będę dobry - myślał Ralph. - To wszystko, do czego jestem zmuszony".

Burza rozpełtała się późnym wieczorem, około dziewiątej. Ralph i Anna rozpalili ogień na kominku w pokoju bliźniąt i zostawili je, rozgrzane i senne, pod opieką Felicii. Dzieci już nie budziły się nocami tak często, jak kiedyś, a Anna chętnie do nich zaglądała, ilekroć było trzeba, zwykle więc piastunka sypiała w swojej kwaterze. Dziś jednak poinformowała, że zostaje. Ralph i Anna nie zdziwili się: przyniesiony przez burzę deszcz był tak ulewny i zimny, ciął z wiatrem tak bezlitośnie i ostro, a Felicia miała przecież w pokoju bliźniąt własne łóżko, z dwiema pulchnymi poduszkami i pledem szydełkowej roboty.

Cały świat zdawał się wypełniony hałasem, nawet w domu trzeba było podnosić głos, żeby się nawzajem usłyszeć Deszcz bębnił metalicznie w dach, wiatr jęczał i zawodził Anna stanęła przy oknie. Blask błyskawicy oświetlił ogród i drzewo figowe, wynędzniałe i obszarpane, jeszcze jeden przykład zaniedbań pozostawionych przez Enocka. Oświetlił otaczający teren misji rzadki, kiepski parkan. I chaty misyjnych „gości”. Zrobiło się tam pewnie jasno jak nigdy po zmroku, bo mieszkańców tych chat nie było stać na

świece. Anna pomyślała, że do rana ci ludzie będą tonąć w brunatnej wodzie i błocie, że nawałnica pewnie pozrywa dachy ich lichych domostw, pogasi paleniska, na których gotują strawę, zniszczy tekturowe walizki, przemoczy tobołki i koce, i przeznaczone na niedzielę lepsze ubrania. Pomyślała, że nazajutrz trzeba będzie pomóc tym nieszczęśnikom, nazajutrz, bo dziś nic się już nie da zrobić, nic się nie da zrobić, póki ten deszcz tak siecze. Anna zadrżała. Ralph wsunął jej w dłoń szklanekę z brandy, wypełnioną do połowy. Stojąc nadal przy oknie, w migotliwym świetle naftowej lampy, Anna zaczęła sączyć trunek. Alkohol rozgrzał ją.

- Przeprowadź Karesa - odezwała się do Ralpha. - Przynies go. Położymy biedaka przy kominku, to mu powinno dobrze zrobić; wiem, że nie lubi wchodzić do mieszkania, ale może ogień mu się spodoba... Zresztą musi tu przyjść, bo jak tylko wiatr się odwróci, weranda będzie zalana w ciągu minuty.

Ralph przeszedł z latarką w rękę na tyły domu. Burza nie cichła nawet na moment, wiatr wciąż wył, deszcz bębnił w tym samym rytmie o dach, okna i ściany. Pies dźwignął głowę, zaskowyczał. Ralph cmoknął na niego, zawołał:

- Dalej, Kares!

Pies, drapiąc pazurami o podłogę próbował wstać, lecz okazało się natychmiast, że przerasta to jego możliwości. Przewrócił się, zrezygnowany ułożył się znowu na boku. Ralph przykucnął przy nim, odłożył latarkę. Wziął Karesa na ręce; pies warknął, po trosze z oburzeniem, po trosze jednak z ulgą i wyprężwszy sztywno łapy pozwolił się nieść. W korytarzu było całkiem ciemno, Ralph musiał iść po omacku wzdłuż ściany. Kierował się do saloniku, gdzie Anna stała przy kominku ze swą brandy. W pewnym momencie Kares zaczął wierzgać, jakby chciał dać znak, że dalej pójdzie sam. Na wprost drzwi do kuchni Ralph postawił go delikatnie na podłodze. Pies zamerdał anemicznie ogonem i powłókł się pod kuchenny stół.

- Chodź ze mną, Kares - zachęcał go Ralph. - Chodź do ognia!

Zza drzwi, które prowadziły z kuchni wprost na dwór, dały się słyszeć jakieś stłumione odgłosy, coś jakby stukotanie, to znowu słaby krzyk. Ktoś prosił, chyba jakaś kobieta:

- Baas, trzeba nas wypuścić!

Ralph pomyślał: „To pewnie ci biedacy z przybudówek, ich domostwa musiały się rozpaść, są przestraszeni, potrzebują schronienia!” Przemknęła mu przez głowę także inna myśl: „Człowieku, ktoś próbował dzisiaj otruć twojego psa, nie jesteś całkowicie bezpieczny!” Jednak głos z zewnątrz rozległ się znowu - słaby, proszący:

-Baas, jesteśmy przemoczeni, boimy się, trzeba nas wypuścić!

Nie zastanawiając się dłużej, Ralph przekręcił w zamku klucz, odsunął zasuwę. Ktoś pchnął duże, ciężkie drzwi tak mocno i gwałtownie, że otwierając się na oścież uderzyły Ralpha w twarz. Nawet się nie zdziwił, gdy ujrzał przed sobą Enocka. Twarz zdymisjonowanego ogrodnika była przerażająco spokojna. Łagodnym, niedbałym ruchem sięgnął w zanadrze marynarki, tak jak się w sklepie sięga po portfel, żeby zapłacić za zakupione produkty; sięgnął w zanadrze marynarki i wyciągnął stamtąd siekierkę.

Ralph natychmiast wytrącił mu ją z dłoni. Wytrącił i miał czas pomyśleć o tym, że jest znacznie silniejszy, bo spożywał przez wiele lat pełnotłuste mleko, wołowinę w dobrym gatunku, proteiny sprzyjające rozrostowi mięśni. Pomyślał też, że ma przed sobą nędznego, pożałowania godnego kryminalistę, którego znoszoną marynarkę rozerwał w trakcie szarpaniny tak łatwo, jakby to była stara gazeta. Enock zatoczył się, poleciał na ścianę, zasłonił rękami twarz. Ralph zdzielił go pięścią w szczękę: poczuł opór zębów i ból własnej dłoni. Przyskoczył do Enocka, żeby go unieruchomić. Porwał na strzępy już nie tylko marynarkę, ale i starą, przepoconą koszulę, w jakiej ogrodnik stale chodził; przycisnął do ściany mokre, bezwłose ciało, zaczął wa-

lić pięściami w korpus Enocka, powyżej serca, jakby chciał w ten sposób zatrzymać jego bicie. Równy, monotony rytm uderzeń, łup!, łup!, łup!, zawtórował bębnieniu deszczu. Chciał zabić. Chciał zobaczyć, jak jego pięści sprawiają, że Enock się zatacza, słania, potyka, przewraca, rzyga z bólu. Ogarnięty białą gorączką, planował również dalszy ciąg krwawego scenariusza: obuta stopa miała kopać kruchą czaszkę, rozłupywać kości, wybijać i rozrzucać zęby; kopać głowę Enocka tak mocno, żeby aż odskakiwała, i znów kopać po każdym odskoku, gęsto i regularnie, jak maszyna, póki ta kreatura nie zdechnie!

Tego chciał, tak planował. W pewnym momencie zorientował się, że ktoś przemyka w ciemności za jego plecami. Usłyszał, że pies próbuje wstać, ale przewraca się z powrotem. A potem poczuł cios od tyłu, bardzo silny, zadany między łopatki. Miał wrażenie, że został uderzony czymś okazałym, na przykład słupkiem wyrwanym z ogrodzenia; wyobrażał sobie siniak na swych plecach, ogromny, okrągły, jak czarne słońce. Odwrócił się w kierunku napastnika, wolno, bo ruchy miał teraz znacznie mniej sprężyste. Zamajaczyła mu jakaś twarz, odepchnął ją od siebie dłonią. To była obca twarz, Ralph wielokrotnie usiłował ją sobie później przypomnieć, ale nigdy mu się to nie udało. Nigdy nie zdołał również dokładnie sobie uprzytomnić, ile czasu minęło, nim zorientował się, że krwawi. To uderzenie to był cios nożem, Ralph został pchnięty między żebra. Gdy zaczął krwawić, oparł się o ścianę.

Nigdy wcześniej, prawdę powiedziawszy, nie myślał

O tym, że w ogóle ma serce: nie zauważane, nie wspomniane, biło w jego piersi i biło. Ale teraz zaczęło się tak dziwnie szamotać! Ralph opadł na podłogę. Był bezwładny i ogromnie znużony. Czekał na śmierć. „To nic, nic - mówił jakiś wewnętrzny głos - umieranie wcale nie jest takie straszne. To właśnie przeżyć jest ciężko. Śmierć jest ciepła. Krew spływa tak lekko i bezboleśnie, płynie i płynie. Jest ciepło, a wkrótce będzie bezpiecznie...”

Następne chwile już umknęły świadomości Ralpa, umknęły mu na zawsze, bezpowrotnie. Gdy jakiś obcy człowiek wszedł do pokoju, gdzie stała przy kominku ze swym drinkiem w dłoni, Anna nawet nie krzyknęła. Poczowała, że w ogóle nie jest w stanie wydobyć z siebie głosu. Pojęła nagle całą istotę strachu, jego głębię, jego przypominającą orgazm kulminację. Oniemiała, poblądła i odrętwiała, w bezruchu wysłuchiwała żądań tego człowieka: domagał się pieniędzy. Potem wyjęła z górnej szuflady kredensu klucz od misyjnej kasetki, otworzyła ją i dała napastnikowi wszystko, co było w środku. Nawet nie patrząc, co bierze, wpychał pieniądze do kieszeni, same banknoty, bo monety rozsypał, jakby zupełnie o nie nie dbał, jakby wcale nie były pieniędzmi. Anna widziała, jak toczą się na wszystkie strony, wpadają pod meble. Tamten człowiek nie patrzył na turlające się monety, spoglądał prosto w twarz Anny. Pomyślała: „A więc przyszli nas zabić?”

Spostrzegła, że do pokoju wsuwa się jakaś obszarpana postać.

- Enock! - krzyknęła.

Obcy mężczyzna zbliżył się do niej, chwycił ją za ramię. Wściekłość na tyle dodała Annie sił, że była w stanie wyrwać się, złapać butelkę brandy, z której Ralph nalewał jej drinka, potłuc ją o kredens.

„Niech mi ją potem zabiorą -myślała - niech mnie nią oślepią! Ale najpierw ja wydrapię im oczy!”

Po chwili była już sama. Napastnicy zniknęli. Pokój wypełnił się oparami rozlanego alkoholu. Anna miała pod stopami potłuczone szkło, a w ręku szyjkę butelki, dosłownie scementowaną z dłonią, jakby przyrośniętą do kości. Nawałnica nadal tłukła hałaśliwie o dom, lecz ona czuła w sobie dziwną, niebezpieczną ciszę, bolesną i zimną, jak okruch lodu, który utkwiał w sercu.

Za chwilę miała ruszyć się z miejsca i zobaczyć, co straszego, co potwornego wydarzyło się w domu.

Z potłu-

czoną butelką w jednej ręce, a z lampą naftową w drugiej] miała przejść z pokoju do kuchni, zobaczyć swego męża zatopionego w narkotycznym uścisku śmierci. Potem miała przejść z kuchni do pokoju, gdzie pozostawiła śpiące dzieci. I w tym pokoju miała otrzymać swój własny śmiertelny cios- taki, który nie pozostawił na jej ciele najdrobniejszego zadraśnięcia, ale był gorszy, bardziej bolesny od łamania kości i obdzierania ze skóry. Niech tylko wejdzie do tego pokoju, a bezgraniczny ból przeniknie ją na zawsze. Nawet jako osiemdziesięcioletnia staruszka będzie cierpieć z jego powodu równie mocno jak w chwili, gdy jako drobna, blada, czarnowłosa angielska dziewczyna, młoda matka, pokonawszy mroczny korytarz wpadnie do opustoszałego pokoju swych dzieci.

Świt nastał późno. Felicia odeszła, zabierając wszystko ze swojej kwatery; spakowała rzeczy i zniknęła; musiało to być wcześniej ukartowane. Na ścianach kuchni widniały plamy krwi; krew, trochę mniej widoczna, ciemna i szska, pokrywała również czerwoną cementową posadzkę. Ralph leżał spowity w bandażu i blady jak bandaż. Słoneczne światło rozpraszało się, załamywało w nasyconym wodą powietrzu, trawa i zarośla zdawały się poruszać, cała ziemia zdawała się drgać.

Anna słaniała się, krocząc na chwiejnych nogach pomiędzy Salome i pewnym Anglikiem, urzędnikiem w protektoracie kimś w rodzaju śledczego. Powiedział jej, że zostaną podjęte wszelkie niezbędne kroki. I że to, co się wydarzyło, jest historią bez precedensu. „Mrs Eldred - mówił - nigdy dotąd w dziejach tego kraju nie zanotowano przypadku porwania białego dziecka, dwojga białych dzieci, do tego w nocy, wprost z rodzinnego domu, nie, Mrs Eldred, niczego takiego tu dotąd nie było!”

Anna pomyślała: „Skoro brak precedensu, wszyscy pewnie woleliby wierzyć, że ta historia nie może być prawdziwa. Woleliby, żebym powiedziała: tak, zostałam sama z po-

tłuczoną butelką w dłoni, odważyłam się wyjść z pokoju, zobaczyłam męża, który leżał na podłodze na pół martwy, dostrzegłam w świetle lampy krew na ścianach, potem przeszłam do pokoju moich dzieci, zorientowałam się, że ich piastunka zniknęła, stwierdziłam, że drzwi są otwarte, że wszystkie drzwi w całym domu są pootwierane na oścież, wiatr i deszcz wpadają przez nie do środka, zobaczyłam, że łóżeczka moich dzieci są puste... Nie, tu się pomyliłam, na to nie ma precedensu, nikt nigdy o czymś takim nie słyszał, jak można w ogóle opowiadać takie potworności! Pomyliłam się, kiedy pomyślałam, że moje dzieci zniknęły, mój synek Matthew, moja córeczka Kit. One przez cały czas były bezpieczne, zdrowe i całe, szanowny panie policjancie. Naprawdę trzeba było zmyć krew mojego męża ze ścian, zrobiłam to. Ale co do bliźniąt, pomyliłam się. Na pewno się pomyliłam. Bo przecież gdybym miała rację, gdybym nie była w błędzie, gdybym mówiła prawdę, to ta prawda byłaby dla pana, urzędowej osoby, zbyt trudnym do udźwignięcia brzemieniem! Gdyby moich dzieci naprawdę nie było, musiałby ich pan teraz szukać, iść w trop za porywaczami, w roziskrzonym świetle dnia po nocnej burzy, przez kraj zalany wodą i pokryty śliskim błotem, przez nieprzejezdne brody..." Anna wyrwała się Salome i policjantowi, wyrwała się podtrzymującym ją rękami i ruszyła sama przez ogród. Szła, skrzyżowawszy ręce na piersi, szła i szła, błoto oblepiało jej białe stopy, rozmaite stworzenia umykały jej spod nóg.

Była dokładnie dziewiąta rano, kiedy Anna znalazła swoją córkę. Salome i policjant, stojący na werandzie, spostrzegli, że idzie, kuśtyka w ich stronę, niosąc w ramionach coś, co, jak sądzili, było zwłokami niemowlęcia. Widzieli, jak idzie w ich stronę poprzez rozedrgane srebrzyste światło, jakby się przebijała przez tafle szkła, jakby przedzierała się przez niezliczone warstwy luster. Z dzieckiem w ramionach, z jednym tylko dzieckiem, wydobytym z rojącego się węzami rowu, z błotniście brunatnej wody, oblepionym

krwią, zeszywniałym z zimna... Ręce znowu się wyciągnęły, żeby ją podtrzymać, żeby tę osieroconą kobietę i to martwe ciało przyjąć do ludzkiego, człowieczego kręgu.

- Och, Mrs Eldred! - podjęła lament Salome. - Ze też Bóg mimo swej całej dobroci zesłał na panią taką udękę!

I wtedy dziecko zaczęło krzyczeć. Nie był to płacz, tylko przeraźliwy, spazmatyczny krzyk, wrzask, nieprzerwany na wydechu i wdechu, coraz głośniejszy z każdym kolejnym zaczerpnięciem powietrza.

Rozdział 8

Po miesiącu Ralph pisał do swego wuja Jamesa:

Żadnych wiadomości. Jeśli nie będzie żadnych wiadomości w ciągu następnych dwóch tygodni, mamy wracać do Anglii. Bo przecież, jak nam tu mówią, dalsze śledztwo może być prowadzone bez nas, i będzie prowadzone, w to wierzę, jeśli już me w cokolwiek innego. Z drugiej strony boję się myśli o wyjeździe; wyjazd stąd będzie oznaczał przyznanie się przed samym sobą, że nie ma już żadnej nadziei.

Czuję się znacznie lepiej, niż kiedy pisałem ostatnio. Lekarz powiedział, że mogę się uważać za szczęściarza. Roześmiałem mu się w twarz. My z Anną staramy się teraz nigdy nie przebywać w oddzielnych pomieszczeniach, nigdy też nie spuszczaemy z oczu Kit. Ten sam lekarz powiedział, że to reakcja szokowa, która z czasem minie, a na razie musimy się liczyć z pewnymi własnymi dziwacznymi zachowaniami: będziemy się wzdragać na każdy podejrzanym dźwięk, będziemy cierpieć na nocne koszmary... Ja jak dotąd nie miewam koszmarów, bo w ogóle nie śpiam.

Czuję się tak, jakbym żył w jakimś osobnym świecie. Alienacja. Wiem, że to jedno z tych określeń, po jakie się sięga, kiedy człowiek nie wie, jak wyrazić własny stan, ale naprawdę tak się czuję, me inaczej. Jak zawieszony w próżni, żeby określić to ściślej. A może raczej jak powieszony, jak wisielec, któremu podkopano grunt pod nogami albo wypchnięto podpórkę spod stop! Ta kobieta, Felicia, piastunka dzieci, jak ona mogła

coś takiego zrobić? Nie ma wątpliwości, że wszystko było z góry ukartowane. Pisałem już o tym w poprzednim liście: Felicia zawczasu spakowała rzeczy, zabrała wszystko ze swego pokoju. Jej dwaj współnicy mieli ciężarówkę, policja znalazła ślady opon. Felicia została tej nocy w domu, chociaż przez ostatnie miesiące miała zwyczaj wracać do swojej chaty na terenie misyjnej posesji, gdy tylko ułożyła bliźnięta do snu. Sądziłem, że to z powodu burzy wołała zostać na tę noc przy kominku, tymczasem przyczyna była całkiem inna. Gdybym nawet nie wpuścił tych zbirów, ona by to zrobiła. Może powinna być to dla mnie jakaś pociecha, ale nie jest. Nie ma żadnej pociechy. Ja jestem tym, który otworzył im drzwi. Mówili, że potrzebują schronienia. Postanowiłem zrobić dobry uczynek i przez to moje życie rozsypało się w gruzy, obróciło się wniwecz.

James, wyjaśnij proszę mojej matce i ojcu, i Emmie, co tu zaszło, dobrze? To znaczy wyjaśnij im jedno: nie należy się spodziewać, że Matthew został porwany dla okupu. Nie jestem w stanie pisać im o tym w liście, ludzie w Anglii pewnie w ogóle nie wierzą, że zbrodnie tego rodzaju mogą mieć miejsce. Sam bym nie wierzył, ale gdy jeszcze byliśmy w Elim, tamtejszy lekarz, Koos, opowiedział mi kiedyś o morderstwach dla pozyskania ludzkich szczątek na leki. Dlatego kiedy spytałem na policji, w jakim celu ktoś miałby porwać mego syna, a oni mi powiedzieli, zrozumiałem, że powinienem uwierzyć. Policja wie o takich sprawach, nie ma tylko pojęcia, ile dzieci każdego roku uprowadza się i sprzedaje czarownikom. Czasami dzieci, te starsze, włóczą się samopas po buszu. I znikają. Brak doniesień na temat tych zniknięć, bo nikt ich nie składa na policji. Dziecko wychodzi i nigdy nie wraca. Zagryzło je jakieś zwierzę? Zabłąkało się i zginęło z głodu[?] To też, oczywiście, możliwe. Anna przypuszcza, że może Matthew jeszcze żyje, i tego właśnie boi się najbardziej. Mówi: „Jeśli umarł, to nie cierpi”. Jednak nie jest pewna tej jego śmierci. W tej chwili niczego nie jesteśmy pewni. Istnieje możliwość, cień nadziei, że policja aresztuje tych ludzi. Zidentyfikowalibyśmy przecież Felicię i Enocka, bo co do

tego typu, który pchnął mnie nożem, nie mógłbym przysiąc, że go rozpoznam. Gdyby zostali schwytani, może zeznaliby, co się stało z Matthew, jakkolwiek mam wszelkie powody, żeby w to wątpić. Kiedy sprawy tego rodzaju trafiają do sądu, nikt nigdy nie chce składać zeznań. Jak mi powiedziano, tutejsi ludzie za bardzo się boją tych swoich czarowników. Jeśli ich schwytają, pewnie powieszają, ale to nie ma dla mnie znaczenia, nie zależy mi na tym. Chciałbym tylko z nimi porozmawiać, żeby się upewnić, byśmy oboje mogli się upewnić, że nasz synek nie żyje, że możemy się modlić za spokój jego duszy. Trudno się modlić za spokój duszy, gdy się nie pogrzebało ciała. Myślę sobie, próbuję sobie wyobrazić, ile razy ktoś musiał coś takiego mówić w historii tego świata. Na pewno wiele razy, wiele osób, z tym, że część tych ludzi zachowywała, jak przypuszczam, jakąś nadzieję, podczas gdy my musimy się chyba pogodzić z taką oto bolesną myślą: pogrzebu nie będzie nigdy. Jeśli chodzi o tego typu przypadki, policja nie odnajduje dających się zidentyfikować ofiar. Powiedziano mi: „Czasami natrafiamy na ślady”. Zapytałem, co mam przez to rozumieć. A oni, że „pewne substancje w butelkach i słoikach”.

Jak to się stało, że Kit została oszczędzona? Sprawa jest jasna: potrzebny był im chłopiec. Dziewczynkę mogli również zabrać i zabić, ale pewnie nie dostaliby za nią pieniędzy. Osobliwa wielkoduszność: wrzucić dziecko do rowu, w czasie szalejącej burzy. Mogła się utopić albo umrzeć z zimna, zanimby ją ktoś znalazł, mogło ją zagryźć jakieś zwierzę. Myślę, skoro to się nie stało, że po prostu została przeznaczona dla życia, tak jak jej brat dla śmierci. Zawsze będę zmuszony nad tym rozmyślać. I nie sądzę, żeby z upływem lat miało mi być łatwiej to zrozumieć.

Kit to mocny dzieciak. Dużo teraz płacze, za bratem, jak się nam zdaje, ale jest za mała, byśmy jej mogli cokolwiek wytłumaczyć. W jakimś sensie to szczęście w nieszczęściu, błogosławieństwo; jak widzisz, James, usilnie teraz szukam błogosławieństw. Nie będzie pamiętała, co się wydarzyło.

Postanowiliśmy nigdy jej o tym nie mówić. Bo jak, na Boga, można by

o czymś takim powiedzieć, od czego zacząć, jakich użyć słów? Chciałbym, żebyś przekonał moją matkę i ojca, i Emmę, żebyś ich przekonał, żebyś im wpoił konieczność oszczędzenia Kit, kiedy dorośnie, wiedzy o tej straszliwej sprawie. Ta wiedza skaziłaby przecież całe jej życie!

Żałuję, że opuściliśmy Anglię. Bodajbyśmy nigdy tego nie robili! Nie wierzę, by cokolwiek dobrego, co mogliśmy tutaj zdziałać, miało nam wynagrodzić choć w setnej części to, cośmy przecierpieli, to, przez co będziemy dalej cierpieć w naszym życiu. Nie wydaje mi się rzeczą prawdopodobną, byśmy w ogóle kiedykolwiek mogli prowadzić życie takie, jak inni ludzie, zwyczajne, normalne. Byśmy w ogóle mogli znowu poczuć się w życiu bezpiecznie.

Nie udzielaj mi rad, żebym się modlił, nie sądzę, by modlitwy mogły tu czemuś służyć. O co miałbym się modlić? I do kogo?

Wcześniej, obserwując świat, nie odnajdywałem w nim przekonującego świadectwa dobroci Boga, ale zdecydowałem się w nią wierzyć, bo sądziłem, że wiara jest tutaj bardziej konstruktywna od niewiary. Wybierałem wiarę, bo uważałem, że nie wierząc optowałbym na rzecz chaosu. Myślałem: jest w świecie przynajmniej pewien ład, jakiś postęp, jakaś zasada, jakiś sens. Gdzie teraz szukać tego sensu? Obwinialiśmy samych siebie, jednak bez większego przekonania. Gdybym rozprawił się wcześniej z tym Enockiem, gdyby Anna go nie uraziła gdybym nie otworzył drzwi... Przyznaję, że dokonywałem wyborów i były one złe, ale myślę też, że nasze życie zrujnował zły traf. Zły traf, więc jakież tu ład, jaki sens, jakie rozsądne uzasadnienie, że tak, a nie inaczej musiało się wydarzyć.

James czytał ten list w swoim gabinecie w przytułku na East Endzie. Zza wątej, rachitycznej ścianki słyszał głosy godnych politowania ludzi, jakich miał po opieką. Słyszał typowe wieczorne hałasy: szurgotanie krzeseł przy kolacji, pobrzękiwanie łyżek. I słyszał wielokrotnie powtarzany, obłąkańczy krzyk jednego ze stałych bywalców schroniska,

włóczęgi dotkniętego starczą demencją: „Tommy tego nie zrobił, Tommy tego nie zrobił, Tommy nie... On nigdy...” James pomyślał: „Prawda, Tommy tego nie zrobił, to zrobił Enock... Czyżby? Czy można spychać na niego winę? Przecież to zrobił Bóg, Ralph w każdym razie tak uważa. To zrobił Bóg, jak można myśleć inaczej, skoro Bóg stworzył nas, skoro uczynił nas takimi, jacy jesteśmy, skoro jest wszechmocny i wszechwiedzący? Jak można nie dopatrywać się tu boskiego czynu, boskiej ręki? Ralph teraz uważa, że Bóg działał za pośrednictwem Enocka, tak samo jak kiedyś działał za pośrednictwem Hitlera. Ralph uważa, że to Bóg wbił nóż w jego plecy i porwał mu dziecko, żeby je pociąć na kawałki, zrobić sekcję na żywo!”

James poczuł w ustach napływ śliny i żółci. Z trudem zdołał nie zwymiotować. Wstał z fotela, wspierając się na poręczach. Myślał: „Żeby tu tylko nikt teraz nie wszedł, nie mógłbym spojrzeć nikomu w oczy, nie mógłbym teraz spojrzeć w żadne ludzkie oczy! Zwierzęta są lepsze niż my, bo robią to, co muszą. Chwytają, rozszarpują, wysysają krew, bo taka jest ich natura, Bóg je takimi uczynił i nie dał im wyboru”.

Przeszedł ciężkim krokiem przez pokój do małego okienka, zakratowanego dla ochrony przed złodziejami. Spojrzał na East End: wieczór, jesień, wiatr zwiewa do rynsztoków śmieci i kapuściane liście z jakiegoś ulicznego targowiska; białawe żyłki na liściach jaśniały w mroku. Wczesny wieczór i wczesna jesień, początek długich miesięcy deszczu i mgły, a potem mokrego śniegu i marznącego błota. James myślał: „Bóg musiał dać swemu najdoskonalszemu tworowi wolność czynienia zła, taka jest cena danej mu wolności wyboru. Zwierzęta nie mają wyboru, tym się od nas różnią. Gdybyśmy nie mieli wolności wyboru zła, nie bylibyśmy ludźmi. Nie byłoby w nas człowieczeństwa. Muszę mu coś takiego powiedzieć - myślał James - muszę powiedzieć coś takiego jego nieszczęsnej żonie. Nie powiem im tylko czegoś innego, co często przychodzi mi do głowy, że zwierzęta,

nie mając wyboru i nie popełniając w związku z tym żadnych zbrodni, otrzymują gwarancję raju, podczas gdy my, boskie małpy, możemy być za nasze przewinienia skazani na wieczną ciemność i chłód".

Hałas za ścianą wzmógł się, Jamesa dobiegły jakieś przekleństwa. Bez wątpienia kroila się jakaś bójka, może któryś bezdomny starzec już upadł, może wyciągnął nóż? James odwrócił się od okna, spojrział na swe oblicze, odbite w zmatowiałym lustrze, które wisiało na przeciwległej ścianie. Dostrzegł wychudzonego, zasuszonego starego człowieka. Steranego ciągłym, przez całe życie ponawianym wysiłkiem pokory i wiary. Zaczął mówić głośno, jak gdyby Ralph i jego żona byli w tym samym pokoju:

- Anno, nie ma nic... nie ma nic gorszego... nic bardziej uciążliwego... nic tak zatrwajająco trudnego... jak bycie człowiekiem...

Głos zamarł mu w gardle. James pomyślał: „Będę musiał koniecznie zdjąć to lustro. Szkło może być niebezpieczne w takim miejscu".

Gdy Ralph i Anna wrócili do Anglii, od razu zaczęli szukać dla siebie domu. Życie to na nich wymusiło, bez względu na wszystko trzeba było jakoś istnieć i podejmować pewne decyzje. Anna nie chciała z nikim rozmawiać o utraconym dziecku.

- Jaki byłby w tym sens? - pytała. - Przecież i tak nikt nie weźmie na siebie choćby części tego, co czuję, nikt nie wnuknie w moje cierpienia!

- Anno, nie dodawaj sama sobie bólu do tego, który już ci zadano - mówił James. - Ludzie tak robią, kiedy zostają zranieni, ranią się dodatkowo, mnożą ból. Nie bądź okrutna sama dla siebie. To wszystko, o co cię proszę.

- Prosisz o wiele - wtrącił się Ralph.

- Niedługo, James, będziesz mnie prosił, żebym wybaczyła - rzekła Anna obojętnym, beznamietnym tonem, jakim zazwyczaj teraz mówiła.

- Nie. Nie będę prosił. Jeszcze nie.
- To dobrze. Nie mogłabym się na to zdobyć.
- Anno, ale jeśli możesz się zgodzić, że są pewne rzeczy, których Bóg nie chce, nad którymi do końca nie panuje... poproś Go, by ci dodał otuchy... chociaż to bardzo trudne, wiem...
- To niemożliwe - stwierdziła Anna. - Prosiłam Boga, żeby mi dodał otuchy, kiedy w Elim, wracając co wieczór do domu, widziałam pobitych ludzi, którzy czekali na mnie na werandzie. Jednak Bóg nie odezwał się, James. Bóg nie zrobił nic. A jeśli sama chciałam coś zrobić, nie pozwalał mi przekraczać ciasnych granic, kiedy próbowałam czynić dobro, czułam, jak Jego miłość krępuje mi ręce niczym para kajdanków. Cóż mogłam zaoferować tamtym ludziom? Bandaże i komunały. Gdybym była swobodniejsza, gdybym mogła pojechać do Kapsztadu z rewolwerem w torebce i zastrzelić doktora Verwoerda, no, wtedy zrobiłabym coś rzeczywiście dobrego dla świata! Albo, James, kiedy znalazłam się w tym samym pokoju z człowiekiem, który zamierzał zabić moje dziecko: miałam w ręku potłuczoną butelkę, gdybym tak mu nią przejechała po oczach? Może bym mu pocięła te oczy w plasterki, może by mi się udało tak naruszyć mu żyły, żeby się wykrwawił na śmierć? Wtedy zrobiłabym coś rzeczywiście dobrego, James!
- Anno... - zaczął wuj. Dostrzegła lęk w jego twarzy.
- Nie martw się - powiedziała. - Zostaw mnie tylko w spokoju, to i ja tobie dam spokój. Ty nie będziesz przychodził do mnie ze swoją teologią, ja nie będę przeszkadzała Ralphowi w wypełnianiu tego, coście mu zaplanowali. Miał przejąć fundację, prawda? Nie widzę powodu, żeby zmieniać ten plan. Nieważne, co ja o tym myślę w głębi duszy. Nikt nie jest w stanie się dowiedzieć ani sobie wyobrazić, co w ogóle myślę w głębi duszy. Mogę obiecać, że nie zerwę się w kościele z ławki i nie zacznę wykrzykiwać, że to

wszystko blaga i lipa. Przecież my, Ralph i ja, jesteśmy zawodowymi chrześcijanami, czyż nie? Przecież utrzymujemy się z chrześcijaństwa, chrześcijaństwem zarabiamy na życie. Dlaczego mielibyśmy być biedni, skoro każdy hipokryta jest bogaty?

Nikt nie widział, żeby Anna płakała - ani wcześniej, ani później. Emma umiała od razu to wyjaśnić, kiedy tylko zobaczyła Annę na lotnisku: „Ona jest za bardzo wściekła, żeby płakać. Ona jest tak wściekła, że prawie nie może oddychać”.

Dom znaleźli raczej łatwo. Przyjaciel Emmy, Feliks, wywiózł ich bocznymi drogami daleko poza Norwich, które po pobycie na odludziu robiło na nich wrażenie wielkiej, ruchliwej metropolii. Zatrzymał samochód pod drzewem, przed rozłożystym, niezbyt proporcjonalnym budynkiem z czerwonej cegły.

- Temu domowi - powiedział - trzeba by poświęcić sporo pracy, ale można w nim bez trudu pomieścić i biuro, i rodzinę.

Zerknął przez ramię na Annę, która siedziała z tyłu. Nie było sensu unikać słowa „rodzina” - Anna spodziewała się dziecka. Zdaniem wszystkich ta ciąża to była najlepsza rzecz, jaka się jej mogła przydarzyć.

Weszli do środka.

- To salon - objaśnił Feliks.

Anna zwróciła uwagę, że wysokie okna salonu są ochlapane błotem; Ralph spostrzegł, że te okna mają ładne, stare okiennice z sosnowego drewna. Jemu podobały się szerokie schody i wysoki strop; ona czuła, że dom jest przesiąknięty zapachem pleśni zmieszany z zastarzałą wonią dymu z kominka.

Ralph powiedział:

- Musimy mieć ten dom.

Anna pokręciła głową. Jednak w tym samym momencie poczuła, albo wydawało się jej, że poczuła, ruch dziecka,

które nosiła w sobie. Uznała ten ruch za żądanie, za znak. Chciała mieć więcej dzieci, wiele dzieci, chciała nimi wypełnić bolesną pustkę.

Przeprowadzili się do nowego domu na trzy miesiące przed narodzinami Juliana. W dwa miesiące natomiast po tych narodzinach zmarł ojciec Ralpa. Jego śmierć była dla wszystkich szokiem, bo wydawał się mężczyzną w dobrej jeszcze kondycji. Jednak straszna i niepojęta wiadomość, jaka nadeszła z Afryki w pierwszym po tragedii liście Ralpa, była ciosem, który go powalił i po którym już się nie podniósł. To, co się wydarzyło, wprawiło go w stan nieprzerwanej konsternacji. Był bliski utraty zmysłów, on, który zawsze tak bezwzględnie panował nad sobą i własnym życiem! Ale z tym problemem nie umiał sobie poradzić. Porwanie dziecka, którego nie widział, w kraju, którego nie potrafił sobie nawet wyobrazić! Kiedy Ralph wrócił, ojciec zupełnie nie był w stanie z nim rozmawiać, niechętnie nawet przebywał w tym samym, co on, pomieszczeniu.

- Dla niektórych - mówił James - cierpienie jest czymś nieprzyzwoitym. Nie są w stanie patrzeć na cierpiącego człowieka. Jakby mieli mu za złe, że cierpi.

Stary Matthew częściej niż kiedykolwiek dotąd zaczął ulegać nagłym napadom złego nastroju, porywom oburzenia na kiepski stan spraw tego świata. Narodziny Juliana, drugiego wnuka płci męskiej, wzbudziły w nim żal za tym pierwszym, lęk i furję.

- I po coś ty tam jechał? - odezwał się któregoś dnia do Ralpa. - Nie musiałeś wyjeżdżać. Misjom potrzeba personelu, to wiem, ale ty nie musiałeś jechać, nie powinienesz być jechać, znalazłoby się wielu znacznie bardziej doświadczonych ludzi na twoje miejsce. To pycha sprawiła, że pojechałeś, tak myślę, tylko pycha. Zawsze chcesz przeskoczyć samego siebie, zawsze ci się zdaje, że wszystko wiesz lepiej. To twoja największa wada, chłopcze!

- Chcesz wiedzieć, dlaczego wyjechałem do Afryki?!

wybuchnął Ralph. - Powiem ci, proszę bardzo. Wyjechałem, żeby się uwolnić od ciebie!

W dzień po tej scysji Matthew miał wylew. Ralph nigdy więcej z nim nie rozmawiał, to znaczy mówił do niego, ale ojciec nie dawał żadnych znaków, że słyszy i rozumie. Mimo wszystko, coś kazało Ralphowi w to wierzyć. Dlatego szeptał:

- Wybacz mi, tato, wybacz mi wszystko, co zrobiłem, żeby cię zranić, i wszystko, czym cię zraniłem, chociaż nie robiłem tego z taką myślą!

Ralph czuł, że przy łożu śmierci ojca dojrzewał. Mówił sobie: „Przecież on, kiedy mnie tak źle, bezlitośnie potraktował, wcale nie był jeszcze stary. Ciągłe się uczył tego świata, przygniatał go ciężar odpowiedzialności. Przecież niełatwo być ojcem. On bez wątpienia nie działał w złej wierze, on bez wątpienia postępował najlepiej, jak potrafił!" Mówił do ojca:

- Tato, proszę, wybacz mi, jak ja tobie wybaczam... Ojciec zmarł po trzech dniach, nie wypowiedziawszy słów przebaczenia.

Cóż robić ze zwykłym żalem, ze zwykłym poczuciem winy? Tamto wielkie nieszczęście stępiło wszelkie emocje. Matka powiedziała Ralphowi:

- Nic już nie może cię bardziej zranić. Nic ci nie może przynieść cierpienia większego niż to, które już przecierpiałeś. Nie spodziewam się, że będziesz płakał po ojcu, Ralphie. Po prostu go pochowajmy. Po pogrzebie męża Dorcas wprowadziła się do Ralpa i Anny, wsunęła się w swych bamboszach na suknie do ich targanego przeciągami nowego domu.

Nie jest łatwo przyjechać z Afryki, nawet gdyby warunki sprzyjały, a powrót był planowany. Lęk przed karaluchami i mrówkami nigdy nie zanika od razu, słabnie stopniowo. Z początku każda plamka na ścianie przybiera kształt pełzającego kleszcza; przez cały czas trwa się w czujności, czło-

wiek nie jest w stanie spokojnie usiedzieć w promieniach nieszkodliwego angielskiego słońca, w otoczeniu zawzięcie bzykających, lecz nieszkodliwych angielskich owadów. Musiał minąć więcej niż rok, nim Anna mogła pozwolić sobie na pozostawienie na stole kubka czy talerza z resztkami po posiłku. Wcześniej natychmiast chwytiała i myła każde takie naczynie, bojąc się, że żarłoczne insekty pokryją je w mgnieniu oka grubą, coraz to grubszą mrowiącą się powłoką. Ludzie mówili: „Biedna Anna, jest ciągle w biegu, bez chwili wytchnienia, ta dziewczyna się zamęcza!” Wszystkie te słowa szablonowego ludzkiego współczucia mogły Annę tylko drażnić; nikt nie potrafił znaleźć słów odpowiednich do tragedii, jaka miała miejsce w jej życiu. Annę drażniła także zimowa Odzież: skórzane buty ocierały i cisnęły, ciepłe, wełniane ubiory krępowały ruchy.

A sama Anglia, sam kraj? To był ogromny przeskok. Tam, w Afryce, białe, intensywne światło słoneczne zacierało różnice między kolorami i spłaszczało perspektywę. Tutaj dominowały przez większą część roku skonstrastowane, wykluczające się nawzajem barwy z palety starych mistrzów: sjena, palona umbra, indygo. Gęste choiny stały w zacienionych szeregach; ciemny brąz ich gruboziarnistej kory mocno odbijał od zieleni szpilek. O zachodzie słońca siwe pnie brzoź połyskiwały srebrem. Powietrze było rześkie, nocami pohukiwały sowy. Wiosną i latem wszystko dookoła miała przesłonić wielowarstwowa zieleń; Anna wiedziała, że nawet mury porosną wtedy mchem, a płoty pokryją się porostem. Konie będą drzemały z pochylonymi łbami w cieniu wiązów, opędzając się leniwie od much.

I od czego tu zacząć? Jak wytyczyć marszrutę powrotu z pustyni? Co powiedzieć? Co trzeba powiedzieć, co można powiedzieć ludziom? Komu dać prawo do całej historii, a kogo utrzymywać w dystansie półprawdy?

Rodzice Anny fakty poznali - prawdopodobne fakty -jednak w rozmowach nie przywoływali ich nigdy. Rzekomo chcieli oszczędzić tego córce, lecz tak naprawdę oszczędzali

tego sobie. Nie byli w żaden sposób przygotowani do katastrofy. W życiu czcili rutynę, monotony porządek, coś takiego, jak wydarzenie było dla nich rzeczą podejrzaną i w złym guście; uważali, że ktoś, komu się cokolwiek w życiu przydarza, po prostu popisuje się przed innymi. Pani Martin mówiła: „Oczywiście, to straszne, okropne, potworne! Ale ja przede wszystkim mam jemu za złe - oczywiście nigdy mu tego nie wytykam! - że ją tam zawiózł. Mógł mieć porządną pracę tu, u boku własnego ojca, nie potrzebował jechać na koniec świata”.

Martinowie spędzali większą część życia dmąc w trąbkę wiary chrześcijańskiej, urządzając dobroczynne kiermasze i wystawy kwiatów. Starali się, żeby przedstawicielom czarnej rasy też coś skapnęło z tych zgromadzeń dziarskiej angielskiej młodzieży, obznajomionej, obok innych biblijnych ksiąg, także z „Księgą Hioba”. Nie spodziewali się jednak, że pewna młoda angielska dziewczyna zjawi się kiedyś w ich saloniku na tyłach sklepu odrętwiała i oniemiała z cierpienia. Nie przypuszczali, że „Księga Hioba” może mieć jakiegokolwiek zastosowanie praktyczne.

Cóż powiedzieć przyjaciółom rodzin? Oboje mieli opory przed ujawnianiem szczegółów; Ralph większe niż Anna. Rozumował w ten sposób: „Jeśli im powiemy, co wedle naszych przypuszczeń się stało, dolejemy tylko oliwy do ognia ich plugawych uprzedzeń; wiadomo, to dzikusy - będą mówili z jeszcze większym niż dotąd przekonaniem o wszystkich Afrykanach”.

Lepiej więc było powiedzieć tylko tyle: „Utraciliśmy dziecko”. Zasłona tych słów kryła wszystko. Mało kto dalej wypytywał. Wszyscy raczej z zakłopotaniem wycofywali się z rozmowy, jakby się bali, że któreś ze zrozpaczonych rodziców mogłoby paść przed nimi na podłogę i uderzyć w gwałtowny lament. Było rzeczą zaskakującą, jak bardzo ludzie okazali się obojętni, nawet ci, którzy wedle własnych słów modlili się za Annę i Ralpha każdej niedzieli. Ralph obawiał się natrętnych pytań, tymczasem spotykał się z obojęt-

nością, w jakimś sensie bolesną, wręcz obelżywą. Dokonał na swój użytek odkrycia znanego wszystkim, którzy wyjeżdżają na dłużej gdzieś daleko, a potem wracają: tych, których nie ma, przestaje się traktować jak realnych ludzi. Kto z oczu, to i z serca. Nikt, nawet najbardziej szczodry darczyńcy na rzecz misji, nie chciał słyszeć niczego o Afryce.

W pierwszych latach po powrocie Anny i Ralpha ich krewni i przyjaciele kryli zasłoną milczenia ogromny obszar spraw, jakie mogły się bardziej lub mniej bezpośrednio kojarzyć z tym, co zaszło: w domu powieszzonego nie mówi się o sznurze. Z czasem wolno, ostrożnie zaczęła powracać normalność. Przestano się cenzurować w rozmowach, przestano się pilnować przed jakąkolwiek wzmianką o Afryce, przestano programowo niczego nie zauważać, kiedy w gazetach ukazywało się zdjęcie jakiegoś zaginionego dziecka. Wymiary pola milczenia skurczyły się: ostatecznie pozostała tylko niewielka zakazana strefa, w którą nikt nie wkraczał, w której tajemnica została zamknięta na zawsze. Czy, uwięziona, straciła moc? Przeciwnie, jeszcze ją zyskała; Ralph zdawał sobie z tego sprawę. Dręczył go sen o zmywaniu krwi, o zmywaniu jego własnej krwi z cementowej podłogi. Krwawa plama pojawiała się wciąż na nowo, jak w komnacie Sinobrodego. Ralph zrozumiał przesłanie tamtej baśni: nie można zmasać krwi. Żadne zło nigdy nie zanika. Zło jest energią, a więc czymś niezniszczalnym, czymś, co nie ginie, a tylko zmienia formę.

Po kilku latach Ralph stał się, za sprawą własnych zabiegów, człowiekiem stale zajęтым; pogrzebał przeszłość pod zwałem codziennych obowiązków. Anna widziała, jak jej mąż się zmienia, jak kultywuje coraz bardziej zawzięcie płytką, powierzchowną dobroć i jowialność; mogła sobie wyobrazić, że pod przybraną maską kotłują się jednak, kipią prawdziwe myśli, naznaczone poczuciem straty i winy. W codziennym życiu Ralph stał się mężczyzną wymagającym i trochę zrzędlwym; pozostał w nim jedynie cień dawnej łagodności i dopiero u dorastających synów Anna miała

okazję dostrzec to, co widziała wcześniej u niego. Uświadomiła sobie zresztą bardzo wcześnie, jeszcze w Elim, że dobroć Ralpa jest mocno podszyta obojętnością, że jego troska o sprawy innych ludzi to cecha w dużym stopniu wystudiowana i wypracowana siłą woli. Teraz musiał ją tym bardziej ciężko wypracowywać, musiał o nią walczyć.

W latach siedemdziesiątych fundacja, którą zarządzał Ralph, stała się jednym z zasobniejszych w swej kategorii przedsięwzięć dobroczynnych w kraju. Udało się uzyskać dla niej patronat jednego z członków rodziny królewskiej. Ralph w głębi duszy lekcewał tego młodego człowieka, lecz musiał go tolerować za cenę wysokiego poparcia dla swych własnych dążeń. Rozbudził w sobie wielkie ambicje: wszędzie, w każdej możliwej sferze zainteresowań fundacji chciał wszystko poprawiać, wszystko ulepszać. Codziennie rzucał się w wir działań, rzeczywistych albo pozornych: listy we wszystkich kierunkach, telefony, wojaże po całym hrabstwie oraz do Londynu, inseraty i osobiste apele, kampanie prasowe, kwestarskie objazdy. Zaangażował się w najszerzej rozumianą działalność polityczną; zaczął się udzielać jako niezależny ekspert w sprawach społecznych; odremontował schronisko na East Endzie, narzucił mu nowe cele i metody funkcjonowania. Kiedyś udzielił wywiadu „Guar-dianowi”, innym razem czasopismu „New Society”; czasami zapraszano go do studia telewizyjnego, by wziął udział w jakiejś jałowej dyspucie z ludźmi, którzy mieli inne niż on poglądy na temat narkotyków, polityki mieszkaniowej czy szkolnictwa. W londyńskim schronisku gotów był zajmować się najdrobniejszymi detalami, nawet zaopatrzeniem w spinacze i poszewki; poświęcał mnóstwo czasu nachmurzonym, zamkniętym w sobie młodym ludziom, którzy stanowili teraz główną część pensjonariuszy i których uważał za swych osobistych podopiecznych. W Norfolk stał się znany jako jeden z tych facetów, do których można dzwonić w każdej kłopotliwej sprawie. Nowatorstwo jego pomysłów niekiedy wprawiało w osłupienie lokalny dziennik „Eastern Daily

Press". Tak... Ralph z pozoru wydawał się sądzić, że siłą własnej woli potrafi doprowadzić do każdej zmiany na lepsze, naprawić świat. Jednak w głębi duszy, jak przekonana była Anna, z pewnością wiedział, że to tylko iluzja. Czczą iluzja, nic więcej.

Przez mniej więcej rok od powrotu z Beczuany Anna starała się z całych sił zatrzymać w sobie przeszłość, każdy jej najdrobniejszy szczegół. Bała się o cokolwiek zapomnieć; zapomnienie wydawało jej się aktem zdrady wobec własnego dziecka, które przecież - nie było podstaw, żeby wykluczyć taką ewentualność - mogło wciąż jeszcze żyć. Ciągłe przywoływała w pamięci wszystkie kolejne wydarzenia z okresu pobytu w Mosadinyanie: od przyjazdu na stację kolejową w wygwieżdżoną noc po wyjazd, z bagażami spakowanymi dla niej i Ralpha przez pełnych współczucia obcych ludzi. Jednak, chociaż ból pozostawał wciąż świeży i ostry, wspomnienia nieuchronnie zaczęły blednąć i tracić wyrazistość. Szczegóły drobnych, codziennych wydarzeń uciekały w niepamięć. Niezatarły wydawał się tylko obraz tej jednej nocy z nawracającym łoskotem gromów i nieustannym werblem deszczu, z krwią Ralpha, w której dłonie Anny musiały się nurzać aż po nadgarstki. Po dwu, trzech latach wewnętrzna spójność nawet tego wspomnienia zaczęła jednak ulegać rozpadowi. Ze zwartego dotąd ciągu scen przechodzących płynnie jedna w drugą w pamięci Anny pozostał zlepek obrazów, z których jedne były nadal ostre i wyraziste, a inne porozmywały się w plamy luźnych impresji.

W dniu przyścia na świat Juliana Anna nie wykazała żadnego zainteresowania zaoszczędzeniem sobie bólu czy ułatwieniem zadania wszystkim tym, którzy jej asystowali przy porodzie.

Zaaplikowano jej narkozę: skwapliwie zapadła w sen, wcale nie mając chęci się budzić. Uznała, że anestetyk to coś lepszego niż powietrze; zrozumiała, że zapomnienie jest właśnie tym, czego pragnie.

Gdy podano jej po raz pierwszy Juliana - miłego, czystego, różowiutkiego dzidziusia, obmytego wcześniej i zdezynfekowanego nieczuły-

mi rękami pielęgniarki - wzdrygnęła się, zawahała przed wzięciem go w ramiona. Jakby ją coś od tego dziecka odpychało, jakby nie chciała obciążać się brzemieniem żadnych nadziei czy oczekiwań co do tej zamotanej w powijaki kruchej drobiny ludzkiego istnienia. Potem spróbowała udać sama przed sobą, że nigdy nie miała innego syna, że widzi swego syna po raz pierwszy w życiu. Julian, który wtulał się właśnie ufnie w ramiona ojca, miał złotawe kędziorki i łagodne jasne oczy. Nie bardzo przypominał tamto dziecko: drobne, bystre, śniade, ciemnowłose...

W pierwszych latach po powrocie z Afryki osobą ogromnie wobec Anny przyjazną okazała się matka Ralpa, Dorcas. Ta małomówna i skryta stara kobieta zawsze była przy niej jako ktoś nieodmiennie życzliwy, ktoś, na kim można polegać. Do szwagierki Emmy - apodyktycznej, ciekawej ludzi i zdarzeń, tryskającej energią i świeżo zdobytą wiedzą młodej lekarki - która przyjeżdżała z Norwich w co drugą sobotę, Anna z początku odnosiła się z rezerwą. Prawdę mówiąc, z rezerwą odnosiła się do całego zewnętrznego świata; były dni, kiedy w ogóle nie chciała, nie była w stanie wyjść z domu, bo pojedyncze słowo, rzucone przez kogoś obcego, wprawiłoby ją w ogień i dreszcze, bo nie zdołałaby unieść głowy na tyle, by spojrzeć w czyjąkolwiek twarz.

Czasem budziła się z prawą dłonią zaciśniętą w przykurczu, jakby wciąż w niej trzymała potłuczoną o misyjny kredens butelkę. Przez półtora roku nie pozwalała wystawić łóżeczka Juliana ze swego pokoju. Dopiero gdy urodził się Robin, to znaczy gdy pod jej opieką znalazło się młodsze, węższe dziecko, Anna przestała wreszcie wstawać po wielokroć w ciągu każdej nocy i sprawdzać, czy Julian oddycha. Kiedy Kit poszła do pierwszej klasy, z trudem pozwoliła wyperswadować sobie pomysł oczekiwania na nią przez cały czas lekcji przy szkolnej bramie.

Ludzie zwracali oczywiście uwagę na jej dziwaczne zachowanie. Mówili: „Anno, przecież skoro jesteś wykwalifi-

kowaną nauczycielką, a teściowa może ci pomóc w opiece nad dziećmi, dlaczego nie wracasz do pracy? Potrzebne ci jest jakieś zajęcie, żebyś nie mogła tyle myśleć o własnych troskach". Ludzie dziwili się, czemu Anna tak rzadko pojawia się poza domem, dlaczego nie włącza się w to, co jej matka określała mianem „czynnego zainteresowania pracą charytatywną”.

Gdy pod znakiem takich tyleż uporczywych, co irytujących ludzkich zdziwień i napomknięć minął rok, a potem dwa, siostra Ralpha, Emma, wzięła kiedyś Annę na bok i przeprowadziła z nią rozmowę. Był właśnie najodpowiedniejszy moment, był już najwyższy czas na tę rozmowę, która miała uratować Annie życie. Zwykła rozmowa, zwykłe, banalne słowa, jakże jednak ważne dla kogoś, kto po prostu umiera.

- Anno - zaczęła Emma - jakoś mi nie wyglądasz najlepiej, często łapiesz zadyszkę, pozwoliłabyś się osłuchać? Lekarz oczywiście nie powinien kurować własnej rodziny, ja też nie będę tego robić, tylko ci powiem, czy nie dzieje się coś jednoznacznie niepokojącego.

- To nic, nic się nie dzieje - stwierdziła Anna. - Ta za-dyszka to przez zimne powietrze, ja zresztą zawsze miałam coś takiego.

- Naprawdę? - zainteresowała się Emma.

- Tak, naprawdę. W sobie jestem dość silna, ale nigdy nie mogłam dużo biegać. Nawet jak byłam mała. Nie zauważyłaś, co się ze mną dzieje, jak wbiegnę na górę po schodach?

- Nie. A co się dzieje?

- Serce mi wali - odpowiedziała Anna. - Zawsze to miałam. Tylko w Afryce nie. Tam nie było schodów...

- Że też nigdy nie zwróciłam na to uwagi - pokręciła głową Emma. - Ależ idiotka ze mnie!

Po badaniu Emma była w stanie powiedzieć Ralphowi, że Anna ma nieznaczną wadę zastawki: nic, co by wymagało Operacji, nic, co by mogło być niebezpieczne dla życia, nic,

co miałyby kiedykolwiek doprowadzić do objawów poważniejszych niż te, jakie miała przez całe życie i o których nigdy nawet nie myślała ani nie mówiła.

- To dość powszechna dolegliwość - tłumaczyła Emma, starając się właściwie wyważyć proporcje pomiędzy pocieszeniem a ostrzeżeniem. - Ale ty, Ralph, musisz zapewnić jej spokój. Ona ma dość zajęć z domem i dziećmi, nie możesz pozwolić, żeby ktokolwiek ją zamęczał namowami do wspierania amatorskich przedstawień, do urządzania tych kretyńskich kwiatowych festiwali czy do odwiedzania starych plotkarek, zdrowszych niż ona. Jak ludzie będą ci truli, żeby coś tam robiła, oprzyj się wygodnie w fotelu, zmarszcz brwi i powiedz: „Pięknie, moi kochani państwo, ale czyżbyście nie wiedzieli, że żona ma kłopoty ze zdrowiem?”

Kłopoty ze zdrowiem... Ralph chciał się dowiedzieć, czy to strach przeszkadza Annie oddychać, czy to strach dławi jej gardło?

- Bardzo trudno jest tu oddzielić przyczynę od skutku - mówiła Emma. - Anna miewa napady lękowe, wiem, że tak, zauważyłam to u niej. Trudno się dziwić, jeśli się weźmie pod uwagę, przez co przeszła. Ktoś, kto w życiu musiał bardzo się bać, może nieraz nawet uważać, że już sobie z tym poradził, że już jest górą, już poukładał sobie wszystko w umyśle. I bardzo dobrze, umysł ma swoje strategie obronne. Ale ciału potrzebne są inne. Ciało ma własną pamięć.

- Ale ta wada, serce, zastawka, mówisz, że to nie ma nic wspólnego z napadami lęku, że to osobna sprawa?

Emma zawahała się.

- Nnno... tak... raczej tak., to coś osobnego, coś i nic. Ale widzisz, Ralph, ludzie mają w sobie tyle ignorancji i okrucieństwa... I nie uznają duchowego bólu za stosowny powód unikania czegokolwiek. Lubią mówić cierpiącemu: „Opamiętaj się!” Chybabym nie zniosła, gdybym miała usłyszeć, jak ktoś poucza w taki sposób Annę, a obawiam się, że już niedługo ludzie zaczną to robić. Ale ludzie, możesz mi wierzyć, nawet ci najbardziej bezwzględni, mają

wzgląd dla chorych na serce. Do chorób serca podchodzi się, powiedziałabym, z wielkim szacunkiem, naprawdę z wielkim szacunkiem.

Ralph zaczął mówić:

- Czasami ja też czuję paniczny strach. I gdzieś tutaj -przyłożył rękę do gardła - czuję ciężar, jakby mi coś utkwilo. Tylko że wtedy... ja po prostu działam dalej!

- Tak to już jest w przypadku mężczyzn. Po prostu działają dalej. Nie wydaje ci się, że często kosztem najbliższego otoczenia? - odezwała się Emma.

I pomyślała: „Posiedzą sobie przed telewizorem w czasie dziennika, posarkają, że politycy to głupcy, i już im lepiej, lżej. Jak który się bardzo zeźli, to kogoś uderzy i jeszcze go inni będą za to podziwiać. Mężczyźni zasiadają w zarządach, forsują nowe prawa. To, co ich dręczy od środka, wyrzucają na zewnątrz, zawsze umieją znaleźć kogoś, na kogo można zwalić winę. A kobiety... Kobiety dławią wszystko w sobie". Po czym dodała na głos:

- Mężczyźni działają, a kobiety chorują.

- Coś mi to wygląda na rażące uproszczenie - stwierdził Ralph.

- Bo to jest uproszczenie, oczywiście, że jest - zgodziła się Emma. - Ale w tej chwili, Ralph, nie chodzi nam o precyzję rozumowania, tylko o to, żebyś mógł pomóc żonie. Coś ci podrzucam, więc łap. I wystarczy.

- Dzięki, Emmo. Może uratowałaś jej życie..

- Coś ty, przecież na to się nie umiera - zaczęła Emma mając na myśli zastawkę, jednak nagle zamilkła, bo zdała sobie sprawę z rzeczywistego zakresu obaw brata; delikatna, zamknięta w sobie, nigdy nie roniąca łez Anna miałaby stać tak blisko skraju przepaści? - Och, Ralph, nie miałam pojęcia, nie wiedziałam, chociaż powinnam! Myślisz, że ona naprawdę nie chce żyć, chociażby dla tych dzieci, które macie?

- Nasze życie zdominowało to dziecko, którego nie mamy - rzekł Ralph. - Tamta strata rzutuje na wszystko, co robi-

my. Anna czasami się uśmiecha, ale chyba zauważyłaś, Emmo, że nigdy się nie śmieje. Jest od środka odrętwiała. Nie ma w sobie odrobiny radości.

- Radość... - powtórzyła Emma, krzywiąc usta w swoim typowym uśmiešku. - Nie uważasz, Ralph, że użycie tego słowa najlepiej byłoby ograniczyć do kolęd na Boże Narodzenie? Radujmy się w kolędach, ale w życiu nie spodziewajmy się radości. Przetrwanie to wszystko: naszą ambicją powinno być przetrwanie...

Trochę się dziwiono, kiedy po Kit, Julianie i Robinie Anna Eldred zaszła w ciążę czwarty raz. Ludzie mówili: „Anno, nie poprzestałaś na trójce, w dzisiejszych ciężkich czasach i w twoim wieku, i przy tych kłopotach z sercem?” Odpowiadała: „No tak, mam kłopoty z sercem, no tak, teraz to już poprzestaną...” Wiele rzeczy się pozmieniało na świecie, nim Rebecca przyszła na świat. W otoczeniu Eldredów pojawiło się wiele osób, które po prostu nie miały pojęcia, co przydarzyło się im w Beczuanie. Inni wiedzieli, ale zdążyli zapomnieć. Nadszedł czas, kiedy Anna nie musiała już myśleć o utraconym dziecku w każdej sekundzie życia. Jednak żal ciągle czał się w gąszczu bieżących spraw, czekał na wolne od codziennej bieganiny chwile, gotów zaatakować Annę znowu, zwalić ją z nóg i wciągnąć w topiel, w czarną otchłań bez dna.

Któregoś dnia Dorcas potknęła się w kuchni i nadwreżyła sobie rękę w nadgarstku. Anna i Ralph zawieźli ją do szpitala, na ostry dyżur. Był piątkowy wieczór, musieli czekać; to oczekiwanie, w bólu i w towarzystwie innych poszkodowanych, Dorcas odczuła jako coś niewypowiedzianie przykrego. Musiała patrzeć na młodych mężczyzn z obficie krwawiącymi ranami głowy; krew im ciurkała dosłownie jak woda z kranu. Musiała patrzeć na kobietę po wypadku samochodowym, przywieziona przez pogotowie i usadzoną w fotelu na kółkach. Ta kobieta miała przeciętą powiekę, nabrzmiałą i również krwawiącą. Była w jednym tylko pan-

toflu na wysokim obcasie; w ciągu dwudziestu minut, jakie musiała spędzić w poczekalni, zanim została wzięta na badania, przez cały czas szlochała i dopytywała się o męża.

W końcu Dorcas też trafiła do izby przyjęć. Lekarz obejrzał najpierw jej rękę, a potem zrobione na poczekaniu zdjęcie rentgenowskie i zaproponował pozostanie w szpitalu. Anna sprzeciwiła się.

- To miejsce ją przeraża - powiedziała - lepiej zabiorę ją do domu.

Lekarz był najwyraźniej zadowolony z takiego obrotu sprawy.

- W takim razie proszę tylko wezwać rano internistę - zalecił.

Internista stwierdził:

- Powinna leżeć w łóżku, w cieple, wypoczywać...

Kiedy Emma przyjechała do matki późnym popołudniem, przeraził ją jej stan duchowy i fizyczny.

Dorcas skarżyła się na ból, nie mogła spać, nie chciała jeść.

- Wiecie, co ja myślę? - rzekła Emma na osobności do brata i bratowej. - Myślę, że ona ma dość.

Kiedy wywiązała się infekcja płuc, internista skierował Dorcas do szpitala. Ponieważ jednak w warunkach szpitalnych była całkowicie roztrzęsiona i zupełnie nic nie jadła, odesłano ją do domu.

Nalegała, żeby Ralph przez cały czas przy niej siedział. Trzymała mocno jego dłoń zdrową ręką i mówiła mu, opowiadała z jakąś pełną determinacją po-toczystością o swych latach dziewczęcych, o narzeczeństwie o małżeństwie, o mężu. Wyglądało to tak, jakby znalazłszy się, przynajmniej wedle własnej oceny, na łożu śmierci, chciała stworzyć, naszkicować nową wersję własnego życia! Mówiła:

- Myślałeś, Ralph, że on nie uznawał nauki, naukowych metod, prawda? A tymczasem on umiał mnie naukowo, metodycznie stłamsić. Nie zawsze byłam jego cieniem, jego podnóżkiem, nie miałam od urodzenia takiego potulnego charakteru. Jako młoda dziewczyna byłam rezolutna, towa-

rzyska, chodziłam na tańce. Rodzice nie bronili mi tego, nie byli tacy strasznie surowi.

Rozpłakała się. W łóżku, oparta na wielkich poduszkach, wydawała się wyjątkowo drobna, po prostu mała.

- Mamo, nie płacz - odezwał się Ralph.

- Pozwól jej - powiedziała Emma. - Płacz nie zaszkodzi. Może nawet przynieść ulgę płucom.

- Ten chłopak Palmerów, młody Feliks, ten twój przyjaciel, Emmo... Ja znałam jego ojca. Tak świetnie tańczył, bardzo lekko. Elegancik... Był prawdziwym gentlemanem. Fundował mi imbirowe piwo.

Emma przysiadła na łóżku. Ujęła matkę za rękę.

- Był dla ciebie miły, mamó?

- O, tak.

Na zbolalej twarzy Dorcas ukazał się uśmiech. Przymknęła oczy. Przez dłuższą chwilę Ralph i Emma mieli wrażenie, że matka śpi, ona jednak po dłuższej pauzie gładko i całkowicie przytomnie podjęła przerwany wątek.

- Był bardzo miły, ale pojawił się wasz ojciec i ja uznałam, że on bardziej nadaje się na męża, ot co.

Musicie wiedzieć - wyjaśniała Dorcas takim tonem, jakby Emma i Ralph dotąd o tym nie mieli pojęcia

- że jego ojciec był świeckim kaznodzieją, a i on sam miał przepiękny głos...

-No, no... - pokręciła głową Emma. - Więc odprawiłaś pana Palmera?

- Tak. Tak właśnie. Odprawiłam. Powiedziałam, żeby się rozejrzał za kimś innym. Był miły, wesoły;

Boże, jak on umiał każdego rozbawić! No, ale to przecież nie zabawa... życie... Życie to nie zabawa,

prawda? Więc go odprawiłam. Ożenił się z jedną taką blondyną z Cromer, zabrał się za interesy w

branży budowlanej, miewał się dobrze, jak nieraz słyszałam. Młody Feliks wziął po nim tę lekkość,

ten wdzięk. Wasz ojciec był poważnym młodzieńcem. Nigdy nie chodził na tańce...

- Mamo, jesteś zmęczona - wtrącił się Ralph. - Może byś się przespala.

- Nie próbuj jej teraz uciszać, bo nigdy ci tego nie wybaczę - syknęła Emma. - Przez całe życie nie słyszałam z jej ust nic ciekawego, więc jak się trafia okazja, nie próbuj przerywać...

Dorcas uniosła wzrok.

- Widzisz, Ralph - mówiła dalej - ja zawsze musiałam robić wszystko tak, jak on chciał. Byłam pobożną dziewczyną, chodziłam do kościoła, ale w sześć miesięcy po ślubie przestałam się bać Pana Boga i zaczęłam się bać twego ojca. Tak bym to powiedziała, wcale nie żeby bluźnić. On zawsze był dla mnie kimś z innej epoki. Abrahamem. Patriarchą. Wiem, Ralph, że nieszlachetnie z tobą postąpił. A co najgorsze, i mnie wciągnął do tego. Wiem, potem mnie nienawidziłeś. Od tego wieczoru, kiedy przyszedłam do twojego pokoju i powiedziałam ci, że jak nie ustąpisz ojcu, to twoja siostra na tym ucierpi. Tak, tak - Dorcas przytknęła oczy - on dobrze wiedział, że kochasz swoją siostrę.

- Ralph, wiesz o co jej chodzi? - spytała Emma.

- Nie wiem, o nic...

- O co tu chodzi? Mów zaraz, Ralph! Jak ty nie zechcesz to ona mi powie. '

Ralph zerknął na matkę. Zdawała się spać, on jednak miał wrażenie, że nadal wszystko słyszy. Ujął siostrę za ramię.

- Chodź, Emmo, chodź - powiedział. - Wyjdźmy na chwilę, przespacerujmy się albo napijmy herbaty, przysiadźmy gdzieś w spokoju... To taka stara sprawa, nawet nie myślałem, że jeszcze kiedyś będę musiał do niej wracać...

Emma była zbulwersowana.

- Ralph, dlaczego wcześniej mi o tym nie powiedziałeś? Przez tyle lat... Zawsze miałam do ciebie pretensje, że się tak łatwo poddałeś!

- Owszem, miałeś.

- Zawsze myślałam, że z ciebie mięczak, słabeusz.

- Owszem, myślałaś.

- A tymczasem... Jak ty się na to zdobyłeś?

- Nie miałem wyboru,
- Tak, on mógł coś takiego zrobić, mógł mnie zatrzymać w domu, żeby ciebie ukarać - mówiła Emma, dziwnie ożywiona, rozgorączkowana, nagle jakby młodsza o ileś tam lat. - U większości ojców to by były tylko czcze pogroźki, ale nie u niego. O, nie! - pokręciła głową. - On brał na serio wszystko, co mówił. Ależ kombinacja! - Emma ciągle nie mogła dojść do siebie z wrażenia. - Jak ty mnie tak, to ja jej tak! I męcz się potem z poczuciem winy. Co za perfidny rewanz! Jak się nie poddasz, zatruję ci całe życie..,

- Właśnie - pokiwał głową Ralph.

Przypomniał sobie cierń, który kiedyś, w Mosadinyanie, wbił mu się w opuszkę środkowego palca. Pozbawił go czucia w całej ręce, aż do łokcia, ten jadowity cierń, jak zatruta średniowieczna broń. Wystarczyło drasnąć...

- Ale ona, mama, też nie była święta - odezwał się. - Działali ręka w rękę.

- Ona się go bała, Ralph.

- A czy nie można przezwyciężyć strachu?

- Spodziewasz się po ludziach zbyt wiele - mruknęła Emma posepnym tonem.

Przez chwilę milczeli, potem Ralph spytał:

- Będzie żyła?

Siostra odpowiedziała z profesjonalną precyzją:

- Pojutrze umrze.

Nie była, niestety, w stanie wyznaczyć z podobną ścisłością kresu życia zaginionego dziecka. Kresu tej jego osobliwej, połowicznej obecności, która niszcząco, negatywnie oddziaływała na pełne, realne życie reszty rodziny. Katherine rosła; Anna i Ralph próbowali odtwarzać z rysów dziewczynki twarz jej brata. Wprawdzie jako niemowlęta bliźniaki nie były zbyt do siebie podobne, no ale... Anna i Ralph nie potrafili się powstrzymać przed wyliczaniem w trybie warunkowym: miałby teraz sześć lat, miałby teraz siedem, miałby siedemnaście,.. I przed myśleniem, że miałby też

w sobie wszystko, czego im brak. Byłby wszystkim, czym nikt dla nich nie jest. Byłby, gdyby był, gdyby nie był bezcielesnym cieniem. Proszkiem w słoiku afrykańskiego szamana, duchem buszu, pyłem na wietrze...

Norfolk, rok 1980, środek lata. Na szosę wjeżdżają z bocznej dróżki rowerzyści: powiewające na wietrze koszule, odblaskowe przywieszki przy siodełkach... Kobiety w krzykliwie drukowanych sukienkach, w swetrach pona-rzucanych na ramiona idą spacerkiem jedną ze ścieżek opadających ku morzu. Na szosie samochody przyjezdnych; czasami któryś staje na poboczu, widać, że miejski kierowca pogubił się w płataninie prowincjonalnych dróg, siedzi wściekły, obok niego żona ze łzami w oczach próbuje złożyć mapę, która jak na złość...

Kwitną maki, również na poboczach szos, które wyglądają za ich sprawą jak opryskane krwią.

Przydrożne żywopłoty, tam gdzie jeszcze pozostały, są jak wysokie mury ciemnej zieleni, inkrustowane butelkami po lemoniadzie, wyrzucanymi w biegu przez pasażerów przejeżdżających pojazdów. Na asfalcie drogi A 149 widać mnóstwo porozgniatanych drobnych zwierzątek. Są tak spłaszczone, tak ewidentnie martwe, że robią wrażenie zwierzęcych postaci z rysunkowych filmów, które jednak w podobnych sytuacjach potrafią w jednej sekundzie powrócić do dawnych, trójwymiarowych kształtów.

Sandra i Amy Glasse sprzedają koperek, kalafiory, sałatę, zieloną fasolkę i młode ziemniaki.

Sprzedają też duże, mięsiste pomidory; Julian oszklął na nowo ich zdewastowaną cieplarnię. Ralph kocha się w pani Glasse. Spotyka się z nią raz w tygodniu, dwa razy, nawet trzy razy w tygodniu, jak mu się uda coś wykombinować. Kombinować... To nie przychodzi mu łatwo, to coś wbrew jego naturze. Chociaż ta jego natura to pewnie też coś wbrew jego naturze...

Do Czerwonego Domu przybyli wakacyjni goście, dzieciaki ze schroniska, przywiezione przez Ralpa. Jego własne dzieci odnoszą się do nich, jak zwykle, z ostrożną tolerancją. Kit nie postanowiła jeszcze niczego w kwestii swojej przyszłości: kręci się po domu i obejściu i przekomarza się z Danielem, który dziwnym trafem co drugi dzień trafia za interesami gdzieś w pobliże i odwiedza ją „przy okazji”.

Wakacyjni przybysze są jak zwykle zdeprymowani. Pochodzą z dużych miast, każde spędziło większość swego kilkunastoletniego żywota krążąc po ulicach. A tutaj nie ma ulic, po których dałoby się pokrażyć, są tylko drożki i ścieżki, porośnięte na skrajach ostem i paprocią, wierzbówką i trybułą. Przybysze siedzą więc głównie w domu, nie lubią spacerów ani przejażdżek rowerami. Od czasu do czasu marudzą, żeby ich podrzucić do Reepham, najbliższego miasteczka. Mogą tam urządzić trochę popisów na placu targowym, poprzestępować z nogi na nogę przy balustradzie Old Brewery, sprawdzić na wystawie u rzeźnika, co ciekawego porabiają jagnięce kotlety, wpakować się gromadnie na pocztę, gdzie prowadzona jest również sprzedaż gazet, widokówek z Norwich i materiałów piśmiennych, i w zamieszaniu zwędzić po paczce serwetek albo po ołówku w marmurkowy wzorek, z gumką na końcu. Mogą jeszcze nadwerężyć kilka miejskich koszy na śmieci, a potem muszą już prosić o odwiezienie do domu.

- Jeśli najazdy tych małych wandalów będą się powtarzały - stwierdziła kiedyś Kit w rozmowie z Robinem - ludzie z Reepham zaczną protestować, wiesz, jakaś petycja, podpisy...

- Zamiast się w to bawić, lepiej by sami nauczyli bractwo ogłady. Ręcznie.

- Bez żartów! - obruszyła się Kit. - Ale faktycznie ci nasi goście są w tym roku chyba gorsi niż kiedykolwiek.

- Są tacy sami, siostrzyczko. Tylko ty się zmieniłaś. Z wiekiem zrobiłaś się bardziej wygodnicka. I wymagająca.

- Mhm, może... A gdzie jest Julian? Nie mamy z niego żadnego pożytku. Ciągłe przesiaduje u Sandry, jakby się już na dobre wyprowadził z domu. A jak nawet od czasu do czasu wróci, to wcale się nie odzywa. - No cóż, po prostu coś mu odbiło - skonstatował Robin - Dostał hopla. Chybaśmy to już ustalili. Ciekaw jestem tylko, jak on zamierza dalej sobie radzić z pilnowaniem Becky, teraz, w wakacje. Trudno mu będzie w tym samym czasie zabawiać się z Sandrą i bawić się w anioła stróża młodszej siostry.

- Oj, trudno - pokiwała głową Kit. - Biedny Julian, rozdarty między przyjemnością a obowiązkiem...

- Ech, ta nasza dziwaczna rodzinka!

- Mówisz? A jak ja powiedziałam coś takiego parę tygodni temu, toś się ze mną nie zgadzał. O ile dobrze cię zrozumiałam, głosiłeś pogląd, że jesteśmy normalni.

- Zmieniłem poglądy.

- Bo tylko krowa nie zmienia, prawda?

- Mówię poważnie. No pomyśl, gdzie jest w tym wszystkim sens, gdzie logika? Nie oglądajcie telewizji, bo sobie zrobicie wodę z mózgu! Nie kolegujcie się z ludźmi, co mają forszę i wystrzałowe ciuchy, bo się nabawicie straszliwej choroby zwanej materializmem! Tak się nam mówi. A kogo się nam w zamian sprowadza do towarzystwa na całe lato? Nieletnie prostytutki z Brixton.

Złodziejasków. Ćpunów.

- Zakłada się, że będziemy odporni na ich zły wpływ - powiedziała Kit - bo zostaliśmy tak doskonale wychowani że żaden zły przykład nie może nam zaszkodzić.

- To tylko teoria...

- Która się sprawdza w praktyce, czyż nie? Jakoś nigdy me zauważyłam, żebyś miał chęć chuliganić albo frymarzyć własnym ciałem.

- To prawda - westchnął Robin. - Ale, tak czy inaczej człowiek ma w końcu dosyć. Mówię ci, Kit, jak już pójdę na studia, me zobaczysz mnie tu w żadne lato. Skoro ma być tak jak jest teraz. Każdy na każdego łypie wilkiem i od czasu do czasu powarkuje, wszyscy się snują jak błędni...

- To prawda - westchnęła z kolei Kit.

Od czasu nocnej rozmowy z bratem myślała wiele o sprawach rodziny, te myśli bardzo jej nieraz ciążyły, w tej chwili nie chciała jednak ryzykować ich ujawniania.

- Tak czy inaczej - odezwała się zmieniając temat - wakacyjni goście niedługo nas opuszczą. Nie będzie nikogo poza tą Melanie.

- No tak, Melanie... Kiedyż ma się zjawić?

- Chyba jutro, o ile wiem.

- Kit - spytał Ralph, kiedy cała rodzina zasiadła do wieczornego posiłku - czy masz może jakiś zmywacz do paznokci?

- Po co ci zmywacz, tato, chcesz sobie położyć nowy lakier?

- O Jezu! Nasz tato to transwestyta! Prowadzi podwójne życie! - wykrzyknął Robin.

- Braciszku, nie martw się. Na pewno jest jakaś grupa samopomocy, do której będziemy mogli wstąpić, żeby sobie lepiej poradzić z tym problemem - stwierdziła Kit.

- Pewnie jest. Spytajmy tatusia, będzie wiedział...

- Na litość boską, przestańcie błaznować i posłuchajcie, co ojciec ma wam do powiedzenia! - zirytowała się Anna.

- Ohoho! Mamie nie spodobał się pomysł z podwójnym życiem taty - dowcipkowała dalej Kit.

- Mój problem ze zmywaczem do paznokci polega na tym - wyjaśnił Ralph - że Melanie może go wachać, jak znajdzie.

- Nie znajdzie, tato, nie martw się. Zobacz - Kit zaprezentowała dłonie - sztuka manikiuru jest twojej córce całkowicie obca.

- To dobrze - odetchnął z ulgą Ralph.

- Tato, nie jesteś za bardzo spostrzegawczy, prawda? - odezwał się Robin i podparłszy ręką brodę zaczął przyglądać się ojcu.

- Chyba nie - zgodził się Ralph. - Spostrzegawczości raczej mi brakuje.

- Bo ludzie są dla ciebie tylko problemami - stwierdziła Kit. - Problemami na dwóch nogach. Dlatego nie zauważasz szczegółów.

- No cóż, może i masz rację, ale w tej mojej pracy... pomyśl tylko... przecież ja w ogóle nie natrafiam na ludzi bez problemów.

- Nie o to mi chodzi - wyjaśniła Kit. - Miałam na myśli, że ty nie widzisz, na przykład, tej dziewczyny, Melanie, tylko „nagminne ucieczki” i „utrwaloną skłonność do uzależnień”, czy jak to się tam mówi w specjalistycznym żargonie.

- Czyżby? Nie chcę się z tobą spierać, jesteś mądrzejsza ode mnie. Ale problem polega na tym, że wszystko, za co się biorę, to sprawy z natury rzeczy zawsze takie dyskusyjne, takie ryzykowne... Ja przecież wpycham się, nieraz na siłę, w życiorysy tych dzieciaków, żeby je im trochę napro-stować. Więc się cieszę, jak jestem w stanie rozpoznać w zachowaniach jakiś wzorzec, jakąś matrycę. Widzisz, takie matryce ludzkich zachowań naprawdę istnieją!

- Tato, przecież ludzie są niepowtarzalni! - zaprotestowała Kit.

- I ja tak kiedyś myślałem, ale później przekonałem się, że jedni moi podopieczni zachowują się, reagują zupełnie tak samo jak inni albo że, powiedzmy raczej, reakcje mogą się u nich wszystkich zmieniać tylko w bardzo wąskim zakresie.

- Czy to znaczy, że oni nie mają wolnej woli?

Ralph spojrzał na córkę uważnie, jakby chciał się upewnić, czy mówi serio.

- Kiedyś myślałem, że odpowiedź na to pytanie jest całkiem prosta: oczywiście, mają wolną wolę! Ale z czasem spostrzegłem, że są w zachowaniach wzorce, które się powtarzają, jakby przechodziły z pokolenia na pokolenie. Ciągłe przeglądam akta rozmaitych przypadków i nieraz, nawet dosyć często, mam wrażenie, że kolejny raz czytam to samo. Ze narkotyki, że alkohol, że bicie dzieci albo zanie-

dbywanie ich, że odsiadki w więzieniu, raz, drugi, trzeci... To samo u rodziców, u dzieci, potem pewnie znów u ich dzieci. Już dziś można wypełnić następną fiszkę w kartotece. Przewidzieć przyszłość. Dziewięć razy na dziesięć całkiem trafnie. To strasznie przygnębiające, jak rzadko ludzie robią coś nie do przewidzenia. Kto wkroczy na taką czy inną ścieżkę, przeważnie już się jej trzyma.

- Moim zdaniem - wtrącił się Robin - głównie przez własną tępotę. Niektórzy ludzie są po prostu tępi i nic na to nie można poradzić. Są na tyle tępi, że nie umieją porządnie pokierować własnym życiem. Więc jaka różnica, czy mają wolną wolę czy nie? W praktyce nie mają wyboru i już!

Rebecca kopnęła brata pod stołem.

- Już pół godziny cię proszę, żebyś mi podał kukurydzę...

- Zamknij się, Becky! - zburczała ją Kit. - Ale, Robin - zwróciła się do brata - przecież można być całkiem inteligentnym człowiekiem i też nie mieć wyboru! Weźmy na przykład miłość...

Anna uniosła głowę znad talerza, odłożyła widelec.

- Miłość? - powtórzyła pytającym tonem.

- Przepraszam - kontynuowała Kit - wiem, że to, co teraz powiem, będzie sprzeczne z tym, co mówiłam wcześniej, tato chyba mnie przekonał... Przecież miłość to reakcja chemiczna. Kiedy ktoś mówi, że jest zakochany, naprawdę zachodzi w jego organizmie tylko pewien zestaw reakcji, te rozmaite substancje, hormony i tak dalej, rozchodzą się po mózgu, opanowują go...

- Strasznie to naukowo tłumaczysz - wtrącił Robin.

- ... i dlatego właśnie, chociaż każdy myśli, że nikt nigdy i nigdzie nie przeżywał czegoś takiego, wszyscy słuchają podobnych ckliwych piosenek, pisują wiersze, wszyscy w podobny sposób mają chęć brać w ramiona cały świat. Bo wszyscy przechodzą przez ten sam proces. Chemiczny. Tak jesteśmy zaprogramowani.

- Zdaje się, że masz rację, Kit - rzekł Ralph. - A jesteś może zakochana?

- Nie. Gdybym była, pewnie bym nie mówiła o miłości z takim brakiem respektu.

- I pewnie byś myślała, że akurat z ciebie jest wyjątek, unikat - pokiwał głową Robin.

Kit zrobiła kawę. Jakby na zawołanie we frontowych drzwiach Czerwonego Domu stanął Daniel Palmer.

- Co słysząc, młody człowieku? - powitał go Ralph. Zdecydował, że lubi Daniela. Że lubi jego niewymuszony

optymizm i nienagannie odprasowane tweedy, że lubi w nim obraz dziadka, elegancika, który tak lekko tańczył i nie żałował partnerce imbirowego piwa.

- Przyszedłem podziękować Julianowi, szkoda, że go nie ma - rzekł Daniel. - Pokój jest zawsze lepszy niż wojna, prawda? No, moi państwo - Daniel rozejrzał się po obecnych - nie zgadlibyście, gdzie byłem.

- Jakaś stara stodoła do przebudowy? - rzucił Ralph. -Zwykle o coś takiego sprzeczałiście się z Julianem.

-Pudło! Znacie dziewczynę Juliana? Byłem na farmie jej matki. Tam są takie oficyny, które Julian chce rozebrać, bo się wałają. Pani Glasse miała różne tajemnicze obiekcje, powiedziała mi: „Przecież trzymam tam wiadra!” No, ale kiedy obejrzałem tę ruinę i powiedziałem, ile mogę zapłacić za dachówki, które są piękne, przepiękne, stwierdziła: „Sandro, idziemy na to, bo okazja może się prędko nie powtórzyć”. Spytałem: „Co będzie z wiadrami, proszę pani?” A ona powiada: „Można je przesiedlić. Albo przydzielić im (lokal zastępczy. Ralph zna się na tych sprawach. Jak go poproszę, sprowadzi do moich bezdomnych wiader kogoś z so-cjału”.

- Ho, ho, więc jesteście teraz najlepszymi kumplami, ty i Jule? - odezwała się Kit.

- Mhm, on mnie ciągle nazywa wandalą, ale chyba się cieszy, że mu pomogłem cokolwiek uratować z tej ruiny. A tak przy okazji, Mrs Eldred - Daniel zwrócił się do Anny - poznała już pani matkę Sandry? Zainteresowałaby panią ta kobieta.

- Pod jakim względem?
 - Jest całkiem inna, niż się spodziewałem. Bystra, inteligentna. I bardzo dowcipna. Prawdziwa z niej, jak to się mówi... facecjonistka. A przy tym jest bezwzględnie zadowolona ze swego losu. Nie ma żadnych większych ambicji, absolutnie żadnych.
 - Chcesz powiedzieć, że ja też jestem taka?
 - Och, nie, nie to miałem na myśli!
 - Nie musisz się rumienić. Mam wrażenie, że to istotnie interesująca osoba...
 - Jest taka młoda! Pan ją zna, Ralph, prawda? Byłem zdumiony, to taka atrakcyjna kobieta... Nie powtarzajcie Julianowi, że coś takiego powiedziałem, ale Sandra to przecież nic specjalnego, tymczasem pani Glasse... Fantastyczna babka!
 - Powiedziałeś jej to? - zapytała Anna.
 - Na Boga, nie! Nie ośmieliłbym się.
 - A szkoda. Z tego, co wiem, jest całkowicie samotna. Nie miewa pewnie okazji zbierać komplementów.
- Ton głosu Anny był nieprzyjazny, z lekka szyderczy. Ralph zauważył to i natychmiast poczuł przyspieszone bicie serca. Daniel zerknął ukradkiem na Kit, żeby sprawdzić, czy zdołał wzbudzić w niej zazdrość, ale dostrzegł na jej twarzy wciąż tylko ten sam pogodny uśmiech.
- Wieczór był chłodny, jak na sierpień. Pulower Daniela miał wzór przywodzący na myśl swetry kaszmirskie; widać było na pierwszy rzut oka, że pochodzi z jakiegoś ekskluzywnego sklepu przy Burlington Arcade. Ralph był ubrany w sweter wojskowego typu, z sukiennymi wstawkami na łokciach i ramionach, który Rebecca podarowała mu na ostatnie Boże Narodzenie. Nie przepadał za tym swetrem, uważał, że jest militarystyczny i tandetny, ale Becky mu go kupiła z własnych oszczędności, z czego bardzo się cieszył, więc go nosił, chcąc zrobić małej przyjemność.
- Daniel, jak tam się sprawuje twój samochód? - zapytał.

Usilnie chciał doprowadzić do tego, by rozmowa odbiegła jak najdalej od osoby Amy Glasse. O dziesiątej, kiedy Daniel był już w drodze do domu, a Kit zmywała naczynia, Ralph zajął się piecem centralnego ogrzewania. Podłóżka miała swój własny ciepły pokój, w którym zimą lubiła gromadzić się cała rodzina. Latem można by sobie dać z piecem spokój, gdyby nie fakt, że podgrzewał również wodę do mycia. Kiedy dzieciaki były całkiem małe, wydawało się rzeczą naturalną kąpać je w tej samej wodzie; kiedy podrosły, Ralph również wymagał od nich oszczędzania energii. Na któreś ferie wielkanocne Kit zaprosiła koleżankę. Powiedziała jej: „Wykąp się pierwsza, ale zostaw mi swoją wodę”. Tamta najpierw wybałuszyła oczy ze zdumienia, a potem stwierdziła, że w domu Kit panuje średniowiecze, i zadzwoniła do rodziców, żeby ją zabrali następnego dnia.

Ralph myślał o tym wszystkim - żeby nie myśleć o czymś innym - kiedy mozolił się z węglem. W końcu cisnął ze złością szufelką w pryzmę smolistych bryłek. Zagrzechotały. W powietrze wzbił się czarny pył. Ralph rozprostował plecy. Dopiero wtedy zauważył, że nie jest w domowej kotłowni sam. W drzwiach stał Julian. Spytał ojca:

- I co ty robisz najlepszego?

- Palę w piecu - odparł Ralph.

- Nie żartuj, bo to wcale nie jest śmieszne. - Julian był rozgoryczony i zdenerwowany. - Właśnie wracam od Sandry. Dotąd cię kryłem, ale dlaczego miałbym to dalej robić? Dlaczego? Chcesz mnie i Sandrze wszystko zepsuć! I to będzie dopiero początek katastrofy, do jakiej chcesz doprowadzić!

- To chyba nie jest właściwy czas ani miejsce na taką rozmowę, nie sądzisz? - odparł Ralph.

Julian podszedł bliżej i chwycił ojca garścią za sweter gdzieś w okolicy sukiennej naszywki na ramieniu. Przyciągnął go bliżej do siebie, jakby chciał sprawdzić, czy to na pewno on.

- Słuchaj - powiedział - co ty u diabła najlepszego robisz?

Ralph rzekł:

-Daj mi trochę czasu, Julianie. Co ja robię? Sam nie wiem.

Następnego dnia przyjechała z Londynu Melanie. Młodzi Eldredowie, jak przy okazji każdych kolejnych odwiedzin, zeszli się chcąc zobaczyć nowego gościa. Rozczarowali się. Melanie była ubrana w zwyczajne dżinsy, w czarne sznurowane buty z zaokrąglonymi noskami i w dziurawą bluzkę w lamparci deseń.

- Totalny stereotyp - stwierdziła Kit. - Prawie że Sloane Square.

- Banał - zgodziła się z nią Rebecca.

Melanie miała wprawdzie ze sobą podróżną torbę z ortalionu, ale chyba całkowicie pustą.

- Co się stało z jej rzeczami? - zapytała Anna.

- Spaliła je - odparł Ralph, nie rozwodząc się nad tym szerzej.

Anna westchnęła.

- Będziemy musieli odebrać jej sprzęt. Nowa batalia... Wzięła Melanie na górę, żeby ją ulokować w jej pokoju.

- Czy masz przy sobie jakieś tabletki, kochanie? Coś, czego nie powinnaś mieć? Igły? - spytała.

Melanie pokręciła wystrzyżoną pomarańczową głową. Anna miała przeczucie, że dziewczyna kłamie, nie zdecydowała się jednak na osobistą rewizję. Melanie zwała się na łóżko i zaczęła tępo gapić się w ścianę. Była tu wbrew swej woli i chciała to jak najwyraźniej okazać. Anna wyjrzała przez okno na pola. Pola, pola, wszędzie dookoła pola... Melanie, dziewczyna z miasta, która miała zwyczaj pryskać prędzej czy później z każdego miejsca, w którym przyszło jej się znaleźć, musiała się tu czuć jak w pułapce, jak w syberyjskim gułagu: wieczna zmarzlina, reflektory, kolczaste druty...

Zdając się czytać w myślach Anny, Melanie zapytała:

- Są tam miny?

- Na polach? Nie, to nie są pola minowe. Czegoś takiego tu nie uprawiamy. Na polach zasiewamy rośliny.

- Pewnie jakąś cholerną trawę?

- Kochanie, nie wyrażaj się. Nie będzie ci od tego lżej.

- A właśnie że będzie - mruknęła ponuro Melanie.

Anna zeszła na dół i sprawdziła, czy wszystko, co Melanie mogłaby zacząć łykać albo wdychać, zostało zabezpieczone. „Niewiele kobiet musi zamykać na klucz preparaty do czyszczenia płyty kuchennej” - pomyślała. Starali się po-usuwać z domu wszelkie potencjalnie narkotyczne substancje, trudno było jednak mieć pewność... Chłopak, który przebywał w Czerwonym Domu poprzedniego lata, szczególnie upodobał sobie pewien środek do czyszczenia zamszu; grzebał we wszystkich szafkach w kuchni i w szufladach toaletki Anny mając nadzieję, że gdzieś na ten swój ulubiony specyfik natrafi. Te dzieciaki często miały na domiar wszystkiego skłonność do tak zwanych gestów samobójczych. Co można zrobić w ramach samobójczej manifestacji? Na przykład napić się farby do włosów. Eksperymenty gości Czerwonego Domu bywały tak nieprawdopodobne, że dopiero później, po odebraniu delikwenta ze szpitala i po długich indagacjach można się było zorientować, czy chodziło mu o odlot tylko tymczasowy czy już ostateczny, o znalezienie się na drugim brzegu.

- Ralph, obawiam się, że Melanie to smutny przypadek, naprawdę bardzo smutny - stwierdziła Anna. - Planujesz mnie z nią zostawić na dzisiejsze popołudnie, prawda?

- Muszę wyskoczyć na trzy godzinki...

- Nie mógłbyś tego odwołać? Nie chcę brać za nią odpowiedzialności.

- Czekają na mnie... - powiedział Ralph trochę niepewnym tonem i pomyślawszy: „Jakież to łatwe, kłamać!”, dodał: - Robin pozamykał rowery. Melanie nie ucieknie, nie przypuszczam. Zdaje się, że jest oszołomiona, nie sądzisz?

To dziwne, bo jeszcze na dworcu w Norwich, kiedy ją odbierałem z pociągu od jednego z naszych wolontariuszy, było z nią wszystko w porządku. Ale potem, jak tylko wyjechaliśmy z miasta, zauważyłem, że jakby drętwieje. W końcu przymknęła oczy, przestała wyglądać przez okno...

- Ja się nie tego boję, że ona ucieknie - przerwała mężowi Anna. - Ja się boję tego, co może zrobić, jeśli zostanie!

- Przecież miesialiśmy gorsze przypadki.

- Wiem, Ralph, wiem, robiliśmy to przez całe lata, sprowadzaliśmy tu na wakacje te biedne stworzenia, ale ja teraz, dopiero teraz zaczynam się zastanawiać, czy postępowaliśmy wobec nich uczciwie. Przecież oni nie cierpią tych pobytów! I my też!

- Myślałem, że na ten temat wszystkośmy sobie już powiedzieli - westchnął Ralph. - Co do mnie, naprawdę wierzę w sens tych pobytów. Dzieciaki mają dobre jedzenie, mają wreszcie trochę świeżego powietrza, widzą dookoła siebie coś innego niż to, na co patrzyły przez całe życie. I mają wokół siebie ludzi, którzy są z nimi z nieprzymuszonej woli i którzy będą życzliwie ich słuchać, jeśli tylko zechcą coś o sobie powiedzieć.

- Miejmy nadzieję, że ochota na pogawędkę nie przyjdzie tej Melanie tak od razu - mruknęła Anna. - Twoje popołudniowe zebrania zawsze się przeciągają do wieczora...

- Nie! Do piątej będę z powrotem. Obiecuję! - mówił Ralph, stojąc już w drzwiach.

Myślał: „Muszę zobaczyć Amy, muszę...” Czuł wstręt do samego siebie, że znów nakłamał, znów zaniedbał obowiązki; czuł do siebie odrazę niemal tak silną, że gotów był zawrócić. Ale pomyślał: „Przecież obiecałem Amy, że się zobaczymy, więc muszę!” I usprawiedliwiając się przed samym sobą tym przymusem, pojechał.

Anna była na siebie zła za tę tyradę na temat przyjmowania wakacyjnych gości. Przecież nawet nie zamierzała wyskakiwać z czymś takim, chciała tylko wziąć od Ralpha numer telefonu, pod którym mogłaby go złapać, gdyby do-

szło do jakiejś kryzysowej sytuacji z Melanie... Weszła do gabinetu, rozejrzała się za terminarzem: leżał jak zawsze w prawej górnej szufladzie biurka. Z blatu, z mosiężnych ramek fotografii, zacisnąwszy dłoń na łańcuszku od kieszonkowego zegarka, patrzył na Annę spod zmarszczonych brwi Matthew Eldred. Obok wuj James, w tropikalnym ubiorze, mrużył oczy w słońcu. Ralph też tu był: stał na werandzie domu przy Flower Street, z jedną ręką w kieszeni, oparty o ścianę. To była jedyna fotografia z pobytu w Afryce, jaką zdecydowali się wystawić na pokaz za sprawą Becky, która kiedyś, przed kilku laty, strasznie zaczęła się na-praszać o pokazanie jej jakichś afrykańskich zdjęć i akurat to sobie upodobała. Ujrzawszy je stwierdziła: „Tatusiu, przecież ty byłeś wtedy przystojny, wcale nie taki, jak teraz!” Więc Ralph zdecydował się ustawić zdjęcie na biurku, żeby mu przypominało o obecnych niedoskonałościach własnej prezencji. To akurat zdjęcie nie kojarzyło mu się z niczym, nie przypominał sobie nawet momentu, w którym zostało zrobione. Widział na nim uśmiechniętego, beztroskiego chłopaka, kędzierzawego, szerokiego w ramionach obieżyświata, spoglądającego na świat, przynajmniej w tej jednej, uchwyconej na kliszy chwili, z całkowitą niefrasobliwością.

Anna wyjęła terminarz, odszukała właściwy tydzień, dzień. Odczytała notatki:

9⁰⁰ Skontaktować się z Czerwonym Krzyżem; WAŻNE: zadzwonić do biskupa.

10⁰⁰ Odebrać ze stacji Melanie Burgess.

Dalej nie było już nic. Wyglądało na to, że Ralph zostawił sobie popołudnie wolne, a coś mu wyskoczyło w ostatniej chwili. „Czemu od razu tak nie powiedział” - zastanowiła się Anna. Po czym odłożyła terminarz do szuflady i nie wracała już więcej myślą do całej sprawy.

Ralph ruszył sprzed domu Amy o wpół do piątej. Gdy wjechał na wierzchołek wzniesienia, dostrzegł policyjny samochód, który najwyraźniej na niego wyczekiwał. Zatrzymał się i też postanowił zaczekać. Funkcjonariusze wysiedli; pierwszego z nich Ralph rozpoznał, widział go już wcześniej w tym samym miejscu. Wedle słów Amy był to jeden z tych policjantów, którzy zawsze obserwowali jej dom. Ralph opuścił boczną szybę. - O co chodzi?

- Czy mógłbym prosić o nazwisko, sir?
- Eldred. Ralph Eldred.
- Miejsce zamieszkania? Ralph podał adres.
- Czy to pański wóz, sir?
- Tak. Niestety.
- Numer rejestracyjny? Ralph wyrecytował.
- Mógłbym prosić o prawo jazdy?

Ralph wyjął dokument z kieszeni. Policjant zerknął i zaraz oddał: konto czyściutkie, ani jednego karnego punktu, nie było się do czego przyczepić.

- Widzieliśmy pana tutaj już wcześniej, sir.
- Owszem, ja też was widziałem.
- Odwiedza pan tę farmę w dole?
- Tak.
- Ma pan powody, prawda?
- Nie. Po prostu jeżdżę sobie po całym hrabstwie i odwiedzam, kogo się da, jeśli mi się zechce - zakpił Ralph. Otworzył drzwi i wysiadł z samochodu.
- O co chodzi? - powtórzył wcześniejsze pytanie. - Mam otworzyć kufer, tak? OK. - Obszedł wóz i odchylił klapę bagażnika. - Proszę bardzo. Działajcie.

Policjant tak naprawdę nie bardzo chyba wiedział, o co mu chodzi, zaczął jednak skwapliwie grzebać w kufrze citroena. Znalazł parę kaloszy, lewarek, skrzynkę z narzędziami, paczkę starych gazet.

- W porządku? - rzucił Ralph. - Przecież to nie ma sensu - dodał. - Jeśli myślicie, że zwożę na farmę jakieś trefne rzeczy, to dlaczego nie przeszukaliście wozu, kiedy jechałem w tamtą stronę?
- Moglibyśmy spokojnie teraz wpaść na farmę i tam sprawdzić - odezwał się drugi z funkcjonariuszy, który dotąd stał z boku, oparty o policyjny samochód.
- Uwzięliście się na tę kobietę - stwierdził Ralph. - Doskonale wiecie, że prowadzi na targu wyłącznie legalny i uczciwy handel, ale spodobało się wam to nękanie kogoś, kto nie jest w stanie się sprzeciwić. Ale ja mogę się sprzeciwić i zrobię to, bo wiem, jak trzeba napisać zażalenie na nadgorliwość policji, i wiem, jak podziałać, żeby trafiło, gdzie trzeba.
- Miewało się już do czynienia z prawem, sir, prawda?
- Bóg mi świadkiem - zniecierpliwiał się Ralph - że jak się za tę sprawę wezmę, to nie popuszczę! Na razie wszystko, tak?
- Tak jest, sir. Zanotowaliśmy godność i adresik...
- Więc mam rozumieć, że ciąg dalszy nastąpi? - rzucił Ralph, po czym wsiadł do samochodu i zatrzasnął drzwi. - Jeszcze się zobaczymy, prawda? - dodał, wystawiając głowę ^przez okno.

Następnego dnia rano Melanie nie zeszła na śniadanie.

- Dajmy jej spokój - powiedział Ralph. - Niech sobie trochę odpocznie. Becky, powinnaś być dla niej miła - zaapelował do młodszej córki.
- Niby dlaczego? - spytała Rebecca.
- Bo sympatycznym podejściem do niej może coś osiągniemy. A niesympatycznym na pewno nie! - zirytował się Ralph.
- To okropna, wstrętna dziewczucha, ta Melanie. Do tego flejtuch - stwierdziła Rebecca.
- Jeśli nawet, to jakie będzie miała szanse zmienić się na lepsze, jeśli ludzie nie zaczną odnosić się do niej lepiej niż

do tej pory? - postawił retoryczne pytanie Ralph. - Zastanówcie się, zanim zaczniecie się jej czepiać - dodał - czy to naprawdę jej wina, że jest taka, jaka jest? Melanie cierpi na coś, co się określa jako dezintegrację osobowości.

- Odpada! - wtrącił się Robin. - To niemożliwe. Ona nie ma żadnej osobowości. Umie tylko siedzieć z półotwartą jadaczką i wgapiać się tępo w te swoje buciory.

- Gdybyś miał rację, Robin - rzekł Ralph - nie byłoby problemu. Jednak, niestety, Melanie wcale nie jest taka, jak ci się zdaje. Nie dziwię się Becky, ale u chłopaka w twoim wieku spodziewałbym się więcej pomyślunku. Melanie jest pod tym dachem ledwie od dwudziestu czterech godzin, nie możesz sobie wyobrazić, że już wszystko o niej wiesz. Nie dokuczajcie jej, nie prowokujcie, może zareagować przemocą..

- Nie ma strachu, tato - odezwała się Kit. - Jak będzie się stawiać, nasz dzielny Robin może ją zawsze potraktować jakimś swoim bodiczkiem.

- Żebyśmy się dobrze wszyscy zrozumieli - zaczął wyjaśniać łagodnym tonem Ralph. - Ona skieruje tę przemoc przeciwko samej sobie... Jak zejdzie na dół - dodał po krótkiej pauzie - przyjrzyjcie się dyskretnie jej przedramionom, od wewnętrznej strony. Zobaczycie, że ma tam stare blizny.

- Więc jednak się cięła? - wtrąciła Anna. - Brzytwa czy może coś innego?

- Zauważyłaś te blizny.

- Oczywiście. Myślisz, że jestem tak samo nieuważna jak dzieciaki? - rzuciła zirytowana.

- Przepraszam...

-1 masz za co! Wczoraj po południu pojechałeś gdzieś sobie i mnie z nią zostawiłeś. I ostrzegłeś, że ona może się czegoś nałykać albo nawąchać, ale nic nie wspomniałeś o nożach i nożyczkach. Jak zobaczyłam te jej ręce, to aż się nogi pode mną ugięły. Musiałam z miejsca oblecieć cały dom i pochować wszystkie ostre rzeczy!

- Dobrze zrobiłaś - stwierdził Ralph. - Powinienem być cię ostrzec, masz rację, ale już sporo czasu minęło, odkąd ona się cięła, wygląda na to, że znalazła inne sposoby redukcji napięcia. Widzicie, u niej to wszystko zaczęło się w szkole, ktoś tam jej dokuczał, zaczęła wagarować, włóczyła się z jakimś gangiem, kradła w supermarketach...

- Typowy scenariusz - wtrącił Robin.

- Owszem - zgodził się Ralph - ale z jednym pikantnym urozmaicheniem. Trafiła do poprawczaka, a kiedy po trzech miesiącach stamtąd wyszła, okazało się, że rodzice sprzedali jej adapter i płyty, zlikwidowali wszystkie zabawki, jakie miała z dzieciństwa, wszystkie ubrania. Czego nie dało się sprzedać albo porozdawać, po prostu wyrzucili na śmietnik. Może urzędnicy z socjału nie wytłumaczyli im dokładnie, co i jak, może tamci ich nie słuchali, może nie zrozumieli, co mówią, w każdym razie uznali za pewnik, że Melanie już nigdy nie wróci do domu, że mają ją raz na zawsze z głowy!

Ralph przerwał, zapadło milczenie.

- I co ona wtedy zrobiła? - odezwał się w końcu Robin, tym razem już całkiem poważnym, wolnym od kpiny tonem.

- Niedaleko mieszkania, jakie jej rodzice mieli z kwatery, było wysypisko śmieci. Melanie znalazła tam część

swojej odzieży, w czarnym foliowym worku na odpadki, jak mi powiedziała. Potem chodziła przez jakiś czas po ludziach, żeby się dowiedzieć, kto kupił resztę jej rzeczy, a jak się dowiedziała, chodziła i prosiła o zwrot. Tylko że ludzie, skoro zapłacili, nie chcieli nawet o tym słyszeć. Co się dalej wydarzyło, nie wiem, tu jest jakaś luka, Melanie nie chce nikomu o tym opowiadać. Mniej więcej po dziesięciu dniach znalazła się w Londynie. Kiedy ją przywieziono do naszego schroniska, nie miała przy sobie ani pensa. Miała tylko ten czarny worek na odpadki - dodał Ralph z westchnieniem. - Kupiliśmy jej trochę odzieży, ale nie chciała tego nosić. Bo to nie były dla niej własne rzeczy, tylko cudze, obce, tak rozumowała, jak przypuszczam. Rozpaliła na dziedzińcu ognisko...

Kit przestała jeść.

- Straszna historia - powiedziała. - Żeby dziecko mogło być tak niewiele warte dla swoich rodziców?

- A czego się spodziewasz w czasach codziennych aborcji? - odezwała się Anna.

- Ciii... - syknął Ralph, pochylając się nad talerzem.

Nie chciał, żeby Rebecca zaczęła o cokolwiek wypytywać. Właściwie nie chciał, żeby ktokolwiek wypytywał o cokolwiek. Z Julianem nie widzieli się od przedwczorajszego wieczoru, po konfrontacji w kotłowni pojechał z powrotem do Sandry i do tej pory nie wrócił. Ralph tak bardzo pragnął zobaczyć Amy Glasse, że odczuwał to pragnienie jak fizyczny ból. Nie chciał jednak jechać na farmę, żeby nie natknąć się tam na syna. Zaczął się gorączkowo zastanawiać, co w ogóle powinien zrobić.

Porozmawiać z Anną, powiedzieć jej o wszystkim? Przerwać tamtą historię, przerwać jak najszybciej, najlepiej od razu, bo i tak sprawy zdążyły zajść za daleko? „Przecież przez te wszystkie lata - myślał - ani razu nie spojrzałem na inną kobietę, o żadnej nawet nie pomyślałem, od tej strony moje życie było zamknięte, to nie wchodziło w grę, nie brałem tego pod uwagę w żadnych kalkulacjach!”

Zdecydował, że kiedy tylko Julian wróci do domu, wykombinuje jakąś wymówkę, wskoczy do samochodu i pojedzie. Uniósł głowę: w drzwiach kuchni, przypatrując się jedzącym, stała Melanie.

- Chodź do nas, moje dziecko, weź sobie krzesło. Jeszcze-śmy nie spałaszowali wszystkiego - odezwała się Anna.

Melanie cofnęła się z wyraźnym obrzydzeniem, jakby ją zapraszano na ucztę kanibali. Przez chwilę jeszcze patrzyła na zgromadzonych przy stole, w pozie ptaka, który rwie się do lotu. A potem zadudniła masywnymi buciorami o schody i z trzaskiem zamknęła drzwi swego pokoju.

Wzmógł się letni upał. Niebo jednolicie pobieleało, gdyby nie liczyć rozmytej, żółtawej plamy słońca, wiatr ustał, kre-

mowa mgiełka przesłoniła granicę między ziemią a niebem i rozmazała kontury drzew. Julian i Sandra szli razem ścieżką prowadzącą od morza w głąb lądu. Burza wisiała w powietrzu.

- Możesz zamieszkać z nami, jeśli chcesz - mówiła Sandra. - Mama na pewno przyjmie cię z radością. Wiem, jest pewien mały kłopot: będziesz spotykał od czasu do czasu Ralpha. Ale przynajmniej nie będziesz musiał spoglądać w twarz Annie.

- Mój ojciec ciągle myśli - odezwał się Julian - że ty nie masz pojęcia, co się dzieje.

- Jest w błędzie. Szybko się połapałam: zjawia się u nas zawsze wtedy, kiedy mnie nie ma w domu. Myśli, że jak on mnie nie widział, to i ja jego: A ja go widuję. Wiesz, lubię chodzić na skróty...

- Przez rowy i żywopłoty?

- Jak trzeba...

Sandra zatrzymała się i popatrzyła wprost na Juliana. Powiedziała:

- To wszystko przeze mnie, Jule. Gdybym się nie zjawiała w twoim domu, nigdy by się nie zdarzyło...

- Ale się zjawiałaś. Zjawiałaś się i już! - stwierdził Julian. - Więc jaki sens mówić teraz w ten sposób?

-No... nie wiem. Nie ma sensu. Ale to ciekawa rzecz, prawda? Gdybyś nie przyjechał wtedy do North Walsham... Albo jakby zaczęło padać wcześniej, pięć minut wcześniej... Wtedy byśmy się nie spotkali... Ty byś się schował w samochodzie, ja w kościele. I twój tato siedziałby sobie spokojnie w domu przy twojej mamie i wszyscy bylibyście szczęśliwi!

- Szczęśliwi? - zamyślił się Julian. - Nie, to słowo jakoś mi do nas nie pasuje.

Kierowali się w stronę Burnham Market. Jednak nim osiągnęli wieś, Sandra zaproponowała:

- Wejdźmy do tego kościoła.

- Po co? Przecież nie pada.

-No... nie, ale jest tam coś, czemu się zawsze przyglądam. Chciałabym ci to pokazać.

Żelazna brama w porośniętym bujną trawą ziemnym wale. Okrągła wieża. Na dziedzińcu trawa krótko przystrzyżona, idąc widzi się na niej przed sobą swój własny, blady cień. Wewnątrz kościoła nierówna posadzka z kremowych kamiennych płyt. Cisza, jeśli nie liczyć oddalonego warkotu jakiejś rolniczej maszyny. Światło wpada przez szyby ze zwykłego, nie barwionego szkła.

- Stare witraże zniszczył wybuch w czasie wojny - odezwała się Sandra. - Babcia mi tak mówiła.

- Nie wiedziałem, że miałaś babcię.

- Przyszywaną. Mieszkała w Docking.

- Kim naprawdę była dla ciebie? Sandra wzruszyła ramionami.

- Moja matka nigdy nie opowiada o swoim życiu. Nie mam nawet pojęcia, kto jest moim ojcem, więc skąd mogę wiedzieć coś więcej o babce, no nie?

Julian poczuł przez cienką sznurkową podeszwę letnich espadryli chłód kamiennej posadzki.

Rozejrzał się po kościele: zobaczył starą, masywną, kwadratową chrzcielnicę, pewnie podobną do tej, w jakiej i jego kiedyś zanurzono. Nie zainteresował się nią. Za rzecz wartą uwagi uznał coś innego: ambonę w kształcie kielicha, lekką i kruchą.

- O to ci chodziło? - spytał Sandrę.

Podszedł bliżej. Pomyślał, że nie powinien ambony dotykać, bo gdyby każdy to robił, wszystkie zdobienia już dawno by się starły. Uczynił jednak dla siebie wyjątek: przemknął opuszkami palców po sylwetkach ojców kościoła w infułach i kardynalskich kapeluszach, po zwojach pergaminu, na jakich pisali gęsimi piórami, po spękanej i łuszczącej się ciemnej zieleni i purpurze. Twarze świętobliwych mężów, które już tylko częściowo pokrywała farba, zacierały się w fakturze drewna, aureoli prawie nie było widać. Sandra obrysowała Julianowi ich wyblakłe kręgi palcem, inaczej z pewnością nic by nie zauważył.

Potem dotknęła dłonią jego ramienia.

- Ale zobacz tam, Julian. Chodź. To jest to, co chciałam ci pokazać.

Przeprowadziła go spod ambony do południowej nawy, nakierowała plecami do ołtarza, wskazała na jedną z płyt, jakie mieli pod stopami, szaro-czarną, pokrytą siecią żyłek i rys, wciąż jednak ukazującą wyraźnie wyrytą inskrypcję. - O to mi chodziło - powiedziała Sandra. Napis głosił:

Ku pamięci Panny Theaophili Thurlow, Córki

Wielebnego Thosa Thurlowa,

Proboszcza z Worthams w hrabstwie Suffolk, potomka rodu Thurlowów z Burnham.

Odeszła z tego świata w osiemnastym dniu

Lipca 1723 przeżywszy lat 24.

I takż ku pamięci jej Siostrzenicy

Frances Hibgame,

Córki Iohna i Catherine

Hibgame z Burnham Norton, która

Odeszła w dziewiętnastym dniu

Grudnia 1736 przeżywszy lat 10,

5 miesięcy, 2 tygodnie i 1 dzień.

Stali przez jakiś czas nic nie mówiąc. Potem Sandra znowu dotknęła ramienia Juliana.

- Mówi się, że w tamtych czasach nie kochali swoich dzieci, ale to nie może być prawda, Julian, no nie? - Nie może. - Julian pochylił nisko głowę. - Musieli ją kochać. Inaczej nie wyliczaliby tak co do dnia... Znowu milczenie. I znowu słowa Sandry:

- Posłuchaj... to, co robisz z Becky... musisz przestać. Widzisz, to sprawia ból. Sprawia ból twojej mamie i tacie.

-Im?

- Tak, właśnie im! - Nie chciana pewność ciążyła Sandrze niczym kamień. - Daj temu spokój, po prostu. Niech sobie Becky swobodnie dorasta. Mówisz, że oni nie są szczęśliwi, ale nie widzisz... Nie widzisz, że to, co robisz... że to dla nich bolesne, jak cios noża!

- Dlaczego? Bo powiedziałem, że jej nie pilnują?

- Tak, właśnie dlatego.

- Boję się o nią. Zdarzają się takie straszne rzeczy!

- Wiem. I wiem, że się boisz. Ale daj temu spokój, dobrze?

Przeszli przez kościół nawą w stronę wyjścia. Znów cienie sunęły przed nimi, raz po raz łącząc się, stapiając ze sobą: nogi i ręce olbrzymów, sylwetki pokraczne, ale delikatne, kruche, miękkie w świetle przefiltrowanym przez grube okienne szkło. Ustał warkot maszyny. Ustał śpiew ptaków i brzęczenie owadów, na sygnał gromu, jaki przetoczył się po niebie. Wychodząc z kruchty Sandra i Julian zetknęli się rękoma, było to po prostu muśnięcie zewnętrznej strony jednej dłoni o drugą. Sandra nie miała odwagi spojrzeć w oczy Julianowi, on nie miał odwagi spojrzeć w oczy jej. Z oddali, a może tylko z wyobraźni, dobiegł ich równy, miarowy bez względu na wszystko puls morza.

Rozdział 9

Julian zadzwonił do domu z kabiny telefonicznej w pubie przy nadbrzeżnej szosie.

- Mamo, czy wszystko w porządku w domu?

- Gdzie jesteś?

- W Ship.

- Kiedy się mamy ciebie spodziewać?

- Za dzień, dwa... - odparł po krótkiej pauzie.

- Robin myśli, że się wyprowadziłeś na dobre, y - Nie ma żadnych podstaw...

- Julian, czy masz jakiś problem? Jeszcze jedna pauza.

-Musimy porozmawiać przy okazji... ale nie teraz, jeszcze nie teraz. Na razie nie wiem dokładnie...

Ale mamo, nie denerwuj się. Ja po prostu... W tej chwili nie mogę zjawić się w domu.

- Julian - odezwała się Anna - jeśli próbujesz mnie uspokoić, przestań. Jak słucham, co mi mówisz, denerwuję się jeszcze bardziej.

- Mamo, nie mów tacie, że dzwoniłem, OK?

- A czemuż to, na litość boską?

- Chciałem się tylko dowiedzieć, czy u was wszystko w porządku.

- Julian...

Brak odzewu. Głucha cisza na linii. Anna pomyślała: „Trzeba jechać, sprawdzić, co się dzieje!”

Uświadomiła sobie jednak, że nie wie dokładnie, gdzie znajduje się farma

pani Glasse. Zaczęła rozważać: „Cóż, jakoś bym znalazła to miejsce, dałabym sobie radę, tylko że... Jest przecież Melanie, trzeba się postarać o jakąś odzież dla niej, trzeba ją zawieźć do sklepu, ta sprawa robi się coraz pilniejsza... A gdyby nawet odłożyć zakupy do jutra, to jak zostawić Kit samą z tym niesamowitym dzieckiem, za duże ryzyko. W końcu jaki w tym problem, jeśli Julian przez parę dni nie pojawi się w domu? Taki tajemniczy jak teraz wprawdzie nigdy nie był, ale może wchodzi tu w grę jakieś sprawy matki Sandry, ich sprawy rodzinne i dlatego on nie chce o tym mówić? Miejmy nadzieję, że nie są to nowe kłopoty z policją... A może... - Annie przyszło do głowy to, co w podobnych sytuacjach przychodzi do głowy wszystkim matkom dorastających synów - ... a może Sandra jest w ciąży? No, nie... Robię się melodramatyczna. A może by... Może by Ralph znalazł czas, żeby tam pojechać? Powinnam go złapać... -Anna zerknęła na zegarek - ... powinnam go złapać u Mrs Gartree".

Mrs Gartree, mocno już starsza pani, była głucha i mało komunikatywna. Przyjaźniła się jeszcze z rodzicami Ralpa, wziął więc na siebie obowiązek składania jej wizyt raz w miesiącu. Mrs Gartree lubiła rozprawiać piskliwym, podniesionym głosem o parafialnych sprawach; uwielbiała też wypełniać formularze na skromne świadczenia z kiesy państwowej, do których, wedle tego, co ktoś tam jej powiedział, miała być uprawniona. Ralph zżymał się, że starsza dama ma przecież w banku niezłą fortunę, niemniej pomagał jej w wypełnianiu nieszczęsnych wniosków i druków. Twierdził, że nie potrafi odmówić, bo to jedyna życiowa pasja, jaka pozostała staruszce, poza planowaniem własnego pogrzebu.

W słuchawce rozległ się głos pani Gartree, podniesiony i na wszelki wypadek nieprzyjemny:

- Telefon mi błysnął. Kto znowu dzwoni? W jakiej sprawie?
- Tu Anna. ANNA. ANNA ELDRED. Żona Ralpa.

- Ach, tak... - Pani Gartree najwyraźniej się już udobruchała.
- Czy on jest jeszcze u pani?
- U mnie? Nie...
- Już wyszedł?
- Słucham?
- Był i wyszedł? Rozminęłam się z nim?
- O, tak, minęło już parę dni, jak u mnie był. Zdaje się... w tamtym tygodniu... Dzisiaj nie.
- Dzisiaj nie? A miał wpaść na pogawędkę.
- O, tak, miło nam się gawędzi... Anna wzniosła oczy ku niebu.
- Dziękuję, Mrs Gartree. Nie będę pani dłużej zanudzać.
- Nie nudziłabym się, jakbym lepiej słyszała.
- No to do widzenia, Mrs Gartree. -Pa!

Anna przeszła do gabinetu Ralpha i sięgnęła po jego terminarz. Wedle zapisu o drugiej miał być na spotkaniu w Norwich; fundacja finansowała projekt stworzenia sieci wolontariuszy, wspomagających ludzi starych i przewlekle chorych, którzy po wypisaniu ze szpitala, samotni w swoich domach, znacznie nieraz oddalonych choćby od sklepu spożywczego czy apteki, tak bardzo potrzebują życzliwego wsparcia na duchu i wyreki w wielu codziennych sprawach.

Anna przekartkowała mężowski notes z telefonami, znalazła odpowiedni numer.

- Pat? Tu Anna. Żona Ralpha.
- Ach, jak to miło, Mrs Eldred...
- Mam prośbę: jak Ralph się zjawi przed zebraniem, niech przekreśli do domu. Chciałabym z nim zamienić parę słów...

W słuchawce zapanowała cisza.

- Chwileczkę, Mrs Eldred... Znów cisza. A po chwili:
- Mrs Eldred? To musi być jakaś pomyłka. Nie mamy dzisiaj zebrania.

- Na pewno?
- Nie. To znaczy tak, na pewno, właśnie sprawdziłam w terminarzu.
- To przepraszam. Musiałam pomylić daty.
- Nic nie szkodzi, Mrs Eldred - głos w słuchawce zabrzmiał wyraźną ulgą. - Przez chwilę byłam przerażona, że zrobiłam jakiś okropny błąd, że przez pomyłkę podałam panu Eldredowi niewłaściwy termin, to byłoby straszne, taki zapracowany człowiek.
- Prawda? - rzuciła Anna i odłożyła słuchawkę.

Pomyślała: „Cóż, pani Gartree można nie brać pod uwagę jako świadka tego, że Ralph zaczął się poruszać tajemniczymi drogami, ale Pat Appleyard?” Wcale się jej ta myśl nie spodobała. Byli umówieni, że co wieczór Ralph będzie wpisywał w terminarz cały swój plan zajęć na następny dzień, żeby w razie konieczności, na przykład gdyby coś nieprzewidzianego wydarzyło się w londyńskim schronisku, Anna mogła się z nim skontaktować. Zawsze ściśle się trzymał tego planu, wszyscy znali go z tego, że jest niezawodny i punktualny, ludziom niesolidnym, rozmaitym spóźnialskim, nie szczędził słów najsurowszej krytyki.

Anna myślała: „Przecież nie jestem całkowitą naiwniaczką! Coś tam wiem, choćby z przeczytanych powieści. Jeśli mąż tajemniczo znika, a nie jest kryminalistą czy pijakiem, to znaczy, że w grę wchodzi inna kobieta. Wprawdzie to śmieszne, żeby ten znikający mąż miał zacierać za sobą ślady tak kiepsko albo żeby ich w ogóle nie zacierał, no ale Ralph... Nic dziwnego, że jeśli wziął się za okłamywanie mnie, nie jest w tym biegły. Jeszcze nie jest. Nie ma praktyki”.

Anna przysiadła na twardym krześle przy biurku Ralpa, Bez rozgorączkowania, ostrożnie zaczęła się zastanawiać. Jakaś okazja? Miały ich wiele, w ciągu roku styka się z setkami osób, w tym z mnóstwem kobiet. Znużenie codzienną rutyną? Nie powinno wchodzić w grę, każdy tydzień Ralpa był inny niż wszystkie pozostałe, mógł swo-

bodnie planować własne zajęcia, trzymając się wyłącznie terminarza, który sam wypełniał...

Anna wysiliła się na uśmiech, zupełnie jakby ktoś poza nią był w pokoju i chciała przed nim ukryć swą rozterkę. Pomyślała: „Cóż, Ralph spotykał przez te wszystkie lata mnóstwo kobiet, ale dopiero teraz zainteresował się jedną z nich. Konkretnie którą?” Żadna odpowiedź na to pytanie Annie się nie nasuwała. „To śmieszne - myślała - jak mogłam sobie wyobrazić, że chociaż nikt nie jest w stanie do końca poznać drugiego człowieka, ja naprawdę znam Ralpa!” Poczwała, że jest jej bardzo zimno.

Poszła na górę po wełniany bezrękawnik.

Dzień musiał toczyć się dalej, chociaż wełna jakoś nie mogła rozgrzać Anny. Zapytała Kit:

- Masz coś do zrobienia dziś po południu?

Pytanie nie było najsensowniejsze: czyż Kit kiedykolwiek tego lata miała coś do zrobienia? Zwykle spała albo siedziała beczynnie; sporadycznie włączała się do jakichś prac domowych.

- Bo jeśli nie - dodała Anna - to czy mogłabyś się wybrać z Melanie i ze mną na zakupy? Ta mała potrzebuje jakiejś odzieży, pomyślałam, że skoro jesteś prawie w jej wieku...

- Oczywiście - przerwała matce Kit - mamy ze sobą wiele wspólnego! , ,

- Jak uważasz, gdzie byłoby najlepiej pojechać? - spytała Anna, nie zważając na ironiczny ton córki. - Zależy, o co jej chodzi. Jak o jeszcze jedną koszulkę w lamparci wzór, jedźmy do „Woolworthsa” do Dereham.

- Ależ te moje dzieci lubią się snobować!

-No, już dobrze... - mruknęła pojednawczo Kit. - Co jest jej potrzebne?

- Na pewno jakieś okrycie. 1 pantofle do chodzenia po domu. - Wreszcie byłby nam oszczędzony stukot buciorów!

- Jeszcze sweter, na wypadek, gdyby się miało ochłodzić. - Anna otuliła się szczerzej bezrękawnikiem. - Do tego mo-

że nowe dzinsy, parę letnich koszulek, bluzek. No i bielizna, jestem pewna, chociaż nie sprawdzałam, nie zdobyłam się na takie samozaparcie.

- Ona podobno nie nosi.

- Kto ci coś takiego powiedział?

- Robin. W jego wieku ma się oko na takie rzeczy... Dobrze więc. Mogłybyśmy pojechać do Norwich, złapać tatę po zebraniu, przycisnąć go, żeby nas gdzieś zaprosił, na herbatę i lukrowane bułeczki.

Niech Melanie zobaczy rodzinę z elementarza: będziemy sobie pojadać, popijać i gaworzyć...

- Nie! - sprzeciwiła się Anna. - Nie pojedziemy do Norwich! Powiem ci, co zrobimy: jest taki ładny dzień, wybierzmy się nad morze, zaczerpnijmy świeżego powietrza. Pojedźmy do Cromer. Jej się powinno tam spodobać.

- O, tak, pewnie się zaczniesz napraszać o cukrową watę i przejażdżkę na osiołku - zakpiła Kit. - Słowo daję, mam, masz dziwne wyobrażenie na temat tego, co mogłoby być frajdą dla dziewczyny w rodzaju Melanie. - Pamiętasz, co mówił ojciec? Spróbuj być dla niej miła.

Anna weszła na górę. Stała na chwilę przed zamkniętymi drzwiami, żeby zebrać się w sobie. Potem zapukała. Żadnego odzewu. Delikatnie nacisnęła klamkę.

- Melanie?

Zaciągnięte szczelnie zasłony, półmrok, duchota i smród: nikt jak dotąd nie widział, żeby Melanie się myła. Materac ściągnięty z łóżka na podłogę, na nim, zwalone w bezładną stertę, prześcieradła, poduszki i koce. Barłóg. W pierwszej chwili Anna miała wrażenie, że jest pusty, że Melanie uciekła. Sterta pościeli drgnęła jednak i dziewczyna wysunęła spod niej głowę.

- Wolisz spać na podłodze? - spytała Anna.

Melanie wstała, wyplątując się z prześcieradeł. Miała na sobie różowy podkoszulek Becky, mocno za ciasny pod pachami i podjeżdżający jej na brzuchu tak wysoko, że było widać drabinkę sterczących żeber.

- Skąd to wzięłaś? - zdziwiła się Anna; przyszło jej do

głowy, że może ze sznura z suszącą się bielizną, natychmiast doszła jednak do przekonania, że nie. - Wiesz - powiedziała - nie powinnaś wchodzić do pokoju Becky, jak jej akurat nie ma, ona tego bardzo nie lubi.

- O-na te-go bar-dzo nie lu-bi! - dziewczyna powtórzyła ostatnie zdanie Anny, przedrzeźniając jej ton.

- Z miłą chęcią wszystko ci pożyczymy. Wszystko, co zechcesz. Ale trzeba poprosić, zapytać...

- Dlaczego?

Anna milczała, usiłując sformułować w myślach odpowiedź:

—„Dlatego, że... że są tysiące powodów... że tak właśnie się robi w cywilizowanym świecie...”

Uderzył ją ton postawionego przez Melanie pytania, beznamiętny ton antropologa. „Dlaczego?” Tylko ciekawość. Brak jakiegokolwiek osądu.

- Poza wszystkim - odezwała się w końcu - jesteś już dużą dziewczyną, nic z rzeczy Becky nie będzie na ciebie pasowało. Może raczej poprosiłabyś Kit, żeby ci coś pożyczyła?

- Pożyczyć. Od Becky! Od Kit! - zachnęła się Melanie. - Nabzdyczone gęsi...

- Wiesz, pomyślałam, że się przejedziemy - Anna starała się mówić swobodnym, ciepłym tonem. - Wskoczmy sobie nad morze.

- To dobre dla smarkaczy - burknęła Melanie. - Wycieczka...

- Nie na wycieczkę. Na zakupy. Po jakieś ciuchy dla ciebie.

- Miałam ciuchy.

- Ale je spaliłaś.

- Wcześniej. Moje własne.

- Wiem.. - pokiwała głową Anna. I dodała:

- Dziecko, przestań już skubać te palce!

Koniuszki palców Melanie były całe pokancerowane: złuszczone skóra, zaognione żywe ciało...

Dziewczyna stale

przy nich manipulowała, używając paznokci i zębów, stale się nad nimi pastwiła. Nabrała tego zwyczaju na etapie zażywania amfetaminy, wszystkie narkotyzujące się dzieciaki w podobny sposób kaleczyły sobie palce. „Przecież to boli!” - pomyślała Anna, przypominając sobie własne dziecięce palce z poobcinanymi do granic możliwości paznokciami. Wspomnienie też było bolesne jak ostre kłucie w sercu, przywołało natychmiast inny obraz: obraz Enocka, stojącego z kosą na misyjnym dziedzińcu, wśród świeżo ściętego kwiecica, które przecież drażniłoby go nie dłużej niż kilka godzin, gdyby pozwolił mu żyć. I tak zabiłoby je słońce. - Co z panią? - zapytała dziewczyna.

Anna uniosła wzrok i napotkała jej spojrzenie. Dostrzegła w nim ku własnemu zdumieniu coś niezwykłego: oznakę, przelotny błysk człowieczeństwa.

- Nic, nic - odpowiedziała. Ale Melanie nie dawała za wygraną.

- Pomyślała sobie pani o czymś, o czym pani nie powinna myśleć? - Znów ten chłodny, beznamiętny ton antropologa.

-Tak.

- A o czym, co to takiego?

- Nie mogę powiedzieć.

- Nie mo-gę po-wie-dzieć! - Znowu złośliwa, dziwnie trafna imitacja parodysty. - O czymś złym, prawda? - Powiedzmyiń skoro już tak się dopytujesz.

- Jak bardzo złym?

Na twarzy dziewczyny widać było skupienie i zawziętość. Anna pomyślała, że Melanie koniecznie chce uzyskać świadectwo czyjegoś błędu lub chociaż tylko pomyłki, żeby porównać, skonfrontować cudze postępowanie z własnym, żeby znaleźć dla swoich problemów odpowiednie miejsce w hierarchii rzeczy dobrych i złych.

- Czy o czymś takim, jak na przykład zabójstwo? - dopytywała Melanie.

-Tak.

- To pani kiedyś kogoś zabiła?

~ Też coś! Gdybym kiedyś zabiła, to bym teraz siedziała w więzieniu.

- A siedziała pani kiedyś w więzieniu?

- Tak. - Anna była sama zdziwiona swoją twierdzącą odpowiedzią. - Siedziałam.

- Za kradzież? -Nie.

- Nie musiała pani kraść, prawda? Przecież pani wszystko ma. ^J

- No, powiedzmy.

- Ma pani dom.

- To prawda.

- A ja nie mam domu. Tylko dom dziecka. Twarz Anny złagodniała;

- No, tak... Nie powinno się w ten sposób nazywać tych miejsc, prawda? To nie są prawdziwe domy...

Słuchaj Melanie, a twoja mama, twój tata... Jak dawno już ich nie widziałaś?

Oczy Melanie zmatowiały, straciły wyraz, gdy usłyszała to pytanie. Jednak pod maską całkowitej obojętności tliła się nadal, Anna to wyczuwała, jakaś iskierka gotowości do dalszej rozmowy, do współpracy; przelotna, niepewna chęć otwarcia się wobec drugiego człowieka. Melanie najwyraźniej zaczęła przebiegać myślami przez wszystkie te miesiące i lata, próbowała dojść jakoś do ładu z nienawistną chronologią nakazów sądowych i raportów służb społecznych. W końcu rzuciła:

- Nie pamiętam. W ogóle już nie pamiętam moich starych.

- To niemożliwe.

- Możliwe. Nie pamiętam!

- W takim razie... co z wyjazdem, któryśmy sobie zaplanowały? - Anna szybko zmieniła temat, przybierając profesjonalny „ciepły” uśmiech.

Fachowego sposobu prowadzenia rozmów z podopiecznymi nauczyła się od Ralpa; należało sobie wmówić, że każ-

da inicjatywa będzie przyjęta przez tę drugą stronę, z góry zakładać pozytywną odpowiedź, nie dopuszczać nawet możliwości odmowy lub po prostu milczenia.

- Zaplanowałyśmy sobie? My? Wyjazd? - Oczy Melanie zrobiły się wielkie jak spodki; dziewczyna cofnęła się na wszelki wypadek o krok, jakby się bała, że Anna może ją złapać i wywlec z pokoju siłą.

- No, tak. A czemu nie?

- Tutaj mi dobrze.

- Naprawdę? To już jest coś.

Melanie zorientowała się, że w prowadzonej batalii właśnie oddała małe przyczółek.

- A te ciuchy... te ciuchy są w porządku - stwierdziła spłoszona. - Nie chcę żadnych innych!

- Jestem pewna, że nie mówisz poważnie, Melanie. Niegłupia z ciebie dziewczyna - w głosie Anny było już znacznie mniej zapożyczonego od Ralpa spokoju, mówiła chłodno, najwyraźniej tracąc cierpliwość - więc chyba zdajesz sobie sprawę, że nie możesz spędzić reszty życia w koszulce jak z młodszej siostry. Problem jest tylko taki: kiedy się zdecydujesz postarać o nowe rzeczy, prawda? A nie, czy się zdecydujesz.

Po tych słowach przez pewien czas Anna i Melanie lustrowały się wzajemnie w napięciu i milczeniu, starały się przejrzeć jedna drugą, zbadać grunt. Anna brała nawet pod uwagę ewentualność, że Melanie rzuci się na nią; miewała już takie przypadki, przyjmując wakacyjnych „gości” w Czerwonym Domu. Spoglądała na blade, patykowate ręce dziewczyny, wysuwające się z kusych rękawków, na jej poznaczone bliznami po cięciach przedramiona, pokaleczone dłonie, na taniutki pierścionek w kształcie serca, jaki nosiła na środkowym palcu. Wiedziała, że na wszelki wypadek powinna się cofnąć o parę kroków, tak, by Melanie nie mogła jej dosięgnąć. „Na razie trzyma ręce przy sobie - myślała - ale w każdej chwili może się porwać do bitki, może mnie rąbnąć w szczękę. Mimo wszystko się nie wycofam!” - zdecydowała. „Nie zrejteruję!”

- Niech mi pani powie... o czym pani myślała... - wyrzuciła w końcu z siebie Melanie.
- To znaczy... kiedy myślałam?
- Przedtem. Jak pani myślała o tym zabójstwie.
- Co będzie, jak ci powiem?
- Pojadę z panią. Po ciuchy.
- Nie wierzę.
- Słowo. Pojadę. Tylko niech mi pani powie.
- Zgoda. Powiem ci.

Spojrzenia Anny i Melanie zwały się ze sobą.

- Miałam kiedyś jeszcze jedno dziecko - rzekła Anna. -To był chłopiec. Niemowlę. Ktoś mi je porwał z domu i zabił. Dziewczyna spuściła oczy, pochyliła głowę.
- To przykre.. - wyszeptała.

I właśnie owo niewiarygodne ubóstwo jej reakcji, żalosne ubóstwo jej słownika zmusiło Annę do powiedzenia czegoś jeszcze:

- Przykre. Tak. Bezgranicznie przykre. Pytałaś mnie, o czym myślałam. Powiem ci, Melanie, dlaczego nie? Myślałam o człowieku, który mi to zrobił. I o tym, w jaki sposób bym go zabiła, gdybym go tylko dostała w swoje ręce. Melanie spojrzała na Annę.
- No i w jaki? - zapytała.

- Nie wiem. Zastanawiam się nad tym, ale nie umiem wybrać. Widzisz, jest tyle możliwych sposobów. Dziewczyna znów opuściła głowę. Anna po raz pierwszy dostrzegła w niej w tym momencie kruchą żywą istotę. Zauważyła, że Melanie ma jasną, delikatną karnację, że jej włosy bez wątplenia posiadają jakąś własną, naturalną barwę, że przecież nie całe jej ciało pokrywają blizny, siniaki

1 szramy. „Jest wyniszczona, ale można ją jeszcze uratować - pomyślała - szansa istnieje, nawet jeśli jest znikoma. Tylko że ja mimo wszystko nie powinnam była jej mówić tego, co powiedziałam, powinnam była jakoś skłamać; ją trzeba ratować, ale nie w taki sposób”.

Anna podeszła do drzwi.

- Obiecałaś mi coś - powiedziała. Otworzyła drzwi.

- No, chodź, Melanie, słowo się rzekło, dostałaś, czegoś chciała i nawet więcej. Teraz na ciebie kolej. Obiecałaś, że pojedziesz ze mną kupić sobie trochę rzeczy.

Melanie kiwnęła głową. Jej twarz znowu stała się maską bez wyrazu. „Może jej się zdaje - pomyślała Anna - że to, co ode mnie usłyszała, było tylko snem? Ona pewnie żyje od przebłysku do przebłysku, ciągle coś się kasuje na taśmie jej pamięci...”

Anna ruszyła po schodach na dół, za nią załomotały wielkie buciory. W ostrym słonecznym świetle, jakie wpadało przez okno do kuchni, Anna przyjrzała się zniszczonej, zsiniałej twarzy Melanie. Ujęła dziewczynę za podbródek, spojrzała jej prosto w oczy. Zapytała:

- Dziecko, czy ty w ogóle nie sypiasz?

- Nie. Kaszel ciągle mnie budzi. Anna rzekła dobitnie:

- Odstaw kleje, a kaszel ci przejdzie.

W czasie jazdy do Cromer Anna milczała, Melanie również, jak zwykle. Siedziała z tyłu, kuląc nogi aż pod brodę i ciasno obejmując rękami kolana, dosłownie zasupłana w węzeł. Nie chciała oglądać ani rozświetlonego słońcem morza, ani barwnych reklam na furgonetkach z lodami, ani fruwających wszędzie wokół mew. Ptaki szybowały w powietrzu, wznosiły się w górę i opadały ślizgowym lotem, przysiadły na wieżyczkach i mansardowych dachach domów z czerwonej cegły, odważnie zapuszczały się w głąb ładu, pikując i pokrzykując wśród sosen. Widać je było na niebie i w taflach wysokich okien nadbrzeżnych hoteli, w których ich sylwetki odbijały się niczym w lustrach. Kit widziała je, w wyobraźni, nawet wtedy, gdy już znikwały jej z oczu, i słyszała ich głosy, choć już nie rozbrzmiewały jej w uszach. Takie to ptaki. Fale morza wydawały swój odgłos ciężkiego od-

dechu. Wczasowicze kręcili się tam i z powrotem. W smażalniach z plastikowymi stolikami serwowano porcje świeżej ryby.

Melanie mocno zacisnęła powieki. Nie chciała wysiąść z samochodu.

-Przecież wiesz, że potrzebujesz czegoś do ubrania -odezwała się anemicznym głosem Anna, której energia najwyraźniej była już na wyczerpaniu.

- Mam ubranie - burknęła Melanie. - Mówiłam pani, że mam!

Kit nie wytrzymała.

- Masz tylko to, co na sobie, w tym niektóre ciuchy kradzione! - krzyknęła. - Ruszaj się, głupia klabzdro! To, co nosisz, trzeba wyprać, ze względu na nas, jak już nie ze względu na ciebie.

- Czemu?

- Ano temu, moja panno - ton głosu Kit nabrał jadowitej słodyczy - że cuchniesz. A jak zaśmierdniesz jeszcze bardziej, trzeba cię będzie przenieść z domu do którejś szopy!

Nieoczekiwanie reprimenda podziałała. Melanie rozprostowała swoje na pół odrętwiałe ciało i wygramoliła się z wozu. Kit, dobrze się orientując, że nad samym morzem bywa przeważnie znacznie zimniej niż w głębi lądu, wzięła ze sobą zapasową kurtkę. Spróbowała ją narzucić Melanie na ramiona. Ta wrzasnęła:

- Odwal się ode mnie, ty zołzo!

- Oj, nie pozwalaj sobie, tłumoku, bo jak ci przywalę, zanim się odwalę, to popamiętasz... - warknęła w odpowiedzi Kit.

Annę przeszedł dreszcz. Zrzekła się całej inicjatywy na rzecz córki, straciła kontrolę nad sytuacją.

Przerażała ją myśl o tym, co powiedziała Melanie. Ta dziewczyna przecież tak łatwo, w każdej chwili mogła powtórzyć Kit jej słowa.

Kit chwyciła Melanie za rękę powyżej łokcia. „Ależ mogłaby z niej być groźna strażniczka w więzieniu - pomyślała

Anna - silna, nieubłagana..." Palce Kit wpijały się w delikatne dziewczęce ramię, Anna miała wrażenie, że sińce, jakie ten uścisk może tam pozostawić, odnowią się na jej własnym ciele. Spytała siebie w myślach: „Czy jest coś, co muszę wybaczyć Kit? Czy już jej wybaczyłam, że żyje?"

Skierowały się w stronę centrum handlowego. Kit uwolniła swego więźnia i szła zamaszystym krokiem, uśmiechając się z satysfakcją. Melanie, posępna i wściekła, wlokła się z pochyloną nisko głową. Wiatr smagał jej wiotkie, patykowate ręce w krótkich rękawkach. Anna chciała wziąć z samochodu zapasową kurtkę, na wypadek, gdyby Melanie zdecydowała się ją założyć, Kit jednak dała jej dyskretny znak, że nie trzeba, więc okrycie zostało na przednim siedzeniu.

Mniej więcej po godzinie Melanie była już jako tako wyekwipowana. Podczas zakupów Anna i Kit musiały sumiennie w sklepie wybaczyć jej brak ogłady; na ich przeprosiny odpowiadano współczującymi uśmiechami.

- Ludzie myślą, że to moja opóźniona w rozwoju młodsza siostra - szepnęła matce Kit.

Melanie sama niosła swoje sprawunki. Ściemniło się, wiatr przyniósł mżawkę, wyletnieni wczasowicze zaczęli sinieć z zimna i zacierać dla rozgrzewki ręce, a świadome kaprysów nadmorskiej pogody mieszkanki Cromer pookrywały się pikowanymi kurtkami i wełnianymi szalami. Anna postawiła kołnierz. Popatrzyła na jeszcze mocniej zbielejące ręce Melanie. Pomyślała, że w Norfolk można się nauczyć przezorności, jakiej nigdy by się nie nabrało w Londynie...

- Mamo, popatrz! - Kit złapała ją za rękę i zatrzymała przed wystawą salonu zmechanizowanego sprzętu gospodarstwa domowego. - Tylko popatrz na tę pralkę! Pełny automat, szesnaście programów. Pomyśl!

- No... tak.. - rzekła niepewnie Anna. - Ale przecież nasza wirnikowa staruszka jest jeszcze w niezłym stanie...

- W niezłym stanie? - obruszyła się Kit.

Obejrzała się przez ramię, chcąc zapytać Melanie, z którą jej stosunki przez ostatnie pół godziny wyraźnie się ociepliły, czy w ogóle słyszała o czymś takim jak wirnikowa pralka, skąd się wyciąga mokre pranie przy użyciu drewnianych szczypiec albo gumowych rękawic, ale Melanie nie było! Kit obróciła się szybko dookoła, aż jej długie włosy za-furkotały na wietrze.

- Dała nogę - stwierdziła. - Była tu jeszcze trzydzieści sekund temu, daleko nie mogła uciec...

Rozejrzały się z Anną po ulicy. Ani śladu, ani znaku.

- Sprawdźmy w sklepach. Szybko! - rzuciła Kit.

Zaglądały kolejno do pobliskich sklepów, skonfundowane powtarzały tę samą formułkę: „Czy ktoś z państwa nie widział dziewczyny, krótkie jasnorude włosy, džinsy, różowa koszulka?” Wypytywano je: „Jakiej dziewczyny? Chodzi o pani córkę? Konkretnie ile ma lat?” Po czym odpowiadano:

„Niestety, miłe panie, tu takiej dziewczyny nie było”. Anna stwierdziła w końcu:

- To strata czasu. Jak myślisz, gdzie ona mogłaby się wypuścić?

- Wszędzie - odparła Kit. - Nie zna miasta, nie zna okolicy, więc może pójść dokądkolwiek.

Spojrzały z Anną po sobie.

- To pomysł trochę jak z burleski - odezwała się Kit - ale dlaczego nie miałybyśmy się rozdzielić? Ja pójdę w jedną stronę, a ty w drugą. Jak ją zobaczysz, z miejsca capnij, nie zastanawiaj się, łap i nie puszczaj, OK?

- Gdzie się znów spotkamy?

- Tutaj. Przy pralce. Rozglądamy się przez dziesięć minut, a potem zawracamy. Za piętnaście, dwadzieścia powinniśmy się spotkać. Jak jej nie znajdziemy w tym czasie, możemy sobie spokojnie darować dalsze szukanie. Będzie znaczyło, że wsiadła w autobus i gdzieś pojechała. Ma jakąś forszę?

- Piątaka.

- Nieźle - mruknęła Kit i ruszyła zamasyście ulicą, obracając głowę to w prawo, to w lewo.

Anna spoglądała za nią przez chwilę, po czym udała się w przeciwnym kierunku. Szła szybkim krokiem, z wysiłkiem balansując: na wysokich obcasach nie było jej najwygodniej podbiegać po bruku. Gdyby wiedziała, co jej przyjdzie robić, obułaby się inaczej.

Po pięciu minutach była zmuszona przerwać pościg. „Jednak nie mogę biegać, nigdy przecież nie mogłam” - pomyślała. Zdziałała tyle, na ile pozwoliło jej serce; gdy poczuła ucisk w klatce piersiowej i niedobór powietrza w płucach, mogła już tylko, stojąc w miejscu, rozglądać się dookoła, czy czasem gdzieś nie mignie pomarańczowa czupryna Melanie. Pomyślała: „Chyba nikt by tej małej nie wziął, gdyby chciała złapać okazję i wyjechać z miasta. Tak dziwnie się prezentuje, wygląda trochę jak pomyłona... Chociaż, może z litości? Ludzie robią z litości najbardziej zdumiewające rzeczy.

Podwożą nawet uciekinierów z więzienia. Dają im pieniądze, schronienie...”

W piętnaście minut później, blada z wyczerpania, z za-siniałymi ustami, Anna spotkała się z Kit przed sklepem z pralkami. Kit najpierw matkę objęła, a potem wzięła pod ramię, żeby jej pomóc utrzymać się na nogach.

- Dobrze się czujesz? - spytała. - Przecież nie mówiłam, że masz ją ścigać do upadłego...

- Wszystko w porządku - wysapała Anna. - Ze mną wszystko w porządku.

Odchyliła się do tyłu i zaczęła głęboko oddychać, podtrzymując splecionymi dłońmi przeponę.

- Zwiłała nam. Wypytywałam na przystankach autobusowych. Ani śladu. Może powinniśmy pójść na policję? - zaczęła się głośno zastanawiać Kit.

- Nie. Przecież nic złego nie zrobiła.

- Może zrobić. Albo coś złego może ją spotkać.

Anna wróciła do normalnej pozycji. Zadyszka jej minęła, oddech się uregulował.

- Nikt nie ma obowiązku spędzać z nami wakacji - zauważyła cierpko.

- No nie, ale...

- Kit, jak wciągniemy w to policję, to prawie na pewno wpakujemy Melanie w kłopoty. I wtedy, jak powiedziałby ojciec, stracimy definitywnie jej zaufanie. Powinniśmy jej dać... czy ja wiem... jakąś szansę... Po prostu powinniśmy tu spokojnie poczekać, powiedzmy, kwadrans. A nuż wróci?

- Nie wróci, bo nie trafi - stwierdziła Kit, zacierając ręce dla rozgrzewki. - Ale zgoda, zaczekajmy, może tylko dajmy znać... Mamy numer taty w Norwich?

- Nie.

- Można się dowiedzieć w informacji. I zadzwonić, żeby V wracał do domu. Słuchaj, ty tu zaczekasz, a ja podskoczę... tam jest kabina telefoniczna. Czerwony Krzyż, prawda? Jak się nazywa ta osoba, z którą tato miał się spotkać? - Nie wiem.

- Nieważne. Poproszę, żeby poszukali Ralpa...

- Nie, Kit!

Anna kurczowo zacisnęła dłoń na ramieniu córki. Pomyślała: „Jeśli teraz, po moim wcześniejszym telefonie, ona zadzwoni do Pat Appleyard, tamta się zorientuje, że coś jest nie tak, zaczną się plotki...”

- Kit, ojciec nie pojechał do Norwich.

- A dokąd?

- Nie wiem.

- Ale przecież mówił, że jedzie do Norwich, jeszcze dziś rano!

Zdenerwowana Kit chwyciła matkę za oba ramiona, zaczęła jej przypominać:

- Robin powiedział: „Kup mi «Wisden Cricket Month-ly»”, on na to: „W porządku, a jak nie znajdę, może być jakieś inne pismo?”, a Robin na to, że nie. I Rebecca powiedziała: „Kup mi coś!”, a ojciec spytał: „Co na przykład?”; powiedziała, że niespodziankę, ojciec, że OK. A Robin na to:

„Rozpieszczona smarkuła!”

Anna zrobiła krok w tył, wyrwała się córce i oparła plecami o okno wystawowe. Przesłoniła usta dłonią, wydała ja-

kiś dziwny dźwięk, przypominający ni to czkawkę, ni to śmiech. Kit próbowała odciągnąć jej dłoń od ust, sprawdzić, dlaczego je zasłania, jakby Anna była małym dzieckiem, które wzięło do buzi coś, czego nie powinno, na przykład kamień albo grudkę ziemi. Dziwny odgłos, coś jakby dławiony jęk, wciąż rozbrzmiewał, na każdym wydechu. Wdechy były ciężkie, syczące. Anna nabierała powietrza, zastęgała na moment z zamkniętymi oczyma jak sparaliżowana i potem wypuszczała powietrze, z postękiwaniem, a nawet więcej, z czymś w rodzaju tłumionego krzyku, który zdawał się płynąć nie tyle z jej gardła, ile skądś z głębi, od żołądka. I znów zasysała powietrze - ostre, słone, morskie... W końcu odezwała się:

-Wiedziałam, że kiedyś stracę wszystko, że stracę wszystko któregoś dnia.

Późnym popołudniem ktoś zastukał do drzwi Czerwonego Domu. Kit poszła otworzyć. Już wcześniej przebrała się z dzinsów w spódnicę, związała włosy: jakby się spodziewała, że znienacka będzie zmuszona wejść w świat ludzi dorosłych.

Anna siedziała w starym, drewnianym fotelu obrotowym przy biurku w gabinecie Ralpha. Ten fotel pochodził z gabinetu Emmy; przekazała go bratu jako mebel zbyt zdezolowany, żeby go prezentować pacjentom. W lepszych czasach Anna i Ralph żartowali: „To dar Emmy dla fundacji, tak bogaty, że aż się w głowie kręci!” Ale teraz były gorsze czasy. I Annie kręciło się w głowie od całodziennego szarpaniny w błędnym kole wyrzutów i przypuszczeń. Myślała: „Wszystko mi się wali. Nie doszłam do żadnego sensownego wniosku w sprawie Ralpha, straciłam twarz w oczach Kit przez ten płacz na ulicy, Melanie uciekła, po części przynajmniej z mojej winy...”

Do gabinetu weszła Kit w towarzystwie dwu policjantów. Była blada, wyglądała poważnie i godnie. Powiedziała:

- Znalezione Melanie. Udało jej się dostać aż do Norwich. Teraz jest, niestety, w szpitalu.

Anna zerwała się z fotela. Spytała:

- Co się jej stało?

- Czy pani Eldred? - pytaniem na pytanie odpowiedział jeden z policjantów.

- Tak. Co się jej stało? - powtórzyła Anna.

- Podała w szpitalu pani nazwisko - zaczął wyjaśniać policjant. - To znaczy nazwisko pani męża...

- Na litość boską - przerwała mu Anna - niechże pan wreszcie odpowie na moje pytanie!

V - Coś tam wzięła, pewnie jakieś prochy, tylko tyle nam powiedzieli. Czy nie przychodzi pani do głowy, co? I dlaczego?

- Już mówiłam tym panom, w jakich okolicznościach Melanie nam uciekła - wtrąciła się Kit. -

Panowie - zwróciła się do policjantów - przecież mówiłam, jak to było, mówiłam, że nic nie wskazywało... - Jak ona się teraz czuje? - zapytała Anna.

- Jak u Pana Boga za piecem - odparł policjant.

- Bez przesady...

- Naprawdę, ma święty spokój - włączył się do rozmowy drugi z funkcjonariuszy. - Nie pozwolili nam jej przesłuchać, śpi...

- Nic jej nie grozi?

- No, o to już nie nas trzeba pytać.

- Zdaje się - rzekł ten pierwszy policjant - że pan Eldred sprawuje zastępczą opiekę...

Anna kiwnęła głową. Drugi policjant zapytał:

- Pan Eldred nie przyjechał jeszcze z pracy?

- Mój mąż nie jeździ do pracy. Funkcjonariusze zbaranieli. Któryś zasugerował:

- Rencista?

- Mój mąż jest pracownikiem fundacji charytatywnej. Urzęduje w domu.

- Właśnie dlatego, że tato pracuje dla fundacji, mieliśmy tutaj Melanie, przecież panom mówiłam... - wtrąciła się Kit.

- Moglibyśmy się trochę rozejrzeć, Mrs Eldred? Po pani domu?
- Nie. Przykro mi, ale się nie zgadzam.
- Ci panowie chcieli tylko zobaczyć pokój Melanie -znów wtrąciła się Kit - sprawdzić, czy nie ma śladów po czymś, co mogła zażyć, na przykład jakiegoś opakowania po lekarstwach...
- Domyślam się - rzekła Anna. - Domyślam się, o co chodzi.
- No widzicie, panowie, mama doskonale rozumie. - Kit starała się o swobodny, pojednawczy ton, nie była jednak w stanie do końca stłumić w głosie pewnej nuty niepokoju.
„Już mnie traktuje, jakbym była niespełna rozumu, jakbym nie umiała mówić sama za siebie, mogłam się tego spodziewać” - pomyślała Anna. I powtórzyła:
- Nie zgadzam się! Na rewizję bez nakazu. Postarajcie się o nakaz. Wtedy możecie wrócić i szperać po kątach.
Po tych słowach Anny dotychczasowa tępawa podejrzliwość w zachowaniu funkcjonariuszy ustąpiła miejsca przesyconej szyderstwem wrogości.
- Więc tak to pachnie, będziemy utrudniać policji pełnienie obowiązków... - zaczął pierwszy funkcjonariusz.
- Nie chcę niczego utrudniać - przerwała mu Anna. -Chcę tylko, żeby wszystko było przeprowadzone tak, jak należy.
- A jak dziewczyna umrze? - odezwał się ten drugi. - To pani będzie wtedy winna...
- Przecież pan mówił, że śpi, a nie umiera, o ile dobrze pamiętam.
- Mamo! - krzyknęła Kit. - Mamo, posłuchaj! Przecież chodzi tylko o to, żeby pomóc Melanie...
„Patrzy na mnie, jakbym spadła z księżycy” - pomyślała Anna. I wyjaśniła córce:
- Są pewne zasady. Jest właściwy tryb postępowania. Jak człowiek raz od niego odstąpi...
- Ależ mamo, przecież to nie Południowa Afryka!

- Jeszcze nie.

Kit nie odezwała się już na te słowa. Policjant stwierdził:

- No cóż, madam, może lepiej porozmawiamy sobie z pani mężem. O której się go pani spodziewa?
- Trudno określić godzinę.
- Nie wraca o tej samej porze?
- Absolutnie nie. Kit wtrąciła:
- Zwykle wiemy, jak się skontaktować z tatą, ale dzisiaj coś się musiało pokręcić w jego terminarzu...
- Co pani powie?
- ... i nie mamy pojęcia, jak go złapać.
- A to pech! Będziemy musieli dać znać do szpitala, że Mr Eldred jest nieuchwytny.
- Ja mogę pojechać do szpitala - powiedziała Anna.
- Tak, madam, ale to nie pani sprawuje zastępczą opiekę, tylko małżonek, prawda? Więc jest problem... - zaczął tłumaczyć pierwszy policjant.

Anna spostrzegła, że ten drugi najwyraźniej wpatruje się ponad jej ramieniem w jakiś punkt na biurku. Odwróciła się, żeby sprawdzić, na co on tak patrzy.

- Ten portret tam., to zdjęcie... - uprzedził jej ewentualne pytanie policjant, wskazując na fotografię Ralpha na werandzie przy Flower Street. - Czy to czasem nie pan Eldred, madam?
- Owszem. I co z tego? - Anna z miejsca przyjęła obronną postawę. - To zdjęcie sprzed dwudziestu lat, ponad dwudziestu, do listu gończego na pewno się wam nie przyda!
- Takie stare to zdjęcie? A podobieństwo całkiem, całkiem... - zdziwił się policjant. - Ta handlarka z Burnhams, no nie? - zagadnął swego kolegę, a potem zwrócił się znów do Anny, cedząc z wolna słowa: - Zdarzyło się nam parę razy spotkać pana Ełdreda, nawet często go widzujemy, madam. Odwiedza taką małą farmę przy trasie na Brancaster, nawet często odwiedza. Wcale bym się nie zdziwił, jak byśmy teraz też tam zastali małżonka, madam.

Za każdym razem, kiedy policjant powtarzał słowo madam, wyglądało to tak, jakby chciał zdzielić nim Annę niczym pięścią lub kopniakiem. Mówił i tylko patrzył, czy ciosy dosięgają celu.

-Pani pewnie też zna tamtą kobietę, madam... - rzucił na koniec.

- Panią Glasse? Owszem. - Anna starała się mówić chłodnym, beznamiętnym tonem i nadać swojej twarzy wyraz całkowitej obojętności. - Pojedźcie tam teraz?

- Chyba warto..

- Kit - zwróciła się Anna do córki - jak Rebecca wróci od koleżanki, dopilnuj, żeby coś zjadła, dobrze? A potem jedźcie obie do Foulsham. Poproś Emmę, żeby wam pozwoliła zostać na noc.

- Dlaczego?

- Bo nie chcę mieć was tutaj, jasne?

- Mogę wziąć twój samochód?

- Nie. Będzie mi potrzebny. Pojadę z wami. - To ostatnie zdanie Anna skierowała do policjantów.

- Jak pani sobie życzy, madam.

- Jedźcie do Foulsham na rowerach - Anna znowu mówiła do Kit. - Zabierzcie tylko szczoteczki do zębów...

- Zostawię Becky u Emmy i wrócę.

- Nie! Zostań z siostrą, Kit, zrób to dla mnie, proszę, dobrze?

Anna była zirytowana i roztrzęsiona, równocześnie ze wszystkich sił starała się opanować, utrzymać nerwy na wodzy, nie dać niczego po sobie poznać.

- Co mam powiedzieć Emmie? - zapytała ją Kit.

- Nie wiem. Czy naprawdę muszę myśleć o wszystkim? Czy ty nie jesteś już wystarczająco dorosła, żeby mi pomóc? - wybuchła.

- Nie - stwierdziła z zadumą Kit. - Prawdę mówiąc, nie...

Anna wzięła z blatu biurka kluczyki od swego samochodu. Leżały tuż obok fotografii Ralpa. „Jakby miała je specjalnie przygotowane, w zasięgu ręki” - pomyślała Kit.

Anna ruszyła za policjantami. Mogli ją łatwo zgubić na tym czy innym skrzyżowaniu, ale specjalnie jechali dostatecznie wolno, żeby się mogła ich trzymać.

Był wieczór. Na niebie regularnymi pasmami barw od nasyconej królewskiej purpury aż po najbledszy, delikatny róż mieniła się zorza. Amy Glasse zbudziła się i usiadła na pościeli.

Rozprostowała ramiona, wyciągając je przed siebie, zaczęła gimnastykować palce niczym pianista przed koncertem. Gdy wyslizgiwała się z łóżka, Ralph, jeszcze w półśnie, odwrócił się w jej stronę i próbował ją zatrzymać. Jednak jego dłoń, poruszająca się ciepłym śladem ciała Amy, spóźniła się i zawisła w próżni.

Z dołu dobiegało głośnie i nieprzerwane łomotanie w drzwi.

- O Boże! - westchnęła Amy. - Znów to samo, cośmy już przerabiali.

Ralph ocknął się w tym momencie, ujrzał na tle okna jej sylwetkę, jej bielejące w półmroku smukłe plecy. Rozespany wyciągnął ku Amy rękę, mruknął:

- Kochanie, wracaj do łóżka.

Nie bardzo jeszcze wiedział, co zakłóciło im obojgu spokój.

- Niestety, nie mogę - powiedziała Amy. - Sama nie wiem, co robić, zejść na dół czy udawać, że mnie nie ma... Ralph, ty chyba jeszcze śpisz, prawda?

Rozejrzała się dookoła, złapała swój bawełniany podkoszulek, przetarła sobie miejsce między udami. Znowu zaczęła się rozglądać, szukając czegoś innego do założenia, w końcu, z lekkim chichotem, wciągnęła ten sam podkoszulek przez głowę. Sięgnęła po spódnice.

- I co ja mam robić? - zaczęła głośno myśleć. - Jak nie zejść teraz, to przecież oni wrócą później.

- Kto taki? - spytał Ralph, do którego wreszcie dotarł łomot pięści o drzwi. - Kto wróci? Kto tam tak wali?

- Purvis i jego kompan - odparła. - Gliniarze, mój drogi.

Czasem żałuję, że nie mieszkam w mieście, dranie przynajmniej by się zmieniali. A tak, ciągle ta sama dobrana para. Ralph odrzucił koc.

- Ty nie schodź, posłuchaj mnie, ty nie! - powstrzymała go Amy. - Są dwa samochody - mówiła dalej, zerkając przez szczelinę pomiędzy zaciągniętymi zasłonami. - Tylko się ubierz, ale zostań tutaj, siedź cicho. Jakby weszli na górę, nic się nie odzywaj. Nie drażnij ich.

Zapinając w biegu spódnicę, wymknęła się z pokoju. Ralph, rozgorączkowany, zaczął pospiesznie naciągać ubranie. Myślał: „Kto by spokojnie wytrzymał w ukryciu takie nieznośne łupanie, Amy nie dała rady i ja też nie zdzierzę, muszę natychmiast biec za nią, żeby w razie czego...” Wyobraził sobie, że bije Purvisa. Że jego ręka, zajęta w tej chwili dociąganiem i zapinaniem paska, wbija się... tak jak kiedyś, dawno temu... w tamto cielsko... to znaczy w to cielsko... że ten przekłety drab dostaje, na co zasłużył, i wyskakuje ośmieszony przez drzwi werandy z jedną stopą wklino-waną w kosz na śmieci... to znaczy tamten drab... Jego ręka, dokładnie tak samo, jak wtedy: ciało zapamiętuje niezależnie od umysłu, mięśnie i kości są w stanie samodzielnie, bez udziału mózgu, odtworzyć dawno miniony gest...

Włożył buty, prostując się, wrywkowo pozapinał koszulę. Popędził na dół, za Amy. Frontowe drzwi były otwarte, mógł wbiec prosto w wrześniowy wieczór, różowo-złoty, przesycony wspomnieniem minionego lata, wonią kwitnącej lawendy i swędem, jaki wydawały samochody turystów, trąc oponami o rozgrzaną nawierzchnię dróg.

Purvis rzekł:

- Mr Eldred, jeśli się nie mylę... Ralph potwierdził:

- Owszem, nie myli się pan, to ja. O co chodzi?

Zza policyjnego wozu wysunął się samochód Anny. Zgrzytliwie przyhamował. Po chwili Anna wysiadła. Nie wysunęła się jednak zza otwartych drzwi, wciąż osłaniała się nimi niczym tarczą, wsparta jedną nogą o przerdzewiały

próg wozu. Spojrzenia policjantów ślizgały się jak węże po sylwetce Amy Glasse, po jej wymiętej spódnicy i poplamionym białym podkoszulku, pod którym tak wyraźnie uwydatniały się piersi.

- Spieprzaj stąd, Purvis! - krzyknęła Amy. - Dopiero co tu węszyłeś, w zeszłym tygodniu, to czego, do cholery, znowu chcesz?

Ralph złapał ją za rękę.

- Uspokój się. Oni niczego od ciebie nie chcą, to chodzi o mnie.

Spojrzenie Amy kierowało się w słabnącym świetle schyłku dnia to na Purvisa, to na Ralpha, to na Annę, wciąż nieruchomą jak posąg.

Ralph pomyślał: „Straciłem poczucie czasu, już godzinę temu powinienem być w domu!”

Anna bez słowa wsiadła z powrotem do samochodu i odjechała.

Kiedy policjanci, przekazawszy nowiny i rozejrzawszy się przy okazji po podwórzu i przybudówkach, odjechali również, Ralph rzekł do Amy:

- Też muszę jechać. Rozumiesz, że muszę, prawda? Muszę jechać do Norwich, załatwić tę sprawę z Melanie...

- Jasne, że musisz do Norwich. - Amy uśmiechnęła się blado i cierpko. - Do Norwich, a potem do żony.

- Tak, do żony potem.

- A do mnie już nigdy, prawda? Nie odpowiedział.

- Wiem, jak to jest, nieraz z Sandrą widziałyśmy coś takiego w telewizji - odezwała się Amy. - Mężczyźni zawsze wracają do swoich żon.

-Wpadnę do ciebie jutro. - Składając tę obietnicę Ralph nie zastanawiał się, czy kłamie czy nie, wiedział tylko, że cały się trzęsie i że nagle utracił wszystkie siły. - To znaczy - dodał - wpadnę, jak nie pojedę do szpitala. Będę musiał jutro pogadać z różnymi ludźmi, z kimś z opieki społecznej, z jej rodzicami, jeśli jest poważnie chora. I z zarządem fundacji, bo jakby w grę miały wejść jakieś problemy prawne, to chciałbym, żeby wiedzieli... Przez cały dzień będę wisiał przy telefonie.

-Anna... Przecież ona jest piękna - stwierdziła Amy. -Sandra mi nie mówiła, nie miałam pojęcia...

Myślałam, że to taka szara myszka w perkalikowej sukienusi...

- O Annie nie będziemy teraz rozmawiać. Nie mam czasu, muszę zaraz jechać. Wpadnę do ciebie, jak tylko będę mógł.

- Nawet na to nie liczę...

Amy starała się o obojętny, niefrasobliwy ton, w rzeczywistości jednak z wysiłkiem tłumiła łzy. Ralph poczuł, że robi mu się zimno i niedobrze, że coraz bardziej się boi i że nienawidzi sam siebie.

Zatrzymał samochód przy budce telefonicznej na skraju Fakenham i zadzwonił do domu. Wyliczył sobie, że Anna właśnie powinna wrócić. Myślał: „Najlepiej by było, gdyby akurat wchodziła, to byłby najlepszy moment, żeby ją złapać...”

Nikt nie odbierał. Ralph odczekał dłuższą chwilę ze słuchawką przy uchu, raz jeszcze sprawdził na zegarku godzinę. Pomyślał: „Przecież Anna powinna już tam być! Gdzie mogłaby pojechać, jeśli nie do domu?”

Już miał odwiesić swoją słuchawkę, gdy zorientował się, że ktoś podniósł tę drugą, po tamtej stronie linii.

- Anna? Anno, to ty? - zapytał. Cisza.

- Anno, proszę, odezwij się! Cisza. Zaczął wyjaśniać:

- Jadę do Norwich. Muszę jechać. Do szpitala. Stamtąd znowu zadzwonię. Anno, proszę cię...

Odłożyła słuchawkę. Ralph wszedł do samochodu i odjechał.

„Może nawet bym się odezwała - myślała Anna - może bym się i odezwała, gdyby nie to, że nie przychodziło mi do

głowy zupełnie nic, absolutnie nic, co mogłabym powiedzieć!" Weszła do kuchni, zrobiła sobie kawę. Wypiła na stojąco, przy zlewie. Potem umyła filiżankę. Czekala ją długa noc. Samotna. Robin był na rozgrywkach ze swą drużyną, miał nocować w King's Lynn. Julian również przebywał poza domem; jak przypuszczała, na farmie. Córki wyprawiła sama.

Wytarła dłonie, złożyła ręcznik, przewiesiła go przez oparcie krzesła. Pomyślała: „Zdrada ma już taką naturę, że zmienia nie tylko to, co terazniejsze; zdrada sięga swoimi brudnymi łapami daleko wstecz i zmienia przeszłość”.

Nie mogła znaleźć sobie miejsca. Zaczęła krążyć po pokojach, potem wróciła do kuchni, żeby sobie zrobić jeszcze jedną kawę. Usiadła przy stole, odczekała, aż się jej wyrówna oddech. Znów wstała. Podeszła do zlewu. Patrząc na kuchenny zegar stwierdziła, że minęło dopiero pół godziny od chwili, gdy odłożyła słuchawkę telefonu, usłyszawszy w niej głos Ralpa. „Przecież nie można trawić czasu w ten sposób!” - pomyślała. „Myjąc raz po raz filiżankę...”

Zapadła ciemność. Jesień wybiera dni takie, jak ten, żeby zapowiedzieć swoje rychłe przybycie.

Niepostrzeżenie oziębia dom. Ralph rozpałił rano w piecu centralnego ogrzewania, ale Anna zapomniiała dopilnować ognia. Żeby go podtrzymać, potrzebna byłaby większa operacja ratunkowa, Anna zaś nie czuła się na siłach jej podejmować. Z wiszącej szafki na górze wyjęła koc. Zeszła na dół owinięta nim na afrykańską modłę. Wsunęła się do saloniku. Nie zapalała światła. Wybrała sobie krzesło. Otuliła się kocem cała, naciągnęła go prawie na głowę. Siedziała szczelnie spowita, jak ofiara wypadku. Rozmyślała.

Bywały wcześniej chwile, kiedy sądziła, że nie dadzą rady przetrwać. Bywały chwile, w których pragnęła wymazać z pamięci męża. I dzieci. Całą swoją biografię. I nie było dosłownie dnia, przez tych dwadzieścia lat, w którym by nie myślała o swoim utraconym synku. Widywali czasem z Ralphem w telewizji - często oglądali razem wiadomości o dzie-

siątej - rodziców zaginionych dzieci, roztrzęsionych, zapłakanych, z pospuszczanymi nisko głowami. Ci ludzie zwykle wygłaszali coś, co nazywano apelem, próbowali zaapelować do serca porywacza, zabójcy. Ona nie miała takiej szansy. Ona i Ralph nie odzyskali nawet ciała swego dziecka. Musieli pozostawić je w obcym kraju. Ich wyrok był ostateczny, nie podlegał żadnej formie apelacji. Ludzie, którzy cierpieli razem tak jak ona i Ralph, nie mogą nazywać romansu tego, co istnieje między nimi. Nie mogą określać swego małżeństwa żadnym z powszechnie używanych terminów: szczęśliwe małżeństwo, małżeństwo z rozsądku... Nie są współmałżonkami, nie są rodzicami, tylko rozbitkami z katastrofy. Spoglądają na siebie i przypominają sobie od razu, co zaszło, każdego dnia. Więc jak mogą razem żyć? A jak mogliby osobno?

Anna skubała palcami atłasowe obszycie koca; poza tym siedziała bez ruchu. Kiedy w pokoju zrobiło się już kompletnie ciemno, wysunęła spod koca rękę i zapaliła lampkę stojącą obok niej na okrągłym stoliku. Ten stół był nakryty białą serwetką, na której Sandra Glasse wyhaftowała pęki stokrotek, fioletowych i ciemnoniebieskich, z czarnymi śródeczkami, jak maki: kwiaty z krainy fantazji, bukiety z alternatywnego świata. Ralph powiedział kiedyś, że każde działanie zawiera w sobie własne przeciwieństwo. Że nic nie jest ustalone z góry, absolutnie nic pod słońcem; że przez cały czas wszystkie żywe komórki dokonują wyborów. Gdyby tak cofnąć taśmę z nagraniem dziejów wszechświata i puścić ją od nowa, mogłoby się okazać, że tym razem byliśmy całkiem innymi istotami: na przykład inteligentnymi sześciopalcami, pełzającymi po dnie oceanu i porozumiewającymi się śpiewem, jak ptaki. „Chociaż nie - pomyślała Anna - może Ralph wcale czegoś takiego nie mówił, może go źle zrozumiałam, rozmawiał z dziećmi, nie słuchałam uważnie, to u mnie przecież typowe... Ale czyż nie wyobrażałam sobie, i to dość często, świata, w którym zostały dokonane inne wybory? W którym odprawiliśmy tę dziewczynę?

W którym ostrzegł mnie jakiś instynkt i przez całą noc trzymałam mego syna w ramionach? Albo w którym Ralph nie ulitował się w czasie burzy nad przybłędami, zostawił zasuwę pozaciągane i klucz przekreślony w zamku?"

Anna zadrżała. Mimo wszystko miała wrażenie, że zimna noc odpowiada lepiej stanowi jej ducha niż światło i powietrze poranka, niż słońce i morski wiatr; niż ten cały miniony dzień, z krnąbrną dziewczyną na tylnym siedzeniu samochodu, z Kit, która nawołując Melanie biegała po ulicach, aż jej włosy furkotały na wietrze.

W pokoju obok zadzwonił telefon. Anna nie ruszyła się z miejsca. Pomyślała, że może to Emma chce wiedzieć, co się stało. Albo że Ralph telefonuje ze szpitala. Dalej nie miała mu nic do powiedzenia, jaki więc sens odbierać? Minęła godzina. Telefon zadzwonił znowu. Na dworze padało, w domu zrobiło się bardzo zimno. Anna przestała rozmyślać o czymkolwiek. Jakby jej zdolność myślenia została zablokowana, jakby schłodzone, zakrzepłe arterie przestały dostarczać krew do jej serca i mózgu.

Była już bardzo późna pora, zbliżała się północ, gdy Anna usłyszała dzwonek do drzwi: ciągły, natarczywy dźwięk. Ktoś chciał, żeby go wpuszczono do domu, i nie zamierzał z tego rezygnować. Nie wstając z krzesła, Anna zaczęła się zastanawiać. Ralph miałby swoje klucze, dzieci również. Emma? Anna mocniej owinęła się kocem. Nie chciała widzieć siostry Ralph'a. Emma też miała klucze, na wypadek jakiejś awaryjnej sytuacji, ale któż mógł wiedzieć, jaką sytuację uznałaby za awaryjną? Ten ktoś za drzwiami przestał dzwonić i zaczął walić w drzwi.

Jeszcze raz policja? Anna pomyślała, że to możliwe i że w takim razie nie powinna ignorować stukania. Wyplątała się z koca. Na zdrętwiałych po długim bezruchu nogach z wysiłkiem przeszła do holu. Wymacała w ciemności kontakt, zapaliła światło. Nienaturalnym, łamiącym się głosem zawołała:

- Już idę. Nie trzeba rozbijać drzwi!

Otworzyła.

- Anna? Kit dzwoniła do mnie od ciotki...

W drzwiach stała ostatnia osoba, jakiej mogłaby się spodziewać - Daniel Palmer! Deszcz pryskał z wiatrem do środka.

- Daniel? Wejdz, nie moknij tak po nocy. O czym Kit ci mówiła?

- O tej dziewczynie, którą wzięliście na wakacje. I o policjantach. Że pojechała pani za nimi szukać męża. Odnalazł się, jak przypuszczam...

- A więc Kit wie.

- To też raczej przypuszczenia.

- Założę się, że trafne. Kit wie. I Julian pewnie wie. I Robin. I ty już wiesz. I niedługo dowie się całe hrabstwo. - Nie, przecież to nie jest tak!

Anna zaczęła upinać włosy, zerkając na swe zamglone odbicie w lustrze niewydarzonego antyku z Great Yarmouth. Nie ustosunkowała się do zaprzeczenia Daniela, mówiła dalej:

- Zawsze śmiałam się z Ralpha, bo przez całe lata nie miał pojęcia, co się rozgrywa pomiędzy Emmą a twoim ojcem. Teraz powinnam śmiać się z siebie, prawda?

- Proszę mi wierzyć, nic nie wiedziałem - rzekł Daniel. - To znaczy do dziś nic... Kiedy Kit zadzwoniła i zaczęła mi mówić, to po prostu... Nie mogłem się z tym pogodzić. Nigdy bym nie pomyślał... Ralph... To przecież niemożliwe!

Daniel pochylił głowę, zaczął wpatrywać się we własne buty. „Jakiż on jeszcze młody!” - pomyślała Anna. „Po prostu chłopak”.

- Więc Kit cię prosiła, żebyś tutaj przyjechał, tak?

- Chciała przyjechać sama, ale podobno obiecała pani, że zostanie i dopilnuje Becky. Becky zadaje mnóstwo pytań... Emma na razie jakoś sobie z nimi radzi.

„Zadaje pytania odpowiednie do swego wieku” - pomyślała Anna. „Swoją drogą, trzeba będzie poszukać odpowiednich dla jej wieku odpowiedzi”.

- Tak - zwróciła się do Daniela - wymogłam na Kit obietnicę pozostania w Foulsham... Widzisz, na razie nie jestem w stanie spojrzeć nikomu w oczy... żadnemu z dzieci. Muszę się jakoś przygotować, Daniel. Muszę się zastanowić, co im powiem.

- Uważam, że nie powinna pani zostawać tu sama. Czy jest pani., to znaczy, czy Ralph jest z panią w kontakcie?

- Telefon dzwonił dwa razy, nie odbierałam.

- On pewnie jeszcze jest w tym szpitalu. Kit chciałaby się dowiedzieć, co z tamtą dziewczyną...

- A ja nie! Wszystko mi jedno - przerwała Danielowi Anna.

- Wszystko jedno?

- I mam tego wszystkiego- dosyć.

-Mhm... rozumiem. To znaczy tak się pani wydaje, ale chyba jest pani wobec siebie niesprawiedliwa.

- Och, Danielu, ja wcale nie jestem dobra! Nie jestem dobrą kobietą. Ani trochę!

Daniel zaczął mówić trochę niepewnie, z namysłem: -Anno... miara dobroci... jaką pani się posługuje. Myślę, że większość z nas... znalazłaby się pod kreską.

- O, tak... miara, jaką się posługuje... Ale miara, do której się stosuję, to zupełnie inna kwestia!

Daniel doznał nagłego przyływu energii.

- Jadła coś pani? Na pewno nie. W domu jest strasznie zimno. Myślę, że powinienem sam skontaktować się z Ralphem. Ma pani numer do szpitala? Mogliby go odszukać i poprosić do telefonu. Nie musi pani z nim rozmawiać. Mogę ja sam. Po prostu, żeby się dowiedzieć, jaka jest sytuacja i co on teraz zamierza robić.

- Nie trzeba, Daniel, nie rób sobie kłopotu. Co do tamtego dziecka... już ci mówiłam... nie chcę nic wiedzieć. On mi co roku zwozi te okropne dzieciaki, straszne, beznadziejne... A co do Ralpha... W końcu po prostu wróci do domu.

Anna zaczęła płakać. Oparła głowę na ramieniu Daniela, kryjąc twarz.

- Ale ja nie chcę go widzieć! - mówiła dalej, łkając. - Nie mogę. Czułabym się zawstydzona, jakbym to ja zrobiła coś złego. Nie mogłabym spojrzeć mu w oczy.

- Nie musi pani tutaj zostawać. Proszę jechać ze mną do Blakeney.

- Do Ginny? Nie, jest już za późno, a poza tym...

- A gdyby tak o nic panią nie wypytywała?

- Jak możesz wierzyć w takie rzeczy...

- Jestem optymistą. Ale skoro nie - Daniel spojrział na Annę z taką powagą, jakby się nagle postarzał tej nocy o wiele lat - to jedźmy do mnie. Proszę wziąć najpotrzebniejsze rzeczy. Mam zapasowe spanie. Będzie pani wygodnie.

- Dobrze, weź mnie do siebie. Muszę stąd zniknąć, zanim wróci Ralph. Muszę!

Anna ruszyła wolno w głąb holu.

- Będę gotowa za pięć minut.

Gdy pakowała szczoteczkę do zębów, nocną koszulę

i zmianę bielizny, przypomniała sobie policjantkę, która stała nad nią w Elim i dyktowała, co ma zabrać do więzienia. Teraz też by się jej taka policjantka przydała, w całym tym zagubieniu, pomieszaniu. Gmerając drżącymi rękoma wśród swoich rzeczy, Anna słyszała z dołu głos Daniela, który mówił przez telefon: „Nie, Kit, nie uważam, że powinna jechać do was, musiałyby coś powiedzieć Becky, a nie jest teraz w stanie... Na razie dacie sobie z Emmą radę, prawda? Już bardzo późno, wszyscy jesteśmy zmęczeni, jutro, za dnia, wszystko będzie... Tak, do Blakeney, a dlaczego nie? Jeśli ona czuje, że musi się trzymać z daleka od Ralpa...”

„Załatwiają moje sprawy poza moimi plecami” - pomyślała Anna. „Jakbym była osobą chorą albo zranioną. Jaka, oczywiście, jestem...” Zawsze miała takie wyobrażenie siebie i Ralpa: dwa chore albo zranione zwierzęta, sprzęgnięte wspólnym jarzmem, wlokące się w tym samym kierunku.

Podczas jazdy Anna znów płakała. Drogi były ciemne, z drzew kapalo, kałuże lśniły w blasku reflektorów samo-

chodu. Półgodzinna podróż ciągnęła się jak wieczność. Holt było całkiem opustoszałe: przyćmione światła na paru wystawach sklepowych, zamknięte na głucho drzwi pubu... Daniel zaparkował samochód, pomógł Annie wysiąść. Potrzebowała tej pomocy, nie miała siły sama iść, oparła się o niego bezwładnie, zawisła na jego ramieniu.

- Trochę się wypogadza - mruknął spoglądając w niebo.

- Tak - powiedziała.

Otarła łzy i spróbowała się uśmiechnąć.

Daniel otworzył drzwi. Rozproszył nocne ciemności włączając białe, rześiste światło. Anna weszła na strome schody; zza oszklonych drzwi widziała niewyraźne, widmowe kształty rysownic ustawionych w pracowni na parterze. - Proszę na samą górę - odezwał się Daniel.

- Jesteś dla mnie taki dobry.

- To drobiazg, Anno.

Schody prowadziły do obszernego, wysokiego pokoju z niewielką ilością mebli, z pozbawionymi tynku, eksponującymi surowe kamienie i belki ścianami, z drewnianą, wywoskowaną podłogą, której płaszczyznę urozmaicały jedynie dwa kilimy z frędzlami, ciemne, w geometryczny wzór. „Latające dywany” - pomyślała Anna. Żadnych bibelotów, tylko czarne, matowe bryły sprzętu muzycznego, w jakich lubują się młodzi ludzie; żadnych okien, tylko dachowe świetliki, przez które można było spojrzeć prosto na nocne niebo i padający deszcz. Anna przez chwilę w milczeniu kontemplowała wnętrze. - Kit nigdy mi o tym nie opowiadała - odezwała się w końcu.

- Taki wymyśliłem sposób, żeby być równocześnie pod dachem i pod gołym niebem... Kit raczej tu nie zagląda. - No tak, wiem..

- Podoba się tu pani?

- Bardzo - odpowiedziała Anna.

I pomyślała: „Ten to umie żyć bez komplikacji!”

- Dajesz radę to ogrzać?

- Są trudności. Nie można mieć wszystkiego. Chciałaby pani przemyć twarz?
- Anna kiwnęła głową. Usiadła na sofie. Daniel wyszedł. Za chwilę przyniósł miskę z wodą, trochę waty i mały kremowy ręcznik. Przysiadł obok Anny, jakby uważał, że wymaga dozoru.
- Letnia woda najlepsza - powiedział. - Przy lodowatej oczy jeszcze mocniej by podpuchły.
- Przepraszam, Daniel.
- Nie ma za co przepraszać, Anno. Najlepiej wypłakać się wśród przyjaciół. Widzi pani, to wszystko... z Ralphem... to coś absurdalnie przypadkowego. Poślizg. Niekontrolowany.
- Tak przypuszczasz?
- Jestem pewien. Coś, co się zdarza małżeństwom...
- Małżeństwom w średnim wieku, chciałeś powiedzieć? Starzejącym się?
- Widzi pani, za dnia wszystko wygląda lepiej - stwierdził Daniel leciutko się uśmiechając i biorąc z rąk Anny wilgotny zwitek waty. - Rano będzie pani miała jakiś wybór: otworzą warzywniak, będzie pani mogła zrobić sobie na oczy okłady z plasterków ogórka albo z torebek ekspresowej herbaty, jeśli pani woli. Mam earl grey, assam i darje-eling.
- Mój Boże! Daniel, skąd ty tyle wiesz o kobiecych smutkach?
- Dowiedziałem się od matki.
- Po śmierci ojca?
- Raczej wcześniej. Dowiadywałem się od wielu lat, prawdę mówiąc od zawsze. Siedzieliśmy sami w domu i ona wypłakiwała całe wiadra łez. Mało, wiadra. Beczki. Oceany. Tak więc - w głosie Daniela ujawniła się nuta goryczy -przywykłem do roli pocieszyciela.
- Anna spojrzała mu prosto w oczy.
- Chcesz powiedzieć, że to wszystko... że to się wszystko działo, kiedy twój ojciec był z Emmą?

- Przecież nie kiedy indziej!
 - A ona... twoja matka... zawsze wydawała się... czy ja wiem... Taka spokojna, opanowana.
 - Tak. Oczywiście. Te torebki z herbatą robiły swoje. I plasterki ogórka. I jeszcze to, że ona miała zawsze w sobie taki szczególny rodzaj nonszalancji, a na sobie maskę słodkiej idiotki. Więc mogła pani nie wiedzieć... Po co ktoś miałby wiedzieć... Że jej serce krwawiło przez Emmę.
- Anna ujęła Daniela za rękę. Milczał przez chwilę. W końcu powiedział:
- Brandy, oto najlepsza rzecz. Napije się pani brandy? Od tego robi się lżej na sercu, Anno.
- Podał jej szklanekę. Trunek faktycznie sprawił, że Annie zrobiło się lżej, cieplej na sercu. Wniknął w nią głęboko, najgłębiej, aż tam, gdzie kłębiły się uczucia i kotłowały myśli. Powiedziała:
- Najlepiej byłoby się upić. Nigdy w życiu nie byłam pijana. Ale teraz widzę, że czasem warto.
 - Ma pani butelkę pod ręką...
 - Że też człowiek nie wie... Że też człowiek nic nie wie o życiu innych ludzi!
 - Jasne, że nie wie. Nikt nie wie nawet połowy tego, co się dzieje z innymi.
 - Ależ byłam głupia!
 - Była pani w błędzie. Ludzie zawsze wprowadzają się nawzajem w błąd, jakiś instynkt każe im pracować własne brudy w ukryciu. Życie ich tego uczy. Nas... Mnie życie nauczyło, że nie wolno powtarzać czyichś błędów, dlatego nigdy się nie ożenię z jakąś inną dziewczyną, bo wiem, że i tak bym w końcu rzucił biedaczkę dla Kit.
- Anna usiłowała coś Danielowi odpowiedzieć na te słowa, ale wysiłek ją przerastał. Mruknęła tylko:
- Jestem wykończona, wyczerpana...
 - To z emocji. Są wyczerpujące. Zaryzykowałbym stwierdzenie, że właśnie dlatego tak często próbujemy się bez nich obejść - powiedział Daniel.

Pomógł Annie wstać. Miała nogi jak z galarety. Przeprowadził ją do jakiegoś innego pokoiku.

-Łóżko przygotowane. Może potrzebuje pani jeszcze czegoś?

- Dziękuję. Będzie mi dobrze - odpowiedziała Anna. Daniel pogładził ją po policzku.

- Powinna pani wiedzieć - rzekł - że Kit wybiera się do Afryki. Mówiła, że dostała list dzisiaj rano. Przyjęto jej zgłoszenie, pojechałaby jako wolontariuszka. Chce zobaczyć miejsce swego urodzenia. Anna wzdrygnęła się.

- Wiem o wszystkim - powiedział Daniel. - Emma mnie uświadomiła.

Anna spojrzała na niego.

- A Kit? - zapytała. - Czy Kit też wie?

- Nie chciałbym ani potwierdzać, ani zaprzeczać. Przypuszczenia na temat tego, co ktoś wie, a czego nie wie, mogą przynieść wiele niepotrzebnej szkody.

Daniel umilkł. Po chwili dodał jeszcze:

- Myślę, Anno, że niezależnie od tego, jak sama pani to ocenia, jest pani dzielną kobietą.

Pokręciła głową.

- Nie, Danielu. Zawiodłam się na sobie. Trzeba mnie było przed samą sobą ratować. I zawiodłam się na dobroci własnego serca, niejeden raz. Przychodziły mi do głowy takie myśli... Nawet nie potrafiłabym ci powiedzieć, dla wyrażenia czegoś takiego człowiekowi brakuje słów... Tylko na to jedno... z Ralphem... nie zasłużyłam sobie... Wiem, że nie!

Daniel wyszedł, żeby Anna mogła swobodnie przebrać się w nocną koszulę i położyć. Musiała mu obiecać, że jakby nie mogła usnąć, to go zawoła. „Obejrzymy razem wschód słońca” - powiedział.

Anna wyciągnęła się na wąskim łóżku. Miała w nim dwa termofory, jeden do ogrzania nóg, a drugi po prostu do przytulenia, żeby ciepłutko jej się przelewał i chlupotał przy piersi. Pomyślała* że

Czerwony

Dom jest pusty, po raz pierwszy od wielu lat. I że nie spała na takim wąskim łóżku od czasu pobytu w więzieniu.

Nad sobą miała świetlik, przez szklaną tafłę mogła patrzeć prosto w noc. - Och, Danielu, mogę spoglądać prosto w gwiazdy! - zawołała i przestraszyła się, że za głośno, chociaż nie było obawy: z wyczerpania ledwie mówiła, mogła zdobyć się tylko na szept.

Serce zaczęło jej kołatać, ale uspokoiło się: posłuszne stworzenie... Anna ułożyła się wygodnie na wznak. Koce były ciężkie, zsunęła je trochę, chcąc ulżyć sercu, i tak już po kres wytrzymałości przygniecionemu kamieniem cierpienia. Na dworze zaczęło się wypogadzać, Daniel miał rację. Anna dostrzegła dwie gwiazdy, potem więcej. Bardzo blade i bardzo stare gwiazdy, któreś z tych, co jaśnieją już resztkami światła.

Obudziła ją Kit. Przyniosła na tacy szklanekę soku pomarańczowego i kubek kawy.

-Daniel obiecał mi plasterki ogórka - powiedziała Anna.

- Przydałyby się. Wyglądasz strasznie.

- A czego się spodziewałaś?

Kit pominęła to pytanie milczeniem. Stwierdziła:

- Jest dziesiąta. Co chciałabyś teraz zrobić?

Anna podciągnęła się w łóżku do pozycji półleżącej i zapytała:

- A w czym mogę wybierać?

- Możesz jechać do domu. Jeśli nie chcesz, zrozumiem. Daniel musiał wyjść, był umówiony z klientem, nie mógł tego odwołać. Powiedział, że możesz u niego zostać, że jesteś najmilszym gościem... Możesz jechać do Emmy, ona się bardzo o ciebie martwi.

- Wygląda na to, że jestem bezdomna...

- Wcale nie! - zaprzeczyła energicznie Kit. Pomyślała, że bezdomni to raczej oni, cała reszta rodziny, oczekująca, co teraz nastąpi. Anna odezwała się:

- Dziś wraca Robin, pamiętasz? Tak koło szóstej. Nie będzie wiedział, co się stało.
 - Zajmę się nim, nie martw się. - Kit wydawała się zniecierpliwiona. - Martw się o siebie. Co chcesz zrobić? - Pytasz, co ja chcę zrobić? Biorąc pod uwagę wspaniałe perspektywy, jakie się przede mną roztaczają...
 - Tato do mnie dzwonił. Wczoraj wieczorem. Mówił, że wydzwaniał do ciebie, ale nie odbierałaś. Był bardzo zaniepokojony, zatroskany. O ciebie.
 - Ciut za późno się o mnie zatroszczył...
 - Z Melanie powinno być wszystko OK, lekarze są już raczej pewni, ale ją zatrzymują na kilka dni, bo ciągle nie chce powiedzieć, co zażyła. Tato spędził całą noc w szpitalu.
 - W szpitalu? Zmarnował taką okazję?
- Kit zaczerwieniła się. Spojrzała na matkę z pełną surowości powagą.
- Jak możesz!
 - Jak mogę co?
 - Jak możesz sobie robić takie niesmaczne, złośliwe żarciki?
 - Sama nie wiem... Ojciec nie wtajemniczył cię przypadkiem, jak wygląda jego program na dziś?
 - Musi wykonać mnóstwo telefonów.
 - Więc będzie chciał skorzystać ze swego gabinetu. Będzie w domu...
- Kit przysiadła na łóżku. Taca zachwiała się, Kit musiała przytrzymać ręką stojący na niej kubek z kawą, która zdążyła już ostygnąć.
- Mamo, myślisz, żeśmy zagrali nie fair, prawda? - zapytała. - Nie fair wobec ciebie, nic ci nie mówiąc?
- Anna nie odpowiedziała córce. Kit dodała:
- Mieliśmy ci powiedzieć, ale to było za trudne. Nie mogliśmy znaleźć właściwych słów.
 - Rozumiem. - Głos Anny był przesycony smutkiem, osamotnieniem i rezygnacją. - Mieliście kłopot... To mi wyjaśnia niektóre sprawy. Niektóre sprawy tego dziwaczного lata.

„Niektóre sprawy dziwnego lata może tak, ale przecież nie ten nieoczekiwany przypływ dziwnego lęku. I nie cały ten kryzys, który nadszedł nie wiadomo skąd. Gdyby tak świat był bardziej przewidywalny!" - pomyślała Kit. I zapytała:

- Nie pijesz tej kawy?

- Chyba by mi się cofnęła - odpowiedziała Anna. - Myślisz, że mogłabym cokolwiek przełknąć?

- Widzisz, mam, ty musisz... Musisz o niego walczyć!

- Jak pies o kość?

- No... nie... ale musisz mu dać do zrozumienia, że...

- Oj, Kit, nie rób mi tu wykładu o czymś, czego nie rozumiesz. Nie mam ochoty tego słuchać.

- A co chcesz zrobić?

- Chcę odwiedzić Ginny - zdecydowała się niespodziewanie Anna.

Dom Ginny, niski i rozłożysty, usytuowany przy nabrzeżu zatoki w Blakeney, zaprojektowano adaptując obiekty starej przystani. Przebudowy i rozbudowy, z wielkim pietyzmem dla szacownego oryginału, dokonała po mistrzowsku pewna miejscowa firma. Powstała oryginalna całość z jednym zupełnie już niezwykłym elementem, a mianowicie z wychodzącym na zatokę, w kierunku niewidocznego morza oknem, którego ogromna, lśniąca, panoramiczna tafla przypominała okno wystawowe.

To okno Ginny uważała za dzieło swego życia. Było wyrazem dokonanego przez nią moralnego wyboru, było jej aktem odwagi. Wiele kobiet odchodzi z tego świata pozostawiając jako jedyny ślad po sobie swoje dzieci; Ginny miała pozostawić swoje okno.

Prawda, niektórzy mogli się wzdragać, widząc tę gigantyczną tafelę szkła, nawet jeśli zazdrościli po cichu pięknej perspektywy, jaką odsłaniała przed mieszkańcami domu. Mogli powątpiewać w dobry smak pomysłodawczyni, zarzucać jej trywialność gustu. Ginny na wszelkie uwagi miała tę

samą prostą odpowiedź: „Mieszkać w Blakeney i nie mieć ładnego widoku?”

Ledwie mijał najwcześniejszy poranek, Ginny Palmer brała się za drinki. O ile nie miała w dłoniach szklanki lub papierosa, stale wykonywała nimi nerwowe manipulacje, przy których pobrzękiwało, podzwaniało wszystko to, co nosiła na palcach: pierścionek zaręczynowy z dużym jasnopopielatym brylantem, szeroka ślubna obrączka, inne pierścionki, z szafirami i rubinami, jakimi Feliks obdarowywał ją przez wszystkie lata małżeństwa w mniej więcej regularnych odstępach czasu...

Ginny zawsze to wszystko nosiła; Anna przypuszczała niegdyś, że w chwilach desperacji pewnie używa swoich pierścionków jako kastetu. Jednak na ujmującej, uwodzicielskiej twarzy Feliksa nigdy nie widywało się najdrobniejszych śladów skaleczeń: była zawsze idealnie gładka.

- Słyszałam o kobietach - odezwała się Anna w którymś momencie rozmowy - co to wracając skądś tam do domu zastawały zamiast męża tylko karteczkę od niego na stole. Chociaż wcześniej niczego nie podejrzewały...

- A ty podejrzewałaś? Anna nie odpowiedziała.

- Tak jak ja to widzę - stwierdziła Ginny - masz teraz trzy możliwości. Jak będziesz pomiędzy nimi wybierać, musisz pamiętać, że ta afera najpewniej długo nie potrwa. No, u mnie to było co innego, z Feliksem i Emmą - wyjaśniła pośpiesznie, uchwyciwszy zdziwione spojrzenie Anny. - Sama wiesz, stara miłość...

- Wolałabyś o tym nie mówić?

- Dlaczego? Możemy porozmawiać, nic mi to nie przeszkadza, wiem przecież, że przyszłaś właśnie...

- Ginny przerwała, zapalając następnego papierosa. - A właśnie, co też ci Daniel naopowiadał?

- Przedstawił mi wersję twojego życia zupełnie inną od tej, jaką znałam. Nie gniewaj się. Wiem, że ci się wpycham w osobiste sprawy...

- Nie przejmuj się. Pogadać o takich rzeczach... To przynosi ulgę. Jeszcze ginu?
- Czemu nie! Ralph nie widzi..
- Zabrania ci pić?
- Nawet nie. To raczej ciśnienie tradycji. Obie nasze rodziny... I ten jego wuj, święty James, całkowity abstynent. Mimo że tylu dobrych misjonarzy po dziesięciu latach pobytu w tropikach na wylot przesiąka alkoholem...
- Tak, pamiętam Jamesa. Co się z nim stało?
- Jeszcze raz wyjechał. Znów do Afryki. W rok czy dwa lata po tym, jak my... wiesz... jak my wróciliśmy do kraju. -Musiał być już stary, prawda?
- Tak.
- I co potem?
- Potem umarł.
- Normalna kolej rzeczy, niestety. Cóż - Ginny zaciągnęła się papierosem - sprawa z tobą i Ralphem wygląda tak: jesteście małżeństwem od lat, ale teraz będziecie musieli od nowa ustalić warunki. Ta jego afera długo nie potrwa, romanse panów koło pięćdziesiątki z młodymi babkami nigdy...
- Ją przecież trudno uznać... - próbowała wtrącić się Anna. Ginny zgromiła ją wzrokiem.
- W porównaniu do Ralpha! - stwierdziła autorytatywnym tonem.
- No, może w porównaniu...
- Sprawa wygląda tak: panowie koło pięćdziesiątki nigdy nie tracą głowy dla kobiet w swoim wieku, zwróć uwagę. W grę wchodzi zawsze ktoś, kto sprawia, że czują się młodszy. To reguła.
- Nawet pocieszające, być potwierdzeniem reguły, zawsze tak chciałam - mówiąc te słowa Anna uświadomiła sobie nieoczekiwanie, że przecież Ginny nie zna dramatycznych szczegółów jej życia, że jeśli nawet kiedyś jakieś znała, to zapomniała. - Ale ta Glasse... Nie mam pojęcia, czym może go tak przyciągać. Ani co ja mogłabym przeciw-

stawić jej urokom. No więc, Ginny - Anna uniosła do ust swego drinka - mówiłaś, że mam trzy możliwości...

- Tak. Pamiętając, że ten romans długo nie potrwa, możesz zażądać, żeby Ralph mieszkał z tobą i pozwolić mu ją odwiedzać, kiedy zechce. Tylko że w ten sposób agonia się przedłuży, tak było u mnie. Możesz się zgodzić, żeby tymczasem z nią zamieszkał. Połóż rękę na domu i finansach i spróbuj przeczekać: któregoś dnia on powie, że chce wrócić, i wtedy wszystko wróci do normy.

Ginny zdusiła papierosa w popielniczce.

- Oczywiście możesz też dać mu kopa! - dodała. Anna pokiwała głową.

- Ja nie jestem wystarczająco cierpliwa, Ginny - powiedziała. - Nie umiałabym przeczekać. Co się robi ze sobą, jak się tak przeczeka?

Ginny sięgnęła po kolejnego papierosa.

- To - stwierdziła. - I to! - pstryknęła paznokciem w szklanę. - Ewentualnie wyszukuje się plusy własnej sytuacji. Rozmyśla się o ludziach, którym jest gorzej. Wiesz - uśmiechnęła się porozumiewawczo - o kalekach albo o jakiś zaharowanych kobiecicach z pralni...

Rozdział 10

Zabrali ją z ulicy. Przysypiała, mieniło się jej w oczach, mąciło w głowie. Na wargach czuła posmak krwi. Nie miała w kieszeni ani pensa.

Jakaś kobieta się nad nią pochyliła, a ona próbowała ją uderzyć. Chciała tamtej przyłożyć tylko dlatego, że nie знаła jej twarzy, widok obcej twarzy wystarczył, żeby ją sprowokować. Zapamiętała to. Pamiętała też jazdę, łagodne kołysanie. I pamiętała falę światła i powietrza, jaka runęła na nią później, kiedy ją przenieśli z karetki do izby przyjęć. To było jak chluśnięcie zimną wodą. Chciała się osłonić przed tym zimnem i blaskiem, zakryła sobie oczy, zgięta w łokciu rękę przycisnęła wierzchnią stroną do twarzy. Pielęgniarka spostrzegła blizny po wewnętrznej stronie przedramienia.

- I cóż my tutaj mamy? - zapytała. A potem kiwając głową dodała:

- Oj, niemądra z ciebie dziewczyna!

Tak właśnie się do niej odzywali, jakby była dwuletnim brzdącem. Ale też jakby była śmieciem zgarniętym z ulicy, czymś, co im się przyczepiło do butów. I jeszcze trzęśli nią' szarpali: żeby nie zamykała oczu, żeby nie spała, żeby mówiła. Nie mogła pojąć, po co ją tak męczą. Chciała po prostu zwalić się na twarde szpitalne wyrko na kółkach i dać sobie ze wszystkim spokój, zanurkować w przytulną ciemność, naciągnąć sobie na głowę koc śmierci. A oni wykrzykiwali:

- Co to było? Powiedz, co wzięłaś? Głupia, nikt ci nie pomoże, jak sama nie zechcesz! i

Słowa głośne, ale przez złość jakby rozedrgane i nie całkiem wyraźne. I szepty pomiędzy pielęgniarkami, za parawanem:

- Nigdy nie miałam cierpliwości do samobójców... Głowa jej leciała na wszystkie strony. Żeby złapać trochę świętego spokoju, dała im adres... to znaczy coś, co miało być adresem. Po prostu zaczęła mówić: o domu w szczerym polu, gdzie było dużo schodów i dużo ludzi, i mnóstwo różnych drewnianych budek dookoła... Ktoś się odezwał:

- Może to jakiś obóz?

Na chwilę dali jej odetchnąć. Potem w nogach łóżka stanęła policjantka w mundurze. Spróbowała zerwać się z łóżka, jakby chciała dać nogę. Siostra wrzasnęła:

- Dokąd? Kroplówka!

I druga siostra i ta gliniarka wepchnęły ją znowu na wyrko i przytrzymały, póki ta pierwsza siostra nie poprawiła stojaka i rurki, jaką miała wklutą w rękę.

- Dlaczego nie dajesz sobie pomóc? - Przerwana gadanina zaczęła się od początku. - Przecież wystarczy, żebyś nam tylko podała swoje nazwisko, kochanie.

W tym „kochanie” wcale nie było kochania, nie było ani odrobiny miłości!

- Gdzie są moje ciuchy?

- Po co ci one? Nigdzie się chyba nie wybierasz.

- Ten mój podkoszulek... Nie był mój. Ten różowy. To czyjaś rzecz. Nie mieliście prawa mi jej zabierać... Nie mojej rzeczy. Czyjejś rzeczy!

Chciała powiedzieć, że źle zrobili, podwójnie źle - raz, że zabrali te jej ciuchy, a dwa, że zabrali te nie jej - ale myśli miała poszatkowane i słowa tak przemieszane ze śliną, która bańkami wychodziła jej na usta... I nie miała zupełnie siły, żeby sobie te obślinione usta wytrzeć.

Przetarła je któraś z pielęgniarek jednym wprawnym ruchem. Tak ostrym, jakby nie miała pojęcia, że te usta są częścią żywej istoty, którą przeszył od tego ból. I w pamięci której znienacka otworzyła się jakaś klapka: ma się dokład-

nie to samo, kiedy jest się małym szczylem, jeszcze nie żadną tam osobą, a tylko bachorem, niemowlęciem, zlepkim części, zestawem obleczonych w ciało kostek, czymś takim, co umie tylko zaciskać rączki, ssać i rozdziawiać buzię, żywym kłopotem, co to umie się tylko obślinić, obsikać i obfajdać.

Otworzyła, rozdziawiła szeroko usta, żeby nabrać powietrza. Zaczęła rzygać: rzygała, rzygała, rzygała... Najpierw w koc, który z niej zaraz ściągnęli, a potem do blaszanej miski, którą przytrzymała tak mocno, że aż się jej krawędź głęboko wbiła w palce. Pielęgniarki stały obok. Były zadowolone; zadowolone z tej straszliwej, palącej cieczy, co z niej leciała i leciała bez końca, z tej burej, zaplamionej żółcią wody.

Potem przez jakiś czas leżała na plecach, sztywno, ze skrzyżowanymi rękami. Może spała... Aż otworzyły się drzwi i to ją obudziło. I wszedł pan Eldred. Zatrzymał się w nogach łóżka, nic nie mówił, tylko na nią patrzył. Przez dłuższą chwilę. I ona patrzyła na niego. A potem odwróciła głowę w bok: na ścianie, w tynku, była rysa, zaczęła się jej przyglądać. Aż on się w końcu odezwał.

- Oj, Melanie! - powiedział. - I co ty jeszcze wymyślisz?

Od czasu do czasu budziła się i on przy niej był. Zasypiała. Budziła się. Za którymś razem już go przy niej nie było. Zaczęła wtedy wołać pielęgniarkę, głosem, który ją samą zaskoczył, bo tak się wznosił i opadał jak gołąb, co leci z przetrąconym skrzydłem. I zaczęła się dopytywać, gdzie on sobie poszedł, a tamta powiedziała:

- On ma się jeszcze kim zająć poza tobą, moja panno. Podnosiła rękę, tę bez kroplówki, i tarła nadgarstkiem

czoło. Spoglądała na własne nogi, które były podobne do dwu martwych, wyschniętych białych patyków. Pociła się całym rozgorączkowanym ciałem, więc skopywała koc. Pielęgniarka przychodziła, okrywała ją bez słowa i odchodziła. A ona wołała:

- Sostro, chcę coś powiedzieć! Coś ważnego!

Ledwo jednak zaczynała mówić, uderzała w płacz; nigdy wcześniej nie zdarzało się jej tak ryczeć, żeby aż smarki ciurkiem leciały z nosa i oddech stawał w obolałym gardle sztorcem jak połknięta niechcący kość.

- Dziewczyno, zlituj się - mówiła siostra. - Myślisz, że jesteś tu jedna? Weź to z łaski swojej pod uwagę! I odchodziła. A ona tak bardzo chciała powiedzieć o tym podkoszulku, że go wzięła z kosza w łazience, gdzie oni podobno składali brudne ciuchy, ale jej to nie robiło różnicy, nigdy się nie zastanawiała, czy ciuchy są czyste czy brudne, po prostu je nosiła, zwyczajnie, jak to ciuchy i tyle! Kiedy zjawiła się policjantka, jej też próbowała wszystko wytłumaczyć.

- Nie z jej pokoju - mówiła. - Ani razu nie weszłam! Tamta kręciła głową.

_ Wybacz, kochanie, ale nie mogę się połapać w tym, co mi opowiadasz. Skąd w końcu wzięłaś ten podkoszulek?

- Zwędziła ze sklepu, mogę się założyć - mruczała pod nosem pielęgniarka.

- Wiesz co? - mówiła policjantka. - Dajmy już temu spokój dobrze? Jestem pewna, że cała sprawa pójdzie w zapomnienie, jeśli tylko nie będziesz w kółko do niej wracać.

Potem pogadywały za parawanem z pielęgniarką.

- Przyczepiło się toto do tego podkoszulka, jakby się me miało o co więcej martwić! - dziwowała się siostra. A policjantka tłumaczyła jej:

- Ona miała całą torbę rzeczy. Nowych. Możę o to jej chodzi? Wcześniej, zanim rymsnęła nieprzytomna na chodnik, sprzedawała tę odzież, ktoś to widział.

- I nie pomyślał, skąd ona wzięła te ciuchy? I nigdzie sprawy nie zgłosił? - znów dziwowała się pielęgniarka.

- Widzi pani, tyle różnych historii dzieje się na ulicach. Ludzie na wszystko już zobojętnieli, to pierwsza rzecz, jakiej się trzeba nauczyć w naszym fachu - tłumaczyła jej policjantka. . .

Minęło trochę czasu, dokładnie ile, Melanie nie miała pojęcia. Szpitalne, noce były jasne i pełne ruchu, pielę-

gniarki biegały po korytarzach, poskrzypywały ich buty, poskrzypywały koła wózków. Dnie były takie same, nie do odróżnienia od nocy i nie do odróżnienia od siebie. Poniedziałek, wtorek, środa... Nie miała pojęcia, zresztą nigdy jej to nie robiło różnicy. Przenieśli ją do bocznej salki, pielęgniarka powiedziała:

- Widzę, że jesteś uprzywilejowana, moja panno. Słyszała, co mówili lekarze, to znaczy słyszała urywki tego, co mówili na jej temat. Że nie może albo nie chce jeść. Że mało pamięta albo nie chce pamiętać. Mieli wszyscy takie zimne i ostre głosy, jak noże.

Siostry poszeptywały coś między sobą, plotkowały. A ona leżała cichutko, bez ruchu, prawie bez oddechu, jakby nie chciała zwracać na siebie ich uwagi, jakby nie chciała zajmować nadmiaru miejsca. Kolejny szpitalny ni to dzień mijał po kolejnej ni to nocy, a ona leżała i zastanawiała się, kiedy prysnąć.

* * *

Ralph przyjechał do Blakeney. Ginny wpuściła go do domu, szczebiocząc coś nerwowo i proponując drinka.

- Nie, dziękuję - powiedział. - Chciałbym porozmawiać z Anną w cztery oczy, myślę, że nie będziesz mi miała tego za złe?

Ginny machnęła ręką w stronę drzwi do salonu. Wszedł, przeżył szok za sprawą ogromnego okna: szarość dnia zdawała się wlewać do wnętrza, stopiona wspólną tonacją z burym kolorem mulistych wód zatoki i z siwizną skrzydeł mew.

Anna siedziała odwrócona tyłem do okna. Miała na sobie szarą sukienkę, Ralph zwrócił na to uwagę, bo sukienka była nie jej: za krótka, za ciasna. W chwili, gdy wchodził, Anna właśnie próbowała ją jakoś naciągnąć przy wycięciu' kołnierzyka, jakoś rozluźnić ją sobie pod szyją. Kiedy go zobaczyła, opuściła ręce i ułożyła je na kolanach.

- Aż cię nie poznaję - powiedział.

- I nawzajem! - odparła.

Zorientował się, że płakała, głos miała zdławiony i schrypnięty, przy jej fotelu topniał w szklance lód. Powiedziała: „I nawzajem!”, i w pierwszej chwili nie była w stanie nic więcej powiedzieć. Ta chwila się przedłużała. Patrzyła mu prosto w twarz i milczała. Aż w końcu, od razu, w pośpiechu, wyrzuciła z siebie wszystko:

- Ralph, chcę, żebyś wiedział, że ja niczego nie chcę! Dom i tak dalej, wszystko możesz zatrzymać. Z początku, wczoraj wieczorem i w nocy, myślałam całkiem inaczej, że ta kobieta, co to rzekomo spędza życie w leśnej głuszy na zbieraniu jagód... że nie chcę, żeby miała podreperować sobie pozycję moim kosztem. Ale teraz doszłam do wniosku... Przerwał jej:

- Anno, jesteś wyczerpana!

- Tak, ale teraz doszłam do wniosku, że to nie ma sensu, że nie ma sensu się przy niczym upierać.

- Anno, odtrącasz mnie?

- A jaki mam wybór?

- Wolny.

- Wolny wybór, powiadasz? Nie sądzę.

- Naprawdę masz, zaufaj mi.

- Ralph, o to akurat nie masz prawa mnie prosić. Zaufanie jest ostatnią rzeczą, jakiej mógłbyś się teraz spodziewać z mojej strony.

Pokiwał głową.

- Wiem. Miałem na myśli, żebyś mi zaufała przez wzgląd na przeszłość, nie na teraźniejszość.

- Będę jeszcze musiała pomieszkać trochę w domu, krótko, przez parę tygodni, żebym zdążyła znaleźć jakiś kąt dla siebie i szkołę dla Becky. To na przyszłość. A co do teraźniejszości: nie chcę niczego więcej, tylko żebyśmy zawarli układ...

- Anno, ja przecież nie to miałem na myśli! - Ralph najwyraźniej zaczął ulegać panice. - Przecież nie można w ten sposób, tak po prostu, wymyślać sobie życia od nowa, tak się nie robi. Myślałem, że usiądziemy, porozmawiamy...

- Za wiele już było rozmów - przerwała mu Anna. - Tyle było rozmów, a jesteśmy tu, gdzie jesteśmy. Znowu sięgnęła ręką do wycięcia kołnierzyka, próbowała rozluźnić sobie sukienkę Ginny pod szyją.

- Chcę, żebyśmy zawarli taki układ - mówiła. - Jedziesz do domu i zabierasz swoje rzeczy, wszystkie za jednym zamachem. Żeby już potem nie było żadnego szwendania się z walizkami tam i z powrotem!

- Więc taką decyzję podjęłaś?

- To pierwsza decyzja, jaką podjęłam! Ralph odwrócił wzrok. Bąknął:

- Wolałbym, żebyś nosiła własne rzeczy.

- Niczego tu ze sobą nie wzięłam.

- A ty sama, skąd się tu wzięłaś?

- Ginny jest mi przyjazna.

- Ginny ma na ciebie zły wpływ.

- O, tak, bo dała mi drinka i pożyczyła sukienkę?

- Przekomarzasz się ze mną jak dziecko.

- A ty oczywiście zachowujesz się jak dojrzały mężczyzna?

- Anno... powinnaś wiedzieć... musisz wiedzieć - mówił Ralph - że to nie był z mojej strony tylko jakiś głupi wyskok. - Och, nie był? Wiem, oczywiście, że wiem! Zaangażowałeś w to swoje uczucia, sentymenty, prawda? Te twoje cholerne sentymenty! Pozwól, że ci złożę gratulacje. Odnalazłeś miłość swojego życia, prawda? No więc pędź do niej. Pospiesz się!

- Ja nie chcę nigdzie jechać! Chcę, żebyś mi wybaczyła, jeśli możesz. Właśnie o to przyjechałem cię poprosić, tylko że ty nie dałaś mi szansy...

Anna pokręciła głową. Cała energia, jaką dotąd był przesycony jej głos, wyczerpała się. Anna zaczęła mówić cicho i monotonnie:

- Już przerobiłam to wszystko z Ginny. Wszystkie możliwości, jakie ma przed sobą kobieta w średnim wieku, jeśli

jej małżonek przefrunął sobie cichaczem na zieleńszą gałązkę. Nie sędzę, bym była w stanie... Nie mam zamiaru tkwić w domu i tylko z nadzieją wyczekiwać. Już dość się w życiu nawyczekiwałam i nałudziłam nadzieją, i czuję się tym zmęczona!

Ralph zerwał się z krzesła. Chciał podbiec przez pokój do Anny, ale nie miał odwagi. Zaczął więc tylko przekonywać ją proszącym tonem:

- Anno, przecież ja nie chcę, żebyś czekała. Ani żebyś się łudziła. Pomówmy, porozmawiajmy ze sobą. Chciałbym ci tylko wyjaśnić... powiedzieć o moich uczuciach...

- A niby dlaczego miałabym tego słuchać?

- Bo to normalna sprawa. W małżeństwie. Rozmowa o uczuciach.

- Być może. W małżeństwie...

- Anno, posłuchaj mnie - Ralph nie dawał za wygraną - nic nie zyskasz, zmuszając mnie docinkami do milczenia

1 odtrącając. Chciałbym ci opowiedzieć, co się zdarzyło, chciałbym być z tobą szczery i... jeśli już nie możesz wybaczyć mi teraz, co doskonale rozumiem... chciałbym odejść z nadzieją, że może wybaczysz mi kiedyś, w przyszłości...

- Nie jestem w tym dobra. W wybaczeniu - mruknęła Anna opuszczając głowę i wpatrując się we własne paznokcie. - Nie wiesz o tym? Nie umiem wybaczać - mówiła coraz dobitniej - ani od razu, ani po czasie. Mogą minąć lata i nie robi mi to różnicy. Wiesz dlaczego? Bo już kiedyś odczułam, co to zdrada!

- Nie, to przecież bez sensu! - obruszył się Ralph. -Upierać się, że ta obecna sprawa jest czymś w rodzaju dalszego ciągu, dopełnienia tego, co się nam przydarzyło dwadzieścia lat temu!

- Całe moje życie było i jest dalszym ciągiem tamtej sprawy sprzed dwudziestu lat - stwierdziła z przekonaniem Anna, znów spoglądając Ralphowi prosto w oczy. - Wiem, że ty to wszystko zostawiłeś poza sobą, że powiedziałeś sobie już dawno: „Uwolnijmy się od nienawiści, przecież je-

steśmy rozumnymi, cywilizowanymi ludźmi..." Byłeś w stanie coś takiego sobie powiedzieć, chociaż to, co nas spotkało, nie miało nie wspólnego z rozumem i cywilizacją, chociaż było obłąkańcze i barbarzyńskie!

Anna podniosła głos niemal do krzyku, znów zaczęła rozciągać pod szyją wycięcie sukienki. Felicia została powieszona.

- Nie tylko ty odczułaś wtedy, co to zdrada - rzekł cicho Ralph. - Ja też.

- Nie aż tak bardzo. Jakby nie było, ty otworzyłeś im drzwi.

- Ja otworzyłem, to prawda. A ty mi teraz ciskasz złośliwie tę prawdę prosto w twarz, jak przystało na ludzką istotę...

- Postępki ludzkich istot nie mieszczą się w żadnych granicach, dobrze o tym wiemy, czyż nie? Nie ma takiej otchłani, w której jakiś człowiek kiedyś by się nie pogрузzył. A ja nigdy nie miałam złudzeń, że jestem kimś więcej niż tylko człowiekiem. Chociaż ty byłbyś pewnie wniebowzięty, gdybym miała! Ralph zareagował na ostatnie słowa Anny tak, jakby mu nagle brakło tchu. Przysiadł na skraju fotela. Przetarł dłonią pokrytą zimnym potem twarz...

Wieczorem Anna i Ginny włożyły płaszcze i wybrały się na przechadzkę nad zatokę. Powierzchnia wody była nieruchoma, gładka. Łodzie, które się na niej unosiły, wyglądały jak zabawki poustawiane na stalowej półce.

- I jak ty sobie teraz radzisz? - zapytała Anna. - Mam na myśli Feliksa.

- Chodzi ci o to, że umarł?

- Tak, właśnie - odpowiedziała Anna pomyślawszy, że Ginny nie jest jednak nad miarę bystra.

- No cóż, dochodzi się w końcu do takiego stanu, że już nie myśli się o tym codziennie. Podobno się dochodzi, ja jeszcze nie doszłam.

Miały przed sobą ciemną bryłę i jasne światła hotelu „Blakeney”, którego mury wznosiły się nad płaszczyznę zatoki jak burty kamiennego okrętu. Słyszały tęskne wieczorne porykiwania bydła z wypasów na słonych moczarach i dźwięczące im do wtóru jękliwe nawoływania owiec.

- Wiesz, Ginny - powiedziała Anna - ja zupełnie nie rozumiem tej sprawy z przebaczeniem. Staje na przykład przed kamerami jakaś kobieta z Irlandii, jej mąż zginął zastrzelony albo jej dzieci rozerwał wybuch, a ona mówi: „Wybaczam terrorystom...” W imię czego tu wybaczają? Nie umiałabym!

- Może w imię wiary? - odezwała się Ginny ostrożnym, pełnym rezerwy tonem.

- Prawie nie wierzę. Nigdy nie byłam dobrą chrześcijanką...

W zakamarkach pamięci Ginny otworzyła się, a właściwie zaledwie uchyliła zamknięta dotąd furtka. Zaczęła się zastanawiać: „Czy tam u nich nie było czasem jakiejś historii, sprzed wielu lat, z utraconym dzieckiem?” Głośno spytała jednak o coś zupełnie innego:

- Dlaczego nie miałybyśmy wpaść do hotelu na drinka?

- Na drinka do hotelu... - powtórzyła Anna. - Dla odmiany. Czemu nie?

Przesiedziały w barze pół godzinki, sącząc gin. Hotelowi goście, wielu w pseudożeglarskich uniformach z błyszczącymi guzikami, w których odbijały się wszystkie światła, ściągali na niezbyt późną kolację, na swoje skorupiaki i dziczyznę.

- Mogłabym spytać o jakiś wolny stolik... - odezwała się

Ginny.

Anna pokręciła głową.

-Moja porcja by się zmarnowała. Niczego nie przełknę. A nie cierpię marnować żywności.

- W takim razie zrobię dla nas w domu jajka, dobrze? Po jednym smażonym jajeczku. A może wolałabyś gotowane?

- Bez różnicy - mruknęła Anna.

I pomyślała: „Po jednym jajeczku... Wdowie jedzenie, jedzenie dla samotnych kobiet, w sam raz na miarę ich wą-tlutkich apetytów. Któż o to dba, że wiotczeje im ciało i że ich oczy tracą blask!”

Ginny stwierdziła:

- Uważaj, Anno. Pięćdziesiątka!
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Ze możesz stracić wszystko, jeśli nie podejmiesz walki.

Dziubiąc ziemne orzeszki ze szklanego naczynka i zerkając przez okno na bagnistą nadmorską równinę, Anna powiedziała:

- Jutro muszę wrócić do Czerwonego Domu. Muszę stawić wszystkiemu czoło.
- Obydwoje nasi rodzice uciekli z domu - skarżyła się Rebecca. - Chyba będę musiała zamieszkać z tobą, tu, w Fo-ulsham, Emmo.
- Twoja mama do mnie dzwoniła, kochanie. Wraca do domu jutro rano. Prosi, żebyś się nie martwiła, wie, że z ciebie już duża i mądra dziewczyna, mówi, że wszystko ci wkrótce wyjaśni. Jakoś... - To ostatnie słowo Emma wypowiedziała półgłosem, sama do siebie.
- Tymczasem Kit musi zastąpić mi mamę, a Robin tatę.
- Nawet fajnie to sobie wymyśliłaś! Chociaż to zastępstwo na jeszcze tylko jedną noc, nie zapominaj. Ze mną też oczywiście mogłabyś zostać, gdybyś chciała...
- Nie ucieka się z domu na długo, prawda? - Rebecca była rozgorączkowana, pytała tyle z nadzieją, co z lękiem. - Na przykład ta dziewczyna, co u nas była, Melanie. Tatuś mówił, że ona ciągle skądś ucieka. Ale zawsze ją łapią. Policja.

„Jest bardzo dziecinna jak na swój wiek; przy dwu starszych braciach i starszej siostrze poważnieje wolniej, niż można by się spodziewać, jeśli się weźmie pod uwagę, że każdego lata ma kontakt z tyloma poważnymi, kłopotliwymi sprawami, jakie wnoszą pod ich dach ci wakacyjni przybysze” - pomyślała Emma. I powiedziała:

- Widzisz, z dorosłymi to jest trochę inaczej. Sami mogą decydować, gdzie chcą być. I czasem się zdarza...

Nie dokończyła. Zaciśnęła powieki, zaczęła się gorączkowo zastanawiać, jak powinna jej to powiedzieć. Poczowała się znużona. Pomyślała, że może w ogóle nie powinna mówić, że nie musi, że to zbyt pochopne, że może wszystko się jeszcze jakoś ułoży... Pamiętała głos Anny w słuchawce, zawzięty, równocześnie raz po raz nieomal przechodzący w płacz. „Przecież ich małżeństwo przetrwało dwadzieścia pięć lat. Czy mogłoby się rozpaść w ciągu jednej nocy?” I pomyślała jeszcze: „A cóż ja właściwie wiem o małżeństwie?”

Rebecca tymczasem szczebiotała:

- Jak tatuś wróci do domu, chcę go zapytać, czy nie moglibyśmy kupić osiołka, żeby się pasł w ogrodzie. On powie, że nie, oczywiście, że nie, ale ja wtedy zacznę za nim chodzić i powtarzać w kółko: „Osioł, osioł, osioł!” Aż się zmęczy i machnie ręką, i powie, że tak, w porządku, że będę miała tego osiołka, jak już koniecznie chcę.

- Zawsze w ten sposób dopinasz swego?

- Trzeba prosić - wyjaśniła Rebecca. - Kto się o nic nie naprasza, nic nie dostaje. Wiesz, że Julian był w domu? - Był? Nie wiedziałam. Kiedy?

- Dwie albo trzy noce temu, dokładnie nie pamiętam. Wszedł po ciemku przez okno, chłopaki tak robią, wiesz? Włazą do domu jak włamywacze albo rozbójnicy.

- Nie wiedziałam.

- Nawet często tak robią. Kit mówi, że dla głupiego popisu, bo mogliby równie dobrze wejść drzwiami... - To znaczy, że mama i tato nie widzieli wtedy Juliana?

- Nie. Tylko Kit go widziała, bo się wśliznął prosto do jej pokoju. I Robin. Zszedł do nich. W trójkę bardzo poważnie o czymś rozmawiali. - A ty gdzie wtedy byłaś?

- Siedziałam na schodach i strzygłam uszami.

- I co usłyszałaś?

- Nic! - Rebecca odwróciła gwałtownie głowę i zaczęła płakać. - Nic nie rozumiałam! Zresztą oni wcale nie rozmawiali, miałam tylko taki sen, że zostałam sama w całym domu!

- To nie był sen, Becky, prawda? - odezwała się Emma. -Boisz się tego, co usłyszałaś, i dlatego mówisz...

- Tak. Bo co to będzie, jak oni wszyscy odejdą, jak wszyscy pouciekają? Jule już się wyniósł. Kit powiedziała, że się wybiera do Afryki.

Emma przyciągnęła zapłakane dziecko do siebie.

- Becky, przytul się do mnie - powiedziała - przytrzymaj, złap mnie bardzo mocno! Jestem tutaj, prawda? Czy nie wydaje ci się to pewne, że jestem? Czy wygląda na to, żebym ci miała gdzieś uciekać? Przecież nikt by cię samej nie zostawił!

Nic więcej nie była w stanie powiedzieć. Gubiła się w odczuciach, jakie ją równocześnie ogarniały: miłość do tego dziecka, złość na Ralpa, konsternacja w obliczu wszystkiego, co się wydarzyło...

Myślała: „Przecież wcześniej, nim nadeszło to lato, nawet w najbardziej zwariowanych snach nie mogłoby mi się przedstawić coś takiego. Ale właściwie, może to mój problem? Może po prostu moje sny nigdy nie były dość zwariowane, dość śmiałe? Może nie zdaję sobie sprawy, co powoduje ludźmi? Może nie wiem, za sprawą jakich mechanizmów ludzkie życie układa się tak, a nie inaczej? Weźmy tę ich historię: czemu w tym roku, a nie kiedyś wcześniej? Pewnie dlatego, że akurat teraz dojrzeli do takiej sytuacji, dopiero teraz osiągnęli zwrotny punkt. Ralph spotkał tę kobietę, pewnie jej opowiedział o tamtych sprawach sprzed lat. I wtedy wszystko już musiało się zmienić. Kiedy się przez dwadzieścia lat ukrywa coś w tajemnicy, wznosi się wokół tego taki specjalny gmach, coś jakby schron, jakby bunkier. Ale gdy ściany tego gmachu się rozpadają i sekret zostaje ujawniony, choćby jednej jedynej osobie, już nie ma sensu podejmować odbudowy według tego samego planu. Skoro mury twierdzy nie mają już czego

kryć. Życie musi się wtedy zmienić, życie się zmienia, bo musi!"

„Ciekawe, co by było - zastanawiała się dalej Emma -gdybym tak pojechała porozmawiać z tamtą kobietą, Mrs Glasse. Gdybym ją chciała w jakiś sposób... uprosić... Wyśmiałyby mnie, oczywiście".

- Mogliśmy sobie darować tę scenę - stwierdziła Amy Glasse.

- Tak - zgodził się Ralph.

Jeszcze przed chwilą z jego ust płynął potok słów, całych zdań, co do których ona mogłaby przysiąc, że je słyszała w telewizji. „Uważam, że przez wzgląd na dzieci..." Pomyślała: „Jasne, to był telewizyjny film i właśnie się skończył. Ostatni odcinek serialu".

Powiedziała:

- Wyglądasz na bardzo zmęczonego, mój drogi.

- Tak. Właściwie przez cały czas, na okrągło, jestem w drodze, jeżdżę z miejsca na miejsce...

Większą część ostatniej nocy, przeważającą część, spędził siedząc przy Melanie, która na przemian budziła się i zasypiała, i znowu się budziła, coś tam chwytła z rozmów, jakie toczyły się wokół niej, coś tam bezładnie łączyła i mieszała, i znów zasypiała. Zdecydowano się zatrzymać ją na jakiś czas w szpitalu, by się upewnić, czy środek, który przyjęła, nie spowodował uszkodzenia wątroby. Biorąc pod uwagę ograniczony wybór tego, co mogła mieć do dyspozycji, należało przypuszczać, że nawdychała się jakiegoś rozpuszczalnika; dlatego była w stanie bliskim śpiączce, kiedy karetka pogotowia zabrała ją z ulicy. Ralph, znając historię Melanie i zdając sobie sprawę, jak wiele różnych środków, w najrozmaitszych dawkach, stosowała, żeby się doprowadzić do „odlotu", najbardziej bał się tego, że jej niespójny sposób wysławiania się i najwyraźniej zaburzony tok myślenia mogą zostać uznane przez lekarzy nie tyle za efekty nadużycia narkotyku, ile za objawy choroby psychicznej.

Takie historie znał również: zaawansowany amfetaminista popada w stan podrażnienia, słyszy głosy, ma halucynacje, trafia do wariatkowa i wykańcza się w przyspieszonym tempie.

- Widzisz - odezwał się Ralph, powracając od przygnębiających rozmyślań do również niewesołej rozmowy z Amy Glasse - ja nie mógłbym ci teraz dosłownie nic zaoferować, z tej zasadniczej przyczyny, że najpewniej stracę zajęcie. Będę zmuszony złożyć rezygnację zarządowi fundacji. I oni będą zmuszeni ją przyjąć.

- A to hipokryci, no nie? - odezwała się Amy.

- Widzisz, ludzie wcale nie są dzisiaj bardziej światli niż kiedyś, można by myśleć, że się zmienili, skoro czasy się zmieniły, a jednak nie. Chyba dlatego zawsze się znajdzie ktoś, kto będzie szukał kija, żeby uderzyć... Na przykład prasa... Gdyby to dotarło do gazet... Widzisz, sprawa się komplikuje przez to, że Sandra jest dziewczyną mojego syna, oni by wszystko poprzeinaczali, możesz mi wierzyć, wiem, jacy są dziennikarze... Koniec końców zrobiliby z tego coś w rodzaju kazirodztwa!

- Nazwijmy rzecz po imieniu: Sandra jest kochanką twojego syna.

- No tak, wiem... Widzisz, ja nie chcę szkodzić fundacji, skandal z miejsca by się odbił na napływie środków, a przecież gdybyśmy mieli mniej pieniędzy, musielibyśmy sprawić zawód wielu potrzebującym, pozostawić ich samym sobie...

- Ralph, czy ty brałeś ślub z Anną czy z fundacją?

- Nie rozumiem, Amy, o co ci chodzi...

Oczywiście rozumiał, próbował tylko grać na zwłokę, chciał zyskać na czasie. „Czy rzeczywiście ktoś mógłby mi zarzucić - zastanawiał się - że jestem jednym z tych, którzy umieją kochać tylko ludzkość jako taką, a nie poszczególne konkretne osoby? Cóż - odpowiadał sam sobie - może i mam takie skłonności, ale staram się im nie poddawać. Kocham Amy, co skądinąd nie jest wcale trudne. I kocham

Annę, co jest znacznie trudniejsze. Kocham moje dzieci, kocham Sandrę... Kogóż trudniej pokochać niż Melanie, a przecież i tu próbuję, metodycznie, naukowo. Melanie... Absolutnie nie mogę pozwolić - Ralph powrócił myślą do wcześniej rozważanej kwestii - żeby to dziecko trafiło do szpitala psychiatrycznego; ona jest, bez najmniejszej wątpliwości, na przekór, na złość wszystkiemu i wszystkim zdrowa; może jest głupia, z pewnością autodestruktywna, jednak bez wątpienia normalna, o ile tylko nie znajdzie się pod wpływem jakichś podejrzanych tabletek, kupionych gdzieś na ulicy, jakiegoś płynu czyszczącego czy paliwa do zapalniczek, dysponuje pełnią władz umysłowych. Gdyby jej przyczepiono etykietkę schizofreniczki albo psychopat-ki, to oznaczałoby koniec. Równie dobrze można by ją od razu pochować! Nie mogę pozwolić, żeby ją wzięli na psychiatrię, ale przecież nie mogę też - w tym momencie Ralph poczuł, że znalazł się w sytuacji bez wyjścia - zabrać jej do Czerwonego Domu bez Anny! Ani zawieźć z powrotem do Londynu i zostawić na karku Richardowi i jego ludziom, choćby dlatego, że w ciągu paru godzin im pryśnie! Nie wezmą jej pod klucz, nie mają do tego prawa".

Uniósł wzrok i rozejrzał się po pokoju. Poczł dobiegający z kuchni zapach ciasta, które Amy piekła na sprzedaż. Stała konieczność zdobywania środków do życia sprawiała, że żaden kryzys nie mógł jej zmusić do rezygnacji z codziennych starań.

Amy powiedziała:

-Ralph, myślę, że skoro mnie opuszczasz, powinienesz podać prawdziwy powód.

Głos jej zadrzał, ale mówiła dalej:

- Widzisz, kiedy się zjawilesz tej wiosny, bylam sama. Bylam sama od dawna, odkad Andrew Glasse wyniosł się z tego domu, jak Sandra miała dwa latka. Przez cały ten czas nie wpuszczalam tu zadnego mężczyzny nawet za próg, o ile nie bylam zmuszona. Aż się zjawilesz, Ralph. Bylesz miły. Bylesz dla mnie bardzo miły. I dobry.

Pokiwał głową. Powiedział:

- Teraz widzę, że tak nie wolno. Nie wolno być dobrym w ten sposób.

- Teraz musisz mi podać prawdziwy powód. Powiedz mi czemu mnie opuszczasz. Bez głupiego gadania o tym, co mogą nabazgrać w „News of the World”. Powiedz mi, że kochasz swoją żonę. Powiedz mi coś, co by miało sens.' Że kochasz żonę i dzieci, że chcesz ochronić rodzinę...

- Anna mówi, że mi nigdy nie wybaczy. Chce, żebym wyprowadził się z domu.

- To chyba normalne...

- Ale jeszcze mówi, że najprędzej, jak tylko da radę, też się wyprowadzi. I ja wtedy będę mógł tam wrócić. Co do dzieci, to nie wiem.

„I tak je stracę - pomyślał. - Nieważne, gdzie będę mieszkał i na ile będę sprawował nad nimi opiekę. Stracę je. Nauczyłem swoje dzieci odróżniać to, co dobre, od tego co złe, i nauczyłem je wybierać to, co dobre. Teraz docenią tę lekcję, ale nauczyciela będą miały w pogardzie. Przecież to, co zrobiłem, jest tak wyraźnie, jaskrawo, jednoznacznie złe. I małe, że złe, bo jeszcze głupie!”

- Pytasz, czy Kocham Annę - odezwał się po chwili milczenia. - To nie jest właściwe pytanie. Bo to jest znacznie szerszy problem. Widzisz, kiedyśmy się z Anną poznali, byliśmy, prawdę mówiąc, dziećmi. Zawarliśmy przymierze przeciw całemu światu. I ono trzymało nas razem, do tej pory

- Wiem. Nie musisz mi jeszcze raz opowiadać waszej historii. O czymś takim wystarczy opowiedzieć raz na całe życie. Nie myśl, że zapomniałam, że zapomnę...

Amy wstała z krzesła. Twarz miała bardzo bladą, uduchowioną. Zaczęła mówić w wielkim skupieniu:

- Ralph, posłuchaj mnie. Jest tak, że każdy człowiek, jak spojrzy „a swoje życie, to widzi jedną wielką klęskę, całą masę klęsk, prawda? Bo wszyscy pamiętają tylko te rzeczy które zrobili źle. A ja się pytam: co z setkami tysięcy rzeczy które zrobili dobrze? Ty utraciłeś dziecko. I każdego dnia

o tym myślisz. A ja powiadam: pomyśl też o tych dzieciakach, których nie utraciłeś, koło których nie przeszedłeś obojętnie, którym pomogłeś!

- Amy, nikt nigdy dotąd mi czegoś takiego nie powiedział!

Podeszła do kominka, oparła dłonie na gzymsie, po obu stronach zegara.

- Ralph - odezwała się - powiedz mi tylko jedno. Czy jak mówiłeś, że mnie kochasz, kłamałeś?

Zamilkła. Wstrzymała oddech. Obojętny wyraz, jaki starała się nadać swojej twarzy, mógł wskazywać, że jest przygotowana na każdą odpowiedź.

- Nie - stwierdził Ralph. - Nie kłamałem.

Z ulgą wypuściła powietrze z płuc. Podeszła do Ralpha, spojrzała na niego oczyma, które nigdy jeszcze nie były tak czyste i jasne.

- Oto ironia losu, Ralph, prawda? Ironia i podłość! No, ale cóż, mój drogi, załóż płaszcz, bo na ciebie już pora...

- Sandra i Julian... Czy wiesz, gdzie oni są? Amy uśmiechnęła się.

- Kiedy ostatnio ich widziałam, siedzieli sobie na płocie jak para oberwańców i zajadali jeżyny.

- W końcu przecież muszą wrócić do domu! Do ciebie albo do nas.

- Sandra ma klucze od jednego takiego mieszkania w Wells. Tam, gdzie sprząta. Właściciel może im je tanio wynająć do przyszłego sezonu.

- Nie wiem, w jaki sposób mogliby sobie pozwolić na wynajęcie mieszkania. Nawet tanio.

- Z Bożą pomocą... - Amy skrzywiła zaciśnięte mocno usta w lekkim uśmiešku, bardzo przypominającym uśmiech Anny. - Tylko że Pan Bóg im oczywiście nie pomoże. To ja zadbam, żeby jakoś przetrwali zimę.

Zima odmalowała się na jej twarzy, gdy wymawiała te słowa. Odwróciła się. Gdy Ralph wychodził, rzuciła jeszcze za nim:

- Jesteś pewien, że nie chcesz tego starego zegara?

- Nie miałbym gdzie go postawić - stwierdził. Pomyślał: „Jestem teraz bezdomny, będę musiał dźwigać

dom na własnych plecach, jak ślimak". I powiedział:

- Do zobaczenia, Amy.

Po kolejnej deszczowej nocy nastał pogodny, choć wietrzny, dzień. W promieniach słońca, które szybko zaczęło osuszać kałuże na drogach, świat znowu nabrał kolorów. Drzewa zabarwiły się lśniąca zielenią. Zdawało się, że nawet drewnianym kołkom w płotach zostanie przywrócone życie.

Anna wyjechała z Blakeney wczesnym autobusem; dokładnie o dziesiątej znalazła się przed drzwiami Czerwonego Domu. Wsunęła klucz do zamka. Pomyślała: „Czy faktycznie nadejdzie dzień, kiedy to zrobię ostatni raz?"

Przypomniało jej się, jak próbowała sprzedać ten dom niecałe trzy lata temu. Zawsze miała wrażenie, że jest niepotrzebnie rozcłódkowany, pozbawiony centralnego punktu, z którego można by nim zawiadywać. Głosy rozchodziły się tutaj jakimiś osobliwymi drogami: dzwoniącego na parterze telefonu zupełnie nie było słycać w sąsiednich pomieszczeniach, natomiast jego dźwięk całkiem wyraźnie rozlegał się na pięterku. Pole widzenia też otwierało się i zamykało w specyficzny sposób. Czasem któreś z przyjaciół dzieci zostawało na noc, a ona nic nie wiedziała: nie miała przecież zwyczaju specjalnie co wieczór obchodzić i przeszukiwać wszystkich zakamarków. Ten dom żył swoim własnym życiem, umiał być niezależny, czy jej się to podobało czy nie. Gdy rano wściekli lub przerażeni dodzwaniali się rodzice małego gościa, którego Anna podejmowała me mając o tym pojęcia, mówiła im: „Dziecko jest tutaj, możecie je państwo w każdej chwili odebrać. Za nocleg i śniadanie nic nie policzę!" I odkładała słuchawkę, nie próbując nawet wysłuchiwać dalszej gadaniny. Jej sposób bycia niekoniecznie wzbudzał sympatię. Doskonale zdawała sobie z tego sprawę.

Wszedłszy do środka, Anna zorientowała się, że wystarczyła jej krótka nieobecność, a w domu już pojawiły się ślady zaniedbania: w przedpokoju, na antyku z Great Yarmouth, jakaś pajęczyna i pająk, w kuchni, w zlewie, sterta nie umytych talerzy i filiżanek...

- Kit, nie mogłaś tu trochę ogarnąć? - zwróciła się do starszej córki.

- Więc tylko to cię obchodzi? Porządki? - usłyszała w odpowiedzi.

Rebecca była zapłakana, Robin zmieszany. Julian przebywał poza domem. Kit odnosiła się do Anny zdecydowanie wrogo. Wiedziała już, najpewniej od Daniela, że Ralph był w Blakeney i próbował wszystko jakoś załagodzić. Obrzuciwszy matkę piorunującym spojrzeniem zapytała:

- I co jeszcze twoim zdaniem można zrobić, jak już człowiek przyznał się do błędu i stara się go naprawić?

Anna mruknęła tylko:

- Kit, nie masz o tych sprawach pojęcia. Na co usłyszała:

- Tu nie chodzi o moje doświadczenie życiowe, tylko o generalną zasadę!

Pomyślała o Kit: „Nieodrodna córka własnego ojca, ta sama przytłaczająca siła wewnętrzna, to samo upodobanie do zamaszystych uogólnień...” I pomyślała o sobie, że przez całe życie była zaabsorbowana szczegółami, troskała się o drobiazgi: staranne ściegi, poprawne zdania. Bo tak ją nauczono jeszcze w dzieciństwie, że właśnie codzienne drobiazgi są tym, co człowiek jest w stanie zaofiarować Bogu. I że nie należy uzurpować sobie praw do adorowania Go w jakiś inny, śmielszy sposób.

- Oj, Kit, Kit... - Anna pokiwała głową i przysiadła na kuchennym krześle. - Mogłabyś zrobić coś dla mnie? To zrób mi, proszę, kawy z gorącym mlekiem.

Oczy Kit przestały ciskać gromy. Anna patrzyła, jak jej córka sprawnie, pewnie i efektywnie krząta się po kuchni, aby spełnić jej prośbę: stół, lodówka, piecyk...

- Właściwie dlaczego miałabym wybaczyć? - zapytała.

- Bo jeśli nie wybaczysz, zniszczysz sama siebie - odpowiedziała Kit, nie spoglądając w jej stronę. Anna pokiwała głową. Pomyślała, że faktycznie tak może się stać. Już była węższa niż przedtem, po prostu skóra i kości; gdy szła, zdawała się prawie nie dotykać stopami podłoga. U Ginny nie przełknęła nawet jałowej wdowej stawy, jednego jajeczka. I teraz czuła w sobie przyprawiającą o zawrót głowy lekkość, jakby poniżej serca, tam gdzie powinien być żołądek, miała puste miejsce.

- Zawsze sądziłam - odezwała się - że przebaczenie musi być poprzedzone naprawieniem krzywdy. Kit zdjęła rondel z palnika, ostrożnie naląła mleka do filiżanki.

- Więc co chcesz, żeby on jeszcze zrobił?

- Czy ja wiem... Widzisz, Kit, ja jeszcze nigdy niczego nie przebaczałam, nie mam w tym wprawy, nie mam pojęcia, jak to się robi. I tu nie chodzi tylko o niego...
Zasłoniła dłonią usta, zamilkła.

- Niedobrze ci? - zapytała Kit.

- Nie, nie - odpowiedziała.

Bo przecież nie dostała nagłych mdłości, tylko się nagle przełękła, że sekret mógłby wyjść na jaw, nawet wbrew jej woli, mógłby się własną mocą wymknąć na światło dzienne. Przez całe lata czuła jego napór, jednak nie chciała, nie mogła go wypowiedzieć. Pomyślała: „Może na coś takiego nie ma właściwych słów? Może to się ujawnia tylko w wizjach, w symbolach? Właściwie wszystko w życiu jest takie; wszystko zawiera w sobie coś więcej i coś innego, niż można z pozoru sądzić. Niebezpieczeństwo kryje się w tym, co bezpieczne, śmieszność kryje się w łzach. W chwili, gdy człowiekowi jest najmilej i najweselej, w drzwi jego domu może załomotać pięść mordercy”.

Rozmyślała dalej: „Przez wiele lat krążyłam po tym pomieszczeniu, po tej kuchni. Siadywałam przy tym stole, robiąc spisy sprawunków, pisując listy i czytując codzienną

gazetę, z jakimś szóstym zmysłem wciąż nastawionym na sygnały niebezpieczeństwa, zniszczenia, rozpadu: na pieszczanie rur i kapanie wody, na zgrzytanie zdezolowanych urządzeń i skrzypienie starych podłóg. Tu borykałam się ze wszystkim: z węglowym pyłem, mysimi kupkami i obierkami z warzyw, z rachunkami za gaz i dzienniczkami ze szkoły, z najbardziej przykrymi obowiązkami, które wypełniałam jak najpoprawniej. I z moją gorzką krzywdą. Przez całe lata krążyłam po tym domu, uszczelniając okna przed zimnem i czekając. Na kogoś, kto nigdy nie przyjdzie. Nigdy do domu nie wróci".

Ralph wrócił po swoje rzeczy. Planował zamieszkać u Emmy. Anna mówiła wprawdzie, że nie chce Czerwonego Domu, on jednak zakładał, że zechce, kiedy rzecz lepiej przemyśli, i wówczas będzie miał obowiązek ten dom jej i dzieciom zapewnić. Kiedy próbował zastanawiać się nad praktycznymi konsekwencjami ich separacji - nad środkami do życia dla siebie i Anny, nad koniecznością podziału kont bankowych, nad tym, że przyjdzie im obojgu egzystować raczej w ubóstwie niż w dostatku - szybko i niemal mimowolnie odbiegał myślami w innym kierunku, ku medytacjom nad własnymi ułomnościami moralnymi. To było dla niego łatwiejsze, czuł się znacznie lepiej na gruncie takich abstrakcyjnych rozważań.

„Jestem jak większość ludzi - myślał. - Jeśli nawet umiemy sobie poradzić z poczuciem winy czy wstydu, to stanąwszy wobec praktycznych konsekwencji czynów, które wywołały w nas te emocje, zdajemy się na pomoc prawników. Nic dziwnego, że ludziom z tej branży nigdy nie brakuje zajęcia". Wszedł na górę do małżeńskiej sypialni i spakował trochę ubrań. Anna mówiła, że nie chce żadnego szwendania się tam i z powrotem, dokładnie tak powiedziała, ale jak można wtłoczyć całe życie w dwie walizki? Próbował i dał spokój. Usiadł na skraju łóżka z twarzą ukrytą w dłoniach.

Miał nadzieję, że Anna wejdzie za nim. Chociaż nie, po co miałyby wchodzić, co mogłaby zobaczyć? Przecież nic, co by ją podniosło na duchu. Zobaczyłaby kogoś, kto już kiedyś doprowadził własną rodzinę do tragedii, a teraz, po latach, doprowadził ją do tragedii drugi raz. Tak myślał Ralph sam o sobie, że taką właśnie przeszedł wspaniałą ewolucję, od katastrofy do katastrofy, jedynym możliwym torem.

Zdecydował się zostawić odzież, a zabrać papiery, uporządkować biurko. Nie widział Anny, lecz zdawał sobie sprawę, że przez cały czas krąży po domu. Jest zawsze tam, gdzie jego akurat nie ma. Tak się wzajemnie omijają, unikają.

W gabinecie usiadł za biurkiem na drewnianym obrotowym fotelu. Spojrzał na swoje zdjęcie, to na werandzie przy Flower Street. Złożył podpórkę ramki, odwrócił fotografię frontem do blatu. „To ostatnia rzecz, jaką Anna chciałaby tutaj mieć” - pomyślał. „W ogóle nie należało wyciągać tego zdjęcia, dzieci miały tylko niepotrzebną zachętę do zadawania pytań”. Nie widzącymi oczyma w kolorze sepia wpatrywali się w niego rodzice. Pomyślał: „Jak ten ojciec z wiekiem spospoliciał na twarzy: nabrzmiała mu, rysy się rozmyły. Czy ze mną też tak będzie? Przecież pewnie nie był starszy niż ja teraz, kiedy robiono to zdjęcie. Wszystko wskazuje na to, że idę w jego ślady: muszę zakładać okulary do czytania, w obwodzie przybyło mi dwa cale, stare koszule zrobiły się za ciasne pod szyją i trzeba je było upchnąć w głąb szafy. To nie jest powierzchowność na nowe życie, chociaż wygląda na to, że tak czy inaczej będę zmuszony je rozpocząć”.

Zaczął się zastanawiać, czy Anna po prostu czeka, aż on sobie pójdzie, czy może jednak spodziewa się z jego strony jakiegoś gestu, znaku... Mówiła, że chce, żeby poszedł, niech więc ma, czego chciała, stracił wszystko, ale trochę dumy mu jeszcze pozostało!

Chociaż to coś okropnego, może najgorsza rzecz na świecie, tak skazać kogoś na wieczne okowy słów, które raz wypowiedział.

Wsunął rękę do pierwszej szuflady biurka. Zacisnął dłoń wokół kamienia: Gryphaea. Wydobył skamielinę, przyłożył ją sobie do policzka, potem do ust. Poczul chłód i smak soli. I smak własnego dzieciństwa. Gromada: mięczaki, Molusca. Klasa: Pelecypoda. Rząd: Pterioda. Ileż wiary pokładał jako dziecko w porządek tego świata! Rodzina: Grypheidae. Gatunek: Arcuata. Pomyślał: „Oczywiście, przeszłość się nie zmienia. Kamienieje, ulega petryfikacji. Zmianom podlega tylko sposób, w jaki na nią patrzymy. Wszystko zależy od tego naszego patrzenia. To ono przemienia łajdaków w bohaterów i ofiary w kolaborantów!” Uniósł skamielinę w górę, przytrzymując w palcach. Wziął zamach i cisnął ją prosto do kosza na śmieci.

Krążąc po kuchni Anna postanowiła: „Muszę zrobić coś pożytecznego!” Odkręciła kurek z ciepłą wodą, przepłukała oblepioną okruszynami ściereczkę do zmywania naczyń. Wyjęła ją w rękach, strzepnęła, ponaciągała ze wszystkich brzegów i rogów i starannie wygładzając rozwiesiła na suszarce do wyschnięcia.

Pomyślała: „Pożytek raczej niewielki, ale cóż...” Przypomniało się jej tamto popołudnie, kiedy zastała Ralpa u pani Glasse, i tamten wieczór, kiedy w kółko robiła sobie kawę i myła filiżankę. I przypomniało jej się zdanie, urywek zdania, ze starego listu, który napisał kiedyś James: Zawsze może zaistnieć sytuacja wystarczająco kłopotliwa, by zburzyć wszelkie pewniki... Pomyślała: „Osobliwa jest ludzka pamięć, działa, jak sama chce... No bo skąd mi się nagle wzięło to zdanie? I jak miałyby się stosować do mojej obecnej sytuacji?”

Obeszła wokół kuchenny stół, poprawiając ustawienie krzeseł. Zdawała sobie sprawę, że tuż obok niej, za ścianą, Ralph przygotowuje się do opuszczenia domu. Konsultowała się z prawnikiem. Zdawała sobie sprawę, że powinna o tym Ralphowi powiedzieć, bo przecież ten sam wspólny prawnik nie może reprezentować dwu stron, które mają już nie być wspólną.

Usiadła przy stole czując, że robi jej się słabo. Zaczęła się gorączkowo zastanawiać: „Czy on rzeczywiście odejdzie? A jakby jednak został? Tylko co miałoby go zatrzymać?”

Zdawała sobie sprawę, że poddaje Ralpha testowi, urządza mu egzamin. Ale on wcale o tym nie wie, więc trudno mieć nadzieję, że zda.

Ralph wziął swoje bagaże i wyszedł do holu. Rzucił w przestrzeń:

- Anno? Już idę...

Wyszła po chwili do niego, szczerze otulając się swetrem. Zauważył ten obronny gest.

- Więc co? - zapytała.

- Możesz dzwonić do Emmy... -Tak?

- ... jeśli tylko będziesz mnie potrzebowała.

- Muszę ci powiedzieć, Ralph, że byłam w Norwich, u pana Phillipsa. On potwierdza, że są prawne podstawy do separacji, radzi mi pozostać w domu. Ale ja nie chcę, powiedziałam mu to. Ralph, będziesz musiał sobie znaleźć innego prawnika. Mr Phillips nie może reprezentować nas obojga, niestety... Mam zamiar poszukać dla siebie i Becky jakiegoś mieszkania w Norwich, jak znaję, będziesz mógł tu wrócić, Kit i Julianowi, i Robinowi to nie zrobi różnicy. Pewnie zostaną z tobą. Moja macierzyńska opieka... Pewnie nawet nie zauważą jej braku.

Ralph popatrzył na nią z uwagą i postawił walizki. Pomyślała: „Postawił walizki, a jakby tak jednak został?”

- Już się z tym pogodziłaś, prawda?

- O, tak, weszło mi w krew godzić się ze wszystkim, co na mnie spada...

- Miałem na myśli, że pogodziłaś się z poczuciem klęski.

- Klęski? Kto tu mówi o klęsce? - zaprotestowała Anna ze sztucznym uśmiechem. - Czy nie poradziłam sobie z tą starą pralką? Albo z tym piecem, przez tyle lat? Nawet ten grat w przedpokoju, z nim przecież też dawałam sobie radę.

Mów, co chcesz, ale nie możesz powiedzieć, że Czerwony Dom mnie pokonał!

Ralph zacisnął wsuniętą do kieszeni dłoń, wciąż jeszcze zimną od zetknięcia ze skamieliną. A potem wyjął ręce z kieszeni i chwycił swoje walizki.

Anna usłużnie otworzyła mu drzwi. Wyszedł, jednak nie wypuszczając z rąk bagażu cofnął się, żeby ją jeszcze cmoknąć w policzek. Zauważył, że Anna płacze.

- Nie chciałaś, żeby do tego doszło - powiedział. - Dobrze, że przynajmniej wiesz...

Drzwi Czerwonego Domu były stare i ciężkie. Gdy się otwarły, do wnętrza wtargnął wiatr, wypełniając cały hol świeżym chłodem poranka. Ralph zatrzymał się w progu, przestępując z nogi na nogę odwlekał moment odejścia.

Anna dotknęła jego ramienia.

-Ralph...

Odwrócił głowę, nie chcąc, aby w czymkolwiek sugerowała się wyrazem jego twarzy. Spojrzał na ogród, o ile coś takiego można by nazwać ogrodem: na błotniste podwórze, na trawnik powygniatany przez rowery i psy sąsiadów, które przybiegały nieraz, żeby pobawić się z dziećmi, na staw, który kiedyś próbowali zarybić, na huśtawkę z porzewiałym stelażem i namokniętymi linami, na warzywne grządki Juliana i na zaniedbane zabudowania gospodarcze w głębi. I właśnie stamtąd, z jednej z butwiejących szop, akurat wtedy, gdy Ralph w tamtym kierunku patrzył, wyłoniło się coś, jakieś stworzenie, które sylwetką mogło na odległość przypominać psa. Anna krzyknęła: - Co to jest? Na Boga, co to jest?

Stworzenie zaczęło z wolna zbliżać się ku nim, idąc, a właściwie pełzając na czworakach przez błotnisty, zryty koleinami dziedziniec. Po chwili było już widać, że jest ludzką istotą: zdesperowaną, zrozpaczoną, ledwie okrytą poszarpanymi łachmanami, ludzką istotą z krwawiącymi dłońmi, kolanami i stopami, i z dziwną fryzurą w kolorze za-

chodzącego słońca. Ta ludzka istota z wolna zbliżała się ku nim; po chwili było już widać rysy jej wychudłej, przezroczywej twarzy, ruch jej żeber w mozolnym oddechu, oblepiające jej skórę błoto i brud.

- Muszę gdzieś postawić te walizki - stwierdził Ralph. Tyle na razie wiedział, że ciężkie walizki nieznośnie mu przeszkadzają, nie miał natomiast pojęcia, czy powinien zostawić je w domu, czy raczej wynieść na zewnątrz. Przemknęło mu przez myśl: „Które z nas pierwsze zajmie się tym życiowym rozbitkiem, rzuconym falą losu na tutejszy brzeg, ja czy Anna?” Jednakże duch współzawodnictwa w czynieniu dobra, jaki dotychczas powodował jego życiem, niemal natychmiast go opuścił. „Które z nas? Przecież to nieważne...” - uzmysłowił sobie. Walizki postawił po prostu tam, gdzie stał, w progu. I rzekł do Anny:

- To dziecko jest ledwie żywe, musimy się nim zająć!

- Tak - zgodziła się, sama trochę zdziwiona swą skwapli-wością.

Wybiegli z Czerwonego Domu razem. Melanie nie próbowała już pęłzać. Skuliła się w bezruchu jak umierające zwierzę. Nawet jej płuca ustały w dotychczasowym mozolnym wysiłku. Jednak po chwili, gdy znaleźli się blisko niej, znów zaczęła oddychać, zasysając powietrze ciężko i wolno, lecz głęboko, jakby oddychanie było czymś, czego ją kiedyś uczono i jakby starała się teraz powtórzyć tamtą lekcję. W listopadzie tego samego roku Emma znowu wybrała się do Walsingham. Dzień był zimny, stosownie do późnoje-siennej pory, światło słońca z trudem przebijało się przez powłokę chmur. Również tym razem Emma spotkała w Walsingham panią z mopsem: szli stąpając ostrożnie po kocich łbach; przez minione miesiące oboje trochę posiwieli i przytyli.

Wyłożoną kamiennymi płytami dróżką dotarła do anglikańskiego kościoła. Także i tym razem, jak zawsze, gdy spoglądała na tę ceglana budowlę z zewnątrz, odniosła wraże-

nie, że stoi przed zwykłą kamienicą w municypalnym osiedlu, trochę tylko ozdobniej zaprojektowaną, z łukami i filarami. Wnętrze świątyni nie było aż tak skromne, zwykle, na zasadzie nieoczekiwanego kontrastu, wręcz zadziwiało Emmę ozdobnością; teraz jednak nie miała okazji tego doświadczyć, bo nie weszła, nie miała potrzeby wchodzić dalej niż do kruchty.

W intencji wszystkich, których imiona zostaną zapisane, będą się odprawiały modły w tej świątyni. Emma zaczęła przewracać karty wielkiej księgi. Myślała: „Muszę się cofnąć, muszę się cofnąć aż... Do kiedy? Kiedy to było? Kiedy umarł Feliks?” Przebiegała wzrokiem kolumnę po kolumnie. Karty księgi były wilgotne, sklejały się po kilka miesięcy, po ileś tam nazwisk razem, nie dało się niczego odnaleźć w pośpiechu, trzeba było szukać cierpliwie, starannie oddzielając stronicę od stronicy, sprawdzając daty i wpisy. W końcu Emma dostrzegła wpisane własną ręką imiona i nazwiska:

Ralph Eldred

Anna Eldred

Katherine Eldred

Poniżej była wolna linia, a dalej znowu zapis: Julian Eldred Robert Eldred Rebecca Eldred

Emma pomyślała: „Czemu mi się zdawało, że Bogu muszę podać ich imiona w metrykalnej formie, której się nigdy nie używa, a nie w tej, jaką posługujemy się naprawdę? Dlaczego ludzie zawsze tak robią w podobnych sytuacjach? Ot, zagadka...” Sięgnęła do torebki po pióro. Był to prezent od Feliksa, porządny, drogi: wieczne pióro ze szczerego złota...

„Co u licha!” - zakląła w myślach. Nie mogła go znaleźć. Na”próżno grzebała wśród drobiazgów, przetrząsała torebkę, obmacywała cal po calu jej wyściełane wytartym już jedwabiem wnętrze.

Pomyślała: „Pewnie któreś z dzieciaków

potrzebowało czegoś do pisania i akurat..." Machnęła ręką, sięgnęła do kieszeni płaszcza. Wyjęła z niej długopis z przeciekającym wkładem i popękana, obmazana tuszem oprawka. Potrząsnęła nim i robiąc zygzak w rogu stronicy sprawdziła, czy pisze. Znowu potrząsnęła długopisem, postukała nim o drewniany pulpit, na którym spoczywała księga; znowu zrobiła zygzak. Pomyślała: „Jakby wszyscy tak tu bazgrali..." Machnęła ręką. Zaczęła powtarzać półgłosem:

- Módl się za Feliksem, módl się za Ginny, módl się za mną, módl się za nami...

A potem zaczęła pisać. W tej wolnej linii. Długopis drapał papier, lecz nie pozostawiał śladu. Jeszcze raz nim potrząsnęła, jeszcze raz postukała. Wreszcie tusz zaczął spływać powoli, niczym krew z rany. Z mozołem - długopis to przerywał, to znowu zostawiał kleksy - Emma wypełniła opuszczoną linię:

Matthew Eldred

„A więc zrobione, stało się!" - pomyślała. Przebiegła wzrokiem stronicę aż do końca, do zwyczajowej formułki: „Dzięki za wysłuchane modlitwy". Już miała schować sfatygowany długopis do kieszeni, ale zawahała się. I położyła go na pulpicie obok księgi. Pomyślała: „Kto wie, jaka jeszcze zdesperowana dusza może tu trafić bez czegoś porządniejszego do pisania?"

Wyszła z kościoła. Zanosilo się na śnieg. Pomyślała: „Często się tak zanosi i nic z tego potem nie wychodzi, za blisko mamy morze..." Wsunęła dłonie do kieszeni płaszcza i ruszyła pod górę, w stronę parkingu. Kiedy tak szła, warstwa chmur zrobiła się cieńsza i błysnęło słońce: białawe, rozmazane jak lampa zza zasłony.

KONIEC